

Tańczący z diabłem

Case John



calibre 0.9.43

JOHN CASE

TAŃCZĄCY Z DIABŁEM

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ BOGUSŁAW STAWSKI

Dla Paca Ignacia Taiba, Justa Vasca i załogi Semany Negry

PROLOG

LIBERIA WRZESIEŃ 2003

Nagle usłyszał ten dziwny dźwięk... ping.

Pojedyncze uderzenie w strunę, jakby górne C w gamie C-dur - ping - i koniec. Dźwięk dochodził z tyłu, gdzieś z okolic zbiorników na paliwo, i momentalnie przypomniał Mike'owi Burke'owi wesele brata. To był ten sam dźwięk, który usłyszał podczas obiadu, gdy ojciec chciał wznieść toast, dając znak uderzeniem łyżeczki o kieliszek.

Ping!

Wydało mu się to zabawne.

Lecz to nie było stuknięcie w kieliszek. Helikopter, którym leciał - jednowirnikowy ecureuil B2 - mimo że był produkcji francuskiej nie miał na wyposażeniu wąskich kieliszków do szampana. Taki dźwięk słyszany w helikopterze może oznaczać coś zupełnie innego. To dźwięk, który powstaje przy uderzeniu pocisku kalibru 9 milimetrów w płat tylnego wirnika. To dźwięk, który oznacza, że jeden z płatów tylnego wirnika został rozerwany przez pocisk na pół i odpadł. A może Mike'owi tylko tak się wydawało. Ping!

Przerażony odwrócił się do pilota, Nowozelandczyka o nazwisku Rubini.

- Słyszałeś to?

Przystojniak z Kiwilandu skrzywił w uśmiechu usta.

- O nic się nie martw, brachu!

Nagle helikopter przechylił się gwałtownie na prawo, wpadł w ślizg i runął w dół, kręcąc się wokół własnej osi. Rubini potwornie zbladł, rzuciło go na tablicę przyrządów. Burke naprężył wszystkie mięśnie i mocniej ścisnął podłokietniki fotela.

W jednej chwili, na tle wirującego lasu i nieba, całe życie stanęło mu przed oczyma. Jedna po drugiej, tysiące scen wyświetlało mu się w pamięci. A helikopter wirował w dół wymaglinowanych spiralnych schodów, by jak najszybciej dosięgnąć koron drzew.

Wystarczyło zaledwie kilka sekund, by maszyna spadła dwieście metrów, ale przez ten czas Burke przypomniał sobie każdego zwierzaka, jakiego kiedyś miał, każdą dziewczynę, z którą się kiedyś całował, przyjaciółkę - nauczycielkę, z którą wspólnie wynajmował mieszkanie i każdy widok, jaki kiedykolwiek podziwiał. I gry z dzieciństwa: krainę słodyczy i monopol. Boże Narodzenie i zapachy kadzidełek. Jazzmana Cheta Bakera i ławki nad Sekwaną. Przeszłość przynosiła falami coraz to nowe obrazy. Gdy helikopter spadał, przypomniał sobie wschód słońca na Górze Adama, rzut za trzy punkty zdobyty w meczu przeciwko drużynie z Park High, drżącą obręcz kosza na dwie sekundy przed końcowym gwizdkiem i radość zwycięstwa, jaką wywołał efektywnym zagranieniem. Przypadkowy rzut, nic specjalnego, tak, ale... Dzięki, o Jezu!

Twarz matki stanęła mu przed oczyma jak kurtyna z deszczu, gdzieś między nim a wysokościami, a wersy dawno zapomnianej poezji razem z zapachem gardenii - gardenii? - wypełniły cały kokpit.

Pilot krzyczał. Nie, to nie był krzyk... On wrzeszczał. Pilot wrzeszczy, pomyślał Burke.

Nie mógł już nic na to wszystko poradzić. Spadali tak szybko, że tylko cud mógł ich uratować. Burke nie wierzył w cuda, więc siedział na swoim miejscu i słuchał, jak w transie, dochodzącego gdzieś z tyłu głosu recytującego słowa jego własnego nekrologu:

Michael Lee Burke... Urodzony w Wirginii... Fotograf - laureat wielu nagród... Zginął w katastrofie helikoptera w wieku dwudziestu siedmiu lat...

Dwadzieścia cztery kilometry od granicy z Sierra Leone... Będzie go nam brakowało...

Gdy podwozie helikoptera uderzyło w wierzchołki drzew, zwariowany kalejdoskop pamięci przyspieszył, tylko że teraz były to wspomnienia wydarzeń z najbliższej przeszłości.

Zeszłej nocy poszedł z Rubinim napić się do baru. Balangę skończyli na wieczorze karaoke w hotelu Mamba Point. Burke śpiewał California Stars na tle pomrukiwań chóru żołnierzy z sił ONZ. Musiał sobie nieźle radzić, skoro bar opuścił w towarzystwie atrakcyjnej Słowianki - kobiety agronoma o imieniu Ursula, o której mówiono, że jest jedyną naturalną blondynką w Monrowii. Zapewne nadal spokojnie spała w jego pokoju w hotelu, tam, gdzie ją zostawił, z dłonią na poduszce pod głową, jakby była gwiazdą ekranu pozującą przed kamerami.

Gdy burza gałęzi zaczęła walić w przednią szybę helikoptera, Burke miał objawienie. To nie pocisk kalibru 9 milimetrów miał odebrać mu życie. To, co miało go zabić, było zalewającą falą złej karmai spowodowanej latami fotografowania ludzi przeżywających życiowe tragedie. Bez względu na kierujące nim nawet najbardziej pozytywne intencje - to przedstawianie i dokumentowanie fotografią ich cierpień było po prostu żerowaniem na ich osobistej rozpacz.

Im fotografie były bardziej wypełnione bólem, tym lepiej się sprzedawały. Taki sposób na życie musiał wpłynąć na jego osobowość. Fawele w Rio, sierociniec w Bukareszcie, dzielnica czerwonych latarni w Kalkucie - gdy robił te zdjęcia wydawało mu się, że na swój sposób służy społeczeństwu, ale tak naprawdę był to rodzaj dobrze zaplanowanego szyderczego podglądactwa.

Nawet dziś, niecały tydzień przed swoimi dwudziestymi ósmymi urodzinami, leciał robić zdjęcia w obozie dla małych uchodźców - dzieci, które miały amputowane kończyny, utracone w wojnach diamentowych.

Chyba że... ale nie, tym razem mu się nie uda. Helikopter zmierzał już tylko w jednym kierunku - ku ziemi.

Maszyna wbijała się coraz głębiej w korony drzew, a Burke zdał sobie sprawę, że już nigdy nie zrobi żadnego zdjęcia. Tak czy inaczej, był to koniec. Jezus Maria!

Coś rozwalilo przednią szybę i wbiło się w czoło Rubiniego, rozszczępiając mu czaszkę - jego mózg obryzgał cały kokpit. Krew i szara masa mózgowa rozprysły się wokół i ochlapały pełną przerażenia twarz Mike'a. Helikopter spadał jak meteoryt, przedzierając się z trzaskiem przez gałęzie, obijając się o pnie drzew, grzechocąc zawartością jak skrzynka z narzędziami, aż w końcu wbił się w bagno wypełnione gnijącymi pniami powalonych drzew.

A więc tak wygląda śmierć pomyślał Burke... Ale to przecież nie ma sensu. Człowiek po śmierci już nic nie czuje. Więc może to dopiero umieranie? A to było już bardziej prawdopodobne, bo czuł się tak, jakby każda kość w jego ciele była złamana. Jego usta były pełne krwi. Dostał drgawek. A

świat dookoła powoli wirował.

Otworzył oczy i zrozumiał, co się stało. Helikopter spadając kręcił się wokół osi wirnika nośnego niczym pozbawiona skrzydeł mucha w agonialnym tańcu. Płaty wirnika uderzały w wodę, w ziemię, w drzewa i rozlatywały się jak eksplodujący granat, rozsiewając szrapnele we wszystkich kierunkach. Silnik zakaszłał, zadławił się, zagwizdał i rozsypał iskry, które przebiły się nawet do kokpitu.

Z wielkim móżdżem Burke zaczął szarpać się z pasem przy fotelu. Nawet najmniejszy ruch powodował koszmarny ból. Czuł się tak, jakby jego ciało było workiem wypełnionym potłuczonym szkłem i cierniowymi gałęziami. Cały był pokryty krwią. Krew spływała z jego głowy, a koszula na plecach była nią przesiąknięta.

Mylił się. To nie była tylko krew. Wziął głębszy oddech i aż się zakrztusił.

Paliwo lotnicze!

Jego palce nareszcie odpięły pas, lecz i tak było już za późno. Rozległ się delikatny dźwięk, który mógł oznaczać jedynie zapłon rozbryzganego paliwa i kokpit w ułamku sekundy wypełnił się ogniem. Koszula Burke'a rozbłysła jak fajerwerk i przez moment czuł, jakby nawet tył jego głowy płonął. Potykając się i przewracając, wydostał się z kokpitu, zerwał z siebie koszulę i po omacku czołgał się dalej, dopóki stopa nie ugrzęzła mu pod jakimś pnem. Zwalił się w płytką kałużę.

Leżał tak w bagnie z ropiejącymi ranami, całkowicie pogrążony w malignie: godziny, dni... Wydarzyło się coś niezwykłego - jego poparzenia przyciągnęły pszczoły, które żerowały na sączącej się z nich ropie. Czasem odzyskiwał przytomność, by po chwili znowu ją stracić. To, oczywiście, przez ten ból. Przez ból i pasiekę dzikich pszczoł na piersiach.

Zła karma? O tak...

ROZDZIAŁ 1

BEJRUT ZACHODNI DWA LATA PÓŹNIEJ

Usiedli na obrotowych stołkach przy małym plastikowym stoliku w restauracji KFC pod okiem pułkownika Sandersa spoglądającego na nich z planszy reklamowej. Przez wielkie okna wlewało się słońce. Za nadmorskim bulwarem Corniche wiła się wstążka złotej plaży i połyskiwały wody Morza Śródziemnego.

Hakim, starszy z mężczyzn, siedział z rękami na blacie, jak uczeń czekający na rozpoczęcie lekcji. Miał piękne dłonie o długich i zgrabnych wypielęgnowanych palcach.

- Za dużo - stwierdził, wskazując głową w stronę okna.

Młodszy z mężczyzn zwany Bobojonem Simonim, skrzywił się, spojrzął z ukosa i przytaknął.

- Masz rację. Tu jest za jasno. Starszy mężczyzna pokręcił głową.

- Miałem na myśli szkło. Jeśli w pobliżu wybuchłaby bomba...

Bobojon skubnął odrobinę kurczaka, po czym wytarł palce w papierową serwetkę.

- Te czasy minęły. Nikt już tak nie walczy. Wszystko się zmieniło - zmiął serwetkę w kulkę i rzucił na tacę.

Jego wuj chrząknął.

- Zawsze jest inaczej - oświadczył. - Dopóki coś się nie wydarzy.

Bo stłumił śmiech. Nawet jeśli chciałby błyskotliwie odpowiedzieć, choć nie miał takiego zwyczaju, to tu i tak było zagłębienie. Na środku restauracji płakało jakieś dziecko. Za ladą kierownik ostro strofował zalaną łzami kasjerkę. Nad stolikami zaś unosiła się mieszanka muzyki Tony'ego Benetty i Ouma Kalthouma.

Starszy mężczyzna spojrzął na podobiznę założyciela sieci restauracji KFC widniejącą na plakacie naklejonym na oknie.

- Myślisz, że on też jest Żydem? Bo rozejrzył się.

- Kto?

Wuj ruchem głowy wskazał plakat.

- Właściciel. Ma usta jak Żydzi.

Bo wzruszył ramionami. Miał na sobie czarny T-shirt i dokładnie wyprasowane markowe dżinsy Lucky. Mokasyny marki Mephisto i zegarek Patek-Philippe dopełniały jego sportowej elegancji. Odzież i cała reszta zostały kupione niecały tydzień wcześniej w centrum handlowym, zaledwie parę przecznic od jego nowego miejsca zamieszkania w Berlinie.

- Jeśli jest Żydem - ciągnął wuj - to przynajmniej to mięso jest halal. Akurat ty się tym przejmujesz, pomyślał Bo. Odpowiedział jednak:

- No, tak. - Bo niewiele wiedział o Żydach. Słyszał tylko, że było ich kilku w Allenwood, ale...

- Przejdźmy się - zaproponował wuj, jakby nagle zniesmaczony tym miejscem.

Na zewnątrz, w bmw siedzieli Zero i Khalid i palili papierosy. Widząc Aamma Hakima, wychodzącego z restauracji w towarzystwie bratanka, wygramolili się z samochodu i ruszyli ich śladem. Obydwaj mieli po dziewiętnaście lat, ubrani byli w koszulki z krótkimi rękawami, sportowe buty i dzinsy. Zero trzymał brązowe papierowe zawiniątko z tłustą plamą na boku. Khalid szedł za nim, niosąc na ramieniu markową sportową torbę od Diadory. Skoro byli po posiłku i nie wybierali się pograć w piłkę, to Bo przypuszczał, że w torbach mieli coś znacznie cięższego niż tylko kanapki i stroje sportowe.

Dzień był piękny. Zresztą w Bejrucie zawsze jest ładna pogoda. Niedaleko hotelu Summerland dostrzegł amatorów windsurfingu ślizgających się po falach.

Szli ramię w ramię, pograżeni w rozmowie, w kierunku wielkiego lunaparku Ferris ze słynnym diabelskim kołem. Mijali sprzedawców kokosów i gotowanej kukurydzy. Była niedziela i przez bulwar Corniche przewalały się tłumy. Dzieciaki jeździły na rolkach, zakochani spacerowali trzymając się za ręce, biegali fani joggingu. Dziewczęta w tradycyjnych sukniach abbaya, dziewczęta w spódniczkach mini. Oparci o murek komandosi syryjscy w kamuflażu w tygrysie pasy.

- Podoba ci się Berlin? Bo skinął głową.

- Tak.

Wuj uśmiechnął się.

- A co ci się w nim najbardziej podoba?

- Praca.

- Oczywiście, że tak. Wiem, że lubisz pracę - powiedział. - Ale co poza pracą? Bo wzruszył ramionami. W końcu odpowiedział:

- Architektura.

- Naprawdę?

- Tak. Jest taka nowoczesna.

Wuj szedł z oczami wbitymi w ziemię, wyraz jego twarzy zdradzał zadumę.

- A cizie?

Bo stłumił śmiech. Wuj uśmiechnął się.

- W Berlinie są ponoć niezłe cizie.

Bo tak się zdziwił i zawstydził słowami wuja, że aż się zarumienił. Odwrócił się i wymruczał coś, czego nawet sam nie potrafił zrozumieć.

Wuj roześmiał się i przyciągnął go do siebie. Nagle znowu stał się poważny.

- Znajdź sobie dziewczynę - poradził. - Niemkę, Holenderkę, obojętnie jaką. Chodź z nią na randki. Niech cię z nią widzą. I zgol brodę.

Bo był zaskoczony.

- Ale to jest... haram. Wuj potrząsnął głową.

- Rób, co ci mówię. I trzymaj się z dala od meczetów. Są pełne informatorów. Zabrało mu to chwilę, ale wreszcie zrozumiał, o co wujowi chodziło. Uśmiechnął się i odpowiedział:

- W porządku.

- A ten twój przyjaciel, Wilson, jest kaffir?

- Eeee... - Bo nie dokończył. Można znacznie łagodniej wyrazić, że Wilson nie jest muzułmaninem.

Wuj rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

- Ufasz mu?

- Tak.

Hakim był nadal sceptyczny.

- Jest chrześcijaninem?

- Nie jest chrześcijaninem. On w nic nie wierzy. Wuj się skrzywił.

- Każdy w coś wierzy. Bo znowu pokręcił głową.

- On jest inny. Nie jest religijny.

- Co sprawia, że pan Wilson jest... czym? Bo zamyślił się. W końcu odpowiedział:

- Bombą.

Hakim uśmiechnął się. Uwielbiał takie melodramaty.

- Jaką bombą?

- „Inteligentną” bombą.

Ta odpowiedź sprawiła wujowi taką przyjemność, że zatrzymał się przy stoisku ze słodyczami i kupił im po tabliczce czekolady Dove. Gdy znów ruszyli, Hakim zapytał:

- A ta twoja bomba, dlaczego chce nam pomóc?

- Bo jest zły.

Hakim zachichotał i zawyrokował z kpina w głosie:

- Każdy jest na coś zły.

- Wiem, ale Wilson jest zły w ten właściwy sposób. Obydwaj chcemy tego samego. Z ust wuja wydobyło się pogardliwe sapnięcie.

- Nie mogę uwierzyć, że ufasz Amerykaninowi.

- On nie jest Amerykaninem. To znaczy jest, ale w inny sposób. Ludzie tacy jak Wilson są podobni do nas.

- To znaczy, że są biedni? Bo pokręcił głową.

- Nie, nie są biedni... - zatrzymali się na chwilę, by popatrzeć na izraelskiego myśliwca przecinającego powietrze poza zasięgiem działek przeciwlotniczych ukrytych w slumsach. Obok stadko gołębi wylądowało przy jakiejś starej kobiecie, która zaczęła je karmić ziarnami kukurydzy. - Oni są tym, kim my byliśmy kiedyś. Ludźmi pustyni.

Wuj prychnął kpiąco.

- Oni dawniej mieszkali w namiotach - wyjaśnił Bo.

- Oglądasz za dużo filmów. Bo wzruszył ramionami.

- To było dawno temu. Ale oni to wszystko pamiętają. Tak jak my - Bo nie był zbyt elokwentny, mógł oczywiście dodać „mówiąc w przenośni”. Przecież nikt z jego rodziny nigdy nie mieszkał w namiocie, nie licząc namiotów w obozie dla uchodźców zorganizowanym przez Czerwony Krzyż. Jego ojciec był kairskim robotnikiem, który wyemigrował do Albanii po wojnie 1967 roku[* Tzw. wojna sześciodniowa prowadzona przez Izrael z Egiptem, Jordanią i Syrią, spowodowana zakazaniem przez Egipt żeglugi izraelskich statków po zatoce Akaba. Zaangażowały się w nią także inne arabskie państwa. Wojna zakończyła się sukcesem Izraela]. Bo wychował się w dwupokojowym mieszkaniu w slumsach na przedmieściach Kairu. Był zatem Arabem, lecz nie pochodził z rodziny, która jeździła na pięknych koniach i polowała z jastrzębiami. Jego matka była piątą córką albańskiego chłopca, muzułmanina, lecz nie-Araba. Bo pamiętał wszystko.

Aamm Hakim zatopił zęby w tabliczce czekolady i ruszył dalej.

- Ten Wilson... Opowiedz mi jeszcze raz, jak długo go znasz. Odpowiedź padła bez zająknięcia:

- Cztery lata, osiem miesięcy, trzy dni.

- To niezbyt długo. Bo przełknął ślinę.

- Wydaje się, jakbyśmy znali się znacznie dłużej. Przebywaliśmy ze sobą praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zupełnie jakbyśmy byli małżeństwem.

Tym razem jego wuj wzruszył ramionami.

- Trzeba go będzie przetestować. Nie zamierzam pracować z wariatem.

- On nie jest wariatem.

Wuj spojrział na Bo z niedowierzaniem.

- Nawet odrobinę? Bo wyszczerzył zęby.

- No, może trochę.

Wuj uśmiechnął się, jakby mówił „Więc jednak?” i zapytał:

- Na ile „trochę”?

- To drobiazg - starał się wyjaśnić Bo. - On...

- Co?

- Czasem wydaje mu się, że jest bohaterem jakiejś powieści.

Hakim spojrział na bratanka skonsternowany. Nie do końca rozumiał, o czym Bo mówi.

- Powieści? - zapytał z niedowierzaniem. Bo skinął głową.

- Tak, jak bohaterowie Mahfouza? Takich powieści, jakie on pisał?

Bo ugryzł kawałek czekolady, rozkoszując się połączeniem smaku kakao i wanilii.

- Nie, wuju. Nie aż tak dobrych powieści.

ROZDZIAŁ 2

WASZYNGTON 17 GRUDNIA 2004

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Jack Wilson gdy dotarł do Waszyngtonu, była kąpiel w wannie. To dziwne. Przecież nigdy tego nie lubił. Ale po dziewięciu latach nadzorowanego mycia się pod prysznicem, perspektywa wylegiwania się w gorącej wodzie, w zupełnej samotności, sprawiła mu wielką radość.

Moczył się w wannie z na wpół przymkniętymi powiekami, słuchając odgłosów wody kapiącej z kranu, zatopiony w ciszy, zahipnotyzowany unoszącą się parą. Powoli, niczym bloki lodu odrywające się od dryfującego lodowca, noce i dni spędzone w więzieniu odpływały w przeszłość.

Pewnego dnia, pomyślał, pojedę do gorących źródeł. Jak te w Wyoming. Tylko ja, skały, woda, drzewa i strumień. Sosnowe igły. Podobno jest to niesamowite wrażenie. Inny świat, jakby...

Ale to dopiero kiedyś.

Dzień toczył się we własnym tempie. Najpierw pobranie odcisków palców w więzieniu w Pensylwanii, potem wypełnianie papierków, zakładanie starych ciuchów, co było komiczne. Nic już na niego nie pasowało. Tylko zegarek i buty. Na dodatek zegarek już nie działał.

To i tak nie miało żadnego znaczenia. Wszystko, co wydarzyło się w Allenwood lub w jakimkolwiek innym więzieniu, minęło. Nie było tam nic do roboty poza odliczaniem upływającego czasu. Na sygnał się wstawało, na sygnał kładło się spać, więc nikt nie potrzebował zegarka - potrzebny był tylko minutnik. Coś do odliczania lat, miesięcy, dni.

Tego ranka godzinę po pobudce zamknęła się za nim ostatnia brama. Bus Federalnego Departamentu Więziennictwa czekał już za ogrodzeniem, wypuszczając z rury wydechowej spaliny wprost w stalowoszare niebo. Kierowca podrzucił go i jeszcze jednego zwolnionego na najbliższy przystanek autobusowy obok wiejskiego sklepiku na peryferiach miasteczka White Deer. Na zewnątrz było jakieś pięć stopni poniżej zera, a Wilson miał na sobie tylko marynarkę, w której zabrano go do więzienia.

Szybko wpadli do sklepu, lecz długo w nim nie zabawili. Przy kasie była wywieszka Zakaz włóczęgostwa, a wzrok pracownika dosadnie wyrażał: „To dotyczy szczególnie was”.

Stali zatem na mrozie, niczym para kamiennych psów pilnujących świątyni. Nieufni wobec siebie. Stali przed wejściem do sklepu i stukali butami, aby ogrzać stopy. Okoliczni mieszkańcy nawet nie spoglądali w ich stronę.

Czy to było aż tak oczywiste, że byli zwolnionymi więźniami?

Chyba tak. Na ulicy nadal stał bus z literami FDW na drzwiach, które wyraźnie wskazywały, kim byli jego pasażerowie. Poza tym mieli na nogach sportowe obuwie. A kto zimą chodzi w adidasach? Szczególnie gdy leży śnieg? I jeszcze do tego te ich „bagaże” - tekturowe pudełka oklejone taśmą.

Nie dziwnego, że ludzie odwracali wzrok. Ale to i tak nie miało żadnego znaczenia, nawet jakby się nie odwracali, to przecież i tak nikt nie pomógłby im w żaden sposób.

W końcu nadjechał autobus. W przyływie lepszego humoru ten drugi zwolniony rzucił tekst w stylu: „Ha, ha, czy to nie jest wreszcie nasz Szary Pies?!”. Ale głupol, pomyślał Wilson. Przecież linie autobusowe nazywają się Greyhound, czyli Chart! Obydwaj kupili bilety do dworca Port Morski w Nowym Jorku, który był podobny do ula i przypominał wyglądem więzienia federalne, w jakich do tej pory przebywali. Mimo to wszystko było dla Wilsona podniecające, bo po raz pierwszy od wielu lat mógł wydać pieniądze i coś sobie kupić w prawdziwym sklepie. Od razu zahaczył o budkę z hot dogami i kiosk z gazetami. Później kupił bilet na autobus do Waszyngtonu.

Do celu dotarł kilka minut po czwartej, zapakował się do taksówki i zamówił kurs do hotelu Monarch, gdzie, dzięki Bo, miał zarezerwowany i opłacony pokój. (I całe szczęście, bo zostało mu zaledwie pięćdziesiąt dolców w kieszeni.)

- Wszystko jest do pana dyspozycji: obsługa pokojowa, minibar, konsola gier Nintendo... - recepcjonista rozbawiony własnym dowcipem przesunął po blacie formularz meldunkowy. - Jeśli tylko mógłbym pana prosić o wypełnienie tego formularza...

Wilson wpisał swoje nazwisko drukowanymi literami. Przez chwilę zawahał się nad rubryką z adresem. Istniało prawdopodobieństwo, że recepcjonista rozpozna fałszywy numer kodu pocztowego. Jedynek kodem pocztowym jaki pamiętał był kod skrytki pocztowej więzienia Allenwood. Wykorzystał zatem ten numer, zmieniając tylko ostatnią cyfrę, a resztę wymyślił - 12 Pine Street, Loogan, Pensylwania, 17886. Recepcjonista nawet nie spojrzał na adres, co przypuszczalnie oznaczało, że nigdy nie był w więzieniu. Gdyby kiedyś był w więzieniu, to przynajmniej by się uśmiechnął, bo w żargonie więziennym słowo „loogan” oznaczało współwięźnia, któremu totalnie odbiło.

- Czy pomóc panu z bagażem?

Wilson spojrzał na faceta. Czy on mnie czasem nie obraża? - pomyślał. Karton z jego drobiazgami leżał na podłodze.

- Jest okay - odpowiedział. - Sam sobie poradzę. Recepcjonista skłonił się z szacunkiem, wsunął kartę dostępu zastępującą klucz do etui i zapisał na nim numer pokoju.

Przesuwając etui po blacie w stronę Wilsona znieruchomiał na chwilę i zastanowił się nad czymś, marszcząc czoło.

- Chyba jeszcze coś dla pana tutaj mamy - zakomunikował. Odwrócił się od lady i wyszedł na zaplecze. Wrócił po chwili, niosąc dużą tekturową kopertę Federal Express, jakby była to poduszka z koroną królewską. - Witamy w hotelu Monarch!

Wilson leżał w wannie już dobre pół godziny, dolewając sobie gorącej wody. Robił to, kręcąc kurkiem palcami lewej stopy. W pewnym momencie woda osiągnęła temperaturę ciała, a on mając zamknięte oczy, zaczął tracić poczucie samego siebie. Czuł, jakby się całkowicie rozpuścił.

Drzemał, budził się, zawisał w przestrzeni pomiędzy światami i różnymi poziomami świadomości. Kraina Klawiszów i Waszyngton. Więzień i gość hotelowy. Odbijające się od wody światło tańczyło pod jego powiekami.

I tylko jakiś wewnętrzny głos podszeptował: „Nie możesz trwać w takim stanie. Pływasz, śnisz - skończysz jak Marat”.

Przypomniał sobie obraz namalowany przez Jacques'a-Louisa Davida przedstawiający martwego rewolucjonistę w wannie. Na wznak. Wykrwawionego. Na Uniwersytecie Stanforda wykładowca

historii sztuki Wilsona żartował z tego obrazu, mówiąc, że jego współczesny tytuł powinien brzmieć Skąpany we krwi (co przypomniało mu, że miał robotę do wykonania).

Wychodząc z wanny, wywołał ciałem wielką falę, która uderzyła o drugi brzeg wanny i, powracając, przelała się przez krawędź na podłogę. Wilson stanął przed lustrem: lśnił gładkością i czystością. Czuł się jak wąż, który właśnie zrzucił skórę.

Lecz tatuaże na piersiach przypomniały mu, że nie jest do końca taki czysty. Były wydziargane złamaną igłą i tuszem z długopisu. Kumpel z celi wytatuował mu na piersiach ducha w charakterystycznej koszuli. Na jednym ramieniu zjawy widniał półksiężyc, a na drugim były gwiazdy. Tatuaz, wzorowany na rycinie z książki, uzupełniały ptaki, niedźwiedź, ważka i niezbyt wyraźny zarys sylwetki człowieka, z którym łączyło go wspólne nazwisko. Pod obrazem widział napis w języku paiute z kropek i kresek:

Gdy ziemia drży, Nie czuj lęku.

Ta wytatuowana postać to był on - Tańczący Duch.

Przesuwając maszynką do golenia po policzku, pomyślał po raz kolejny, że zrobienie sobie tatuażu było jednak błędem. Tatuowanie się w pierdłu było posranym rytuałem więziennych macho i nie dało się go uniknąć, podobnie jak unoszącego się tam zapach lizolu.

Niestety, Wilson nawet bez tatuaży i tak rzucał się w oczy i łatwo było go zapamiętać. Po pierwsze, wzrost - metr dziewięćdziesiąt. Po drugie, sylwetka - przez całe życie chodził na siłownię, nawet w więzieniu ćwiczył kondycję i starał się w miarę zdrowo żyć. Po trzecie, płaska i szeroka twarz koloru miedzi. Nos wyglądał jak hak umocowany między oczyma, które - tak jak jego włosy - były kruczoczarne.

Miał miękki zarost podobnie jak pobratymcy z jego plemienia, więc nie musiał nawet używać pianki do golenia. Kilka ruchów maszynką i było po wszystkim. Wyrzucił zużytą jednorazówkę do kosza i sięgnął po szlafrok wiszący na drzwiach. Był tak przyjemny w dotyku, że Wilson poczuł się tak, jakby wtulił się w obłok.

Pakiet Federal Express leżał na łóżku, tuż za drzwiami do łazienki. Rozerwał kopertę i znalazł pudełko z kasetą wideo oraz zimowe wydanie Documenta Mathematica. Uśmiechając się do siebie otworzył czasopismo na stronie ze spisem treści i przeczytał:

J. WILSON

IZOTROPIA I FAKTORYZACJA ZMIENNYCH OKRESOWYCH PAR SKALARNYCH

Rozpierające go poczucie dumy pchnęło go w stronę mini baru, gdzie znalazł zmrożoną buteleczkę szampana Veuve Clicquot. Pozbył się korka i pociągnął długi łyk prosto z butelki. Ilu więźniów federalnych, pytał sam siebie, opublikowało artykuły w matematycznym periodyku w ciągu ostatnich lat? Czy był jeszcze ktoś taki? Z pewnością nie. I nie był to żaden przypadek. Była to jego trzecia publikacja w ciągu ostatnich czterech lat, co dałoby mu spokojny etat wykładowcy na wielu uniwersytetach. A przecież on nawet nie studiował matematyki!

Rzucił czasopismo na łóżko i wziął kasetę wideo. Zamiast taśmy znalazł w pudełku gruby plik studolarówek spiętych metalowym klipsem i paszport w niebieskiej okładce z literami w kolorze miedzi: Republica de Chile. Spodziewał się, że to nowy paszport z jego zdjęciem i nazwiskiem, jakie zasugerował Bobojonowi. Otworzył go z mieszanką nadziei i niepokoju.

Nie zawiódł się. Paszport był wystawiony na nazwisko d'Anconia. Francisco d'Anconia. Zalała go fala adrenaliny, gdy zrozumiał, że go zaakceptowano! Poczul lekki zawrót głowy i wydało mu się, że spogląda w otchłań. Serce zabiło mu mocniej. Pokój zawirował i stało się tak, jak w słowach

Nietzschego: Otchłań spoglądała na niego.

A może, pomyślał, to wcale nie jest taki dobry pomysł. Może trzeba zacząć wszystko do początku. Po prostu wziąć pieniądze i zniknąć. Mógłby otworzyć sklepik w Meksyku i wreszcie popracować na swoim. Zbudowałby sobie własną przyszłość, cegiełka po cegiełce. Nie potrzebował do tego Bo. Nie potrzebował nikogo.

Lecz zdecydowanie potrzebował pieniędzy. Więcej pieniędzy niż w tej przesyłce. I dlatego potrzebował Bo i jego kumpli.

Sącząc szampana, usiadł na łóżku i zerwał taśmę z kartonu, który zabrał ze sobą z Allenwood. W środku leżał plik starych patentów, poobijany walkman marki Sony i kopie wniosków o zwolnienie złożonych przez jego adwokatów. Oprócz tego taśmy magnetofonowe (Serbski na co dzień Część I i II) i podręczna kolekcja zaczytanych książek: Hari Poter i kamen mud rosti, Atlas je zadrhtaio i Dialogi Platona.

Ułożył książki na stoliczku przy łóżku i wsunął taśmę numer dwa do walkmana. Zamierzał posłuchać jej później.

Teraz postanowił wyskoczyć na zakupy. Potrzebował jakichś ciuchów, w których budziłby respekt. Na początek płaszcz i dobrych butów. I zegarka ze stoperem.

Ubierając się, rzucił okiem na kasetę wideo. Na okładce była cycata blondyna z szeroko otwartymi z przerażenia oczyma, uciekająca przed niewyobrażalnie wielką falą. Pomiedzy blondynką a falą widoczna była skazana na zagładę, lecz futurystycznie przedstawiona, metropolia, na tle której nadrukowano czerwonymi jak krew literami tytuł filmu: Atlantyda-Bang. O!

Wilson zastanawiał się, czy to pudełko to nie jakiś dowcip. Jednak nie. Prawdopodobnie było częścią „badań naukowych” Bo. Czemu nie? Nawet jeśli zatopiona cywilizacja była tylko mitem, to użyta przenośnia była przejrzysta jak szkło.

W nocy, w swojej celi, dużo rozmawiali na różne tematy. Sporo o przeczytanych książkach. Wilson opowiedział Bo o dziełach Nietzschego, a Bo odwdzieczył się, polecając mu pisma arabskiego rewolucjonisty o imieniu Qutb. Atlantyda pojawiła się w ich rozmowach w kontekście programu telewizyjnego, który oglądali i o którym często dyskutowali. Skoro to Platon był autorem mitu o Atlantydzie, Bo zawyrokował, że ta opowieść musi być prawdziwa. Wilson niezbyt temu dowierzał, ale sam mit był przydany do ich rozważań: był poparciem tezy zakładającej, że cywilizacja jest wysoce delikatną konstrukcją.

*

Gdy Wilson wyszedł z hotelu było już ciemno, choć jeszcze niezbyt późno. Wziął taksówkę i pojechał przez most na rzece Potomac do centrum handlowego Pentagon City, gdzie postanowił zrobić sobie prezenty na Boże Narodzenie płacąc za nie gotówką, którą przesłał mu Bo. W sklepie Allan Edmonds znalazł eleganckie buty, a w salonie odzieżowym

Nordstrom kupił kaszmirowy płaszcz, garnitur i bieliznę. U zegarmistrza wymienił baterię w zegarku, a w drogerii Rite Aid nabył kilka artykułów higieny osobistej. Choć może było już za późno na fryzjera, to jeszcze wystarczająco wcześnie na kupienie laptopa. Znalazł jakiś niedrogi model w sklepie sieci Circuit City Express. Niesamowite: ten laptop kosztował połowę tego, co jego stary, przejęty przez władze, komputer. Ten nowy miał dziesięciokrotnie więcej mocy obliczeniowej i pięćdziesiąt razy większą pamięć.

W drodze powrotnej do hotelu utknął w korku. Samochody poruszały się w ślimaczym tempie. Ale to nie miało dla niego żadnego znaczenia. Jazda na tylnej kanapie taksówki z piramidą prezentów

przypomniła mu dni chwały, gdy Goldman Sachs dwa razy dziennie ogłaszał najświeższe wiadomości dotyczące... jak oni to określali? Nieuniknionych wydarzeń finansowych.

Wspaniale wreszcie znaleźć się na wolności, pobyć trochę sam na sam ze sobą, pozwiedzać ten „park tematyczny polityki” jakim de facto był Waszyngton. Budynki Pentagonu po jednej stronie, Cmentarz Wojskowy w Arlington po drugiej. Rzeka, most. Mauzoleum Lincolna. Otoczenie i samopoczucie sprawiały, że poczuł się, jakby grał główną rolę we własnym filmie.

Po powrocie do hotelu zdał sobie sprawę, że cały ten luksus zawdzięcza Bo. Ten hotel to był prawdziwy pałac: szklana wieża z sięgającym siódmego piętra atrium z fontannami i tropikalną roślinnością, i z marmurową podłogą wyłożoną perskimi dywanami. Kobiety w drogich ubraniach sęczyły Martini na białych sofach w głównym holu, a biznesmeni, pochyleni nad stoliczkami, toczyli ciche rozmowy, od czasu do czasu przegryzając orzeszki.

Kiedyś ten świat był dla niego czymś naturalnym. Ale to było kiedyś. Podróżował służbowo po całym kraju, szukając partnerów biznesowych do wspólnych inwestycji. Teraz nic już nie było dla niego normalne. Nawet te orzeszki w miseczkach na stolikach między fotelami.

Windy także były godne podziwu: wyglądały jak małe, subtelnie oświetlone i elegancko wykończone drogimi materiałami kapliczki. Z głośników nad głową sęczyła się muzyka Cole’a Pottera, w powietrzu zaś unosiła się lekka woń dobrych perfum. Co za odmiana: trafił tu prosto z oświetlonego trupioblady światłem jarzeniówek bloku więziennego o seledynowych ścianach, z przestrzeni wypełnionej szczękiem krat i smrodem wyroków.

Gdy Wilson dotarł do pokoju, rozpakował karton z laptopem i podłączył go do gniazdka komputerowego obok telefonu. Uruchomienie i skonfigurowanie komputera zabrało mu jakieś dziesięć minut i wreszcie, po raz pierwszy od wielu lat, mógł wejść do Internetu.

Wklepał yahoo.com, zalogował się jako użytkownik „wovoka” i wprowadził uzgodnione hasło „tunguska”. Strona główna ładowała się powoli, lecz po chwili wszystkie operacje od bywały się już w mgnieniu oka. Kliknął na pocztę, wybrał folder „Wersje robocze” i znalazł tam czekającą na niego krótką wiadomość:

Do:

Temat: czwartek.

Wiadomość: czekaj w swoim pokoju; nigdzie nie wychodź.

Wilson usunął treść wiadomości i odpowiedział: Tak właśnie zrobię, przyjacielu. Po czym zapisał wiadomość jako nową wersję roboczą i wylogował się z programu pocztowego.

Ten sposób kontaktowania się był jego pomysłem. Konta pocztowe portalu Yahoo były darmowe i dostępne dla każdego kto miał łącze internetowe i znał właściwe hasło. Można je było równie łatwo skasować, jak założyć i w dodatku portal pocztowy dawał możliwość przechowywania wiadomości w folderze „Wersje robocze”, co umożliwiało bezpieczną komunikację między osobami bez konieczności wysyłania wiadomości, które mogłyby zostać przechwycone. Dla Wilsona i Bo folder „Wersje robocze” był rodzajem tablicy ogłoszeń zabezpieczonej hasłem. Mogli na niej przypinać informacje, do których nikt inny nie miał dostępu, gdyż były po prostu „niewidoczne” w sieci. Istniały tylko w „wersjach roboczych”, zatem nigdy nie były wysyłane i nigdy nie mogły ukazać się na monitorach innych użytkowników. Przynajmniej tak to zaplanowali.

Wiadomość: czekaj w swoim pokoju; nigdzie nie wychodź, znaczyła: jestem w drodze.

Dobrze, pomyślał Wilson. Im prędzej zaczniemy, tym lepiej. A na razie miał Internet. Nie surfował po Internecie od wielu lat, a ta możliwość sprawiła mu radość. Wyszukiwarka Google...

niesamowite! W jego czasach nie było czegoś takiego. Wpisał w okienku swoje nazwisko w cudzysłowie, wcisnął klawisz enter i po sekundzie na ekranie pojawiło się dwieście tysięcy trafień. Większość go nie dotyczyła. To samo nazwisko nosiło wielu ludzi: futbolista z drużyny Pittsburgh Pirates, właściciel salonu samochodowego na Florydzie, rektor Uniwersytetu Massachusetts. Do swojego nazwiska dodał w okienku wyszukiwania słowo „więzienie”, nacisnął enter i po chwili wyświetliło się ponad tysiąc trafień z jego nazwiskiem. Mógł jeszcze zawęzić poszukiwania, wpisując kolejne słowa „patent” i „zmowa przestępcza”, lecz chciał poszukać czegoś innego.

Używając klawisza backspace, wymazał poprzednie hasło z wyszukiwarki i wpisał hasło, które interesowało go jeszcze bardziej: Narzeczone z Ukrainy. Na monitorze momentalnie pojawiło się pół miliona trafień. Kliknął w link do strony ukrainebrides.org i zaczął przeglądać setki wpisów: Marina... Olga... Ukrainki są bardzo kobiece... Ludmiła... pragnie zostać lady. Tatiana. Ukrainki nie interesują się ruchami feministycznymi. Pragną żyć i pracować dla swoich mężów. Kariera jest dopiero na drugim miejscu!

To wchodzenie na strony „narzeczonych” było pomysłem Bo. W ciągu ostatniego roku w Allenwood całe noce rozmawiali o tym, co będzie „po” wyjściu z więzienia. Dla Bo „po” miało samo się wyjaśnić, bo przecież jego przeznaczeniem rządzi inshallah - wola Allacha. Wilson miał do tego inne podejście, bo przecież nie był muzułmaninem. Dla niego czas „po” oznaczał bardzo dużo pracy. I w odróżnieniu od Bobojona, Jack Wilson zamierzał przeżyć to „po”.

Kolega Wilsona z celi musiał chyba widzieć siebie tylko jako trupa, bo sposoby jego dążenia do osiągnięcia raju były niezwykle przewidywalne. Wilson rozumiał, że Bo postrzegał swój raj jako rodzaj niebiańskiego kurortu zawieszzonego gdzieś w chmurach, gdzie wino podawały dziewice gotowe na swój pierwszy raz z nowym przybyszem.

Ale to właśnie Bo zasugerował korzystanie ze strony Narzeczone z Ukrainy. Wilson mógł też szukać kobiet z innych krajów: Kolumbii, Filipin, Tajlandii. Można było znaleźć partnerkę jaką tylko się chciało. Wystarczyło tylko kliknąć w okienko „Dodaj do koszyka” i adres e-mailowy wybranej kobiety był do twojej dyspozycji. Potem już sam decydowałeś, co robić: zalecać się, spotkać się, poślubić.

Strona, na którą wszedł Wilson, zawierała tuzin zdjęć, wprawdzie mocno podretuszowanych, ale jednak przedstawiających atrakcyjne kobiety o drugich włosach i tajemniczym uśmiechu. Przy każdym zdjęciu zamieszczono krótki opis kandydatki na narzeczoną zawierający jej cechy fizyczne.

Na przykład Ludmiła ważyła pięćdziesiąt siedem kilogramów i miała sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Dwadzieścia cztery lata, blond włosy i niebieskie oczy. Z zawodu była „technologiem”. Sympatyczna i ciepła osobowość. Lubiła okazjonalnego drinka. Papierosy? Nie! Hobby? Tak! Szycie, robótki na drutach i dekorowanie tortów. Szuka ujmującego mężczyzny o dobrym sercu z Zachodu.

No dobrze, pomyślał Wilson, wystarczy tej słodyczy.

Odпочyając w fotelu, przypomniał sobie, że w czwartek jest umówiony z pracownikiem socjalnym. Ten pracownik miał mu pomóc w odnalezieniu się w rzeczywistości. Pewnie będzie mu radził, jak znaleźć pracę, mieszkanie. Przez krótką chwilę bawiła go myśl o tym spotkaniu. Nawet ciekawiło go, czy Pentagon o nim pamiętał. Czy dowiedzieli się już o jego zwolnieniu? Czy nałożą ograniczenia na jego zatrudnienie? Czy ograniczą możliwość podróżowania? Może.

Zapewne stanie się tak, jeśli dotrze do nich informacja o jego zwolnieniu. Jeśli nadal o nim pamiętają.

Chociaż i tak nie miało to już żadnego znaczenia. Na zewnątrz trwała wojna. I to nie tylko ta w Iraku. Dla Wilsona wojna rozpoczęła się dopiero tego ranka, w momencie, gdy opuścił mury więzienia Allenwood jako wolny człowiek.

Był jeszcze inny sposób postrzegania tej wojny. W pewnym sensie była ona tak stara, jak Taniec Ducha, a może nawet starsza.

Nie było więc sensu, aby spotykać się z pracownikiem rządowym, tylko po to, by rozmawiać o przyszłości Jacka Wilsona. On nie miał już żadnej przyszłości.

I przyszłość też jej nie miała.

ROZDZIAŁ 3

Nie mógł spać.

Zastanawiał się nad tym, czego oni mogli od niego chcieć. Jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiało zginąć wielu ludzi. W przeciwnym razie, jaki to wszystko miałyby sens? Ale przecież...

Noc powoli przechodziła w poranek. Wreszcie zapadł w lekki, niespokojny sen, taki, po którym człowiek czuje się zmęczony. Gdy się przebudził, wydało mu się, że dopiero co zasnął - i że to dopiero rano. Spojrzenie na zegarek uświadomiło mu, że spał do południa.

Wziął szybki prysznic, zamówił śniadanie do pokoju i założył ubranie, które kupił poprzedniego dnia. Obsługa hotelowa dostarczyła śniadanie na wózku, który wyglądał jak wioska afrykańska na kółkach; półkoliste podgrzewacze jedzenia błyszcząły jak srebrne dachy chat. Jajka na boczku, grzanka i podsmażane siekane ziemniaczki. Sok pomarańczowy i kawa.

Czekaj w swoim pokoju nie wychodź.

Ugryzł zaledwie kawałek grzanki. Nic więcej nie przechodziło mu przez gardło. Z wyjątkiem kawy. Opróżnił cały imbryk, wolno przechadzając się po pokoju, w jednej ręce trzymając talerzyk, a w drugiej filiżankę. Spostrzegł pilota, wziął go do ręki i bez namysłu włączył telewizor, po czym natychmiast go wyłączył, jak tylko usłyszał z głośnika ogłuszający aplauz.

Talk-show Regis kontra Kelly (Dwanaście do jednego). Nie musiał nawet patrzeć na zegarek.

W Chinach ludzie poznają porę dnia po zapachu. W różnych miejscach powystawiane są czarki z mieszankami ziół i aromatycznych składników. Kadzidełka pachnące drzewem sandałowym, żywicą Oliban, lawendą, wypalają się w odpowiedniej kolejności i swoim zmieniającym się zapachem znaczą pory dnia.

Podobnie było w więzieniu. Tylko że tam zamiast kadzidełek była telewizja. Dochodzące z telewizorów wybuchy śmiechu, dzingle i teleturnieje tworzyły nieustanny szum, który, jak tło, otaczał wszystkich o każdej porze. Po pewnym czasie każdy potrafił podać dokładną godzinę bez spoglądania na zegarek. Wystarczyło się wsłuchać w ten szum.

Wyjątkiem był Supermax.

W Supermaksie wszystko było inaczej. Wilson spędził cztery lata w Federalnym Więzieniu o Zaostrzonym Rygorze w Kolorado, przez pierwsze dwa lata zamknięty w izolatce przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. To było jak superkara. Leżał na betonowej ławie w betonowej celi, oglądając telewizję na czarno-białym monitorze o przekątnej dwanaście cali. Telewizor był wbudowany w ścianę i nastawiony na „programowanie psychologiczne” i wykłady o zarządzaniu gniewem. Widok nieba umożliwiała szczelina okienka o wymiarach dziesięć na sto dwadzieścia centymetrów, umieszczona wysoko w górze. Fluorescencyjne świetlówki były zapalone dzień i noc.

Prawie codziennie strażnicy prowadzili go w kajdanach do większego pokoju, gdzie był drążek

do podciągania się. Była to salka gimnastyczna dla jednej osoby na jedną godzinę dziennie. Cieszył się, gdy wychodził na ćwiczenia, bo dzięki temu mógł od czasu do czasu spotkać innych więźniów. Raz widział tego walniętego Angola, który prznosił bomby w swoich butach. Innym razem natknął się na Teda Kaczyńskiego - słynnego Unabombera.

Widok Kaczyńskiego dawał mu nadzieję, że może kiedy przeniosą go z Poziomu Pierwszego na Poziom Drugi, to przynajmniej będzie mógł z kimś pogadać. Lecz na przenosiny musiał czekać aż dwa lata, a i tak już go nie spotkał. Szkoda. Obydwaj mieli podobne spojrzenie na wiele spraw.

Czekaj w swoim pokoju nie wychodź.

Wilson mruknął coś do siebie pod nosem i opadł ciężko na fotel obok okien, z których rozciągał się widok na hotelowe atrium. Osiem pięter niżej hotelowy hol wypełniony był sztucznym światłem, dającym efekt półmroku, jaki niesie ze sobą brzydka pogoda.

Czekał. Obserwował. Drzemał, rozmyślając - A jeśli to jest II zasadzka? Co wtedy?

Co jeśli?

Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Nie spodziewał się tego, bo nie zauważył Bo wchodzącego A do hotelu i przechodzącego przez główny hol. Wstał z fotela, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko, by zdziwić się po raz drugi. To nie był Bo. W drzwiach stał młody Latynos z wózkiem bagażowym. Na wózku leżały dwie walizki owinięte folią.

- Zapewne czekał pan na te walizki - powiedział boy II hotelowy. Wilson skinął głową, starając się ukryć zaskoczenie.

- Tak, tak. Czekałem.

- Czy mogę je postawić tam w kącie?

- Oczywiście. Gdzie chcesz.

Chłopak podniósł walizki za rączki i pojedynczo przeniósł je II na stolik na bagaż ustawiony obok kredensu, na którym stał II telewizor i minibar. Wilson poszperał w kieszeni, znalazł dziesięciodolarowy banknot i wręczył go chłopakowi.

- O rany. Wielkie dzięki - ucieszył się boy. - Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, to proszę wołać Roberta, dobrze?

Gdy drzwi się zamknęły, Wilson usiadł na brzegu łóżka i popatrzył na walizki. Były to podręczne nesesery marki Travelpro, na kółeczkach, z wyciąganymi rączkami. Ładne walizeczki. I wcale nie takie lekkie. Widział, jak boy się z nimi męczył, aż unosił łopatki i napręzał ramiona. Każda z nich mogła ważyć z dziesięć kilogramów.

Wziął głęboki oddech. To jest to, pomyślał. To reszta mojego życia. Owinięta folią. Podszedł do komputera, zalogował się na adres Yahoo!, który wykorzystał poprzedniego dnia i kliknął w folder wersji roboczych. Transmisja była bardzo wolna. Bał się, że strona nigdy się nie otworzy. Gdy wreszcie wszystko zadziało, znalazł jedną wiadomość bez wpisanego tematu i bez nazwiska odbiorcy.

Udane spotkanie z kontaktami. Ty i ja jesteśmy wierni, a oni już wszystko załatwią. Okay? A to znaczy (gotowy? To czytaj dalej):

Zdejmij folię.

Nie wyciągaj rączek. Nie wolno! Weź je do terminalu na lotnisko Dulles. Teraz możesz wyciągnąć rączki. Odejdź. Masz dziesięć minut.

Czekam na parkingu godzinowym od szóstej do szóstej trzydzieści. Szukaj jeepa w piętnastym

rzędzie.

Nie przyjdiesz? Odjeżdżam. Lecz wtedy to twój problem. Powodzenia.

Wilson przeanalizował znaczenie słów, marszcząc głęboko brwi. Nie miał wątpliwości. Ta wiadomość była autentyczna. Wersja robocza była niedostępna dla innych i chociaż nie używali żadnego szyfru, to przyjęli pewną konwencję służącą potwierdzeniu autentyczności listu. Każda wiadomość miała zaczynać się zdaniem złożonym dokładnie z czterech słów. Nie mniej i nie więcej. Ta metoda była prosta jak drut, ale niezwykle efektywna.

Z powrotem zanurzył się w fotelu i wbił oczy w sufit. Jeden cel powinien wystarczyć, powiedział do siebie. Jedna osoba powinna całkowicie wystarczyć. Jakiś podsekretarz albo inny urzędnik, lub jakiś bezdomny. Tak, bezdomny zupełnie by wystarczył, bo jego zniknięcie nie byłoby sensacją dla prasy - a on sprawdziłby się w akcji. Wszystko inne o większym zasięgu było po prostu głupotą. Wszystko inne byłoby niepotrzebną rzezią.

Im więcej o tym wszystkim myślał, tym bardziej się denerwował. Jak się z tego wyplątać? Nie tylko uciec z lotniska, ale w ogóle? Federalni będą go wszędzie szukać. O ile nie był to właśnie ten „atak samobójczy”.

Zaczął się głęboko zastanawiać. Masz tylko dziesięć minut. A jeśli nie? Jeśli nie mam tyle czasu? A co z Bo? Szukaj jeepa w piętnastym rzędzie. Dobra. Poszukam. Ale co, jeśli nie będzie tam żadnego jeepa?

Temperatura w pokoju jakby się podniosła. Zrobiło się nieprzyjemnie. Kropla potu zsunęła się zygakiem po jego kręgosłupie, a serce waliło z mocą silnika motocykla stojącego na światłach.

- Weź się w garść - wyszeptał do siebie. - Musisz jakoś to zrobić - powiedział głośniej. Wziął głęboki oddech i pochylając się nad komputerem, wymazał wiadomość od Bo. Gdy dokument był pusty, napisał:

Tylko się nie spóźnij.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i zamyślił. Będę potrzebował kilku rzeczy. Rękawiczek. I kapelusza... I jeszcze coś będzie mi potrzebne. Temblak.

ROZDZIAŁ 4

Jedna smutna historia za drugą, pomyślał Wilson, jadąc taksówką na lotnisko. I trzeba je jakoś przeżyć, bo nie ma się nad czym zastanawiać. Twarze nie mają znaczenia. Najważniejsze jest samo wydarzenie. To tak, jakby...

Pancernik „Arizona”! Nikt nie myślał o marynarzach, którzy ginęli w płomieniach, tonęli, umierali na kojach. Albo o mieszkańcach Drezna spopielonych podczas nalotu. O ulicach Hiroszimy, o biurze firmy finansowej Cantor Fitzgerald w WTC - wszędzie były ofiary. Można to nazywać jak się komu żywnie podoba. Może nawet bestialstwem. Ale na koniec i tak wszystko staje się zwykłą historią z przeszłości.

Jeśli chodzi o ofiary, to i tak nikt nie pamięta ich nazwisk. Ale Manson i Mohammed Atta stali się sławni, ich nazwiska są częścią popularnej kultury i wszyscy je znają. Prawda jest taka, że po pierwszym szoku, nawet takiego niezwykłego mistrza masakry jak Cortez uważa się za bohatera. Siewca kultury, wielki podróżnik. Prometeusz skąpany we krwi.

Przemijanie zaciera ogrom tragedii. To, co kiedyś było masakrą przedstawiane jest w wiadomościach lub konsumowane jako „film dokumentalny”. Aż w końcu staje się jedynie osnową wątku jakiegoś serialu telewizyjnego.

Lecz tym razem będzie inaczej. Tym razem nie będzie żadnych powtórek. Ani żadnych wiadomości. Tylko to wydarzenie. A potem już nic. Uśmiechnął się na tę myśl.

- Nikt nie pamięta żółtych wstążeczek i pluszowych misiów - powiedział do siebie. Ani fotografii czy zapisanych świstków papieru, pamiętek, które pojawiają się nie wiadomo skąd, jak grzyby po deszczu. Wszystko popada w zapomnienie. Na koniec ściany i podłogi są zmyte strumieniami wody. Rzeźnia zmienia się w mauzoleum i staje się atrakcją turystyczną.

Zupełnie jak wtedy, gdy we Francji zginęła w wypadku ta angielska księżniczka. Wilson przebywał wtedy w Kolorado, zamknięty na Poziomie Pierwszym w więzieniu Supermax. Był: o niej program na jednym z tych umoralniających kanałów. Pokazali, jak podczas pogrzebu ludzie godzinami stali w długiej kolejce w ulewnym deszczu, by wpisać się tylko do jakiejś książki kondolencyjnej. Długo się nad tym zastanawiał. Cd chcieli w ten sposób zyskać? W końcu doszedł do wniosku, żej pewnie pragnęli kawałka jej śmierci, niczym kawałka jej sławy.:

- Wystawić panu rachunek? - zapytał taksówkarz, wrywając go z zamyślenia.

- Nie, dzięki - wziął głęboki oddech. Trzeba wreszcie mieć to z głowy, pomyślał. A propos głowy, przecież prawie nigdy nie nosił kapelusza. Tym razem miało być inaczej. To była ta akcja, na którą czekał, a przecież kamery kontrolowa każde miejsce. Włożył na głowę kapelusz Borsalino, otworzył drzwi taksówki i wyszedł na chlapę.

W powietrzu wirowały delikatne płatki śniegu.

Załogi samolotów i pasażerowie poruszali się we wszystkie kierunkach z walizkami, neseserami

i dziećmi. Dobrze pomyślał. Duży ruch. Duży ruch jest niezbędny. Potrzebujemy „dużego ruchu”. Wszelkie ich działania były oparte na „dużym ruchu”.

Szybko przeszedł do bagażnika, taksówkarz podniósł jego pokrywę.

- Sam je wezmę - powiedział do kierowcy. Facet z ręką na temblaku wyciągający walizki z bagażnika wydał się taksówkarzowi trochę dziwny, ale co tam, nasz klient - nasz pan.

Wilson swoją „zdrową” ręką wyjął obydwie walizki, trzymając je za paski do noszenia.

- Czy zawołać bagażowego? Wilson potrząsnął głową.

- Nie - odpowiedział i wręczył taksówkarzowi dwie dwudziestki i dziesiątkę.

Stał tak przy krawężniku w płaszczu zarzuconym na ramiona jakby to była peleryna. Delikatny szenilowy szal podtrzymywał mu jednocześnie rękę w temblaku. Taksówki, samochody prywatne, minibusy podjeżdżały bez przerwy, ignorując całkowicie znak: Odloty. Parę metrów dalej, młody biały gliniarz starał się przepędzić samochody z tej strefy, idąc środkiem ulicy, uderzając ręką w ich dachy i krzycząc: „Nie zatrzymywać się. Jechać dalej!”.

Temperatura spadła o parę kresk poniżej zera. Z ust Wilsona unosiła się para. Spojrzał na walizki. Wyciągnij rączki. Wyciągnij rączki. Tak, ale...

Policjant zaczął mu się przyglądać.

A co mi tam! Pieprzyć to wszystko, pomyślał Wilson i pochyliwszy się, wyciągnął rączkę z jednej walizki, spodziewając się rozdzierającego powietrze światła wybuchu. Nic. Wyciągnął drugą rączkę. Znowu nic. Uspokojony, podwinął mankiet prawej ręki i sprawdził czas na zegarku kupionym specjalnie na tę okazję.

Zegarek ten niespecjalnie pasował do kaszmirowego płaszcza, który miał na sobie. Był to szary, zwykły, tani cyfrowy zegarek ze stoperem i z minutnikiem do odliczania czasu. Nastawił odliczanie na dziesięć minut i przyglądał się jak cyfry zaczęły się przekształcać na wyświetlaczu: dziewięć minut i pięćdziesiąt cztery sekundy... dziewięć minut i pięćdziesiąt jeden sekund... dziewięć minut...

Wilson rozejrzał się, szukając wzrokiem bagażowego, który, przywołany spojrzeniem, natychmiast pospieszył w jego kierunku.

- Dokąd?

- BA.

- Robi się!

Szczupły czarnoskóry bagażowy o błyszczących oczach i idealnych lśniących zębach był jakby stworzony do tej pracy. Złożył wyciągnięte rączki neseserów. Płynnym ruchem załadował je na wózek bagażowy i zapytał:

- Do pierwszej klasy?

Wilson wydał z siebie udawany chichot, ale poczuł, że nie najlepiej mu to wyszło.

- Taaa, chciałbym... - odpowiedział.

Nawet jego głos brzmiał pusto. Sam to zauważył. Usłyszał; miękkie sapnięcie z ust bagażowego, który pochylił się nad wózkiem i zaczął go popychać w stronę automatycznie rozchylanych drzwi. Odłonił się terminal - specyficzny chaos, zapach i charakterystyczne odgłosy. Bagażowy skinął głową, wskazując na wijącą się serpentynami kolejkę pasażerów przed kasami biletowymi agentów linii lotniczych.

- To może trochę potrwać. Wilson wzruszył ramionami.

- Postawię je z przodu - zaproponował bagażowy - żeby nie musiał pan ciągle ich popychać.

Wilson wyciągnął pięć dolarów z kieszeni, podziękował bagażowemu za pomoc i dołączył do

kolejki wijącej się w stronę stanowiska British Airlines. Przed nim stało jakieś pięćdziesiąt,; może sześćdziesiąt osób, znudzonych, zniecierpliwionych i zmęczonych, zanim w ogóle podróż się rozpoczęła. Z walizami i podręcznym bagażem wyglądali jak uchodźcy. Wilson obserwował, jak bagażowy zawozi jego walizki na początek kolejki, zdejmując je z wózka i ustawia obok lady. Potem woła któregoś z agentów biletowych i wskazuje na Wilsona. Agent widzi Wilsona z ręką na temblaku i kiwa ze zrozumieniem głową.

Przesiąknięta potem koszula Wilsona chłodziła jego ciało, ale głowa była rozpalona i spocona. Żołądek tańczył wściekłego walca, a co najgorsze, w kąciku prawego oka zaczął pojawiać się migoczący mroczek, stopniowo przemieniający się w świetlistą obręcz, mogącą całkowicie przesłonić pole widzenia. Wilson zdał sobie sprawę, że za chwilę taki sam mroczek; pojawi też w lewym oku, co zupełnie go oślepi. Albo prawie oślepi. Na pewien czas.

Niby grupa tancerzy, ludzie stojący przed nim w kolejce unieśli swoje walizki i przesunęli się o krok do przodu. Postawili walizki i znowu pograżyli się w rozmowach.

Pierwszy raz przydarzyło się mu to, gdy miał dziewiętnaście,; może dwadzieścia lat. W ogóle nie wiedział, co się dzieje i jak w takiej sytuacji należy się zachować. Był przerażony. Myślał, że może to guz mózgu. Bał się, że zupełnie straci wzrok. Zrobił nawet tomografię komputerową w szpitalu, ale wyniki były w porządku. Lekarz określił tę rzadką przypadłość jako migrenę oczną, która pojawia się w sytuacji silnego stresu. Niewiele na ten temat napisano w literaturze naukowej. Sądzono natomiast, że może mieć to związek z poziomem inteligencji, bo ludzie, którzy narzekali na ten typ migreny, zdecydowanie wykraczali ponad przeciętną.

Nie był to zatem aż tak wielki problem zdrowotny, raczej niedogodność. Na szczęście ten krótki okres częściowej ślepoty kończył się słabym bólem głowy i nie trwał długo, najwyżej pół godziny. Przydarzał się też nie częściej niż dwa razy do roku. Wilson wiedział, jak sobie z tym radzić: po prostu należało to przeczekać.

A to nie było wcale takie łatwe. Ta przypadłość dopadała go zwykle w sytuacjach, gdy był w sporym stresie.

Nie, żeby zupełnie sobie z tym nie radził. Na przykład w ostatniej klasie szkoły średniej, grając w futbol wyłapał trzy rzuty, mimo że między sobą a piłką widział jedynie mgłę w kształcie szkieletu śledzia. Wiele lat później, podczas spotkania z rządowymi prawnikami - wtedy, gdy powiedzieli mu, że go pierdolą - też miał napad migreny. I nikt zupełnie tego nie zauważył. Nikt nie widział tego, co miał przed oczyma: mglistej kuli tańczącej między nimi. Siedział zatem tak bez ruchu, ślepy jak nietoperz, otoczony przez prawników, słuchając, jak urzędas z Pentagonu wyjaśniał mu „życiowe fakty”. 35 USC 131. Przymusowe wywłaszczenie z własności intelektualnej.

Kolejny raz, kiedy mu się to przydarzyło, kiedy to było? W trakcie odczytywania wyroku. A później w czasie lotu samolotem więziennym do Kolorado, gdzie pochowali go żywcem za coś, co można by określić jedynie jako „pobożne życzenie” (lub, jak określił to sąd, „nakłanianie do popełnienia zabójstwa”).

Nikt jednak nie wiedział o jego problemach z oczami. Nikt nawet nic nie podejrzewał. Ani strażnicy, ani współwięźniowie. Więc, tak naprawdę, było to jedno z takich dziwnych zjawisk, które mu się po prostu przydarzały. I przechodziły.

Wcale tego nie lekceważył. I właśnie teraz znowu mu się to przytrafiło, zasłaniając świat świetlistym kręgiem. Prawie całkowicie stracił zdolność widzenia peryferyjnego. Kontury ludzi i rzeczy zaczęły całkowicie się zacierać. Za chwilę...

- ...raz?

Wilson mrugnął powiekami.

- Słucham? - jakaś kobieta, a właściwie dziewczyna stojąca przed nim w kolejce, pytała go o coś.

- Zapytałam, czy to pana pierwszy raz. Próbował skupić wzrok, by przebić się przez świetlistą aurę, ale oczywiście nic nie mógł na nią poradzić. Zdołał jednak dostrzec, że dziewczyna była bardzo młoda, miała nie więcej niż dwanaście lub trzynaście lat, krótko przycięte, pofarbowane na kruczoczarny kolor włosy, zielone kolczyki, które przez moment widział. Kolczyki w kształcie gumisiów. Nosila plecak.

- Pierwszy raz, co?

- Podróż samolotem. Pytanie było tak naiwne, że zbiło go z tropu i prawie się zaśmiał.

- Nie - odpowiedział. - Parę razy już leciałem. Skinęła głową w zamyśleniu. Po chwili znowu zadała pytanie:

- Czy to jest przerażające? Ja nigdy do tej pory nie leciałam samolotem.

- Żartujesz?

Spojrzał na zegarek. Zostało pięć minut i czterdzieści osiem sekund... czterdzieści pięć... czterdzieści trzy...

- Na ziemi jest bardziej niebezpiecznie - odpowiedział. - Samoloty są bezpieczne.

Kolejka posunęła się do przodu o kilka kroków i zauważył, że dziewczyna jakoś dziwnie się porusza - opierała się o bok i ciągnęła lewą nogę.

- Wygląda na to, że ostatnio jeździłaś na nartach. Usłyszał lekkie westchnienie.

- Nie. Nigdy nie byłam na nartach. Pomyślał, że chciała powiedzieć coś innego, ale pewnie się rozmyśliła. Kolejka znowu posunęła się o parę kroków i ona też. Nie dostrzegł żadnego gipsu. Tylko kulę. Pewnie coś wrodzonego, pomyślał.

- A panu co się stało?

Przez moment nie wiedział, o co jej chodzi. I dopiero jak przypomniał sobie o temblaku, odpowiedział:

- A, o to pytasz? Tak. Byłem w... Killington. Przez moment dostrzegł przez mgłę jakby dziwaczny uśmiech gumisia. Za pięć lub sześć minut dziewczynki już nie będzie. Prawie wszyscy zginą.

Próbował to sobie wyobrazić: krew i potłuczone szkło, zalane krwią, popalone ogniem ciała na marmurowej podłodze. Ludzie wygrzebujący się z gruzów, w szoku, ogluszeni i krwawiący. I ta cisza - zupełnie jak po wypadku samochodowym. Wszystko nagle ucichnie, choćby na kilka sekund. Potem cisza ustąpi szlochowi świadomości rzeczywistości. Powietrze będzie drżało od jęków, które zaczną tężeć, wypełniając próżnię, aż odgłosy łkania wybuchną i zamienią się w długi, zbiorowy wrzask.

Opierając się pokusie zerknięcia na zegarek, Wilson pochylił głowę w kierunku dziewczynki:

- Przepraszam... - zaczął. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Czy mogłabyś zająć mi miejsce?

- Tak, oczywiście, proszę pana - odparła. - Z miłą chęcią.

- Ja muszę wyjść na minutkę - wytłumaczył z nutą zakłopotania w głosie.

- W porządku.

- Dzięki.

Krzywiąc usta w grymasie, który miał być uśmiechem, Wilson ruszył w kierunku kiosku z gazetami, zostawiając kolejkę, dziewczynkę i walizki tam, gdzie były. Powstrzymywał się z całych

sił od obejrzenia się przez ramię i od biegu. Starał się iść wolno w stronę toalet.

Byle tylko zdążyć.

Pocąc się i tracąc oddech dotarł ruchomymi schodami na niższy poziom, gdzie oddawało się bagaż. Spojrzał na zegarek, lecz błyski w oczach nie pozwoliły odczytać wskazania minutnika. Dwie minuty i czterdzieści sekund? Dwie minuty i dziesięć sekund? A może trzydzieści dziewięć? Nie był do końca pewien.

Teraz szedł już szybciej. Przeszedł korytarzem i wydostał się na zewnątrz. W pośpiechu przeszedł przez ulicę i dostał się na parking krótkoterminowy. Rząd piętnasty.

Jeepa nie było. Jego żołądek wykonał woltę, a piersią wstrząsnęło uczucie paniki. Wyruchali go.

Rozglądał się dookoła - nie miał dokąd uciekać - czekając, aż świat eksploduje. Nagle usłyszał klakson, obejrzał się i dostrzegł jeepa o jeden rząd dalej. W środku siedział Bo, śmiał się i machał do niego. Wilson przedarł się między samochodami, szarpnął za drzwi i wcisnął się na siedzenie pasażera.

Gdy samochód ruszył, Wilson spostrzegł, że nie byli sami. Z tyłu siedział jakiś facet wyglądający na Araba - starszy gość, którego wcześniej nie spotkał. Uśmiechał się. Kiwał z zadowoleniem głową.

Bobojon też kiwał głową. Miał przygotowany bilet parkingowy i kilka banknotów jednodolarowych. Mimo to wydostania się z parkingu trochę trwało. Przed nimi, przed budką parkingowego, stało bmw z kobietą za kierownicą która mruczając jakieś przeprosiny starała się wydobyć kartę kredytową z torebki. Siedzieli dalej, czekając na wybuch terminalu, czekając na nadejście piekła, a ta cholerna zdzira ryła w torebce, szukając swojej platynowej karty.

Facet z tylnego siedzenia pochylił się do przodu, częstując go papierosami. Wilson wziął jednego, starając się ukryć drżenie rąk. Przypalił papierosa.

Wydmuchując chmurkę dymu na przednią szybę skupił wzrok na zegarku. Do wybuchu została minuta i dwanaście sekund.. Minuta osiem... Minuta cztery...

Kobieta nadal grzebała w torebce.

Chciał ją zabić. Chciał wyć. Chciał ją zabić i wyć.

Ale Bo był spokojny. Spojrzał na Wilsona, potem na kobietę i znowu na Wilsona. Powiedział coś po arabsku do tego drugiego faceta. Uśmiechnęli się.

Chwilę później kobieta też się uśmiechnęła. Z okrzykiem radości, którego nie usłyszeli, odrzuciła głowę do tyłu i wyciągnęła kawałek plastiku z torebki. Voila! Znudzony parkingowy przesunął kartę przez rowek czytnika i czekał na wydrukowanie pokwitowania. Trwało to tylko około trzydziestu sekund, ale każda wydawała się przeraźliwie długą minutą. W końcu kobieta odebrała paragon i ruszyła z piskiem opon, machając palcami przez okno na pożegnanie: pa, pa.

Trzydzieści sekund później, Wilson i jego kumple jechali tu za nią płatną autostradą z lotniska Dulles do Waszyngtonu. B(był taki wyluzowany, że aż pogwizdywał, a Wilson skupił się na zegarku - zupełnie jakby był jedyną osobą która mi wylecieć w powietrze. Cztery sekundy... Trzy... Dwie... Włosy, na jego ręce aż się uniosły z nerwów, a mięśnie napięły się jak struny.

Bo zerknął na niego, potem odwrócił wzrok, skupiając się na prowadzeniu. Serce Wilsona waliło jak zwariowane, gdy minutnik osiągnął zero i zadziałał alarm, jakby znikąd. Bo odwróci się do niego i wrzasnął: „Bammm!”.

Facet na tylnym siedzeniu zachichotał.

ROZDZIAŁ 5

WASZYNGTON 21 GRUDNIA 2004

Właśnie takich przypadków Ray Kovalenko obawiał się najbardziej. Nie przejmował się bełkotem stacji telewizyjnej al-Dżazira, ani też nieustannymi pogrózkami z Al Faroq, tylko właśnie takimi przypadkami, których nie potrafił wyjaśnić. Jak ten facet z ręką na temblaku z walizkami.

Agent FBI siedział w zaciemnionym pokoju, gryząc koniuszek zausznika okularów przeciwsłonecznych. Na drugim końcu stołu konferencyjnego stał magnetowid i monitor, na którym wyświetlany był czarno-biały film. Na dole ekranu widniała data i godzina nagrania:

18.12.04 17:51

Rozdzielczość na całkiem przyzwoitym poziomie, pomyślał Kovalenko, lecz kontrast kiepski. Zamazane szarości i nic więcej. Można tylko mieć nadzieję, że TSA*[* TSA - Transportation Security Administration - Agencja Ochrony Transportu.] będzie się lepiej starać.

Taśma została nagrana na lotnisku Dulles. Agent linii lotniczych British Airways zauważył dwie walizki przed ladą do sprzedaży biletów, stojące tam „od pół godziny, a może dłużej” i zadzwonił do Agencji Ochrony Transportu. Gdy nikt nie zgłosił się po walizki, TSA obstawiała kordonem obiekt i zawiadomiła policję lotniskową. Do akcji wysłano specjalną grupę zadaniową i ewakuowano terminal. Członkowie grupy „pierwszego kontaktu” (bo takimi de facto byli i za takich się uważali) byli świadomi zagrożenia i zażądali przysłania saperów z EOD*[* EOD - Explosive Ordnance Disposal - jednostka saperska do rozbijania bomb i niewybuchów.], tak, by walizki można było zniszczyć in situ. Zdecydowały mądrzejsze głowy.

Bagażowy przypomniał sobie, jak przewoził te walizki. „Facet miał rękę na temblaku, więc wyładowałem walizki przed ladą do obsługi pasażerów. To nic wielkiego. Zawsze tak robimy”. Przedstawicielka TTIC*[* TTIC - Terrorist Threat Integration Center - Centrum ds. Koordynacji Współpracy Podczas Zagrożenia Terrorystycznego.] zakasłała raz, a potem jeszcze raz. Kovalenko spojrział na nią, marszcząc brwi.

Andrea Cabot była kimś w rodzaju człowieka legendy - błyskotliwym i atrakcyjnym oficerem CIA. Mogła mieć już czterdzieści lat lub jeszcze nie. Mówiono, że jest zamożna.

Wychowywała się w Maroku, gdzie jej ojciec był szefem kapitanatu portu w Casablance. Lubiła żartować, że angielski jest jej „trzecim językiem”. Pierwszymi dwoma były francuski i arabski, a chiński czwartym.

Miała teraz na sobie ciemne ubranie i sznur pereł, siedmiocentymetrowe szpilki i nienaturalnie niebieskie szkła kontaktowe w odcieniu czystego indygo, który można zobaczyć tylko w Disney World. Podobnie jak Kovalenkę przechwycono ją podczas podróży do zupełnie innego miejsca. W jej przypadku było to Kuala Lumpur, gdzie miała zostać szefem placówki.

Ciekawa kobieta, pomyślał Kovalenko. I pewna siebie. Ktoś kiedyś opowiadał, że widział ją, jak śpiewała hymn amerykański przed tłumem czterdziesto tysięcy ludzi przed meczem piłki nożnej na stadionie RFK. Była odważna. Może nawet za bardzo... Jeden z koleśków, z którym grywał w pokera, bumelant z kontrwywiadu, powiedział mu, że wyspała się na zadaniu, które prowadziła w Turcji. Podjęcie celu wyszło całkiem gładko. Dorwali go, wrzucili do chłodni ciężarówka i zawieźli pięćset kilometrów dalej, gdzie czekał już samolot do Gitmo*[* Eksterytorialne więzienie w Guantanamo na Kubie.]. Łatwo można sobie wyobrazić zdumienie wszystkich, gdy otworzyli drzwi, a ten Arabus wypadł ze środka - martwy. Miał jakieś problemy z oddychaniem.

Było kilka takich historyjek - może nie całkiem historii. Były bardziej jak innuenda. Pułkownik z amii, który pracował z Andrea w Turcji, zmarszczył brwi, gdy Kovalenko o nią zapytał. Wszystko, co mu powiedział, to tyle, że jest ciekawą kobietą.

- Ale co masz na myśli? - dopytywał się Kovalenko.

- Bywa dość agresywna podczas przesłuchań - odpowiedział nieco zakłopotany pułkownik. - Nie żeby było to coś złego. - I dodał natychmiast. - To po prostu wydaje się trochę zaskakujące, jak przy tym jesteś.

Kovalence nie sprawiało to żadnej różnicy. Jeśli o niego chodzi, to Andrea Cabot była po prostu ideałem. Jej jedynym minusem - i jednocześnie jedynym powodem dla którego nie zaczął jej podrywać - była umiejętność posługiwania się mandaryńskim chińskim. To go przerażało. I zastanawiało. Bo jeśli Andrea mówiła po chińsku, to znaczy, że musiała rozmawiać z Chińczykami. Więc, o ile jej kaszel mógł oznaczać cokolwiek, na przykład przeziębienie lub gripę, to z drugiej strony mógł także być czymś zupełnie innym. Czymś chińskim. Jak SARS albo ptasia grypa.

Gdy te wszystkie myśli kotłowały się w głowie Kovalenki, zobaczył, jak Andrea pochyliła się nad monitorem i zmrużyła oczy.

- Zatrzymaj w tym miejscu - poprosiła szeptem.

Na ekranie widać było mężczyznę stojącego niemal na końcu kolejki wijącej się do stanowiska British Airlines. Miał na sobie długi płaszcz i kapelusz. Twarz nie była, niestety, zbyt widoczna.

- To ten facet? - zapytała Andrea.

Kovalenko chrząknął. Mężczyzna widoczny na stop-klatce miał jedną rękę w temblaku, tak, jakby była złamana. Może była. Lecz Kovalenko miał odmienne zdanie. Temblak był prawdopodobnie przykrywką - sposobem na możliwość ustawienia walizek z przodu kolejki bez konieczności ciągłego ich przestawiania i przebywania w ich pobliżu. To było coś, co robił seryjny morderca Ted Bundy zanim wykonano na nim wyrok śmierci.

- Jedź dalej - powiedziała Andrea. I monitor odżył. Jeszcze jedno kasznięcie.

To jest właśnie to, czego najbardziej pragnę, pomyślał Kovalenko, utopić się we własnych płynach ustrojowych.

Nie miał żadnego stałego przydziału od jedenastego września, tylko skakał po świecie między Waszyngtonem a Hamburgiem, Hamburgiem a Dubajem, Dubajem a Manilą, Dżakartą, Islamabadem. Poza Hamburgiem, przerzucano go z jednego gównianego miejsca na drugie. I teraz jego odporność na zarazki była zapewne równa zeru, rytmy biologiczne organizmu wyleciały w powietrze, a ciało czuło się jak odjechana solówka Pharoaha Sandersa na saksofonie. Szczególnie ten budynek, stojący gdzieś na peryferiach portu marynarki wojennej, był dla niego wielkim problemem zdrowotnym.

„Bezpieczny obiekt” o oknach zamurowanych już we wczesnych latach siedemdziesiątych, gdy NRO*[* National Reconnaissance Office - Narodowy Urząd Nadzoru Satelitarnego.] przejęło go w

celu prowadzenia badań nad satelitarnymi systemami szpiegowskimi, był miejscem w dosłownym znaczeniu określenia „gdzie słońce nie dochodzi”. Czasem można było odnieść wrażenie, że wszyscy, którzy tu pracują już od dawna są chorzy, albo właśnie zaczęli na coś chorować. Zupełnie jak ja, pomyślał Kovalenko.

Już od dłuższego czasu coś zżera mnie od środka.

Na ekranie monitora człowiek z temblakiem rozmawiał z kimś stojącym przed nim w kolejce.

- Kim jest ta dziewczynka? - zapytała Andrea, wpatrując się w monitor. - Czy wiemy, kto to jest?

Lakoniczny głos z brytyjskim akcentem udzielił odpowiedzi z drugiego końca stołu:

- Niiieeee - słowo jakby rozmyło się w przestrzeni. - Obawiam się, że nie wiemy.

- Dlaczego nie? - dopytywał się Kovalenko. - Przecież to wasz samolot. I macie rejestr pasażerów. Czy to takie trudne?

Brytol wciągnął w płuca przesycone jonami dodatnimi powietrze i westchnął. Miał na imię Freddie i był jednym z oficerów łącznikowych MI-6.

- To jest czasem trudne - odpowiedział, pochylając się do przodu. - Na pokładzie było sto trzydzieści jeden kobiet, a na liście pasażerów były tylko ich nazwiska, bez daty urodzenia, bez wagi ciała i bez podanego miejsca w kolejce. Nie mamy tylu ludzi, żeby je wszystkie odnaleźć - wyjaśnił szczegółowo Freddie. - A szczególnie, gdy w zasadzie nie wydarzyło się nic specjalnego - spojrzał na Kovalenkę. - Może jak wpadniesz do Londynu...

Do Londynu? - zdziwiła się Andrea. Kovalenko wzruszył ramionami.

- Mamy nowego Legata - wyjaśnił Freddie. - Nie powiedział ci tego?

- Nie - Andrea była pod wrażeniem.

- To nie zostało jeszcze oficjalnie ogłoszone - mruknął Kovalenko.

Na filmie mężczyzna z temblakiem odwrócił się od dziewczynki i zniknął z pola widzenia kamery.

- To wszystko - rzucił Kovalenko. - Niech stanie się światłość. - Widział to nagranie już dziewięty raz i uważał, że już niczego więcej się nie da z niego dowiedzieć.

Ponad nimi rozświeciły się fluorescencyjne świetlówki, szumiąc statycznymi wyładowaniami. Kovalenko wstał i podszedł do dużego stołu bibliotecznego, na którym leżały otwarte walizki z lotniska. Każda z nich była wypchana gazetami. Paczki obwiązano szpagatem. Nie wykryto na nich żadnych odcisków palców. Nigdzie.

- Dwadzieścia dwa funty - wyjaśnił Kovalenko - w każdej z nich.

- Czyli po dziesięć kilo - dodał Freddie.

- To właśnie powiedziałem - zachnął się Kovalenko.

Na twarzy Andrei pojawił się uśmiech. Bawiła się naszyjnikiem, leniwie rolując perły między kciukiem a palcem wskazującym. Po chwili zabrała głos.

- Dwadzieścia dwa funty to nie jest żadna okrągła amerykańska liczba. Ktokolwiek pakował te walizki, myślał w systemie metrycznym.

Brytol zastanowił się nad tym przez chwilę i zachichotał.

- Wreszcie coś mamy. Nie tylko to, że nic się nie wydarzyło, ale że... - zmrużył oczy, zerkając z lewej w prawo podejrzliwym wzrokiem. - Mamy powód, by sądzić, że w sprawę zamieszany jest cudzoziemiec.

Nawet Kovalenko się uśmiechnął. Ale tylko przez sekundę.

- Tak naprawdę - zaczął - to jednak coś się wydarzyło. Głos Freddiego był pełen sceptycyzmu.

- Taaak? A cóż takiego?

- To był test.

Brytyjczyk zaczął rozważać to prawdopodobieństwo.

- I to właśnie jest sedno tej sprawy - obwieścił Kovalenko.

- Możliwe - przyznał Freddie. - Ale może jednak był to zwykły żart.

- No dobrze. Ale jeśli był to tylko żart, to całkiem kosztowny. Te nesesery są prosto ze sklepu - wyjaśnił Kovalenko. - I nie są wcale takie tanie.

- Zgoda, oczywiście, ale w takim razie po co to wszystko? Jeśli ktoś chce zabić setki ludzi na lotnisku, to po co jakiejś ćwiczenia? Czemu po prostu nie pojechać i nie zrobić tego naprawdę?

- No właśnie - odrzekł Kovalenko. Facet z MI-6 skrzywił się.

- Jeśli o to chodzi, to po co w ogóle przejmować się lotniskiem? Taka stacja kolejowa jest o wiele łatwiejszym celem. Są przecież jeszcze restauracje, kina...

Kovalenko obrócił się w lewo:

- Andrea? Masz jakieś przemyślenia?

Usłyszeli szelest nylonu, gdy agentka CIA skrzyżowała nogi i po chwili z powrotem postawiła obie stopy na podłodze. Przez moment zacisnęła usta i zamyśliła się nad odpowiedzią. W końcu odrzekła:

- Sądzę, że Ray ma rację, ale tu nie chodzi o lotnisko, Chodzi o tego gościa z temblakiem. Ktoś go testuje - stwierdziła stanowczo. - To z pewnością nie jest sprawdzanie jakości działania ochrony lotniska.

Freddie zaczął rozważać taką możliwość. Po chwili zapytał:

- A po co niby mieliby to robić? Andrea wzruszyła ramionami.

- Myślę, że chcieli sprawdzić, jak daleko się posunie. Kovalenko skinął głową.

- Teraz już wiedzą. Tego gościa nic nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ 6

DUBLIN 24 STYCZNIA 2005

„Miętko”.

Tak właśnie Irlandczycy określają taką pogodę jak ta, gdy w powietrzu jest więcej wody niż we mgle, ale jeszcze nie pada. Mike Burke stał przy oknie obok swojego biurka, leniwie spoglądając na ulicę poniżej. Co jakiś czas, gdy powiew wiatru stukał deszczem w szyby, jego wzrok skupiał się na zewnętrznym parapecie, gdzie krople wody łączyły się w strużki i spływały w dół.

Jego biuro mieściło się w wielkim pokoju o wysokim suficie w kamienicy z czerwonej cegły na skraju Temple Bar, dzielnicy leżącej nad rzeką Liffey i słynącej z labiryntu wąskich uliczek i alejek. Z miejsca, w którym siedział, Burke widział dach pasażu handlowego Merchants' Arch, powstałego z przykrytego dachem podwórka, w którym fikcyjny bohater Leopold Bloom kupił książkę - jak się okazało powieść pornograficzną - dla swojej żony, Molly.

Mimo że na zewnątrz było zimno i mokro, Burke miał ochotę pobiegać. Pod biurkiem stała torba na sportowe ubranie - tylko nie za bardzo miał szansę je wykorzystać. Był umówiony na spotkanie z klientem, mężczyzną o nazwisku d'Anconia, a pan d'Anconia się spóźnił. Mężczyzna zadzwonił tego ranka i zapytał o możliwość założenia firmy, tak od ręki.

Nic prostszego, pomyślał Burke. To właśnie nasza praca. Jego umysł był jednak gdzieś indziej. Myśli Mike'a krążyły wokół ojca Kate, obdarzonego przez nich ksywą Staruszek, którego nazwisko widniało na mosiężnej tabliczce obok ciężkich dębowych drzwi prowadzących do jego biura:

THOMAS AHERNE & WSPÓLNICY

Takie małe kłamstewko. Poza Burkiem, nie było tu żadnych wspólników. Nigdy. Chyba że od czasu, gdy umarła Kate.

Nawet teraz te słowa sprawiały, że tracił oddech. Jąkając się gdzieś w ośrodku mowy w mózgu, słowa składały się w zdanie, które nie miało końca, tworząc myśl tak niemożliwą do przekazania, że mogłaby nigdy nie być wypowiedziana. „Gdy Kate umarła...”.

Dokąd się udać z taką myślą - albo z takimi przeżyciami? Jej śmierć przyszła jak lawina. W jednej chwili był obok Kate, w blasku jaki roztaczała, wyobrażając sobie przyszłość, którą razem spędzą, by nagle ziemia usunęła mu się spod nóg. Zaskoczony został pogrzebany żywcem, pogrążony w cierpieniu. W końcu chłód odnalazł drogę do jego serca i powoli nim zawładnął. Ból zamienił się w otępienie i Burke przestał cokolwiek odczuwać.

Staruszek był w jeszcze gorszym stanie. Jednego dnia siedział dziarsko za biurkiem, drugiego dnia zniknął. Całymi latami powtarzał, że firma jest całym jego życiem. „Zabierzecie mi firmę, to będę nikiem”. Okazało się, że wcale nie. Firma była tylko sposobem na życie, jakimś hobby, fascynacją, ale to Kate była jego całym życiem.

Wychował ją od kijanki (jak to określał). Nauczył ją budować zamki z piasku, jeździć konno, czytać Greatsa, być ostrożną w stosunku do chłopców. Tommy z radością obserwował jak dojrzewała, jak coraz bardziej staje się tak piękna jak jej matka - miała włosy koloru imbiru, szafirowe oczy i skórę delikatną jak pergamin. Był z niej dumny, gdy lekko, jak bryza, przefrunęła przez studia w Cambridge i osiadła w Dublinie. I wtedy zrobiła coś niewyobrażalnego. Odwróciła się od luksusów, jakie dawało jej życie lekarza w Irlandii na rzecz pracy w organizacji charytatywnej, wysyłającej lekarzy do zapomnianych przez Boga krajów zżeranych przez malarię i nieustające wojny. Na scenę wchodzi Mike Burke.

Oczywiście nie tak od razu. Lecz dość szybko i to w dramatyczny sposób. Dwa lata po przyjeździe Kate do Liberii Burke spadł z nieba kilka kilometrów od jej szpitala. I leżał na wpół spalony w bagnie.

Oddział zwiadowczy rebelianckiej armii, dowodzony przez samozwańczego Pułkownika Zabójstwo, znalazł go podczas patrolu. Może to właśnie oni go zestrzelili. Leżał na skraju dżungli ze złamaną nogą i z naderwanym uchem. Oparzenia były zainfekowane przez pszczoły, a on na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność.

Pułkownik z dredami na głowie opowiadał, że Burke wyglądał tak, jakby leżał tam kilka dni. „Widziałem, jak leciał, wrak helikoptera cały spalony, do niczego! I nagle zobaczyłem tego białasa. Leżał w błocie, jak jakiś zły znak, jak znak od Jezusa, otoczony pszczołami. Hieronimus chciał wyrwać najważniejszą maszynę tego faceta. No wiesz, tak sięgnąć i wyrwać, tak, jak to czasem robimy. W ten sposób zostawiamy wiadomość. Jak kartkę na święta. Znaleźliśmy jego paszport - America! - Kraj wolności! Więc też chcieliśmy być humanitarni. Pokazać wszystkim pozytywną stronę naszej walki”. Licząc na nagrodę, pułkownik z dredami i jego ludzie zaciągnęli Burke'a do pick-upa, którym jeździli (z napędem na cztery koła i karabinem maszynowym kaliber 50 na skrzyni ładunkowej) i wrzucili go na stos taśm z amunicją. Zawieźli go do irlandzkiej pani doktor, do szpitala w Porkpa.

Pleśniejąca wioska z chałup skleconych po obu stronach polnej drogi była dumna ze swojego szpitalika. Miał z tuzin łóżek, małe laboratorium i własną karetkę. Szpital - betonowy sześcian z pordzewiałym blaszanym dachem, ścianami w kolorze ochry i różu z niebiesko-zielonymi pasami - był jedynym elementem stałej infrastruktury w promieniu wielu kilometrów. Kate podczas pierwszego roku pracy w szpitalu większość czasu poświęcała leczeniu dzieci i porodów, nauczaniu higieny i szczepieniom. Gdy wojna wybuchła na dobre, priorytety szpitala zmieniły się. Jeszcze przed katastrofą helikoptera Burke'a, w której zginął pilot, cały szpital zamienił się w salę operacyjną, a najważniejszymi pacjentami byli ludzie z postrzałami i ranami od maczet.

Ze złamaną nogą i poparzeniami drugiego i trzeciego stopnia, Burke spędził w szpitalu siedem tygodni. Nie było powodu, by trzymać go tam dłużej, ale też nie miał dokąd pójść. Cztery dni przed nieszczęśliwym lotem Burke'a, stolicą kraju wstrząsnął paroksyzm zniszczenia. Trudno było się tam nawet dostać, nic nie działało. Wszystkie przystanie były nieczynne, ambasady zamknięte. Szpital Odkupienia legł w gruzach po ostrzale mózdzierzowym i po splądrowaniu przez uzbrojone watahy. Burke o wiele lepiej miał się w Porkpa.

To „lepiej” było raczej dalekie od ideału. Szpital był całkowitą prowizorką i zagrożenie infekcjami było tu na porządku dziennym. Zaczęło brakować środków medycznych, a lokalny personel - wcale nie taki liczny - po prostu zbiegł jak zaczęła zbliżać się wojna. Miesiąc po tym, gdy pojawił się tam Burke, Kate została praktycznie sama z jedną pielęgniarką, dziewięcioma pacjentami,

których już nigdzie nie dało się przewieźć i ze strażnikiem, który miał nie więcej niż dwanaście lat. Burke miał w zasadzie jeden wybór - wyzdrowieć albo umrzeć.

Kiedy już mógł się poruszać, robił to, co uznawał za potrzebne. Siadał nocami w wejściu z karabinem na kolanach. Później zaczął pomagać przy zmianie opatrunków i w kuchni. Jego największym sukcesem było naprawienie generatora prądu. Wszyscy mówili, że jest do niczego, bo „czarny dym - ter dym śmierci”. Burke nie poddał się. Wychował się na farmie, a tam - jak to na wsi - wiele rzeczy trzeba było naprawiać samemu. Szpitalny generator wyprodukowała firma John Deere. Był większy niż ten, jaki miał jego ojciec w Nellysford, lecz działał dokładnie na tej samej zasadzie i psuł się w tych samych miejscach. Po godzinie grzebaniny Burke odkrył, że gardzie dolotowa mieszanki jest zapchana. Dziesięć minut później generator mruczał jak zadowolony kot.

W wolnych chwilach - a miał takich większość - zbudował figurki do szachów z łusek po nabojach, złączek hydraulicznych i pustych opakowań po lekach. Kate była zbyt zmęczona po pracy, by przejmować się grą ale skoro była to jedyna rozrywka w wiosce - grali w nią każdego wieczoru.

Podczas gry rozmawiali. Burke poznał z opowieści jej dzieciństwo w Irlandii, usłyszał historie o jej chłopakach w Cambridge i jej zamiłowaniu do medycyny. A Afryka? „A gdzie indziej jednego dnia mogłabym odbierać poród, drugiego leczyć zakażenia, rany postrzałowe i AIDS - nie mówiąc już o takich przypadkach jak ty!”

Podziwiał czystość jej intencji. Jego własna sytuacja była bardziej dwuznaczna i wręcz zawstydzająca. Choć miał prawie trzydziestkę, to większość dorosłego życia spędził podróżując no całym świecie, „robiąc zdjęcia we wszystkich parszywych miejscach”. To był jedyny sposób na zdobycie uznania jako fotograf, jeśli nie było się wcześniej znanym: jechało się tam, dokąd inni nie chcieli pojechać. Do takich miast, jak Grozny i Algier, Monrowia i Port-au-Prince. Do miejsc, w których najlepszy hotel w mieście był otoczony największą liczbą worków z piaskiem.

Pracował dla grupy F-Stop Cooperative w Nowym Jorku i przez większość czasu uwielbiał swoją pracę. Takie życie. Takich ludzi. Fotografowanie. Latanie z miejsca na miejsce. Lubił to. Wystarczyło tylko być. Wysiadał z samolotu w Algierze, a wszystko samo ustawało się przed obiektywem. Pstryk i już - trzeba tylko być we właściwym miejscu o właściwej porze! I w dodatku w „centrum akcji”, bo nie będąc fotografem w centrum akcji, można było skończyć w pomarańczowym kombinezonie zakładnika z nożem przystawionym do gardła.

- Więc to tak, jak bycie jednym z tych skoczków - podpuszczała go.

- Jakich skoczków?

- Tych z Acapulco, którzy skaczą do wody z wysokich skał. Pokręcił głową.

- Nie jestem kowbojem - odpowiedział. - Tu nie chodzi tylko o strzelaniny.

- Ciekawe...

No naprawdę! Mógł też pracować jako reporter prasowy, ale pisanie to nie to samo. Czegokolwiek by się nie napisało, to słowa i tak nie mogły wszystkiego wyrazić. Zawsze był ktoś, z kim nie udało się przeprowadzić wywiadu, lub coś, czego do końca nie udało się zrozumieć. Fotografia to coś zupełnie innego. Była zapisem faktu, czymś, czym jego opis prasowy nigdy nie mógłby się stać.

Burke opowiadał Kate, jak zaczynał pracę w tygodniku w Wirginii. Pracownicy wydawnictwa nie byli wtedy zrzeszeni w żadnych związkach zawodowych, więc samodzielnie musiał wykonywać wiele różnych zadań: pisał artykuły i eseje, robił zdjęcia i tworzył układ strony. W kącie pokoju redakcyjnego stał policyjny skaner radiowy - brzęczący, trzeszczący, błyskający diodami.

Jakakolwiek informacja o pożarze, strzelaninie wypadku samochodowym - natychmiast wyskakiwał z biraj ze swoimi aparatami fotograficznymi.

- To strasznie podniecające - ziewnęła. - Wypadek samochodowy.

Tak, no pewnie, że tak! Większość czasu jeździł razem z naczelnym fotografem tygodnika, starszym facetem o imieniu Sal, który ciągle mu powtarzał: „Nigdy nie wyjeżdżaj ni miasto bez kabury z bronią”. Miał na myśli sprzęt foto; graficzny.

- Tak, żebyś zawsze mógł strzelić zdjęcie.

No tak, ale to nie chodzi tylko o to - powiedział Burke. - Noszenie ze sobą aparatu fotograficznego - nawet małego - I zmienia człowieka.

- Zmienia? Skinął głową.

- Staje się odważniejszy - wyjaśnił.

- Niby jak?

Człowiek z aparatem chce zrobić zdjęcie. Musi zatem wytrzymać napięcie. Zwykli ludzie uciekają w popłochu. Gdy fotoreporterzy widzą uciekających przerażonych ludzi, to nie idą za nimi, tylko tam skąd uciekają. To ich instynkt. Ale dobry fotograf zostaje na stanowisku i czeka na swój moment.

- A jeśli to „zdjęcie” to fala powodziowa? Burke roześmiał się.

- To trzeba umieć dobrze pływać.

Mimo dużej pewności siebie, miał jeszcze inne, głębsze przemyślenia odnośnie fotografowania. Chociaż zdobył mnóstwo nagród i fotografował wszystko - począwszy od wesela cygańskiego na Syberii po wyścigi łodzi smoków w Makao - i to większość jego prac dotyczyła tragedii cierpienia i śmierci.; Trzęsienie ziemi w Turcji, masowe groby w Kosowie, ścięcie głowy na Chop Square. Po pewnym czasie człowiek przyzwyczajał się do takiego zamętu.

Ale to wszystko z pewnością nie działało się z pożytkiem dla duszy, myślał Burke. Bycie przypadkowym świadkiem zdarzenia to coś zupełnie innego niż świadome fotografowanie twarzy kogoś, kto umiera - co Burke'owi często się przydarzało.. Było coś obrzydliwego w robieniu takich zdjęć. Jak współludziak; w zbrodni.

- Brzmi jak zła karma - stwierdziła Kate. Burke uśmiechnął się.

- O tak - przyznał - właśnie coś takiego.

*

Szachy nie były ich jedyną ucieczką od codzienności. Mieli też kino pod gołym niebem. Zorganizowano je wśród ruin i chwastów porośłych na miejscu, które kiedyś było pocztą. W każdy piątek wieczorem przed strasznie zdewastowanym, pokrytym wapnem murem z cementowych pustaków ustawiano tuzin metalowych składanych krzeseł. Niemalże antyczny ośmiomilimetrowy projektor budził się do życia, rzucając na mur ruchome obrazy. W wydobywającej się z niego smudze światła przecinały się trajektorie lotów ciem i nocnych żuków. W drugim miesiącu pobytu w Porkpa, Burke wybrał się z Kate do tego kina. Zapłacili po pół euro, aby zobaczyć Richarda Burtona w Szacie, Johna Waynea w Hatari! i Michaela Renniego w Dniu, w którym zatrzymała się Ziemia.

Tajemnicą było, skąd pochodziły te filmy.

Tajemnicą natomiast nie było to, że zaczęli do siebie odczuwać przywiązanie. Zapewne nie dałoby się tego uniknąć. Byli młodzi. Byli w Afryce. Po obejrzeniu filmu z Michaeliem Rennie, przytulali się do siebie jak para nastolatków. Trwało to może minutę, może dwie. A potem Kate odepchnęła go z figlarnym uśmiechem, sugerując, że może poszliby do normalnego łóżka.

Ale nie razem. Chciała to jeszcze przemyśleć - jak powiedziała. Pocałowała go w policzek i wyszła z pokoju, nucąc coś pod nosem. Burke dopiero po chwili rozpoznał tę melodię. Była to Jedna z tych rzeczy.

Może było to i śmieszne, ale niezbyt pasujące do sytuacji. Cokolwiek między nimi istniało - miłość, pożądanie czy też samotność - to z pewnością nie była, jedna z tych rzeczy”. To była zupełnie inna „rzecz”. Miał zamiar jej to wyznać, lecz wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego.

Zostali „uratowani”.

Lub też tylko on został uratowany. Kate pojechała w górę rzeki, by pomóc przy porodzie, gdy w Porkpa pojawił się konwój ONZ-etu, eskortujący ciężarówkę z czerwonym krzyżem. Opancerzony samochód zatrzymał się obok szpitala. Wskoczył z niego nigeryjski kapitan i oznajmił, że są ewakuowani.

- Wszyscy? - zapytał Burke, spoglądając na niewielką półciężarówkę.

- Tak - nalegał kapitan. - Wszyscy biali ludzie. Co do jednego!

Burke grzecznie odmówił, lecz od razu dowiedział się, że nie jest to luźna propozycja, tylko rozkaz. Zaczął się klócić. Twierdził, że nigdzie nie pojedzie. Bez lekarza szpitalnego nigdzie się nie ruszy.

Ocknął się pół godziny później na podłodze ciężarówki z rękoma związanymi plastikową opaską zaciskową. Zawieźli go na lotnisko w Belle Yella, wsadzili na pokład helikoptera ONZ-etu razem z pozostałymi ewakuowanymi i zabrali wszystkich na pokład amerykańskiego okrętu wojennego krążącego wzdłuż wybrzeża. Dwa dni później znalazł się już w Waszyngtonie.

Jego mieszkaniem była kawalerka z jedną sypialnią, w kamienicy przy Connecticut Avenue, parę przecznic na północ od zoo. Nie byłoby w tym nic specjalnego, gdyby nie to, że codziennie rano słyszał przebijający się przez szum miasta śpiew gibbonów. Zwykle nie pomieszkował tu zbyt długo, ale przynajmniej miał stały adres i miejsce, gdzie trzymał książki i ubrania.

Mimo wielu prób nie udało mu się skontaktować z Kate. Jej krótkofalówka nie odbierała, a e-maile do niej nie dochodziły. W Monrowii nie było ambasady Irlandii. Kate równie dobrze mogłaby mieszkać na księżycu.

Ciekawe co myślała o jego zniknięciu? Czy ktoś jej powiedział o ewakuacji? A może myślała, że załapał się na pierwszą lepszą ciężarówkę, byle tylko wyrwać się z tego miejsca bez słowa pożegnania? Tak to chyba właśnie wyglądało...

Organizacja Lekarze bez Granic miała swoje biuro także w Nowym Jorku, więc zadzwonił. Kazali mu skontaktować się z główną siedzibą w Paryżu. Używając najlepszego szkolnego francuskiego, zapytał o szpital w Porkpa.

- C'est ferme.

- Et la directeur?

Jego akcent musiał być okropny, bo głos po drugiej stronie linii poprosił:

- Czy możemy przejść na angielski?

- Oczywiście! Powiedziała pani, że szpital jest zamknięty?

- Tak, jest zamknięty.

- A ja pytałem o kierownika szpitala. Doktor Aherne.. - Odeszła z organizacji. Zmroziło go.

- Jak to?

- Tak! Obawiam się, że nie da się już pracować w Liberii. Jest zbyt niebezpiecznie.

- Aha... - wreszcie złapał normalny oddech. - Czy macie jej numer telefonu?

- Tak, ale jest zastrzeżony. A może moglibyśmy przesłać jej list od pana?

Napisał list jeszcze tego samego popołudnia i podarł go wieczorem. Rano jeszcze raz usiadł do pisania. Tyle miał jej do powiedzenia, do wyjaśnienia. Nie o zniknięciu, bo to akurat było najłatwiejsze. Ale o ich związku. A to było najtrudniejsze.

O ich dwojgu? Gdy myślał o Afryce i wszystkich rzeczach, które tam się wydarzyły, wspomnienia pojawiły się jak halucynacje. Spadanie helikoptera po rozerwaniu płatów wirnika. Zbliżająca się ziemia. Mały kocyk z pszczoł żerujących na jego piersiach. Kate.

W końcu okazało się, że napisał list bardziej do siebie niż do Kate. List ciągnął się na strony, dni... Pisał nie tylko o swoich uczuciach do niej, ale także o problemach z własną tożsamością. Kim był? Kim chciał być? Co było dla niego ważne? A co nie? Im więcej o tym myślał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że wszystkie odpowiedzi związane były z Kate.

Obdzwonił wszystkie szpitale w Dublinie.

- Czy pracuje u was doktor Aherne?

- Tak, pracuje. Jest wielu lekarzy o nazwisku Aherne. Ortopedzi, pediatrzy i lekarze rodzinni. Mary, Rory i Declan... O kogo panu konkretnie chodzi?

Znalazł ją wreszcie w szpitalu Meath Street. Nowa książka telefoniczna szpitala zawierała nazwisko Katherine Aherne - lekarza na oddziale urazowym. Miała zacząć pracę dopiero za dwa, trzy tygodnie. A gdy już zaczęła, recepcjonistka powiedziała, że prawdopodobnie przez jakiś czas będzie miała dyżury nocne i weekendowe. - No wie pan, tak właśnie łamiemy nowych - wyjaśniła. W pewnym sensie poczuł ulgę, że nie mógł jej złapać. Miała zbyt wiele do powiedzenia, a jeśli ona rzuci słuchawką?

W liście mógł wyrazić to, co chciał. I zrobi to, gdy do tego dojrzeje.

W międzyczasie przeszedł operację plastyczną w szpitalu Sibley. Z bliznami na klatce piersiowej i barkach niewiele można było zrobić, ale lekarze przynajmniej sprawili, by jego ucho, albo raczej to, co z niego zostało, było „estetycznie akceptowalne”.

Dziwny czas. Rano chodził na siłownię i grywał w koszykówkę. Popołudnia spędzał zwykle czytając gazety i pijąc kawę w ogródku kawiarnianym przy ulicy Foster Brother lub włócząc się po muzeach. Grywał też w pokera w pubie James McLeod's późnym wieczorem w czwartki - i to chyba były wszystkie próby powrotu do normalnego życia w społeczeństwie.

W jakiś sposób rozeszła się wiadomość o jego powrocie i wydawcy zaczęli wydzwaniać z propozycjami. F-Stop miał dla niego zlecenie na komercyjny katalog o Patagonii: trzy dniowy wyjazd do Chile i podróż przez Torres del Paine. Czy był tym zainteresowany? Zastanawiał się przez godzinę. Potem złapał samolot.

Tej nocy leżał na rozłożonym fotelu przy oknie, patrząc w ciemność nad Atlantykiem rozpościerającym się kilka kilo metrów poniżej. Rano, na lotnisku Heathrow, przesiadł się do innego samolotu i po południu wylądował w Dublinie. Różnica czasu sprawiła, że kręciło mu się w głowie, więc wynajął pokój w tanim hotelu przy Grafton Street i położył się spać. Obudził się pięć godzin później, poszedł do szpitala Meath Street i usiadł w poczekalni oddziału urazowego. Kolejnej nocy to samo. I następnej. W końcu pielęgniarki zlitowały się nad nim i podały mu nazwę dzielnicy, w której mieszkała doktor Aherne Dalkey. „Tam, gdzie mieszka Bono” - powiedziały.

Łatwo było już ją znaleźć, ale jeszcze przez weekend chciał doprowadzić się do porządku. Następny tydzień spędzili na wzajemnych zalotach. Dwa tygodnie później pobrali się.

Staruszek musiał się zgodzić. Ogólnie nie miał nic przeciwko Amerykanom, a Burke'a polubił i to

nie tylko za to, że zgodził się zamieszkać w Dublinie tak długo, jak Kate będzie chciała. Wkrótce Burke zaczął pracować z teściem, pomagając mu przy zakładaniu spółek i firm. Po roku pracy na oddziale urazowym Kate została ordynatorem. Życie zapowiadało się wspaniale. Zaczęli nawet rozmawiać o dziecku.

Potem przyszła sepsa.

ROZDZIAŁ 7

Gdy Kate umarła...

Staruszek przestał przychodzić do kancelarii. Po pewnym czasie odszedł księgowy i zaczął pracę w Rathmines, w rozwijającej się firmie tworzącej oprogramowanie. Potem Fiona, dziewiętnastoletnia recepcjonistka, odjechała gdzieś w kierunku Ibizy, pozostawiając Burke'a w kilkupokojowym biurze, które Staruszek w ogóle przestał odwiedzać.

To nie może tak dłużej trwać, powiedział do siebie Burke. Nie ze Staruszką pijącym w samotności nawiedzonego domu ze zbyt wieloma schodami i wspomnieniami. Nie z firmą przynoszącą tak mały dochód. I nie ze mną, myślał, któremu dni przeciekają przez palce jak woda.

Prawda była jedna: Kate odeszła i już nie wróci. I to był fakt.

I nie tylko fakt. Była to okoliczność tak przytłaczająca, że tworzyła własne wymiary. Dla Burke'a i Staruszka brak Kate był długością i szerokością, nieskończonymi jak przestrzeń kosmiczna, lecz jednak czymś realnym i pustym. I może nawet dla Staruszka był czymś więcej. Czarną dziurą, która zaczęła go pochłaniać.

O szyby zaczęły uderzać krople deszczu.

Burke zamrugał. Wspomnienia rozplynęły się i powrócił do rzeczywistości. Na rogu ulicy zatrzymała się taksówka, pozostawiając przy krawężniku jakiegoś człowieka. Mężczyzna rozglądał się, jakby chciał zorientować się, gdzie jest. To; d'Anconia, pomyślał Burke. To na pewno on.

Odszedł od okna i usiadł za antycznym drewnianym biurkiem, za którym wcześniej zasiadał Staruszek. Wszystkie niezbędne formularze czekały już w kopercie. Na skraju biurka, oprawione w srebrną ramkę, stało zdjęcie Kate. Była ubrana w chirurgiczny fartuch i stała w kałuży błota, paląc papierosa przed wejściem do szpitalika w Porkpa.

Burke nasłuchiwał kroków d'Anconii na schodach, lecz nie dochodził do niego żaden hałas. Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę. - Burke wstał, oczekując kogoś w rodzaju bohatera, których grywał zwykle Peter Lorre.

Lecz jego gość nikogo takiego nie przypominał. Był zaledwie o kilka lat starszy od Burke'a i wystarczająco przystojny, żeby zostać gwiazdorem. Miał długie czarne włosy rozrzucone na plecach jakby w artystycznym nieładzie. Kwadratowy zarys szczęki, białe zęby, wydatny nos, oliwkowa karnacja skóry i kilkudniowy zarost na twarzy miały zapewne sugerować, że zupełnie nie dba o swój wygląd. Jednak kapelusz firmy Borsalino był tego zaprzeczeniem, podobnie jak kaszmirowy płaszcz i modny jaskrawy szal.

- Francisco d'Anconia - przedstawił się gość i zamknął za sobą drzwi.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Mike Burke. Coś do picia?

D'Anconia rozsiadł się wygodnie w klubowym fotelu, strząsnął z kapelusza krople deszczu i

położył go na kolanach.

- Nie, dziękuję - odpowiedział. Rozejrzał się dookoła i ruchem głowy wskazał kilka fotografii na ścianie.

- Ładne zdjęcia.

- Dziękuję.

- Sam pan je zrobił?

Burke przytaknął. D'Anconia pokiwał głową.

- A to? - zapytał, wskazując na zdjęcie malowniczego wąwozu. Jego pokryte mgłą brzegi przechodziły w skalne gołoborza tworzące tunel, którym płynęła dzika górską rzeką.

- To wąwóz Tsangpo - odpowiedział Burke, nie odwracając nawet głowy.

- Gdzie to jest?

- W Tybecie.

D'Anconia wyjął z kieszeni płaszcza paczkę papierosów i stuknął nią o nadgarstek.

- Jedna z rzeczy, którą lubię w Europie - zaczął - to, że można tu jeszcze sobie zapalić. - Zrobił pauzę. Zapalił. Wydmuchał dym. I zmarszczył czoło. - Spodziewałem się pana, jak on się nazywa... Tego faceta z tabliczki. Aherae.

Z piersi Burke'a wydobyło się ciężkie westchnienie.

- Tommy źle się czuje - odpowiedział. - Nie jest już zbyt młody. D'Anconia uniósł brwi zdumiony.

- Więc pan jest... kim? Burke podsunął mu wizytówkę.

- Wspólnikiem.

- Nie to miałem na myśli - rzekł d'Anconia. - Ma pan amerykański akcent.

- Jestem Amerykaninem. Mam podwójne obywatelstwo.

- A jak można je zdobyć?

- Mój dziadek pochodził z regionu Connemara w Irlandii.

- I to wystarczy, żeby zostać Irlandczykiem? - zapytał d'Anconia. Burke wzruszył ramionami.

- Trzeba złożyć aplikację, ale to raczej automatyczna procedura. Poza tym moja żona była Irlandką, więc... - nagle zmienił temat. - A pan? Długo pan już tu mieszka?

- Nie. Dopiero przyjechałem.

- No tak, ale pewnie zostanie pan tu na dłużej, skoro ma pan sprawy w Dublinie.

D'Anconia potrząsnął głową.

- Raczej nie. To tylko przerwa w podróży. Wylatuję jutro rano.

- Więc lepiej weźmy się do pracy. Burke sięgnął po kopertę i otworzył ją.

- Nie zapytałem, jak pan do nas trafił. Staruszek będzie chciał wiedzieć.

- Staruszek?

- Pan Aherae. D'Anconia chrząknął.

- Widziałem ogłoszenie w gazecie „Aer Lingus”. Było w dziale drobnych ogłoszeń.

- W porządku. Z ogłoszenia! Cieszę się, że mamy z nich jakiś pożytek - przyznał Burke - bo są cholernie drogie. - Wyjął formularze z koperty i położył je na biurku. - Co się panu stało w ucho?

To niespodziewane pytanie sprawiło, że Burke uśmiechnął się mimowolnie. Zupełnie jakby pytało dziecko. - Miałem wypadek - odpowiedział.

- Jaki wypadek?

- Helikopterowy. Paliwo przedostało się do kabiny i wybuchło. - Prawą ręką wykonał gest, jakby

siał zboże. - Poparzyło mnie.

- Musiał pan mieć dobrego chirurga - stwierdził d'Anconia. - Trzeba naprawdę dobrze się przyjrzeć, zanim coś się zauważy.

Burke znowu zmienił temat.

- Gdy rozmawialiśmy przez telefon, wspomniał pan, że zależy panu na poufności. D'Anconia skinął głową.

- W takim przypadku - rzekł Burke - spółka z ograniczoną odpowiedzialnością jest tą formą, która będzie najkorzystniejsza. Z siedzibą na wyspie Man.

- Wyspa Man? - zdziwił się d'Anconia.

- Ta wyspa znajduje się na Morzu Irlandzkim. Obowiązuje tam jeszcze najstarsze ustawodawstwo na świecie. To bardzo ładne miejsce. Ma wiele zabytków.

- Ale należy do Wielkiej Brytanii? Burke pokręcił głową.

- To niepodległe państwo, a Wielka Brytania zajmuje się jedynie obronnością i polityką zagraniczną.

Po oczach d'Anconii można było poznać, że nie jest zbyt zadowolony z tego rozwiązania.

- Gdy rozmawialiśmy przez telefon, dałem panu do zrozumienia, że zależy mi na założeniu firmy w Irlandii. Zakładałem, że...

- Jeśli tak pan chce, to, oczywiście, tak zrobimy - odpowiedział Burke. - Ale jeśli zależy panu na pełnej poufności, to siedzibą spółki powinna być wyspa Man, a nie Irlandia.

- Dlaczego?

Ponieważ - wyjaśnił Burke - w odróżnieniu od Irlandii, władze wyspy Man nie wymagają ujawnienia osoby mającej prawo do korzystania z majątku spółki. A to oczywiście jest najwyższą formą poufności jaką można sobie wyobrazić, bej nie można wyjawic nazwisk, których się po prostu nie zna. D'Anconia zastanawiał się nad tym.

- A może spółka w Panamie? Burke uśmiechnął się.

- Oczywiście, zawsze zostaje nam Panama. I Wanatu! Istnieje jeszcze kilka tuzinów śmiesznych krajów, w których można założyć firmę. One zawsze chętnie przyjmą każde pieniądze, dadzą pozwolenie na otworzenie konta bankowego zrobią dla pana wszystko. Lecz nie oferują poufności - i w rzeczywistości te kraje, a także spółki w nich zarejestrowane przyciągają uwagę. A taka wyspa Man jest częścią Europy I choć nie należy wcale do Wielkiej Brytanii, jest „brytyjska” Rozumie pan?

D'Anconia zastanawiał się przez chwilę.

- Dobra. Niech tak będzie. Burke wziął do ręki długopis.

- Będę potrzebował paru informacji. I czek na tysiąc trzysta euro.

- Czy może być gotówka?

- Oczywiście.

- I co za to dostanę?

- Spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością zarejestrowaną na wyspie Man, chronioną na wszelkie możliwe sposoby! Dostanie pan oficjalnego przedstawiciela w Dublinie - czyli nas - i konto czekowe z depozytem w wysokości pięciusej euro.

D'Anconia wyglądał na zadowolonego.

- W którym banku?

- Cadogan.

- Z siedzibą... gdzie?

- Na Channel Islands - wyjaśnił Burke.

- I jaki to bank? Brytyjski? Burke wzruszył ramionami.

- Tak, brytyjski - odpowiedział, ironicznie akcentując słowo „brytyjski”. D’Anconia uśmiechnęła się.

- Jest z tym trochę papierkowej roboty - kontynuował Burke - zaświadczenia o liczbie udziałów, umowa spółki oświadczenia o nominowaniu na stanowiska.

- Jakim nominowaniu na stanowiska?

- Chodzi o nominacje na papierze. Nazwiska - wyjaśnił Burke. - Gdy otwiera się spółkę, ktoś musi zostać jej dyrektorem..

- Rozumiem. Ale w rzeczywistości to kim oni są? Nikt nie zadawał mu do tej pory takich pytań.

- Chodzi panu o to, czym się zajmują, w czasie, gdy nie są nazwiskami” w protokołach?

D’Anconia skinął głową.

- Robią wiele różnych rzeczy. Bycie „nazwiskiem” jest takim zarobkiem z doskoku. To taki bonus, że jest się obywatelem wyspy Man - wskazał na jedną z kartek leżących na stole. - Na przykład Amanda Greene. Jest całkiem atrakcyjną kobietą. Inteligentną. Straciła męża...

D’Anconia powstrzymał go ruchem ręki.

- Jestem pewien, że to interesująca historia - wtrącił - ale chodzi mi o to, czy dostaje pieniądze za to, że pozwala wykorzystywać swoje nazwisko?

Przez chwilę Burke nie odpowiadał. Bezceremonialna szczerłość d’Anconii była dla niego zaskoczeniem, niczym znalezienie igły w stogu siana.

- Tak - odpowiedział. - Ma stanowisko dyrektora i spółka płaci jej sto euro za kłopot.

- Co roku?

- Nie - odpowiedział Burke. - Jednorazowo. D’Anconia kiwnął w zamyśleniu głową.

- A ile ona wie o spółce?

- To tylko nazwisko. Właśnie sobie przypomniałem, że będzie panu potrzebna jakaś nazwa spółki. Może być mi trudno to załatwić, ale spróbuję.

D’Anconia wyglądał na zamyślonego.

- Zastanawiałem się nad... A co pan powie o Twentieth-Century Motor Company? Czy mógłby mi pan załatwić taką nazwę?

- Spróbuję - odrzekł Burke zapisując tę nazwę na samoprzylepnej karteczce Post-It. Zawiesił nagle długopis w powietrzu - - Powiedział pan: Twentieth-Century Motor Company?

- Właśnie.

- Czy to nie jest zbyt archaiczna nazwa? D’Anconia wzruszył ramionami.

- No dobrze - ciągnął Burke - zresztą to i tak nie ma wielkiego znaczenia. Połowa spółek, jakie rejestrujemy, ma dziwne nazwy: Two-One-Two Corporation albo ABX.

D’Anconia znowu zadał pytanie:

- Powiedział pan, że potrzebny jest jakiś protokół mianowania na stanowisko?

- Tak. W protokole potwierdza się powołanie nowej spółki) oraz umieszcza się klauzulę, że dyrektorzy nie wnoszą żadnych roszczeń wobec aktywów spółki. I nie wniosą takowych po odwołaniu. I zawsze mogą być odwołani. Pakiet, który pan dostanie, będzie zawierał ich rezygnacje z pełnienia funkcji - podpisane, ale bez daty.

- A co z kontem bankowym? Czy nominowana osoba może...? Burke pokręcił głową.

- Nie. Tylko sygnatariusz umowy spółki. No właśnie. Będzie mi potrzebny pański paszport.

- Mój paszport?

- Dla banku.

- A co ma do tego bank?

- Muszą wiedzieć, kim pan jest - wyjaśnił Burke. - Ktoś wchodzi do banku i podaje się za pana...

bank musi być pewien Proszę mi zaufać, to panu powinno zależeć, żeby bank miał tę pewność.

D'Anconia wyjął paszport z kieszeni płaszcza i przesunął go po blacie biurka. Kolory okładki zdziwiły Burke'a. Niebiesko-złota. Chilijczyk? - zastanawiał się.

- Chwileczkę - Burke wstał i podszedł do kopiarki w rogu gabinetu. Włączył ją. Po chwili rozbłysło światło skanera. Odwrócił kartki paszportu na stronę z danymi osoby" którą należy zawiadomić w razie wypadku, gdzie wpisano ołówkiem adres w Santiago. Kopiarka rozświetliła się po raz drugi.

- Czy to już wszystko? - zapytał d'Anconia. - Wszystko załatwione?

- Prawie - odpowiedział Burke. Wrócił za biurko, oddał paszport swojemu klientowi i usiadł.

- Diga me, es suprimier viaje a Irlanda?

Przez moment d'Anconia nie poruszył się. Odchylił głowę w bok, wytrzymał długie spojrzenie Burke'a, które wydawało się trwać wieczność. W końcu odrzekł: - Si, vale. Primer tiempo.

Burke uśmiechnął się. Akcent faceta był prawie tak hiszpański, jak rolady kalifornijskie były podobne do sushi. I - Tak. To piękny kraj.

- Więc do dzieła - odpowiedział d'Anconia. Sięgnął do płaszcza i wyciągnął gruby skórzany portfel. Odliczył trzynaście banknotów po sto euro i rozłożył je w kształcie wachlarza na stole.

Burke zebrał banknoty i schował je do kasetki w dolnej szufladzie. Wypełnił pokwitowanie i wręczył d'Anconii.

- Czy mogę przesyłać wszystkie papiery na pana adres w paszporcie? Do Santiago? D'Anconia zastanowił się przez chwilę i potrząsnął głową.

- Nie będzie mnie tam przez dłuższy czas. Ale będę potrzebował danych nowego konta jak najszybciej - kodów dostępu do usług on-line i innych spraw. Najlepiej będzie, jeśli prześle mi pan to wszystko do mojego hotelu.

Burke skrzywił się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Do hotelu...?

- ...to jedyny konkretny adres, jaki mogę teraz panu podać. Będę w Belgradzie, w hotelu Esplanade, przez jakieś dwa tygodnie.

Burke sapnął i zanotował.

- Problem w tym, że będę przysyłał sporo korespondencji. D'Anconia zmrużył oczy, okazując zdziwienie.

- To nieuniknione. Ale listy i wyciągi mogę wpisywać do księgi korespondencji i pozostawiać u nas w teczce „Poczta Wstrzymana”. Klienci, którzy nie chcą, by firma kiedykolwiek się z nimi kontaktowała, zakładają teczkę Poczty wstrzymanej i sami w odpowiednim momencie zwracają się do firmy o wydanie „wysłanej” korespondencji. Takim klientom chodzi o to, by o ich ukrytych aktywach nie dowiedziały się żony, wierzyciele i organizacje rządowe.

- Doskonale - ucieszył się d'Anconia.

- No tak, ale będzie musiał pan kontaktować się z nami od czasu do czasu. Trzeba płacić podatek roczny. Jeśli się go nie opłaci, to firma traci reputację. - Burke zauważył, że d'Anconia przestał go słuchać. Może w ogóle nie zależało mu na tym, co się będzie działo z firmą. Może użyje jej tylko do

jednej transakcji. A potem porzuci. Jeśli nawet tak będzie, tof Burke i tak nic na tym nie straci. Uśmiechnął się i wstał, sygnalizując, że to koniec spotkania. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i d'Anconia wyszedł.

Burke potrząsnął w zamyśleniu głową i uśmiechnął się smutno. Podeszedł do okna i obserwował, jak jego klient wyszedł, z kamienicy i skulił ramiona, chroniąc się przed deszczem.

Albo chce uciec od płacenia podatków, albo oszukać władze, pomyślał Burke. Jakkolwiek by było, to i tak nie jego sprawa. Niech urząd skarbowy sam sobie z nim radzi, a on, Burke, po prostu wykona swoją pracę.

Było coś w tym d'Anconii, co mu się nie spodobało i wcale nie chodziło o jego pochodzenie. Rzecz, która zafrapowała Burke'a, była związana z nazwiskiem. Wydawało mu się skądś znajome, jakby było nazwiskiem jakiejś dosyć znanej osobistości.

Może jest kimś sławnym, pomyślał Burke. Może jakimś aktorem?

Wyobraził go sobie jako lekarza w serialu telewizyjnym - błyskotliwy młody chirurg, który dla zabawy zabija przypadkowego pacjenta.

ROZDZIAŁ 8

BAALBEK, LIBAN 18 STYCZNIA 2005

Wilson stał oparty o ścianę, obserwując jak Arabusy zanurzają puszki w beczkach z benzyną, jedna po drugiej. Cały dzień siedział w tym magazynie, więc jego ciuchy, włosy, skóra, wszystko, co miał na sobie, przesiąkło zapachem benzyny. Czuł ją nawet w ustach. Był wkurzony, bo chciał sobie zapalić. Ale nawet jakby wyszedł na zewnątrz, to i tak nie mógłby puścić dymka, bo spłonąłby momentalnie jak rasa sygnałowa.

Kolejna rzecz, która go frustrowała, to jego „opiekunki do dzieci”: Zero i Khalid. Mieli po dwadzieścia lat, nosili buty, dżinsy i amerykańskie T-shirty z angielskimi napisami, a także półautomatyczne karabinki Heckler & Koch. Wszędzie za nim się snuli, przez tego Hakima, a to wkurzało go najbardziej. Jeden z nich prawie wcale nie mówił po angielsku, za to drugi całkiem nieźle sobie radził. Prawdziwym problemem było to, że obydwaj koniecznie chcieli zostać jego przyjaciółmi. Chcieli wyjechać do Ameryki! Ciągłe się o nich potykał, wciskali się gdzie się dało, a ich debilnie uśmiechnięte twarze wyglądały, jakby chcieli powiedzieć: „Śmierć Ameryce, ale nie tobie, mój przyjacielu! Dla ciebie falafel! A dla nas zielone karty!”.

Próbował dyskutować z Hakimem:

- Nie potrzebuję ochroniarzy, a na pewno nie dwóch i do tego takich głupio mądrych!

Ale Arab nalegał i może nawet miał rację. Pod płaszczykiem galijsko-arabskiej spuścizny cywilizacyjnej Liban był tak naprawdę skrzynią z prochem. Zawsze był i zawsze będzie. A Baalbek był zapalnikiem.

To obsrane przez muchy miasto leżało na skrzyżowaniu dróg w Dolinie Bekaa, u stóp rozległego wzgórza, na grzbiecie którego znajdował się stary fort, mieszczący obecnie koszary szejka Abdullaha. Właśnie w tym miejscu w latach osiemdziesiątych XX wieku przetrzymywano amerykańskich zakładników przykutych do kaloryferów. Hakim chciał mu pokazać ich cele, ale nie mieli za dużo wolnego czasu. Poza tym Hakim nie za bardzo ufał syryjskim jednostkom wywiadu, które miały tam obecnie swoją siedzibę. W sumie szkoda, bo Wilson wiedział co nieco o więzieniach i był zainteresowany zwiedzeniem tych cel, nawet próbował je sobie wyobrazić. Czy zakładnicy widzieli z okien ruiny po drugiej stronie drogi? Ich widok mógł być pokrzepiający, bo wyglądały niesamowicie i pięknie.

Z inżynierskiego punktu widzenia ruiny były wręcz niezwykle. W hotelu leżały broszury na ich temat. Można było w nich przeczytać, że są to pozostałości sanktuarium z czasów rzymskich. Centralnym budynkiem sanktuarium była Świątynia Jowisza, tak olbrzymia, że jej fundamenty musiały być bardzo szerokie i głębokie, przez co pochłonęły zapewne więcej kamienia niż Wielka Piramida w Gizie.

Teraz pozostała z niej tylko kupa kamieni. Jej pięćdziesiąt kolumn leżało porozrzucanych w zaroślach niczym zwalone pnie drzew skalnego lasu.

Rzymianie nazywali to miejsce Heliopolis. Miasto Słońca. W broszurze napisano, że to właśnie tutaj, na szlaku handlowym między Damaszkiem a Tyrem, apostoł Paweł zobaczył Światło. Można by sądzić, że z tej okazji będzie tam umieszczona jakaś tabliczka lub coś w tym rodzaju, ale nic z tego. W tym miejscu na słupie telefonicznym wisiał plakat zapowiadający coroczny letni festiwal muzyczny, który odbywał się w ruinach. Gwiazdami tegorocznego mieli być Björk i Sting.

Magazyn, w którym Wilson tęsknił za papierosem, zbudowano z prefabrykowanych płyt. Miał powybijane okna i rdzewiejące spawy. Stał z dala od szosy, na sporej działce o żwirowatej nawierzchni. W środku było chłodno, poza chwilami, gdy pracowali spawacze.

Magazyn mieścił tonę haszu - wysokiej jakości marihuany. Hodowano ją na lokalnych plantacjach, które chronione były kontaktami Hakima w Ministerstwie Obrony. Mimo pracy taśmowej, jak w fabryce, przygotowanie do wysyłki jednej paczki zajmowało dużo czasu. Każda ważyła po pół kilograma i musiała być tak zapakowana, żeby nie można było jej wykryć na granicach. Haszysz był zatem umieszczony w foliowych torebkach, które następnie przecierano gąbkami nasączonymi benzyną.

Gdy torebki wyschły, kolejna grupa robotników przewoziła je na wózkach na drugi koniec magazynu, gdzie wkładano je pojedynczo do płaskich puszek. Puszki przenoszono następnie do osobnego pomieszczenia, gdzie były przecierane benzyną i pakowane do jeszcze większych pojemników, które później wypełniano stopionym woskiem i zalutowywano. Po ostatnim zanurzeniu w benzynie, puszki układano na dnie dwustulitrowych cylindrycznych beczek. Podnośnik widłowy przewoził je do większego pomieszczenia na dalekim końcu magazynu, gdzie wewnątrz każdej beczki, tuż nad puszkami z haszyszem, montowano dodatkowe metalowe dno. Cylindry były potem napełniane około stu osiemdziesięcioma litrami melasy z granatów i szczelnie zamykane. Na końcu na beczkach malowano farbą napis: Melasa z Libanu.

Wilson wyliczył, że aby spakować cały transport haszyszu, potrzebne będzie ponad dwieście beczek. I gdy już skończą, żaden pies wykrywający narkotyki nawet nie szczerknie w ich pobliżu.

*

Tego wieczoru Wilson jadł obiad z Hakimem. Chociaż był już w Libanie prawie od tygodnia, to za każdym razem rozmawiał z nim zaledwie po kilka minut. Do Baalbek dotarli w osobnych samochodach, jadąc na północ krętą drogą wiodącą po dnie suchej i wypalanej słońcem doliny Bekaa, wciśniętą pomiędzy górskie łańcuchy. Już na miejscu Wilsona pozostawiono samemu sobie (i jego opiekunom), Hakim zaś zajął się organizacją pakowania haszyszu.

Haszysz był ich nowym projektem i nieprzyjemną niespodzianką. Gdy siedzieli w więzieniu w Allenwood, Bo zapewniał go, że ze znalezieniem pieniędzy na zadanie Wilsona nie będzie żadnego kłopotu. W tym czasie działania militarne Hakima były dotowane przez jakiegoś księcia, który zajmował wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Rijadzie. W zamian za wsparcie finansowe księcia Hakim zobowiązał się do nieatakowania celów na terenie „Szczęśliwego Królestwa”. I dotrzymywał słowa.

To wszystko uległo zmianie po ataku na WTC jedenastego września. Księżę zginął w wypadku samochodowym (taka była oficjalna wersja głoszona przez Saudyjczyków), a źródło finansowania Hakima wyschło w ciągu jednej nocy. Gdy Wilson opuszczał więzienie, działania Hakima finansowane były ze środków pochodzących z podrabiania i kradzieży kart kredytowych, napadów na

banki, wymuszeń okupu i z handlu narkotykami.

Tak jak kiedyś Hakim współpracował z księciem z saudyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, tak teraz współpracował z generałem libańskiego Ministerstwa Obrony.

Dolina Bekaa upstrzona była polami z marihuaną, hodowaną na wielkich i nowoczesnych plantacjach. Plony zbierano traktorami i suszono w stodołach, rośliny rozdrabniano ręcznie, przesiewając przez sita z tkaniny, a powstające żywicowate drobinki dawało się już łatwo formować w bloki haszyszu.

Zadaniem Hakima było organizowanie pakowania i przetrzutu. Wtedy pojawił się Wilson. Wilson wolałby dostać walizkę banknotów i wrócić skąd przybył, by zrealizować swój plan. Zamiast tego okazało się, że sam będzie musiał zarobić pieniądze i to w najgorszy z możliwych sposób - wplątując się w trójkąt handlu narkotykami, bronią i diamentami.

Nie przejmował się kwestiami moralnymi. Był zupełnie ponad nimi. Bał się jedynie tego, że jego życie nagie zacznie zależeć od człowieka, który tak bardzo nienawidzi Amerykanów. Wszystko, co wiedział o Hakimie, pochodziło z opowiadań Bo. A Bo upierał się, że im mniej Wilson i Hakim wiedzieli o sobie nawzajem, tym lepiej dla nich obydwu. Jednak Wilsonowi udało się trochę dowiedzieć o swoim współbiedniku.

Według tego, co mówił Bo, „Aamm Hakim” był Jordańczykiem, islamistą który studiował na uniwersytetach w Iranie i Stanach Zjednoczonych. W latach osiemdziesiątych walczył w Afganistanie z Talibami przeciwko Rosjanom i z Hezbollahem przeciwko Amerykanom w Bejrucie. Gdy wojna domowa w Libanie wyciszyła się, założył własną organizację, która prowadziła operacje na zlecenie zagranicznych agencji wywiadowczych i innych organizacji, mogących w każdej chwili wszystkiemu zaprzeczyć.

- Czy Hakim i jego grupa byli członkami Al-Kaidy? - dopytywał się Wilson. Bo odwrócił kota ogonem.

Al-Kaida to nie to, co myślisz - odpowiedział. - Jest wielka Al-Kaida i mała Al-Kaida. Wielka Al-Kaida to bardziej sieć współpracy niż pojedyncza, zwarta organizacja. Tak jak Internet - to chmura ciągle zmieniających się połączeń bez centralnego dowództwa, luźny związek ludzi o jednakowych sympatiach. Niektórzy znają się nawzajem, ale większość nie.

- Czy twój wuj zna bin-Ladena? - zapytał Wilson. Pytanie było najwyraźniej niewygodne dla Bo, więc dał odpowiedź, z której nic nie wynikało:

- Oni nie nazywają go bin-Laden, tylko Kontraktor.

Strona „Najbardziej poszukiwani” witryny FBI przedstawiała zupełnie inną sylwetkę Aamma Hakima. Według materiałów biura współbiednik Wilsona był Egipcjaninem i nazywał się ne Hakim Abdul-Bakr Mussawi, znany był też jako Ali Hussein Musalaam, Ahmed Izz-al-Din i pod kilkoma innymi nazwiskami.

Miał dyplom uniwersytecki z księgowości i był „domniemanym szefem operacji militarnych Koalicji Uciśnionych Świata”.

Wilson kliknął na link podany przez FBI, gdzie wyjaśnione były ideologie rozmaitych odłamów Al-Kaidy. Koalicja składała się z dżihadystów Salafi, którzy wierzyli, że wykorzenie nowoczesności z życia pozwoli na odrodzenie Islamu i powrót wszystkich narodów islamskich na całym świecie na jedną słuszną drogę Islamu. Stronnicy dżihadu z odłamu Salafi nie odrzucali rozwoju technologicznego jako takiego, lecz zachodnią, a szczególnie amerykańską, hegemonię kulturową. Wokół prawdziwych wyznawców w centrum Koalicji - czytał Wilson - krążyła płatni

najemnicy i szeregowi bojownicy. Według strony Koalicja była odpowiedzialna za ataki na amerykańskie obiekty w Afryce Zachodniej i na

Dalekim Wschodzie.

*

Wilson i Hakim siedzieli w sali restauracyjnej hotelu Dumas, podupadłym relikwie dawnych czasów o wysokich sufitach i zakurzonych żyrandolach. Pokoje hotelowe były kompletnie wysłużone. Drewniane łóżka, w które zostały wyposażone, bardziej przypominały palety do składowania towarów. W czasach świetności hotel gościł Josephine Baker i

Charles'a de Gaulle'a. To było kiedyś. Teraz miejski kurz i brud wzięły we władanie i to miejsce. Rury chrzęściły, drzwi skrzypiały. Ręczniki i dywany były wytarte. Ale jedzenie smakowało wyśmienicie.

Poza popijającymi herbatę Zero i Khalidem, siedzącymi przy stoliku obok drzwi, Wilson i Hakim byli tu sami. Wydawało się wręcz, że byli jedynymi gośćmi hotelowymi, choć Wilson nie do końca był pewien, czy to przypadek, czy też starannie to zaaranżowano.

Wilson przestał już się przejmować tym, że Hakim zamówił butelkę wina i celebrował rytuał picia. Pomimo wynikającego z nakazów islamu zakazu spożywania alkoholu przez Arabów. Hakim uwielbiał dokładnie studiować nalepkę, powąchać lekko korek i, niczym arbiter na degustacji, smakować próbkę nalaną przez kelnera do kieliszka.

Hakim oblizał usta, skinął głową i oddalił kelnera. Napelnił swój kieliszek, a później Wilsona.

Hakim chyba czytał w jego myślach. Trzymając kieliszek pod światło, rozbijał wino wolnym, okrężnym ruchem ręki. W końcu wziął mały łyk.

- Jestem takfiri - wyjaśnił niskim, pewnym siebie głosem. - Znasz to słowo? Wilson zaprzeczył ruchem głowy.

- Dla takfiri nie istnieją żadne reguły. Wino, dziewczyny, nawet wieprzowina - do wszystkiego mamy prawo. Nic nie jest haram.

- To super - skomentował Wilson. Hakim zignorował jego sarkazm.

- To nie jest „super”. Dla nas wszystko jest inaczej. I tak musi być.

- Dlaczego?

- Bo prowadzimy wojnę - odpowiedział - i jesteśmy na tyłach wroga. - Wypowiedział to zdanie jakby tłumaczył coś oczywistego. - Dla nas grzech jest rodzajem kamuflażu.

Wilson skinął ze zrozumieniem głową.

- Sprawia, że staję się niewidoczny - dodał Hakim. Wilson zrozumiał ideę, ale jej nie kupił. Po tygodniu w Libanie było dla niego oczywiste, że Arab wiedział, jak się dobrze zabawić, cokolwiek by Koran na to mówił. Już drugiej nocy w Bejrucie Hakim upił się w barze hotelu St. Georges, po czym wszedł w towarzystwie drogo wyglądającej dziewczyny, która mogłaby być jego wnuczką. Czy to też był niezbędny kamuflaż?

Cokolwiek by się działo, nie można było Hakimowi odmówić tego, że poświęcał się sprawie, ale i też bieżąc realizowanemu planowi. Jakkolwiek byłby sceptyczny wobec współpracy z Amerykaninem, jakkolwiek mógłby wątpić w realizację i powodzenie planu Wilsona, to trzeba było przyznać, że do tej pory spełnił każdą złożoną obietnicę. A dlaczego niby miałby nie dotrzymać słowa? - myślał Wilson. Przecież Arab nie robił tego dla śmichówchichów. Jak spotkają się w Antwerpii, Hakim odejdzie ze swoją działką wynoszącą siedemdziesiąt procent wartości transakcji. Więc jeśli nawet Wilson nie zrealizuje własnego planu, to Hakim i tak zarobi kupę pieniędzy. A

Wilson będzie ponosił pełną odpowiedzialność.

Hakim wypił cały kieliszek i nalał sobie następny. Podszedł kelner rozpluwający się w uśmiechach i zastawił stół mnóstwem potraw. Hakim wypił wino w taki sposób, że mogło się wydawać, że nawet nie poruszył dłonią z kieliszkiem.

- Nie opowiedziałeś mi nic o Belgradzie - zaczął Hakim. Wilson wzruszył ramionami.

- Niewiele jest do powiedzenia. Zrobiłem to, o co mi chodziło i tyle. Padał śnieg.

- I potem przyjechałeś tutaj - stwierdzenie nie brzmiało jak pytanie, ale de facto nim było.

- Nie - odpowiedział Wilson, zastanawiając się, jak dużo Arab wiedział. - Najpierw pojechałem nad jezioro Bied. Dopiero potem przyjechałem tutaj.

- Jezioro Bied?

- W Słowenii.

Kiwając głową, Hakim oderwał kawałek pity i, używając jej jak łyżeczki, nabrał baba ghanoush i włożył sobie do ust.

- A co takiego ciekawego jest w Słowenii?

- Notatnik.

- O tak, ten słynny notatnik! Bo mi o tym opowiadał. Znalazłeś go? Wilson skinął głową.

- Tak. Nawet kilka notatników.

Hakim uśmiechał się, zachęcając do dalszej wypowiedzi, mężczyznę po drugiej stronie stołu. Właściwie nie rozumiał, co ten Amerykanin chciał zrobić. Bobojon wyjaśniał mu pomysł Wilsona miesiające temu, ale według niego było to zupełnie bez sensu. Akcja miała coś wspólnego z jakimś zwariowanym naukowcem Tesla, który nie żył już od pięćdziesięciu lat. I z zagubionymi książkami. Bomba, która nie była bombą. Z tego, co mówił jego siostrzeniec, zrozumiał, że Amerykanin miał zrobić coś, co „zatrzyma motor napędzający świat”. Hakim,; zaśmiał się. „Motor napędzający świat!”.

- Co w tym takiego śmiesznego? - spytał Wilson. Arab pokręcił głową.

- Myślałem o czymś innym - skłamał. Nie chciał obrażać jk Wilsona. Nawet jeśli był wariatem, to został przetestowany - i zdał. Jest zatem poważnym facetem i trzeba podtrzymywać jego dobry nastrój, choćby ze względu na Bobojona. Bobojon był zajęty poważną robotą. A poza tym Hakim potrzebował kogoś do transportu haszu.

- Mam dla ciebie dobre wiadomości!

- Jakie? - zapytał Wilson, starając się nie tworzyć wrażenia podejrzliwości tonem swojego głosu.

- Jutro pojedziesz do Trypolisu.

- Do Libii? - zdziwił się Wilson. Hakim pokręcił głową.

- Nie ten Trypolis - odrzekł. - W Libanie też jest Trypolis, osiemdziesiąt kilometrów na północ od Bejrutu. To nasz główny port. Wszystko wysyłamy właśnie tamtędy. Melasę też.

Zaskoczenie Wilsona minęło.

- Załatwiłem samochód. Wyjedziesz rano.

- A oni? - ruchem głowy wskazał swoich opiekunów. Hakim odwrócił się i pomachał ręką do chłopców, których twarze rozświetliły się radosnymi uśmiechami.

- Oni jadą razem z beczkami.

- A później?

- Później też.

Wilson zatopił brzeg pity w miękkiej górcie humusu i włożył go do ust.

- A jak już będę w Trypolisie, to jak znajdę statek?

Z tym nie będzie problemu - odpowiedział Hakim. - Stoi w porcie. Pod turecką banderą. Ma na sobie więcej rdzy niż farby. Nazywa się „Marmara Queen”.

- Czy oni się mnie spodziewają? Hakim wzruszył ramionami.

- Oczekują agenta transportowego firmy Aswan Exports. I to będziesz właśnie ty. I twoja melasa.

- A co z wizami?

- Nie potrzebujesz żadnych wiz. Spotkasz się z Belovem w dokach Odessy. Wprowadzi cię w szczegóły. Wszystko już załatwione.

Wilson zmarszczył brwi.

- O co chodzi? - spytał Hakim.

- Myślałem o tym Belovie - tłumaczył Wilson. - Czy mnie nie orznie? Może po prostu weźmie towar i się zwinie?

- Nie zrobi tego - odpowiedział Hakim.

- Dlaczego nie? A kto go powstrzyma? Zero i Khalid?

- Pewnie nie, ale powinieneś ich bardziej doceniać - ciągnął Hakim. - To dobrzy chłopcy.

Wilson zachichotał ze smutkiem.

- Wiesz o tym, że nie mam żadnego zakichanego pojęcia o broni? Hakim wzruszył ramionami.

- No i co z tego? My ciągle robimy interesy z Belovem - wyjaśnił. - Nie będzie próbował nas oszukać. To nie byłoby zbyt mądre z jego strony. A Belov jest bardzo inteligentny. Jest Rosjaninem, lecz współpracuje z Sharjah. A tam mamy pewne kontakty. Belov ma tam samoloty i kilka magazynów. Nie będzie ryzykował. Nie dla takiej ilości towaru - Hakim zbliżył palec wskazujący do kciuka, zostawiając małą szczelinę. - Jeśli nie mam racji, to będę pierwszym, który się o tym dowie.

- I tego się właśnie obawiam.

Hakim uśmiechnął się, włożył oliwkę do ust, obrał zębami miąższ i wypluł pestkę na podłogę.

- Wyjeżdżam z miasta na parę dni. Może się tak zdarzyć, że pierwszy dotrzesz do Antwerpii. Wynajmij pokój w hotelu De Witte Lelie. Zapamiętasz? Biała Lilia. Taki kwiat.

Wilson skinął głową.

- A potem co?

Gdy dojadę, pojedziemy na giełdę diamentów. Ty i ja. Robimy tam interesy z jednym Żydem - zamknął oczy i pol trzasnął głową, potem otworzył je i ciągnął dalej. - On weźmie diamenty, załatwi transfery pieniędzy. I tak jak ustaliliśmy: siedemdziesiąt na trzydzieści. Ty dostajesz trzydzieści procent.! A potem? Jesteś na swoim.

Wilson nabił na widelec kawałek pieczonej jagnięciny.

- A co z Bo?

Hakima zdziwiło to pytanie.

- A niby co ma być z nim?

- Czy on też przyjedzie?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego nie? - zapytał Wilson.

- Pracuje nad specjalnym projektem. Nawet ja się z nim nie spotykam. Wilson zamoczył kawałek pity w jakimś szarym puree i włożył go do ust.

- Co to jest?

- Tatar z jagnięciny. Wilson odłożył placek na bok.

- Co to za specjalny projekt?

Hakim zastanawiał się, czy odpowiedzieć na to pytanie. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

- Mój siostrzeniec zna się na komputerach. Pomaga rozwijać naszą telekomunikację.

- Jak?

Arab sączył wino, po czym ostrożnie odstawił kieliszek na stół. Złożył ręce i odpowiedział:

- Pozwól, że dam ci dobrą radę. Wilson podniósł głowę.

- Razem jesteśmy w tym biznesie - zaczął Hakim. - Ty i ja, i Bobojon. To dobrze. Lecz ty nie jesteś jednym z nas. I w ogóle lepiej, żebyś nie był tak bardzo ciekawy. Ludzie mogą się zdenerwować. Ja mogę się zdenerwować. A to mogłoby być dla ciebie całkiem nieprzyjemne - gdy Wilson milczał, Arab rozsiadł się w fotelu i zmarszczył brwi. - Powiedz mi. Dlaczego robisz to, co robisz?

Wilson przewrócił oczami, jakby chciał dać do zrozumienia, że odpowiedź jest dość skomplikowana. Hakim wycelował w niego palec.

- Wiesz co myślę? Myślę, że jesteś intelektualistą. Wilson uśmiechnął się szeroko.

- Jestem inżynierem - odpowiedział. - A to nie to samo.

- Oczywiście, ale gdy siedziałeś w więzieniu, mój bratanek powiedział, że w każdej wolnej chwili dużo czytałeś. Powiedział, że czytałeś Qutba. Czy to prawda?

- Tak.

Którą książkę?

- Kamienie milowe. Arab skinął głową.

- I co o niej myślisz?

Wilson zacisnął usta. Zanim został powieszony przez Egipcjanina Nassera, Sayyid Qutb był rewolucjonistą, który głosił konieczność powrotu do koranicznej czystości i do obalenia skorumpowanych reżimów arabskich. Jego poglądy, bardziej niż cokolwiek innego, wpłynęły na takich ludzi jak Osama bin-Laden.

- Myślę, że Qutb jest w porządku - odpowiedział Wilson - dla Arabów.

- A jeśli nie jest się Arabem?

- Ktoś inny szuka innych wzorców.

- Masz całkowitą rację - wykrzyknął Hakim. - Każdy lud powinien mieć własne! A ty? Jeśli nie Qutb, to kto?

Wilson wzruszył ramionami.

- Bobojon mówił, że masz w sobie indiańską krew - naciskał Hakim. Wilson nie odezwał się ani słowem.

- Wybacz - powiedział Hakim. - Nic nie wiem o Indianach. Tylko tyle, ile pamiętam ze starych filmów - przerwał na chwilę. - Ale powiedz mi, czy twoje plemię ma kogoś takiego jak Qutb?

- Moje „plemię”? - powtórzył Wilson. - Nie, „moje plemię” nie ma nikogo takiego jak Qutb. Nie mamy żadnych wersetów, pamfletów ani też „ognistych kul zemsty bogów”.

Hakim roześmiał się.

- Więc co macie?

- Lamenty.

- Lamenty? Wilson skinął głową. Tak. To taka kupa smutnych pieśni.

- I to wszystko?

- Nie - odpowiedział. - Mamy jeszcze Taniec Ducha. Hakim znowu się roześmiał i nalał po

kolejnej lampce wina.

- Smutne pieśni i tańce! Co za naród!

Sarkazm Araba ostro zagrał Wilsonowi na nerwach. Ale mimo nagłego przyływu adrenaliny, jego twarz pozostała niewzruszona jak zegar słoneczny. Dopiero po chwili odpowiedział:

- Nie znałem swoich rodziców. Zostałem wychowany przez przybranych rodziców. Nie mam żadnej historii - żadnej, którą mógłbym się dzielić. Ktoś powiedział, że pewnie jestem Indianinem, bo wyglądam jak Indianin. Lecz to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Byłem dzieckiem, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o Tańcu Ducha. Siedziałem w poczekalni u dentysty i przeczytałem o tym w jakimś piśmie.

- Tak? - Hakim był lekko zawstydzony, a może po prostu trochę pijany.

- To był jakiś artykuł. I zdjęcia mężczyzny zwanego Wovoka. Miał na sobie tunikę ducha ozdobioną gwiazdami i księżycem.

Hakim zmarszczył czoło. Nie miał najmniejszego pojęcia o czym gada ten Amerykanin. Jakież duchy? Wilson opowiadał dalej:

- Okazało się, że nosimy te same nazwiska. „Wovoka” to pseudonim. Potem na jakiś czas o tym zapomniałem. Dopiero później, gdy poszedłem do więzienia, podczas drugiego roku w Supermaksie - zaśmiał się do wspomnień - siedziałem w celi i patrzyłem w ścianę. I nagle to wszystko we mnie uderzyło! To samo nazwisko - to nie był przypadek. Ja właśnie nim jestem. Dosłownie! To moja przeszłość i moja przyszłość Wszystko.

Hakim skinął głową, jakby był nieobecny. Wilson zauważył, że jego zdziwienie przeszło w znudzenie, a znudzenie; w irytację.

- O czym ty gadasz? - zapytał Hakim, rozglądając się za kelnerem.

Wilson zadarł głowę. Arab w ogóle nie wiedział o co chodzi. I wtedy zrozumiał dlaczego. Hakim nie znał jego prawdziwego nazwiska, a nawet jeśli kiedyś je poznał, to pewnie zapomniał. Dla Hakima był Frankiem d'Anconia - i to wszystko. Więc nie ma mu sensu tłumaczyć, kim naprawdę jest Jack Wilson.

Dla Hakima nie było w tym żadnego szczęśliwego zbiegu okoliczności.

W końcu Wilson wyznał:

- Opowiadam ci o Tańcu Ducha. To jest właśnie to, co mamy zamiast Qutba. Hakim zmarszczył brwi.

- Ale nie powiedziałaś mi, co to takiego. Wilson pochylił się do niego.

- Wovoka... miał wizję. Zobaczył tańczących Indian. Najpierw tańczyli ze sobą, później ze swoimi przodkami. Po chwili ziemię zatrzęsło i tancerze w jego wizji unieśli się do nieba. Po prostu unosili się w powietrzu. A ziemia pochłonięła wszystkich pozostałych. Wszystkich białych. Wszystkich wrogów Indian. Potem świat zaczął się odradzać.

- Odradzać...

- Tak. Wszystko wróciło do takiego stanu, jaki był na początku wszystkiego.

Hakim wpatrywał się w niego, mrugając bezmyślnie powiekami. W końcu powiedział:

- Chyba za dużo wypiełeś.

Wilson wziął głęboki oddech. Do tego tłustego głupka siedzącego przed nim nic nie docierało.

I wtedy Arab zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. Machnął ręką, jakby chciał zakończyć tę rozmowę i sięgnął ręką do torby, która leżała obok jego fotela na podłodze. Wyjął z niej małe, czarne pudełko na kosztowności, położył je na stole i posunął w stronę Wilsona.

- To dla ciebie - pochylił głowę i końcami palców dotknął klatki piersiowej.

Wilson spojrział na pudełko. To było jedno z tych pokrytych welurem pudełeczek używanych do przechowywania obrączek ślubnych.

- Nie miałem pojęcia...

Hakim uśmiechnął się. Jego spojrzenie mówiło: „Otwórz je”.

Wilson zawahał się przez moment. Potem sięgnął po pudełeczko. We wgłębieniu przeznaczonym na obrączkę leżała czerwona jak krew kapsułka. I z pewnością nie była to witamina.

Hakim zachichotał. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy. - Odchylił lewy róg kołnierzyka koszuli i pokazał mu identyczną kapsułkę, przyczepioną do miejsca, gdzie zwykle znajdował się paseczek mocujący kołnierzyk.

Wilson spoglądał na kapsułkę.

- Sądzisz, że to wezmę? Hakim wzruszył ramionami.

- To zależy od ciebie - powiedział. - Ale jeśli cię dorwą, to będzie bolało. Wilson zamknął pudełeczko i włożył je do kieszeni.

- Czy to boli? Hakim pokręcił głową.

- Nie. Widziałeś zdjęcia z Jonestown? Jak było już po wszystkim? Wszyscy się uśmiechali.

Wilson pochylił się do niego.

- To był grymas. A to zupełnie coś innego.

ROZDZIAŁ 9

DROGA NA WYBRZEŻU, LIBAN 19 LUTEGO 2005

Samochód wjechał na rondo za Jounieh i skręcił na Trypolis. Kierowca miał surowy wyraz twarzy i milczał. Za to na tylnych siedzeniach Zero i Khalid bez przerwy gadali po arabsku i gestykulowali. Ich język brzmiał dla niego jak jakiś bełkot, w którym od czasu do czasu pojawiało się angielskie słowo zwracające jego uwagę. Okay! Fifty Cent! Viagra... Knicks.

Zero i Khalid jechali z nim jako jego ochrona. Tak przynajmniej twierdził Hakim. Wilson nie dał się nabrać. Oczywiście mieli go chronić, gdyby ktoś chciał go napaść i orznać, ale ich podstawowym zadaniem było dopilnowanie, by Wilson nie zniknął z kasą Hakima.

Po kilku godzinach trzęsienia tyłkiem na zniszczonej drodze, dojechali do terenów portowych. Minęli zaniedbany sad, w którym chwasty wyglądały równie imponująco, jak rosnące w rzędach drzewka, a potem dziką wioskę jaskrawych, kolorowych namiotów.

- Syryjczycy - zaśmiał się szyderczo Khalid. - Oni biorą każdą robotę.

Obóz Syryjczyków zastąpiło osiedle bloków mieszkalnych, które wyglądały jak mauzolea. Ziemia i ściany budynków miały ten sam ciemnobrązowy kolor. Dzieciaki grały w piłkę, wzbijając tumany kurzu. Kobieta w białej szacie zamiatała przed blokiem.

Z tylnego siedzenia Zero nagle powiedział coś głośniejszym niż zwykle. Khalid zaśmiał się i odpowiedział lekko kpiącym tonem:

- Nigdy w życiu. W bramie wjazdowej kierowca wyjął ze sfatygowanego portfela złożoną kartkę i podał ją strażnikowi. Ten dokładniej przestudiował, starannie złożył i oddał mu instruujać, jak dojechać do celu.

Najpierw minęli kilka niewielkich frachtowców rozładowywanych przez żurawie portowe, potem okrążyli jakąś olbrzymią budowlę, która mogła być suchym dokiem. I wreszcie zobaczyli statek: „Marmara Queen”. Ogniwa łańcucha kotwicznego były tak grube jak nadgarstki Wilsona. Na maszcie powiewała turecka flaga: biały półksiężyc i gwiazda na karmazynowym tle. Gdy kierowca zatrzymał się w cieniu rzucanym przez olbrzymi dziób statku, potężny żuraw przekręcił się i zaczął opuszczać jasnoniebieski kontener.

- Zobaczcie, jaki jest wielki! - wykrzyknął Khalid. - Większy niż boisko do futbolu! - wskazał głową na kontener. - Myślicie, że to nasz?

Wilson wzruszył ramionami. Jednego był pewien. Hakim miał sporo przecieru, więc kontener musi znaleźć się na statku przed jego wypłynięciem, no chyba że wydarzy się jakaś potężna katastrofa.

Wilson miał płynąć z haszyszem do Odessy i wymienić go tam na broń. Broń będzie eskortował do Afryki, gdzie zostanie wymieniona na diamenty, które on wręczy Hakimowi w hotelu De Witte Lelie w Antwerpii.

To wszystko znaczyło, że został potraktowany jak cenny muł. Zupełnie jak dziewczyny, które szmuglowały kokę z Kolumbii - zarobi pieniądze, wystawiając się na ryzyko. Każdy etap podróży będzie równie niebezpieczny, a poziom zagrożenia będzie się zwiększał wraz z docieraniem do kolejnego celu. Wilson zdawał sobie sprawę, że istnieją dziesiątki rzeczy, które mogą skomplikować przebieg podróży, a największe kłopoty mogą przydarzyć się w miejscach transakcji. Dopóki nie odda diamentów Hakimowi, to właśnie jego tyłek będzie się znajdował na linii ognia.

Szykowały mu się całkiem bogate wpisy do CV do zdobycia w krótkim czasie: hurtowy przemytnik narkotyków, handlarz bronią, przemytnik diamentów. Ale nagroda była odpowiednia do poziomu ryzyka. Nawet jeśli nie był to najbezpieczniejszy sposób na zarobienie sporej sumy dla kogoś z brakiem funduszy, to na pewno był najszybszy.

Statek wydawał się jakiś dziwny - wielki pokład z ponad setką kontenerów wielkości domków rekreacyjnych, każdy innego koloru. Gdzieś na dwóch trzecich długości statku, od dziobu do rufy, znajdowała się czysta, biała, duża nadbudowa z oknami na wszystkie strony świata, mieszcząca mostek kapitański. Wyglądała jak zamek górujący nad slumsami przedmieścia.

Kierowca skinął uprzejmie głową, dając im do zrozumienia, że się żegna, i że czas opuścić samochód.

Zero i Khalid nieśli stare wytarte plecaki i sportowe torby z Diadory, w których mieli broń. Walizka na kółkach ciągnięta przez Wilsona mogła wyglądać dość dziwnie na trapie prowadzącym na pokład. Wcisnął z powrotem ręczkę i niósł ją za pasek.

By dostać się na mostek, należało pokonać sześć platform połączonych metalowymi schodami. Khalid, który dużo palił, zaczął ciężko sapać.

Na mostku spotkali pierwszego oficera pijącego kawę i stukającego w klawiaturę komputera. Ścisnął silnie dłoń Wilsona i uśmiechnął się szeroko, ukazując garnitur dużych, białych zębów. Próbując znaleźć odpowiednie słowa w swoim ograniczonym zasobie angielskiego, oficer wyjaśnił, że jest odpowiedzialny za towar, którego - podchodząc od strony technicznej - Wilson i jego towarzysze byli częścią.

Zero zadał pytanie po arabsku.

Pierwszy oficer spojrzął na Zera, jakby wcześniej w ogóle go nie zauważył i skupił na nim wzrok; widać było, że nie spodobało mu się to, co zobaczył. Przez twarz przemknął mu grymas niechęci, po którym nastąpił lekceważący ruch głową.

- Może dwie godziny - odpowiedział po angielsku.

*

Ochroniarze Wilsona dostali zapasową kabinę oficerską numer trzy, a Wilson kabinę numer cztery.

- Nie jest tak źle - powiedział Khalid, gdy marynarz otworzył pomieszczenia użytkowe. - Zobacz, mamy telewizor!

- Filmy wideo tylko po turecku - wyjaśnił marynarz, który pokazywał im kabiny. - Łazienki sąna końcu korytarza.; Jeśli chcecie skorzystać z toalety to idźcie teraz. Potem musicie zostać w kabinach dopóki ktoś po was nie przyjdzie - podniósł do góry palec. Zaprowadził Wilsona w głąb korytarza do jego kabiny i powtórzył te same wskazówki tym samym tonem.

Wilson rzucił okiem na kajutę - łóżko, umywalka, lustro, wbudowana szafa i szuflady, telewizor, odtwarzacz CD - i rozciągnął się na pościeli. Kabina miała w sobie coś z celi więziennej, choć miała okno.

Gdy kontener lądował na pokładzie, nie było tego nawet słychać, ale Wilson to poczuł. Konstrukcja statku przenosiła każde drgnięcie przypominając mu podobne momenty w więzieniu, gdy strażnicy zasuwali kraty, lub gdy elektronicznie kontrolowane, grube drzwi automatycznie się rygłowały.

Ponieważ Wilson nigdy wcześniej nie był na statku, chętnie przyjrzałby się całej procedurze związanej z odbijaniem od brzegu. Obejrzałby też cały statek. No i, oczywiście, zapaliłby papierosa.

Zamiast tego musiał czekać, ale była to umiejętność, którą nieźle opanował. Wszelka niecierpliwość, jaką kiedykolwiek okazywał, została całkowicie wymazana przez pobyt w więzieniu. W takich przerwach jak ta, pozbawionych aktywności, potrafił się po prostu wyłączyć.

Wyciągnął z portfela wydrukowane z komputera zdjęcie Iriny i przyglądał mu się przez chwilę. Było małe, niewiele większe od znaczka pocztowego, tak małe, że nie wymagało nawet złożenia na pół. Łatwo mieściło się w jednej z przegródek portfela przeznaczonych na karty kredytowe. Z doświadczenia wiedział, jak niszczycielskie może być wielokrotne składanie papieru - nawet listu, a co dopiero zdjęcia.

A ta fotografia nie była nawet dobrej jakości, wydrukował ją na zwykłym papierze, prosto ze strony internetowej. Zdjęcie Iriny wyciął z galerii uśmiechniętych ukraińskich dziewcząt (po trzydzieści dwie na jednej stronie), pragnących poznać amerykańskiego zalotnika.

Domyślał się, że te kobiety nie szukały miłości. Chciały tylko dostać bilet. Bilet wyjazdowy ze swojego kraju.

Wybrał Irinę na podstawie małego zdjęcia internetowego kiepskiej jakości, ale jak się jej bliżej przyjrzał, zauważył, że rysy zdradzają szlachetną osobowość. Wysłał do niej dwa - maile przez portal randkowy ukrainebrides.org, będący platformą reklamową i pośredniczącą w nawiązywaniu kontaktów, portal oferował płatne członkostwo w zależności od liczby kobiet, z którymi chciało się nawiązać kontakt. Na stronach portalu umieszczone były fotografie dziewcząt oraz ich życiorysy. Portal określał i sugerował odpowiednie kroki jakie należało podjąć, by zaloty były udane: najpierw wymiana listów, potem przesłanie czekoladek i kwiatów, wszystko, co na dalszym etapie mogło doprowadzić do „romantycznej wizyty”. Portal oferował także załatwienie wiz wjazdowych na przedślubne spotkania oraz, jeśli wszystko dobrze się potoczyło, zorganizowanie ceremonii ślubnych.

Można też było obrać bardziej bezpośrednią ścieżkę działania, zapisując się na „romantyczną wycieczkę”, podczas której każdy z mężczyzn brał udział w imprezach organizowanych w klubach od Jałty po Kijów i mógł wybierać spośród setki dostępnych kobiet.

Wilson wybrał bardziej tradycyjną metodę „zalotów”, zaczynając od wymiany e-maili. W pierwszym przedstawił się, jako zamożny trzydziestoletni biznesmen Francisco d'Anconia działający w branży handlu zagranicznego. Odpowiedziała w sposób skromny i nieco nieśmiały. Napisała, że pracuje jako kelnerka w kawiarni w Odessie. Mieszka z rodzicami i dwiema siostrami. Choć Wilson zdawał sobie sprawę, że jej niepewny sposób wyrażania się powodowany był brakami językowymi tłumacza, a nie dziewczęcą niewinnością, to i tak uważał odpowiedź za czarującą.

Jego drugi list miał bardziej miłosny charakter. Podziwiał w nim jej urodę i wyznał, że dąży do poznania kogoś „z kim mógłby dzielić życie”. To akurat była prawda. „Po wszystkim”, nie chciał być sam. Dostyc czasu spędził w samotności. „Po wszystkim” pragnął dzielić życie z kobietą, mieć

rodzinę. Jej odpowiedź była wylewną poetycką tęsknotą, podkreśloną dodatkowo przez kiepską składnię.

Z powrotem schował zdjęcie do portfela. Zdawał sobie sprawę z tego, że szansa na znalezienie wartościowej partnerki przez komercyjny portal matrymonialny, taki jak ukraine-brides.org, jest równa prawdopodobieństwu wygrania w totka.

Z drugiej strony nie wierzył w szczęśliwe zbiegi okoliczności. Ale czy był to tylko przypadek, że znalazł się na statku „Mar - I mara Queen”, który zabierze go, wraz z beczkami melasy do i portu, zaledwie kilka kilometrów od domu Iriny?

Ubił poduszki, zrzucił buty i przymknął powieki, wyobrażając sobie uśmiechniętą twarz Iriny. Usnął z błogimi marzeniami o spokojnym domu.

*

Ze snu wyrwały go wibracje i potężne dudnienie. Przez moment był poważnie wystraszony. Zdawało mu się, że dochodzą z jego wnętrza, że to jakiś niszczycielski rezonans. Gdy zorientował się, że to rozruch silników statku, zaczął się z siebie śmiać. Kilka minut później usłyszał łoskot zwijanych łańcuchowi kotwicznych.

Odbili od nabrzeża.

Minęło jeszcze sporo czasu zanim do drzwi zapukał niski żwawy facet. Został przysłany przez pierwszego oficera, by zabrać ich na obiecaną wycieczkę po statku. Był trzecim oficerem, jak się przedstawił i nazywał się Hasan. Uśmiechał się rozbrajająco, ukazując dwa złote zęby.

- To doskonały statek. Hasan bardzo się cieszyć, że was oprowadzać.

Najpierw tratwy ratunkowe. Khalid podrapał się po głowie i zmrużył oczy, oceniając odległość tratw od powierzchni wody.

- Hasan obiecuje, że one nie będą potrzebne.

Zero został wybrany jako model do zaprezentowania sposobu zakładania kamizelki ratunkowej i zaczął chichotać, gdy Hasan poprawiał wiązania.

Poznali lokalizację pięciu gaśnic, a Hasan zaprezentował sposób ich użycia.

Po załatwieniu spraw związanych z bezpieczeństwem, Hasan zaprowadził ich do kambuza, mesy i na koniec do pokoju gier. Twarz Khalida rozjaśniła się, gdy zobaczył spartańsko urządzone pokój - tablica do rzutek, szachy, piłkarzyki i stół do ping-ponga.

Trzeci oficer cały czas zasypywał ich informacjami o statku.! Pokazał im mostek kapitański z widokiem na horyzont ponad pokładem wyładowanym kontenerami, zabrał ich też do maszynowni - olbrzymiego pomieszczenia z potężnymi tłokami. Pachniało tam silnie olejem.

Kiedy z powrotem znaleźli się na pokładzie, Hasan zaprowadził ich do alejki pomiędzy kontenerami, którą można było przejść aż na dziób statku. Poinformował ich, że gdyby chcieli sami tam iść, to powinni mu to zawsze zgłaszać, a także zameldować się po powrocie.

Stojąc przy relingu, spojrzeli w dół, na kipiącą pod nimi wodę. Był zimny, mglisty dzień i widok wzburzonego morza sprawił, że Wilson niezbyt dobrze się poczuł. Statek wykonywał takie ruchy, jakby był żywym tworem.

- By statek stanąć, potrzeba jedna mila morska - wyjaśnił Hasan - wy nie wpadać za burtę. - Gdy Khalid przetłumaczył jego słowa, Zero instynktownie odsunął się od relingu.

- Dwa dni do Istambułu, jeden dzień w port i trzy dni do Odessa. Wysiadacie w Istambule?

Wilson pokręcił głową.

- Nie mamy wiz.

- Hasan żałuje. Wspaniałe miasto. Wilson skinął głową.

- Czy można tu sprawdzić e-maile?

- O tak. Hasan dać ci pół godziny dziennie. To wystarczy? Wilson uśmiechnął się i uniósł ręce w geście podziękowania za taką nieoczekiwaną szczodroliwość, a Hasan odwdzieczył się złotym uśmiechem.

- Najlepszy czas ty przyjść po obiad, tak? Leczą... - uprzedził go - komputer działać przez satelitę. Czasem sygnał dobry, czasem niedobry - wzruszył ramionami. - Hasan nie gwarantuje.

*

Zero i Khalid szybko znudzili się podróżą i spędzali większość czasu grając w piłkarzyki. Dla Wilsona, po tylu latach w Supermaksie, nuda po prostu nie istniała. Łatwo przyzwyczał się do podróży morskiej: powietrza, mew, wody po horyzont, regularnych posiłków, codziennych regularnych spacerów na dziób statku po dnie kanionu wyznaczonego przez ściany kontenerów.

Lubił przychodzić na dziób. Było tu tak spokojnie. Gdy wyglądał za reling, obserwował kulistą, dolną część dziobu w miejscu, gdzie stykała się z wodą. Od tysięcy lat dzioby statków wyglądały jak noże przecinające fale. Teraz były inne. Wilson zastanowił się dlaczego tak jest i po chwili zrozumiał. Kulisty spód podnosił dziób statku. To sprawiało, że statek bardziej efektywnie zmniejszał wpływ fal na kołysanie. Starł wyobrazić sobie człowieka, który to wymyślił i zastanawiał się, czy została mu przyznana jakaś nagroda.

*

Zero i Khalid.

Wilson zupełnie nie interesował się swoimi towarzyszami podróży, lecz podczas długich lat spędzonych w więzieniu zdobył umiejętność wyciągania informacji od ludzi, z którymi krzyżował się jego los. Był dobrym słuchaczem. To właśnie dlatego ludzie myśleli, że go lubią. Chętnie znosił orgie litowania się nad sobą i więzienną organizacją. Były doskonałą pożywką jego pozornej empatii dla innych.

W rzeczywistości była to jego umiejętność obronna. Zwracał uwagę na współwięźniów, a także na strażników - bo to dawało mu przewagę.

Nie musiał nawet specjalnie się wypytywać, aby sporo dowiedzieć się o swoich „ogonach”. Zero miał dwadzieścia jeden lat, a Khalid dwadzieścia cztery. Obydwaj dorastali w obozie dla uchodźców Shatila w Bejrucie. Khalid, który mówił po angielsku, bywał czasami złośliwy. Zero był beztroskim dzieciakiem, chichoczącym w charakterystyczny, piskliwy sposób. Wilson ucieszył się, że żaden z nich nie był zelotą. Pracowali dla „sprawy”, bo nie potrafili nic innego robić. Jedyna rzecz, z jaką dawali sobie radę, to kłopoty. Żaden z nich nie zawahałby się pociągnąć za spust. Khalid nie miał żadnych złudzeń, co do tego, dokąd zmierza jego życiowa ścieżka.

- Zginę pewnie w jakimś syfiarskim zamieszaniu w punkcie kontrolnym, albo w czymś równie głupim - powiedział.

To nie pokusa życia po męczeńskiej śmierci - wiecznych dziewic, wina i słodyczy - sprawiła, że zostali żołnierzami w niebezpiecznej walce. Sprawili to nędza i nuda obozu Shatila. Żołnierka była jedyną dobrą pracą dla młodych ludzi pozbawionych wykształcenia i perspektyw. Jeśli, Boże broń, zginą w walce, staną się męczennikami. Przynajmniej zyskają szacunek wszystkich, których coś to obchodzi. Rodziny otrzymają zapomogi, a ich fotografie zostaną rozwieszane na ulicach Bejrutu Zachodniego. Na tydzień lub dwa staną się znanymi osobistościami, dopóki ich zdjęcia nie spłyną z deszczem lub ktoś inny nie zostanie zabity.

Tymczasem chłopcy marzyli o emigracji do Kanady lub USA, do miejsc, których zniszczenie było ich celem (lub raczej do zniszczenia których zostali naznaczeni). Ten miły dzieciak, Zero, był zakochany w Jennifer Aniston i twierdził, że jak tylko uda mu się dotrzeć do Hollywood, to ona będzie jego. Khalid miał bardziej złożoną osobowość. Jego ojciec był inżynierem, a matka aptekarką. Żadne z nich nie pracowało w zawodzie od lat. Wykształcenie Khalida było jak dziurawa kołdra. Przed złączeniem swego losu z Koalicją, pracował jako bagażowy na lotnisku. Później walczył w Czeczenii, gdzie męski fryzjer przeprowadził mu operację usunięcia wyrostka robaczkowego na tylnych siedzeniach porzuconego autobusu. Gdy Wilson zapytał go, dlaczego pracuje dla Koalicji, odpowiedział:

- To zwykła praca. A Abu Hakim jest dla nas dobry.

*

Trzy dni po wypłynięciu statek rzucił kotwicę na morzu Marmara. Ze wszystkich stron oplatały ich światła Istanbułu. Dwa tuziny oświetlonych statków sprawiały wrażenie, jakby uczestniczyły w jakichś uroczystościach morskich, choć były to zwykłe frachtowce czekające na swoją kolej, by popłynąć na Wschód lub na Zachód, na Morze Czarne lub Morze Egejskie.

Śmieszne, ale Wilson niemalże zaczął tęsknić za charakterystycznym buczeniem silników, chociaż miasto ze smogiem spowijającym meczety i minarety wyglądało niezwykle pięknie. Żałował, że nie mógł zejść na ląd.

Jak każdego ranka muezin nawoływał wiernych do modlitwy przez trzeszczące i dudniące głośniki. Było to ciekawe zetknięcie postępu technicznego z tradycją religijną.

Po śniadaniu Hasan zapukał do drzwi kabiny Wilsona. Miał nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Strajk dokerów w Istanbuł.

- Strajk dokerów?

- Hasan może powiedzieć, że wiele podróży, wiele strajków dokerów. Strajk dokerów Pireus. Strajk dokerów Neapol. Strajk dokerów teraz Istanbuł.

- Jak długo tu postoiemy? - zapytał zaniepokojony Wilson. Nie wiedzieć ile. Może parę dni. Hasan żałuje.

Wilson zapytał, czy mógłby skorzystać z komputera, by przesłać wiadomość „partnerom biznesowym” w Odessie. Następnie udał się przekazać złe wiadomości Zero i Khalidowi. Wzruszyli tylko ramionami i wrócili do oglądania telewizji. Zaprogramowali kanał na stację Al-Dżazira i Wilson zobaczył na ekranie jakąś policyjną akcję: mężczyzna z kapturem na głowie wciskany był na tylną kanapę czarnego hummera.

- O co tu chodzi? - zapytał.

- To w Malezji - odpowiedział Khalid. - Mówią, że on jest z Al-Kaidy.

Na ekranie telewizora widać było, jak hummer jechał powoli przez tłum złożony z żołnierzy i policjantów. Niechętnie roz-: chodzili się na boki, jakby nie chcieli wypuścić tego człowieka.

Khalid odwrócił się od telewizora.

- Kogokolwiek dorwą, to zaraz musi być Al-Kaida. Zobacz, ilu mają policjantów. Kilka minut później wrócił Hasan i powiedział Wilsonowi, że może już skorzystać z komputera. Wilson natychmiast udał się na mostek.

Otworzył konto pocztowe na Yahoo, które on i Bo wykorzystywali do porozumiewania się, i wpisał hasło. Było tylko kilka spamów, więc wykasował je i wszedł do folderu „Wersje robocze”. Żadnych wiadomości. Napisał zatem własną:

Jest tu bardzo spokojnie. Strajk dokerów opóźni dostawę. Nie wiem o ile dni. Proszę, powiadom moich odbiorców, że będę spóźniony.

Zostawił wiadomość w folderze „Wersje robocze”, wylogował się i udał się na dziób statku. Wszystko w porządku, mówił do siebie. Wszystko gra, to tylko opóźnienie. A co się stanie, jeśli facet z Odessy nie będzie mógł dostosować swoich planów do opóźnienia? Co wtedy zrobi z całą tą „melasą”? Hakim był w jakiejś podróży, jeśli nie uda się z nim skontaktować, to kto zreorganizuje przebieg transakcji w Odessie?

A co będzie po Odessie? Przecież Wilson też miał własne terminy. Do końca marca musiał wrócić z pieniędzmi do Stanów. I nawet wtedy będzie potrzebował odrobiny szczęścia i mnóstwa ciężkiej pracy, by jego urządzenie było gotowe na dwudziestego; drugiego czerwca, dzień Tańca Słońca.

Wy tłumaczył sobie, że nic nie może zrobić, by zmienić zaistniałą sytuację. Zamartwianie się byłoby jak zaburzenie równowagi fizycznej, rozproszenie energii. Mimo wszystko ten niepokój wzbudzał w nim fizyczny dyskomfort.

Wilson spojrzał w dół, na wodę. Obserwował, jak tworzą się i rozpadają wzburzone fale. Wyglądało to na chaos, a może nie? Jak wszystko inne w przyrodzie, piętzenie się i rozbijanie fal morskich było racjonalnie wytłumaczalne. Ruchy wody były wypadkową siły i kierunku wiatru, kształtu linii brzegowej i prądów wodnych, temperatury wody i powietrza, przyciągania księżyca i bujania statków stojących na kotwicy, właśnie tak jak teraz.

To nie chaos, tylko może Bóg albo coś w tym stylu.

ROZDZIAŁ 10

KUALA LUMPUR 27 LUTEGO 2005

Na swój sposób były fascynujące.

Leżąc na podłodze i wykonując kolejne pozycje jogi, Andr Cabot spoglądała na błyszczące w oddali dwie wieże Petron' Towers. Monumentalne i supernowoczesne były chlubą miasta, dla Malezyjczyków zaś stanowiły dowód, że przyszłość należy do islamu. Pierwszą rzeczą, jakiej dowiadywał się każdy turysta z Zachodu po przyjeździe do Kuala Lumpur, było to, że są to najwyższe wolno stojące bliźniacze wieże na świecie. Nie dopowiadano już, że były wyższe od World Trade Center.

To smutne.

Dla Andrei, która zamieszkała w bungalowie, wieże stanowiły ostrzeżenie i to nie tylko dlatego, że widziała je z okna. Zbudowano je na terenie dawnego toru wyścigów konnych. Ich konstrukcja ze szkła i stali była hołdem złożonym islamowi zarówno pod względem wielkości bryły, jak i detali architektonicznych. Podstawami obydwu wież były dwa kwadraty przesunięte w osi w taki sposób, by tworzyły ośmioramienną gwiazdę. W bryłach tych zlokalizowano sześciopiętrowe centrum handlowe, meczet dla sześciu tysięcy wiernych, biura Microsoftu, IBM-u i Bloomberga, oraz hotel Mandarin Oriental. W szczególnym geście architektonicznej pobożności dołożono wszelkich starań, by bidety były zwrócone w stronę Japonii, aby korzystający z toalet, kiedy robią siusiu, stali plecami do Mekki.

W ambasadzie USA, która dawała Andrei dyplomatyczną przykrywkę, istniały zgodne opinie co do tego, że najważniejszym architektonicznym elementem wież był obudowany most, łączący je mniej więcej w połowie wysokości, czterdzieści cztery piętra nad ziemią. Uważano, że jest on przede wszystkim integralną częścią systemu ewakuacyjnego. Gdyby jakiś wariat wleciał samolotem w jedną z wież, to jej pracownicy mogliby bezpiecznie uciec do sąsiedniej właśnie tym przejściem.

Było to inteligentne rozwiązanie. Jednak w społeczeństwie, w którym represjonowano seksualność, obserwowane z daleka wieże przypominały nic innego jak tylko dwa gigantyczne wibratory wycelowane w niebo.

Bungalow Andrei stał w samym centrum ogrodzonego i doskonale chronionego osiedla na skraju luksusowej dzielnicy Ampang. Został zbudowany na zlecenie CIA pod koniec lat osiemdziesiątych dla szefa placówki. Był otoczony ogrodem porośniętym palmami, miał podświetlany basen kąpielowy i tak zwany bezpieczny pokój, którego podstawową funkcją była luksusowa łazienka.

Pokój był nie tylko dobrze zabezpieczony. Był wręcz prawdziwym sejfem. Lniane tapety kryły utwardzoną stalową kratownicę, zabezpieczone dodatkowo przez kuloodporny kevlar. Sufit i podłogę zbudowano ze zbrojonego betonu, drzwi były w stanie powstrzymać każdy rodzaj ostrzału słabszego

od ręcznej wyrzutni rakiet. Znajdował się tam monitor systemu nadzoru telewizyjnego połączony z kamerami zainstalowanymi w domu i w ogrodzie, oraz nadajnik radiowy podłączony bezpośrednio do zamaskowanej anteny po drugiej stronie ulicy. Podobnie jak zwykła linia telefoniczna, nadajnik radiowy był monitorowany dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu przez oficera dyżurnego do spraw telekomunikacji w ambasadzie USA.

Pokój był zatem tak bezpieczny, jak bezpieczne mogło być każde miejsce w tym mieście, które służyło filozofom i bojownikom dżihadu z całego świata za centrum konferencyjne. Andrea na pewno nie chciała skończyć jak William Buckley, szef placówki w Bejrucie, uprowadzony w latach osiemdziesiątych. Na komodzie w sypialni, wśród fotografii swojej rodziny: mamy, taty, siostry, siostrzenicy, trzymała zdjęcie Buckleya oprawione w srebrną ramkę. Ktokolwiek zobaczyłby to zdjęcie, mógłby pomyśleć, że jest to jakiś krewny, mąż albo przyjaciel. Ale oni tak naprawdę nigdy nawet się nie spotkali. Jego fotografia stała na komodzie jako codzienne przypomnienie - naučka, czego nie należy robić.

Podczas swojego krótkiego pobytu w Kuala Lumpur, Andrea zastanawiała się nad życiem Buckleya. Był szczerym patriotą, który tworzył miniaturowe modele bitew wojny o niepodległość i większość życia spędził za granicą, przemieszczając się między jedną upstrzoną przez muchy stolicą jakiegoś islamskiego kraju a drugą, walcząc we wczesnej fazie brudnej wojny z tym, co Arabowie zaczęli nazywać Al-Kaidą, czyli Baza.

Zawzięty i skryty w sobie człowiek. Nie miał własnego domu ani mieszkania. Jego domem był dyrektorski apartament w hotelu w centrum Waszyngtonu.

Był oczywiście najgorszym wrogiem dla samego siebie. Po lekturze raportów Andrea doszła do wniosku, że Buckley w takim samym stopniu był ofiarą własnej aroganckiej dumy, co terrorystów, którzy go uprowadzili. Jego poczucie nietykalności było równie głębokie, jak całkowicie błędne. Żyjąc w samym sercu partyzanckiej wojny, w mieście, gdzie ataki mordercze były na porządku dziennym, Buckley wybrał sobie na mieszkanie penthouse. W Bejrucie Zachodnim! Stwierdzenie, że była to niewłaściwa część miasta, było stanowczo zbyt delikatnym określeniem.

Bejrut był przecięty na dwie części przez tak zwaną Zieloną Linie, którą stanowił zbombardowany do gołego piachu pas ziemi dzielący miasto na wschodnie i zachodnie, chrześcijańskie i muzułmańskie. W Bejrucie Wschodnim ludzie modlili się do Jezusa. W Bejrucie Zachodnim modlili się do Allaha.

Co on sobie myślał, zastanawiała się Andrea. Penthouse w Bejrucie Zachodnim? Równie dobrze mógłby rozbić namiot na strzelnicy.

Andrea przechodziła od jednej pozycji asana do drugiej. Z powagą lodowca zrobiła Powitanie Słońca, podnosząc twarz w stronę Petronas Towers. Buckley! - pomyślała. Jaki macho! Najważniejszy szpieg na Bliskim Wschodzie nie miał nawet dodatkowego samochodu eskortującego go do biura.

Dlatego właśnie jego porwanie nie trwało dłużej niż minutę. Samochód Buckleya, beżowa honda, parkował na ulicy obok jego apartamentowca przy Rue Tanoukhi. Gdy próbował włączyć się do ruchu, drogę zajęło mu białe renault. Wskoczyło z niego dwóch wrzeszczących i wymachujących bronią mężczyzn. Jeden z nich wyciągnął Buckleya z samochodu. Drugi złapał za teczkę.

Wepchnęli go na podłogę samochodu i przykryli kocem, nakazując, by zamknął gębę. Renault ruszyło, skręciło za róg i pojechało w stronę Corniche. Po paru minutach zatrzymało SIQ przed punktem kontrolnym islamskiej milicji. Pomachali do siebie karabinami i przejechali. Stamtąd było

już blisko do slumsów. Gdy znaleźli się na miejscu, szefa placówki CIA wrzucono do piwnicy bez okna, gdzie założono mu opaskę na oczy i przykuto do zabetonowanego krążka w podłodze.

Raport otrzymany od wtyczki w Hezbollahu stwierdzał, że przesłuchania Buckleya trwały miesiącami. Źródło podawało, że Amerykanin był torturowany przy udziale palestyńskiego lekarza, który podawał mu narkotyki i monitorował jego stan zdrowia.

Przesłuchiwania skupiały podobno się na działaniach CIA w Libanie i dotyczyły także porwań oraz zabójstw wykonywanych na zlecenie agencji przez sojuszników w libańskich siłach zbrojnych i chrześcijańskiej milicji.

Oprócz tego próbowano wyciągnąć z Buckleya informacje dotyczące jego wcześniejszych zadań. Pracował przecież w Egipcie i Syrii, był członkiem wewnętrznej rady CIA oceniającej pracę agentów na Bliskim Wschodzie. Samo to powinno dyskwalifikować go jako prowadzącego zadania w tym rejonie, ponieważ w przypadku porwania, przykrywka każdego agenta na Bliskim Wschodzie była spalona.

Odesłali go w trumnie. Nie udało się ustalić, czy Buckley zmarł od tortur, czy też od złośliwego zaniedbania jego zdrowia. Nie wiadomo było także, gdzie go przetrzymywano podczas trwających miesiącami przesłuchań, ani też jak często przewożono go z miejsca na miejsce.

Andrea czytała zeznania innych zakładników, którzy opowiadali o okrutnym traktowaniu przy przenoszeniu więźniów z jednych piwnic do innych. Powiązanych i zakneblowanych pakowano w skrzynie, przymocowane od spodu do skrzyń ładunkowych ciężarówek. Jedyne powietrze, jakim mogli oddychać, było mieszkanką spalin i ulicznego kurzu.

Wystarczyło się przeziębnić, by umrzeć.

Sposobem na przetrwanie czegoś takiego, było udawanie zombie, czyli pozorowanie zapaści. Andrea starannie trenowała takie rozwiązanie awaryjne. Jak każdy inny oficer CIA wysyłany do niebezpiecznego miejsca, poddawana była udawanym przesłuchaniom na Farmie - ośrodku treningowym agencji koło Willimsburga w Wirginii. Częścią tego szkolenia było „zapuszkowanie”, czyli wrzucenie kogoś do skrzyni i pozostawienie go tam na kilka godzin, by sobie przemyślał swoją sytuację. Albo na kilka dni.

To właśnie dlatego codziennie ćwiczyła jogę. Nie chodziło nawet o rozciąganie się, ale bardziej o oddychanie. Po latach ćwiczeń odkryła, że potrafiła obniżyć częstotliwość bicia serca w bezruchu poniżej trzydziestu uderzeń na minutę. Gdyby zeszła jeszcze niżej, zapewne dostałaby zapaści hibernacyjnej lub umarła. O co mniej więcej chodziło, gdyby człowiek obudził się w trumnie.

Wibrujący alarm z zegarka na nadgarstku przypominał jej, że czas się ruszyć z domu. Miała umówione na rano spotkanie w regionalnym ośrodku przesłuchań i nie chciała się spóźnić. Na jej życzenie torturowano tam mężczyznę. Na początek mogła sobie chociaż popatrzeć.

ROZDZIAŁ 11

Mercedes należący do ambasady jechał krętą drogą, wijącą się wśród rozciągających się za miastem wzgórz. Andrea siedziała na tylnej kanapie, na zmianę krzyżując i prostując nogi, i czytała raport. Choć miał już cztery dni, Andrea studiowała go trzeci raz.

Na przednim siedzeniu sierżant piechoty morskiej, Nilthon Alvarado, ostentacyjnie przekręcał w swoją stronę lustro wsteczne, udając, że sprawdza, czy ktoś ich nie śledzi, a w rzeczywistości podziwiał zgrabne nogi szefowej placówki.

Raport pochodził z MSB, wydziału specjalnego królewskiej policji Malezji. Dotyczył operacji CIA-MSB, której celem był bandzior o nazwisku Nik Awad, pełniący także funkcję łącznika pomiędzy Kumpulan Militian Malaysia (KMM) a Jemaah Islamiyah (JI). Celem tych terrorystycznych organizacji było przetworzenie Malezji w republikę islamską, która rozciągałaby się od północnej części Tajlandii do najdalszej wyspy na Filipinach. Zainteresowanie CIA tą operacją miało zasięg lokalny. Awada podejrzewano o to, że planuje atak na amerykańską bazę wojskową na Sumatrze.

Niedawno podsłuch telefoniczny podsunął im interesujący trop. W rozmowie z Berlina ktoś poprosił Awada, żeby zorganizował wizytę „przyjaciela z Bejrutu”.

„przyjaciela” zidentyfikowano jako niejakiego Aamma Hakima, a Awad miał go przywitać na lotnisku Subang.

Skoro Awad i tak miał zostać aresztowany, wydział specjalny zdecydował, aby poczekać także na przylot „przyjaciela”. Dzień lub dwa i tak nie sprawiały żadnej różnicy, a port lotniczy Subang był tak samo dobrym miejscem na zatrzymanie Awada jak jakiegokolwiek inne. Gdy nadszedł odpowiedni moment ubrani po cywilnemu funkcjonariusze MSB zaczęli deptać Awadowi po piętach w tłumie oczekujących w terminalu. Gdy wymienił uściski z mężczyzną, który opuścił kontrolę celną, obaj zostali zatrzymani.

I dopiero wtedy zaczęło być ciekawie. Aamm Hakim podróżował z syryjskim paszportem wystawionym na nazwisko Badr Faris. Paszport okazał się prawdziwy, a pan Faris nie figurował na żadnej liście podejrzanych. Z punktu widzenia wywiadu był czysty. Dopiero co wjechał do kraju i nie popełnił żadnego wykroczenia, nie było zatem powodu, by go zatrzymywać. Nawet stosując Ustawę o bezpieczeństwie wewnętrznym państwa.

Wydział specjalny był niezadowolony. Mieli nadzieje na złapanie jakiejś grubej ryby, a zamiast tego dorwali biznesmena, który szukał miejsca na budowę fabryki prezerwatyw. Nie do końca w to wierzyli, ale nic nie mogli zrobić. Poglądy polityczne tego faceta nie były znane, a on sam nie wydawał się szczególnie religijny. Wręcz przeciwnie, Faris był gładko ogolonym biznesmenem, który z pewnością potrafił cieszyć się życiem. W walizce miał butelkę jacka danielsa, magazyn fotograficzny „Beaver Hunt” oraz wizytówkę salonu masażu i ekskluzywnych „pań do towarzystwa” z Bejrutu.

Jeśli chodzi o telefon z Berlina, to Faris twierdził, że nic na ten temat nie wiedział.

- Przyjaciel z Bejrutu zaoferował mi kontakt z panem Awadem. Powiedział, że mógłby mi pomóc.

Pomyślałem: dlaczego nie? Sądziłem, że mój przyjaciel zadzwoni osobiście, ale pewnie tego nie zrobił. A kto dzwonił z Berlina? Nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłem.

- To w jaki sposób Awad pana rozpoznał?

- Wiecie jak to jest... Ja szukałem jego, a on szukał mnie. Spostrzegliśmy obydwaj, że za kimś się rozglądamy...

Andrea podniosła wzrok znad raportu. To dlaczego nazwali go Aamm Hakim? - zastanawiała się. „Aamm” było grzecznościowym określeniem arabskim odnoszącym się do wuja ze strony ojca. Jeśli Faris był wujem, to kto był bratankiem? Może facet z Berlina, który zadzwonił? Albo może sam Awad? Tak czy inaczej, dotyczyło to jednego z nich, a przecież, według zeznań Farisa, on nie znał żadnego. Było oczywiste, że Faris kłamał.

Wzrok Andrei znów powędrował do raportu.

Po godzinnym przesłuchaniu agent MSB gotów był wypuścić Farisa, gdy jeden z detektywów zauważył coś pod kołnierzykiem jego koszuli. „Co to jest?” - zapytał, sięgając ręką za kołnierzyk.

I wtedy rozpętało się piekło. Faris wyskoczył z fotela, kopnął śledczego w jądra i rzucił się w stronę drzwi. Ale dotarł tylko tam. Jeden glina rzucił go na podłogę, drugi wykręcił mu ręce. Faris trzymał w dłoni coś, czego nie chciał wypuścić - dopóki gliniarz z obolałymi jądrami nie nadepnął mu na łokieć, łamiąc kość.

Kapsułka potoczyła się po linoleum i nagle stało się jasne, że pan Faris nie jest takim zwykłym biznesmenem.

Od tego czasu Andrea odwiedziła ośrodek śledczy dwukrotnie. Za każdym razem siedziała poza pokojem numer jednaście i ze słuchawkami na uszach zapoznawała się z tym, co Malezyjczycy nazywali „przesłuchaniem dyscyplinującym”. Jeśli miała jakieś pytanie, kierowała je do Jima Banerjeego, łącznika MSB z agencją, a Banerjee przekazywał je dalej, do przesłuchujących w pokoju. W ten sposób Andrea mogła przyznać zgodnie z prawdą, że nie brała udziału w przesłuchaniu (lub tak zwanym torturowaniu) pana Farisa.

Do tego czasu Faris zrobił się bardziej przygnębiony, niż był na lotnisku. Żadnych pokrzykiwań w stylu „Bóg jest wielki!”. Zamiast tego słychać było jego ciężki oddech przerywany pytaniami zadawanymi na zmianę to agresywnym, to uspokajającym tonem. Odpowiedzi padały drżącym głosem; po nich czasem rozlegał się trzask łuku elektrycznego, jako że inkwizytorzy pana Farisa lubili trochę go „podświetlić” ręcznymi paralizatorami elektrycznymi.

Do tej pory niczego się nie dowiedzieli. Identyfikacja odcisków palców przyniosła wynik pozytywny. Prawdziwe imię i nazwisko zatrzymanego brzmiało Hakim Abdul-Bakr Mussawi. Archiwum wydziału specjalnego zidentyfikowało Mussawiego jako pięćdziesięcioletniego Egipcjanina, który został usunięty z Bractwa Muzułmańskiego dwadzieścia lat wcześniej za podżeganie do agresywnych zachowań. Od tego czasu włączał się w działania KMM, Jemaah Islamiyah i Koalicji Uciśnionych Świata z siedzibą w Baalbek. Wystawiono mu nakazy aresztowania zarówno w jego ojczystym kraju, jak i w pięciu innych krajach świata. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Omanu jak i FBI oferowały za jego wskazanie nagrody pieniężne.

Lecz jeśli Andrea miałyby w tej sprawie coś do powiedzenia, to jeszcze przez długi czas nikt nie dowiedziałby się, że mają Hakima. Nie było sensu robić z tego afery - kolesie Hakima zaczęliby tylko pakować manatki. Lepiej trzymać go pod kołderką. Może jej uda się go złamać.

*

Centrum przesłuchań było kompleksem nowoczesnych budynków oddalonych od Kuala Lumpur o około dwa kilometry. Zostało wybudowane za fundusze przekazane przez rząd USA po tragedii WTC i leżało na końcu dwupasmowej drogi dojazdowej, za potężnymi barykadami ze zbrojonego betonu i ogrodzeń pod napięciem zwieńczonych zwojami drutu kolczastego.

Banerjee czekał na nią przy głównej recepcji na antresoli. Był wysokim Hindusem o twarzy zniszczonej bliznami po ospie. A na szyi miał długą bliznę po ostrzu noża jakiegoś bandziora, który próbował go zabić. Andrea spotkała go w Stanach dwa lata wcześniej, na Fannie, gdy brał udział w szkoleniu dotyczącym działań antyterrorystycznych. W wydziale specjalnym uzyskał stopień porucznika. Miał trochę ponad trzydzieści lat. W weekendy lubił poskakać ze spadochronu. Wyskakiwał z samolotu ze swoim zwierzątkiem domowym - pytonem okręconym wokół ramion.

Banerjee wręczył Andrei identyfikator gościa.

- Nie wpisujesz się?

Odpowiedzią był uśmiech Mony Lisy i lekkie pokręcenie głową. Banerjee wzruszył ramionami, przeciągnął swoją kartą dostępu przez szczelinę czytnika i przepuścił ją pierwszą przez bramkę.

- Co z doktorem Najibem?

- Czeka na nas - odpowiedział Banerjee.

- To dobrze. Jest coś, co chciałabym wypróbować.

- I potrzebujesz do tego lekarza? Andrea wzruszyła ramionami.

- Na wszelki wypadek. Nie chcę zabić tego faceta - przerwała na chwilę. - A jak on się czuje?

Banerjee przewrócił oczami.

- Tak samo jak wczoraj. Myślę, że cały czas jest w szoku po aresztowaniu.

Pokoje przesłuchań mieściły się na najniższym poziomie piwnic. Wchodząc do windy Banerjee nacisnął przycisk B-2. Drzwi się zamknęły i usłyszeli ciche dźwięki muzyki, płynącej z głośnika zamontowanego w suficie. We all live in a yellow submarine...

- Chciałam się o coś zapytać... - zaczęła Andrea. - Rozmawiałaś już z FBI?

- Jeszcze nie. Andrea ucieszyła się.

- Więc jeszcze nie będą zawracać nam głowy.

- Wiedzą, że mamy Awada. Przesyłam im codzienne raporty z przesłuchań. Ale myślę, że jeszcze nikt nie powiedział im o Farisie.

- Farisie?

- To nazwisko w jego paszporcie - oznajmił Banerjee.

- To wiem, ale... Co z jego odciskami palców?

- Och, no tak! To znaczy... mamy wątpliwości. Drażymy temat. Andrea uśmiechnęła się szeroko.

- Więc...

- Więc jest po prostu kolejnym zatrzymanym. Przynajmniej jeszcze teraz. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Banerjee był pewien, że ma najbielsze i najrówniejsze zęby, jakie kiedykolwiek widział.

- Jak długo możecie go tak przetrzymywać? Porucznik westchnął.

- Niezbyt długo.

- No dobrze...

Obydwoje wiedzieli, że im dłużej Hakim Mussawi pozostanie w rękach Malezyjczyków, tym więcej będą mogli z niego wyciągnąć. CIA i wojsko przestali się patyczkować z terrorystami po jedenastym wrześniu, ale niedawno znów musieli przystopować. Przez pewien czas efekty tortur były

uważane za przypadkowe uszkodzenia organów ciała”. Nie było uszkodzeń ciała - nie było tortur. I wtedy wybuchła afera z więzieniem Abu Ghraib i szczególnie dotkliwe techniki prowadzenia przesłuchań wymagały już oceny prawnej i specjalnych zezwoleń które wydawano niezbyt często - jak właśnie sądziła Andrea.

Nikt nie chciał oglądać swojego nazwiska na papierze w formie podpisu wyrażającego zgodę na to, że można skopać więźniowi dupę albo jeśli czuło się duchowe uniesienie, zanurzyć go w beczce dziegciu. Takie coś mogło spieprzyć całą karierę agenta.

Po tym, jak ujawniono „rekreacyjne tortury” w Abu Ghraib, wprowadzono nowe zasady. Nadal można było torturować ludzi, ale nie można im było robić krzywdy. Można ich było terroryzować, lecz nie można było obdzierać ze skóry.

Można było doprowadzać więźnia do dyskomfortu albo „silnego dyskomfortu”, ale tylko przez chwilę. Można było stosować stres, ale do pewnych granic. Tylko w okresach jednogodzinnych, do czterech godzin dziennie.

Takie działania nie doprowadzały do złamania silnych ludzi. Łatwiej było ich poniżyć lub doprowadzać do rozpacz, grożąc wyrządzeniem krzywdy najbliższemu. Zabierało to dużo czasu, a gdy agentom zależało na pośpiechu, warto było mieć takiego sprzymierzeńca jak Malezja, która jeszcze nie ratyfikowała dodatkowego protokołu konwencji Narodów Zjednoczonych przeciwko torturom. Jeśli MSB chciała grać według starych reguł, wciskając skrawki szkła i bambusowe drzazgi pod paznokcie zatrzymanych, to była ich wewnętrzna sprawa. Tak długo jak Andrea nie weszła do pokoju lub nie zaczęła bezpośrednio zadawać pytań, CIA mogła oświadczyć, że nie ma nic wspólnego z przesłuchaniem.

Śmieszna sprawa, pomyślała Andrea, są te gówniane rozważania, czy tortury przynosiły rezultaty. Senator McCain upierał się, że nie, lecz Andrea mogła pokazać mu wiele wietnamskich nagrań wideo, które z powodzeniem przeczyły tej teorii. Z jej doświadczenia wynikało, że tortury dawały doskonałe wyniki. Liberałowie zaprzeczali, ale tylko dlatego, że nie chcieli mieć z tym problemu.

Jeśli tortury nie dawały rezultatów, to dlaczego agencja walczyła tak mocno o to, by została wyłączona spod prawa zabraniającego takich praktyk? Jeśli tortury były nieskuteczne, dlaczego tak szeroko je stosowano? Prawda była taka, że jeśli wyrwało się komuś paznokcie, to ta osoba najprawdopodobniej odpowiedziała zgodnie z prawdą na wszelkie pytania, pod warunkiem, że dawano jej odczuć, że tortury mogłyby być jeszcze dotkliwsze, gdyby zeznania okazały się fałszywe.

Oczywiście, że istniały granice. Tortury przestawały być efektywne, gdy przesłuchiwany wyznał już wszystkie tajemnice. W takim momencie mógłby zacząć zmyślać, żeby uniknąć dalszych kar. Doświadczony śledczy wiedział, kiedy osiągnął taki punkt. To był moment, gdy przesłuchiwany przyznawał się do zabicia Johna F. Kennedy’ego i podpalenia Reichstagu.

- Proszę bardzo - Banerjee odsunął się na bok, by przepuścić Andree, gdy otworzyły się drzwi windy. Weszli do holu na końcu długiego szerokiego korytarza. Światło jarzeniówek. Pokryte kafelkami ściany. W pewnym sensie ośrodek przypominał szpital, poza tym, że ludzie przychodzili tu zdrowi, a wychodzili chorzy - jeśli w ogóle stąd wychodzili.

Funkcjonariusz ochrony spojrział na nich znad szarego metalowego biurka.

- Ja się wpisuję - powiedział Banerjee.

Strażnik wręczył mu długopis. Banerjee wpisał w księdze gości swoje nazwisko i godzinę przybycia. Pod nagłówkiem Zatrzymany wpisał nazwisko Faris. Strażnik spojrział na wpis i wskazał głową korytarz.

- Pokój jedenaście - powiedział. Powiadomię doktora Najiba. - Podniósł słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny.

Banerjee szedł przodem. Przed nimi jakiś mężczyzna w wojskowych spodniach w barwach ochronnych próbował wmanewrować wózek dla inwalidów w drzwi jednego z pokoiów. Banerjee przytrzymał mu drzwi, a Andrea spostrzegła, że na wózku siedziała kobieta przykuta do niego kajdankami. Jej broda opierała się o klatkę piersiową. Wydawało się, że kobieta się modli.

Drzwi zamknęły się, a oni poszli dalej do pokoju numer jedenaście. Andreę zaskoczyło, że korytarz jest taki szeroki, prawie tak szeroki, jak korytarze w Langley. I, jak korytarze w Ameryce, też miał kolorowy pas kodowy biegnący poziomo po ścianie aż do końca korytarza. To był żółty pas, szeroki na piętnaście centymetrów, a jego zastosowanie było dokładnie takie samo, jak w głównej siedzibie CIA. Pozwalał każdemu zorientować się, czy nie znajduje się w strefie, do której nie ma dostępu. Czerwony identyfikator i żółty pas na ścianie - nikt nie doszedłby daleko.

Dochodząc do pokoju Andrea zawahała się. Wejście do środka było jak przekroczenie pewnej granicy. Już nie będzie obserwatorem, tylko uczestnikiem przesłuchania.

Ale to jest tego warte, pomyślała.

Mimo to zawahała się. Pokój zapewne będzie śmierdział. Takie miejsca zawsze śmierdziały. Strach i złość wyciskały pot z każdego w takim pomieszczeniu. A jeśli było ostro, to mogły być jeszcze inne zapachy. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej małą słoiczkę maści zabijającej zapachy vicks vaporub. Odkręciła wieczko, zanurzyła mały palec w maści i rozprowadziła niewielką ilość pod każdą z dziurek nosa. To był trick jakiego nauczyła się w szkole, pracując dorywczo w miejskiej kostnicy. Jak zwykle miętowy zapach przyniósł falę dawnych wspomnień. Przez moment znów była dziesięcioletnią dziewczynką leżącą w łóżku z przeziębieniem i wdychającą opary ze stojącego tuż obok inhalatora.

Jakie to wszystko jest popierdalone, pomyślała. Banerjee zapukał. Weszli.

*

Pokój był czystym, jasno oświetlonym pomieszczeniem, w którym śmierdziało. Na środku, pod brzęczącym światłem jarzeniówek na stole z nierdzewnej stali, leżał przykuty do ramy Hakim Mussawi. Obok niego stała pielęgniarka i wbijała mu wenflon w lewe przedramię. Gdy Mussawi usłyszał, jak Andrea i Banerjee wchodzi do pokoju, podniósł głowę, lecz po chwili osunął się z wyczerpania.

Uśmiechając się, podszedł do nich starszy wiekiem lekarz w białym kitlu.

- Jestem doktor Najib - wyszeptał. Tabliczka z nazwiskiem na jego kitlu była zaklejona białą taśmą. Bardzo rozsądne rozwiązanie, pomyślała Andrea.

- Jak się czuje nasz pacjent? - zapytał Banerjee.

- Och, jest niegrzecznym chłopcem - powiedział doktor Najib. - Do niczego się nie przyznaje.

- No to może będziemy mogli to zmienić - oświadczyła Andrea.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział doktor Najib. - Ale to może trochę potrwać. Jest twardy jak skała.

- Nie będzie tak źle - oświadczyła Andrea. Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej szklaną ampulkę i podała lekarzowi. - Czy stosował pan już kiedyś anectine?

Doktor Najib spojrział na ampulkę pod światło.

- Nie jako taką. Jak nazywa się substancja czynna?

- Chlorek sukcyńlocholiny - odpowiedziała Andrea. Doktor Najib uśmiechnął się krzywo.

- W takim przypadku, to tak. W szpitalu. Stosujemy to do tracheotomii podczas intubacji. Rozluźnia mięśnie. Łatwiej jest wtedy zaintubować pacjenta.

- To co macie zamiar zrobić? - dopytywał się Banerjee. - Zrelaksować go na śmierć?

- Coś w tym stylu - wyjaśniła Andrea. - Tyle że w szpitalu stosują to, gdy pacjent jest uśpiony. Ja chciałabym, żeby doktor Najib podał to naszemu przyjacielowi, gdy jest w stanie czuwania.

Najib spojrział na Andreę.

- Naprawdę?! - wykrzyknął. - Ale jak będzie pani wtedy mogła go przepytwać? Oczywiście, może pani zadawać mu różne pytania, ale nie może pani oczekiwać, że sam będzie potrafił mówić!

- No cóż. Ma pan rację. Nie będzie w stanie mówić. Lecz to nie ma znaczenia, ponieważ nie mam zamiaru o nic go pytać. Mam zamiar tylko mówić do niego przez kilka minut i wtedy, gdy środek przestanie działać, on może zechce zrzucić coś z serca.

Banerjee spojrział na nią, jakby mówił „Zwariowałaś?”. Potrząsnął przy tym głową, jakby chciał odpedzić swe myśli. W końcu zapytał:

- Czy to jest bolesne?

- Zasadniczo nie - odrzekła Andrea.

- Jak mam to rozumieć? - dopytywał się Banerjee.

- To znaczy, że jest to nieprzyjemne, ale niebolesne - zwróciła się do Najiba. - Dobrze byłoby mieć pompę do mechanicznego wspomagania krążenia krwi pod ręką - tak na wszelki wypadek.

Lekarz skinął głową i wyszedł z pokoju. Andrea odwróciła się do Banerjeego. Mówiła po cichu, żeby mężczyzna na stole niczego nie usłyszał.

- Doktor Najib zrobi mu zastrzyk z anectine. Działa szybko i...

- I co powoduje?

- Powoduje paraliż - wyjaśniała Andrea. - Stopniowo. Po trzydziestu sekundach zaczynają wiotczeć mięśnie twarzy. Potem wiotczeją mięśnie gardła i klatki piersiowej. Potem zwalnia przepona i po minucie lub dwóch przestaje pracować.

Banerjee zastanowił się.

- Więc...

- To jak zamienianie się w pień drewna. Czujesz, jak umierają mięśnie, ciało przestaje czuć. Nie możesz oddychać, lecz cały system pompuje się adrenaliną. Zaczynasz wpadać w panikę, ale nie możesz się ruszyć. To jak zły sen. To jak koszmar senny, tylko że rozgrywający się w rzeczywistości.

Banerjee zbladł.

Andrea uśmiechnęła się jednym z jej cudownych uśmiechów.

- Warunkowanie awersyjne. Marzyłam, żeby z tego skorzystać podczas przesłuchania.

- No tak, jestem pewien, że to będzie ciekawe - Banerjee wyglądał na przejętego. Andrea przeszła przez pokój. Obiekt leżał na stole na plecach, miał przymknięte powieki. Andrea spostrzegła, że nieźle go już obrobiono. Prawe ramię miał zawinięte w opaski usztywniające, dolna warga była rozcięta. Jego lewy policzek drżał nerwowo i coś nie tak było z palcami jego lewej ręki.

Podniosła tę rękę i dokładnie się jej przyjrzała. Kciuk miał doskonale wypielęgnowany paznokieć, za to palce wskazujący i środkowy pozbawione były paznokci, a pozostałe dwa palce były czarne od zakrzepłej krwi. Ktoś - Banerjee albo Najib - wciskali mu coś pod paznokcie.

Puściła rękę, która miękko uderzyła o stół. Hakim Mussawi spojrział na nią i równie szybko odwrócił wzrok.

- Musimy porozmawiać - powiedział Andrea. - Rozumiesz po angielsku?

Trzymał odwróconą głowę i nic nie odpowiedział. Powtórzyła pytanie po arabsku. Banerjee podszedł do stołu.

- Całkiem nieźle mówi po angielsku - oświadczył. - Studiował na Chico w Kaliforni. Sprawdziłem to. Więc nasz Mussawi jest Dzikim Kotem. Nieprawdaż, Mussawi? - Banerjee ścisnął złamaną rękę mężczyzny i słuchał, jak ten jęknął.

Andrea pokręciła głową i Banerjee puścił rękę. Miękkim głosem powiedziała: Hakim, chcę żebyś na mnie spojrział. Nie zrobił tego.

Drzwi do pokoju otworzyły się i zamknęły za jej plecami. Doktor Najib pchał przed sobą wózek ze sprzętem medycznym. Ustawił go obok stołu.

- Jak myślicie, ile on waży? - zapytał lekarz.

- Dziewięćdziesiąt kilo - zgadywał Banerjee. - Kupa miecha. Lekarz wyciągnął strzykawkę.

- Więc damy mu sześćdziesiąt miligramów.

Gdy Najib przygotowywał zastrzyk, Andrea mówiła spokojnym głosem:

- Hakim, słuchaj uważnie. Jestem amerykańskim oficerem wywiadu. Wdepnąłeś głęboko w gówno. Ale mogę cię stąd wyciągnąć. Mogę kazać im przestać. Ale w zamian musisz coś mi dać - zrobiła przerwę. - Czy rozumiesz, co mówię?

Żadnej odpowiedzi.

- Jestem gotów - zakomunikował Najib, trzymając strzykawkę jak pistolet z lufą wymierzoną w sufit.

Z lekkim westchnieniem Andrea zrobiła mu miejsce przy stole.

- Nie musieliśmy tego robić - powiedziała. - I mam nadzieję, że nie będziemy tego musieli zrobić drugi raz. I kolejny.

Mussawi zaczął się trząść.

Banerjee położył rękę na jego ramieniu.

- Przestań! - krzyknął i wbił igłę.

Andrea spojrzała na swojego roleksa. Miała sześć minut. Jedna minuta na zadziałanie środka. Dwie minuty na zwiótczenie mięśni. Kolejne dwie na uduszenie się. I jedna minuta na odratowanie.

Czas odgrywał tu wielką rolę.

Jej roleks to model Lady's Oyster Perpetual Date z kopertą z osiemnastokaratowego złota. Gdy została szefem placówki sama zrobiła sobie taki prezent. Podziwiała go teraz, obserwując, jak wskazówka sekundowa mija pierwsze piętnaście sekund, potem następne i następne. Gdy w końcu spojrzała znad zegarka dostrzegła, że szczęka Hakima zaczęła się rozluźniać. Nerwowy tik lewego policzka ustał, a zdziwienie w jego oczach zaczęło przemieniać się w panikę.

Wypowiedziała jego imię z podziwem i z żalem jednocześnie.

- Hakim, Hakim... Nie mogę sobie wyobrazić, jak mogłeś tak długo wytrzymać. Byłeś taki dzielny. Ale nikt nie da rady wytrzymać w nieskończoność. Nikt.

Jego głowa osunęła się na bok.

- Chcę z tobą zrobić interes, Hakim - Trzy minuty. - Ale nie wiem, czy mogę. Bo chodzi o to, że nie mogę nic dla ciebie zrobić, jeśli ty nie zrobisz czegoś dla mnie.

Anectine buzowała już w jego układzie krwionośnym, blokując neuroprzebieżniki i siejąc spustoszenie w układzie nerwowym. Andrea odwróciła głowę Hakima, by mógł widzieć jej oczy.

To było dziwne. Nie wyglądał na osobę, której by na czymkolwiek zależało na tym świecie. Wręcz przeciwnie. Na jego twarzy malowało się puste spojrzenie człowieka, który umarł we śnie.

Spojrzała mu głęboko w oczy i zobaczyła, że mają kolor błota, spojówki zaś są szkliste i przekrwione. Całkiem odwrotnie niż jej oczy.

Niepotrzebny był szaman odczytujący myśli, by zgadnąć, co czuł, przez co teraz przechodził. Paraliż, duszenie i panika. Umierał od środka.

- Wiem, że w przeszłości twoje działania były wymierzone w Stany Zjednoczone. Więc, oczywiście, FBI też będzie chciało z tobą pogadać. Ale tu nie o to chodzi - mówiła równym i niskim głosem, cierpliwie i powoli tak, by każde słowo do niego dotarło. - To wcale cię stąd nie uwolni - powiedziała. - Stąd mogę cię wyciągnąć tylko ja. Nikt inny. I tak jak powiedziałam wcześniej, jestem oficerem wywiadu. Nie gliną. Więc nie interesują mnie stare wiadomości. Ja muszę wiedzieć, co stanie się jutro. Ja muszę wiedzieć, kto będzie to robił jutro. - Pięć minut piętnaście sekund. - Jeśli możesz mi pomóc, to wyjdziemy stąd w ciągu pół godziny. Jeśli nie, to... Hakim, w takim przypadku - to może trwać wiecznie.

Cofnęła się krok od stołu i czekała. Cierpliwie i spokojnie. Ale nic się nie stało. Żadnego poruszenia. Zabiła go.

Wtedy przez jego klatkę piersiową przeszło drżenie, a ona zdała sobie sprawę, że sama wstrzymywała oddech, słuchając, czy on oddycha.

Spojrzała na zegarek i pomyślała, że doskonale rozplanowała tę mowę, kończąc ją dokładnie w chwili, gdy jego mięśnie zaczęły wiotczeć.

Nagle przez rozciągnięte na stole ciało Hakima przeszedł wstrząs, a z jego gardła rozległo się jakby warknięcie. Wciągnął powietrze.

- Jest taki Amerykanin - powiedział. - On buduje maszynę - szukał słów, by je z siebie wypluć. - On mówi...

- Co?

- On mówi, że chce to zatrzymać.

- Co zatrzymać?

- Motor.

- Jaki motor?

- Motor świata.

ROZDZIAŁ 12

ISTAMBUŁ 28 LUTEGO 2005

Strajk dokerów trwał siedem dni, siedem pełnych dni oczekiwania, a Istantuł z całym swoim pięknem był na wyciągnięcie ręki. Podmuchy wiatru przynosiły im zapach grillowanych ryb i jagnięciny z przystani promowej w Karakoy, gdzie uliczni sprzedawcy rozstawili stragany, by obsługiwać tłumy dojeżdżające do pracy. Khalid zażartował, że mogliby popłynąć na brzeg. Pewnie daliby radę. Ale nie mogli. Bez wiz tranzytowych do Turcji byli przywiązani do pokładu „Marmara Queen”.

Wilson zatem pracował. Dzień po dniu siadał przy biurku w swojej kajucie, dokładając zmienne do równań, które stworzył w więzieniu i porównując je z notatkami, które zrobił studiując artykuły Yuriego Ceplaka, gdy był w Bied.

Jedyny problem, którego nie mógł rozwiązać, dotyczył zmian w strumieniu fotonów, które objawiały się podczas interakcji stojącej fali grawitacyjnej z jej elektromagnetycznym odpowiednikiem w statycznym polu magnetycznym. Po katastrofie tunguskiej Tesla obsesyjnie pracował nad rozwiązaniem tej kwestii. I właśnie tam, na marginesie notatek Ceplaka, znalazł własnoręczne dopiski Tesli zmieniające zagadkę w objawienie. Tesla rozwiązał problem! Wilson był już pewien, że jeśli weźmie pod uwagę harmonikę celu, będzie mógł skupić promień z niezwykłą precyzją.

Prototyp broni będzie musiał być zminiaturyzowany, by mechanizm skupiający można było przetestować w terenie.

Oprócz innych drobiazgów oznaczało to znalezienie celów, które byłyby relatywnie „miękkie” i łatwo dostępne. Na pewno nie Biały Dom, ale na przykład tama Hoovera. Nie Cheyenne Mountain Operation Center, gdzie miał siedzibę NORAD, ale Golden Gate Bridge. Nie Pentagon, ale Culpeper w Wirginii.

Wilson uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie zniszczenia, jakich miał dokonać. Będą wielkie i spektakularne, i pojawią się znikąd - jak błyskawica w słoneczny dzień.

Nadal był pogrążony w równaniach, gdy usłyszał nawoływania z doków. Kilka minut później stukanie do drzwi potwierdziło jego przypuszczenia.

- Hasan się cieszyć, mówić ci, że strajk dokerów zakończyć się.

Ruszyli po czterech godzinach.

*

Spał, gdy statek przecinał fale Morza Czarnego i dotarł do miejsca, skąd widać już było Odessę. Obudziła go wolniejsza praca silników. Bicie serca dostosowało się do ich wibracji, więc gdy zwalniały, czuł się tak, jakby miał dostać ataku serca i, przebudzony, otwierał szeroko oczy.

Ubrał się szybko i wyszedł na śliski od deszczu pokład. Miasto było prawie niewidoczne zza kurtyny z mgły. Morze i niebo zlewały się ze sobą, tworząc szarość morskiej mgiełki. Szkoda, że nie można było zobaczyć, bo ponoć Odessa była ciekawym miastem. Tak twierdził kapitan statku, do którego messy Wilson był czasem zapraszany na obiad. Odessa była niegdyś największym portem Związku Radzieckiego, a to dlatego, że woda nigdy tu nie zamarza. Pozostałe porty ZSRR były skute lodem przez wiele zimowych miesięcy.

Przy wyłączonym napędzie wydawało się, że statek jest wręcz nieruchomy. Było to tylko złudzenie. Styropianowe kubki i niedopałki papierosów tańczyły po pokładzie.

Wilson przestępował z nogi na nogę.

Bo zostawił mu pokrzepiającą wiadomość w „Wersjach roboczych” w ich skrzynce na Yahoo! Ich przyjaciele w Odessie wiedzieli o strajku w Istambule i dostosują swój terminarz do sytuacji. Spokojnie - napisał Bo - Wszystko jest cool.

To samo powtarzał sobie Wilson, lecz nadal czuł zaniepokojenie. Dotknął czerwonej kapsułki, którą dostał w Baalbek od Hakima - kapsułki, którą trzymał pod kołnierzykiem koszuli. Jej połknięcie powodowało uduszenie się z powodu gwałtownego niedotlenienia. Był to wyjątkowo nieprzyjemny sposób śmierci i nie podobał się Wilsonowi.

Niemalże podświadomie oderwał kapsułkę od kołnierzyka i wyrzucił za burtę.

Wreszcie wyraźnie zobaczył Odessę. Port morski leżał dokładnie pośrodku linii brzegowej w granicach miasta. Kapitanat portu mieścił się w olbrzymim, ohydny betonowym budynku zasłaniającym Schody Potiomkina.

O tych słynnych schodach Wilson czytał w przewodniku turystycznym i koniecznie chciał je zobaczyć na własne oczy. Szerokie schody liczyły sto dziewięćdziesiąt dwa stopnie i prowadziły w dół wzgórza, wprost do Morza Czarnego. Uważano je za cud architektury i zbudowano tak, aby stworzyć efekt poszerzenia naturalnej perspektywy. Opisywano, że od dołu wydawały się niezwykle strome, a to złudzenie optyczne uzyskano po prostu przez stopniowe zwężenie rozpiętości schodów z dwudziestu jeden metrów u podstawy do dwunastu i pół u szczytu.

Schody stały się sławne dzięki scenie z filmu Eisensteina Pancernik Potiomkin, w której carskie oddziały otwierają na schodach ogień do cywilów. Matka upada. Puszczony wózek stacza się, odbijając się o ciała ludzi, a dziecko w środku skazane jest na śmierć. Masakra.

Dobry film, pomyślał Wilson. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy to w realu.

*

Załatwili sobie wizy tranzytowe. Do ich paszportów zostały przypięte duże kartki papieru.

Przy trapie na Wilsona i jego ochroniarzy czekał chudy facet z paskudną cerą, który przedstawił się jako Sergiej.

- Pan Belov bardzo przeprasza, ale będzie dopiero jutro. Jego córka występuje. Gra na... - skrzywił się i wykonał rękoma gest, jakby grał na pianinie.

- Pianinie - odpowiedział Wilson.

- Tak - wykrzyknął entuzjastycznie Sergiej. - Proszę mi pozwolić - powiedział, sięgając po walizkę Wilsona. - Tędy. Po dziesięciu minutach byli już po kontroli celnej. Przeszli z bronią półautomatyczną i całą resztą ekwipunku.

Linia ekspresowa - powiedział Khalid. Zero zachichotał, pół godziny później meldowali się w hotelu pierwszej klasy Konstantin.

Zera i Khalida bardzo ucieszyła perspektywa spędzenia nocy w takim hotelu, szczególnie gdy

odkryli, że w ich pokoju jest Playstation 2 i gra Grand Theft Auto.

Wilson też się ucieszył, bo spędzi dzień w mieście Iriny, pomimo fantazjowania na jej temat miał pragmatyczne podejście do randkowania przez Internet. Wiedział, że kobiety na portalu były specjalnie przygotowane do zdjęć, i że w rzeczywistości mogły zupełnie inaczej wyglądać. Niektóre wyglądały jak prostytutki z odważnym makijażem, chętnie eksponując rowek między piersiami. To mogła być oczywiście kwestia kultury. Irina wręcz przeciwnie - wyglądała bardzo skromnie, jak dobra gospodyni domowa w starym serialu komediowym. Wyglądała jak ktoś, kto będzie podawał herbatę i sadił kwiaty.

Wilson nie miał zamiaru do niej dzwonić ani z nią rozmawiać, lecz koniecznie chciał ją zobaczyć.

*

O trzeciej po południu usiadł przy malutkim stoliczku w kawiarni Majakowski przy ulicy Deribasowskiej. Była to duża i pełna ludzi kawiarnia, którą obsługiwał co najmniej tuzin kelnerek. Jego kelnerka była przysadzistą brunetką o różowej karnacji. Zamówił herbatę i gdy na nią czekał, skupił wzrok na podwójnych drzwiach wahadłowych, przez które wchodziły i wychodziły z kuchni kelnerki z wysoko uniesionymi z tacami. Każda miała wpiętą we włosy koronkową kokardę ze wstążeczkami i zieloną garsonkę w kratkę z białym fartuszkim z przodu. Poruszały się z wdziękiem i energią, nawet te starsze i grubawe przeciskały się zgrabnie pomiędzy stolikami, unikając się wzajemnie dzięki intuicyjnemu radarowi, uginając jedno kolano podczas podawania gorących napojów i wymyślnych ciasteczek. Dla Wilsona, którego umysł wszędzie poszukiwał porządku i wzorów, ich ruchy wydawały się wręcz układem choreograficznym z własnym rytmem i równowagą. Przyglądał się im z przyjemnością.

I wtedy ją zobaczył.

Wyszła przez wahadłowe drzwi, trzymając wysoko ciężką tacę. Idąc, przyjmowała niemalże pozę tancerki. Na jej widok Wilson poczuł iskrę zapalającą czystą radość, którą porównał do lekkiego wstrząsu prądu elektrycznego o niskim napięciu. Wrażenie to było podobne do satysfakcji z rozwiązania kluczowego równania lub też przykręcenia ostatniej śruby do budowanej konstrukcji.

Była delikatniejszej postury niż sobie ją wyobrażał, ale miała swoje kobiece krągłości. Cieszył się, że ją zobaczył. Badania naukowe potwierdzały związek pomiędzy proporcjami obwodów talii i bioder a płodnością, co było biologicznym wytłumaczeniem, dlaczego mężczyźni wybierali właśnie takie kobiety. Inaczej niż na fotografii w Internecie, na której się uśmiechała, tu jej twarz wyrażała pełną koncentrację, gdy przeciskała się elegancko przez zatłoczoną kawiarnię do stolika przy oknie.

Wypił drugą herbatę, obserwując, jak Irina wchodzi i wychodzi przez wahadłowe drzwi.

Teraz właśnie sprzątała ze stolika; przyciskając tacę do ramienia rozejrzała się wokół, jakby szukała klienta, który chciał płacić, złożyć zamówienie albo zorientować się w ogólnej sytuacji, gdy ich spojrzenia się spotkały.

W jej oczach nie dostrzegł absolutnie żadnych oznak tego, że go rozpoznaje - nie przesłał jej przecież swojej fotografii. Lecz poczuł iskrę podniecenia seksualnego, które go zaskoczyło. Wytrzymał jej spojrzenie do chwili, gdy odwróciła wzrok. Była skrepowana i potknęła się o nogę stolika. Z tacy spadło kilka sztuczków więc ukucnęła, by podnieść je z podłogi.

Kusiło go, by jej pomóc.

Zamiast tego dał znak swojej kelnerce, że chce zapłacić rachunek. Zostawił sowity napiwek. Irina jeszcze raz spojrzęła w jego stronę. Tym razem uśmiechnęła się, a on odwzajemnił uśmiech. Coś

między nimi zaiskrzyło.

Zastanawiał się, czy nie poczekać przed kawiarnią. Iść za nią do jej domu. Poznać drogę. Ale nie zrobił tego. Jeszcze nie teraz. Nie teraz...

ROZDZIAŁ 13

BERLIN 1 MARCA 2005

Bobojon Simoni stał przy krawężniku i spoglądał w prawo i lewo Yorkstrasse, szukając wzrokiem taksówki. Za jego plecami, jak strona z komiksu, rozciągała się ściana zamalowana graffiti przedstawiającym George'a Busha dyndającego na latami ulicznej na tle płonącego Nowego Jorku.

Nad oknami banku po przeciwnej stronie ulicy mrugała cyfrowa tablica, podająca aktualny czas i temperaturę powietrza: 4:03 - 0°C. Zapadający zmierzch i mróz. Przynajmniej oficjalnie. W rzeczywistości pogoda zmieniała się co minutę: raz padał deszcz, a raz śnieg, by czasem, dla odmiany zmienić się w deszcz ze śniegiem. Cokolwiek to było, strasznie kłuło go w oczy, gdy patrzył w stronę, z której wiał wiatr. Mrużył je zatem i szybko mrugał.

Sam był sobie winien. Zapomniał przynieść książkę i teraz za to płacił. Widział ją oczyma wyobraźni, leżącą na stole kuchennym: prostopadłościan, elegancko owinięty szarym papierem, oklejony taśmą i obwiązany sznurkiem. Paczka była zaadresowana do sklepu w Bostonie i jedyne, czego jej brakowało, to znaczków pocztowych i wypełnionego formularza celnego i już mogła być wysłana. Tylko że zapomniał jej zabrać i musiał wrócić do mieszkania.

Wyszedł jakieś czterdzieści pięć minut temu z listą zadań w głowie: „Uskadar, poczta, papier toaletowy, gazety”. Chciał wypić filiżankę kawy w Uskadar, małej kawiarence w bocznej ulicy niedaleko meczetu. Kawa pochodziła z Turcji i nie była zbyt smaczna. Właściciel był Bośniakiem i tak jak Bobojon uwielbiał piłkę nożną. W telewizorze ustawionym wysoko w kącie pomieszczenia zawsze był włączony kanał sportowy z jakimś meczem, któremu kibicowali robotnicy.

Kawiarnia była jakiś kilometr od jego mieszkania, lecz gdyby szedł pieszo, na pewno nie zdążyłby na pocztę. Znalezienie taksówki mogło być trudne, szczególnie, że padało. Taksówek zawsze brakowało w dzielnicy S036 - gdzie wśród prawie dwustu tysięcy gasterbeiterów, w większości Turków i Kurdów, mieszkał Bobojon. Był to stary kod pocztowy przypisany do wschodniej części dzielnicy Kreuzberg, gdzie Checkpoint Charlie nadal był turystyczną atrakcją.

Równie dobrze mógł wrócić do kawiarni. Mógł przecież wysłać książkę rano i niczego by to nie zmieniło. Podjął właśnie taką decyzję i już miał się odwrócić, gdy przy krawężniku zatrzymała się taksówka, której wycieraczki latały wściekle w prawo i w lewo. Kierowca opuścił szybę, zmierzył go wzrokiem i spytał:

- Wo zu?

*

Jurgen wolał pracować w samotności i zwykle mu się to udawało. Lecz dzisiaj było inaczej. Dzisiaj potrzebował partnera.

Od dwudziestu minut czekali przed kamienicą, w której mieszkał Simoni, siedząc w połowie

kwadratu kamienic w czarnym bmw z zepsutym nawiewem na szyby, przez co szyba stale była zaparowana. Robili, co mogli, by szyba zachowała przejrzystość i przecierali ją tytułową stroną brukowca „Bild”. Jeden z nagłówków głosił: Turboorgazm i opatrzony był fotografią brunetki, która chyba właśnie coś takiego przeżywała.

Czuł się trochę zawstydzony, bo chciał wywrzeć dobre wrażenie na kobiecie, która siedziała obok niego. Clara była nowa w BfV[* BfV - Bundesamt für Verfassungsschutz - Federalny Urząd Ochrony Konstytucji]. Co sobie myślała? Najpierw zepsuty nawiew, a teraz ta turbobrunetka. Oczywiście udawała, że nic nie zauważyła, lecz... Mein Gott!

W końcu opuścili boczne szyby, otulili się płaszczami i marzli.

- problem z dzisiejszym zadaniem był taki, że nie mieli pojęcia, jak wygląda obiekt. Znali jedynie jego imię i nazwisko (Bobojon Simoni), adres i numer telefonu. Wiedzieli, że Herr Simoni ma dwadzieścia lat. Albo czterdzieści. Albo sześćdziesiąt. Mógł być wysoki lub niski, gruby albo chudy. Dobrze ubrany, z brodą albo z balejażem na włosach i gładko ogolony. Albo był Bośniakiem, albo tylko kimś, kto podróżował z bośniackim paszportem.

Jurgen nie mógł dziś działać sam - nie było możliwości, by sam mógł zbadać, czy w mieszkaniu nikogo nie ma. Czasem ludzie nie odbierali telefonów. Czasem siedzieli w ciemnościach lub drzemali na kanapie. Więc tym razem skorzysta z taktyki „der Wachturm”. Podejdzie do drzwi i zapuka trzy razy. Jeśli ktoś otworzy drzwi, to wręczy mu kilka ulotek i egzemplarz „der Wachturm”. I wtedy wyskoczy ze swoimi historyjkami o świadkach Jehowy i końcu świata. W większości przypadków zatraskiwano im drzwi przed nosem i to był koniec sprawdzania, czy ktoś jest w mieszkaniu. Lecz nie zawsze. Nakręćcie go kilkoma browarami, a Jurgen wyśpiewa wam wszystko o tym, jak raz nawrócił członka Czerwonych Brygad na wiarę w Jezusa.

Sprawdził czas. Pięć po czwartej. Wkrótce zrobi się ciemno. Po raz trzeci zadzwonił na numer telefonu w mieszkaniu. Znowu nic. Odwrócił się do Gary.

- Idziemy? Zrobiła grymas.

- No dalej - zachęcił ją. Wyszli z samochodu.

Była ładną kobietą, może o dziesięć lat młodszą od Jurgena, a on chciał, żeby o nim dobrze myślała - i o BfV. Federalny Urząd Ochrony Konstytucji był elitarną agencją wywiadowczą, której podstawowym zadaniem było tropienie ekstremistów - lewaków i ultrapravicowców z różnych grup religijnych. Poprzednim pracodawcą Clary była BKA - policja kryminalna. BfV było inne. Chyba bardziej seksowne.

Gdy przechodzili przez ulicę do kamienicy, w której mieszkał Simoni, z pochylonymi głowami, chroniąc się przed zawieją, Jurgen pomyślał, że wyglądają jak pracownicy socjalni z podniszczonymi teczkami i wełnianymi płaszczami. I o to chodziło, bo żadne inne przebranie nie byłoby bardziej zwyczajne. Pracownicy socjalni w Kreuzbergu byli jak hutnicy w Zagłębiu Ruhry.

Jej zadaniem było założenie podsłuchu, a on miał sprawdzić, czy obiekt ma komputer. Jeśli jakiś znajdzie, to sklonuje zawartość twardego dysku na swojego laptopa schowanego w teczce. Cały ten interes nie zajmie więcej niż dziesięć minut, które, oczywiście, będą ciągnęły się w ich wyobraźni godzinami. Zawsze tak było.

Jedynym znakiem zapytania był sam Simoni. Nie mieli żadnego pojęcia, gdzie jest i kiedy wróci. Dwa dni wcześniej BfV otrzymało zapytanie z Malezji od szefa placówki CIA w Kuala Lumpur. Podczas niedawno odbytych rozmów zatrzymany na podstawie Ustawy o bezpieczeństwie wewnętrznym Malezji wyznał, że planowany jest atak na obiekty należące do Stanów Zjednoczonych

oraz ich personel. Wskazano, że Simoni mógł kontaktować się w tej sprawie z potencjalnymi sprawcami.

BfV natychmiast przystąpiło do pracy. W ciągu dwudziestu czterech godzin udało im się ustalić, że Herr Simoni wjechał do Niemiec na podstawie bośniackiego paszportu. Do Berlina przyjechał z Bejrutu jakieś czesć miesiący wcześniej, wynajął dwupokojowe mieszkanie przy Oranienstrasse 54. Wkrótce potem założył konto oszczędnościowe w lokalnym oddziale Dresdener Bank z miesięcznymi wpływami w wysokości dziewięciuset trzydziestu sześciu euro, choć najprawdopodobniej nie miał żadnej pracy, ani nie korzystał ze świadczeń społecznych. Żaden z informatorów z meczetu Mevlana nie znał osoby o takim nazwisku. Śledztwo było w toku.

Mieszkanie położone było na trzecim piętrze kamienicy bez windy. Jurgen trochę się zmęczył, gdy wreszcie dotarli do drzwi, więc chwilę musiał odsapnąć, by wyrównać oddech. Otworzył teczkę i wyciągnął plik ulotek religijnych. Kilka dał Clarze i uśmiechnął się szeroko na tyle, na ile pozwalały mu pozostałe od tytoniu zęby, po czym z elegancją zapukał do drzwi. Z ich ustaleń wynikało, że Simoni mieszkał sam, ale nigdy nie można było być pewnym. Może poszczyściło mu się poprzedniego wieczoru. Może miał psa. Może nic.

W mieszkaniu panowała grobowa cisza. Jurgen kiwnął ręką na Clarę, by się odsunęła. Wyciągnął zestaw wytrychów i jak ekspert zabrał się za zamek. Kilka sekund później byli już w środku.

*

Zaraz wracam! - powiedział Bobojon. - Tylko wziąć paczkę i my jechać na poczta! - Kierowca wzruszył ramionami. Bobojon wy dostał się z taksówki i wszedł na schodki do kamienicy przy Oranienstrasse 54.

W środku unosił się zapach kapusty, a z mieszkania stróża w piwnicy dobiegały fale arabskiej muzyki. Nie przeszkadzał mu ten zapach. Przypominał mu rodzinny dom.

Pierwsze trzy półpiętra pokonał po dwa stopnie i zatrzymał się na moment, by złapać oddech. Był w dobrej kondycji. Nie w tak dobrej jak wtedy, gdy wyszedł z więzienia, ale nadal w nie najgorszej. W Berlinie wszędzie chodził pieszo, cztery razy w tygodniu ćwiczył kick boxing. Dotarcie pod drzwi mieszkania zabierało mu krótką chwilę.

Pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu klucza, włożył go do zamka i przekręcił. Ku jego zdziwieniu, drzwi się nie otworzyły. Przekręcił klucz jeszcze raz, ale w drugą stronę. I wtedy zamek zadziałał. Przez moment stał w osłupieniu, myśląc, że coś z nim jest nie tak. Jak mógł wyjść z mieszkania, nie zamknąwszy drzwi na klucz? I znalazł odpowiedź: to było po prostu niemożliwe. Wyciągnął małego makarowa, z którym się nie rozstawał i wszedł do środka.

Młoda kobieta - miała może ze dwadzieścia sześć lat - ładna, krótkie brązowe włosy, siatkowe pończochy - stała nieruchomo na stole w kuchni, patrząc na niego przerażonym wzrokiem. Jego telefon domowy leżał na stole, rozebrany na części, głośniczek słuchawki osobno, mikrofon osobno. Obok telefonu leżała jego paczka. Nawet przez chwilę się nie zawahał. Podniósł pistolet i strzelił jej prosto w twarz, robiąc dziurę w policzku, potem strzelił jeszcze raz, gdy upadała, wrywając jej w szyi kawałek ciała. Upadając zakręciła się jakby wykonywała piruet. Jej krew była wszędzie - na ścianach, na podłodze, na brzegach zlewozmywaka. Zaczepiając palcami o linoleum, chciała uciekać, ale była w epicentrum wszystkiego. Zrobiło mu się jej żal. Naprawdę. Strzelił jeszcze raz. Tym razem w plecy. Już się więcej nie poruszyła. Serce waliło mu jak młot, tak głośno, że jego uszy ledwo złowiły westchnięcie z lewej strony. Odwracając się w stronę dźwięku, zobaczył coś, co wyglądało jak ulotki religijne, upadające pod nogi faceta trzymającego w ręku glocka. Nie było czasu

na reakcję. Bobojon niemalże poczuł, jak mężczyzna naciska spust. To nawet nie trwało sekundy, ale dla niego całą wieczność i Bobojon zdążył przypomnieć sobie, że gdzieś już widział takie ulotki - w Allenwood. Wtedy świadek nacisnął spust po raz drugi. Bobojon poczuł, że bok jego twarzy eksploduje, a przelatująca kula zakreca nim i powala go na podłogę. Przez moment czuł błyskawice bólu. Nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę. Mężczyzna strzelał dalej, rozdzierając jego ciało kulami, lecz wtedy Bobojon czuł już tylko, że jego ciało się wyłącza. Odgłosy strzałów odsuwały się w otchłań coraz dalej i dalej, aż czerwona mgła zasnęła mu oczy.

O cholera, pomyślał, umieram...

ROZDZIAŁ 14

ODESSA, UKRAINA 3 MARCA 2005

Wilson siedział sam w holu hotelowym, pijąc herbatę, i czekał na Belova. Było wczesne popołudnie i hol wypełniony był zimnym światłem. Zero i Khalid grali w tryktraka na stole niedaleko drzwi, od czasu do czasu spoglądając z niechęcią na grupę ortodoksyjnych Żydów, kłócących się z recepcjonistą w języku, którego Wilson nie rozumiał. Obok, na białej skórzanej sofie, siedziało dwóch biznesmenów czytających gazety.

Była trzecia po południu, gdy pojawił się Maksim Pawłowicz Belov strzepując śnieg z ramion. Widząc go, Wilson zdał sobie sprawę, że wygląda jak milion dolarów - czyli na około dwa procent swoich aktywów netto. (Poprzedniego wieczoru Wilson sprawdził go przez wyszukiwarkę Google).

Były major KGB Belov miał na sobie garnitur z Savile Row*[* Ulica słynnych krawców w Londynie.] pod płaszczem z wełny wigonia**[* Wigoń, wikunia - ssak parzystokopytny, najmniejszy przedstawiciel rodziny wielbłądowatych, żyjący w Ameryce Południowej, zagrożony wyginięciem; z wełny wigoni produkuje się najwyższej jakości wyroby dziewiarskie tkaniny ubraniowe.], a na głowie futrzaną czapkę w stylu uszanki Armii Czerwonej.

Na szlachetnym futrze czapki błyszczały płatki śniegu. Według raportów śledczych ONZ Belov miał czterdzieści trzy lata i tytuł ekonomisty zdobyty w Instytucie Stosunków Społecznych w Moskwie. Był także największym na świecie handlarzem drobnej broni, zaczynającym karierę od przewożenia południowoafrykańskich gladioli do Dubaju, gdzie sprzedawał kwiaty dziesięć razy drożej niż za nie zapłacił.

Kierując się wprost na Wilsona, zdjął rękawiczki, stuknął obcasami i wyciągnął rękę na powitanie.

- Witam w Imperium Zła! - powiedział i dodał z zakłopotaniem - Albo w tym, co z niego pozostało. Dobrze się pan wczoraj bawił?

Wilson poderwał się z miejsca i ucisnął rękę Rosjanina. Z niespotykanie różowych słuchawek zwisających z jego szyi dochodziło niskotonowe buczenie. White Stripes, zgadł Wilson.

- Byłem zdziwiony, że nie zastałem pana w porcie - powiedział. Belov zaśmiał się.

- Ja nigdy nie witam statku. A może pan szmugluje prochy? Albo viagrę? - znowu się zaśmiał. - Tego właśnie nam potrzeba. Idziemy?

Wilson skinął głową. Poderwał wzrokiem Zera i Khalida i wyszli za Belovem na ulicę, gdzie na śniegu czekały na nich dwie luksusowe terenówki marki Cadillac Escalade z zaparowanymi szybami. Każdy z samochodów miał przyczepioną chorągiewkę do prawego błotnika. Na czarnym tle połyskiwała srebrna sześcioramienna gwiazda szeryfa.

To dziwne, pomyślał Wilson, że ci Rosjanie poruszają się zupełnie bez ochrony. Dopiero po

chwili spostrzegł, że tak naprawdę nie miał racji. Gdy wsiadał do drugiego cadillaca, zobaczył swoich „biznesmenów” z holu hotelowego, tych, którzy siedzieli na białej kanapie; właśnie wsiadali do pierwszej terenówki. Okazało się, że obserwowali go ponad godzinę, zanim Belov pojawił się w hotelu.

Drzwi samochodów zatrzasnęły się jedne po drugich. Belov dwukrotnie stuknął opuszkami palców w oparcie siedzenia przed sobą i samochody odbiły od krawężnika.

- Pierwszy raz w Odessie?

Wilson przytaknął. Samochód musiał być wygłuszony albo opancerzony, albo jedno i drugie. Nie był w stanie tego ocenić. Czuł się w nim jak w jakimś kokonie.

- Widziałeś schody?

- Tak.

Belov rozparł się na siedzeniu.

- Gdy pierwszy raz zobaczyłem schody, to płakałem. Nie tak jak dziecko. Miałem mokrą twarz. Może ty czujesz to samo, gdy widzisz Statuę Wolności. Nie?

- Nie.

Belov zaśmiał się.

Terenówki nabierały prędkości, a miasto zmieniało się w przedmieścia i wieś. Ugory były pokryte śniegiem i śmieciami. Oddalali się od morza. Jechali drogą, której należał się natychmiastowy remont nawierzchni.

- Więc jak to zrobimy? - zapytał Wilson. Belov wzruszył ramionami.

- To proste. Najpierw jedziemy „Donikąd”. Wilson spojrzał na niego uważnie.

- Nie żartuję. Miejsce, do którego jedziemy nie istnieje - mrugnął do Wilsona. -

Wiesz, co to Transnistria*[* Transnistria lub Transdniestia - Naddniestrze, Naddniestrzańska Republika Mołdawska, autonomiczny region Mołdawii nieuznawany przez żadne państwo, wyjaśnił.]?

Wilson pokręcił głową.

- Cofam pytanie - powiedział Belov i ciągnął dalej - Jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kilometrów stąd. Krajobraz jak z księżycy.

- Jak to?

Belov zastanowił się. W końcu wyjaśnił:

- A pierestrojkę pamiętasz? To chyba znaczy „przebudowa”? Wilson skinął głową.

- Po pierwsze, wielkie cięcia budżetu armii. Potem zburzenie muru berlińskiego. A potem wszystko się zaważyło. Koniec Imperium Zła. Okay?

Wilson przytaknął po raz drugi.

- Okay. Więc żołnierze wracają do domu. Z Kuby, z Niemiec, ze wszystkich stron - hasta la vista! I teraz mamy wielkie nadwyżki. Czołgi i amunicja przeciwpancerna. Armaty. Helikoptery. Rakiety. Moździerze. Pociski. Karabiny przeciwlotnicze. Musieli gdzieś to wszystko złożyć, tak? Jak myślisz, gdzie? - Belov wskazał krajobraz za szybą. - W Transnistrii.

Gdy zbliżali się do pierwszego punktu kontroli, Rosjanin że Naddniestrze było częścią Mołdawii, która do końca drugiej wojny światowej straciła część Rumunii. Zaanektowana przez Związek Radziecki Mołdawia ogłosiła niepodległość dopiero po upadku ZSRR. Żołnierze pozostali w bazie, ale na terenie Mołdawii, po wschodniej stronie Dniestru. Miejscowi nie sprzeciwiali się temu, bo podobał im się pomysł niepodległego terytorium we wspólnocie z Rosją. I tak Naddniestrze stało się

tym, co bywa określane jako „własność przez zasiedzenie”.

Jedynym problemem (oprócz wyjątkowej biedy) było to, że żaden kraj nie uznawał Naddniestrza. A to oznaczało, że jej obywatele byli bezpaństwowcami. Jeśli chodzi o resztę świata, to Transnistria po prostu nie istniała.

- Transnistria nie należy do nikogo - wyjaśnił Belov. - Wielki problem. Nie ma państwa, to nie ma handlu. Nie ma handlu, to nie ma pieniędzy. Więc wszyscy są biedni. Niedobrze. W innym kraju, normalnym biednym kraju, bieda jest okay. Taka Argentyna. Afryka! Kraje stoją w kolejce, żeby dać im pieniądze. IMF, Bank Światowy, Morgan Stanley! A tu? Nikt! Nie ma kraju? To nie ma pomocy! Można stąd jedynie wyjechać. Tylko że nie można wyjechać, bo żeby wyjechać, to trzeba mieć paszport. A paszport Naddniestrza jest jak świstek papieru.

- Więc co oni robią?

- Starają się o paszporty innych krajów. W Rosji albo na Ukrainie. Trzecim najpopularniejszym krajem jest Internet. Zdziwiłbyś się ilu Rycerzy Maltańskich mieszka w Tyraspolu.

- A co to jest Tyraspol? - zapytał Wilson. Belov odpowiedział po chwili.

- To stolica „Niczego” - wyjaśnił. - Może mamy jeszcze ze trzydzieści kilometrów. Ale najpierw lotnisko. Pokażę ci, co kupujesz - i dodał - zobaczysz to na własne oczy!

Wilson wyprostował się.

- Jeśli mówisz, że tam to jest, to mi to wystarczy. Belov klepnął Wilsona w kolano i zaśmiał się.

- Ja nigdy tak nie robię biznesu! Pierwszy raz coś takiego! Więc powiedz mi, co by się stało? Łądujesz w Kongo. Klient otwiera skrzynię. A tam - ups! Grejpfruty! I co wtedy?

- Wtedy - odpowiedział Wilson - miałbym problem.

- No nie żartuj!

- Lecz tak się nie stanie - tłumaczył dalej Wilson - ponieważ wtedy ty miałbyś problem.

Belov zrobił zdziwioną minę.

- Z tobą? - zapytał ze śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Ja już bym wtedy nie żył.

- To prawda! Miałbyś czerwoną dziurę - Rosjanin trzy razy popukał palcem w swoje czoło. - Dokładnie tutaj.

- Wiem.

- A co ze mną? Nie widzę problemu.

- Miałbyś problem z Bazą - odpowiedział Wilson, używając jedyne, zresztą dwuznacznego słowa, jakie znał po arabsku.

Przez moment Belov wydawał się zaskoczony, lecz potem znów się uśmiechnął.

- Dobry dowcip. „Z Bazą”. To znaczy z Al-Kaidą.

- Tak. Z Hakimem i jego przyjaciółmi. Rosjanin skinął głową.

- To prawda - zacisnął usta. Po chwili powiedział - Dobra! Jedźmy na lotnisko. Może nie znasz się na broni, ale chyba odróżnisz grejpfruty od granatów, co?

Wilson roześmiał się.

- O tak. Grejpfruty mają różowy środek.

- Okay, więc zobaczysz skrzynię, a potem może pogadasz z Hakimem. I powiesz mu

„Nie ma różowego”!

*

Lotnisko w Tyraspolu nie wyglądało tak, jak Wilson sobie wyobrażał. Myślał, że będzie to raczej

pas startowy, jeden z takich, jakie widział na Karaibach: pasek asfaltu z budynkiem terminalu z betonowych bloczków. Lecz zamiast tego zobaczył bazę wojskową z koszarami i hangarami, i pasy startowe mogące przyjąć największe samoloty transportowe świata.

Bazę otaczało podwójne ogrodzenie z siatki zwieńczone drutem kolczastym. Samochody zatrzymały się przed budką strażników i wyłączyły silniki. Podszedł żołnierz i nakazał kierowcy opuścić szybę. Drugi żołnierz badał podwozie samochodu lusterkiem przymocowanym na końcu aluminiowego drążka.

Belov przez chwilę pogadał z żołnierzem po rosyjsku, po czym żołnierz zasalutował i machnął, że mogą jechać. Zjechali z asfaltu na polną drogę ciągnącą się przez jakiś kilometr wzdłuż ogrodzenia, aż dotarli do hangaru na dalekim krańcu lotniska. Belov skinął na Wilsona, lecz gdy zobaczył, że Zero i Khalirj ruszają za nimi, powstrzymał ich ruchem ręki.

- Tylko ty - oznajmił Rosjanin. Para z jego ust wyglądała w mroźnym powietrzu jak dym.

Wilson zawahał się, ale machnął ręką na swoich ochroniarzy, by zostali. Wyglądali na niezadowolonych. I całkowicie zziębniętych. Poza swetrem, który Zero zdobył na statku, byli w tych samych ubraniach, co w Baalbek. T-shirty i dzinsy. Tanie kurtki.

Niech się bujają, pomyślał Wilson i szedł dalej. Od powiewu wiatru łzawiły mu oczy.

Wnętrze hangaru zajmował średniej wielkości samolot transportowy o długości trzydziestu metrów i podobnej rozpiętości skrzydeł. Pomalowany był na szaroniebieski kolor, co, jak Wilson się domyślał, utrudniało jego dostrzeżenie z ziemi.

- Weteran! Weteran! - wykrzyknął Belov - Tak jak ja! - zaśmiał się - Antonów 72. Kupiłem od Aeroflotu. Służy mi już dziesięć lat. Bardzo dobry samolot.

- Ile może przewieźć? - zapytał Wilson.

- Dziesięć ton.

- Non stop?

- W życiu! - zakpił Belov - Coś ty! Nawet z dodatkowymi zbiornikami!

- Więc będziemy musieli gdzieś tankować? Belov skinął głową.

- Gdzie?

Rosjanin uśmiechnął się.

- W Sharjah. Wilson zamyślił się.

- To chyba kawał drogi? Rosjanin zrobił zdziwioną minę.

- Byłeś w Sharjah?

- Tylko wiem, gdzie to jest - odpowiedział Wilson. Hakim wspomniał o tym miejscu podczas obiadu, a Wilson w saloniku wypoczynkowym na „Marmara Queen” sprawdził, gdzie dokładnie się ono znajduje na mapach. Było to jeden z szejkanatów w Emiratach Arabskich. Zajmował wąski kawałek lądu pokrytego piachem nad Zatoką Perską, po przeciwnej stronie od Iranu co dawało trochę ponad trzy tysiące kilometrów na południowy wschód od hangaru, w którym się znajdowali.

Kongo było zupełnie z drugiej strony Afryki, na południowy zachód, i to właśnie był cel jego podróży.

Belov się uśmiechnął.

- Dolecimy do Sharjah w jakieś dwie godziny. Nie ma się czego bać.

Rosjanin wskazał Wilsonowi głową, by udał się za nim na tył samolotu do miejsca, gdzie znajdowała się kłapa do przestrzeni ładunkowej. Obok stały dwa poobijane wózki widłowe otoczone kilkunastoma skrzyniami. Część z nich była zapieczętowana, a część otwarta. Rosjanin podał mu

pojedynczą kartkę maszynopisu. Nie było na niej żadnego nagłówka, tylko słowo „CEK-PET” odcisnięte pieczętą na górze kartki.

36 ręcznych wyrzutni raketowych TYP 69 40 mm (przenośnych) z czterokrotnie powiększającą lunetą celowniczą \$ 124 200. 90 rakiet (40 mm) 35 050

200 karabinków automatycznych AK-47 7,62 mm (trzydziestonabojowe dwurzędowe magazynki łukowe) 84 460.

1000 pudełek po 20 nabojów 7,62 mm 10 100.

50 strzelb bojowych Franchl SPAS-12 55 000. 500 pudełek po 10 nabojów (kaliber 00) 8 320.

10 miotaczy płomieni (Brianchi) 1 460.

4 kamizelki (Kevlar) 1 220 12 lornetek Stabiscopie (Fujinon trzeciej generacji) 201 550.

100 noktowizorów taktycznych Rigel 3100 505 200. 300 par butów wojskowych 25 075

1 dwulufowy przeciwlotniczy karabin maszynowy Meillor 37mm 188 256. 100 nabojów przeciwlotniczych (37 mm) 9 500. 10 moździerzy 60 mm 17 600.

100 pocisków moździerzowych 60 mm 14 300 200 kilogramów płynnego środka wybuchowego (Trlex) 80 500.

100 kilogramów lontu plastikowego RDX 32 040400 elektronicznych opóźniaczy zapłonu (programowalnych od jednej godziny do dziewięćdziesięciu dni) 83 600. 1 zestaw specjalny 33 500.

30 naramlennych wyrzutni rakiet przeciwlotniczych Strela-2 (SA-7a) 1968 54 000. 15 pocisków samonapędzających na podczerwień 152 cm długości, masa 13-18 kg, masa głowicy 1,17kg 105 260.

RAZEM \$ 1 670 191 (1 429 992 euro).

Wilson studiował listę, ciekaw, co takiego będzie transportował do Afryki.

- „Cekpet”?

- Tajne - wyjaśnił Belov.

- Nie mam angielskiej pieczętki.

- A to? - Wilson wskazał ręką na jedną z pozycji.

- Stabiskopy? To specjalne lornetki stabilizowane żyroskopem. Na wibrującej tarczy są stabilne jak skała. Dobre do helikoptera, transportera opancerzonego, czołgu. Chodź! Pokażę ci - złapał oparty o ścianę łom i pociągnął Wilsona za sobą, na rampę załadowniczą i do wnętrza samolotu.

Wnętrze ładowni samolotu było przestronne. Wzdłuż podłogi ciągnęły się szyny załadownicze, na nich stały palety przymocowane pasami zabezpieczającymi i siatkami ochronnymi.

Wilson spojrzał na listę.

- A co to jest - wskazał na pozycję - trzydzieści sztuk Strela-2?

- Ręczne wyrzutnie raketowe.

- To znaczy? - dopytywał się Wilson.

- Rakiety. Jak Stingery. - By to zilustrować, położył łom na ramieniu. Celując w wyimaginowany samolot nacisnął na niby spust. - Trzyma się to jak bazukę - wyjaśniał. - Pociągasz za spust i... bum!

- A ten „zestaw specjalny”? Co to jest?

- Trucizna - powiedział Belov. - Cztery rodzaje: doustna lub DMSO. Więc uważaj, co jesz i nie dotykaj! - Zaśmiał się i znowu spoważniał. - ECC: smakuje jak gówno, lecz nikt nie narzeka. Jedna dawka i konwulsje. Numer dwa: THL. Czterdzieści osiem godzin, przez usta do kostnicy. Więc jest czas, żeby wyjść. A potem staje serce. Numer trzy - CYD: umiera wątroba, potem nerki. Cztery

godziny, może sześć. Ostatnia? MCR - Okropny sposób na umieranie! Rozkładają się organy wewnętrzne. Zupełnie. Gdy rozetniesz, środek wygląda jak zupa...

- A co znaczy DMSO?

- To rozpuszczalnik umożliwiający przenikanie trucizny przez skórę. Mieszasz z trucizną, rozprowadzasz po klawiaturze, na klamce, kolbie strzelby, gdzie chcesz. Jedno dotknięcie, od razu do krwiobiegu i ładujesz nogami do przodu.

Wilson rozejrzał się.

- Kiedy kończą ładunek?

- Dziś wieczorem, gdy dojedzie pilot. Bardzo ważne, żeby ładunek był równo rozłożony.

- I to już wszystko?

Wilsonowi wydało się, że Belov zawahał się na moment, zanim skinął głową.

- Co? - dopytywał się Wilson.

- Jest jedna drobna rzecz...

- Przy takiej dużej transakcji?

- Tak. Tak. To mała rzecz. Pokażę ci!

Rosjanin podchodził do kolejnych skrzyń, aż znalazł tę, której szukał. Podważył jej wieko łomem i otworzył.

- Zobacz! Afrykańczycy chcą rosyjskich wyrzutni rakiet, ale to nie da rady. Niemożliwe nawet dla mnie. Więc zamieniłem je na TYP 69. Chińskie. Niezłe. I tańsze.

Wilson spoglądał na szare, długie cylindry.

- A co, jeśli ich nie wezmą?

- Jeśli nie, to biorę je z powrotem. I do tego daję jeszcze pięć procent upustu. Nie ma problemu.

Klient ma zawsze rację.

- Tak naprawdę to jest siedem przecinek jeden procenta - rzucił Wilson. Belov zmarszczył brwi.

- Jak to wyliczyłeś?

- To arytmetyka. Chcesz ołówek?

Belov patrzył na niego przez chwilę. I mrugnął.

*

Podjechali do pierwszego z wielu punktów kontroli znajdującego się około trzy kilometry od lotniska. Żołnierze w oliwkowozielonych kamuflażach przeciągali co chwilę drewnianą barierę, to w jedną, to w drugą stronę na dwupasmowej drodze; zatrzymywali samochody, zadawali pytania kierowcom i puszczali ich w dalszą drogę. Obok drogi stał betonowy budynek z fundamentami utaplanymi w błocie i śladami kul na ścianach. Z zardzewiałej rury na dachu wydobywał się dym.

Na drodze przed nimi stał z tuzin ciężarówek i samochodów osobowych. Wilson poczuł, że escalade zwalnia, a jeden z ochroniarzy Belova wychyla się przez okno i ze złością krzyczy na strażnika, machając pistoletem. Dopiero teraz Wilson spostrzegł, że szyby samochodów mają chyba ze dwa centymetry grubości.

Z drewnianej budki po drugiej stronie bariery wyszedł oficer. Widząc ich wyprężył się i zasalutował.

Belov zauważył, że Wilson był pod wrażeniem.

- Flagi na błotnikach. Wilson skinął głową.

- Miałem się właśnie zapytać, z jakiego kraju są te flagi? Belov zaśmiał się.

- Stąd. Znikąd. To flagi firmowe. Wilson rzucił pytające spojrzenie.

- Tu jest główniany rząd - wyjaśnił Belov - jak na Dzikim Zachodzie. Więc na scenę wkracza Korporacja Szeryfa. Robi porządek. Jest właścicielem nieruchomości.

- Jakich?

- Lotnisko. Hotel. Kentucky Fried. Mercado. Telefony. Elektryczność. Wszystkiego, co działa.

- A ty kim jesteś? Prezesem? Belov skrzywił się i potrząsnął głową.

- Małą rybką.

Wilson zastanawiał się przez chwilę.

- To gdzie są grube ryby? Handlarz broni wzruszył ramionami.

- W głębokiej wodzie. Plac Czerwony.

Wilson skinął ze zrozumieniem i utkwiał wzrok w krajobrazie za oknem. Marznąca mżawka przechodziła w śnieg. Z nieba spadały płatki wielkości dwudziestopięciocentówek.

- Lagos - dodał Belov, jakby do siebie. I błysnął zębami w wilczym uśmiechu. - Genewa...

Dubaj. - Zaśmiał się.

- Rozumiem.

- Virginia Beach...

*

Tyraspol był rozpaczliwą pozostałością po Związku Radzieckim. Jakikolwiek urok, który mógł kiedyś roztaczać, zniknął dawno temu, zajeżdżony w niepamięć buldożerami komunistycznych planistów. Zamiast tego stały szeregi bezimiennych betonowych bloków, jeden za drugim, ze ścianami pokrytymi graffiti...

- No i jak ci się podoba?

- Wygląda głównianie - odpowiedział Wilson.

- Tylko wygląda? To jest sraka - zaśmiał się Belov. Wjechali na rondo, pośrodku którego stał olbrzymi pomnik Lenina. Przy rondzie stał czołg, a przy nim dwóch żołnierzy paliło papierosy. Z szacunkiem spojrzeli na cadillaki i odwrócili wzrok.

- Hotel jest przed nami - poinformował Belov. - Nie taki zły. Jak lekko rozjebany Intercontinental. Wytrzymacie jedną noc, wielka rzecz. A rano? - Sam sobie odpowiedział, ściskając palce dłoni w pięść, a potem prostując je jak do hitlerowskiego powitania. - Klapy w dół i maszyna w górę.

Wilsonowi zaburczało w brzuchu.

- Znasz jakąś restaurację?

- W hotelu. Chińska. Niezła.

- Myślałem, że wyskoczę coś zjeść i może trochę się przejdę. Belov potrząsnął głową i zaśmiał się.

- A może nie - odpowiedział. - Zgubisz się, a Hakim mnie zabije.

- Mógłbyś naszkicować mi mapę. Belov przewrócił oczami.

- Mapa to problem.

- Dlaczego?

- Przystępstwo - wyjaśnił Belov.

- Jak to?

Mapa! Posiadanie mapy Naddniestrza to przestępstwo.

- Żartujesz?

Nie. Mapy to kwestia bezpieczeństwa. Poza tym nie masz wizy. Więc lepiej nigdzie nie wychodź.

- Mógłbym zdobyć wizę. Czy to jakiś problem?

- To niemożliwe! - odpowiedział Belov.

- Dlaczego?

- Bo jesteś tutaj - ciągnął Belov - bez wizy. Więc...

- ...to przestępstwo - dokończył Wilson. Belov uśmiechnął się krzywo.

- Właśnie. Gliny zadają pytania. Poza tym wiza jest ważna tylko przez osiem godzin. Na wycieczkę jednodniową i na Ukraińców.

- Na tak krótko? Belov kiwnął głową.

- Tak. Lepiej nigdzie nie wychodź. - Wilson zaczął protestować, ale Belov uciął dyskusję. -

Wiem. To jest wkurzające, ale - handlarz bronią podniósł ręce do góry, jakby się poddawał - tylko tyle mogę zrobić. - Zakończył rozmowę, wkładając do uszu różowe słuchawki. Rozparł się na siedzeniu i przymknął oczy.

*

Kierownik hotelu Red Star czekał na nich w holu. Hotel miał kształt betonowego sześcianu, a podłogi były wyłożone szarą jak sierść myszy wykładziną. Nad ladą recepcji, na ścianie, wisiał portret Eleny Ceausescu.

Wilsonowi hotel przypominał swoim klimatem sieć Day's Inn, ale kierownik robił wrażenie. Strzelał palcami jak kastanietami, spiesząc z pomocą przyjmował pozy podstarzałego boya hotelowego i z pełną atencją ustawiał się przy ich walizkach.

Witając Belova ciepłym uściskiem dłoni i wypowiedzianym cicho dowcipem po rosyjsku, machnął ręką na formalności recepcyjne. Podeszedł do lady, wziął z pół tuzina kluczy i zaczął je rozdawać. Jeden dla Zera, drugi dla Khalida, trzeci dla Wilsona.

Słuchając rady Belova, nie skorzystali z windy, która ciągle się psuła i poszli za boyem schodami na drugie piętro.

Ku zdziwieniu Wilsona, pokój wyglądał całkiem nieźle. Był wielki i komfortowo urządzone, miał telewizję kablową i małe biurko pod oknem. Leżała na nim ładnie wydrukowana instrukcja, jak można skorzystać z hotelowego superszybkiego Internetu za „jedyne” trzydzieści euro za godzinę.

Właśnie miał zamiar to zrobić, ale ogarnęła go fala zmęczenia. Usiadł na łóżku, przecesał palcami włosy i pomyślał o prysznicu. To by go obudziło. Ale materac był tak miękki, jak miękki może być gęsi puch, a hotel tak cichy jak grobowiec. Leżąc na wznak na poduszkach, zamknął oczy i nasłuchiwał. Wiatr uderzał podmuchami, jakby z miechów, nasilając się, notem cichnąc. Ciskał kryształkami lodu o okna, powodując ciche, ledwo słyszalne grzechotanie. I znowu cisza.

Gdy się obudził, w pokoju było ciemno, choć jeszcze niezbyt późno. Wstał z łóżka, podeszedł do minibaru i zerwał pieczęć na kłamce. W środku znalazł parę butelek piwa Slavutycz.

Nawet smakowało jak piwo.

Wziął pilota do ręki i włączył telewizor. Przeleciał po kanałach, aż wreszcie znalazł coś po angielsku. Leciąca transmisja na żywo z Iraku. Kilkoro dzieciaków pastwiło się nad zwłokami żołnierza, leżącymi obok płonącego hummera, a tłum tańczył w kałuży, która wyglądała jakby była pełna krwi. Głos prezydenta Busha spoza obrazu informował, że demokracja to „ciężka praca”.

Wilson chrząknął.

Były też inne sceny. Więcej dymu, tym razem z samobójczego ataku bombowego w Kabulu. Mężczyźni biegnący z noszami. Wyjące kobiety i syreny. Żołnierze w polaryzowanych okularach marki Oakley, rozglądający się nerwowo, M-16 w pogotowiu, broń wymierzona w niebo. Po chwili

oddział urazowy w szpitalu. Mężczyzna na podłodze, wyglądający jakby wykrwawiał się na śmierć, zwinięta z bólu kobieta...

To jeszcze nic, pomyślał Wilson. To jeszcze gówno. Jeśli myślicie, że to jest tragedia, to poczekajcie, zobaczycie, jaką ja wam urządzę.

Uśmiechnął się do swoich myśli. To będzie jak koncert orkiestry symfonicznej, powiedział do siebie. Chaos na ekranie telewizyjnym był wizualnym ekwiwalentem hałasu, jaki robi orkiestra przygotowująca się do koncertu, gdy muzycy stroją swoje instrumenty. Kakofonia była potężna i nieskoordynowana, jak zderzenie hałasu i zbrodni. Lecz po chwili pojawia się dyrygent, stuka batutą w pulpit i podaje pierwszą nutę symfonii - ciszę.

A potem przychodzi burza.

Wilson wziął długi łyk Slavutycza. Czas na obowiązki. Odkąd opuścili statek nie sprawdzał wiadomości e-mailowych. Podłączył swojego laptopa do linii telefonicznej i poczekał aż komputer się włączy, bawiąc się cały czas myślą, że jest dyrygentem. Będzie artystą! Jeśli dobrze się wsłuchać, można by słyszeć aplauz widowni, ludzi krzyczących: „Maestro! Maestro!”.

Kliknął w ikonę Internet Explorer, wszedł na yahoo.com i wprowadził hasło. Kliknął na pocztę, potem „Wersje robocze” i zobaczył wiadomość. Była to jedna linijka tekstu z datą sprzed dwóch dni, linia adresata była pusta:

Nie mogę znaleźć Hakima.

ROZDZIAŁ 15

TYRASPOL - SHARJAH

Antonów dudnił po asfalcie pasa startowego, klapy startowe miał już opuszczone; samolot trząsł się i drżał, rycząc silnikami na rozbiegu. Ściana sosen zamajaczyła za płotem, coraz wyższa i wyższa, aż całkowicie wzniesli się w powietrze. Gdy Tyraspól małał pod ich skrzydłami, niczym makieta slumsu w zimowym krajobrazie, wibracje samolotu przerodziły się w pulsujący pomruk.

Wilson siedział w kokpicie z Belovem, pilotem i inżynierem pokładowym. Gdy samolot skręcił na południe, Wilson wreszcie mógł się odprężyć. Rosjanin zapalił cygaro i puszczał z ust kłęby dymu. Wskazał głową na silnik na lewym skrzydle.

- Halo! Widzisz? Wilson spojrzał za okno.

- I co?

Belov wykonał elegancki ruch dłonią, jakby rysując sinusoidę w powietrzu.

- Rosyjski geniusz umieścił silnik nad skrzydłem, a nie pod, więc możliwy jest krótszy rozbieg i krótsze lądowanie! Gówniane lotniska - nie ma problemu, nawet w Afryce. Zawsze korzystam z trawiastych pasów startowych. To się liczy. Zwykły samolot nie ma szans.

- Pewnie jest coś za coś? - zapytał Wilson. Belov wzruszył ramionami.

Nie taki duży samolot. Antonów 12 bierze dwadzieścia ton - nie dziesięć - pomachał palcem w powietrzu. - Ale wtedy potrzebuje dwóch kilometrów na rozbieg.

Wilson spojrzał za okno. Gdy samolot wzbijał się córa? wyżej, widział silnik po lewej stronie. Był umieszczony na krawędzi natarcia skrzydła. Wydobywające się spaliny unosiły się nad lotkami.

- Czy mogę iść na tył sprawdzić moich kołesiów?

- Oczywiście! Jest okay! - odpowiedział Belov. - Ale żadnego gotowania! Wilson spojrzał na niego zdumiony.

- Co?

- Żadnego gotowania. Co, nie rozumiesz?

- Żartujesz sobie ze mnie. Belov pokręcił głową.

- Spójrz na podłogę. Czasem Arabcy myślą, że skoro to jest metal, to nie ma problemu. No mówię ci. Oni gówno kapują. Więc powiedz im: żadnego gotowania!

- Dobra, powiem.

- Dzięki.

Wilson odpiął pasy i wstał. Przez okno zobaczył Morze Czarne rozciągające się aż po horyzont.

- Ile jeszcze do Sharjah? - zapytał.

- Pięć godzin - odpowiedział Belov. - Może sześć.

- Czasem miewamy problemy w irackiej przestrzeni powietrznej - rzucił przez ramię pilot.

- Jakie problemy? - zdziwił się Wilson.

- F-16.

Wilson wyszedł z kokpitu i skierował się do ładowni, gdzie Zero i Khalid siedzieli na rozkładanych metalowych fotelach przymocowanych do ściany. Palili papierosy, a każdy z nich trzymał na kolanach torbę Diadory. Na podłodze przed nimi widniała czarna plama - ślad po gotowanym przez kogoś obiedzie.

Wilson rozejrzał się.

- Wszystko w porządku? Khalid zaśmiał się.

- On się trzęsie ze strachu - powiedział, wskazując na Zera.

- No dobra... - Wilson zawiesił głos. - Chcę was o coś zapytać. Khalid uniósł brwi, jakby mówiąc „No to strzelaj”.

- Czy wczoraj wieczorem gdzieś dzwoniście? Khalid skrzywił się.

Nie - odpowiedział. - Do nikogo nie dzwoniłem. On też nie. Żadnych telefonów...

- A Internet? - zapytał Wilson.

Samolot przeleciał przez dziurę powietrzną i Zero pobladł.

Khalid zmarszczył czoło, a potem rozluźnił się, zawstydzony. Myślał, że Wilson gniewa się za wysoki rachunek hotelowy, postanowił zatem zwalić winę na przyjaciela.

- O tak - przyznał w imieniu Zera. - On ciągle wchodzi na strony z dziwkami, gdy biorę prysznic. Ale może pięć minut, może dziesięć. Gdy biorę prysznic. Gdy wychodzę, widzę co robi i każę mu wyłączyć.

- W porządku.

- No może piętnaście minut.

- Nie o to mi chodziło - wyjaśniał Wilson. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy kontaktował się z wami Hakim. Czy dostaliście od niego jakiegoś e-maila?

Khalid pokręcił głową.

- Nie. Nic nie dostaliśmy od Hakima.

*

W Sharjah wylądowali po trzeciej.

Opuszczenie samolotu było jak wyjście z kina wczesnym popołudniem. Uderzyła ich fala gorąca, niebo zaś wydawało się płonąć jak pochodnia. Wilson zaczął rozpaczliwie szukać okularów słonecznych, a oczy zmrużył tak mocno, że zupełnie nic nie widział. Plamy oleju, prawdziwe lub iluzoryczne, lśniły na asfalcie. W oddali, w roztopionym powietrzu, miasto błyszczało bielą kości słoniowej.

- Dubaj - wyjaśnił Belov, wskazując ruchem głowy na miasto. Z tyłu mała ciężarówka zaczęła ciągnąć ich samolot w kierunku hangaru położonego na końcu pasa startowego.

- Jak długo tu będziemy? - zapytał Wilson.

- Wylatujemy wieczorem. Głodny?

- Coś bym zjadł - przyznał Wilson.

- Dobrze. Chodź. Załatwię ci marynarkę.

- Dokąd jedziemy?

- Do Dubaju. Parę kilometrów.

- Po co?

- Na herbatę - odpowiedział Belov.

- Na herbatę?

- I kanapki! - Widząc niedowierzanie malujące się na twarzy Wilsona, Rosjanin wzruszył ramionami w przeproszającym geście i wyjaśnił:

- W Moskwie zabrałbym cię do burdelu. Poruszać trochę dupą. No problem. A tutaj?

W arabskim kraju? Idziemy na herbatkę.

*

Wilson do tej pory nie jechał jeszcze bentleyem. Podobało mu się.

Podobnie jak hotel Burj Al Arab. Zbudowany w kształcie żagla największego dhow*[* Dhow - tradycyjna łódź arabska.] na świecie, stał około trzystu metrów od brzegu na sztucznej wyspie łączącej go betonową groblą dojazdową z Jumeirah Beach. Belov popisывał się wiedzą mówiąc, że hotel ma najwyższe atrium na świecie, najwyżej położony kort tenisowy i najdroższe pokoje...

- I... - uwaga! - podwodną restaurację! I co ty na to?

- To chyba trochę niewygodne - zażartował Wilson. - Musieli coś spieprzyć z projektem.

Belov zmarszczył brwi, ale jak zrozumiał dowcip, to się zaśmiał. W atrium przywitał ich szef sali i zaprowadził do przykrytego lnianym obrusem stolika obok fontanny. Wokół szeleściły liście palm, pochylające się od sztucznej bryzy, a fontanna wystrzeliwała strumienie wody na kilkadziesiąt metrów w górę. Wokół stolików biegały dzieci, wrzeszcząc i poruszając palmami. Temperatura powietrza wynosiła około osiemnastu stopni. Mimo założonej marynarki Wilsonowi zrobiło się zimno.

- Hej! - wykrzyknął Belov, wskazując na przechodzących przez atrium niby-gangsterów, którzy towarzyszyli muskularnie zbudowanemu Murzynowi. - To Fifty Cent! Znam go! Chcesz przybić mu piątkę?

- Może kiedy indziej - odpowiedział Wilson. Rosjanin wzruszył ramionami i skinął na kelnera.

- Dwie herbaty - kelner mrugnął powiekami, skinął głową wycofał się z profesjonalnym uśmiechem. Belov rozparł się w fotelu i z kwaśnym uśmiechem przyglądał się Wilsonowi.

- Jesteśmy w połowie drogi - poinformował. Trochę mniej.

- Może kilka kilometrów mniej. A kto to liczy?

- Mam nadzieję, że jest ktoś taki. Nie chciałbym się spożyć. Wilson rozejrzał się.

- Max... Co?

- Po co my tu właściwie siedzimy? Belov wzruszył ramionami.

- Już mówiłem! Tankujemy paliwo. Do Kongo daleko.

- Mam na myśli to miejsce. Magiczne Królestwo. Emiraty.

- Burj Al Arab. Każdy zna to miejsce. Jest słynne.

- Więc jesteśmy turystami?

- Nie turystami! Wąchamy sobie kwiatki. Jest dobrze. Wilson potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić myśli.

- Ile trwa tankowanie?

- Pół godziny.

Wilson spojrzął na zegarek.

Belov pochylił się w jego stronę i zniżył głos.

- My nie tylko tankujemy paliwo.

- Nie?

Rosjanin potrząsnął głową.

- Więc co jeszcze? - zapytał Wilson.

- Malujemy.

- Malujemy?

Belov złączył kciuk z palcem wskazującym.

- Troszeczkę. Na ogonie. Numery - jego głos obniżył się o dwa decybele i całą oktawę. - Powiem ci coś w tajemnicy.

- Okay.

- Mam dwa Anionowy w hangarze. Wilson zamyślił się. Belov opowiadał dalej.

Więc malujemy. Potem wymieniamy transpondery. Antonów Numer Dwa leci do Alma Aty.

Wiesz, gdzie jest Alma Ata? Wilson pokręcił głową.

Gówniana dziura. Nieważne - ciągnął. - To dobra przykrywka. Robi się ciemno i startuje Antonów Numer Jeden - odchylił się w fotelu z błyskiem w oczach, jakby właśnie wyjawiał tajemnice teorii względności jakiemuś facetowi stojącemu za nim w kolejce do kasy w supermarkecie. - Rozumiesz?

Zanim Wilson mógł odpowiedzieć, powrócił kelner, pchając wózek wypełniony filiżankami, imbryczkami i talerzykami z mikroskopijnymi kanapkami. Kelner otworzył skrzyneczkę z różnymi gatunkami herbaty i mogli dokonać wyboru. - English Breakfast dla Wilsona i mieszanka echinacei, borówek palmy sabałowej i korzenia pokrzywy dla Belova.

- To na czakry*[* Czakra (czakram) - według wierzeń niektórych religii to ośrodek energetyczny w ciele, czyli miejsce, gdzie spotyka się wiele kanałów energetycznych; rozwijanie czakramów może prowadzić do rozwoju wewnętrznego i duchowego oświecenia.] - wyjaśnił nieco skrzępowany.

- Doskonały wybór - odpowiedział kelner i odszedł. Belov pochylił się nad stolikiem.

- Co wiesz o Kongo? Wilson pokręcił głową.

- AIDS i diamenty. Kiedyś należało do Belgii. Mnóstwo bogactw mineralnych, olbrzymia bieda - zamyślił się na chwilę. - I zabijają się nawzajem.

Belov potwierdził skinieniem głowy.

- Trzy miliony trupów w ciągu pięciu lat.

Wilson spróbował kanapki z mieszanką serka kremowego i musu z moreli na plasterku łososia, spoczywającego na trójkątku chleba tostowego z obciętą skórką. Niezłe, pomyślał. Ale musiałyby zjeść ich z dziesięć, by poczuć coś w żołądku. Spróbował jeszcze jedną: cieniutko pokrojone rzodkiewki na posmarowanym masłem pumpemiklu. Nawet lepsze.

- Jeszcze złoto - wyliczał Belov - i miedź, i wszystko, co chcesz. Lecimy do prowincji Ituri przy granicy z Ugandą. Piękne, piękne góry... - Przymknął na moment oczy i szybko je otworzył. - Lecz to miejsce to śmierć. Walczą już dziesięć lat. Myślę, że to się nie skończy.

- Kto za tym stoi? - zapytał Wilson.

- Ty! Ja! Oni! Wszyscy! - i wymienił jeszcze cały ciąg skrótów różnych organizacji. Wilson wsunął do ust kolejną kanapeczkę. Próbował zgadnąć, co na niej było.

Musztarda Dijon, sos malinowy i kawałki indyka.

- A ten facet, z którym prowadzisz biznes?

- Komendant Ibrahim. Jest Ugandyjczykiem, więc świetnie mówi po angielsku! Wilson wyglądał na zdziwionego.

- To co on robi w Kongo, skoro jest z Ugandy?

- Kopalnie diamentów - odpowiedział Belov - koło Bafwasende.

- Gdzie to jest?

- Nad rzeką Lindi. Może ze trzydzieści kilometrów od lotniska - Belov uśmiechnął się krzywo. -

Tam żyją Pigmeje. I mam dla ciebie radę. Nie wkurwiał ich!

Wilson rozparł się w fotelu. Muszę to zrobić, pomyślał. Rozejrzał się dookoła i próbował to sobie wyobrazić. Miejsce, jak to, nagle awaria zasilania, gasną światła. Fontanna zamiera, robi się coraz bardziej gorąco. Ale mija chwila i co się dzieje? Włączają się generatory! Jesteśmy uratowani! Światła się zapalają, wszyscy oddychają z ulgą. Jakiś śmiech, odprężające rozmowy, a po chwili - barn, barn! - generatory stają. Żywność zaczyna się psuć, powietrze zaczyna śmierdzieć. I może, może... nie mogą się stąd wydostać. Drzwi są automatyczne i wyglądają jakby ważyły tonę. Jeśli nie mogą uciec - to znaczy, że są zamknięci - i po paru dniach będzie zupełnie jak w filmie George'a Romera. Aż zaśmiał się na samą myśl. Prawdziwe „mięso armatnie”. Wszyscy ci ludzie, kelnerzy i szejkowie, biznesmeni i dziwki, prażeni w spiekocie słoja, jakim był ten hotel - a może, miejmy nadzieję, będzie im przygrywał ten Fifty Cent?

- Co cię tak rozśmieszyło? - zapytał Belov. Wilson pokręcił głową.

- Nic, tak sobie... Więc, co będzie grane, jak już tam się najdziemy? Belov wzruszył ramionami.

Pojedziemy samochodem do Bafwasende. Spotkamy się z komendantem Ibrahimem i pogadamy sobie jak starzy kumple, ak wszystko będzie grało, dostajemy kasę. A potem, następnego dnia, ty jedziesz do Kampala.

- A co jest w Kampala? - zapytał Wilson.

- Lotnisko. Okno na świat.

- A ty?

- Ja z powrotem wracam do Sharjah.

Wilson sączył herbatę. Zdał sobie sprawę, że jak Belov odleci on zostanie zupełnie sam, tylko z Zerem i Khalidem i z czterema milionami dolarów w diamentach.

- Powiedz mi coś - zwrócił się do Belova.

- No co?

- Ten facet, Ibrahim, jest bliskim kolesiem Hakima, tak? Belov kiwnął.

- To co się stanie, jeśli zginę? Belov zmarszczył czoło. Po chwili odparł:

- To zależy.

- Od czego?

- Od diamentów. Jeśli znikniesz - będzie smutno! Popłaczemy za tobą w Sharjah i w Bejrucie, ale biznes będzie toczył się dalej. O ile nie zginą też diamenty. Wtedy mamy wielki problem. Wszyscy. Pułkownik Ibrahim też - Rosjanin z krzywym uśmiechem, popukał się palcem wskazującym po skroni. - Ja obserwuję cały ten mechanizm, nie masz się czego bać. Hakim wiele razy wysyłał ludzi do Kongo i jeszcze nikt nie zginął!

Wilson skinął ze zrozumieniem głową, lecz nie wyglądał na zadowolonego. Myślał o e-mailu odebranym zeszłej nocy od Bobojona.

- A co z Hakimem? Co jeśli on zniknie?

Belov nadał policzki jak ryba nadymka. Siedział tak przez kilka sekund, powoli wypuszczając powietrze. W końcu odpowiedział:

- To byłby koniec świata.

ROZDZIAŁ 16

KONGO 5 MARCA 2005

Im wyżej, tym bezpieczniej i tym przyjemniejszy lot.

Po starcie, krótko po północy, wzbili się na dziesięć tysięcy metrów nad Empty Quarter*[* Empty Quarter - niezamieszkałe tereny pustynne Arabii Saudyjskiej.] i pozostali na tym pułapie dopóki nie minęli Etiopii. Gdzieś nad Sudanem zaczęli stopniowe schodzenie, aż dotarli do granicy Ugandy z Kongo. Gdy samolot delikatnie zatopił się w morzu chmur, księżyc zniknął, zadrżały skrzydła i zaczęło nimi rzucać.

- Zapiąć pasy - rzucił Belov.

W kokpicie było cicho i ciemno, panel instrumentów pokładowych połyskiwał miękkim światłem. Zakołysało kadłubem. Belov rozmawiał cicho po rosyjsku z nawigatorem, a pilot korygował lot wolantem.

Wilson zapiął pasy. Nagle błysnął piorun i niebo, kokpit oraz twarze ludzi rozświetliły się jak po wybuchu supernowej. I potem znów zapadła noc. Wilson zobaczył przez okno kolejne błyskawice przeszywające w oddali ciemne niebo.

Samolot zboczył z kursu.

- Lepiej obniż pułap - powiedział Belov.

- Tak, tylko te pioruny...

- Pieprzyć pioruny! To zaszara okolica. Stingery, strefy, cały ten rakieto wy bajzel! Wilson spojrzał na handlarza bronią.

- A czyja to wina? - zapytał, gdy samolot wpadł w kolejną turbulencję, powodując okrzyki w przedziale pasażerskim.

Belov zaśmiał się.

Wysokościomierz przekręcał się w lewo, kadłubem mocno kołysało, za nimi rozbił się na podłodze serwis obiadowy. Wilson kopnął filiżankę na bok i szukał za oknem jakichś świateł, lotniska, czegokolwiek.

- W taką pogodę jak ta, myślę: Dag Hammarskjold - wyznał Belov. - Słyszałeś o nim? Wielki facet z ONZ. Pojechał do Katangi. Dawno temu.

- Rakiety?

Belov pokręcił głową.

- Nie! Gówniana pogoda, więc lecieli na przyrządach, okay? Jacyś źli ludzie porwali reflektor z lotniska i wprowadzili samolot wprost na górę. I koniec z Hammarskjoldem!

Wilson zadrżał. Mógł tylko sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby wypadli z chmur na ścianę skał i drzew. Przynajmniej krótko by to trwało. Spojrzenie na koniec. I koniec. Ale gdyby wewnątrz

samolotu wybuchł pocisk, albo gdyby trafiła ich rakietą... Może eksplodowałyby zbiorniki z paliwem, wtedy wszystko skończyłoby się w sekundę. Ale gdyby samolot rozpadał się, kawałek po kawałku? A pasażerowie wyskakiwali z niego w pustkę jak zawirusowane ptaki, jak samobójcy, albo jak ci, którzy skakali z dachu World Trade Center?

Gdy Antonów wyleciał z chmur na pułapie trzystu pięćdziesięciu metrów pod skrzydłami, zamrugały światła. Pilot wyrównał lot, kierując się na coś, co musiało być pasem do lądowania - prostokątem światel pograżonym w ciemności.

Gadali teraz po rosyjsku, a samolot obniżał lot. Podwozie opuściło się z przerażającym dudnieniem i przez moment Wilson pomyślał, że pewnie oberwali, choć nie miał bladego pojęcia czym i od kogo. Przycisnął czoło do szyby i zobaczył spaliny wydobywające się z silnika, które wiły się po skrzydle; lotki trzepotały, a w oddali, przed nimi, stały ciężarówki i samochody wojskowe oświetlające pas lądowiska.

Samolot nie stał nawet trzydziestu sekund, gdy zaczęła się opuszczać rampa załadownicza. Zero i Khalid byli już na nogach, w jednej ręce mieli torby wojskowe, a w drugiej - swoje H&K. Torby Diadory nie przydałyby się w Afryce, więc zostawili je na podłodze ładowni, a broni i tak nie wezmą ze sobą do Antwerpii.

Belov wypuścił ich na zewnątrz po rampie. Oślepiły ich światła samochodów wojskowych i ciężarówek.

- Max! - Spoza blasku reflektorów wyłonił się jakiś olbrzym, podszedł do Belova i objął go ramionami na powitanie, śmiejąc się radośnie. Wilson spostrzegł, że mężczyzna pasowałby wyglądem do koszykarzy z San Antonio Spurs. Był mniej więcej w jego wieku. Na policzkach miał rytualne szramy, a w małżowinie ucha ogromny diament. Ubrany był w ciemnoszary mundur polowy, wojskowe buty. Pod pachami miał podwójne kabury, z których zwisały na wpół odbezpieczone glocki. Krok za nim, po obu stronach, stali dwaj wyglądający na aniołków dwunastoletni chłopcy z kałasznikowami.

- Komendancie Ibrahim, proszę pozwolić, przedstawię pana Franka - powiedział Belov.

Komendant Ibrahim zgniół rękę Wilsona w swojej, uśmiechając się przy tym szeroko i zrobił krok do tyłu, przyglądając mu się podejrziwie.

- Amerykanin? Wilson skinął głową. Belov, rozglądając się nerwowo, powiedział:

- Pan Frank jest starym przyjacielem pana Hakima. Razem robimy interesy. Komendant Ibrahim skinął głową ze zrozumieniem i powiedział:

- Takoma Park.

Głos Afrykańczyka był głęboki, z lekkim brytyjskim akcentem. Wilson nie miał pojęcia o czym on mówi. Przepraszam?

- Takoma Park. Czy znasz? To miejsce?

Wilson spojrzał na Belova, lecz Rosjanin odwrócił głowę, jakby mówił: „Jesteś zdany na siebie”.

- Chodzi ci o to przedmieście w stanie Maryland?

- I w DC*[* DC - District of Columbia - Wydzielone terytorium USA leżące między stanami Maryland a

Wirginia, na którym obowiązują prawa federalne. Washington DC (stolica USA leżąca w Dystrykcie Columbia) odróżniany jest tymi dwoma literami od stanu Washington leżącego po drugiej

stronie kontynentu nad Oceanem Spokojnym.]. Jego część leży też na terenie DC.

Wilson skinął głową.

- O tak. Byłem tam raz lub dwa.

Komendant Ibrahim uderzył się ręką w piersi i skierował palec na Wilsona.

- Ja mieszkałem tam przez dwa pieprzone lata. Wilson nie wiedział, co odpowiedzieć i tylko westchnął:

- Hmmm!

Komendant Ibrahim odwrócił się do młodocianego żołnierza po swojej prawej stronie i rzucił:

- To mój ziomal. Dzieciak zaśmiał się.

*

Odległość do obozu górniczego koło Bafwasende wynosiła około pięćdziesięciu kilometrów. Wiodła do niego piaszczysta droga, która była w niezłym stanie, jak pomyślał ku swojemu zdziwieniu Wilson. Jechali dość eleganckim mercedesem osobowym. Komendant Ibrahim siedział z przodu, obok kierowcy, paląc jointa zrolowanego wprost z liści marihuany. Wilson i Belov skorzystali z minibarku ukrytego w podłokietniku i sączyli glenmorangie ze szklaneczek. Dla Wilsona był to narcystyczny moment, a dla Belova po prostu jeszcze jeden dzień w biurze. Ich eskorta składała się z transportera opancerzonego i wozu „technicznego”. Tym wozem był jeep grand cherokee z obciętym dachem, by - w razie potrzeby - można było zamontować lekki karabin maszynowy na miejscu tylnej kanapy. Pozbawiony dachu jeep miał zaimprovizowane opancerzenie pomalowane czarną, matową farbą podkładową, które uzupełniała cała konstelacja dziur od kul na lewym przednim błotniku. Próba zalepienia ich szpachlą epoksydową zdecydowanie się nie powiodła.

Transporterem opancerzonym był BTR-70, według Belova, który sam go sprzedał komendantowi Ibrahimowi. Miał sprzężone karabiny maszynowe i był amfibią.

- Ładny rosyjski samochód - przechwalał się Belov. -

Produkują je w fabryce Arzamas w Niżnym Nowogrodzie. Są cholernie ciężkie! Dziesięć ton, tak myślę!

- Jedenaście - poprawił go Ibrahim.

Belov już miał zamiar podjąć dyskusję, ale ich rozmowę przerwał ogień karabinu maszynowego z wozu technicznego.

Wilson zobaczył grupę ludzi rozbiegających się na boki i uciekających do buszu. Belov i Komendant Ibrahim zaśmiali się.

- Co to, kurwa, było? - zapytał Wilson. Ibrahim zachichotał:

- To miejscowi - odpowiedział. - Spoko.

- Czy oberwali od nas? Ibrahim wzruszył ramionami.

- Nie wiem - sposób, w jaki to powiedział, wskazywał na to, że równie dobrze mógłby dodać: „A czy ma to jakieś znaczenie?”.

Wilson spojrział przez tylną szybę. Na wschodzie jaśniało niebo.

- Dokąd uciekli? Belov zachnął się.

- Nigdzie! Wrócą za pięć minut. Jak karaluchy! Ibrahim zwrócił się do Wilsona:

- Widziałeś linę?

Wilson pokręcił głową. Nie widział niczego oprócz kilku uciekających mężczyzn.

- Przez drogę była przeciągnięta lina - wyjaśnił Ibrahim. - Przywiązują ją do drzewa.

- No i co?

- Gdy przejeżdżają samochody, podnoszą linę. To oznacza, że musisz się zatrzymać.

- My się nie zatrzymaliśmy.

Ja mam transporter opancerzony. Po co ja mam się, kurwa, zatrzymywać? Belov zachichotał, Ibrahim też się zaśmiał.

Nazywają siebie poborcami podatków - wyjaśnił komendant, przestając się śmiać. - Wydaje im się, że są rządem. Ale ja się z tym nic zgadzam. Widziałeś kiedyś poborcę podatkowego siedzącego na poboczu z liną? Wilson pokręcił głową.

- No widzisz - ciągnął Ibrahim - a ja ich widzę codziennie. I to mnie wkurza.

Jechali jeszcze z godzinę, aż dotarli do obozu zbudowanego z prefabrykowanych pawilonów schowanych za betonowym murem. Mur zwieńczony był drutem kolczastym i tłuczonym szkłem. Ten obóz, oddalony od kopalni o kilkaset metrów, pełnił rolę „biura zarządu kopalni i koszar” komendanta Ibrahima.

- Możecie wreszcie trochę się przespać - powiedział Ibrahim - a ja i mój przyjaciel obejrzymy towar. Oprawdzą cię po okolicy dziś po południu.

Wilson chemie na to przystał, bo długi lot bardzo go zmęczył. Udał się razem z Khalidem i Zerem za półnagim Pigmiejem na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się kilka pokojów dla gości. Były umeblowane skromnie, lecz schludne. Pokój Wilsona miał nawet klimatyzator, który wprawdzie hałasował jak ciężarówka z przetrąconym wałem korbowym, ale przynajmniej obniżał temperaturę do dwudziestu pięciu stopni i wyciągał wilgoć z powietrza.

Wilson zrzucił buty i położył się na łóżku. Chociaż był bardzo zmęczony, to sen nie nadchodził. Czuł, jak na jego ramieniu wylądował komar. Otworzył oczy i obserwował jak wbił się w skórę i pije krew. Gdy wyglądał już na nasyconego, Wilson zacisnął palce w pięść i napiął mięśnie ramienia. Komar był teraz uwięziony, napięte mięśnie zablokowały jego klujkę i unieruchomiły go. Uwidoczniły się żyły, mięśnie zadrżały. Insekt odpadł martwy.

Była to jedna z zabaw, w jakie bawił się w Supermaksie.

Zamknął oczy, by po chwili znowu je otworzyć na odgłos kłótni dochodzącej z korytarza przed jego pokojem. Zerwał się na równe nogi, założył buty, podszedł do drzwi i otworzył je.

Zero i Khalid kłócili się z Pigmiejem, który, choć przejęty i przerażony, groził im nożem. Nadszedł ugandyjski żołnierz, stukając głośno butami, i zaczął krzyczeć na wszystkich, by się zamknęli.

Wilson odciągnął swoich ochroniarzy, a żołnierz starał się uspokoić Pigmieja.

- O co chodzi? - zapytał Wilson. Żołnierz podniósł wzrok znak Pigmieja.

- On mówi, że oni go obrazili. Khalid zaczął się podśmiewać.

- Masz szczęście, że cię nie zabił - zwrócił się do Khalid żołnierz.

Khalid podniósł swojego H&K, jakby chciał dać do zrozumienia, że raczej nie jest to możliwe. Tym razem to żołnierz zaczął się śmiać.

- Wypatroszyłby cię.

- Pieprzyć to - wtrącił się Wilson - O czym wy gadacie? Jak niby go obrazili?

- On miał pilnować twojego pokoju - odpowiedział żołnierz.

- I co?

- Twoi kołesie nie chcieli mu pozwolić.

- To nasza działka - upierał się Khalid. - Siedzimy na zewnątrz, na krześle z H&K. I zmieniamy się.

- Więc w czym problem? - zapytał Wilson.

- On chciał krzesło. I wyciągnął nóż.

Pigmej zaczął coś mówić, ale Wilson uciszył go machnięciem ręki.

- Powiedz mu, że przepraszamy. - Gdy żołnierz przetłumaczył, Wilson zwrócił się do Khalida: -

Dlaczego nie wzięliście sobie innego krzesła?

Khalid wzruszył ramionami.

- No niby mogliśmy.

- Na dole jest jeszcze jedno krzesło - powiedział żołnierz. Wilson skinął głową.

- Pójdę z tobą.

Gdy schodzili na dół, żołnierz się śmiał.

- Twój chłopcy są bardzo dobrzy! - powiedział. - Albo bardzo głupi.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Wilson. Żołnierz znowu się zaśmiał.

- Ten Pigmej zabija w mgnieniu oka. Wszyscy to wiedzą, twoi chłopcy nieźle dla ciebie ryzykowali.

Gdy schodzili do biura na dole, doszła do nich fala śmiechu i krzyków. Grupka chłopców, z których żaden nie miał więcej niż trzynaście lat, pochylała się nad laptopem. Wilson myślał, że może grają w jakąś grę, ale po chwili spostrzegł, że przeglądają strony porno.

Żołnierz wrzasnął na nich:

- Wynoście się! Wynocha! Chłopcy uciekli.

Wilson odwrócił się do żołnierza, który teraz śmiał się z tego zdarzenia.

- Macie tu Internet satelitarny? Żołnierz skinął głową.

- Czy mogę skorzystać? Żołnierz wzruszył ramionami.

- Oczywiście. - I poszedł po krzesło.

Wilson usiadł przed monitorem, zacisnął pięści i wpisał: www.yahoo.com. Miał nadzieję, że będą jakieś wieści o Hakimie.

Klik na pocztę. Klik na „Wersje robocze”. Strona się otworzyła. Ku swojemu zdziwieniu znalazł nie jedną wiadomość, lecz dwie. Nie mogę znaleźć Halama - powinna zostać usunięta. To go wkurzyło. Taka drobna rzecz, ale jak irytująca. To nie był czas na lekceważenie spraw bezpieczeństwa. Przecież ich protokoły komunikacji były takie proste. Wilson usunął starą wiadomość i otworzył tę nowszą, jak zwykle pozbawioną adresata i tytułu.

Znalazłem Hakima. Bez problemu. Miał spotkania z przyjaciółmi. Chce się z tobą skontaktować.

Wilson uważnie studiował treść wiadomości. Czuł się jakby ktoś uderzył go w brzuch. Znalazłem Hakima”? Te słowa - a raczej liczba słów w pierwszym zdaniu - wbiły go w fotel.

Próbował wszystko sobie wytłumaczyć. Może Bo zapomniał... Ale to niemożliwe. Jak można zapomnieć o tak prostym protokole? Takich rzeczy się nie zapomina. A to oznaczało, że tej wiadomości nie napisał Bobojon. To musiał być ktoś obcy. Ktoś, kto zdobył informacje o skrzynce kontaktowej Bobojona i wykorzystał stronę z „Wersjami roboczymi” do przekazania wiadomości. Ale jak to się mogło stać?

Wilson starał się przypomnieć sobie pobyt na „Marmara Queen” gdy statek stał na kotwicy w Istambule, oczekując na zakończenie strajku dokerów. Zero i Khalid oglądali telewizję - jakiś kanał arabski - nadawano akurat relację z jakiegoś zatrzymania. Był tam mężczyzna w kapturze na głowie i ludzie z bronią. Wilson zapytał wtedy: „Co to jest?”, a Khalid odpowiedział: „Malezja”. Nie Berlin. Tylko Malezja...

Wilson zamyślił się. Nie mogę znaleźć Hakima. - to na pewno wiadomość od Bobojona, bez wątplenia. I potem ta podrobiona wiadomość o konieczności nawiązania kontaktu. Kto to mógł być? Wilson zastanawiał się nad tym przez kilkanaście sekund i zaczął składać elementy układanki. Nie było zbyt wielu możliwości. Nie mogę znaleźć Hakima. To oczywiste. Hakim zaginął i Bobojon zaczął się tym martwić. Teraz zaginął Bobojon, a jeśli nawet nie, to już nie kontrolował własnej skrzynki e-mailowej. Więc Hakim pozostawił go zapewne samemu sobie. A teraz Wilsona szuka policja. Lub ktoś inny.

Czy mogli wiedzieć, gdzie jest? Czy znali jego nazwisko, wiedzieli, gdzie był, co robił? Może tak właśnie było.

A może nie. Jeśli Bobojon wszystko wyśpiewał (a każdy wyznaje wszystko, jak się go odpowiednio torturuje), to już o nim wiedzą. A to oznacza koniec.

Ale nie mogli przecież wiedzieć wszystkiego. Na przykład nie odkryli protokołu, którym porozumiewał się z Bobojonem, więc może Bo uciekł. Albo został zabity.

Hakim to zupełnie inna historia. Dla Hakima Wilson był małą rybką, jakimś tam facetem o nazwisku Frank d'Anconia, jednym z projektów, jakie prowadził Bobojon. Amerykanin ze zwariowanymi pomysłami. Ile Hakim mógł im powiedzieć? Ile tak naprawdę wiedział?

No dobrze, pomyślał Wilson, wie wszystko o haszu, o broni i o diamentach. Może im powiedzieć, gdzie jestem i dokąd jadę. Może im powiedzieć, jak wyglądam, ale nie może powiedzieć, kim jestem - no może nie tak do końca. Może powiedzieć, że siedziałem w więzieniu z Bobojonem. Ale to mógł być każdy. A Bo siedział dosyć długo.

Zatem chwilowo był bezpieczny. Agenci CIA - lub ktokolwiek to był - mogą na niego czekać w Antwerpii.

Oczywiście, jeśli Ibrahim dowie się o Hakimie, można wszystko odwołać, diamenty wsiąkną. No i oczywiście istnieje duże prawdopodobieństwo, że Wilson też skończy na dnie kopalni albo na palu.

Znalazłem Hakima... skontaktuj się.

No chyba jednak nie.

*

Po południu poszedł do kopalni. To było zupełnie coś innego niż sobie wyobrażał.

Podejrzewał, że zobaczy jakieś tunele z torami dla wagoników - coś w rodzaju kopalni węgla - lub może wzgórze rozdrapywane - warstwa po warstwie - przez olbrzymie koparki. Zamiast tego znalazł coś dziwniejszego. Krajobraz jak skóra po ospie.

Kopalnia była olbrzymim wykopem o średnicy około dwustu metrów i głębokości około trzydziestu pięciu metrów. Ta olbrzymia dziura poprzecinana była we wszystkie strony nasypami z żółtej ziemi stanowiącymi brzegi mniejszych jam, w których wychudzeni kopacze tkwili po kolana w stojącej wodzie gruntowej i pracowali w pocie czoła pod czujnym wzrokiem uzbrojonych nadzorców.

W każdej jamie znajdowało się drewniane koryto z metalowym sitem. Silniki spalinowe pompowały wodę do koryt, a kopacze wrzucali ziemię z kamieniami i ze żwirem, wydobywaną łopatami z dna wykopów. Płynąca woda wypychała kamienie i okruchy skalne wzdłuż koryta, przenosząc mniejsze kamyki na koniec, gdzie spadały przez sito. Stojący na końcu koryt chłopcy przerzucali drobne kamienie łopatami i wrzucali na większe pryzmy.

Ubrani jedynie w krótkie spodnie, umazani błotem „wytrząsacze” nabierali z nich łopatkami żwir i drobiny na okrągłe sita o drewnianych brzegach i wytrząsali, mocząc dno sita w wodzie. W ten

sposób błoto i glina osiadały na bokach, a cięższe kamyki i okruchy diamentowe zbierały się na środku sita.

Wytrząsacze potrafili bezbłędnie dostrzec nawet ćwierćkaratowe diamenty. Gdy znajdowali diament zamierali w bezruchu i gwizdem przywoływali nadzorcę, który przybiegał i zabierał diament.

- Ile im płacicie? - zapytał Wilson.

Jego przewodnik zaśmiał się. To był ten sam mężczyzna, który odebrał ich z lotniska i prowadził mercedesa.

- To zależy - odpowiedział. - Ci, którym płacimy, dostają P^o sześćdziesiąt centów dziennie, panie Amerykaninie. I jedzenie. Pozostali dostają tylko jedzenie.

- Jacy pozostali?

Kierowca znowu się uśmiechnął.

- Są tu tacy, którym nie płacimy.

- Dlaczego nie? Wzdrygnął się.

- Źli chłopcy. Z plemienia Lugbara. Więźniowie wojenni.

- Ale dajcie im jedzenie. Kierowca skinął głową.

- Oczywiście. Muszą coś jeść. Dostają dwie chochle ryżu dziennie. Czasem maniok.

Mówię ci człowieku, patrzysz na kupę szmalu w ziemi.

*

Godzinę później komendant Ibrahim siedział za stolikiem do kart przed betonowym budynkiem na terenie kopalni. Tutaj właśnie kopacze i „wytrząsacze” dostawali zapłatę i racje żywnościowe, tutaj również wymierzano kary i wypłacano nagrody.

Wilson i kierowca mercedesa nadeszli w momencie, gdy Ibrahim pouczał grupkę ludzi, którzy wyglądali na rodzinę. Wśród nich znajdował się starszy mężczyzna, który miał zapewne po czterdziestce, jego żona, pewnie w podobnym wieku oraz młoda matka z trójką dzieci: dwoma chłopcami w wieku około dziesięciu lat i dziewczynką, która nie mogła mieć więcej niż pięć lat. Rodzina wyglądała na potwornie przerażoną.

Belov stał obok, opierając się o ścianę budynku.

Wilson podszedł do niego.

- Myślałem, że już cię tu nie będzie - powiedział. - Sądziłem, że będziesz już w drodze powrotnej do Sharjah.

Belov pokręcił głową i wskazał na Ibrahima.

- Komendant Ibrahim nie jest zadowolony. Dlatego jeszcze tutaj jestem.

- A w czym problem?

- Problem jest gówniany - odpowiedział Belov przyciszonym głosem. - Kłóci się o wyrzutniki rakiet. Chce rosyjskie Aleja takich nie mam. Więc dałem mu chińskie. To doskonała kopia! Żadnej różnicy! To dobra broń.

- I co dalej?

- Wszystko zależy od Hakima - wyjaśnił Belov. Wilson był sceptyczny.

- A niby jak Hakim ma o tym zdecydować?

- Jak to: jak? Zadzwoń do niego.

Wilson poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Rozejrzał się.

- Do Hakima?

- Tak.

- To możliwe? - dopytywał się Wilson.

- No pewnie!

- Stąd?

Belov wzruszył ramionami.

- Przez telefon satelitarny? Oczywiście! - Belov spojrzał na niego zdziwiony. - A w czym problem? To żaden kłopot.

- Nie, ja... - Wilson nie zdołał dokończyć, bo na teren obozu wszedł żołnierz, ciągnąc za włosy jakiegoś chłopca. Chłopiec był nagi i mocno pobity.

Na widok chłopca rodzina aż skurczyła się ze strachu. Mała dziewczynka ruszyła w jego stronę z rozpostartymi rękoma, ale starszy mężczyzna szybko ją chwycił i przyciągnął do siebie. Matka chłopca zaczęła płakać, po chwili łkała cała rodzina.

- O co tu chodzi? - zapytał Wilson. Chłopiec nie miał więcej niż trzynaście lat. Belov pokręcił głową.

- Totalne gówno - wymamrotał. - Mówią, że ukradł diament, więc ma przejebane. Dziadek chłopca - bo chyba nim był - błagał komendanta Ibrahima. Wilson nie rozumiał z tego ani słowa - mężczyzna mówił w suahili albo w jakimś podobnym języku. Trzęsącym się głosem prosił o łaskę.

Ibrahim przyjął pozę sędziego, marszcząc czoło odpowiednio do sytuacji. Od czasu do czasu spoglądał na innych, na Wilsona, Belova, żołnierzy, na chłopca - zupełnie jakby chciał powiedzieć „Masz rację”. Wydawało się, że przemowa mężczyzny go przekonała, ale w końcu znudził się jego gadaniną, pokręcił głową, dwa razy szybko zaklaskał w dłonie. Obrócił się do żołnierza stojącego obok i rzucił: Róbcie co trzeba.

Uśmiechając się krzywo, żołnierz wszedł do różowego budynku i po chwili wyszedł, niosąc kanister z benzyną w jednej ręce i starą oponę w drugiej.

Rodzina zawyla z rozpacz, a chłopiec zaczął się zataczać, pod Wilsonem prawie ugięły się kolana, ale nie dał tego po sobie poznać. Chłopiec stał, chwiejąc się na nogach. Wyglądało to, jakby poruszał się w takt muzyki, której nikt inny nie słyszał.

Żołnierz podszedł do chłopca, zarzucił mu oponę na szyję i przeciągnął przez nią jedną rękę. Wykręcił obie ręce chłopca do tyłu i spiął je plastikową opaską zaciskową. Nalał benzyny do środka opony, oblewając przy okazji całego chłopca, który pojękiwał z przerażenia; reszta rodziny zawodziła i błagała o litość.

Wilson nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Ibrahim machnął uspokajająco ręką w powietrzu i zrobił „ciiiiiiii”, jakby uciszał dziecko.

- Jeszcze nic nie jest postanowione - powiedział. I odwrócił się do Wilsona. - Czy Belov ci powiedział?

- Co miał mi powiedzieć? - powietrze było ciężkie od zapachu benzyny. Wydawało się, że cały obóz zaraz wybuchnie.

- O towarze - odpowiedział Ibrahim.

Wilson rozważał wszystkie możliwości. Czy to była jakaś groźba? Chłopiec, który ukradł diament, stał kilka metrów obok, drżał na całym ciele, ręce miał przywiązane do opony wypełnionej benzyną. Pewnie za chwile zapłonie jak rzymskie stosy, a Ibrahim wybiera właśnie ten moment na trucie o towarze?

- No tak - odpowiedział Wilson. - Powiedział mi. Masz jakiś problem z wyrzutniami

RPG.

- Nie! To wy macie problem z dostawą RPG - utkwiał harde spojrzenie w Wilsonie.

- To pogadaj z Hakimem - doradził Belov. Już rozmawiałem! - odpowiedział Ibrahim.

Wilsonowi opadła szczeka ze zdziwienia.

- I co? - domagał się wyjaśnień Belov.

- Nie było go.

Wilson poczuł, że z wrażenia naci oddech. Nabrał w płuca powietrza i powoli je wypuszczał.

Komendant Ibrahim sięgnął do torby leżącej u jego stóp i wyciągnął z niej telefon satelitarny.

- Powiedzieli, że wróci za godzinę - zerknął na kartkę, gdzie miał zapisany telefon i zaczął wybierać numer.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Wilson. Ibrahim był zdziwiony. Belov też. Obok klęcząca w błocie rodzina z wyciągniętymi rękoma i modliła się.

- Dlaczego nie? - spytał Belov. Wilson nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Jest już późno.

Ibrahim spojrział na niego tak, jakby wątpił w jego poczytalność. Chłopiec z oponą przewieszoną przez plecy ukląkł.

Telefon zadzwonił sześć albo siedem razy zanim ktoś odebrał. Serce Wilsona waliło o żebra, a w kąci lewego oka zaczął pojawiać się srebrzysty tańczący krąg.

Komendant Ibrahim skoczył na równe nogi i zaczął krzyczeć do telefonu.

- Halo! Halo! Kto mówi? - słuchał przez chwilę, ale zaraz warknął z niecierpliwością: - Mów po angielsku, do licha! Gdzie jest Hakim? - Znowu słuchał przez chwilę. - Więc go zawołajcie! Co wy, kurwa, myślicie, że z kim chcę gadać? Przecież to jego telefon, nie? - trzymał telefon przy uchu, ale spojrział na Wilsona i Belova. I po cichu zapytał - Jak myślicie, co mam zrobić z tym chłopakiem?

- Puść go - powiedział Belov. - Udowodniłeś swoje racje. Ibrahim pokiwał głową.

- Ja myślę... A ty jak uważasz? - zwrócił się do Wilsona. Wilson nie wiedział, co odpowiedzieć.

Zaczął tracić wzrok także w prawym oku i jego myśli błądziły gdzieś indziej.

- Mam własne problemy - mruknął. Jeśli Hakim nie podejdzie odebrać telefonu (a niby jak miał to zrobić), Ibrahim zacznie mieć podejrzenia. A to nie byłoby zbyt dobre, biorąc pod uwagę obecne okoliczności.

Ibrahim zmarszczył brwi.

- Wszyscy mamy... Halo! Hakim! Gdzie ty, kurwa, byłeś!? Mów głośnie! Ledwo cię słyszeć! Słuchaj, mamy problem z tymi próbkami kieliszków, które przesłałeś. Tak, z próbkami szkła! - Długa przerwa. - Część tych szklanek pochodzi z Chin. I co mam teraz, kurwa, z tym zrobić... co?! Nie, to nie? To nie jest dużo pieniędzy. Może dziesięć procent.

- Może sześć procent - jęknął Belov. Komendant Ibrahim uśmiechnął się.

- W porządku bracie! Wreszcie gadasz do rzeczy! Powtórzę mu co powiedziałeś... Co? Tak, oczywiście, stoi tu koło mnie. Okay, okay... w porządku, no problem. - Komendant Ibrahim oddał telefon Wilsonowi. - Chce z tobą rozmawiać.

Belov uśmiechał się ironicznie.

Wilson prawie już oślepl, jego oczy rozbłyskiwały fajerwerkami neuronów, które tylko on widział. Przyłożył słuchawkę do ucha i powiedział:

- Halo?

Minęło dziesięć sekund, zanim Hakim coś odpowiedział, a jego głos był słaby i zmęczony.

- Frank?

Wilson głupio kiwnął głową. Złapał się na tym i odpowiedział:

- Tak?

- Tu Hakim...

- Wiem.

- Wszystko w porządku? Wszystko u ciebie okay?

- Tak - odpowiedział Wilson. - Wszystko w porządku. - Ciekawe, ilu ludzi tego słucha, pomyślał.

I ciekawe, gdzie go trzymają?

- Więc do zobaczenia w Antwerpii za parę dni.

- Dobrze.

- W hotelu De Witte Lelie. Tak jak ustaliliśmy.

- Dobrze.

Chwilę później połączenie zostało przerwane.

Wilson wziął głęboki oddech i rzucił telefon Ibrahimowi.

A ten śmiał się.

Sorry, czaruś! On powiedział, że dajecie mi dziesięć Procent upustu.

Belov zrobił krok w kierunku komendanta, wściekły, ale Wilson chwycił go za rękaw.

- Jest w porządku - uspokoił go. - Odbijesz sobie następnym razem. Komendant Ibrahim zwrócił teraz uwagę na chłopca z obręczą z opony Firestone.

- Podjąłem decyzję - powiedział. Zrobił przerwę, czekając na chwilę, gdy wszystkie oczy zwróca się ku niemu. - To przecież tylko chłopiec... z biednej rodziny... a to był taki mały diament.

Rodzina zgodnie kiwała głowami. Chłopiec też.

- Ale... - Ibrahim znowu zrobił pauzę. Wilson przeczuwał najgorsze.

- Ja muszę porządnie zarządzać tą kopalnią - stwierdził Ibrahim. - Oto co zrobimy. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zapalniczkę. Przeszedł wokół stołu, podszedł do rodziny zbitej w jednym miejscu i wręczył zapalniczkę matce. - No, mama ty go podpal...

Kobieta zaniósła się płaczem.

Widząc, co się dzieje, jej syn podniósł się z klęczek, lecz z oponą przewieszoną wokół szyi i rękami związanymi na plecach, nie był w stanie nigdzie uciec. Jeden z żołnierzy złapał za oponę i zakreślił nim dookoła, ciągnąc z powrotem na miejsce.

Matka chłopca wpadła w histerię.

- Dobrze, jeśli nie chcesz zrobić tego, o co proszę - mówił Ibrahim - to mamy jeszcze większy problem - patrząc na kobietę podniósł rękę i pstryknął palcami. Jak na rozkaz, z różowego budynku wyszło trzech żołnierzy niosących pięć opon i kanister z benzyną. Rodziną wstrząsnęło, a jeden z chłopców zemdlał.

Lecz Ibrahim i jego ludzie świetnie się bawili. Niektórzy się śmiali, ale wszyscy byli niezwykle podnieceni tym widokiem.

- Podpal go i będzie koniec! Obiecuję ci to! Jak chłopak się usmaży, możecie iść do domu! - Czekał, aż kobieta coś powie, lecz ona milczała. Potrząsała głową tak mocno, że wydawało się, że oderwie ją od tułowia. - Rozumiesz, czy nie? Jesteś tak samo winna jak twój chłopak! A nawet bardziej! Ty go sprowadziłaś na świat i teraz ty masz go z tego świata usunąć. Jeśli nie chcesz tego zrobić, jeśli nie potrafisz tego zrobić, to oczywiście mogę to zrozumieć. Ale wtedy mam oponę dla każdego z was!

Ibrahim przykucnął niespełna metr od matki chłopca i spojrzał jej w oczy.

- No i co zrobimy? Wszystko zależy od ciebie, mamuska! Ty decydujesz! Chłopak czy rodzina?

No, dalej! - przekręcił kółeczkiem zapalniczki i pojawił się płomyk.

- Puść ją - powiedział Wilson.

Komendant Ibrahim odwrócił głowę i spojrzał na niego. Wilson podszedł z wyciągniętą ręką.

- Daj, ja to zrobię.

ROZDZIAŁ 17

To był test.

Jeśli, jak w przypadku nadczłowieka Nietzschego, Wilson był (jak sam w to wierzył) poza dobrem i złem, to pozostałości „świadomości”, którą mógł jeszcze mieć, były artefaktami - szczątkami jego własnej ewolucji. Zakłóceniem.

Gdyby tylko o tym myślał, mógłby może nawet wyprowadzić jakieś równanie. Wzór moralnego równoważnika współczynnika mocy sygnału do poziomu szumów.

Jego zasada była prosta - pozbyć się świadomości, jakby to była skóra węża. Zwyczajnie - odejść i kontynuować własną wędrówkę. Gdyby ktoś za nim podążał, zobaczyłby jedynie porzuconą, starą skórę węża w trawie i mógłby tylko zachodzić w głowę: czy Wilson może tu być? Czy polował?

Dla Wilsona było istotne i wręcz podstawowe to, że chciał się dobrze czuć z przemocą, którą w sobie miał. Zatem ten chłopiec musiał...

Chłopiec odwrócił oczy, gdy Wilson podchodził do niego z zapalniczką w ręce. Stał przed nim przez dłuższą chwilę, czekając, aż ten podniesie wzrok. To była część jego gry - chciał zobaczyć, że ma siłę spojrzeć swojej ofierze prosto w oczy, ogarniając wzrokiem jej strach, a jednocześnie zaakceptować dziejącą się niesprawiedliwość.

Chłopiec musiał chyba to czuć, bo długo unikał jego spojrzenia. W końcu otrząsnął się z czegoś, co wyglądało jak omdlenie. Wilson uchwycił jego spojrzenie, przekręcił małym kółeczkiem zapalniczki i podпалиł go.

Dzieciak zerwał się z miejsca, rzucając się w prawo i w lewo, ogarnięty przez płomień, ciągnąc za sobą czarny, gryzący dym. Żołnierze zeszli mu z drogi, śmiejąc się tak, jakby bawili się w ciuciubabkę. Co jakiś czas któryś z nich obracał chłopca kopniakiem w ciało lub w oponę. Lecz ta zabawa nie trwała zbyt długo. W trzydzieści sekund było już po wszystkim. Wilson nie był pewien, ale wydawało mu się, że dzieciak miał atak serca. W jednej minucie biegał wokoło, wrzeszcząc, a w następnej...

Chłopiec wykonał kiepski piruet, ugiął się w kolanach i padł, wczepiając się w ziemię. Po chwili zeszywniał i koniec. Jak ścięty pień drzewa, przechylił się, upadł na bok, i dymiąc, leżał na piachu.

Wilson oddychał ciężko, jakby to on sam przed chwilą biegał w kółko, co było o tyle śmieszne, że przecież nawet nie ruszył się z miejsca. Po prostu zakręcił małym kółeczkiem i dotknął piersi chłopca.

Szukał w sobie serca i miejsca, z którego pochodziły emocje i, ku swojemu zdziwieniu, nic nie znalazł. Dzieciak umarł i było po wszystkim.

Trafił go szlag.

*

To zdarzyło się wczoraj, a dziś Wilson miał własne problemy. Komendant Ibrahim załatwił mu

samochód techniczny do granicy z Ugandą, blisko Fort Portal. Tam miał czekać na niego samochód opancerzony, by dowieźć go do Kampali. W stolicy Ugandy miał złapać samolot do Londynu i zanim się spostrzeże, dotrzeć do Antwerpii.

Wilson zrezygnował z tego rozwiązania. Wyjaśnił, że wjazd na terytorium Ugandy z Kongo - do tego wojskowym samochodem opancerzonym - ściągnałby na niego zbyt wiele uwagi. Dodał też, że dyskutował o tym z Hakimem w Baalbek, że zdecydowali wspólnie, że powinien udać się do Buni. Tam Przyjaciele Hakima załatwią mu łódź. W nocy przepłynie jezioro Alberta, unikając kontroli celnej i żołnierzy. W Ugandzie Wilson i jego kompani przejadą na motocyklach bocznymi rogami w buszu do głównej drogi i stamtąd dotrą już do Kampali. Zero i Khalid będą mu towarzyszyć przez cały czas dbając o jego bezpieczeństwo.

Ibrahim podchodził sceptycznie do tego planu, ale w końcu ustąpił, bo to już nie był jego problem. Wilson mógł robić, co chciał.

- Czy w Buni jest bank? - zapytał Wilson.

- Oczywiście - odpowiedział Ibrahim.

W rzeczywistości nie było żadnej łodzi ani żadnych „przyjaciół”. Bunia była planem B, ale tylko dla Wilsona. Musiał pozbyć się opieki Ibrahima i znaleźć kupca na diamenty, których nie mógł już sprzedać w Antwerpii.

Ktokolwiek wysyłał wiadomości z komputera Bobojona, miał też w łapach Hakima. Gdyby Wilson pojawił się w hotelu De Witte Lelie, zostałby prawdopodobnie „przejęty”. W chwili, gdy wchodziłby do holu hotelowego, agenci CIA, FBI - ktokolwiek to był - dorwaliby go i dosłownie uziemili. Dostałby zastrzyk i byłoby po wszystkim. Obudziłby się z kapturem na głowie przykuty do fotela pasażerskiego w „klasie terrorystycznej”, w drodze do więzienia, które oficjalnie nie istnieje.

Dlatego właśnie wprowadził w życie plan B.

Stolica najniebezpieczniejszej prowincji Konga, Bunia, była afrykańskim odpowiednikiem amerykańskiego Deadwood*[* [Deadwood - miasteczko w południowej Dakocie w USA, które powstało w czasach gorączki złota.]. Miasto było rojowiskiem szumowin, gniło od śmieci, ścieków i chorób; było slumsem, w którym mieszkało trzysta tysięcy ludzi - wielu z nich głodowało, chorowało lub w inny sposób cierpiało w ubóstwie. Położone niedaleko wybrzeży Jeziora Alberta, było jak kawałek piekła zatopiony w skądinąd niebiańsko pięknym krajobrazie.

Diamenty komendanta Ibrahima będące barterową zapłatą za broń - ponad półtora kilograma przebranych, nieobrobionych kamieni wielkości od trzech do pięciu karatów - zostały ukryte w pięknie zdobionej masce z bardzo twardego drewna, wydrążonej specjalnie na tę okoliczność. Razem było to siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąt trzy karaty, z których każdy mógł być oszlifowany do postaci brylantu. Komendant Ibrahim ręczył za ich jakość, a Wilson trzymał go za słowo. A niby dlaczego nie? Ibrahim i Hakim razem tkwili w tym biznesie, a Belov i Wilson byli tylko ich agentami. Biznes był krwawy, lukratywny! Zbudowany na wzajemnym zaufaniu. Gdyby tak zapytać każdego z nich, dlaczego sobie ufali, to zaczęliby mówić Allachu i o wspólnej sprawie. Poruszyliby kwestię wspólnoty o solidarności wyznawców islamu, wspomnieliby o dekadzie tajnych operacji, w których razem brali udział. Lecz w końcu obydwaj wiedzieli, że ich zaufanie sprowadzało się do czegoś silniejszego od islamu. Oparte było o karabin jednego i nóż drugiego i o zrozumienie podstawowego faktu, że broń każdego z nich dotknęłaby w końcu drugiego, bez względu na to, gdzie ten by się ukrywał.

Zatem, jeśli Ibrahim powiedział, że diamenty są w porządku, to faktycznie były w porządku.

Mimo to Wilson trochę się doksztalał i z zainteresowaniem poczytał na temat przemysłu wydobywania i przerabiania diamentów.

Przez ponad sto lat cena diamentów do obróbki była kontrolowana przez firmę DeBeers z Afryki Południowej i jej partnerów. Firma ta zdobyła pełną władzę, tworząc hierarchicznie zintegrowany monopol pozwalający na ograniczanie podaży diamentów. Było to możliwe dzięki temu, że firma DeBeers była właścicielem całych (lub części) prawie każdej kopalni diamentów na świecie. Kamienie, które nie pochodziły z ich kopalni, były wykupywane przez firmę zależną, tak zwaną Korporację Diamentową.

W ten sposób cały ten rynek znajdował się w ich rękach.

Każdego roku prawie dwustu pięćdziesięciu handlarzy diamentami zapraszano do Londynu na spotkanie Organizacji Centralnej Sprzedaży (OCS). To także był twór DeBeers, uprzejmie określany przez kupców diamentów z Izraela jako Syndykat.

W Londynie handlarze diamentów mogli kupować kontyngenty przebranych diamentów w paczkach po zafiksowanej cenie, zwykle po czterdzieści dwa tysiące pięćset dolarów. Paczki nie mogły być otwarte aż do momentu sprzedaży, było to zatem kupowanie kota w worku. Jeśli handlarzowi nie podobała się zawartość kupionej paczki miał, oczywiście, możliwość jej zwrócenia. Ale jeśli to zrobił, to wkrótce mógł zamknąć swój interes. Nigdy więcej nie otrzymałby zaproszeń z OCS.

Handlarze akceptowali zatem zawartość swoich kontyngentów, ufając DeBeers w taki sam sposób, jak Wilson ufał komendantowi Ibrahimowi.

Po zakupieniu swojej paczki, handlarze odsprzedawali jej zawartość hurtownikom na giełdach diamentów w Antwerpii, Amsterdamie, Nowym Jorku i Ramat Gan w Izraelu. To sztuczne rozproszenie było kontrolowane przez Korporację Diamentową, która wykupywała nadwyżki diamentów gdziekolwiek takie się pojawiały. Te nadwyżki przechowywane były na kilogramy w skarbcach bankowych w Londynie lub pozostawiane w ziemi do wydobywania w późniejszym terminie (jeśli w ogóle).

Diamenty zwane konfliktowymi były dzikimi kartami w tej grze. Pochodziły z kopalni w Sierra Leone, Angoli i Kongo kontrolowanych przez siły rebeliantów. Wydobywane były z koryt rzek w dżungli przez współczesnych niewolników, zarabiających po sześćdziesiąt centów dziennie. Te „we krwi skapane” diamenty docierały na giełdy światowe na różne sposoby, już poza kontrolą syndykatu.

Ze względu na to, że z diamentów konfliktowych finansowano różne wojny w całej Afryce Zachodniej i psuło politykę cenową OCS, korporacja DeBeers dążyła do ustanowienia protokołów obrotu diamentami gwarantujących, że tylko „uczciwe” diamenty będą otrzymywały certyfikaty pochodzenia.

Wilson pomyślał, że była w tym jakaś ironiczna symetria. Fałszowano lub kupowano certyfikaty ostatecznego odbiorcy broni umożliwiające jej sprzedaż stronom trzecim, takim jak komendant Ibrahim, którego rebelianci zarządzali kolonią niewolników pracujących w kopalniach diamentów w dżungli. Dlaczego więc diamenty, zdobyte dzięki wyzyskowi, nie mogłyby mieć certyfikatu pochodzenia, który zmyłby plamy krwi z kamieni i przez stworzenie fałszywego dokumentu, zamazałby ślady ich drogi z Afryki na palec narzeczonej?

Choć diamenty okupione krwią niewolników nie różniły się od innych poza pełnymi przemocą, okolicznościami ich wydobywania, sprzedawane były po niższej cenie odbiorcom z

Afryki Południowej, Australii i Syberii. Zgodnie z szacunkami Hakima, diamenty w rękach

Wilsona przyniosą około cztery miliony dolarów, czyli około połowę tego, co dostaliby za nie handlarze z DeBeers, gdyby to oni zajmowali się ich dystrybucją.

Jedyny problem, który miał teraz, gdy Hakim zapewne wisiał głową w dół na jakimś lotniskowcu, stanowiło znalezienie kupca na te diamenty. Dwudziesty drugi czerwca zbliżał się nieubłaganie i Wilson nie miał czasu do stracenia.

*

Do Buni dotarli wczesnym popołudniem. Zatrzymali się przed Bankiem Zairoise du Commerce Exterieur otoczonym solidną zaporą z worków z piaskiem. Khalid i Zero czekali na zewnątrz, a Wilson poszedł spotkać się z dyrektorem.

Pan Bizwa był dżentelmenem mocno po czterdziestce, pochodzenia wschodnioindyjskiego. Siedział za zdobnym w ornamenty biurkiem w stylu empire pod portretem prezydenta, Josepha Kabila. Przywitał Wilsona silnym uściskiem dłoni i ruchem ręki wskazał fotel, pytając, czym może mu służyć.

- Potrzebny mi jest sejf depozytowy - powiedział Wilson. - Na to! - wyciągnął maskę zawiniętą w materiał i położył ją na biurku.

- Mogę rzucić okiem? - zapytał Bizwa. Wilson skinął głową, a dyrektor banku rozwinął maskę.

- Sądzę, że chyba jest dosyć cenna - wyznał Wilson. Bizwa zmarszczył brwi.

- Hmm... - zaczął - z pewnością jest bardzo ładna.

- Kupiłem ją w Ugandzie - pochwalił się Wilson. - Zrobiłem dobry interes.

Bizwa uśmiechnął się lekko i złożył ręce, starając się zachować uprzejmy wyraz twarzy.

- Pomyślałem, że skoro jestem w okolicy, zajrzę tutaj zobaczyć to i tamto - Wilson mrugnął znacząco.

Bizwa próbował się domyślić, o co mu chodzi.

- Ma pan na myśli diamenty?

- Bingo!

- To z pewnością przyjechał pan we właściwe miejsce.

- Tak właśnie mi powiedziano.

A pan nie jest w diamentowym biznesie? - zapytał Bizwa. Wilson pokręcił głową.

- Nie. Jestem kupcem kawy. Bizwa wybuchnął śmiechem.

- Przyjechał pan do Buni kupować kawę?

- Nie, nie - odparł Wilson. - Jak już wspominałem, to taka dodatkowa wycieczka.

- Rozumiem - odpowiedział Bizwa, choć raczej nie rozumiał. Wilson obejrzał się za siebie, po czym pochylił się do niego.

- Miałem nadzieję, że trochę mi pan pomoże. Chcę kupić diament, bo się żenię - wyznał, zniżając głos do szeptu.

- To miło!

- Tak sobie pomyślałem... trzy, może cztery karaty, nieoszlifowany. Mówią, że surowe diamenty podczas szlifowania tracą połowę wielkości. Więc co z takiego by wyszło? Jakies półtora albo dwa karaty.

- Mmm...

- Myśli pan, że to da się zrobić? Bizwa skinął głową.

- Tak. Jak najbardziej.

- Ale to jest nielegalne, n'est-cepas! Bankier uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żeby miał pan z tym jakiegokolwiek problemy. Zaczniemy od tego, że tu nie ma żadnej policji. Tylko funkcjonariusze zajmujący się mchem ulicznym, którym niepłacono już od dłuższego czasu.

- A co z ONZ? Widziałem...

- Urugwajczycy z Bangladeszu mają co robić. A poza tym, oczywiście, jak sam pan powiedział, to jest właśnie to, czym się tutaj ludzie zajmują.

- Naprawdę? Proszę mi o tym opowiedzieć. Co robią?

- Kupują i sprzedają diamenty. To cała gałąź gospodarki.

- Aha... - Wilson udawał, że się nad tym zastanawia. Po chwili powiedział - Więc mógłby mi pan kogoś polecić! Jakiegoś sprzedawcę diamentów?

Bizwa zrobił nieszczęśliwą minę.

- No tak. Oczywiście, ale oni są wszędzie. Każdy taksówkarz też może sprzedać diament, albo zna kogoś, kto sprzedaje. Każdy rebeliant, każdy... Problem w tym, że może być to trochę niebezpieczne. Mogliby próbować pana oszukać.

- Tego się właśnie boję - wyznał Wilson. - Mogliby mnie sprzątnąć!

- Najlepiej, żeby odwiedził pan dealerów, którzy mają własne sklepy. To przede wszystkim Libańczycy. A skoro mają, to znaczy, że znajdzie ich pan tam jeszcze następnego dnia. A taki taksówkarz mógłby się ulotnić.

- I oni są Libańczykami, tak? Bizwa wzruszył ramionami.

- Prawie wszyscy. Jest jeden chiński dżentelmen, ale nie zalecałbym robić z nim interesów.

- Dlaczego nie?

- Ma nie najlepszą reputację.

- Rozumiem.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, słuchając szumu dochodzącego z wiatraka pod sufitem.

- Jestem pewien, że coś pan znajdzie - powiedział Bizwa.

- Dzięki. I jeszcze jedna rzecz... Czy może mi pan polecić jakiś hotel? Bizwa skrzywił się.

- Prawdziwe hotele są zamknięte. Ale myślę, że znajdzie pan wolny pokój w Chfteau.

- Chfteau?

- Dom Lumbumbashi. To była kiedyś willa gubernatora. Może nie do końca willa. Raczej nazwałbym ten dom bungalowem. Wielkim bungalowem.

- A co się stało z gubernatorem? Bizwa zmarszczył czoło.

- Zmarł.

- Tak mi przykro. Pewnie był bardzo chory? Bizwa pokręcił głową.

- Nie. Nie powiedziałbym, że był chory. Był zdrowy jak byk. Wilson pokiwał głową ze zrozumieniem.

- A ten hotel jest bezpieczny, tak? Rozumie pan, dla kogoś takiego jak ja? Bizwa zacisnął usta.

- Myślę, że tak. Dziennikarze go lubią. Tak jak wizytujący przedstawiciele organizacji pozarządowych, członkowie rządu... Jest tam niezły bar. - Uśmiechnął się na koniec. - Sejf depozytowy nie jest wcale takim złym pomysłem.

*

Dom Lumbumbashi był rozległym bungalowem, którego Pokryte tynkiem ściany nosiły ślady świeżego ostrzału. Ten szlachetny bałagan znajdował się w środku zaniedbanego ogrodu otoczonego dwuipółmetrowym murem, którego powierzchnia lśniła od jaszczurek. Z boku domu znajdował się

pusty basen kąpielowy z lejem bombowym w jego głębszej części.

- Co się stało z basenem? - zapytał Wilson, wypełniając formularz meldunkowy dla siebie i swoich towarzyszy i płacąc za pierwszą noc gotówką.

Kierownik, Belg o zmęczonym wyrazie twarzy i alkoholowym oddechu, wzruszył ramionami.

- Atak mózdzierzowy. Dwa lata temu.

- Ktoś zginął? Kierownik pokręcił głową.

- Nie w basenie - wyjaśnił i wręczył Wilsonowi klucze. - Niestety, nie ma pościeli ani ręczników. Może jutro coś będzie. Jeśli chcecie dostać drinka na koszt hotelu... - wskazał na sąsiedni pokój.

Wilson podziękował. Zero i Khalid skromnie odmówili. Chcieli zobaczyć swoje pokoje.

Drink bar mieścił się w dawnym salonie wypełnionym sofami i miękkimi fotelami rozstawionymi na lśniącej lakierem drewnianej podłodze. Wiatraki pod sufitem obracały się wolno dzięki zasilaniu z generatora głośno pracującego na zewnątrz. Poza kelnerem i barmanem w jednej osobie, Wilson był w salonie sam, nie licząc tęgiego Portugalczyka, który mógł mieć już po sześćdziesiątce.

- Frank d'Anconia.

- Da Rosa. Jair da Rosa.

Wilson rozsiadł się w klubowym skórzanym fotelu i skinął na kelnera.

- Gin z tonikiem - zamówił - i to, co pije mój przyjaciel. Da Rosa uśmiechnął się.

- Merci.

- Czym się pan zajmuje, panie da Rosa? - zapytał Wilson.

- Ja? Ja organizuję. Jestem organizatorem rozwiązań. Wilson był zaskoczony.

- Jakich rozwiązań?

- Wojskowych. Wilson zaśmiał się.

- No i jak idzie biznes?

- Dobrze! W Afryce taki biznes zawsze idzie dobrze, choć nie tak dobrze jak w zeszłym roku albo dwa lata temu.

- Przykro mi.

Najemnik wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: C'est la vie. Wszystko jeszcze może się zmienić. Tu wciąż wszystko się zmienia.

Kelner podszedł z tacą na której stały dwa drinki. Portugalczyk w niemym toaście uniósł kieliszek, ukazując niewielki tatuaż pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni. Były to trzy małe kropki tworzące trójkąt.

- Czin-czin!

Wilson przechylił szklaneczkę.

- Więc, biznes miał się kiedyś... lepiej?

Policzki da Rosy zaczerwieniły się przez moment. Gwizdnął z zachwytu na myśl o przeszłości.

- Biznes rozwijał się super - odpowiedział. - Przecież była afrykańska wojna światowa!

Wilson po raz pierwszy usłyszał takie określenie i chyba widać to było po jego minie, gdyż da Rosa ciągnął dalej.

- Dziewięć krajów, dwadzieścia milicji rebelianckich, cztery miliony ofiar.

- Aż cztery miliony?! Da Rosa machnął ręką.

- Sto tysięcy w tę, czy w drugą stronę...

- Nic o tym nie słyszałem.

- Murzyństwo - powiedział, jakby to miało wszystko wyjaśniać. - Nie wszyscy naraz. To trwało jakieś cztery, może pięć lat. Ale jednego jestem pewien, na pewno cztery miliony. To dopiero było coś!

Wilson nie wiedział, co odpowiedzieć. Sącył więc dalej drinka.

- A pan? - zapytał da Rosa. - Czym pan się zajmuje? Jest pan turystą? Solistą operowym? Kim?

Wilson zachichotał. Nie był pewien, ile może powiedzieć i postanowił wykorzystać historyjkę, którą wcześniej sprzedał w banku.

- Jestem kupcem kawy.

Da Rosa zacisnął usta i skinął głową. - Ciekawy interes. Arabica czy robusta?

Wilson mrugnął.

Da Rosa uśmiechnął się.

- Czyli diamenty. Wilson wzruszył ramionami.

- Pan kupuje czy sprzedaje? - zapytał da Rosa. Wilson zastanowił się nad odpowiedzią.

- To zależy. A pan też działa w tej branży? Da Rosa prychnął.

- Nie. To zbyt niebezpieczne. Ale powinien pan odwiedzić Lahouda, Elie Lahouda. Da panu dobrą cenę, a jeśli wspomni pan o mnie, to może ja też coś z tego dostanę. Kto wie?

- Lahoud to Libańczyk?

- To sami Libańczycy - zapewnił da Rosa.

Wilson zmarszczył brwi. Chciał uniknąć Libańczyków, szczególnie, że niektórzy z nich mogli znać Hakima i jego przyjaciół. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to Zero i Khalid gadający ze swoimi pobratymcami. Im mniej wiedzieli, tym lepiej. A przecież...

- Podobno jest jeszcze jakiś Chińczyk? Na twarzy da Rosy pojawił się grymas.

- Oczywiście, jest taki jeden. Wielki Ping. Ma kantor przy Rue de Gaulle. Ale lepiej mieć na sobie kamizelkę kuloodporną.

Wilson zaśmiał się.

- Jest aż tak niebezpieczny?

Da Rosa pokręcił głową. Dokończył drinka i zakręcił szklanką stukając kostkami lodu o jej ścianki.

- Nie, jest w porządku. Ale do Wielkiego Pinga nie chodzi się z kilkoma diamentami. On jest kimś w rodzaju hurtownika.

- Myślałem, że wszyscy są tu hurtownikami - wyznał Wilson.

- No tak. Tylko że Ping jako jedyny współpracuje bezpośrednio z milicjami rebelianckimi, więc działa na większą skalę.

- To trochę niebezpieczne.

- Nie dla niego.

- A niby dlaczego nie? - dopytywał się Wilson.

- Bo należy do triady - odpowiedział da Rosa. - Sun Yee On. Wilson zmarszczył czoło.

- A co to jest ta triada? Da Rosa wyduł usta.

- Pięćdziesiąt tysięcy gangsterów działających jak jedna drużyna - Jak Wal-Mart, tylko z bronią.

*

Następnego ranka Wilson udał się na poszukiwanie kantoru Wielkiego Pinga. Szedł według mapy naskrobanej przez kierownika hotelu, ale nawet z nią nie było tak łatwo. Większość ulic nie miała nazw, a budynki pozbawione były numeracji. Mógł, co prawda, zapytać się kogoś na ulicy: „Jak

dojść do Wielkiego pinga?”. Ale da Rosa miał rację, mówiąc, że zabrzmiało to by mniej więcej jak pytanie o drogę do Ala Capone.

Więc szukał sam. Na piechotę.

Zero i Khalid starali się jak mogli, by wyglądać groźnie. To była ich praca - jedyna praca - i starali się ją wykonywać najlepiej, jak umieli. Wilson czuł jednak, jak bardzo się bali. Na ulicy było pełno kałasznikowów i gdziekolwiek się spojrzalo, ludzie trzymali z tyłu, za paskami spodni, pistolety. Idąc za Wilsonem, Khalid zaczął marudzić.

- Myślałem, że o tej porze będziemy już w Europie. Hakim mówił...

- Ja też tak myślałem - skłamał Wilson. - Ale dostaliśmy zadanie specjalne.

Khalid przyknuł się na chwilę, spoglądając na tabliczki i oglądając się ukradkiem na idący za nimi gang dziewięciolatków.

- Hakim nigdy nie wspomniał o „zadaniu specjalnym”. Wilson spojrzął na niego przez ramię.

- I dlatego to jest właśnie zadanie specjalne.

Nagle Zero krzyknął i wskazał na metalową tablicę, wiszącą nad ozdobnie rzeźbionymi drewnianymi drzwiami na końcu wąskiej alejki. 777 EX-IM 777 PING LI ON, PROP.

Na stołeczku obok drzwi siedział jakiś Azjata ze strzelbą na kolanach. Gdy Wilson pojawił się w alejce, ten poderwał się na nogi i w przeczącym geście pomachał palcem wskazującym. Wilson zawahał się i po chwili zrozumiał. Odwrócił się do Zera i Khalida. -

Zaczekajcie tutaj.

*

Biuro Wielkiego Pinga było chłodne i przyciemnione. Stała tam szklana witryna z ekspozycją szlifowanych i surowych diamentów. Na suficie głośno brzęczały świetlówki, a szumiący wiatrak na chińskiej komodzie obracał się w prawo i w lewo. Pięknie rzeźbiony parawan z kości słoniowej stał osobno w rogu pokoju.

Za jedną z lad stał stary Chińczyk z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Obok niego przystojny, młody Azjata w białym lnianym garniturze siedział na składanym krzeselku z łokciami wspartymi o biodra i wertował wyświechtany egzemplarz „Hustlera”.

Wilson spojrzął w rybie oczy starego Chińczyka.

- Pan Ping?

Twarz starca skurczyła się.

- Nie Ping! - wahał się przez dłuższą chwilę. W końcu spod wystających z nosa włosów wydobył się uśmiech.

- Pan kupić diament? Wilson pokręcił głową. Uśmiech zniknął, a starzec prychnął obrażony.

- Więc pan sprzedawać diament!

Wilson spojrzął na niego z niedowierzaniem.

- To niesłychane! Powinien pan być prywatnym detektywem!

Starzec nie uśmiechnął się, za to facet w lnianym garniturze tak. Odłożył czasopismo i wstał.

- Ja jestem Ping.

Wilson odwrócił się do niego i wyciągnął rękę.

- Frank d'Anconia.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Tak. To pan jest tym, który podpalił chłopca... - gestem dłoni wskazał Wilsonowi przejście za

parawanem z kości słoniowej, gdzie w ścianie znajdowały się solidne metalowe drzwi. Obok drzwi była niklowana tabliczka z zarysem dłoni wygrawerowaną na jej powierzchni. Ping przyłożył swoją dłoń do tabliczki. Zamrugała dioda i zawiąsy puściły. - Proszę tędy...

Drzwi prowadziły do pokoju bez okien, który był czymś w rodzaju skarbcza. W wypełnionym dymem tytoniowym pomieszczeniu przy ciężkim, drewnianym stole przykrytym zielnym sukniem, siedziało dwóch mężczyzn. Pili herbatę.

Jeden z nich wyglądał jak ponadwymiarowy Budda o żółtych zębach. Tym drugim był da Rosa, który spojrzał przez ramię i z uśmiechem rzucił:

- Co panu zabrało aż tyle czasu?

Wilson zmarszczył brwi. Nie lubił, jak z niego kpiono.

Grubas zachichotał i zapalił śmierdzącego gitane'a. W goście dobrej woli spróbował przywitać się po angielsku:

- Dobranoc!

Da Rosa zaśmiał się.

- Widzę, że poznał pan już Małego Pinga!

Wilson spojrzał na młodego człowieka w lnianym garniturze. Młody mężczyzna uśmiechnął się.

- Mój ojciec nie mówi zbyt dobrze po angielsku - wskazał na krzesło i Wilson usiadł. Grubas - Wielki Ping - pochylił się do przodu:

- Amerykanin? Wilson skinął głową.

- Nie spotykamy tu zbyt wielu Amerykanów - powiedział da Rosa. - Jest pan kimś w rodzaju sławnej osobistości.

Oczy Wielkiego Pinga powiększyły się. Skinął ogromną głową, jakby samemu potwierdzając swe zadziwiające dociekania.

- Ty z CIA?

Wilson pokręcił przecząco głową.

- Nie.

Wielki Ping wyglądał na rozczarowanego. Powiedział coś po chińsku do syna. Mały Ping przetłumaczył:

On mówi, że jeśli byłby pan z CIA, to moglibyśmy robić razem dobre interesy.

Założę się, że tak. Ale niestety nie jestem z CIA. To szkoda. Herbaty? - zaproponował. Wilson zaprzeczył ruchem głowy.

Brwi Wielkiego Pinga zbiegły się w kształt litery V. Posyłając się w stronę Wilsona, zapytał:

- Qui vous-etes? Que voulez-vous? Wilson zwrócił się do Małego Pinga.

- Proszę przekazać ojcu, że nie mówię po francusku. Mały Ping wzruszył ramionami.

- On chce tylko wiedzieć kim pan jest i czego pan chce Wilson odchylił się do tyłu w krześle.

Potem spojrzał na Wielkiego Pinga, na da Rosę i z powrotem na Wielkiego Pinga Zapadła długa cisza. Gdzieś tykał zegar.

W końcu Wielki Ping uśmiechnął się, jakby coś ciekawego przyszło mu do głowy. Z widocznym zadowoleniem położył na zielonym suknie stołu obie dłonie, wierzchem do góry, rozchylając palce. Mały Ping został na swoim miejscu z dłońmi splecionymi na wysokości krocza.

Wilson dostrzegł to dopiero po chwili. Wszyscy troje mieli ten sam tatuaż: trójkąt utworzony z małych, sinych kropek pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Spojrzał na da Rosę.

Najemnik uśmiechnął się.

- Urodziłem się w Makao. Wielki Ping skinął głową. Mały Ping pospieszył z wyjaśnieniami.

- Pan da Rosa jest dobrym przyjacielem. Nie mamy przed nim sekretów.

Wilson zastanowił się jeszcze przez chwilę i stwierdził, że nie ma zbyt wielkiego wyboru.

Westchnął i powiedział:

- Okay, mam kilka diamentów do sprzedania. A tak naprawdę to nawet sporo.

Ku zdziwieniu Wilsona, da Rosa powiedział coś po chińsku do Wielkiego Pinga. Wielki Ping odpowiedział i da Rosa się zaśmiał. Odwracając się do Wilsona powiedział:

- On mówi, że nie widzi tu żadnych diamentów. Dopytuje się, czy czasem nie wcisnął ich pan sobie do tyłka.

Wilson zrozumiał ten błyskotliwy przytyk i skomentował go skrzywieniem ust.

- Nie - wyjaśnił. - Uznałem, że lepiej je będzie zostawić w banku. Wydawało mi się to bardziej profesjonalnym rozwiązaniem.

Mały Ping śmiał się, gdy da Rosa tłumaczył.

- Mówi pan po chińsku. Jestem pod wrażeniem! - Wilson wyraził podziw dla jego umiejętności.

Da Rosa pokręcił głową.

- To nie mandaryński chiński. To fuzhou.

Gdy da Rosa nie spieszył się z wyjaśnieniami, Wilson spojrzał pytająco na Małego Pinga.

- Moja rodzina pochodzi z prowincji Fujian - wyjaśnił młodszy Ping - więc dialekt fuzhou jest naszą naturalną mową. Większość Chińczyków go nie rozumie, więc daje nam to sporo prywatności. Przydaje się w prowadzeniu biznesu.

Wielki Ping, nie rozumiejąc ani słowa, spoglądał na Wilsona, da Rosę i swojego syna. Wyjął papierosa z ust i zaczął coś szybko mówić tą niezrozumiałą gwarą. Mały Ping skinął głową i zwrócił się do Wilsona.

- Ojciec mówi, że powinien pan iść do banku i przynieść diamenty tutaj, żeby mógł je oszacować. Jest ekspertem i da panu doskonałą cenę.

Wilson kiwnął głową znudzony.

- Dobra! Ale wiecie co? To nie jest dobry pomysł. Bo tak sobie myślę, że gdyby coś poszło nie tak, na przykład ktoś by mnie napadł, co jest przecież możliwe... Proponuję wam coś innego. Ale zanim cokolwiek zrobimy, jest parę rzeczy, które chciałbym wiedzieć.

Mały Ping przetłumaczył jego słowa ojcu. Ten w końcu odpowiedział:

- Tak?

- Jeśli uzgodnimy, że cztery miliony dolarów to uczciwa cena, czy będziecie gotowi do transakcji?

Nagle Wielki Ping przestał udawać, że nie zna angielskiego. Machnął ręką, przerywając tłumaczenie syna i odpowiedział:

- Of course!

Wilson zwrócił się zatem do niego:

Dobrze. I jeśli dobijemy targu, to będziecie mogli zrobić przelew na moje konto? Oui - odpowiedział Wielki Ping. - Jeśli wszystko będzie w porządku, możemy zrobić przelew przez Bank Hong-Shang.

- Świetnie! Więc zrobimy tak: pojedziemy do Banku Zairoise i obejrzymy diamenty. Mają tam pokój dla wynajmujących sejfy bankowe, a wy możecie przynieść sprzęt potrzebny do ekspertyzy.

- A potem co? - dopytywał się Wielki Ping.

- Jeśli się dogadamy, zlecicie swojemu bankowi dokonanie przelewu na moje konto. Ale nie w Buni, w brytyjskim banku. Na wyspie Man. Poczekam, aż mój bank potwierdzi, że środki wpłynęły na konto. Potem pójdziemy do Banku Zairoise po raz drugi. Przekażę wam diamenty i... bye, bye!

- Bye, bye! - powtórzył Wielki Ping.

- I jest jeszcze jedna rzecz - dodał Wilson.

- Zawsze jest jeszcze „ta jedna rzecz” - skomentował da Rosa.

- Mam tam na zewnątrz dwóch przyjaciół... - zaczął Wilson. Wielki Ping uniósł pytająco brwi. - Chcę, żebyście się nimi... zaopiekowali.

Wielki Ping potrząsnął głową i zmarszczył czoło. Mały Ping wyglądał na zaskoczonego. Po chwili powiedział:

- Lepiej, żeby pan sam zapłacił swoim ludziom. Wilson pokręcił głową.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśnił. - Chcę, żebyście się nimi „zajęli”. Czy możecie to zrobić?

Nastąpiła cisza. Da Rosa był zdziwiony. Wielki Ping podrapał się w brodę. Po chwili z krzywym uśmiechem odwrócił się do da Rosy i powiedział:

- Flyswattah! On ma na myśli flyswattah!

Wszystko poszło dokładnie tak, jak zaplanował Wilson.

Rano pojechał do banku z obydwoma Pingami, którzy wzięli ze sobą zestaw do ekspertyzy składający się z zielonego sukna, małego mikroskopu i kilku różnych lup. Cała trójka siedziała przy niewielkim metalowym stoliku w pokoju wielkości skrytki na miotłę przez prawie trzy godziny, przeglądając wszystkie diamenty, jeden po drugim. W końcu Wielki Ping wstał i oświadczył, że robią interes. Nie będzie żadnych negocjacji ceny. Zapłaci cztery miliony dolarów tak, jak chciał Wilson.

Minus prowizja dla pośrednika, da Rosy - dodał. Plus druga prowizja za przelew i trzecia za, jak to określił, „inne sprawy” Wilson zaakceptował warunki zadowolonym Okay, okay! - przypieczętowując interes, zanim Chinol odliczyłby jeszcze podatek VAT i rachunek za taksówkę.

Wilson dostanie trzy miliony sześćset tysięcy dolarów przelewem bankowym z Hongkongu w St. Helier. Dał Chińczykowi kartkę z numerem konta i zobowiązał się do stawienia się w jego biurze następnego dnia rano. Zero i Khalid będą mu towarzyszyć. Uzgodniono, że w międzyczasie będzie siedział w hotelu, gdzie Ping i jego przyjaciele będą mieli na niego oko. Gdy przelew będzie widoczny na koncie, pójdzie z nimi do banku i wyda im diamenty.

Tego wieczoru Wilson zaprosił swoich stróżów na obiad, podczas którego serwowano steki ze słonia i popijano coś, co było podobno jedynie Dom Perignonem, ale smakowało podejrzanie, bardziej jak Asti Spumante.

Powiedział im, że rozmawiał z Hakimem przez telefon satelitarny w biurze Wielkiego Pinga, i że szef był bardzo z nich zadowolony. Zarezerwował już dla każdego bilety na samolot z Kampali do Antwerpii na lot za dwa dni. Ludzie Wielkiego Pinga wezmą ich do Kampali, a Hakim odbierze ich z lotniska w Antwerpii. I była jeszcze jedna rzecz, powiedział Wilson. Niespodzianka.

Khalid otworzył szeroko oczy.

- Co? - wyglądał jak dzieciak schodzący po schodach po prezenty leżące pod choinką.

- Dostajecie premię - powiedział Wilson.

- Premię? Wilson skinął głową.

- Dziesięć tysięcy dolarów - zrobił pauzę. - Na każdego. Khalida zatkało.

Zero spoglądał raz na jednego, raz na drugiego. W końcu złapał Khalida za rękaw dżabali z

żądaniem przetłumaczenia wywodu Wilsona. Khalid mówił miękko po arabsku, a obydwaj wyglądali tak, jakby byli w ekstazie. Wilson pomyślał przez moment, że Zero zaraz się rozplacze z wrażenia.

Klepnął go z uśmiechem po plecach i dzielił się ich radością. To byli dobrzy chłopcy i cieszył się, że są zadowoleni.

Da Rosa siedział sam przy osobnym stoliku, popijając gin z tonikiem. Gdy przyglądał się tej radosnej celebracji, aż kręcił głową z niedowierzaniem. Ten facet, d'Anconia, to dopiero dzieło sztuki, pomyślał.

*

Małego Pinga poinformowano o dokonaniu przelewu e-mailem o jedenastej przed południem następnego dnia. Wilson potwierdził otrzymanie środków, dzwoniąc do banku St. Heller dwadzieścia minut później. W południe spotkał się z Pingamj przed Bankiem Zairoise du Commerce Exterieur. W trójkę weszli do środka, pozostawiając na zewnątrz swoich ochroniarzy, którzy bacznie się sobie przyglądali. Niezły tłumek, pomyślał Wilson. Zero i Khalid po jego stronie, a po stronie Pinga ich odpowiednicy: czterech młodzieniaszków w džinsach, T-shirtach i okularach przeciwsłonecznych, którym raczej nie sprzedano by piwa w Kalifornii.

W banku Ping senior zbadał jeszcze raz wszystkie diamenty. Gdy potwierdził, że były to dokładnie te same, które widział poprzedniego dnia, przeniósł diamenty i maskę do innego sejfów, wynajętego specjalnie na tę okazję. Usatysfakcjonowany transakcją, ścisnął dłoń Wilsona i powiedział:

- To byłoby na tyle. Wilson odrzucił głowę.

- Oprócz jeszcze jednej rzeczy... Wielki Ping skinął głową.

- Oczywiście - i dał znak ręką, by Wilson szedł za nim. - Zaraz się tym zajmiemy. - Razem udali się do kantom Chińczyka.

Wilson miał mieszane uczucia odnośnie tego, co miało się wydarzyć. Naprawdę lubił tych chłopców. Lecz oni byli lojalni wobec Hakima, więc stanowili dla niego realne zagrożenie. Wspólnicy Hakima zaczną niedługo szukać swoich pieniędzy i dla Wilsona z pewnością będzie o wiele bezpieczniej, jeśli Zero i Khalid nie będą im już mogli w tym pomóc.

Było mu ich szkoda. Okropność, ale takie jest życie. Wielcy ludzie musieli robić okropne rzeczy. A jak inaczej mogliby ukończyć swoje wielkie dzieła? To od dawien dawna był tragiczny wybór człowieka. Człowiek musiał poświęcać swój humanitaryzm na rzecz wielkości swojej wizji, a robiąc to, skazywał się na samotność i izolację od reszty ludzkości, tworząc niepokonywalną barierę swojej własnej wielkości.

Nie można winić lwa za to, że zabija gazelę. Przecież to lwia codzienność.

*

Gdy dotarli do drzwi biura, Mały Ping dotknął ramienia Wilsona i kiwnął na Zera i Khalida.

- Powiedz im, żeby tu zaczekali. Khalid usłyszał i zrozumiał.

Mały Ping kazał przynieść im krzesła i napoje gazowane. Zero wylewnie podziękował i obaj chłopcy usiedli na zewnątrz, obok bogato rzeźbionych drzwi, tuż pod tabliczką ze szczęśliwymi numerami.

Nie wiedząc, czego się ma spodziewać, Wilson wszedł na pierwsze piętro i stanął przy oknie, obserwując alejkę w towarzystwie Małego Pinga. Wkrótce usłyszeli jak Wielki Ping gramoli się po schodach na górę, rozmawiając cicho przez telefon komórkowy.

Zero i Khalid gadali i śmiali się, gdy u wylotu alejki pojawił się zakurzony pick-up z

pro wizorycznym opancerzeniem. Zero zerwał się z miejsca, machając ręką na półciężarówkę. Jej kierowca zignorował te gesty i zaczął powoli cofać samochód w głąb alejki. Samochód wydawał ostrzegawcze dźwięki: biiip, biiip, biiip.

Khalid również zerwał się na równe nogi i z wściekłością krzychał na kierowcę, każąc mu się wynosić z alejki. Biiip, biiip... Khalid wystrzelił ostrzegawczo w powietrze, a pick-up zaczął przyspieszać.

Nie mieli dokąd uciekać. Półciężarówka była niemal tak szeroka, jak ograniczona murem po bokach alejka dojazdowa. W panice chłopcy sięgnęli wreszcie po swoją broń i wystrzelili serię pocisków, cofając się w kierunku wejścia do kantoru Wielkiego Pinga.

Rozległ się paniczny wrzask i jeden z nich (Wilson sądził, że był to Khalid) zawołał „Panie Frank!”. Wtedy pick-up wjechał w nich, przecinając Zera na pół i miażdżąc Khalida od pasa w dół.

Budynek zadrżał, a Wilson nie mógł oderwać oczu od tej sceny. To widowisko w alejce było jak pożeranie kucyka przez anakondę. To było okropne i jednocześnie hipnotyzujące. Pick-up mszył wolno do przodu, z ociekającą krwią klapą skrzyni bagażowej. Khalid leżał na ziemi w drgawkach, jego prawe ramię ruszało się w niekontrolowany sposób. Kierowca jeszcze raz wrzucił wsteczny bieg. Biiip, biiip - pick-up ponownie Przetoczył się po alejce, a budynek zatrzęsł się po raz drugi.

Sygnal ostrzegawczy zamilkł. Ciężarówka odjechała parę metrów i stanęła. Szyba od strony kierowcy opuściła się i w oknie pojawiła się głowa da Rosy. Widząc bałagan, jakiego narobił na końcu alejki - swoje „robótki ręczne” - pokazał mężczyznom w oknie uniesiony do góry kciuk.

Wielki Ping trącił Wilsona łokciem i uśmiechając się krzywo powiedział:

- Jak... flyswattah!

ROZDZIAŁ 18

BERLIN 16 MARCA 2005

Już sam jej widok irytował Pete'a Spagnolę. Co wcale nie było dobre, ponieważ była jego zastępczynią i Spagnola spotykał ją trzy, może cztery razy dziennie. Ukończyła Uniwersytet Smitha, była bezczelna, ambitna i - choć młoda - to tak gruba, że wyglądała jak matrona. Nawet jej imię i nazwisko nie wskazywało na to, że była kobietą, co też go wkurzało. Madison Logan. Brzmiało to jak nazwa jakiegoś portu lotniczego.

Ponieważ w jej wyglądzie było coś mocarnego i pancernego, w przypływie natchnienia dał jej przydomek Hummer. To określenie było tak adekwatne, że jak raz mu się publicznie wymknęło z ust, to od razu wzbudziło śmiech. Oczywiście, natychmiast ktoś jej o tym doniósł. (To również był jeden z jego problemów: o wszystkim jej donoszono).

On sam miał naturę ryzykanta. To właśnie ryzyko przyciągnęło go do Centralnej Agencji Wywiadowczej, jego umiłowanie przygody. Była to ironia losu, że facet, który mógłby zostać kierowcą rajdowym w wyścigach NASCAR lub przewodnikiem po dżungli, skończył wciągnięty w trzęsawisko tępej biurokracji. Agencja, niegdyś sławna z bystrych i odważnych szpiegów, już dawno temu tak dogłębnie przyswoiła mentalność typu „nie bujać łodzią, na której płyniemy”, że nawet upadek Związku Radzieckiego przeszedł jej koło ucha, dopóki nie stało się to faktem. (Gdyby wspomnieć o tym wcześniej, mogłyby nastąpić cięcia budżetowe).

Jeszcze gorsze było to, że Spagnola pracował pod przykrywką ambasady. Spędzał całe dni, poruszając się wśród pszczoł robotnic Departamentu Stanu, którego biurokracja była bardziej obstrukcyjna od tej w agencji.

Osiemnaście lat trzymania spuszczonej głowy, odwalania bardziej lub mniej mechanicznej roboty, wcześniej wygasły jego zdolności do podejmowania się pracą, oprócz, oczywiście umiejętności stwarzania pozorów aktywności i zaangażowania.

Gdy Hummer zapukała do jego drzwi, a Spagnola ruchem ręki zaprosił ją do środka, nawet nie słuchał, co ma do powiedzenia. Przynajmniej nie na samym początku. Gadała jak najęta, zupełnie jak jego córka, jak sprint królika Bugs'a - transmisja informacji w formie wybuchu.

Myślał właśnie o tym, czy uda mu się wyrwać dodatkowy dzień urlopu, żeby zabrać rodzinę na narty. Zastanawiał się także nad nieprzewidywalnością powodzenia jego ostatnich inwestycji na giełdzie - zabawy Kanadyjczyków w wydobywanie gazu w Kazachstanie.

Lecz intensywność zaangażowania Hummera przebiła się jakoś do jego świadomości, a może było to tylko ciekawe nazwisko, na które zwrócił uwagę: Bobojon Simoni.

Simoni był agentem Al-Kaidy, który dał się zabić dwa tygodnie wcześniej, gdy BfV przeszukiwała jego mieszkanie w Berlinie.

- Co?

- Powiedziała, że zrobiliśmy lustrzane odbicie komputera Simoniego i gdy się przyjrzelśmy jego zawartości, znaleźliśmy aplikację Stegorama.

Spagnola zmarszczył brwi.

- Stegorama?

- To program do steganografii. W tym przypadku jest to darmowy program, można go ściągnąć z Internetu. Wiesz, co to jest steganografia?

- Co za różnica? Powiesz mi w końcu czy nie? Cierpliwe westchnienie.

- To jest ukryte pismo - wyjaśniła. - Tyle dokładnie znaczy po grecku.

- Okay...

- W tym przypadku jest to informacja ukryta w zdjęciach lub w plikach muzycznych.

- Jak można ukryć jakąś informację w fotografii lub w utworze muzycznym? Odezwała się w niej absolwentka uniwersytetu Smitha.

- Informacja cyfrowa jest po prostu informacją cyfrową - wyjaśniała. - Plik graficzny lub muzyczny jest nadal zbiorem bitów i bajtów, tak jak plik tekstowy. Dzięki takiemu programowi jak Stegorama - a jest ich z tuzin - można wkomponować informację w zdjęcie. Kładziesz dwie fotografie tego samego przedmiotu, zrobione pod tym samym kątem, obok siebie i wyglądające jednakowo. Lecz jedna z nich, zawierająca zakodowane dane, jest w rzeczywistości skompresowaną wersją oryginału. Bez mikroskopu nie da się ich odróżnić. Spagnola wreszcie się tym zainteresował.

- Naprawdę?

- Tak - odpowiedziała Hummer. - Naprawdę. Programy do steganografii decydują, która część zdjęcia jest najmniej istotna dla jego jakości i w to miejsce wkomponowują szyfr z informacją. Jest ona ukryta w jakby... najnudniejszych bitach zapisu cyfrowego. W tle zdjęcia, gdziekolwiek.

- I Simoni to wykorzystywał? Wzruszyła ramionami.

- Miał ten program, więc wysłaliśmy jego komputer do Stanów. Pracują nad nim i sprawdzają jego pliki graficzne. Miał kilkaset plików JPEG w folderze ze zdjęciami i poszukiwania były tak rozległe, jak próba odnalezienia czegoś na lodowcu. Ale znaleźli coś, czego szukaliśmy...

- Wiadomości?

- Statystyczne odstępstwa w zliczaniu bajtów. Stwierdzili, w których dokumentach było za dużo bajtów, co jest wspaniałą wskazówką - przerwała na chwilę. - Ale, oczywiście - wyznała niechętnie - w fotografiach znaleziono zakodowane „wiadomości”. NSA[* National Security Agency - Krajowa Agencja ds. Bezpieczeństwa w USA] pracuje nad ich rozszyfrowaniem.

Spagnola zdziwił się.

- Nie rozumiem. To dokąd są przesyłane takie zdjęcia? Hummer ściągnęła usta. W końcu wyjaśniła:

- Pamiętasz tę znaną książkę?

- W mieszkaniu Simoniego?

- No właśnie. Spagnola kiwnął głową.

- Tak, to był Koran albo coś takiego. Opakował ją bombę.

- I chciał wysłać do księgi w Bostonie - przypomniała Hummer.

- No dobrze - nagle oczy Spagnoli otworzyły się szeroko jakby w jego głowie zapaliła się jakaś żarówka. - Komunikował się z kimś w księgarni!

Hummer pokręciła głową.

- Nie, księgarz o niczym nie wiedział. Biuro wysłało tam paru agentów, by go przesłuchać, ale ten gość jest tym, za kogo się podaje - księgarzem, który skupuje stare książki.

- Więc, o co tu właściwie chodzi? - dopytywał się Spagnola sfrustrowany tym, że musiał wyciskać informacje, jedna po drugiej, od tej olbrzymiej bryły kobiecej otyłości.

- Biuro zapytało, dlaczego chciał kupić właśnie tę książką i zgadnij, co im odpowiedział? Powiedział, że znalazł ją na eBay-u - czekała, aż Spagnola połączy kropeczki kreseczką.

- Sądziś, że... Skinęła głową.

- Simoni umieszczał swoje zdjęcia na aukcjach eBay-a, więc każdy mógł je oglądać. Jeśli miałbyś program typu Steg i wiedział, gdzie szukać, mógłbyś bez problemu znaleźć wiadomości.

- A książki?

- Zapomnij o książkach - odpowiedziała Hummer. - Jedynym powodem, dla którego Simoni dostarczał książki, była potrzeba przykrywki do umieszczania tam zdjęć, w przeciwnym razie administrator eBay-a, by go wsunął.

Spagnola mrugnął kilka razy oczami. W końcu powiedział:

- Rozumiem. - I naprawdę zrozumiał. To było genialne. Simoni używał eBay-a jako skrzynki kontaktowej. To prawdziwa Al-Kaida 2!

- Więc ten agent, z którym porozumiewał się Simoni, nie musiał nic robić. Hummer pokręciła głową.

- eBay był tylko tablicą ogłoszeniową. Wystarczyło, by agent wpisał Akrneds Books w okienko „szukaj” i poczekał na otworzenie się właściwej strony. Jeśli miał Stegoramę na swoim komputerze i pamiętał hasło, to wydostanie ukrytej wiadomości było już pestką. Oczywiście, jeśli była zaszyfowana, musiał ją jeszcze rozszyfrować. I niestety tak jest z informacjami, które znaleźliśmy. Wszystkie są zaszyfowane.

- Więc nie wiemy, co zawierają. Jeszcze nie.

- Ile to potrwa, zanim złamią szyfr? Hummer wzruszyła ramionami.

- To Al-Kaida, więc sprawa trafiła na początek kolejki, lecz kto to wie? Może jutro. Może w przyszłym tygodniu, może...

- A co z tymi, którzy wchodzili na tę stronę?

- Ebay-a?!

- Nie na całego eBay'a. Tylko na strony ze zdjęciami Simoniego.

Hummer popatrzyła na niego, jakby powtykał sobie ołówki do dziurek w nosie.

- Jeśli wchodzi się na jakąś stronę - tłumaczył Spagnola - to przecież zostawia się jakieś ślady. Tyle to wiem.

Hummer przez chwilę patrzyła na niego matczynym wzrokiem.

- Myślisz o cookies?

- Tak, o cookies. Hummer pokręciła głową.

- Strona internetowa może zostawiać cookies na czyimś komputerze, ale żaden komputer nie zostawia cookies w Internecie. Zamilkła na moment, by to do niego dotarło. - Jeśli mielibyśmy podejrzanego, to może moglibyśmy sprawdzić, czy wchodził na konkretne strony. Lecz nie wydaje mi się, żeby serwery eBay-a przechowywały adresy IP wszystkich wchodzących na portal.

- Jesteś tego pewna? - dopytywał Spagnola.

- Nie. Ale nawet jakby coś takiego robili, to i tak nie sprawdziliby wszystkich adresów oglądających aukcje, a szczególnie tych, którzy nie licytowali. A niby dlaczego udzie Simoniego

mieli licytować? Prawdopodobnie mają Juz swoje Korany.

- Ale sprawdzisz to? - nalegał Spagnola. Hummer wzruszyła ramionami.

- Oczywiście - odparła. - Sprawdzę.

Spagnola zgniótl puszkę po coca-coli light i wrzucił ją do kosza. Zdał sobie teraz sprawę, że Hummer wycykała go na całego. To była operacja o najwyższym priorytecie, a ona nawet nie była łaskawa poinformować go o niczym do momentu, gdy zaszli w ślepią uliczkę i wysłali komputer do NSA. Oczywiście, że na jego biurku i szefa placówki pojawi się raport, ale stary dowie się, że była to praca i inicjatywa Hummer, a nie jego. Zalała go fala złości. Poczul nawet, jak pali go twarz.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- O czym?

- O steganografii. I o tym, że Simoni korzystał z eBay-a - Gwałtownym gestem uniósł ręce do góry. - Czemu mi o niczym nie powiedziałaś?!

- Przepraszam - odpowiedziała z nutką żalu w głosie. - Nie wyglądało to na coś, co może cię zainteresować.

- Mnie interesować?

Przez dwie minuty ostro po niej pojeździł. Za kogo ona się miała? To on był jej szefem! Nie mógł uwierzyć, że sama skontaktowała się z NSA za jego plecami! Co ona sobie w ogóle myślała?

Hummer zaczerwieniła się, lecz nie mogła ukryć malującego się na jej twarzy triumfu. Teraz będzie musiał zostać w mieście, pomyślał Spagnola, i czekać na rozszyfrowane informacje. Wizja ucieczki na stoki narciarskie z żoną i córką spaliła na panewce.

- Zatem - powiedział - jesteśmy w zawieszaniu.

- Mniej więcej.

- A miałem nadzieję wyrwać się z miasta na weekend. Miękkie cmoknięcie wyrwało jej się z ust.

- Przecież - odrzekła - dopiero jest środa. A NSA też ma w tym jakiś swój interes. Zdziwiłabym się, gdybyśmy od nich cokolwiek dostali do końca tego tygodnia.

Spagnoli poprawił się humor.

- Tak myślisz?

- Najprawdopodobniej zrobią coś dopiero pod koniec przyszłego tygodnia.

- Okay - rzucił Spagnola, zadowolony z takiego obrotu sprawy. - Tylko pamiętaj że masz mnie o wszystkim informować, okay?

- Absolutnie.

*

Rozszyfrowane dokumenty z NSA zostały dostarczone osobiście na biurko Madison Logan w piątek po południu, godzinę po przerwie na lunch. W pierwszym odruchu od razu chciała je wziąć do Spagnoli, lecz potem przypomniała sobie, co wspominał o planach na weekend. Schowała zatem zaklejoną kopertę do swojego osobistego sejfu i chwyciła płaszcz. Wychodząc, poprosiła recepcjonistkę z trzeciego piętra, by powiedziała panu Spagnoli, że wyszła do dentysty na leczenie kanałowe i prawdopodobnie w pracy będzie dopiero w poniedziałek rano.

Faktycznie poszła na zakupy do pasażu handlowego Uhland, gdzie mieścił się butik specjalizujący się w rozmiarach dla puszystych kobiet. O czwartej zadzwoniła do biura, by sprawdzić, czy są dla niej jakieś wiadomości.

- Pan Spagnola pytał o panią - poinformowała recepcjonistka - ale potem wyszedł. Powiedział, że to nie było pilne.

Spiesznie udała się z powrotem do biura i wyjęła kopertę z sejfu. Szybki rzut oka i od razu wiedziała, że to dynamit. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer do Spagnoli. Po piątym dzwonku, zostawiła wiadomość na sekretarce:

- Tu Madison. Rozszyfrowane wiadomości, o których rozmawialiśmy, właśnie do mnie dotarły. Myślę, że są bardzo ważne. Jeśli możesz oddzwonić, natychmiast do ciebie z nimi przyjdę. Jeśli nie... to nie jestem pewna, co z nimi zrobić.

Właśnie stworzyła dla siebie dupochron. Pojechała windą do biura szefa placówki, zapukała do jego drzwi i weszła do środka. Co masz? - zapytał, spoglądając znad biurka.

- Dużo - odpowiedziała, kładąc przed nim kopertę. - Ale najlepsza z tego wszystkiego jest lista.

- Jaka lista?

- Lista kont w kilku bankach na wyspach, na które Herr Simoni składał depozyty gotówkowe.

Mówisz o tym ćwoku z Koranami? O tym gostku z eBay-a, którego sprzątnęli nasi przyjaciele? Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Szef placówki otworzył kopertę i spojrzął na pierwszą stronę.

- To coś w stylu streszczenia dla kierownictwa - wyjaśniła Madison Logan. - Sama słodycz. Najlepsze kąski. Szef placówki chrząknął i zmarszczył brwi.

Wpłata \$ 8400 Nr konta 98765A4 Bank Hapoalim Tel Awiw 10-05-04 Wpłata CH 72 900 Nr konta 87612342 CBC Bank & Trust. Ltd. Kajmany 9-02-04 Wpłata 2342 Nr konta 3498703 HSCB Bank Jebil Ali Free Zone 9-22-04 Wpłata \$ 25 000 Nr konta 3698321W Cadogan Bank St. Heller, Jersey 12-20-04 Wpłata? 31 825 Nr konta 0000432189 Singel Bank Privat Genewa 1-27-05

Było sporo niejasności po spieprzeniu roboty w mieszkaniu Simoniego. Rewolwerowcom z BfV udało się zabić człowieka, którego pojmanie przyniosłoby nieocenione efekty.

Ale to było wtedy, pomyślał szef placówki, a teraz jest teraz. Ta lista w jego rękach, to było szczerze złoto. Spojrzął znad dokumentu z uśmiechem satysfakcji.

- Doskonała robota, Madison. Naprawdę doskonała! Co myśli o tym Spagnola? Zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Obawiam się, że jeszcze tego nie widział, proszę pana.

- Co?

- No, nie. Hmmm. Chyba wcześniej dziś wyszedł. Pojechał na narty czy coś takiego...

ROZDZIAŁ 19

BUNIA-ZURYCH 20 MARCA 2005

Im szybciej Wilson wydobędzie się z miasta, tym bezpieczniej dla niego. Zaksięgowanie przelewu pomiędzy Hongkongiem a St. Helier zajęło tylko jeden dzień. Zapłaciłby każdą sumę za transport do Kampali. Ale to była Bunia. Brak negocjowania ceny wzbudziły podejrzenia. Więc negocjował przez pięć minut z mężczyzną oferującym przejazd poobijanym renaultem.

Dotarli do Entebbe po południu, zbyt późno, by dolecieć gdziekolwiek, gdzie Wilson chciał się dostać. Był, co prawda, jeden lot liniami Kenya Airlines, ale o piątej trzydzieści rano do Zurychu z przesiadkami w Nairobi i Amsterdamie.

Posłuchał rady kierowcy i noc spędził w hotelu Speke, relikcie dawnej świetności z wygodnymi łózkami, dobrą ochroną i bezprzewodowym Internetem. Kierowca spędził noc na podwórzu hotelu, śpiąc na tylnej kanapie samochodu.

Wilson zjadł obiad w swoim pokoju, po czym surfował po Internecie w poszukiwaniu wiadomości o Hakimie i Bobojonie. Używał różnych wyszukiwarek, przetrząsał wiadomości z lutego i marca, z Kuala Lumpur i Berlina, ale nie trafił na jakiegokolwiek ślady ich nazwisk. Nic. Spróbował jeszcze raz, tym razem wpisywał dodatkowe słowa w wyszukiwarkach „terrorysta i „aresztowanie”. Było kilkanaście wiadomości, ale tylko dwie mógł uznać za „trafienia”.

Pierwsze z nich było artykułem z największej malezyjskiej gazety anglojęzycznej „Dawn”. Artykuł był z dwudziestego czwartego lutego i opisywał aresztowanie dwóch mężczyzn na lotnisku Subang w Kuala Lumpur.

Źródła podały, że jeden z aresztowanych mężczyzn o nazwisku Nik Awad był rzekomym łącznikiem pomiędzy malezyjską milicją Kumpulan a Jemaah Islamiyah. Nie ujawniono danych drugiego mężczyzny podróżującego z syryjskim paszportem. Policja oświadczyła, że drugi mężczyzna usiłował popełnić samobójstwo na lotnisku, lecz powstrzymano go przed połknięciem kapsułki z trucizną.

Obydwaj mężczyźni zostali zatrzymani na mocy Ustawy o bezpieczeństwie wewnętrznym. Policja prowadzi dochodzenie mające ustalić szczegóły planowanego ataku na amerykańską bazę wojskową na Sumatrze.

Wilson przeczytał to sprawozdanie trzy razy. Były tam trzy najistotniejsze informacje: czas, miejsce i próba samobójcza. Koniec lutego to właśnie moment, kiedy Hakim i Wilson jedli razem obiad tuż przed jego wypłynięciem do Odessy; Hakim przygotowywał się do podróży do Kuala Lumpur, a ta próba samobójcza - to mógł być tylko on.

Drugi artykuł znalazł na stronie internetowej CNN. Był to raport z pierwszego marca dotyczący wydarzeń w Berlinie. Prowadzone śledztwo w sprawie działalności terrorystycznej zakończyło się strzelaniną w mieszkaniu podejrzanego. W akcji zginęła agentka Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, trzydziestej ednoletnia Clara Deisler. Podejrzany, który również zginął w strzelaninie, był gasterbeiterem współdziałającym z ugrupowaniami islamistycznymi w Bośni i Libanie. Śledztwo jest w toku.

Wilson szukał dalszego ciągu, wpisując nazwisko „Deisler”, lecz znalazł jedynie artykuły w prasie niemieckiej z tego samego dnia, co raport CNN. Nie było dalszego ciągu, co było dziwne. Zginęło dwoje ludzi w strzelaninie w centrum Berlina. Jeden z nich był terrorystą, a drugi - kobieta - funkcjonariuszem państwowym. A potem nic.

Czyli utajnili informacje.

Ale czy był to Bobojon? Wilson nie miał pewności, ale było całkiem prawdopodobne. To tłumaczyłoby tę podrobioną wiadomość w „Wersjach roboczych”. Niemcy przejęli komputer Bobojona. Co znaczyło, że CIA też już go ma. Ciekawe, kiedy dowiedzą się o banku Cadogan?

Mógł tylko spekulować. Zdawał sobie sprawę, że federalni mogli już obserwować bank. Ale szczerze w to wątpił. FBI i CIA też miały swoją biurokrację, jak każda organizacja, tylko że ich działania były utajnione. To pozwalało na ukrywanie wielu popełnionych błędów. Jedenasty września obnażył ich prawdziwy modus operandi: byli powolni, pieprzyli robotę i tylko domagali się większych „zasobów”.

Ale nadal mieli sporo zasobów, więc nie można było ich ignorować.

Zadawał sobie pytanie: jak by postąpił, gdyby był na ich miejscu? Zastanowił się nad tym przez chwilę i pomyślał, że pierwszą rzeczą, którą by zrobił, to zablokowałby wypływ środków z konta w banku Cadogan. Mając sporo do stracenia, ten „Frank d’Anconia” w końcu skontaktuje się z bankiem. W tym momencie miejsce jego pobytu stanie się jawne, a federalni mogą próbować ściągnąć go do Jersey.

Zanim jednak to zrobią, będą się musieli dowiedzieć o Cadogan Bank, a potem jeszcze skłonić bank do współpracy.

Czy go znaleźli? Czy już to zrobili? Wilson nie mógł być tego pewien.

*

Wylądował w Zurychu tuż po ósmej wieczorem, po prawie piętnastu godzinach podróży. Brudny i zmęczony posilił się gyrosem w alejce położonej nieco na uboczu od

Niederhof, w miejscu, w którym roiło się od pułapek na turystów. Szedł pieszo wzdłuż nabrzeża portowego i przyglądał się łabędom, potem przeszedł kładką do starego miasta, gdzie wynajął pokój w horrendalnie drogim hotelu Zum Storchen.

Następnego ranka przespacerował się ulicami, aż znalazł dom handlowy Jelmoli, tuż przy eleganckiej Bahnhofstrasse. Tam kupił nowe ubrania i skórzaną aktówkę. Wrócił do hotelu, wziął długi, gorący prysznic, który prawie stał się ceremonią pozbycia się starej skóry. Żar i smród Bafwasende, chaos i dziadostwo Bunii spłynęły z niego, pozostawiając jedynie koszulę ducha, którą była jego naga skóra i wytatuowane przykazanie:

Gdy ziemia drży.

Nie czuj strachu.

Gdy pół godziny później wymeldowywał się z hotelu, dziewczyna z recepcji nie rozpoznała go - a gdy już go sobie przypomniała, to aż zachichotała. W ubraniu od Armaniego, Bragana i Zegny,

wyglądał, jakby właśnie zszedł z okładki czasopisma dla mężczyzn GQ”. Udał się pieszo na dworzec kolejowy i pierwszym możliwym pociągiem pojechał na lotnisko, gdzie wynajął samochód.

Było to czarne alfa romeo w wersji kabriolet. Gdyby pogoda dopisała, mógłby jechać z opuszczonym dachem całą drogę, aż do jeziora Constance. Ale pogoda się zmieniła, i gdy kierował się na wschód, okrążając brzegi Zurichsee, niebo pluło na niego kroplami deszczu.

Był tylko jeden sposób na sprawdzenie, czy ktoś już go rozpracowywał. Ruszyć pieniądze. Lub spróbować. Jeśli uda się gdzieś przelać środki, to nadal był krok przed nimi. A jeśli się nie uda, to nici z przewagi.

Jakkolwiek na to nie patrzeć, problemy się piętrzyły. Jeśli Cadogan Bank mu odmówi lub będzie miał jakieś obiekcje, to znaczy, że jakaś organizacja już o nim wie i próbuje go dopaść. I wtedy będzie musiał uciekać.

Jeśli zaś, z drugiej strony, bank nie będzie miał żadnych obiekcji i przeleje środki, to nadal miał problem: co zrobić z trzema milionami sześciuset tysiącami dolarów w gotówce? Odrobił zadanie domowe z matematyki i obliczył, że jeśli kwota będzie wypłacona w studolarówkach, to ta ilość banknotów wypełni co najmniej dwie walizy. I będzie ważyła z tonę. I jak miałyby przewieźć te pieniądze do Stanów Zjednoczonych? Tak sobie, po prostu przejść przez odprawę celną? To byłoby jak gra w rosyjską ruletkę przy pomocy derringera. A nawet jak uda mu się przemycić pieniądze przez cło, to przecież nie będzie mógł ich, ot, tak sobie, wpłacić do banku. DEA od razu by go wzięła pod lupę.

Był jeszcze jeden problem. Jeśli już uda mu się zrobić przelew i znajdzie sposób na przewiezienie pieniędzy do Stanów, to gdzieś na świecie są ludzie, którzy zaczną go szukać.

Nie FBI lub CIA, lecz partnerzy biznesowi Hakima z Ministerstwa Obrony Libanu. Dostarczyli haszysz, a teraz będą domagali się zapłaty. To wprawdzie leżało w gestii Hakima, ale skoro on przepadł, to paleczkę odpowiedzialności przejął Wilson.

To oczywiste, że Libańczycy nie znali jego nazwiska. Ale z pewnością słyszeli o Belovie (nie wspominając już Zera i Khalida). Nie minie wiele czasu zanim dowiedzą się, że doszło do wymiany w Bafwasende, i że zaraz po tym ochroniarze Wilsona zostali zabici w Bunii. Mogli nawet dowiedzieć się, że diamenty upłynął Wielkiemu Pingowi. I na pewno zaczęliby podejrzewać, że postanowił zatrzymać zarówno swoją część, jak i ich.

Nic nie mogli mu zrobić. Oczywiście, dopóki go nie znajdą.

Wilson zastanawiał się nad każdym z tych problemów w czasie podróży przez Szwajcarię do Lichtensteinu. O trzeciej po południu przejechał pusty punkt graniczny pomiędzy dwoma krajami. Tuż za nim droga zaczęła się piąć pod górę, wijąc się wśród wzniesień, by wypłaszczyć się dopiero w Vaduz - wypielegnowanej stolicy Lichtensteinu. Wilson zaparkował samochód na ulicy przed Banque Privee de Stem i wszedł do środka.

Dyrektor, Herr Egli, miał wygląd młodego Einsteina, z wiechą jasnych włosów sterczących we wszystkich kierunkach. Cała reszta była już w absolutnym porządku. Jego skóra była tak jasna i gładka jak papier, że wydawała się pozbawiona kolom - oprócz rumieńców zdrowia na policzkach. Miał na sobie ciemny garnitur i okulary w babcinym stylu w złotych oprawkach. Mówił po angielsku z brytyjskim akcentem. Za jego plecami, przez wielkie okna od podłogi do sufitu, rozciągał się widok na pokryte śniegiem góry, które wytyczały dolinę Renu.

Wilson usiadł w wygodnym fotelu, który mu wskazano, skrzyżował nogi i wyznał, że chce zrobić przelew.

- Przykro mi, ale bank świadczy usługi tylko swoim klientom - wyjaśnił Herr Eggli.

- Rozumiem - powiedział Wilson. - Miałem nadzieję, że będę mógł się stać jednym z nich.

Twarz Eggli wyrażała smutek.

- Nie prowadzimy kont dla klientów indywidualnych.

- Oczywiście, że nie, ale w grę wchodzi dość poważna suma pieniędzy. Na twarzy Herr Eggli odmalowało się zaniepokojenie. Ach tak? A mógłbym zapytać, jaka to kwota? Około trzech milionów euro - odpowiedział Wilson. Bankier zamilkł i po chwili skinął w zamyśleniu głową.

- Dobrze - powiedział. - Nie widzę żadnych przeszkód. Możemy natychmiast otworzyć dla pana konto, jeśli pan sobie tego życzy.

- Tak.

- Jest trochę wypełniania papierków. Muszę też obejrzeć pański paszport. A potem, oczywiście, będą potrzebne kody bankowe do wykonania przelewu.

Wilson przesunął paszport wydany na nazwisko d'Anconia po gładkim blacie biurka.

- Wygląda to trochę, jak meldowanie się w hotelu - zażartował Eggli. - Tylko że, oczywiście, naszymi gośćmi są pieniądze.

Wilson uśmiechnął się uprzejmie.

- Jeśli pan sobie życzy, mogę załatwić przelew dziś po południu.

- Świetnie.

Bankier wyjął kilka formularzy z górnej szuflady biurka i zaczął je wypełniać danymi z paszportu, zadając Wilsonowi od czasu do czasu pytania o jego konto w Cadogan Bank. Po chwili podniósł głowę i powiedział z uśmiechem:

- Bardzo dobrze mówi pan po angielsku. Wilson uśmiechnął się.

- Wychowałem się w Stanach Zjednoczonych.

- Tak też sobie pomyślałem - bankier dokończył formalności i podał papiery nowemu klientowi. - Gdyby mógł pan podpisać je na dole każdej strony...

Wilson podpisał nazwiskiem d'Anconia i podał Eggli numer swojego konta oraz hasło dostępu. Bankier wstał i podszedł do drzwi.

- To potrwa tylko minutkę.

Wilson wykonał ruch ręką jakby chciał powiedzieć, że ma mnóstwo czasu do dyspozycji. Tak naprawdę, czuł się jakby za chwilę miał implodować. Właśnie pomyślał, że federalni mogą nie być tacy głupi, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Jeśli go rozpracowywali, jeśli obserwowali Cadogan Bank, to równie dobrze mogli zezwolić na dokonanie przelewu - po uprzednim powiadomieniu władz w Vaduz.

Minutę później otworzyły się drzwi i do pokoju wsunął się Eggli.

- Wszystko w porządku - zajął swoje miejsce za biurkiem. - Przelew zostanie przeksięgowany dziś w nocy, więc pieniądze będą na pana koncie jutro rano. Myślę, że tak około dziesiątej.

- To doskonale. Jest pan bardzo skuteczny.

- Staramy się. Nawet jeśli technicznie nie jesteśmy Szwajcarami, to mimo wszystko dbamy się o reputację. Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pana zrobić?

- Tak - odpowiedział Wilson. - Czy mógłby pan polecić mi jakiś hotel?

- Ależ oczywiście! - wykrzyknął Eggli.

- I akcje.

- Przepraszam? - bankier wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.

- Bank inwestuje środki klientów, nieprawdaż?

- Absolutnie - odpowiedział Eggli.

- Więc chciałbym, żeby zainwestował pan moje. Herr Eggli był zachwycony.

- Mamy cały szereg instrumentów finansowych: obligacje, udziały, fundusze inwestycyjne. Czy mogę zapytać, jaki pan ma cel? - siedział z uniesionym długopisem nad czystą kartką papieru.

- Moim celem - odpowiedział Wilson - jest wyjście stąd z trzema i pół milionami dolarów w akcjach.

Bankier zachichotał nerwowo. Gdy spostrzegł, że jego klient wcale się nie śmieje, stwierdził:

- Oczywiście mówi pan w przenośni? Wilson powoli pokręcił głową.

- Wcale nie. Chcę kupić udziały firmy... jakiegokolwiek. Nestle. Roche. Nie ma to żadnego znaczenia, poza tym, że muszą być to akcje w obrocie publicznym. Gdy dokona pan zakupu, chciałbym, żeby zostały one przesłane do mojego hotelu ekspresowym kurierem.

Eggli skrzywił się, słuchając tych wyjaśnień.

- Zwykle - powiedział - przechowujemy akcje naszych klientów w banku. Tak jest o wiele wygodniej. Po to właśnie jest nasz bank. Mamy skarbiec. Jeśli chciałby go pan obejrzeć...

- Jestem pewien, że jest wytrzymały, ale... Czy mogę być z panem szczery? Jestem w trakcie bardzo nieprzyjemnej sprawy rozwodowej...

- Współczuję panu. Wilson wzruszył ramionami.

- To może się przydarzyć każdemu. A kiedy się przydarza, to mówię panu - lepiej mieć płynne aktywa w ręce, niż ich nie mieć wcale. Dlatego będę czuł się o wiele bezpieczniej, jeśli bezpośrednio do mnie dotrą.

Eggli skinął głową ze zrozumieniem, choć nie kupił tego wyjaśnienia.

- Czy mogę zadać panu pytanie?

- Ależ proszę. - Eggli odłożył długopis i złożył dłonie na blacie biurka.

- Ile wynosi prowizja banku? Bankier mrugnął pytająco oczami.

- Słucham?

- Pańska prowizja! Za zakup akcji. Jaki jest koszt dla klienta? Eggli wydał wargi.

- Trzy czwarte procenta. Wilson obliczył sumę.

- To daje... dwadzieścia siedem tysięcy.

- Przepraszam?

- Pańska prowizja od transakcji wyniesie dwadzieścia siedem tysięcy dolarów amerykańskich.

Wyraz twarzy Eggli'ego nie uległ zmianie. Siedział tam, gdzie siedział. Po chwili poderwał się z miejsca z uniżonością ucisnął jego rękę.

- Wspominał pan Nestle albo Roche?

Cokolwiek - odpowiedział Wilson. - Wszystkie są dobre.

*

Stojąc w kolejce do odprawy paszportowej na lotnisku JFK w Nowym Jorku, Wilson był spięty, choć wmawiał sobie, że nie ma się czym martwić. Wyjechał ze Stanów Zjednoczonych parę miesięcy temu i, używając paszportu na nazwisko Jack Wilson, wylądował w Irlandii. Potem używał już paszportu na nazwisko d'Anconia. Ktokolwiek przejrzy prawdziwy paszport Wilsona, będzie sądził, że poleciał do Irlandii i spędził tam ostatnie dwa miesiące.

Ale i tak pojawił się problem. Gdy oficer imigracyjny przesunął paszport Wilsona przez czytnik pasków magnetycznych, coś mu wyskoczyło na monitorze. Wilson nie mógł dostrzec, co to było, ale

było to coś na tyle ważnego, by funkcjonariusz chwycił za słuchawkę telefoniczną.

- Czy mógłby pan tam usiąść i zaczekać...? - to nie było uprzejmie pytanie.

Po chwili pojawiła się przystojna funkcjonariuszka Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Porozmawiała przez chwilę z oficerem imigracyjnym i skinęła na Wilsona, by wszedł do pokoju rozmów indywidualnych.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi poprosiła, by usiadł przy małym stoliku. Wilson odczytał jej nazwisko z plakietki identyfikacyjnej: Carolyn Amirpashaie. Co to za nazwisko? - zastanawiał się, nie potrafiąc rozpoznać jej pochodzenia etnicznego.

- Czy jest jakiś problem?

Agentka przeglądała jego paszport kartka po kartce ze zmarszczonymi brwiami. W końcu odrzekła:

- Nie wiem - podniosła wzrok znad paszportu i zapytała: - Czy to jest pana prawdziwe nazwisko?

Wilson zachował się tak, jakby to pytanie rzuciło go o ścianę. W końcu odpowiedział:

- Tak... Nazywam się Jack Wilson.

- Czy to jest zdrobnienie? „Jack” od „Johna”? Wilson pokręcił głową.

- Nie. Mam wpisane „Jack” na świadectwie urodzenia - uśmiechnął się. - Moja matka była wielką fanką Kennedych.

- To miło... - ponownie przeglądała paszport, lecz tym razem znacznie szybciej. - Jakie kraje odwiedziłeś, Jack?

- Wszystko jest w formularzu - odpowiedział. - Byłem w Irlandii przez dwa miesiące, a potem spędziłem kilka dni w Szwajcarii.

- W porządku - spojrzała na formularz odprawy celnej i imigracyjnej które wskazywały, że przyleciał z Zurychu. - A co tam robiłeś?

- Nic specjalnego. Spotkałem się z kilkoma znajomymi, gadałem moje celtyckie korzenie - zachichotał w dobrej wierze, lecz dłonie mu się pocily, a w rogu lewego oka pojawił się świetlisty mroczek.

W Szwajcarii? - zapytała.

Śmiech Wilsona nawet jemu wydał się wymuszony.

- Nie - odpowiedział. - W Irlandii.

- Ale potem pojechałeś do Szwajcarii.

- Tak, pod koniec mojego pobytu w Irlandii. Byłem tam tylko dwa czy trzy dni - obserwował, jak po raz kolejny przegląda puste strony paszportu.

- Nie wstawili stempla - stwierdziła agentka.

- Kto?

- Szwajcarzy.

- Nie, tylko pomachali mi, bym przechodził. Skinęła głową.

- Oni tacy są - skomentowała. Po czym odrzuciła głowę do tyłu. - Nie wyglądasz na Irlandczyka.

Wilson wziął głęboki oddech. Nagle zrozumiał, że cokolwiek było na rzeczy, nie miało nic wspólnego z Bobojonem lub Hakimem. Jeśli byłoby inaczej, Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie zostawiłby go samego w pokoju z kimś o imieniu Jill. Co znaczyło, że...? Dlaczego go zatrzymali? Wilson nie miał bladego pojęcia. Równie dobrze mógł to być fakt zapłacenia za bilet lotniczy gotówką. Albo to, albo zintegrowali bazy danych i teraz oficerowie imigracyjni mieli dostęp do danych Departamentu Więziennictwa. Jeśli to było tylko to, miał to w

nosie. Odsiedział swój wyrok i pojechał sobie do Irlandii. Więc o co im chodzi?

Wilson odprężył się i włączył swój urok osobisty.

- Tak naprawdę - zaczął wyjaśnienia - ja wyglądam jak Irlandczyk. Serio! - Pochylił się nad stołem i zaczął mówić z akcentem irlandzkim. - Tak naprawdę, kochaniutka, to masz przed sobą całą mapę Irlandii.

Walczyła z uśmiechem.

- Nie wydaje mi się - oświadczyła.

- Nie powiesz chyba, że nigdy nie słyszałaś o kolorowych Irlandczykach? - Na szczęście Wilson słyszał. Jego koleżanka z uniwersytetu pisała pracę magisterską o diasporze celtyckiej.

Agentka Amirpashaie wzruszyła ramionami.

- Słyszałam takie określenie, ale...

- Patrzysz na potomka w pierwszej linii jakiegoś biednego rozbitka, którego statek zatonął wraz z całą armadą hiszpańską. Mała część Hiszpanów uratowała się i dopłynęła do brzegów Emerald Isle. Ożenili się z miejscowymi kobietkami. A czemu nie? Byli katolikami. A tu widzisz tego efekt: moja śmiejąca się gęba. Ciemne włosy, czarne oczy. Śródziemnomorska karnacja skóry. Czy wiesz - opowiadał dalej Wilson - że niektórzy uważają, że Melungeonowie są potomkami tej samej iberyjskiej krwi?

- Melungeonowie?

- W Appalachach. Co, gdy się nad tym zastanowić, jest fascynujące - ciągnął Wilson. - Zrobiono właśnie badania DNA pobranego z mitochondriów i...

- Panie Wilson?

- Słucham?

- Potrafi pan nieźle czarować.

- Och - odpowiedział, udając spojrzenie pełne niezadowolenia. Agentka uśmiechnęła się i oddała mu paszport.

Podobnie dręczyli go podczas odprawy celnej, ale to już nie był żaden problem. Agent drobiazgowo przeszukiwał jego walizkę, lecz niczego nie znalazł. Wilson spalił paszport d'Anconii w Zurychu i przesłał Federai Expressem świadectwa udziałowe do Vegas, skąd odbierze je za dzień lub dwa.

Jak będzie miał swoje akcje w ręce, to otworzy konto w banku w Reno. I wykorzysta akcje jako zastaw pod pożyczkę. Dostanie pewnie osiemdziesiąt procent ich wartości, co i tak da mu około trzech milionów dolarów. Bank przejmie akcje w depozyt, lecz ich nie odsprzeda - co było nieźle, bo nie pojawią się na niczym radarze.

Siedząc w Admirals Club i sącząc czarnego johnny walkera, czekał na wywołanie do odprawy na samolot do Vegas. Przypominał sobie wszystko, przez co przeszedł i ludzi, z którymi przyszło mu się spotkać. Pomyślał o Bobojonie i Hakimie, Zerze i Khalidzie, i o dzieciaku z kopalni diamentów.

Życie to dziwka, pomyślał, a potem i tak idzie się do piachu.

ROZDZIAŁ 20

LONDYN 23 MARCA 2005

Ray Kovalenko siedział w swoim biurze w ambasadzie amerykańskiej przy Grosvenor Square w stanie głębokiego przerażenia. Po raz kolejny czytał wyniki tomografii komputerowej. Załatwił sobie to badanie trzy dni po tym, jak się dowiedział, że u jego najlepszego kumpla Andy'ego, którego urodziny były dwa dni po jego własnych, zdiagnozowano raka z przerzutami, który opanował wątrobę, płuca, trzustkę i okrężnicę. A przecież Andy czuł się świetnie! Jezu, całe ciało szykuje się w podróż w zaświaty, a ty dowiadujesz się o tym, jak jest już za późno!

Współczując Andy'emu, szukał numeru telefonu do internisty przy Harley Street. Nalegał na przeprowadzenie tomografii, pomimo opinii lekarza, że pełny skan organizmu naraża pacjenta na niepotrzebne dawki promieniowania i często daje niejednoznaczne wyniki. Może on wskazywać na nieistniejące dolegliwości, które prowadzą do niepotrzebnych procedur medycznych.

Wizyta po przeprowadzeniu tomografii była zaplanowana dopiero za kilka dni, ale wyniki badania z kliniki medycznej otrzymał w kopercie wraz z poranną pocztą. Tylko raz rzucił na me okiem i od razu śmiertelnie pobladł. Natychmiast zadzwonił na Harley Street. - Mam zwapniałe ziarniaki w płucach! Nie ma się czym martwić...

Nie ma się czym martwić? A co z guzkami w wątrobie?! Czy z nich też mam się cieszyć?!

- No, może nie cieszyć - odpowiedział internista - ale...

- I zmiany! Mam zmiany patologiczne w nerkach!

- Ale to może być cokolwiek.

- Cokolwiek?!

- Lub zupełnie nic. Tomografia ma właśnie to do siebie wyjaśniał internista - że pokazuje wszystko i najczęściej okazuje się, że tam nic nie ma.

Żołądek Kovalenki skurczył się do wielkości piłeczki do baseballu. I pozostał tej wielkości. Przez cały dzień.

*

Program FBI pod nazwą Attache Prawny obejmował pięćdziesiąt trzy placówki Federalnego Biura Śledczego na całym świecie i prowadzony był przez stu pięćdziesięciu agentów specjalnych, do których należał Ray Kovalenko. Każdy Legat (bo tak ich nazywano) był częścią zespołu w ramach ambasady.

Najważniejszym zadaniem Kovalenki była współpraca z CIA i brytyjskimi agencjami wywiadowczymi w celu „zapobiegania i osłabiania ataków terrorystycznych oraz prowadzenia śledztw z nimi związanych”.

Zadzwonił telefon. Jeszcze raz. Kovalenko niechętnie odłożył na bok wyniki badań (miał jeszcze

lekką miazdzycę aorty piersiowej!) i podniósł słuchawkę.

- Tak, Jean? - Przecież poprosił ją, by nie łączyła do niego żadnych rozmów. - Mam nadzieję, że to coś ważnego.

- To Berlin. Pan Spagnola. Mówi, że to pilne.

Oprócz paniki spowodowanej wynikami tomografii, Kovalenko miał jeszcze kaca, a słowo „pilne” przenosiło dokuczliwą pulsację w głębi oczodołów na jeszcze wyższy poziom bólu. A to było tylko parę lampek czerwonego wina! Chrząknął, przeczyszczając gardło, nacisnął przycisk na aparacie telefonicznym i zmusił się, by jego głos brzmiał możliwie przyjaźnie.

- Joey! Heeej! Co mogę dziś dla ciebie zrobić?

- Pamiętasz tego faceta, którego załatwiło BfV? Kovalenko mrugnął. Gdy poruszał się, siedząc w fotelu, czuł ból w dolnej części kręgosłupa. To pewnie te zmiany patologiczne.

Kovalenko doskonale go pamiętał. Westchnął ciężko. Bobojon Simoni. Który mógł być kopalnią złota. A Niemcy tak to spaprali. No i co z nim?

- Okazuje się, że ten Simoni był kimś w rodzaju centrali telefonicznej dla jednej z grup Al-Kaidy i zamieszczał na eBay-u zakodowane wiadomości - wyjaśnił Spagnola. - Jeśli jeden z ich ludzi potrzebował raportu z ochrony Białego Domu, przelewu gotówki albo recepty na rycynę, to po prostu zaglądał na stronę Akmed's Books i oglądał sobie różne wydania Koranu.

- Żartujesz?!

- Nie. Mówię poważnie. Mam przed sobą na biurku listę kilkunastu przelewów. Jeden z nich jest dla gościa, którego macie pod lupą.

Kovalenko wziął do ręki długopis i zaczął notować.

- Który to?

- Wygląda na to, że pan Simoni zasilał konto w Cadogan Bank.

- W Irlandii? - wypytywał Kovalenko.

- Co?

- Na Zielonej Wyspie?

- A daj spokój z tą zieloną wyspą - uciał żarty Spagnola. - To bank w Śt. Helier, też na wyspie, ale nie na tej. I nie żartuj sobie, bo mam dosyć problemów tutaj; wystarczy, że moi ludzie kopią pode mną dołki. Czujesz klimat?

- Nie - Kovalenko najwyraźniej nie czuł. Spagnola zrobił głęboki wdech.

- St. Helier - wyjaśniał - jest na wyspie Jersey. Zgadza się?

- Tak.

- Okay, więc mam tu niespodziankę! Nie ma nazwiska przy numerze konta - ciągnął Spagnola. - Wszystko, co mamy, to numer konta. Dwudziestego grudnia wpada na nie dwadzieścia pięć tysiaków za pośrednictwem Bobojona Simoni z konta kojarzonego z odgałęzieniem Al-Kaidy.

- Jakiego?

- Sami nazywają się Koalicją Uciśnionych Świata.

- Nigdy o nich nie słyszałem - oznajmił Kovalenko. To Dżihadyści Salafi - wyjaśnił Spagnola. - Takie samo gówno, jak wszyscy pozostali. Chcą wrócić do siódmego wieku.

- Niby chcą wrócić do epoki kamienia łupanego, a korzystają z Internetu i eBay-a, by rozdzielać kasę? - wrzasnął Kovalenko. - To wkurzające! A gdzie w tym ideologiczna spójność?

- To raczej epoka rozwoju rolnictwa. Kovalenko sapnął.

- Co ten konkretny agent Wielkiego Szatana chce zrobić?

- Już ci mówiłem, że konto jest w banku Cadogan w St. Helier. Dwadzieścia pięć tysiąków wpłynęło tam dwudziestego grudnia. I mamy numer konta - Spagnola przedyktował szereg cyfr. - Zostaje ci tylko ustalenie, do kogo to konto należy. I gdzie jest teraz jego właściciel. Jak najszybciej. I oddzwonź do mnie.

Spagnola rozłączył się.

Kovalenko westchnął. Jersey. To nie tak do końca Wielka Brytania. Jersey, de facto, była bliżej Francji niż Brytanii. Wyspy kanału La Manche leżały w zasięgu działań Kovalenki, bo miały konstytucyjne związki z Wielką Brytanią. Całkiem podobnie jak między USA i Portoryko.

Usługi bankowe to spora gałąź gospodarki na Channel Islands, a po jedenastym września tajemnice bankowe nie były aż tak niedostępne, jak przed tą datą. Można było mieć choć cień nadziei na jakąś współpracę. Może mu się powiedzie i może podadzą mu nazwisko właściciela konta.

Kovalenko zastanowił się nad tym i zdecydował, że osobiście załatwi tę sprawę. Gdyby próbował zrobić to drogą telefoniczną to pewnie przez wiele dni wisiałby na słuchawce.

Ale jak się dostać do St. Helier? Zadzwońił do Jean. Dziesięć minut później oddzwoniła do niego.

- Chciał pan wiedzieć coś o możliwości transportu do St. Helier?

Od dawna próbował uwieść Jean, lecz do tej pory była odporna na jego urok i nie przyjmowała jego zaproszeń na drinka. Pewnie jest lesbijką, pomyślał. No i musiał być ostrożny. Żadnego fizycznego kontaktu. Przyjazne położenie dłoni na ramionach i już leżało się na łopatkach w oczekiwaniu na proces sądowy. Co za świat!

- Tak, Jean?

- Bardzo się spieszymy?

My? Czy to nie było przyjacielskie? Może jednak nie była lesbą...

- Tak, to pilne.

- Dobrze. Jest lot z Gatwick. Luuub... mógłby pan tam dolecieć w godzinę helikopterem.

- Doskonale. Tak właśnie zrobimy. - Jednym z bonusów pracy w biznesie antyterrorystycznym było to, że nikt nie ściubił kasy. Pięć lat wcześniej można było zapomnieć o helikopterze, ale teraz nikt nie mrugnął nawet okiem. No i dobrze, bo dzięki helikopterowi zdąży jeszcze wrócić na zajęcia pilates. Dopiero niedawno dowiedział się, jakie to ważne dbać o dobrą formę mięśni okołogrzbietowych. Jeśli się o tym zapomina, to wcześniej czy później można mieć poważne problemy z układem mięśniowo-szkieletowym.

A to byłaby ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

*

Tylko jednej rzeczy nie lubił w helikopterach - tego hałasu. Przypięty pasami do fotela czuł się jak w środku wielkiego odkurzacza. Okropność dla uszu. Zapisał w pamięci, by kupić sobie ochronne słuchawki - takie jak miała Księżniczka Leia w Gwiezdnych wojnach albo pracownicy płyty lotniska. Wszyscy faceci pracujący przy kosiarkach do trawy, z dmuchawami do liści i na budowach byli wyposażeni w takie słuchawki, ale nie attache prawni z FBI, którzy przecież na pierwszej linii ognia stawiali dzielnie czoła terrorystom! Spojrzał przez okno. Powyżej ołowiane niebo, poniżej szare, pocięte falami morze.

- Guemsey! - krzyknął pilot, wskazując na ląd po prawej. Potem jeszcze raz odwrócił głowę i krzyknął: - Jersey!

Wkrótce zeszli do lądowania na białym krzyżu wyznaczającym lądowisko dla helikopterów. Po

chwili byli już na ziemi. Kovalenko pochylił się, chroniąc się przed łopatami wirników i pobiegł do czarnego mercedesa, który już na niego czekał. Jean jest cudowna, pomyślał, bez względu na to, czy jest lesbijką, czy nie.

*

Bankier, Jonathan Warren, miał ze czterdzieści lat i tę specyficzną delikatność zachowania typową dla Brytyjczyków. Miał na sobie garnitur szyty na miarę, a na nogach półbuty w stylu niokasynów, przyozdobione frędzelkami. I zadbane paznokcie.

Coś do picia? Może drinka...

Nie, dziękuję - odpowiedział Kovalenko.

Lekki powiew cytrusowej wody po goleniu doleciał do Kovalenki, gdy zasiadał w skórzanym klubowym fotelu.

- Czy to jest oficjalne śledztwo?

Kovalenko nie odpowiedział. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej skórzane etui z odznaką Ruchem nadgarstka rozchylił etui i rozłożone przesunął po blacie biurka.

Warren przestudiował legitymację bez dotykania jej, a następnie lekko skinął głową.

- Rozumiem - zmarszczył brwi. - Problem w tym, że pan jest Amerykaninem. - Warren wiercił się w fotelu jakby było mu niewygodnie. Kolejny uroczy uśmiech rozświetlił przez moment jego twarz i przeszedł w bolesną spekulację. - Jeśli pan pozwoli... - sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Jeśli dzwoni pan do... - zaczął Kovalenko.

- O nie. Nie widzę powodu, byśmy angażowali w to władze. Dzwonię do dyrektora banku.

Kovalenko rozparł się wygodnie w fotelu. Świetnie się bawił, okazując swoją władzę, cieszył się też z niepewności, którą wzbudzał, szczególnie w takich nadętych małych ciulkach jak Warren. Wystarczyło tylko się rozejrzeć po jego biurze - wszędzie przyciemnione szyby i meble na wysoki połysk; modne, wykonane piórkiem i tuszem grafiki na ścianach. Fotel marki Aeron. Na wielkim blacie biurka Warrena stał tylko wazon z ręcznie ciętego kryształu z jednym niebieskim irysem i laptop iMac. Kovalenko pomyślał o swoim metalowym biurku zawalonym szpargałami i poobijanymi szafkami na dokumenty.

Naprzeciwko niego ten mały dydek tłumaczył sytuację komuś, kto miał więcej władzy.

- Tak, w porządku. Rozumiem... - zwrócił się do Kovalenki. - - Cieszę się, że będziemy mogli panu pomóc. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale do pewnych granic.

- A gdzie są te granice?

- Czy mógłbym zobaczyć ten numer konta? Kovalenko wyciągnął z kieszeni karteczkę wielkości wizytówki i podał ją Warrenowi.

Bankier nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze swojego komputera, otworzył szufladę, wyjął złoty długopis i napisał coś na karteczce Kovalenki, którą z powrotem mu wręczył.

Kovalenko przeczytał: Thomas Aherne & Wspólnicy.

- Potrzebuję adresu - powiedział Kovalenko.

- Mam nadzieję, że pan rozumie, że to nie jest właściciel konta - wyjaśnił bankier. - Tego nie mogę panu wyjawić. Natomiast kancelaria Aherne i Wspólnicy jest jego upoważnionym przedstawicielem. Co oznacza, że to oni otrzymują jego pocztę i odpowiadają na wszelkie pytania. Myślę, że będą mogli panu pomóc.

Oczywiście, że tak - odpowiedział Kovalenko - ale ja nie pytam ich, tylko pana.

- Rozumiem, ale nawet nie przejmując się przepisami... Po prostu nie mam informacji, na której

panu zależy.

- Czyli nawet nie wiecie, czyje konta bankowe prowadzicie? - zapytał Kovalenko. Warren zignorował to pytanie.

- Wielu z naszych klientów korzysta z możliwości oferowanych przez istniejące prawo. Ich sprawy są załatwiane przez upoważnionych przedstawicieli - nacisnął kilka klawiszy i drukarka zaczęła szumieć.

Kovalenko spojrział na wydruk, który otrzymał.

THOMAS AHERNE & ASSOCIATES

210 COPE STREET DUBLIN, REPUBLIC OF IRELAND

- Irlandia - mruknął Kovalenko.

- Jest pan pewien, że nie chce pan nic do picia?

- Dziękuję - odpowiedział Kovalenko. - Gdyby tylko pozwolił mi pan spojrzeć jeszcze na historię konta - wpłaty, wypłaty - to zaraz stąd lecę.

Bankier poruszył się w fotelu i skrzywił się przepraszająco.

- Nie da rady - ale po chwili rozpromienił się. - Chyba że ma pan nakaz? Kovalenko zacisnął usta i jęknął w myśli. FBI nie miało prawa do prowadzenia śledztw za granicą, więc bankier miał rację, sugerując, że jedynie nakaz śledczy pozwoliłby mu na ujawnienie dowodów. Było to równoznaczne z niewykonalnością. Nakaz śledczy zdobywa się po przejściu czternastu etapów i każdy z nich wymaga zatwierdzenia przez prawnika albo sędziego. „Nakaz śledczy”. Już samo to określenie przyprawiało go o zawrót głowy. To mogłoby trwać latami. Wyprostował się w fotelu i spojrział bankierowi prosto w oczy.

- Prowadzimy śledztwo przeciwko terrorystom. Warren mrugnął, ale poza tym ta informacja nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

Kovalenko postanowił zwrócić się do MI-5, jak tylko będzie w Londynie. Ale przypuszczalnie i tak nic nie osiągnie. Zdał sobie sprawę, że pytanie banku z Jersey o nazwisko właściciela konta, było jak zmuszanie księdza do wyjawienia tajemnicy spowiedzi.

- Przykro mi - powiedział Warren, odrywając od niego wzrok. - Ale to nie ma nic do rzeczy. Nasze prawo...

- Wasze prawo chroni przestępców i terrorystów - syknął Kovalenko. Czuł, jak czerwienieje mu twarz i rośnie ciśnienie krwi. Starał się uspokoić, „zneutralizować”, ale nie potrafił. I nagle zdał sobie sprawę, że właśnie takie zachowanie jest najczęstszą przyczyną ataków serca.

*

Helikopter uniósł się z lądowiska. Kovalenko obserwował, jak wyspa pod nimi maleje. Banki na takich wysepkach są wymarzone dla kryminalistów, pomyślał. Gdyby to on miał decydować o tych sprawach, to każda korporacja, a szczególnie banki, musiałaby być „przejrzysta”. To zapobiegłoby wielu przestępstwom, łącznie z terroryzmem. Tylko ten jeden ruch. Jedyńm powodem utrzymywania tajemnicy bankowej było pranie brudnych pieniędzy, ukrywanie środków finansowych lub ich kradzież. Wystarczyłoby zatrzymać obieg takich podejrzanych pieniędzy, by udaremnić wiele niejasnych interesów.

Zmusił się do tego, aby się odprężyć. Robił długie wdechy i wydechy. Przynajmniej miał numer konta i, co najważniejsze, nazwę upoważnionego przedstawiciela. Taki przedstawiciel otrzymuje całą korespondencję dotyczącą konta bankowego, łącznie z wyciągami z transakcji. Upoważniony przedstawiciel wysyła informacje swojemu klientowi lub zatrzymuje je u siebie.

Kovalenko miał nadzieję, że w tym przypadku będzie to drugie. Bez względu na wszystko, Kovalenko i tak to zdobędzie. Bo w Irlandii wiedzieli co nieco o terroryzmie.

ROZDZIAŁ 21

DUBLIN 31 MARCA 2005

Wszystko zależało od tego, w którą stronę skreśliło się wchodząc do samolotu. Jeśli w lewo, oznaczało to, że człowiek żyje w przyspieszonym tempie, a jeśli w prawo to, że prawdopodobnie sam płaci za bilet.

Mike Burke skreślił w prawo. Miał miejsce blisko ogona, rząd trzydziesty ósmy, miejsce A, dziesięć rzędów od toalet, ale za to przy oknie. Lot do Dublina.

Wracał ze ślubu swojej siostry Megan, który odbył się w przepięknym - jak z widokówki - wiejskim kościółku w Nellysford w Wirginii, w rodzinnym miasteczku Burke'a.

Była to jego pierwsza podróż do Stanów od śmierci Kate. Robił wszystko, żeby wyglądać na wesołego i sympatycznego. Uspokajał zmartwionych rodziców i wymijająco odpowiadał na ich pytania. Tak, czuł się świetnie, wszystko było w porządku, najgorsze już minęło, zostawił to za sobą...

Tylko tak mówił. W rzeczywistości nikogo nie udało mu się oszukać. Być obok Nate'a i Megan, i nie ujawnić tego, co się czuło było po prostu niemożliwe. Oni jaśnieli od szczęścia, a on co? Był chodzącym przypomnieniem, że wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze.

Może już czas, by się otrząsnąć i ruszyć dalej, pomyślał Burke. Staruszek z powrotem był na nogach, biznes znowu zaczynał się kręcić, może właśnie nadszedł czas, żeby Burke w końcu wziął się w garść. Jeśli nie od razu, to jak najszybciej.

Po tych wszystkich latach tułania się po świecie jak kulka w kole ruletki chciał wreszcie odpocząć z Kate w Dublinie. I jeszcze do niedawna wyobrażał sobie, że spędzi resztę życia w tym miejscu. Lecz gdy Kate odeszła, Irlandia przestała być jego domem, a tym bardziej nie łączył jej już ze swoją przyszłością.

Ale cały czas mieszkał w tym samym mieszkaniu „jej” mieszkaniu, z eklektycznymi meblami i łóżem wielkim niczym sanie, które wspólnie wybrali. Jej ubrania nadal wisiały w szafach. Jej książki stały na półkach. Jej garnki i patelnie wisiały na haczykach w kuchni.

I jeszcze Staruszek, który nigdy nie przestawał o niej mówić.

Burke niespecjalnie tęsknił za Ameryką, ale gdzieś w zakamarkach umysłu zaczął myśleć, że może podróż do Stanów jest taką próbą powrotu. Może na swojej rodzimej ziemi, na której nie było nic, co przypominałoby o Kate, mógłby zacząć wszystko od nowa.

Lecz eksperyment się skończył. Po kilku godzinach pobytu w Stanach doszedł do wniosku, że nie ma tu czego szukać. Miał trzydzieści lat i czuł się bardziej jak Latający Holender. Płaskie wierzchołki łańcucha górskiego Blue Ridge, czerniejące na tle zachodzącego słońca, nic już dla niego nie znaczyły.

Wszyscy powtarzali, że życie może się odmienić, że ból przeminie. Ale był to tylko sposób na przekazanie przesłania, że Kate zniknie przecież kiedyś z jego pamięci. Może mieli nawet rację, ale to nie było to, czego chciał. W pewien sposób jego smutek był wszystkim, co mu po niej pozostało.

W Waszyngtonie też nie czuł się dobrze. Umówił się na kilka spotkań z ludźmi, których kiedyś znał, a oni nie poznali Kate. Choćby tylko z tego powodu wydawali się mu obcy. Do Burke'a świat zewnętrzny docierał albo przez Kate, albo wcale.

Nie mógł zapomnieć o tym, jak i kiedy się spotkali. On, de facto, spadł z nieba - rozbił się, spalił i prawie umarł, po to tylko, by jego ciało znalazło się przed jej drzwiami, zaciągnięte przez mężczyznę, który tytułował siebie Pułkownikiem Śmiercią. Jeśli to nie było przeznaczenie, to co?

Poruszył się w fotelu i spojrzał nad głowami pasażerów na monitor wideo, pokazujący obrys samolotu Airbus i trasę przelotu z Ameryki do Europy. Był już zmęczony udawaniem, że czuje się doskonale.

Mimo takiego stanu radował się, widząc, jak Tommy wraca do siebie. Sam też miał swój udział w tym, że Staruszkowi po stracie córki nie pękło serce. Dobrze, że zaczął chodzić do pubu z kolegami. Znowu mieli sporo pracy w biurze, tyle, że aż musieli przyjąć nową sekretarkę. W Irlandii był boom gospodarczy, a skoro Tommy z powrotem stanął na nogi, jego firma znów mogła przynosić dochody.

Burke utrzymywał interes, dopóki Staruszek się nie pozbierał. Ale tak naprawdę do życia pobudziła go wizyta Kate.

- Ona do mnie przyszła - powiedział - w nocy. Stała w nogach mojego łóżka, Kate we własnej osobie, wiesz? „Tatku, powiedziała, nie mogę znieść tego smutku! Rozumiesz mnie? Przez ciebie i Michaela nie mogę zaznać spokoju. Musicie przestać!”. I pocałowała mnie w czoło, a ja złożyłem obietnicę, że zdobędę się na odwagę, aby dalej żyć normalnie. Obiecała, że zawsze będzie przy nas, nawet teraz gdy odeszła. To cała ona, prawda? - zapytał Tommy. - Będzie się nami opiekować?

Burke zrobiłby wszystko, by móc zobaczyć Kate. Nawet jeśli to była tylko iluzja, halucynacja lub zjawia senna, to byłoby to jak wysłanie mu tęczy wprost do serca. Po tej wizji Staruszek wyglądał na uspokojonego, pogodzonego z losem i z całym światem, czego bardzo zazdrościł mu Burke.

- Do mnie nie przyszła - poskarżył się, jakby duch Kate go zdradził. Staruszek uśmiechnął się do niego ciepło i dotknął jego ręki.

- W swoim czasie, Michaelu...

*

Samolot zaczął podchodzić do lądowania. Burke ocknął się z sennego rozmarzenia z poczuciem rozczarowania. Był to jeden z tych, tak rzadkich w Irlandii, krystalicznych, bezchmurnych poranków, kiedy widać było zielone pola schodzące do Morza Irlandzkiego, zaś morze pokrywały białe bałwanki załamujących się fal.

Wolałby, by było ponuro, ciemno i deszczowo. Zamiast tego krajobraz za oknem był jak z widokówki. Gdy samolot wykonywał ostatni zwrot przed lądowaniem, Burke ujrzał pod skrzydłem tuzin jasnych żagli i długi, wijący się ślad kutra rybackiego. Nawet ten widok nie poprawił mu nastroju.

Było po dziewiątej rano, gdy przeszedł przez odprawę paszportową, odebrał z parkingu samochód i wjechał na drogę ekspresową M1 prowadzącą do centrum miasta. Ku swojemu zdziwieniu zauważył, że się uśmiecha. Jednak coś było w tej Irlandii. Może skala tego kraju, może melodyjne głosy w terminalu, może miękkość irlandzkiego akcentu.

Zupełnie nieświadomie, zaczynał się tu czuć jak w domu, w tej plątaninie uliczek i parków tworzących Dublin. Stęsknił się za Staruszką, za rutyną pracy, za budynkami z czerwonej cegły przy Cope Street i za joggingiem wzdłuż przystani obok Liffey. Z pewnym ociąganiem przyznał się do tego, że dobrze było z powrotem wrócić do domu.

Zaparkował z tyłu budynku i wszedł schodami na pierwsze piętro. Dochodziła dziesiąta, gdy stanął przed drzwiami numer dwieście dziesięć tylko po to, by stwierdzić, że są zamknięte i wisi na nich jakaś kartka. Była przyczepiona pineską wprost do drewnianych drzwi, co można było po trosze porównać do przybicia obrazu Vermeera gwoździem do ściany. Drzwi były wykonane z litego drewna dębowego i błyszczały pięknem, a mosiężną tabliczkę codziennie polerowano miękką ściereczką. Staruszek się wścieknie, pomyślał.

Burke oderwał pineskę od drzwi i przeczytał informację. Było to oficjalne zawiadomienie po celtycku i angielsku datowane na dzień po jego wylocie do Stanów na ślub siostry.

ZAMKNIĘTE NA POLECENIE GARDA SIOCHANA (WYDZIAŁ DS. WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ)

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Burke pojechał prosto do Dalkey, gdzie w ogródku odnalazł Staruszkę, przycinającego krzewy różane. Plątanina ciemnych gałęzi leżała na kopczyku u jego stóp.

- To ty, Michael?

- Tak - krótkie objęcie na powitanie. Staruszek wzruszył ramionami. - Wiedziałem, że wróciłeś w tej samej sekundzie, gdybym ci powiedział, ale czy byłoby to uczciwe wobec twojej siostry?

Burke zachnął się. Siostra poradziła sobie bez niego.

- Co się stało?

- Dobra, powiem ci, co się stało - powtórzył Staruszek. - Chmara cip zwała się jak sztorm albo jakby gonili Neda Kelly - Moira spojrzała tylko raz i zemdląła, możesz w to uwierzyć? A ten kłocowaty idiota wychodzi przed szereg i pokazuje mi skórzany portfelik!

Burke był zdziwiony.

- Jaki skórzany portfelik?

- Taki, jak w telewizji. Z odznaką w środku. I okazuje się, że on nawet nie jest Irlandczykiem. Jest jednym z twoich!

- Kto?

- Ten dureń, o którym mówię. Jest Amerykaninem! Ten wygolony baran przyjechał aż z Londynu, a policja tańczyła wokół niego salutując na każde jego pierdnięcie.

- Czego chcieli? - zapytał Burke.

- Miał w dupie jakiegoś robala przez to, że założyłeś jakąś spółkę. Kazałem mu się od nas odpierdolić!

Burke skrzywił się.

- I co on na to?

- Nie był zbyt zadowolony. Jakiś wrażliwiec. Przypomni mi po raz trzeci, że jest jakimś pieprzonym wielkim agentem FBI. Nazywał siebie jakimś Ligatem.

- Legatem.

- Ligat, czy Legat, co to ma za znaczenie! Powiedziałem mu, że może być nawet Władcą Pierścieni. I że jeśli chce spojrzeć w nasze dokumenty, to niech lepiej ma wszystkie papiery w porządku.

- No tak - mruknął Burke. - A o jakiego klienta mu chodziło? Staruszek skrzywił się.

- Twentieth-Century Motor Company. Coś w tym stylu - zrobił pauzę. - Kojarzysz taką firmę? Burke pokręcił głową.

- Nie. - Założył przecież wiele spółek jako Thomas Aherne i Wspólnicy. W większości przypadków nie spędził z klientami więcej niż pół godziny.

- Rejestracja na wyspie Man? - Staruszek starał się mu coś podpowiedzieć. - Bank w Jersey?

Burke wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: „I co jeszcze?”. Ale nagle zapytał:

- Oświadczenie o wstrzymaniu poczty? Staruszek skinął głową.

- I o co jeszcze im chodzi? Normalnie zakładana spółka. Ale ten Jankes spogląda w teczkę z dokumentami...

- Dałeś mu teczkę? - zapytał Burke.

- „Dałem” ją policji. Burke nie mógł w to uwierzyć.

- Byli z wydziału specjalnego - wyjaśniał Tommy. - Mieli nakaz sądowy.

Wzrok Burke'a błędził po nabrzeżu, gdy trawił słowa Staruszka. Poufność danych w teczkach klientów była zawsze wartością absolutną. A to, że Tommy Aherne wydał dane klienta, było bez precedensu.

- No dobrze. Ten Jankes spojrział na nazwisko klienta i, klęnąc się na Jezusa, wściekł się na potęgę. Powiedział, że musieliśmy wiedzieć o tym, że to firma krzak. To jest właśnie słowo, którego użył. Krzak!

- A co to za nazwisko?

- Jakiś pan Francis D. Anconia. Albo coś w tym rodzaju. Widziałem tę teczkę tylko przez moment, bo natychmiast wyrwali mi ją z rąk.

Staruszek poplątał trochę nazwisko tego klienta. Burke teraz wszystko sobie przypomniał. Ten klient pytał go o jego ucho. Mówił po angielsku jak Amerykanin, ale...

- Miał chilijski paszport?

- To ten facet!

Burke zastanowił się. W końcu powiedział:

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ten Amerykaniec był cały wpieniony, jęczał coś o praniu brudnych pieniędzy, terroryzmie...

- Terroryzm?

- Przysięgam na Boga, robił się na twarzy a to różowy, a to czerwony. I jak już myślałem, że trzepnie o ziemię, to wziął na bok tego drugiego, grubego jak dwie bele drewna... Kogo?

- Przedstawił się jako inspektor Doherty. Ten Ligat rozmawiał z nim po cichu. Później ten Doherty podszedł i ogłosił, że zamyka nasz biznes ze względu na „toczące się śledztwo”.

- Jakie śledztwo? - zdziwił się Burke. - Co to wszystko znaczy?

- Że niby to wszystko przez ciebie. Ten grubas mówił, że rozpoczynają śledztwo dotyczące prania brudnych pieniędzy, i że muszą pogadać z panem Michael'em Burke'em, szczególnie, że to twoje nazwisko jest na teście.

Burke jęknął.

- I co potem?

- Potem? Wyrzucili mnie z mojego biura, mojego własnego biura, uwierzysz w to? Biura, które uczciwie służyło szacownym klientom przez...

- Jak się nazywa ten Legat?

- Kovalenko. - Staruszek zdjął rękawiczki i odłożył sekator na ziemię obok różanych krzewów. - Chodź, w domu mam ich wizytówki.

Na marmurowej płycie małego stolika w sieni leżały trzy wizytówki. Pierwsza miała nadrukowane nazwisko - Sean Doherty, inspektor policji, Wydział ds. współpracy międzynarodowej. Druga wizytówka - Ira Monaghan - wydział inspekcji finansowej.

Trzecia wizytówka miała logo FBI, wytłoczonego złotego orła amerykańskiego i nazwisko Raymond Kovalenko, attache prawny. Dalej był adres ambasady amerykańskiej - Grosvenor Square, Londyn.

To co robimy w tej sytuacji? - zastanawiał się Burke.

- Wyrazili nadzieję, że wsiądziesz na miotłę i polecisz z nimi na słodką randkę w ciemno.

Burke nie wahał się. Natychmiast zadzwonił pod numer Doherry'ego. Inspektor kazał mu czekać przy telefonie przez dłuższy czas, a gdy do niego wrócił, zasugerował, żeby Burke Pojawił się u niego następnego dnia po południu.

- Jeśli nie sprawi to panu różnicy, to chciałbym przyjechać natychmiast - zaproponował Burke. Im prędzej wszystko się wyjaśni, tym szybciej będą mogli otworzyć firmę i tym lepiej będzie dla nich.

- Niestety, nam to nie odpowiada - odpowiedział Doherty. - Jutro po południu. To najwcześniejszy termin, w jakim możemy się spotkać. Czy trzecia będzie panu odpowiadała? Na Pearse Street.

- Miałem nadzieję...

- Rozumiem pana oczekiwania, ale niech to zostanie między nami, ten koleś Kovalenko jest strasznie napalony na tego gościa, d'Anconie. Właśnie z nim rozmawiałem, gdy czekał pan na linii i jest strasznie zainteresowany osobistą rozmową z panem. Więc obydwaj musimy poczekać.

*

Następnego dnia Burke wziął paszport (o co go poproszono) i poszedł na komendę policji. Na klapę marynarki przyklejono mu identyfikator gościa i zaprowadzono do małego i zabałaganionego biura inspektora Doherty.

W środku czekało dwóch mężczyzn. Niższy z nich miał jasne włosy i popielatą twarz nałogowego palacza. To był właśnie inspektor Doherty we własnej osobie. Drugim mężczyzną był Ray Kovalenko. Miał powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu, był silnie zbudowany, a regularne rysy twarzy o różowej karnacji uzupełniały usta tak wąskie, jak brzeg damskiej portmonetki.

Kovalenko wskazał na wolne krzesło i wszyscy usiedli. Burke przybrał minę człowieka, który chce pomóc, spoglądając raz na jednego, raz na drugiego, oni jednak nie palili się do rozpoczęcia rozmowy.

Agent FBI wyciągnął z kieszeni małą plastikową buteleczkę Purell i wycisnął z niej odrobinę środka dezynfekującego na opuszki palców. Wtarł żel w dłonie i zaczął studiować stan swoich paznokci. W końcu powiedział:

- Ten pana klient, d'Anconia. Co pan może mi o nim opowiedzieć?

- No dobrze - zaczął Burke. - Miał chilijski paszport.

- Wiemy o tym - rzucił Kovalenko.

Jego bezczelność zaskoczyła Burke'a. Przez moment nie wiedział, jak ma zareagować. Więc zaczął od nowa.

- Tak jak powiedziałem, miał chilijski paszport, ale sądząc akcencie, powiedziałbym, że jest ze

Stanów.

- Więc pan wiedział, że to fałszywe nazwisko? Burke potrząsnął głową. Nie.

Kovalenko unieruchomił go spojrzeniem.

- To nie uważał pan, że jest to dziwne, że facet o nazwisku Francisco d'Anconia wchodzi do pana biura i chce, by mu założyć spółkę Twentieth-Century Motor Company?

- Tak, ta nazwa była trochę anachroniczna - przyznał Burke - ale...

- Tylko mnie nie wkurwiał - ostrzegł Kovalenko.

Burke uniósł obie ręce i spojrzał na inspektora Doherty'ego, mając nadzieję na jakieś wyjaśnienie. Doherty odwrócił wzrok.

Wąskie usta Kovalenki wygięły się w szyderczy uśmiech. Pochylił się do Burke'a.

- A co z panem Krasnalkiem? Taki hipotetyczny mały pan Krasnalek wchodzi do pana biura...

- Albo Święty Mikołaj - wtrącił Doherty.

- No właśnie! Święty Mikołaj wchodzi do pana biura, czy to też pana nic nie obchodzi? - zapytał Kovalenko. - Proszę się zastanowić - dodał, zanim Burke zdążył odpowiedzieć. - Naprawdę chciałbym to wiedzieć.

Burke spojrzał na agenta FBI, na policjanta i z powrotem na agenta. To nie wróży nic dobrego, pomyślał. Kovalenko westchnął.

- Chcę pana o coś spytać - powiedział. - Czyta pan książki? Burke wzruszył ramionami.

- Tak, trochę czytam. Agent FBI ucieszył się.

- A co pan wie o Ayn Rand?

To pytanie zupełnie zbiło Burke'a z tropu.

- Czy ona czasem nie była jakąś wariatką? Kovalenke zamurowało, jakby dostał w pysk. Hmmm... - pomyślał Burke. Zła odpowiedź.

- Eee, ona była jakąś konserwatystką - powiedział. - Tak, chyba sobie coś przypominam, ona była strasznie konserwatywna.

Kovalenko kłapał szczęką w górę i w dół, jakby coś żuł. Na ustach błyszczała mu ślina, ale nic nie powiedział. W końcu pochylił się nad biurkiem, a w oczach miał jad.

- Była najważniejszą pisarką dwudziestego wieku.

- Naprawdę? - Burke chciał wyglądać na zaintrygowanego ale nawet we własnych uszach jego głos zabrzmiał sceptycznie i przebiegle.

- Tak, naprawdę! Napisała małą książeczkę pod tytułem Atlas zbuntowany - warknął Kovalenko.

- Może pan o niej coś słyszał?

Burke nic nie odpowiedział.

- Bohaterem tej książki był niejaki Francisco d'Anconia - brwi Kovalenki zmarszczyły się, a on sam uściślił: - Jednym z bohaterów. Bo było ich wielu.

Burke próbował wyglądać na zafascynowanego. Ale Kovalenko tego nie kupił.

- Hmm, myślę, że w takim razie będę ją musiał przeczytać - powiedział Burke. Czekał. Zegar tykał na ścianie za jego plecami. Z ulicy dochodził odległy hałas cofającej się śmieciarki. Burke chrząknął.

- No to... jak mogę panom pomóc?

Agent FBI spojrzał na policjanta z otwartą gębą, ruszając szczęką. W końcu powiedział:

- Panie Burke, może pan zacząć od tego, że opowie nam pan wszystko o tym pana koleśku, d'Anconii.

- Po pierwsze, to wcale nie jest mój koleś. Widziałem go tylko przez pół godziny - zaczął Burke.

- I koniec. Widzieliście teczkę. Tam jest wszystko.

- Ale ja to chcę usłyszeć od pana.

Burke wzruszył ramionami i wyrecytował wszystkie szczegóły, jakie pamiętał ze spotkania. Facet zadzwonił. Przyjechał. Nawet nie wiedział dokładnie czego chce, ale ludzie się po prostu na tym nie znają.

- Tak, nie znają się - powtórzył Kovalenko.

- Tak. W wielu przypadkach nie mają o niczym pojęcia. Ten facet chciał założyć jakąś spółkę, dyskretne konto bankowe. Więc mu pomogłem.

- Taaa, dyskretne - szyderczo skomentował Kovalenko. - To jeden sposób opowiedzenia tej historii. Ale ja widzę to zupełnie inaczej. Założył mu pan firmę krzak i na dodatek wiedział pan, że nie jest Chilijczykiem..

Paszport wyglądał na oryginalny - przerwał mu Bur - Zdjęcie się zgadzało. A gość wyglądał na Latynosa. A dlaczego przyszedł akurat do firmy Aherne i Wspólnicy? - Powiedział, że zobaczył jakieś ogłoszenie - odpowiedział Burke. - W czasopiśmie „Aer Lingus”.

- Tak. Czyli nic sobie z góry nie planował. Taka decyzja last minute. Burke wykonał gest rękami jakby mówił: „To się zdarza”.

- I nigdy wcześniej pan nie słyszał o tym facecie? - zapytał Kovalenko.

- No nie. On chyba nawet dzwonił z lotniska.

- Dowiemy się, czy wcześniej się kontaktowaliście. Już pana dokładnie sprawdzamy. Mogę to panu obiecać, panie Michaelu Andersonie Burke.

Burke poruszył się. Nawet znają jego drugie imię. Brawo. Kovalenko rozparł się w fotelu i zmarszczył brwi, jakby nagle zaskoczyła go jakaś myśl.

- Dlaczego właściwie pan tu jest? - zapytał. Zanim Burke zdążył odpowiedzieć, uściślił. - Chodzi mi o to, co pan robi w Irlandii? - Sposób, w jaki to powiedział, mógłby sugerować, że Zielona Wyspa leżała gdzieś w cieśninie Hormuz.

- Moja żona była Irlandką - wyjaśnił. Czoło Kovalenki zmarszczyło się z ciekawości:

- Była?

Burki skinął głową.

- Zmarła. Jakieś osiem miesięcy temu. Kovalenko wyglądał na przejętego.

- Na co?

Burke mrugał, zadziwiony tą bezczelnością. W końcu odpowiedział:

- Na sepsę.

Kovalenko nabrał nagle powietrza i z sykiem wypuścił je przez zęby. Nie próbował nawet złożyć skromnych słów wyrażających kondolencje.

- Osem miesięcy temu. A pan nadal tutaj jest. Dla tych z nas, którzy mają podejrzliwe umysły, a mnie wręcz za to płacą, to niezły zbieg okoliczności. Mówi pan, że d'Anconia mówił z amerykańskim akcentem. Jak pan. I znaleźliście się obaj w Irlandii. Pojawia się tak nagle, znikąd, a pan zakłada mu spółkę krzak..

- Chwileczkę - Burke starał się nie tracić cierpliwości.

- To nie była firma krzak. To jest nasza praca. My zakładamy firmy. Tym się właśnie zajmujemy.

- Zajmowaliśmy!

Burke wziął głęboki oddech, lecz nadal się kontrolował.

- Jeśli jest łamane prawo, papiery nie zostały złożone na czas, jeśli przedsięwzięcie ma przestępczy charakter, albo jest to jakieś oszustwo, to odpowiednie władze, irlandzkie władze zajmują się wyjaśnianiem takich spraw - zwrócił się do inspektora Doherty. - Proszę mi coś powiedzieć. Dlaczego FBI chce zaszkodzić irlandzkiej firmie, która prowadzi biznes od trzydziestu lat? Co tu się dzieje?

Policjant wreszcie przemówił: - Współpraca międzynarodowa.

- To, czym zajmujemy się jako kancelaria Aherne i Wspólnicy - wyjaśniał szczegółowo Burke - to zakładanie podmiotów gospodarczych i powiadamianie wszystkich zainteresowanych stron o rocznych rozliczeniach, które należy złożyć oraz o opłatach, które należy wnieść do odpowiednich urzędów...

- To nie wszystko, czym się zajmujecie - wtrącił nachalnie Kovalenko. - Zakładacie też konta bankowe.

- Owszem, to część naszej pracy.

- Konta bankowe w różnych śmiesznych miejscach. St. Helier, Kajmany... Burke potrząsnął głową.

- Nie ma nic śmiesznego w bankach w St. Helier lub na Kajmanach.

Kovalenko wykonał sędziowski gest, jakby chciał zasygnalizować „bezpieczny”. Jego twarz z różowej stała się czerwona, a brwi zmarszczyły się do granic możliwości. Mówił teraz tak, jakby warczał.

- Powiem panu, co jest śmieszne. Wie pan, co jest śmieszne? Pana cycek jest w wyżymacze, to jest śmieszne!

Burke nie wiedział już, czy się śmiać, czy płakać.

- Przepraszam?

- Prowadzę śledztwo w sprawie bezpieczeństwa narodowego - oznajmił agent FBI, porzucając oficjalny ton i uprzejme „pan” - a twoja dupa jest w jego epicentrum. A co, jakbym ci powiedział, że konto bankowe, które założyłeś, otrzymało przelew od agenta Al-Kaidy? Co? Niewiele pieniędzy, na noczątek, ale... Myślę, że to były fundusze na rozpoczęcie czegoś, bo dwa miesiące później przez to samo konto przepływa trzy przecinek sześć miliona dolców. Wpływa i wypływa, wszystko w ciągu czterdziestu ośmiu godzin! - klasnął w dłoń. - Nie do wykrycia. I kto teraz ma tę kasę? I co z nią zrobi?. - Pauza. - Jakież pomysły?

Burke siedział jak wryty. Co miał powiedzieć?

- Panie Kovalenko, daliśmy panu wszystko, co mieliśmy.

Co jeszcze możemy zrobić? Proszę zrozumieć, że z naszego punktu widzenia była to rutynowa procedura założenia spółki. Co miesiąc zakładamy przypuszczalnie kilkanaście takich spółek.

Kovalenko bębnił palcami o blat biurka.

- Nie ma nic rutynowego w działalności terrorystycznej - syknął. Zrobił przerwę dla wzmocnienia wypowiedzi i rozparł się w fotelu. - Proszę opowiedzieć wszystko jeszcze raz, od początku. Ktoś dzwoni do ciebie z lotniska...

Burke musiał opowiedzieć wszystko drugi i potem jeszcze trzeci raz. Doherty wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć z braku papierosa.

- Czy czegoś nie pomijasz? - zapytał agent FBI. Burke zastanowił się chwilę.

- Chyba nie.

Agent przesunął po biurku karteczkę.

Była to notatka z teczki klienta z odręcznym pismem Burke'a. Esplanade Belgrad.

- O tak - powiedział Burke, przypominając sobie. - Jechał do Belgradu na parę tygodni. Esplanade to nazwa hotelu. Tam wysłałem dokumenty.

- Czy nie wydało się panu dziwne, że jest to jedyny adres, jaki ten d'Anconia zostawił w papierach?

Burke pokręcił głową.

Powiedział, że będzie podróżował. I nie chciał otrzymywać żadnej korespondencji oprócz tej informacji o koncie. Więc pożyłem mu teczkę „Poczta wstrzymana”. Wielu naszych klientów...

- No, na pewno!

Burke zaczął tracić cierpliwość. Przekręcił się w fotelu i zapytał Doherty'ego:

- Proszę mi powiedzieć, od kiedy Irlandia jest pięćdziesiątym pierwszym stanem?

Policjant zachichotał.

- Mieliśmy własne problemy z terrorystami, panie Burke. Pewnie czytał pan w gazetach. I po tym straszliwym wydarzeniu w Stanach - mam na myśli World Trade Center, oczywiście - kooperacja w tej kwestii stała się naturalnym stanem rzeczy.

Burke zazgrzytał zębami. Kovalenko chrząknął z pogardą.

- Jest tylko jeden powód, żeby wstrzymać korespondencję: ukrywanie środków finansowych. Nieprawdaż?

- Nie - odpowiedział Burke. - To nie jest prawda. Różni ludzie mają różne powody, aby zachować anonimowość.

- O tak. Zgadzam się - zripostował Kovalenko. - Niektórzy z nich to terroryści, a jeszcze inni to dealerzy narkotyków. Większość z pozostałych chce najprawdopodobniej oszukać Urząd Skarbowy!

Burke pokręcił głową.

- Istnieje wiele powodów, dla których ludzie zakładają konta na wyspach i nie ma w tym niczego złego. Kierują się tylko zdrowym rozsądkiem.

- Powiem ci, co jest zdrowym rozsądkiem - rzucił Kovalenko. - Małe sprawdzenie klienta. Czy kiedykolwiek sprawdziliście klienta?

Burke pokręcił głową.

- To nie wasza sprawa, co? - dociekał Kovalenko.

- To prawda, zupełnie nie nasza.

Kovalenko wydał z siebie jakiś głęboki dźwięk, jakby burczał.

- Wiesz, co? - powiedział - Poprosiliśmy, żeby szefowa policji w Belgradzie odwiedziła hotel Esplanade.

- Dobrze - odrzekł Burke - Zrobiłbym dokładnie tak samo.

- Posłuchaj, nasz pan d'Anconia mieszkał tam przez dwa tygodnie i kiedy wyjechał... dokładnie to napisała. Nikt go od tamtej pory nie widział.

Burke wpadł na pewien pomysł.

- A jego paszport? Przecież w teczce jest jego fotokopia. Czy nie ma tam...

- Adresu kontaktowego w nagłym przypadku? Burke skinął głową.

- Pomyśleliśmy o tym - zapewnił go Kovalenko. - W paszporcie wpisano adres restauracji w Santiago. El Polio Loco. Co znaczy... - zwrócił się do Doherty'ego. - Może nam pan powiedzieć co to znaczy, inspektorze?

- Oczywiście - odpowiedział policjant. - To znaczy:

Zwariowany Kurczak. Jego adres kontaktowy to Zwariowany Kurczak w Santiago, w Chile.

- Podejrzewam, że tego też nie sprawdziłeś - dodał Kovalenko.

- Nie - odpowiedział Burke. - Tego nie sprawdziłem.

- Po prostu wszedł do waszego biura i wyszedł - i to wszystko?

- Coś w tym stylu - odpowiedział Burke.

- I to wszystko, co pamiętasz?

- Zastanowię się - gdy Burke zamknął oczy, by się skoncentrować, poczuł, że jest potwornie zmęczony. Potężnie ziewnął. Próbował zapobiec temu ziewnięciu, ale nie potrafił. Fala zmęczenia spowodowanego zmianą stref czasowych kompletnie nim owładnęła.

Kovalenko spał się.

- Proszę o paszport!

- Słucham?

- Twój paszport.

Burke wyciągnął z kieszeni paszport i podał go.

Kovalenko z trzaskiem otworzył swoją teczkę. Wyjął z niej poduszkę z tuszem i metalowy stempel, zamoczył stempel w poduszce, a następnie przyłożył go z silnym stuknięciem na stronie paszportu ze zdjęciem Burke'a.

Burke'owi zaparło dech w piersiach ze zdziwienia.

- Co robisz?

- Aktualizuję twój paszport - mruknął Kovalenko, sięgając po długopis z kieszeni marynarki. Wpisał datę indosowania i podpisał się. Rzucił paszport w kierunku Burkego, ale tak, żeby do niego nie doleciał.

Burke podniósł paszport z podłogi i otworzył go. Bordowymi „terami na ukos całej strony widniał napis odbity ze stempla:

Ważny tylko na podróż do Stanów Zjednoczonych.

- Chwileczkę - warknął ze złością Burke. - Nie masz prawa tego robić!

- Przecież już to zrobiłem - uśmiechnął się ironicznie Kovalenko.

- Ale dlaczego?

Tym razem na pytanie odpowiedział Doherty.

- Ponieważ chcielibyśmy, żeby był pan w okolicy, jak zacznie się proces. Musi pan złożyć zeznania.

- Jaki proces? - zapytał Burke. Kovalenko uśmiechnął się.

- Republika Irlandii przeciwko Aherne. Burke z niedowierzaniem mrugał oczami.

- Aherne! Od kiedy Tommy ma sprawę w sądzie?

- Otrzymał zawiadomienie jakąś godzinę temu - oświadczył Kovalenko.

- A co zrobił? Jakie są zarzuty?

Znowu odpowiedział Doherty, zupełnie jakby świetnie się bawił.

- Pranie brudnych pieniędzy.

- Czy wy powariowaliście? Tommy nie miał z tym nic wspólnego! Tb przecież ja wypełniłem wszystkie formularze! Moje nazwisko jest na kwitach! Tommy nawet nigdy nie spotkał tego klienta!

Kovalenko wzruszył ramionami.

- Tak, ale jego nazwisko jest na tabliczce na drzwiach. Burke wyprysnął z fotela jakby był na

sprężynach i rzucił się w kierunku agenta FBI. Kovalenko odbił się do tyłu w swoim fotelu, aż kółka zapiszczały po podłodze. Doherty skoczył na plecy Burke'a i zastosował niedźwiedzi chwyt, by odciągnąć go na bok.

Kovalenko wyprostował się w fotelu opierając się o ścianę, ciężko oddychał i rozcierał rękę.

- No świetnie, rzuciłeś się na mnie.

Burke zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

- Taaa - odpowiedział. - Przynajmniej teraz masz o czym myśleć.

ROZDZIAŁ 22

DUBLIN 4 KWIETNIA 2005

Burke nie mógł w to wszystko uwierzyć.

Firma zamknięta, jego paszport unieważniony, Staruszek oskarżony, a wszystko przez tego kutasa Kovalenkę, świrowatego fana Ayn Rand, nienawidzącego firm zarejestrowanych na wyspach. Sugerowanie, że Tommy miał jakikolwiek układ z d'Anconią kimkolwiek ten d'Anconia był, było żalosne. Przecież sam ledwie pamiętał tego gościa. Największy problem stanowiło jednak to, że Kovalenko momentalnie go znienawidził. I tylko tyle.

I aż tyle.

Burke miał jakąś ukrytą zdolność do zniechęcania do siebie ludzi posiadających władzę, takich właśnie jak Kovalenko, którzy obnosili swoją powagę jak medal honorowy. Było coś w postawie Burke'a, w jego podejściu do różnych spraw lub może w jego oczach, że to... to po prostu ich wkurzało. Taka umiejętność, taki dar, byłby może czymś śmiesznym, gdyby nie to, że przez to wiele spraw kończyło się dla niego źle.

Kovalenko dokręcał mu śrubę, bo mógł to oficjalnie robić. A ta sprawa nawet nie znajdzie się w sądzie, jeśli się do niej właściwie podejrze. Burke zrobił wszystko zgodnie z istniejącym prawem, a to kim był klient nie miało żadnego znaczenia.

Niestety, przez jakiś czas firma Aherne i Wspólnicy pozostanie zamknięta, a Staruszek znowu wpadnie w dołek.

Taki Kovalenko uwielbiał zamykać ludzi do klitek i nimi potrząsać - bez względu na to co zrobili, albo czego nie zrobili. To był taki jego sposób demonstrowania swojej władzy Tak jak unieważnienie paszportu Burkego. To było uderzenie poniżej pasa. A takie uderzenia serwowały jedynie małe dupki

*

Dzień po dniu Burke robił wszystko, co tylko było możliwe aby przekonać policję, że popełniono błąd. Dzwonił, pisał, bombardował e-mailami Doherty'ego i Kovlenke. Ale to' wszystko nie przynosiło żadnego rezultatu. Odwoływał się też do poczucia uczciwości inspektora Doherty'ego, ale ten chyba tego w ogóle nie rozumiał. Wypróbował zatem inny motyw: patriotyzm. Sugerował, że irlandzkie władze mogą podejmować różne działania, by bronić irlandzkich firm. I że nie powinny pozwalać obcym mocarstwom wtrącać się w ich wewnętrzne sprawy.

Doherty wysłuchał wszystkich wyjaśnień i pretensji, cały czas kiwając głową, a w końcu wzruszył ramionami i wyznał:

- To już nie leży w mojej gestii.

Problem tkwił w tym, że Staruszek musiał przecież mieć coś do roboty. Przez ponad dwa

tygodnie bezczynności zawodowej, przyciął już wszystkie gałęzie krzewów różnych, nadgonił zaległości w korespondencji, zagrał wszystkie dołki w golfa. W końcu zaczął popadać w dawniejszy zwyczaj upijania się wieczorami w pubie, popłakiwania i wspomniania Kate.

W Stanach FBI kontaktowała się z kumplami Burke'a, z rodziną i z poprzednimi pracodawcami; wypytywali o jego poglądy polityczne, znajomości i podróże zagraniczne. Burke dowiedział się o tym wszystkim, gdy zadzwonił do niego ojciec z gratulacjami, że wreszcie złożył podanie o jakąś posadę rządową.

- Jaką posadę? - zdziwił się Burke.

- Oooooo!?! - wykrzyknął jego ojciec, gdy wreszcie zrozumiał, o co chodzi. A potem dodał po cichu: - Jesteś szpiegiem?

Skoro Ayn Rand i jej Atlas zbuntowany odgrywały taką ważną rolę w świecie Kovalenki, Burke postanowił sprawdzić te hasła w Internecie. Z wyszukiwarki Google wyskoczyło ponad milion trafień. Na samej górze widniał adres witryny sponsorowanej przez Towarzystwo imienia Ayn Rand, zawierający zdjęcia nisarki, drugie fragmenty jej prac, jej przemyślenia i filozofię oraz linki do księgarni internetowej Amazon.com. Krótko mówiąc, Ayn Rand uważała, że skupienie się na sobie jest czymś nie tylko naturalnym, ale jest wręcz świeckim odpowiednikiem łaski uświęcającej.

Było to dosyć ciekawe - szczególnie, gdy nagle zostało się pozbawionym pracy i paszportu. Burke przestudiował szkice biograficzne pisarki, zawierające także jej zeznania przed Senacką Komisją do spraw Działalności Antyamerykańskiej; wczytał się w recenzje jej książek i w objaśnienia ich wątków. Nie była to zwykła strona internetowa pisarki, lecz raczej olbrzymie forum z wieloma tematami i wątkami, z całą biblioteką blogów i długich biografii głównych bohaterów powieści Rand. Była tam nawet platforma randkowa.

Powieść Atlas zbuntowany osiągnęła szczyty list bestsellerów w 1957 roku, osiemnaście lat przed urodzeniem się Mike'a Burke. Badanie przeprowadzone przez Bibliotekę Kongresu i Klub Książka Miesiąca dowodziło, że Atlas zbuntowany jest drugą „najbardziej wpływową” książką w Ameryce - tuż po Biblii.

Zasadniczy wątek powieści krążył wokół kwestii dobra i zła, kapitalizmu i komunizmu, światła i ciemności. Jej akcja była złożona, kwieciście rozwinięta i w zasadzie niekończąca się. Główną bohaterką o niezwykłym imieniu była wspaniała Dagny, która wszelkimi siłami starała się uratować kampanię kolejową przed nieuczciwą konkurencją i manipulacjami skorumpowanych władz. Oprócz tego Dagny poszukiwała Johna Galta, legendarnego wynalazcy silnika zmiennofazowego, który mógł działać dzięki pobieraniu statycznej energii elektrycznej zgromadzonej w atmosferze.

Gdy Dagny walczyła o przetrwanie kampanii kolejowej, zauważyła, że wielu najzdolniejszych dyrektorów generalnych odchodzi w tym czasie z przedsiębiorstw, by spędzać więcej czasu ze swoimi rodzinami (i nagromadzonymi zasobami, dodał w myśli Burke). Byli takimi korporacyjnymi Atlasami, najinteligentniejszymi i najlepszymi zarządcami, a zrzucali z ramion brzemień narzucone im przez społeczeństwo. Efektem tego były strajki kierownictw zakładów. Mieli dość interwencjonizmu Państwowego, przepisów, podatków, korupcji i niekompetencji władzy.

Francisco d'Anconia był biznesowym baronem, który zdobył swój majątek niekoniecznie stosując się do zasad etyki; stał dyskretnie w pierwszej linii tego protestu. Był chilijskim królem miedzi i wolał pozostawić złoża w ziemi niż zgodzić się na rządowe przepisy i regulacje, które umniejszały jego dochody. Jego rozwlekła obrona tej decyzji, opatrzona tytułem Przemowa do pieniędzy Francisca, cytowana była w całości w wielu okolicznościach. Sedno tej przemowy było proste:

„Pieniądze są fundamentem wszelkiego dobra”.

Mowa zawierała jeszcze wiele podobnych takich mądrości.

Pod koniec powieści Dagny rozbija się samolotem w dzikim kanionie przypominającym libertyński raj, gdzie spotyka zbuntowanych Atlasów, którzy uciekli przed światem. Wśród nich jest Francisco d'Anconia i tajemniczy John Galt, wynalazca cudownego silnika. Ojcowie cywilizacji w ukryciu.

To przypomniało Burke'owi bezpardonowe podejście ojca do opieki społecznej, politycznej poprawności i do polityki równych szans (Nie, nie i jeszcze raz nie). W opinii ojca rząd nie powinien brać się za opiekowanie się ludźmi. Mawiał: „Ludzie są leniwi. Mówią, że nie ma pracy. Więc dlaczego ci wszyscy imigranci pracują na dwa etaty i jeszcze oglądają się za trzecim?”.

W rzeczywistości Larry Burke oddałby potrzebującemu własną koszulę. A taki John Galt sprzedałby mu najwyżej filtr przeciwsłoneczny.

Burke skończył czytać o drugiej w nocy. Nic z tego nie rozumiał. Kimkolwiek był ten d'Anconia, to musiał być świrem. Bo kto inny wybrałby czyjaś wymyśloną postać, by pod jej nazwiskiem podróżować po świecie?

Było to oczywiste, że identyfikował się z bohaterem Ayn Rand. Ale po co? I co z tym wszystkim miała wspólnego Al-Kaida?

*

Burke nie wychodził z mieszkania przez prawie dwa dni. Oglądał mecze piłki nożnej, tenisa i niekończące się sprawozdania na kanale BBC o popularności Tonny'ego Blaira w sondażach. Zamawiał dania na wynos z włoskiej restauracji tuż za rogiem, sporo spał, zasypiając przed „pudłem”, jak mówił na telewizor Staruszek i budził się jeszcze bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem. Ignorował dzwoniący telefon, coraz głębiej pograżając się w apatii. Co dalej? Nie miał gdzie się podziać, nie było nic innego do roboty. Lub też nic innego, co potrafiłby robić.

Z otępienia obudziła go wizyta Staruszka. Razem poszli do pubu Pod Słońcem, gdzie usiedli w najciemniejszym kącie, przy starym stoliku, najdalej, jak to tylko było możliwe od elektronicznego pokera. Nie trwało to zbyt długo zanim dotarli do trzeciego dużego kufla piwa.

Źle się czuł pijąc z człowiekiem, który pił za dużo. Z drugiej strony, pomyślał, może to nie był taki zły pomysł. Odrobina biesiadnego zapomnienia.

- Nie wiem, co mam robić - westchnął Burke, nie po raz pierwszy tego wieczoru.

- Gnojki - odpowiedział Staruszek. - Nawet nie wiem, co ci mam powiedzieć - pociągnął długi łyk. - Przedwczoraj spotkałem się z Harriganem.

Burke wyprostował się nagle. Harrigan był prawnikiem firmy.

- I co?

Tommy skinął głową.

- Pozdrawia cię.

- Czy wspomniałeś mu o tej awanturze z Kovalenką i policją?

- Tak, wspomniałem.

- I co powiedział?

Tommy zacisnął usta, a potem cmoknął.

- On mówi, że to może odrobinę kosztować, ale oni nie są w stanie niczego udowodnić przed sądem. Nic a nic. W końcu wygramy.

Burke kiwnął w zamyśleniu głową i dalej sączył piwo.

- A teraz... Będziemy mieli trochę użerania się z nimi. Ale to nie potrwa długo. Burke głęboko nabrał powietrza i walnął kuflem w stół.

- Wiesz co? Jadę do Belgradu! - powiedział to tak głośno, że w sali ludzie obejrżeli się na niego.

- A co chcesz tam robić?

- Tam pojechał ten d'Anconia! Znajdę tego drania i przywiozę go tu! Twarz Staruszka skrzywiła się w karykaturalnym grymasie sceptycyzmu.

- To nie ma najmniejszego sensu. Ten twój głupol już tam był.

- Jaki głupol? Ten Kovalenko?

- No właśnie, ten głupol. Wszystko już sprawdził. Tylko zmarnujesz czas. Burke wzruszył ramionami.

- A może wcale nie...

Po jedenastym września Burke przestał się zachwycać FBI lub CIA. Wszyscy już teraz wiedzieli, że dwóch z porywaczy mieszkało w tym samym wynajętym mieszkaniu, co informator FBI. Z kolei inni byli szkoleni w walce na noże przez byłego komandosa z Deltę na Florydzie. FBI nie sprawdziło komputerów jednego z porywaczy, nawet wtedy, gdy ten przeczesywał Internet w poszukiwaniu możliwości ograniczenia nauki pilotowania jumbo jetów tylko do lotu poziomego (bez konieczności nauki startu i lądowania). Inni porywacze dostali wizy wjazdowe do Stanów Zjednoczonych po tym, jak CIA namierzyła ich na spotkaniu w Kuala Lumpur, gdzie omawiano plany podłożenia bomb na kilkunastu samolotach. Tyle można było przeczytać z gazet. A kto wie, co jeszcze mogło się wydarzyć?

- Myślę, że coś mogło umknąć ich uwadze - oświadczył Burke. Staruszek wzruszył ramionami. I po chwili namysłu powiedział:

- I co? I myślisz, że będziesz podróżował na prawie jazdy? Burke pokręcił głową i opróżnił zawartość swojego kufła.

Sięgnął do kieszeni znoszonej kurtki przeciwdeszczowej i wyciągnął z niej irlandzki paszport.

- Przecież mam podwójne obywatelstwo - odpowiedział. Staruszek zarechotał wesoło.

ROZDZIAŁ 23

BELGRAD 11 KWIETNIA 2005

Wręczając swój dziewiczy irlandzki paszport mężczyźnie za szybką, Burke czuł się niemalże jak terrorysta. Oficer imigracyjny przerzucił strony paszportu z nieukrywaną nudą i oddał go z powrotem, bez zwracania sobie głowy wbijaniem stempla kontroli granicznej. Beztróskim mchem ręki kazał Burke'owi przejść bramkę i skinął na kolejną osobę w kolejce.

Burke poczuł się jak chłopiec, któremu udało się uniknąć jakiejś przykrości, szczególnie, gdy pokonało się machinacje takiego służbisty jak Kovalenko. Dzięki cudowi podwójnego obywatelstwa Burke mógł bezkarnie podróżować jako obywatel Irlandii i Unii Europejskiej.

Erin go bragh, pomyślał, gdy wyszedł na zewnątrz terminalu i ustawił się w kolejce po taksówkę. Po chwili objął się na siedzeniu taksówki marki Zastava. Przedmieścia stolicy Serbii przypominały peryferia innych europejskich miast - przypadkowa mieszanka magazynów i gospodarstw rolnych, budynków biurowych i bloków mieszkalnych. Jadąc w kierunku śródmieścia, Burke oglądał wszędobyłskie graffiti, obce mu litery cyrylicy, a także mnogość swastyk i symboli celowników namalowanych na murach.

Sam Belgrad był dla niego wielką niespodzianką. Nie był pewien, czego się miał spodziewać - może Serbów koczujących w minach po bombardowaniach NATO? Zamiast tego zobaczył dostojne miasto rozłożone nad ujściami dwóch rzek: Sawy i Dunaju. Na ulicach leżał śnieg, ale na drzewach zieleniły się już wiosenne liście. Kierowca taksówki przeprosił nawet za tak kiepską aurę.

- Pokręciła się pogoda tej wiosny. Bardzo zimno. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest to globalne ocieplenie, które miało nadejść?

Przy nabrzeżu rzeki przycumowano mnóstwo barek, na których znajdowały się bary i restauracje. Ludzie wydawali się być dobrze ubrani i zamożni, ulice były czyste. Taksówka przejeżdżała obok eleganckich i pięknych budynków z innej epoki.

I wtedy zobaczył hotel Esplanade.

Był kanciasty i utylitarny, miał kształt betonowego sześcianu pozbawionego elementów wystroju architektonicznego. W środku wyglądał tak samo, jak na zewnątrz: pokój Burke przypominał celę, wewnątrz której unosił się zapach iglastego lasu.

Dlaczego d'Anconia zdecydował się zamieszkać w takim hotelu? Przecież, według tego co powiedział Kovalenko, spodziewał się wpływu trzech lub czterech milionów dolarów. Mając takie pieniądze, można było trochę zaszaleć.

A może właśnie nie? Jego klient nie sprawiał wrażenia człowieka przyzwyczajonego do dysponowania dużym kwotom. Był dobrze ubrany, ale ubrania wyglądały na zupełnie nowe. Burke odniósł wrażenie, że odgrywa on jakąś rolę. Dawało się wyczuć, że jest niewyrobiony kulturowo:

sposób w jaki zapytał o jego ucho i ten komentarz. Może zatem był przyzwyczajony do takich miejsc jak to?

*

Recepcję obsługiwał mężczyzna o nazwisku Vuk Milic, który był mniej więcej w wieku Burke'a. Ubrany w garnitur, koszulę i krawat, miał ułożone żelem włosy i uprzejmy wyraz twarzy. Milic mógłby równie dobrze być recepcjonistą w jakimś sieciowym hotelu w okolicach Waszyngtonu. Nawet jego angielski był niezły, choć z wyraźnym serbskim akcentem.

Gdy opowiadał o cenach za pokój i dobie hotelowej, mówił płynnie i niemal naturalnie. Kiedy jednak rozmowa zeszła na temat jednego z wcześniejszych gości, mężczyznę o nazwisku d'Anconia, Milic skrzywił się.

- Nie mogę ujawniać szczegółów związanych z innymi gośćmi hotelowymi - odpowiedział, pukając palcem w ladę recepcji. - Nie ma takiej możliwości.

Burke wyciągnął dwadzieścia euro i przesunął banknot po ladzie. Milic popatrzył na banknot zimnym wzrokiem.

- Czy życzy pan go sobie rozmienić? Burke pokręcił głową.

- Nie. Nie potrzebuję drobnych. Banknot zniknął.

Milic zaczął wstukiwać coś w komputer. Po chwili uśmiechnął się i powiedział:

- Gospodin d'Anconia był tutaj od dwudziestego czwartego stycznia do drugiego lutego.

- „Gospodin?”

- To znaczy „pan” - odpowiedział Milic i spojrzał na monitor. - Wypożyczył dwa filmy na wideo: La Genou de Claire i Sorority Whores.

- Aha...

Recepcjonista ciągnął dalej:

- Trzy razy był w restauracji. Za każdym razem zamawiał rybę. Wykonał dwie rozmowy zamiejscowe. Pięć razy był w barze na drinku. Pił tylko piwo.

Burke spoglądał na recepcjonistę z niedowierzaniem. Ciekawe, co by się stało, gdyby dał mu setkę? Niestety, żadna z tych informacji nie była przydatna, chociaż...

- A do kogo dzwonił?

Milic spojrzał na monitor i zapisał rzędy cyfr na małej karteczce, którą podał Burke'owi.

- To wszystko - powiedział. - Więcej tu nie ma. Burke wierzył mu. Już odwrócił się, by odejść, ale nagle coś mu się przypomniało.

- Czy wie pan, po co on był w Belgradzie? Miał jakiś biznes do załatwienia?

- Był tu, bo interesuje się Tesla - odpowiedział Milic. - Co to jest Tesla? - pamiętał jak przez mgłę, że może być to nazwa jakiegoś zespołu rockowego. Recepcjonista poczuł się niemalże urażony.

- To Nikola Tesla - odrzekł. - Wynalazca. Był Serbem. Brawo, pomyślał Burke. Więc był tu, aby spotkać się z tym wynalazcą? Milic chrząknął niemalże szyderczo i pokręcił głową.

- Myślę, że nie. Tesla nie żyje już od jakichś pięćdziesięciu lat.

- Aha - entuzjazm Burke'a zaczął się ulatniać.

- Pana przyjaciela...

Burke już chciał to uściślić, ale ugryzł się w język.

- ...był tutaj na spotkaniach. Nie znam właściwego słowa po angielsku. Ale wielu ludzi przyjeżdża na...

- Chodzi może o sympozjum? - zasugerował Burke. Recepcjonista wzruszył ramionami. Zadarł

głowę i spojrzął na Burke'a.

- Pan nic nie wie o Tesli? Burke miał przepraszającą minę.

- Zapomniałem wszystkiego - wyznał szczerze. Milic nie mógł w to uwierzyć.

- Przecież to naj słynniejszy Serb wszech czasów! Jest bardziej znany niż... - spojrzął do góry, jakby na suficie szukał nazwisk słynnych Serbów. W końcu uśmiechnął się. - Bardziej znany od Vlade Divaca!

- Naprawdę?

- Tak! To prawda. Przecież to właśnie on wynalazł elektryczność!

- A ja myślałem, że Edison - oświadczył Burke. Recepcjonista nawet nie krył ironii.

- Wy, Amerykanie, właśnie tak myślicie. Tesla wynalazł jeden rodzaj elektryczności, Edison inny rodzaj, zresztą niezbyt dobry. Potem Tesla wymyślił wiele innych rzeczy. Cały dwudziesty wiek! To jego największy wynalazek!

Burke roześmiał się.

Recepcjonista spojrzął na niego krzywo.

- Pana przyjaciel, on dużo wie o Tesli.

- Naprawdę? - dopytywał się Burke.

- Tak. I on miał przemowę na symfonii.

Burke nie mógł zrozumieć o co mu chodzi. Dopiero po chwili załapał:

- Na sympozjum!

- Tak! Najpierw studiował w Instytucie...

- Jakim Instytucie?

- Czyja mówię do ściany? - wybuchnął Milic, jakby Burke był jakimś studentem niepotrafiącym się skupić. - W Instytucie imienia Tesli! Potem poszedł na symfonię i miał przemowę!

Przeszkadzili im inni goście. Wszyscy chcieli klucze. Ale nie klucze w postaci perforowanej karty dostępu, tylko takie starodawne europejskie klucze przyłączone do metalowego jajka, tak ciężkiego, że rzadko kto chciał je zabierać ze sobą na miasto.

Więc to sympozjum - dopytywał się Burke - gdzie ono się odbywało?

Ale czar przestał działać. Albo wyczerpał się limit dwudziestu euro, albo Milic uznał, że powiedział już wystarczająco dużo. Odwrócił wzrok i zaczął składać na kupkę jakieś kartki papieru.

- Więcej nie wiem - zakończył. - Może w kawiarni ktoś coś wie. - Wzruszał ramionami. - Może Ivo coś wie.

- Kto to jest Ivo?

- Odźwierny. Jutro będzie w pracy.

*

Bar świecił pustkami, nie licząc dwóch kobiet siedzących na wysokich stołkach barowych. Za ladą barn dziewczyna z trądzikiem na twarzy i włosami ułożonymi żelem „na punka” płukała kieliszki i szklanki. Niestety, nie pamiętała nikogo o nazwisku d'Anconia, ani też żadnego innego Amerykanina.

- Pracuję w ciągu dnia - wyjaśniła Burke'owi. - O siódmej przychodzi Tooti. Może ona coś będzie wiedziała.

Burke kiwnął, że spróbuje i spytał się o kawiarenkę internetową w okolicy.

Dziewczyna zapaliła papierosa i dała mu wskazówki, jak tam dojść.

*

Internet to jednak doskonale narzędzie, pomyślał Burke, siedząc w kafejce Sava. Na początku miał tylko nazwisko, a niecałą godzinę później, dzięki wyszukiwarce Google i Wikipedii, wiedział już tyle o Nikoli Tesli, że z powodzeniem mógłby wziąć udział w konkursie wiedzy o tym serbskim naukowcu.

Mimo że był Serbem Tesla urodził się w Chorwacji i był wyjątkowo płodnym wynalazcą, dzięki któremu (jak twierdził recepcjonista) mamy prąd zmienny, cewkę Tesli i wiele innych urządzeń elektrycznych. Opatentował setki urządzeń i był swego rodzaju kultową postacią - zresztą nie tylko w Serbii. Entuzjaści jego geniuszu, nazywając Tesłę „Leonardem dwudziestego wieku”, uważali za niesprawiedliwość dziejową, że nie uhonorowano go Nagrodą Nobla.

Po przyjeździe do Ameryki i okresie współpracy z Edisonem Tesla stał się jego naukowym rywalem, szczególnie gdy wynalazł i udoskonalił prąd zmienny, a nie skupiał się na prądzie stałym, którego zwolennikiem był Edison. Edison, finansowany przez Westinghouse Corporation, rozpoczął kampanię medialną, mającą na celu zdyskredytowanie prądu zmiennego w oczach opinii publicznej jako niebezpiecznego dla zdrowia i życia. W tym celu przeprowadzał publiczne egzekucje kotów, psów, a nawet słoni za pomocą prądu zmiennego, pytając później widzów, czy chcieliby, by ich żony codziennie ryzykowały życiem podłączając do prądu żelazko.

Argumenty Edisona były fałszywe. Prąd zmienny Tesli był nie tylko bezpieczniejszy od prądu stałego, ale też bardziej wydajny i łatwiejszy w przesyłaniu w sieci. W końcu, dzięki wsparciu Johna Pierponta Morgana, bezwzględnego dziewiętnastowiecznego kapitalisty, technologia Tesli zwyciężyła.

To właśnie ten Serb doprowadził prąd i oświetlił miasta wokół Wodospadu Niagara i wygrał przetarg na oświetlenie „Białego Miasteczka” na Wystawie Światowej w Chicago.

W okresie największego powodzenia Tesla mieszkał w Nowym Jorku i był traktowany jako honorowy gość wszelkich spotkań tuzów amerykańskiego złotego wieku rozwoju przemysłu. Uczestniczył w balach wydawanych przez Morganów, Van-derbiltów i Rockefellerów i przyjmował ich w swoim laboratorium na Manhattanie. Był bliskim przyjacielem Marka Twaina i zadziwiał pisarza i jego przyjaciół pokazami eksperymentów na miarę doktora Frankensteina. Twain i inni goście laboratorium z podziwem wpatrywali się Tesłę, stojącego na specjalnym podeście i wręcz „ubranego” w światło. Przystroił laboratorium tubami świetlnymi, które pozornie nie miały żadnego źródła zasilania, przerzucał między rękami ogniste kule, które nie robiły mu krzywdy. Podczas gdy Edison był pucułowatym, marudnym wołem roboczym, noszącym w pracowni podomkę żony. Tesla był wysoki, szczupły i elegancko ubrany, swoje osiągnięcia zaś prezentował zawsze w kamizelce i we fraku.

Jak każdy geniusz Tesla też miał swoje dziwactwa. Mieszkał w hotelu Waldorf-Astoria, gdzie co wieczór jadał kolację w Sab Palmowej. Tuż przed posiłkiem odprawiał codzienny rytuał czyszczenia każdego elementu zastawy lnianymi serwetkami, po zużyciu stosu serwetek i wypolerowaniu każdego sztućca, każdej porcelanowej filiżanki i każdego kieliszka, przystępował do posiłku, ale dopiero po wyliczeniu pojemności każdego naczynia, na którym podawano mu potrawy oraz objętości jedzenia, które miał spożyć.

Burke pomyślał, że Tesla był typowym przykładem maniaka z zespołem natręctw.

Tesla cierpiał na nadwrażliwość zmysłów. Według jego biografów wynalazca miał nadprzyrodzony słuch. Słyszał tykanie zegara w odległych pokojach i uderzenia piorunów w sąsiednich stanach. Był też nadwrażliwy na ciśnienie atmosferyczne. Przechodzenie pod mostem lub

jakimkolwiek tunelem sprawiało mu ból.

Wibracje miasta, przejeżdżające ciężarówki i łoskot szyn kolejowych tak mu dokuczały, że zarówno wszystkie nogi stołów i krzeseł w pracowni, jak i swojego stolika w Sali Palmowej w hotelowej restauracji miał podbite gumowymi podkładkami. Bezpośrednie oddziaływanie światła słonecznego wręcz go przytłaczało, jego wzrok zaś zaburzały świetliste aury i refleksy niewidoczne dla innych ludzi. Liczył każdy wykonany krok, a cały świat wokół siebie organizował z dokładnością do wielokrotności cyfry dziewięć. Reagował agresją na znieawidzone kolczyki z pereł, a perspektywa dotknięcia czyichś włosów wręcz go przerażała. Ale...

To właśnie Telsa, a nie Marconi jako pierwszy opatentował przesyłanie fal radiowych, to Tesla ujarzmił moc Wodospadu Niagara. Przez wiele lat pracował nad przekazywaniem energii na duże odległości metodą radiową i twierdził, że potrafi również pobierać darmową energię elektryczną z fal stojących, rozchodzących się z wnętrza Ziemi.

Zmarł w 1943 roku podczas drugiej wojny światowej szalejącej w najlepsze w Europie. Przed śmiercią mieszkał w skromnych warunkach w hotelu New Yorker na Manhattanie. Według oficjalnych sprawozdań świadkami jego śmierci było dwóch agentów FBI i pielęgniarka. Gdy rodzina wynalazcy przybyła do hotelu, znalazła przewiercone drzwiczki pokojowego sejfu i puste półki. Wkrótce potem wszystkie dokumenty pozostawione przez Teslę zostały przejęte przez Państwowego Kustosza dokumentacji Obcej, mimo iż zakres działania tego kustosza był dyskusyjny, albowiem Tesla już od kilkadziesiątu lat miał obywatelstwo amerykańskie. Dokumentacja, której przewiezienie wymagało wręcz wagonu towarowego, pozostała w otchłani zapomnienia do końca wojny, do czasu, gdy dzięki działaniom wywiadu o kryptonimie „Paperclip” Amerykanie odkryli niemieckie dokumenty świadczące o prowadzeniu badań nad nowymi i przerażającymi rodzajami broni wykonanymi w oparciu o wynalazki i twierdzenia Tesli. W 1945 roku prace Tesli zostały oficjalnie oznaczone jako „Ścisłe Tajne” i przewiezione do bazy wojskowej w Los Alamos.

Osiem lat później bratankowi Tesli udało się odzyskać część ze stu pięćdziesięciu tysięcy kartek dokumentacji i trofeum to stało się znaczącym przyczynkiem do założenia Muzeum Nikoli Tesli w Belgradzie.

Niestety, większość dokumentacji stworzonej przez Teslę (notatki z badań naukowych, dokumentacja doświadczeń i eksperymentów) jest utajniona do dziś. W związku z tym, że Tesla był kultową postacią nauki, wielu naukowców, powołując się na Ustawę o wolności informacji, składało podania o ujawnienie dokumentacji dotyczącej wynalazcy i jego osiągnięć. Wszelkie aplikacje zostały odrzucone. Na jednej ze stron w Internecie jakiś naukowiec wypowiadał się, że gdy pracował w Los Alamos to miał nawet dostęp do dokumentacji bomby wodorowej, ale ani do jednej kartki dokumentacji Tesli.

Co miał wspólnego ten naukowiec, który umarł ponad sześćdziesiąt lat temu z kontem bankowym na Channel Islands? Burke domyślał się, że Tesla był po prostu hobby d'Anconii, które nie miało żadnego związku z niczym i z nikim. D'Anconia równie dobrze mógł interesować się storczykami. Albo UFO. Albo wojną secesyjną.

Tylko że on miał właśnie takie hobby, a nie żadne inne. Interesował się Tesla.

Burke postanowił zrobić sobie przerwę. Wstał i przeciągnął się. Dziewczyna z mnóstwem kolczyków na twarzy i z niebieskimi pasemkami we włosach przyniosła mu mocną i słodką kawę. Para turystów z Izraela obarczona plecakami usiadła przy sąsiednim stoliku.

Burke wrócił do swojego stolika i wpisał w wyszukiwarce Sympozjum Tesla Belgrad 2005.

Wyskoczyły mu dwadzieścia trzy linki, większość z nich w języku, którego nie znał (prawdopodobnie był to serbski). Było też kilka linków do stron po angielsku.

Pierwszy z nich połączył go ze stroną główną Muzeum Nikoli Tesli, które podawało link na stronę sympozjum. Burke zanotował adres muzeum: ulica Brygady Proletariackiej 51. Skorzystał z wirtualnej wycieczki po muzeum: przechodził z sali do sali, oglądając urnę z prochami Tesli, przedmioty osobistego użytku, oryginały patentów i modele jego wynalazków. Muzeum zawierało także archiwum dokumentacji Tesli, którą udało się odzyskać bratankowi Tesli od rządu amerykańskiego.

Burke wrócił na stronę Google z listą odszukanych linków i kliknął na stronę Sympozjum Tesli 2005 w Belgradzie, która prezentowała program spotkania. Przestudiował program, szukając nazwiska d'Anconii.

9:00-9:15 I. Sołowiew Instytut Smoleński Historia patentu nr 454622.

9:15-9:30 D. DiPaolo Uniwersytet w Perugii Oscylacja w iskierniku. Implikacje dla telekomunikacji radiowej.

9:30-9:45 S. Oschle Uniwersytet Goethego, Frankfurt nad Menem Geochronologiczne implikacje rozpadu geomagnetycznego.

9:45-10:15 J. Wilson Uniwersytet Stanforda Incydent tunguski: Obliczenia ciągu wektorowego w łączeniu par skalarnych.

10:15-10:45 James Re Diathermapeutics, Ltd. Berno, Szwajcaria Dług terapii ultrasonograficznych wobec Teslańskich technologii diatermii.

10:45-11:15 S.A.Johnson Politechnika w Rensselaer Elektromagnetyka skalarna a manipulacja pogodą: Sygnał Woodpecker a globalne ocieplenie.

11:15-11:30 E. Grobelar King's College, Londyn Tesla a Marconi - Krótka historia.

11:30-12:00 A. Dobbin Massachusetts Institute of Technology Piorun kulisty, stabilność plazmatyczna i fuzja nuklearna: Raport z postępów badań.

I tak dalej. Przeglądając listę, Burke wypłynął na głębokie morze określeń naukowych: nukleina, intensywność przepływu, ciągu Fouriera, magnetostatyczny potencjał skalarny.

Ale nigdzie nie było żadnego „F. d'Anconia”.

Nic z tego nie rozumiał. W głowie wciąż słyszał wzburzony głos recepcjonisty, że nic nie wie o Tesli. Ale d'Anconia słyszał. „Pana przyjaciel - on przemawia! Na symfonii”.

Wtedy Burke doznał olśnienia, objawiającego się otwarciem ust ze zdziwienia. Przecież nie powinien szukać żadnego d'Anconii, tylko człowieka, który użył tego nazwiska jako pseudonimu, dowcipu, albo jako hołdu wobec jakiejś postaci. Jeśli facet, którego Burke chciał odnaleźć, miał referat podczas sympozjum, to musiał to być jeden z naukowców wymienionych w programie sympozjum.

Burke odchylił się na oparcie i westchnął. Rozpad geomagnetyczny? Broń skalarna? Wcale nie to miał na myśli, gdy przyjechał do Belgradu w poszukiwaniu Francisca d'Anconii.

Wydrukował program sympozjum, wylogował się z komputera, zapłacił za wykorzystany czas i skierował się z powrotem do hotelu Esplanade. Próbował połączyć koniec z końcem.

Jedną rzecz musiał Kovalence przyznać: niektórzy z jego klientów faktycznie mieli szemrane interesy. Burke był prawie pewien, że jeden gość prowadzi salon gier w pokera online. W Stanach jest to proceder nielegalny, ale całkiem legalny w Europie. Podejrzewał, że inny klient produkuje

pirackie kopie oprogramowania Microsoftu. A pewnie kolejnych kilkunastu klientów stosuje „kreatywną księgowość”, żeby uniknąć płacenia podatków.

D’Anconia nie pasował do tej ekipy. A Kovalenko od razu nazwał go terrorystą.

Jeśli d’Anconia był jednym z naukowców z listy, to nie miało żadnego sensu, pomyślał Burke. W jego pojęciu terroryści nie myślą o takich rzeczach jak „ciąg wektorowy” i tym bardziej nie prezentują referatów na sympozjach naukowych.

Po prostu nie i koniec.

ROZDZIAŁ 24

Było ciemno i zimno, gdy Burke wracał do hotelu Esplanade. Śnieg padał, jakby ktoś prószył mąką z nieba. Płatki migotały w świetle ulicznych lamp. W jego stronę zbliżała się kobieta w długim czerwonym płaszczu ochraniającym jej nogi przed chłodem.

Widok tej kobiety sprawił, że przypomniał sobie Kate i zaczął marzyć, by znów znalazła się u jego boku. W taką pogodę objąłby ją i przyciągnął do siebie, by własnym ciałem osłonić ją od wiatru. Prawie czuł jej ciepło i obecność. Gdyby Kate była razem z nim, wziąłby ją do restauracji na barce rzecznej skąd obserwowaliby światła na wodzie i pili czerwone wino.

Marzenie prysnęło jak bańka mydlana.

Skręcił za róg, tuż przed nim był Esplanade. Poszedł wprost do barn. Był późny wieczór, połowa stolików była zajęta, a na każdym paliła się świeczka w czerwonym szkle. Stojaki na mikrofony ustawione na malutkim podeście straszły, że ktoś może grać na żywo. Burke przeczytał w przewodniku, że specjalnością Belgradu było połączenie muzyki techno z ludową muzyką serbską zwane turbo folk.

Bar wyglądał jak jakiś ołtarz voodoo. Długie, niebieskawo połyskujące lustro, obwieszone było lampkami choinkowymi, oświetlającymi zakurzone butelki whisky, ginu i wódki Plastikowe kaktusy zieleniły się wśród miniaturowych chińskich latami, różowych flamingów, papierowych aniołków i plastikowych figurek Marilyn, Jezusa i Elvisa. Barmanka napełniająca kufle piwem spojrzała na niego pytająco.

- Szukam Tooti - powiedział Burke, jakby nie wierząc, że się odezwał.

Kobieta za barem miała ze czterdzieści, a może nawet z pięćdziesiąt lat, przeredzone włosy i niezdrową bladą cerę.

- To ją znalazłeś.

- W styczniu w Esplanade zatrzymał się pewien Amerykanin. Recepcjonista powiedział, że pani mogła go widzieć. Był mniej więcej w moim wieku.

Barmanka uniosła brwi.

- Nosił kapelusz - uzupełnił Burke. - Gdy go spotkałem, miał kapelusz Fedory albo coś w tym stylu.

Uśmiechnęła się.

- On czasem nie jest gejem, ten facet? Burke pokręcił głową.

- Nie. W sumie to nawet nie wiem. Wydęła wargi.

- A co on pana obchodzi?

Burke miał zamiar skłamać, ale już mu się nawet nie chciało. Więc powiedział:

- To trochę skomplikowane, bo... Nazywam się Burke. Przyjechałem z daleka. Spotkała go pani? Przyjrzała mu się przez chwilę i skinęła głową, jakby podejmowała jakąś decyzję. Gdy się

uśmiechnęła, Burke zauważył, że musiała być kiedyś bardzo piękną kobietą.

- Miał na imię Frank, tak? Burke się rozpromienił.

- To pamięta go pani?

- Nie przyjeżdża tu zbyt wielu Amerykanów - wyjaśniła. - Zatrzymują się głównie w Intercontinentalu.

- Napije się pani ze mną drinka? - zaproponował Burke. Położył na ladzie tysiącinarowy banknot. Nalała sobie szklaneczkę johnny walkera black. Wzięła łyżeczek i zmarszczyła brwi.

- Nie jesteś czasem gliną? Burke pokręcił głową. Nie wyglądasz na glinę.

A niby jak wygląda glina? - zapytał.

Wielkie mięśnie i małe świńskie oczka - pochyliła się nad barem. - W zeszłym tygodniu było tu takich dwóch z RDB. Też wypytywali o tego „Franka”.

- A co to jest RDB? Barmanka wywróciła oczami.

- Biuro Ochrony Państwa.

- I co mówili? - dopytywał się Burke.

- A co mnie to obchodzi? I tak nikt im nic nie powiedział.

- Dlaczego nie?

- Te same gnojki były tu dwa miesiące wcześniej. Aresztowali ładne dziewczyny. - Przerwała na chwilę. - Okay - przyznała - może były prostytutkami. Ale nie robiły nikomu kłopotu, nigdy. I dawały dobre napiwki - spojrzała na Burke'a spod oka. - A ty dajesz napiwki?

Burke skinął głową.

- O tak. Zawsze zostawiam napiwki.

- To dobrze! Bo tutaj większość ludzi nie daje napiwków. To вина komunizmu. Burke przytaknął ze współczuciem i położył jeszcze jeden tysiącinarowy banknot na blacie barn.

- Więc - zaczęła Tooti - nikt tym gliniarzom nic nie powiedział.

- Twój angielski jest całkiem niezły...

- Mieszkałam w Chicago przez dwadzieścia lat. Na West Side.

- Naprawdę?! A potem co wróciłaś?

- Mama była bardzo chora - wypła whisky, jakby był to kieliszek tequili.

- Mama wyzdrowiała? - zapytał przez grzeczność Burke. Tooti przechyliła głowę i uśmiechnęła się zdziwiona, że o to zapytał.

- Tak. Już jest jej lepiej. Usunęli guz. - Zrobiła pauzę. - Słuchaj, naprawdę powiem ci wszystko o tym twoim Franku, ale nie oczekuj zbyt wiele, bo w sumie to niewiele wiem.

- Wiesz, że miał na imię Frank. Pokręciła głową.

- Przedstawił się jako Frank. Przyszedł, wypił parę piw i wcale nie był sympatyczny.

- To o czym rozmawialiście? - zapytał Burke.

- Powiedziałam: Cześć. Jestem Tooti. A on odpowiedział: A ja Frank.

- To wszystko?

Tooti skinęła głową. Dinary zniknęły z blatu. Burke poczuł się wystrychnięty na dudka.

- Czy on z kimś rozmawiał? Tooti pokręciła głową.

- Nie. A szkoda. Taki przystojniak. Niektórzy próbowali do niego zagadać, poflirtować - dziewczyny, faceci - ale nie był tym zainteresowany. - Zastanowiła się przez chwilę. - przez większość czasu coś pisał.

- Pisał?

- Miał laptopa - wyjaśniła. - Czasem siedział sobie tam gdzie ty i pisał - zmarszczyła brwi. - Ale nie listy do cioteczki, tylko litery i liczby.

- Masz na myśli...

- Algebra. Myślałam, że może jest jakimś studentem - stuknęła palcem w szklanę i spojrzała pytającym wzrokiem na Burke'a. Kiwnął potakująco głową i nałapała sobie kolejnego drinka.

- I nigdy nic o sobie nie powiedział? Pokręciła głową.

- Nie, tylko raz zatańczył.

- Jak to zatańczył? - dopytywał zdziwiony Burke. Tooti przytaknęła.

- Jednego wieczoru, gdy zespół zrobił sobie przerwę. Było mało ludzi. A ten Frank jakoś się tak naładował, wstał i... zaczął tańczyć.

- Sam?

Tooti zaśmiała się.

- Tak! A ten jego taniec, to nie był żaden twist, no wiesz! To znaczy, to nie był żaden taniec, który się normalnie tańczy! Ten facet, Frank, zaczął sobie mrużyć pod nosem. Obracał się w kółko. Wyglądał jakby płynął w chmurach. Bardzo dostojnie, ale... Nawet długo tak tańczył, może pięć, dziesięć minut. Po chwili cały zespół się na niego gapił. Ja też.

Spojrzała na Burke'a. Wyraz jego twarzy zdradzał, że nie bardzo to wszystko rozumiał. Wzruszyła ramionami.

A gdy skończył tańczyć, dał mi duży napiwek. Powiedział, że wyjeżdża.

- A powiedział dokąd?

Nie - stuknęła palcem w szklaneczkę i wychyliła ją do dna. Burke zbierał się do wyjścia.

- Hej - zaczęła - poczekaj. Jest jeszcze jedna rzecz. On mówił po serbsku.

- No coś ty...

- Tej nocy gdy się upił. Miał okropny akcent. Zapytałam go, czy może jest z NATO, żołnierze czasem łapią po kilka słów. Ale tylko pokręcił głową. Więc pomyślałam, że może ma tu jakichś krewnych. Też nie. Powiedział, że nauczył się serbskiego z podręczników.

- W szkole?

Tooti pokręciła głową.

- Nie. Powiedział, że sam się uczył.

Burke podziękował jej i wrócił do swojego pokoju. Stał przy oknie i wpatrywał się w śnieg. Padało coraz mocniej, tak, że aż zdawało się, że światła przejeżdżających przez mosty pojazdów są jakimiś świetlistymi kulami.

Leżał w łóżku, patrząc na sufit rozbłyskujący od świateł przejeżdżających samochodów. To wszystko było takie dziwne. Nikola Tesla i Ayn Rand, nauka serbskiego i zwariowany taniec.

Westchnął, przewrócił się na bok i zamknął oczy. Za oknem jakiś samochód utknął w śniegu i usiłował mszyć. Nic z tego nie rozumiem, pomyślał.

*

Widząc Burke'a następnego ranka w holu, recepcjonista skinął głową, wskazując na odźwiernego - niskiego mężczyznę w granatowym uniformie ze złotym plecionym sznurem i epoletami.

Burke podszedł do niego i zapytał.

- Ivo?

Odźwierny odwrócił się zdziwiony, że Burke zna jego imię.

- Tak?

- Pan Milic powiedział, że powinienem z panem porozmawiać.

- Słucham.

Burke pomachał ręką recepcjoniście w geście podziękowania.

- Powiedział, że pan mógłby mi pomóc. Szukam mojego przyjaciela - Burke podał mu zwinięte dziesięć euro. - Amerykanin. Zatrzymał się w tym hotelu jakiś czas temu. W moim wieku. Czarne włosy.

To Frank - odpowiedział Ivo i schował banknot do kieszeni.

- Tak, Frank. Czy wie pan co się z nim stało? Wie pan, dokąd wyjechał?

- Oczywiście, pojechał na lotnisko. Bye, bye. - Ivo otworzył i przytrzymał drzwi starszej kobiecie w futrze. Dotknął kapelusza i uśmiechnął się.

- Ale co robił wcześniej? - dopytywał się Burke.

- Tutaj? W Belgradzie? Burke skinął głową. Ivo wzruszył ramionami.

- Codziennie rano zamawiałem dla niego taksówkę. I zawsze jechał w to samo miejsce.

- To znaczy dokąd?

Ivo wzdrygnął się z zimna, stuknął butami dla rozgrzewki i spojrzał w kierunku rzeki. Burke sięgnął głębiej do kieszeni i wyciągnął z niej zwitek banknotów dinarowych.

- To wszystko, co mam - powiedział i wcisnął je odźwiernemu do kieszeni.

- Jeździł do Muzeum Tesli - odpowiedział Ivo. - Więcej nic nie wiem.

*

Burke zapłacił za bilet wstępu blademu mężczyźnie za biurkiem i sięgnął po broszurę w języku angielskim. Już miał mu powiedzieć, że w zasadzie to nie chce oglądać żadnego zbioru pamiątek, ale zdecydował się, że lepiej będzie wyglądało, jeśli jednak najpierw obejrzy ekspozycję.

Zwiedzanie muzeum zajęło mu pół godziny, ale tak naprawdę to mógłby siedzieć tam godzinami. Wiedząc to, co przeczytał już o Tesli, to podziwianie działających modeli wynalazków, fotografii, korespondencji, patentów, szkiców i rzeczy osobistych, było fascynującym przeżyciem. Ten wynalazca był prawdziwym geniuszem. Trudno było uwierzyć, że jego nazwiskiem nie opatrzone żadnego domowego urządzenia elektrycznego.

Wrócił do bladego mężczyzny za biurkiem przy wejściu do Muzeum.

Ktoś mi wspominał, że odbyło się tu sympozjum. Jakiś czas temu.

- Tak.

- Czy jest tu ktoś, z kim mógłbym na ten temat porozmawiać?

- Tak - odpowiedział niemalże szeptem blady mężczyzna. Zostawił na biurku informację na tarczy tekturowego zegara, że wraca za pięć minut, a następnie zaprowadził Burke'a po schodach do góry i przez korytarz do małego biura.

- To pan Dragos lav Novakovic - przedstawił mężczyznę za biurkiem - dyrektor muzeum.

Novakovic uniósł głowę znad biurka.

- Ten pan interesuje się sympozjum naukowym - wyjaśnił blady mężczyzna. Ukłonił się uprzejmie dyrektorowi, odwrócił na pięcie i wyszedł.

Novakovic wskazał Burke'owi sfatygowany fotel. Był wysokim mężczyzną z pieczołowicie przystrzyżoną bródką a la van Dyke, siwiejącymi bokobrodami i rogowymi okularami.

- Proszę spocząć - uśmiechnął się, ukazując złote zęby. - Jestem Drago.

- Mike Burke - uścisnęli sobie dłonie i Burke usiadł. Obok biurka buczał komputer.

- Właśnie defragmentuję twardego dysku - wyjaśnił Novakovic, wskazując na komputer. - To kupa

gówna - proszę wybaczyć to określenie - i trzyma się ostatkiem sił.

Burke uśmiechnął się uprzejmie z wyrazem zrozumienia na twarzy, ale w środku był cały spięty. Nawet nie pomyślał o tym, co powinien powiedzieć. A to był przecież teren d'Anconii. Obaj mówili tym samym naukowym językiem. I do tego d'Anconia wygłosił referat.

Ale Novakovic go uratował.

- Więc interesuje się pan naszym sympozyjum naukowym...

- Właśnie!

- Mamy skróty z referatów, ale niestety, jak to mówicie „wszystko wyprzedane”. Sprzedałem nawet mój osobisty egzemplarz. Ale proszę się nie bać. Drukujemy następne. Będą gotowe za dwa tygodnie.

- Świetnie.

- Mogę panu, oczywiście, przesłać egzemplarz. Ale to oznacza koszty - spojrzał na Burkego z wyrazem przeprosin w oczach. - To chyba jakieś czterysta dinarów razem z opłatą nocztową - o ile nie życzy pan sobie wysłania ekspresem. Wtedy jest to o jakieś sto osiemdziesiąt dinarów więcej.

- Proszę je przesłać ekspresem - zadeklarował Burke, sięgnął do kieszeni po portfel i wyciągnął z niego wizytówkę, podając wizytówkę, szybko przeliczył ile ma pieniędzy i zastanawiał się nad tym, jak zagać dalszą rozmowę.

Novakovic znowu go uprzedził.

W jaki sposób dowiedział się pan o naszym mistrzu?

Burke mrugnął oczami.

- Hmm... - zaczął. I wtedy go natchnęło. - Leciałem do Londynu i zacząłem rozmawiać z jednym Amerykaninem, jak ja. Okazało się, że leci do Belgradu. Powiedział, że będzie wygłaszał referat. Powiedziałem mu, że za miesiąc też wybieram się do Belgradu i wtedy doradził mi, żebym koniecznie zwiedził Muzeum Tesli - Burke uśmiechnął się. - Zapytałem: „A kto to jest ten Tesla?”. A ten facet nie mógł uwierzyć, że nic o nim nie wiem. „To największy wynalazca w historii nauki, powiedział, I o tym właśnie będzie mój referat, który wygłoszę na sympozyjum”.

Novakovic skinął głową, zadowolony.

- No i ten facet - ciągnął Burke - opowiedział mi sporo o Tesli i...

- I teraz jest pan nim zafascynowany! - podsumował Novakovic.

- Właśnie tak! Totalnie zafascynowany!

- No i trafił pan do nas! - wykrzyknął Novakovic. - To wspaniale!

- Kłopot z tym - mówił dalej Burke - że miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś spotkam tego człowieka, ale... zgubiłem jego wizytówkę.

Novakovic ściągnął ze współczuciem usta, ale po chwili jego twarz rozjaśniła się.

- To nie będzie trudne! - stwierdził. - Niewielu Amerykanów przemawia na sympozyjum, więc... - spojrzał na monitor komputera. - Jeśli pan pozwoli - defragmentacja prawie zakończona. Zaraz wyciągnę z niego listę uczestników.

- To byłoby wspaniale - przyznał Burke. Novakovic złączył koniuszki palców obu dłoni, tworząc z nich piramidę.

- A co sprowadza pana do Belgradu?

- Jestem fotografem - odparł Burke. - Robię zdjęcia dla czasopisma „Travel and Leisure”.

- Tutaj? W Belgradzie? - zdziwił się Novakovic. Burke skinął głową.

- Przecież nazywają go Nową Pragą. Novakovic zachichotał.

- Dwa lata temu to Budapeszt był „Nową Pragę”, a teraz przyszła kolej na nas. A w przyszłym roku - wyrzucił ręce w górę - może to będzie Skopje! A potem? Któż to wie - może Tbilisi! - zaśmiał się wesoło Serb.

- To bardzo ładne miasto - wyznał Burke, któremu kończyły się pomysły na podtrzymanie rozmowy.

- O tak. Ale gotujemy na benzynie! O, możemy już zacząć szukać! - i dyrektor muzeum pochylił się nad klawiaturą i zaczął coś wpisywać. - Zaraz będziemy mieli listę uczestników i znajdziemy pańskiego przyjaciela - po chwili uderzył w klawisz enter i drukarka wypuła kartkę z wydrukowaną listą uczestników. Novakovic wziął do ręki długopis i odhaczył ptaszkami kilka nazwisk.

- Proszę, oto Amerykanie - oświadczył i podał listę Burke'owi.

Johnson Dobkin Wilson Para

Federman Schrager

Burke studiował nazwiska przez chwilę, po czym położył listę na biurku. Wzruszył ramionami.

- Nie rozpoznaje pan nazwiska? - zapytał Novakovic.

- Nie - odpowiedział - Jedno lub dwa coś mi przypomina, ale... to raczej młody facet. Tym razem Novakovic wzruszył ramionami.

- Dobkin i Schrager to starsi mężczyźni - nagle urwał. Wyglądał jakby przyszła mu do głowy jakaś myśl. - Nie, nie, nie poddaję się! - Wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je, wychylił głowę na korytarz i zaczął coś szybko mówić w języku, z którego Burke nie rozumiał ani słowa. Następnie wrócił za biurko i usiadł, uśmiechając się. - To jest właśnie moja pasja - łączyć fascynatów Tesli z całego świata. To misja naszego Międzynarodowego

Towarzystwa Miłośników Tesli! - jeszcze raz połączył czubki palców w piramidę i rozparł się w fotelu.

Po upływie minuty rozległo się pukanie do drzwi. Weszła młoda kobieta z szarą kopertą z papieru pakowego. Podała kopertę Novakovicowi, uśmiechnęła się do Burke'a i wyszła.

Dyrektor muzeum otworzył kopertę i wyciągnął z niej plik czarno-białych fotografii.

- To z bankiem. Nie wiem, czy pana przyjaciel się na nim pojawił, ale zobaczymy - podał zdjęcia Burke'owi.

Burke przejrzał kilka fotografii, zanim znalazł to właściwe, na którym był d'Anconia z drinkiem w ręku, zajęty rozmową z kilkoma innymi dżentelmenami.

- To on! - wykrzyknął Burke, wskazując na przystojnego mężczyznę, którego poznał w swoim biurze w Dublinie.

Novakovic pochylił się, by obejrzeć zdjęcie.

- Który? Ten? Ależ to Jack! Jack Wilson!

- No właśnie! - powiedział Burke. - Jack Wilson.

- Mówię panu, to była olbrzymia przyjemność poznać tego człowieka. Korespondowaliśmy ze sobą od lat. Aż w końcu się spotkaliśmy. To było jak spotkanie starego dobrego przyjaciela.

- To świetnie - odpowiedział Burke. - Ale czy wie pan, jak mogę się z nim skontaktować?

- Oczywiście! - błysnął odpowiedzią dyrektor muzeum. - Mam tu wszystko w komputerze. - Kliknął w kilka klawiszy i zachmurzył się. - Niestety, nie mam numeru telefonu. Ale mam adres e-mailowy! I pocztowy też! - aż pokiwał głową z zadowolenia. - Jack Wilson! - dmkarka zaczęła szumieć i po chwili Novakovic wręczył Burke'owi wydruk z adresem.

- Czy to jego aktualny adres? - zapytał Burke.

- Tak, oczywiście! Zawsze ten sam. Pisujemy do siebie od wielu lat. Czy sądzi pan, że wrócił do Pensylwanii?

Novakovic wzruszył ramionami.

- Może już tak. Ale stąd, z Belgradu, pojechał nad jezioro Bied.

- Czy to jest gdzieś w okolicy?

- Nie, nie. To w Słowenii. Przepiękne miejsce! Góry, stare pensjonaty... - Zwinął palce w garść i pocałował je. - Tito miał tam swoją willę.

- I sądzi pan, że Wilson nadal może tam być? Mina Novakovica wyrażała zakłopotanie.

- Nie, nie, nie! On pojechał tylko obejrzyć notatniki. Na parę dni, może na tydzień. Nie na miesiąc.

- Notatniki?

- Bardzo szczególne notatniki - odpowiedział Novakovic. - Wszystkie pisma Tesli, o których wiemy, mamy tutaj. W muzeum. Ale nie te ściśle tajne. Te zabrało FBI. Już dawno temu. Wysłali je pociągiem do Los Alamos. Tam, gdzie produkują bomby, no wie pan? Ale Luka Ceplak ma notatniki swego ojca. Jego ojciec codziennie wszystko notował. „Mistrz zrobił to, Mistrz zrobił tamto” - przez trzydzieści lat. Widziałem je na własne oczy. Na marginesach widnieją nawet dopiski samego Tesli. To właśnie te notatniki chciał obejrzyć Jack Wilson.

Burke skinął głową, ale musiał wyglądać na zaniepokojonego, bo Novakovic kontynuował opowiadanie.

- Ojciec Luki, Yuri Ceplak, był laborantem pracującym wraz z Tesla w Nowym Jorku, później w Colorado Springs, a potem znowu w Nowym Jorku. Zapisał setki notatników! I teraz są one w rękach Luki. Ale czy nam je przekaże? Nie! To uparty, stary człowiek. I samotny. Dzięki temu, że ma te notatniki, to przynajmniej ktoś go odwiedza. A czasem nawet przynoszą mu prezenty.

- Jakie prezenty?

- Wódkę - odpowiedział Novakovic i zmarszczył brwi. - Wie pan? Ci z FBI to kłamią o naszym mistrzu. Mówią, że on nie sporządzał żadnych notatek i że trzymał wszystko tylko w swojej głowie, że nie robił żadnych modeli i nie prowadził eksperymentów metodą naukową. A to wszystko jest... - uśmiechnął się i machnął ręką w powietrzu, szukając właściwego słowa - ...gówno prawda.

Burke zaśmiał się.

- A ten facet, Ceplak...

- Yuri czuł, że zbliża się wojna i wrócił do domu.

- Mówi pan o drugiej wojnie światowej?

Oczywiście. O tej wojnie. Więc Yuri przywozi notatniki ze sobą. Wojna się kończy. I zaczyna się zimna wojna. Podczas zimnej wojny notatniki pozostają na miejscu.

- Po prostu zostały z jego synem - rzucił Burke.

- Nie. Luka jedzie do Australii. Notatniki zostają tutaj. Luka jest fizykiem na uniwersytecie, chyba w Perth. Wraca do domu dopiero po śmierci ojca. W sześćdziesiątym, może w okolicach sześćdziesiątego piątego roku. Jakoś tak.

- A co potem?

- Wykłada w Zagrzebiu. Ale to było tak dawno temu. Chyba nie uczy już nikogo od dziesięciu lat. Więc może będziemy mieli inną historię.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Burke.

- Mam nadzieję, że Luka podaruje nam wreszcie te notatniki. Poprosiłem Jacka Wilsona, by z nim o tym porozmawiał. Ale pewnie Luka cieszy się z tych wizyt zainteresowanych naukowców. Przyjeżdżają obejrzyć notatniki, zabierają go na obiad, mówią: „A ty Luka to, a ty Luka tamto...”, - dyrektor zamachał rękami, jakby nie mógł nic poradzić na taki przebieg historii.

Gdy Burke poprosił o jego adres, Novakovic sprawdził posiadane informacje i napisał adres na tej samej kartce, na której był adres Jacka Wilsona.

- To bardzo miłe z pana strony - podziękował Burke i wstał.

- Nie ma sprawy. Czy życzy pan sobie, bym mu wysłał streszczenia referatu Wilsona? Ten materiał jest bardzo interesujący, wie pan?

- Naprawdę?

- Tak myślę - odpowiedział Novakovic. - Ale muszę przyznać, że nie zgadzam się z tym. Myślę, że mistrz też by się nie zgodził. Tesla był bardzo przybity incydem tunguskim. I jeszcze to całe gadanie o jakiejś broni... Nie. Nie podoba mi się to.

Burke zmarszczył brwi. Szukał w pamięci, co to jest ten „tunguski”. Czy właśnie o tym był jego referat? Novakovic skinął głową.

- Tak. On mówił o Armacie Tesli - widząc zdziwienie Burke'a, Novakovic uśmiechnął się i wyjaśnił: - Broń emitująca strumień cząsteczek. No, wie pan - wykonał gest, zaciskając palce w pięści, a potem je rozprostowując, jakby obrazował wybuch. - Puffff... i nie ma!

- To możliwe?

- Tak! Obliczenia Jacka przedstawione w referacie poprawiają wartości wektorów własnych, by można było osiągnąć większą dokładność skupienia.

Burke nie miał pojęcia o czym mówi dyrektor muzeum. To wszystko stawało się coraz dziwniejsze. Armata Tesli? Dlaczego nie? Scotty, wciągnij mnie na pokład! Podziękował

Novakovicowi za pomoc, pożegnał się, i zszedł po schodach do holu, potem na ulicę. Najważniejsze, że dostał to, po co przyszedł: prawdziwe nazwisko d'Anconii i jego adres. Przekáže te informacje Kovalence i koniec historii.

Jego radość wygasła w kafejce internetowej obok hotelu. E-mail, który wysyłał do Wilsona ze słowem „Tesla” w tytule, natychmiast wracał. Sprawdził jeszcze raz poprawność adresu otrzymanego od Novakovica, ale nie było żadnego błędu. Ani Wilsona.

Google też w niczym nie pomogło. Wyszukiwarka znalazła dwadzieścia milionów trafień do hasła „Jack Wilson”, co, jak zdał sobie z tego sprawę Burke, było do przewidzenia. Ale nawet... Przeszedł przez pierwszych kilka trafień i zauważył, że większość z nich dotyczyła sklepu sportowego z akcesoriami drużyny Pittsburgh Pirates, rzemieślnika produkującego spławiki i muchy do łowienia ryb oraz do jakiegoś Indianina, który zmarł w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Westchnął.

Gdyby musiał, przejrzałby wszystkie trafienia, ale nie był to raczej obiecujący sposób. Kliknął na „Szukanie zaawansowane” i wpisał „Jack Wilson” i „Nikola Tesla”. Lista trafień zawierała już strony, z którymi zapoznał się poprzedniego dnia - listę mówców na Sympozjum Tesli 2005, gdzie zamieszczono nazwisko i tytuł referatu: J. Wilson/Stanford University/Incydent Tunguski: Obliczanie ciągu wektorowego par skalarnych. Jest poszukiwany przez niego „tunguski”!

Bingo!

Burke spojrział na ekran. Stanford.

Jeśli to była prawda, to wiedza o Alma Mater Wilsona będzie przydatna. Na pewno istnieją bazy danych, z których będzie można skorzystać - a prędzej nawet uda się to jego siostrze. (Meg była

geniuszem, jeśli chodzi o wyszukiwanie danych). Społeczności studenckie Stanfordu, zapisy na egzaminy wstępne i spisy absolwentów, karty biblioteczne - może nawet znajdzie opublikowaną pracę magisterską albo doktorat Wilsona, jeśli wstąpił na studia doktoranckie. Musiał chyba zdobyć tak szeroką wiedzę. Skąd wzięłyby się te ciągi wektorów albo pary skalarne? Za samo wpisywanie tych określeń w wyszukiwarkę powinienem dostać Nagrodę Nobla, zażartował w myśli Burke.

Jego siostra Meg pracowała w firmie prawniczej zajmującej się ochroną środowiska naturalnego w Charlottesville i doskonale radziła sobie z Internetem. Ich ojciec był zaskoczony jej umiejętnościami znajdowania informacji o czymś lub o kimś. Żartował nawet sobie, że gdyby przeszła na ciemną stronę mocy, to byłaby świetnym złodziejem cudzych tożsamości.

Szukanie Jacka Wilsona przez Stanford zabrałoby jednak sporo czasu nawet Meg. Burke nie wiedział nawet, kiedy Wilson studiował i czy w ogóle tam studiował. Albo czy w ogóle ukończył tam studia. Albo jaki miał tytuł - jeśli go w ogóle miał. I co studiował. Fizykę? Matematykę? Science fiction? Stanford to wielki uniwersytet. A nazwisko „Wilson” to nie „Heimerdinger”.

Przypomniał sobie o karteczce wielkości wizytówki, którą dał mu recepcjonista. Wyjął ją z kieszeni i znalazł dwa numery. W Internecie nie udało się odnaleźć żadnej witryny informacyjnej, która podawałaby nazwę kraju po wpisaniu numeru telefonu. Burke wpisał po prostu w wyszukiwarkę Google: 386 kierunkowy kraju i od razu dowiedział się, że pierwszą rozmowę międzynarodową z hotelu Wilson przeprowadził z abonentem w Słowenii. To był prawdopodobnie numer telefonu Luki Ceplaka w Bied. Drugą rozmowę odbył z Ukrainą.

Następnym portalem odwiedzionym przez Burkego był any-who.com. Gdy się wyświetlił, wprowadził do wyszukiwarki teleadresowej nazwisko Jack Wilson i miejscowość White Deer. Żadnego rezultatu. Spróbował John Deer i też nic. Jeszcze raz i znowu nic. Adres e-mailowy Wilsona był zmyślony, a adres Poczty też niewiele lepszy.

Burke zaczął się załamywać. Może nazwisko Jack Wilson też było tylko pseudonimem. Może Jack Wilson był tylko postacią z powieści Ayn Rand Źródło! W takim przypadku mógł chyba już zapomnieć o powtórnym otwarciu działalności firmy Aherne i Wspólnicy. Spróbował jeszcze raz. Samo nazwisko „Wilson”. Może ten facet ma tam rodziców. Może żonę, albo kuzyna... Tym razem trafił. Erica Wilson. To pewnie jakaś mała miejscowość, pomyślał. Tylko jedno nazwisko Wilson.

Sprawdził tę miejscowość. White Deer faktycznie było niewielkie i miało zaledwie trzystu sześćdziesięciu dwóch mieszkańców. Ale jakie było prawdopodobieństwo, że Jack i Erica, jedyni Wilsonowie w White Deer, są spokrewnieni?

Rozmowa z Esplanade kosztowałaby jednego dolara za minutę, więc Burke kupił kartę telefoniczną i udał się do budki telefonicznej nad rzeką. Stał w plastikowej bańce, która kiepsko chroniła przed zimnym wiatrem i zastanawiał się, jak stąd, do licha, dzwoni się za granicę. Wskazówki napisane cyrylicą też za bardzo mu nie pomogły. Cztery razy wykręcał numer, aż palce zupełnie zgrabiały mu od mrozu.

- Halo... - odezwał się w słuchawce zawodzący głos. To pewnie ta starsza kobieta, pomyślał Burke.

- Witam! - krzyknął do słuchawki Burke - Chciałbym rozmawiać z Jackiem!
- Z Jackiem? Chyba ma pan zły numer!
- Chwileczkę - poprosił Burke. - Dzwonię z budki telefonicznej w Belgradzie.
- Szczęściarzu z pana. Ja wprost uwielbiam Maine. Burke wziął głęboki oddech.
- Proszę posłuchać - powiedział. - Próbuję skontaktować się z mężczyzną o nazwisku Jack Wilson. Pani nazwisko znalazłem w Internecie. Jest pani jedynym „Wilsonem” w White Deer, więc może zna pani kogoś o nazwisku Jack Wilson?

- Była Hazel Wilson na Elm Street. Ale umarła jakieś cztery lata temu, może pięć.
- Nawet mam jego adres - powiedział Burke.
- No to brawo!
- Raczej nie. To tylko numer skrzynki pocztowej.
- Aha - w jej głosie można było wyczuć pewną ostrożność.
- Przepraszam? - nalegał na wyjaśnienia Burke.
- Niech pomyślę... czy numer tej skrzynki pocztowej to dwa tysiące? Burke rozgiął kartkę, którą dostał od Novakovica.
- No tak.
- No to pana problem się rozwiązał tu na miejscu. Jeśli skrzynka pocztowa ma numer dwa tysiące, to jest to więzienie. Wszyscy więźniowie dostają swoją pocztę na tę skrzynkę.
- Burke nie wiedział, co powiedzieć.
- Więzienie? - powtórzył z niedowierzaniem.
- Nazywają to oficjalnie federalną instytucją poprawczą. Ale większość mieszkańców nazwa to miejsce po prostu Allen-wood.

ROZDZIAŁ 25

ODESSA, UKRAINA 12 KWIETNIA 2005

Jakaś nieco otyła kobieta w tak obcisłych legginsach, że wyglądała jakby była w uprzęży, stała za barierką. Uśmiechała się uroczo, trzymając na powitanie ręcznie wypisany transparent: ZAKOCHANI TURYSŃCI.

Jack Wilson dołączył do mężczyzn, którzy zbierali się wokół niej - nerwowo zachowujących się facetów, żartujących zbyt nachalnie i unikających kontaktu wzrokowego. Próbował ich rozpoznać już na pokładzie samolotu z Nowego Jorku i udało mu się wyłuskać wszystkich oprócz jednego. Praktycznie cała grupa złożona była z mężczyzn objawiających rozmaite fizyczne lub społeczne braki (brzydka cera, otyłość, przenikliwy chichot, jękanie się), których można się było spodziewać po klientach Madame Puletskiej - internetowej swatki. Każdy z nich chciał po prostu kupić sobie żonę i był gotów zapłacić za dostawę i transport.

Wilson wyróżniał się spośród nich. Po pierwsze, był podejrzanie przystojny. I choć nie był z kobietą od wielu lat, to przed skazaniem i uwięzieniem kobiety wręcz do niego lgnęły.

Jego wyrzeźbiona sylwetka i ciemniejsza karnacja skóry sprawiały, że w młodości jego ubogi status był pociągający, jego pordzewiałe samochody pachniały przygodą, a doskonała znajomość matematyki i fizyki (co mogło być wręcz oznaką kujoństwa) sprawiała, że wydawał się jeszcze bardziej interesujący. Dzięki Mandy miał maniery kowboja na poziomie Sundance Kida, z wszelkimi uprzejmościami i uniżonościami - proszę pani, proszę pana. Gdy podawał rękę, ścisnął serdecznie dłoń, patrzył prosto w oczy i nie przeproszał za to, że żyje. Sharon, jego dziewczyna z czasów studiów, wprowadziła go w tajniki posługiwania się olbrzymią zastawą stołową, przekazała znajomość gatunków win i sposoby witania szanowanych gości. Można powiedzieć, że oszlifowała naturalny diament.

Wilson przyglądał się swoim towarzyszom podróży. Wyglądali raczej pospolicie. Cynik mógłby orzec, że znaleźli się tutaj tylko po to, żeby coś bzyknąć, ale tak naprawdę nie o to im chodziło. Istniały przecież znacznie łatwiejsze i tańsze sposoby osiągnięcia satysfakcji seksualnej. Ci mężczyźni przylecieli na drugą półkulę, by poddać się rygorowi wyreżyserowanych zalotów. Dlaczego? Wilson domyślał się, że mieli podobne powody zdania się na internetową swatkę, jak on sam. Tak jak on wiedzieli czego chcą, ale - czy to przez nieśmiałość, czy niecierpliwość - nie mieli ochoty zdobywać tego w tradycyjny sposób. Podczas lotu rozmawiał z dwoma klientami Madame Puletskiej. Jednym z nich był pięćdziesięcioczworoletni biznesmen, właściciel tartaku w stanie Michigan, stary kawaler. Uważał, że „teraz albo nigdy”. Drugim był młodszy mężczyzna cierpiący na chorobę, której nazwy nie chciał zdradzić, wspominał tylko, że jest śmiertelna.

- Tak naprawdę - powiedział - to chcę mieć potomka. Kogoś, kto będzie nosił moje nazwisko.

Żeby nikt nie powiedział, że niczego lub nikogo po sobie nie pozostawiłem.

Wilson miał podobne dylematy, jak ci mężczyźni. Nie miał czasu ani cierpliwości na randki i zaloty. Wypełnienie kwestionariusza Madame P. w zupełności mu wystarczało, a zaaranżowana randka nie wymagała ani myślenia, ani planowania, ani żadnego wysiłku.

1. Kwiaty
2. Listy
3. Czekoladki
4. Bielizna
5. Rozmowy telefoniczne
6. Spotkanie
7. Ślub

Zdawał sobie sprawę z tego, że „ukraińskie narzeczone” nie byłyby tak łatwe do zdobycia, nie zamieszczałyby swoich zdjęć w Internecie i nie chciałyby opuścić swoich rodzin, gdyby nie pragnęły tak desperacko uciec od beznadziejnej przyszłości. Zatem piękne i wykształcone kobiety, takie jak Irina, były, o ile nie wprost na sprzedaż, to przynajmniej wystawione w ofercie. Oczywiście, że nie dla byle kogo. One też miały prawo odrzucić kawalera. Wilson pomyślał, że jakby przyszło co do czego, to Irina prawdopodobnie zaakceptowałaby każdego z mężczyzn stojących wokół budzącej respekt Madame Puletskiej.

Jeśli chodzi o Irinę i jej wygląd, to, hmm, wszystko miała w porządku. A nawet więcej, bo jak już znajdzie się w Nevadzie, to będzie w obcym kraju, tysiące kilometrów od rodzinnego domu. A to tylko inny sposób na stwierdzenie tego, że będzie całkowicie zależna od swojego męża, bez przyjaciół. Nie będzie miała się do kogo zwrócić, jeśli ze związku wyszłoby coś nie tak.

Będzie tylko jego. Na własność.

- Och, pan Wilson! - wystękała Madame R, chwytając go za ramię. - Od razu pana rozpoznałam!

Wilson rozejrział się.

- Czy poznała mnie pani po nazwisku na identyfikatorze? - powiedział z kamienną twarzą, wskazując na przyczepioną do kurtki przywieszkę z czerwoną ramką i słowem Hello.

Madame Puletskaja przez moment wyglądała na przerażoną dopóki nie zorientowała się, że to dowcip. Wtedy wybuchnęła perlistym, prawie dziewczęcym śmiechem.

- Ojej - szturchnęła go zalotnie w ramię - jaki wesołek! I wygląda jeszcze przystojniej niż na zdjęciu. Serio!

Wilson pokręcił głową, udając skromność. Madame P. policzyła zebranych i sprawnie zamieniła tabliczkę powitalną na podkładkę do pisania z papierem, którą wyciągnęła z przepastnej czerwonej torby na ramię. Skrupulatnie odhaczyła wszystkie nazwiska, odczytując je z identyfikatorów zgromadzonych mężczyzn.

- Są wszyscy! - oświadczyła z entuzjazmem i poprowadziła ich do wyjścia z terminalu. - A teraz do vana! Wszyscy przeszli przez automatycznie drzwi, ciągnąc za sobą walizy na kółkach.

- Jesteśmy jak stado owieczek - mruknął któryś z nich.

- Beee - zabeczał Wilson.

Wszyscy wybuchnęli nieco nerwowym śmiechem. Zupełnie jakby była to jedna z najśmieszniejszych rzeczy, jakie usłyszeli w życiu.

Mocno zbudowany mężczyzna ubrany w koszulkę FUBU, zapakował walizki do bagażnika vana i zaczął rozmawiać przez komórkę. Madame P. próbowała otworzyć rozsuwane drzwi samochodu.

Wilson mszył z pomocą, za co zarobił na kolejny wybuch zachwyty.

- I do tego taki pan silny! - stwierdziła. Wilson przewrócił oczami.

- Większość z nas zna się trochę na minivanach - znowu śmiech. O Jezu, pomyślał Wilson, robi ze mnie jakiegoś supermana!

- No dobrze, jesteśmy w komplecie, więc jedziemy - nagle Madame P. zaczęła się spieszyć. Wrzuciła podkładkę z notatkami do torby i odwracając się do pasażerów vana odezwała się z uśmiechem. - Z pewnością jesteście panowie bardzo zmęczeni i przydałaby się wam mała drzemka i odświeżenie przed popołudniową herbatką z paniami. A to już o drugiej! - podniosła palec wskazujący i pogroziła nim z uśmiechem. - Tylko się nie spóźnijcie!

By złagodzić dość komercyjny aspekt procesu swatania, wszystko było przeprowadzone z nieco śmieszną poprawnością. Po miesiącach obowiązkowej wymiany listów, przesyłania kwiatów i czekoladek, nadszedł wreszcie czas na spędzenie kilku godzin na randce pod okiem przyzwoitki. Następnego dnia odbędzie się „romantyczna wyprawa”, i po niej zaś wieczorny dancing z kolacją.

„Zakochani turyści” zostali zameldowani w hotelu drugiej kategorii przy ruchliwej i głośnej ulicy niedaleko Prospektu Deribasovskaya. Madame P. dała im trzy godziny i nalegała, by zsynchronizować zegarki. Poczuli się jak na obozie skautowskim.

*

Ich panie czekały o wyznaczonej godzinie w nieco podniszczonej sali śniadaniowej hotelu, gdzie miało być serwowane coś w rodzaju podwieczorku z przekąskami. Irina zarumieniła się, gdy Wilson ujął jej dłoń i pocałował. Gdzieś z tyłu doszedł do niego spazmatyczny, wysoki chichot innego zalotnika.

Po konsumpcji zleżałych kanapek i letniej herbaty, Madame P. poprowadziła trzymające się za ręce pary na spacer wzdłuż Bulwaru Nadmorskiego. Irina była słodka i nieśmiała, a Wilson nie miał wątpliwości, że nie popełnił żadnego błędu w ocenie jej osoby. Kupił jej lody, butelkę wody mineralnej i podróbkę torebki Gucciego od ulicznego sprzedawcy. Bardzo jej się spodobała, dotykała jej, jakby głaskała kota. Jej angielski nie był tak dobry, jak się tego spodziewał - przez telefon rozmawiali bardzo krótko - ale nie miało to większego znaczenia, lej twarz wyglądała ślicznie, gdy koncentrowała się na tym, by kontynuować rozmowę o głupotkach.

- Jestem taka szczęśliwość.

- Szczęśliwa.

- Szczęśliwa - powtórzyła. - Szczęśliwa, że mogę robić spacer z tobą.

- Myślę, że jesteś bardzo odważna - stwierdził. - Chcesz wyjechać z kraju, zostawić swoją rodzinę... - nie było w tym żadnej tajemnicy, że Irina i inne kobiety były gotowe na skok w nieznaną, bo ich szanse na udane życie we własnym kraju były niewielkie. Standard życia w dawnej Ukraińskiej Republice Radzieckiej obniżył się wielu ludziom, choć gospodarka się rozwijała, a oligarchowie bogacili się niemiłosiernie. Średnia długość życia skracała się, a przyrost naturalny malał. Opieka społeczna, która dawniej była czymś oczywistym, praktycznie przestała istnieć. Irina mieszkała z rodzicami w jednopokojowym mieszkaniu - rodzice w pokoju z jej młodszym bratem, a Irina z siostrami w dużej kuchni połączonej z jadalnią.

- Mam nadzieję, że czasem przyjadą mnie odwiedzić - powiedziała. - I ja też ich odwiedzić tu, tak? To możliwe?

- Oczywiście.

W międzyczasie Madame P. i jej pracownicy załatwiali skomplikowane formalności, by kobiety

mogły wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Oprócz innych spraw oznaczało to złożenie aplikacji o wizy K-1 - „Wizy dla narzeczonych” - jakie musiały posiadać osoby pragnące wstąpić w związek małżeński z Amerykaninem.

Oprócz wizy K-1 przyszłe panny młode musiały mieć również bilet lotniczy w obie strony z otwartą datą powrotu i gotówkę na wydatki związane z podróżą i pobytem. Większość z mężczyzn skorzystała z dostarczonego przez Madame P. ramowego formularza umowy przedślubnej. Wilson nie. Zostało to odebrane jako gest miłości do Iriny, ale oczywiście wcale tego nie oznaczało. W świecie jaki miał nadejść - a Wilson już zaczynał myśleć o odliczaniu lat e.p.w. (ery po Wilsonie) - umowa przedślubna będzie tak użyteczna, jak parasol podczas huraganu.

Gdy siedzieli na ławce parku, pod brzozą zieloną od wiosennych liści, Wilson zaczął opowiadać o ranczu, na którym będą mieszkać.

- To taki mały raj - powiedział. - Jest tam strumyk, do którego przychodzą jelenie, by się napić, wspaniałe zachody słońca, największy nieboskłon jaki można sobie wyobrazić, jastrzębie i ryby, drzewa...

- Na pewno jest bardzo pięknie. Zdjęcia, które przysłałeś... włożyłam pod poduszkę. Taki wielki dom. Miejsce dla dużo dzieci. Myślę... - spłonęła się.

Irina dotknęła torebki.

- A jest zmywarka? Wilson skinął głową.

- Tak. I wielki telewizor z płaskim ekranem. I jeszcze... pewnie ci się spodoba: kupiłem dla ciebie samochód. Kabriolet.

Aż pisnęła z radości, ale po chwili posmutniała.

- Ale ja nie znać kierowanie samochodem.

- Nauczę cię. Będzie niezła zabawa.

- To nowy samochód? - zapytała. Pokręcił głową.

- Nie. Niepotrzebny ci nowy samochód. Zepsuje się w nim komputer i będzie koniec. Zaufaj mi.

Zmarszczyła brwi.

- Nasz dom... w Nevadzie, tak?

- Tak.

- W Las Vegas?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nasz dom jest na wsi, ale możemy polecieć do Las Vegas i będziesz mogła je zwiedzić.

Irina aż wzdrygnęła się z zażenowania, a następnie wyznała, że chciałaby wziąć ślub w tej samej „kaplicy miłości”, w której wychodziła za mąż Britney Spears.

- Biała Kaplica? To możliwe?

Wilson nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Siedziała koło niego z jasnymi oczyma i zamienionymi policzkami, gotowa na wszystko. Był oczarowany jej niewinnością, nawet jeśli była to tylko naiwność. Jej fascynacja słynnymi postaciami i gwiazdami był naturalne, a jednocześnie tak przewidywalne. Hollywood miało właśnie to do siebie, że wpływało nawet na ukraińskie kelnerki, które nigdy nie miały w ręku plotkarskich tygodników typu „People” albo „Paradę”. Więc dlaczego nie miałyby mieć takiej radości? Wilson myślał wprawdzie raczej o jakiejś skromnej uroczystości, ale...

- Jeśli chciałabyś, to dlaczego nie?

Uśmiechnęła się speszona, aż na policzkach zrobiły się jej dołeczki i znowu zarumieniała się z

radości.

- Nie mogę się doczekać, aż opowiem o wszystkim Tatianie - stuknęła palcami w torebkę i zwróciła do niego twarz. Podniosła głowę i pocałowała go w usta. Wilson po raz pierwszy poczuł delikatny, kwiatowy zapach jej skóry. Połączony z ciepłem jej oddechu i spojrzeniem oczu, podniecił go w sposób, jakiego nie czuł od wielu lat. Na pewno od chwili, gdy wsadzili go do Supermaksu.

- Mam coś dla ciebie - oznajmił. Coś, co będziesz mogła włożyć sobie do torebki.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co?

Wręczył jej bilet lotniczy pierwszej klasy w obie strony z Odessy do Las Vegas, przez Moskwę i Nowy Jork. Już rozmawiał z Madame P. o dacie wylotu i upewnił się, że nie będzie problemu z wizą K-1. Wszystkie dokumenty zostały właściwie sporządzone. Wystarczyło tylko przedstawić dowód, że Wilson odwiedził Irinę osobiście. A to było niezmiernie proste. Madame P. sfotografowała go z Iriną i zrobiła fotokopię jego paszportu ze stroną zawierającą stempel wizowy. Irina odleci do Vegas szesnastego czerwca. To da im wystarczająco dużo czasu, by wziąć ślub i wrócić na ranczo przed przesileniem letnim.

Data była bardzo ważna. W pewnym sensie była wszystkim.

Irina zachłysnęła się, gdy zobaczyła bilet.

- Pierwsza klasa! - zawołała radośnie, wybudzając Wilsona z zamyślenia. Po chwili dostrzegła studolarowe banknoty włożone do folderu z biletami.

- Och, Jack! - wykrzyknęła, ukradkowo licząc pieniądze. Jeszcze raz go pocałowała. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Możesz sobie kupić sukienkę albo dać je rodzicom. To prezent zaręczynowy. Tak jak to. - Wyciągnął z kieszeni kurtki pierścione i wsunął jej na palec.

Irina była oczarowana.

- Och, Jack. Jest taki piękny.

*

Następnego dnia rano Madame P. wsadziła wszystkich do „luksusowego autokaru”, który zawiózł ich do Nembajskich katakumb i podziemnego Muzeum Partyzanckiej Chwały. Madame P. rozdała bilety i surowo wszystkich ostrzegła:

- Nie oddalajcie się od grupy. Nie zwiedzajcie tuneli na własną rękę. Co roku ktoś gubi się w katakumbach i nigdy nie wraca.

Przypomniało to Wilsonowi wycieczki licealne. Faktycznie, cała ta „romantyczna wyprawa” była echem tamtych dni, tylko że teraz dziwaczni chłopcy i chichocące dziewczyny zmienili się w świadomych wyborów mężczyzn i uśmiechające się, ponętnie kobiety. Każda dwójka otrzymała latarkę. Pary trzymały się za ręce. Dłoń Iriny była drobna i chłodna.

Madame P. odgrywała rolę przewodniczki, wyjaśniając, że katakumby powstały podczas wydobywania wapienia - podstawowego surowca budowlanego Odessy. Z czasem sieć tuneli stała się labiryntem dla przemytników.

Irina ścisnęła rękę Wilsona.

- Lecz tu, w wiosce Nerubajska - opowiadała Madame P. - podczas drugiej wojny światowej chowały się oddziały partyzantów. - Ekspozycje przedstawiały życie partyzantów w katakumbach pomiędzy atakami na transporty kolejowe lub innymi działaniami mającymi powstrzymać postęp wojsk niemieckich.

Gdy skręcili za róg, Irina pocałowała Wilsona. Przycisnęła się mocno do jego ciała. Wilson zgasił latarkę. Był pewien, że inne pary również zaangażowały się w bardzo podobne czynności. Podejrzał, że Madame P. specjalnie wybrała taką wycieczkę zamiast dobrze oświetlonego muzeum, aby umożliwić różne romantyczne sytuacje. Z dochodzących do niego odgłosów zorientował się, że niektóre pary robiły nawet coś więcej niż tylko całowanie.

Irina jęknęła z zadowolenia i pocałowała go jeszcze raz. Jej pocałunek był namiętny, choć trochę wyreżyserowany. Wilson nie miał złudzeń dotyczących dziewictwa Iriny lub braku doświadczeń seksualnych. Wszystkiego kobiety biorące udział w programie przeszły testy na AIDS i inne choroby przenoszone drogą płciową i choć przeprowadzenie testów na płodność nie było możliwe, to na podstawie innych badań medycznych i historii rodzin przyszli mężowie zostali zapewnieni, że ich przyszłe żony nie mają żadnych wad wrodzonych i zdrowotnych, stojących na przeszkodzie macierzyństwa.

W końcu wszyscy podążyli za światłem latarki Madame P. Irina zamrugała i potarła oczy, gdy wyszli na powierzchnię. Wilsonowi skojarzyło się to z popołudniowym wyjściem z kina.

- Jestem taka szczęśliwa - wyznała Irina. - Inni mężczyźni nie tacy... - pokręciła głową. I znowu się spłoniła.

*

Bal na zakończenie liceum. Z tym właśnie skojarzył się mu wieczorny dancing - bardziej niż z czymkolwiek innym - choć uczestniczyło w nim tylko dwanaście par. Parkiet do tańca był niewielki; stoliki na sześć osób ze skromnymi bukietami kwiatów, łuk ustrojony kwiatami (do fotografii). Wszyscy mężczyźni ubrali się w ciemne garnitury z goździkami w butonierkach, kobiety zaś w balowe suknie. Orkiestra składająca się z trzech osób - wokalista dodatkowo potrząsał muletą - grała jakąś składankę tanecznych kawałków.

Może to nawet i był taki udawany bal maturalny, ale Irina była prawdziwa i w jego objęciach.

- Jesteś świetnym tancerzem - przyznała, gdy prowadził ją w tańcu po malutkim parkiecie. Jakoś przecierpeli obiad z kurczakiem na danie główne, przesadnie słodki deser i nieporadny toast wzniesiony przez Madame P. Po obiedzie zespół muzyczny grał więcej wolnych kawałków. Przyciemniono światła. Madame P. zatańczyła ze swoim chuderlawym małżonkiem, zebrała uprzejme oklaski i zaszła się z nim w rogu sali.

Irina spojrzała na Wilsona; jej twarz lekko lśniła od drobinek potu. Facet z muletą zaczął śpiewać klasyk Percy'ego Sledge'a fflien a Man Loves a Woman. Irina wtuliła się w Wilsona; nie ańczyli, tylko lekko się kołysali.

- Uwielbiam tę piosenkę - powiedziała, przytulając się mocniej.

- Uhm - odpowiedział Wilson i kołysali się w tańcu dalej.

- Chcę się z tobą kochać - wyszeptała. Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie, kołysząc się z prawa na lewo. Przymknął oczy i nagle znów je otworzył, gdy zauważył ten świetlisty jodełkowaty mroczek migoczący w jego oku. Zdał sobie sprawę, że za chwilę znowu na pewien czas przestanie widzieć.

- To dobry pomysł, tak? Wilson skinął głową, roztargniony.

- Żebyśmy byli pewni?

- Tak - odpowiedział Wilson. - Powinniśmy być pewni. Irina wyczuła, że coś się zmieniło i przestraszyła się, że go w jakiś sposób obraziła. Zrobiła krok w tył.

- Co się stało?

- Nic. Wszystko dobrze.

Poprowadziła go z powrotem do stolika. Jej sukienka wydawała się być poszarpanymi kolorowymi wstążeczkami. Irinę ledwo widział, lecz udało mu się dostrzec zmartwienie na jej twarzy.

- To przez mówienie o miłości? - dopytywała się. - Nie lubisz?

Dźwięk, który wydobył się z jego ust, miał być śmiechem, ale zupełnie go nie przypominał.

- Czasem miewam takie bóle głowy, tylko że to wcale nie boli. Po prostu... nic wtedy nie widzę. Ale to przechodzi - dodał pośpiesznie.

- To migrena wzrokowa - oznajmiła pewnym siebie głosem. Wilson był zaskoczony.

- To prawda. Skąd to wiesz?

- Ty już zapomnieć. Ja jestem w szkole medycznej zanim muszę przerwać, by iść do pracy. Idę do Madame Pulitskiej, czy pozwoli nam iść.

Madame P. zjawiała się tuż przy nich. Wilsonowi wydała się wrzeszczącą postacią ze słynnego obrazu Edwarda Muncha: biała twarz, otoczona promieniującą, różnokolorową aurą. Obok niej stał jej małżonek, niczym jakaś złowieszca, czarna figura pulsująca w ciemności. Po chwili Wilson prawie zupełnie stracił wzrok.

Irina mocno trzymała go za rękę, mówiąc szybko po ukraińsku do ich przyzwoitki. Wilson nic nie rozumiał, lecz pojął sens rozmowy z tonu głosu Iriny, który przechodził od przekonywania do proszenia, podczas gdy ton Madame przechodził od odmowy po poddanie się.

W końcu Irina poprowadziła go do drzwi wyjściowych. Chłodne nocne powietrze było niczym jedwab otulający skórę. Irina gładziła jego włosy, gdy czekali na taksówkę.

- To stres - powiedziała niskim, pewnym głosem. - A czasem to jakieś okoliczności zewnętrzne.

W hotelu poprosiła recepcjonistę o wydanie klucza do pokoju. W pokoju nie zapalała światła, lecz usiadła z nim na łóżku. Zdjęła mu marynarkę, krawat, buty i pomogła mu położyć się na łóżku. Wilson usłyszał jak poszła do łazienki. Przez moment bał się, że zapali światło, ale nie zrobiła tego. Słyszał jak z kranu leci woda, a po chwili już była przy nim.

- Lepiej tak po ciemku?

- Tak - czuł mdłości, jak zawsze podczas napadów migreny, ale Irina była objawieniem, aniołem miłosierdzia - czułym i opiekuńczym.

Na oczach położyła mu wilgotny ręczniczek.

W pokoju było duszno, włączyła zatem wiatrak sufitowy, lecz nie otworzyła okna. Skąd wiedziała, że hałas uliczny był nieprzyjemny podczas występowania jego dolegliwości?

- To nigdy nie trwa długo - zapewnił Irinę.

- Ciii... - pogłaskała jego policzek zewnętrzną częścią dłoni tak delikatnie, jakby był to powiew bryzy.

Co kilka minut zmieniała mu okład na oczach. Słyszał, jak odkręca kran i wyciska wodę z ręcznika. Potem wracała, siadała przy jego boku i kładła na oczach chłodny okład.

Od dawna nikt nie okazał Wilsonowi takiej serdeczności - częściowo też z tego powodu, że na to nie pozwalał. I nikt nigdy nie opiekował się nim podczas ataku migreny wzrokowej. Zawsze starał się ukryć jej objawy przed innymi ludźmi.

W myślach gratulował swojej intuicji za wybranie Iriny. Miała dobre serce. Inne kobiety były może najemniczkami, albo nawet prostytutkami, ale Irina była prawdziwą partnerką z krwi i kości.

Migrena zaczęła ustępować, ale Wilson nadal czuł się trochę nijako, jakby był nieco

„wyłączony”.

Jej czułość była dla niego niezwykłym objawieniem. To, że udało mu się spotkać kobietę tak piękną jak ona i tak delikatną jak ona, było dobrą wróżbą na przyszłość. I faktycznie wszystko mu się dobrze układało. Hakim zniknął ze sceny, miał trzy razy więcej pieniędzy niż się spodziewał i żadnych ciągnących się za nim spraw. Najtrudniejsze elementy - zamiana haszyszu na gotówkę i ujście z życiem z Afryki - były już za nim. Wszystko miał dla siebie.

Kupił ranczo i zaczął pracować nad aparatem, który wkrótce będzie gotowy. „Transakcja” małżeńska, którą zaaranżował jako swój gest w stronę przyszłości, zaczęła wyglądać coraz bardziej jak dodatkowa premia, błogosławieństwo lub też wręcz oznaka szczęścia. Przeznaczenie lub coś w tym stylu, uśmiechało się do niego, przygotowując świat na oczyszczenie i odbudowę.

- Już prawie przeszło - Wilson próbował usiąść.

- Ciii... - opuszkami palców pchnęła go z powrotem na łóżko i zdjęła mu ręczniczek z oczu.

- Zaraz wracam - powiedziała. - Nie otwieraj oczu. Gdy wróciła, położyła się obok niego i dopasowała się swoim ciałem, do jego ciała jak łyżeczki w przegródce szuflady. Przynęła głowę, pogładziła go opuszkami palców po policzku i pocałowała w szyję.

- Zdejmę ubranie - wyszeptała. - Dobrze?

- Doskonale.

ROZDZIAŁ 26

BELGRAD 12 KWIETNIA 2005

Mike Burke odwiesił słuchawkę telefonu na widełki. Adresem Wilsona było więzienie?

Wsunęła ręce głęboko do kieszeni i z powrotem poszedł do Esplanade. Dobrą wiadomością było to, że znał chociaż jego prawdziwe nazwisko - a to więcej, niż wiedział Kovalenko. Więc choćby za to już ma plus. Miał nawet adres. Zawsze to jakiś adres.

Ale były też złe wiadomości. Akurat ten adres nie wzbudzał zaufania. Wręcz przeciwnie, mógł umocnić wątpliwości Kovalenki, czy Burke działał w dobrej wierze, gdy tworzył spółkę dla d'Anconii.

Z drugiej strony (w tej całej sprawie było mnóstwo tych „drugich stron”) jego zwierzyną do upolowania był człowiek z Uniwersytetu Straforda. Więc może wcale nie jest tak źle?

Oczywiście, że nie.

Dziwaczność tych domniemań nie opuszczała Burke'a podczas przedzierania się przez zaspę śniegu na biegunie zimna, jakim był o tej porze Belgrad. Jeśli Wilson ukończył Stanford, to z pewnością bardzo dobrze wypadł na teście dopuszczającym SAT. Ale to nie znaczyło, że jest już świętym. Podróż z boisk w Palo Alto na spacerniak w White Deer znaczyła nic innego jak to, że Wilson jest albo bardzo złym człowiekiem, albo totalnym przygłupem.

Burke miał nadzieję, że był tym drugim.

W hotelu Burke męczył się piętnaście minut, zanim uzyskał Dołączenie telefoniczne z Londynem. Gdy wreszcie mu się udało, Kovalenki nie było w biurze. Jego asystentka, Brytyjka o imieniu Jean, zaproponowała, by zostawił informację.

- Proszę mu powiedzieć, że znam prawdziwą tożsamość d'Anconii.

- Kogo?

Przeliterował jej nazwisko i zostawił jej swój numer telefonu w Esplanade. Asystentka powtórzyła wszystkie przekazane informacje i niepokojąco cmoknęła.

- Muszę panu coś powiedzieć - wyznała. - Pan Kovalenko jest teraz, niestety, nieosiągalny. Będę się bardzo starać, by przekazać mu te wiadomości, ale...

- Jest nieosiągalny?

- Taaak.

- Jak bardzo jest nieosiągalny? - dopytywał Burke. Wciągnęła odrobinę powietrza przez zęby, by okazać swój żal.

- Może go nie być nawet kilkanaście dni. Burke jęknął.

- To jest dosyć ważne - oświadczył.

- Z pewnością.

- Słowo „pilne” pasowałoby tu nawet bardziej. Sekretarka westchnęła.
- Może powinien pan porozmawiać z agentem Gomezem. Zastępuje pana Kovalenkę.
- Oczywiście - odpowiedział Burke. - Proszę mnie z nim połączyć.

W słuchawce na kilka chwil zapadła cisza, po której znowu odezwała się sekretarka.

- Niestety, nie ma go przy biurku. Czy ma do pana oddzwonić?

Czy ci ludzie już zupełnie przestali pracować? - pomyślał zdziwiony Burke.

Odłożył słuchawkę, opuścił nogi z łóżka, na którym leżał i usiadł. Coś zaszeleściło w kieszeni spodni. To była ta karteczka wielkości wizytówki, którą dostał od recepcjonisty poprzedniego dnia. Siedział przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Z jednej strony był bardzo ciekawy, do kogo na Ukrainie mógł dzwonić Wilson. Lecz był także wystarczająco bystry, by pamiętać o tym, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Prawdopodobnie zostawi tę sprawę Kovalence.

No dobrze, pomyślał, i wystukał numer na klawiaturze telefonu. Usłyszał kilka krótkich dzwonek i głos nagrany na urządzeniu odbierającym telefon. Ku jego zdziwieniu był to głos kobiety, z silnym akcentem, ale seksowny:

Dodzwonił się pan do firmy „Narzeczone z Ukrainy”. Prosimy o uważne słuchanie i wybranie właściwego numeru wewnętrznego.

Jeśli jest pan zainteresowany otrzymaniem broszury, prosimy nacisnąć „jeden”, zostawić swoje nazwisko i pełny adres pocztowy.

Jeśli chce pan rozmawiać z naszym konsultantem, prosimy nacisnąć „dwa” i zostawić numeru telefonu, na który będziemy mogli oddzwonić.

Lub też - jeśli pan woli - może pan odwiedzić naszą stronę internetową pod adresem ukrainebrides - jedno słowo - kropka.org. Dziękujemy.

Burke rozłączył się. Rzucił się na łóżko i pomyślał: Wilson chce się ożenić?! Chyba wciąż ma za mało problemów.

*

Gomez zadzwonił następnego dnia po południu. Pierwszymi jego słowami były:

- Masz duże kłopoty, mój przyjacielu.
- Co? Kto mówi?
- Agent Gomez - nagle jego głos uległ zmianie, stał się bardziej uprzejmy. - Czy mogę nagrywać rozmowę?

Burke wziął głęboki oddech.

- O jakich kłopotach pan mówi? Usłyszał chichot Gomeza.
- Więc nagrywam, okay? Burke zazgrzytał zębami.
- Tak - odpowiedział. - Nie mam nic przeciwko temu.
- O jakich kłopotach pan mówi? Klik przycisku „nagrywanie”.
- No więc - zaczął Gomez - dziś rano odbyłem ciekawą rozmowę. - zawiesił na chwilę głos dla lepszego efektu.

Burke czekał. W końcu powiedział: Taaak? No i co?

- Rozmawiałem z agentem Kovalenko.

- To świetnie - oświadczył Burke.

- Przekazałem mu wiadomość, którą pan zostawił. Powiedziałem, że dzwonił pan z Belgradu. Był bardzo ciekawy, w jaki sposób udało się panu tam dotrzeć bez ważnego paszportu.

Burke nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaczął coś mrużyć o podwójnym obywatelstwie, ale jak usłyszał swój cienki głosik, to się zdenerwował - na siebie i na Gomeza:

- Wiesz co - wybuchł złością - nic, kurwa, złego nie zrobiłem!

- Hej!

- Jedyne, co zrobiłem, to tylko chciałem wam pomóc - przerwał na chwilę. - Więc dlaczego Kovalenko nie mógł do mnie sam zadzwonić?

Tysiące kilometrów dalej agent specjalny Eduardo Gomez stał przy oknie w swoim biurze, spoglądając przez żaluzje na płatany rosnące przy Grosvenor Square.

- Jest w warsztacie - odpowiedział Gomez.

- Co?

Gomez ugryzł się w język.

- Nie będzie go jeszcze przez kilka dni.

W rzeczywistości Gomez doskonale wiedział, że Kovalenko przebywa w klinice Mayo, po tym, jak przyleciał do Stanów z szaleńczą myślą uratowania swojego zdrowia, choć do końca tak naprawdę nie wiadomo było przed czym. Internista Kovalenki oświadczył, że jest on w dobrej formie, a wyniki tomografii są typowe i nie ma się czym martwić. Ale Legat nie był człowiekiem, który ryzykuje bez ograniczeń. A szczególnie własnym zdrowiem. Chciał koniecznie uzyskać drugą opinię medyczną - najlepiej od Amerykanina, który studiował medycynę na Harvardzie i w tym celu przyleciał Atlantyk.

Prawda była tylko jedna: Kovalenko był zwykłym hipochondrykiem. I każdy o tym wiedział. Ale nikt nie mówił tego głośno. Podczas jego nieobecności Gomez miał możliwość sprawdzenia stron internetowych, na które wchodził Legat. I to co znalazł, było przerażające. Kovalenko surfował po stronach z opisami chorób tak namiętnie, jak niektórzy faceci po stronach z pornografią.

Centrum Kontroli Chorób, Światowa Organizacja Weterynaryjna, link do stron o rzadkich chorobach - każda z nich była na liście jego „Ulubionych” w wyszukiwarce internetowej. Ten człowiek naprawdę potrzebował pomocy. Ale jak większość ludzi potrzebujących pomocy, nawet nie chciał o tym słyszeć. Miał obsesję na punkcie medycyny i żył w ciągłym stresie, że może jeszcze czegoś nie wie o swoim stanie zdrowia. I nie dotyczyło to tylko jego prywatnego życia. Jego życie zawodowe również stało na głowie, może dlatego, że uważał, że tajemnice w Epoce Informacji są studolarowymi banknotami.

Kovalenko nie potrafił też przekazywać swoich zadań współpracownikom. Oznaczało to, że gdy był na zwolnieniu lub urlopie, niektóre sprawy nie posuwały się ani o krok. I nieszczęście spadało na tego, kto wykazał się głupotą i nieostrożnością i wkroczył tam, gdzie nie był zapraszany. Gomez wyciągnął z tego wnioski i pomyślał, że zastępowanie Kovalenki to całkiem prosta sprawa. Wystarczyło odbierać telefony i pilnować swojego nosa.

A właśnie teraz ten facet po drugiej stronie linii telefonicznej, ten facet z Belgradu, Burke, krzychał do słuchawki:

- Co to znaczy, że „nie będzie go przez kilka dni”? Czy pan w ogóle wie, o co tu chodzi? - pytał.

- Oczywiście - odpowiedział Gomez.

Zapadła pełna niedowierzania cisza. W końcu Burke ponownie zapytał:

- Czy powiedział mu pan, że mogę ujawnić tożsamość d'Anconii?

- Tak, wie o tym - odpowiedział Gomez. - Jego sekretarka przekazała mu tę wiadomość i dlatego dzwonię.

- A on sam nie mógł zadzwonić? - zdenerwował się Burke.

- Jeśli poda mi pan tę informację - nalegał Gomez - to przekażę ją dalej - jego głos zdradzał znudzenie całą tą sprawą.

Dźwięk, który wydobył się z ust Burke'a brzmiał jak coś pomiędzy gulgotaniem indora a pomrukiem tygrysa. Jeśli teraz powie temu facetowi, że d'Anconia jest byłym skazanym i siedział w więzieniu federalnym Allenwood, to będzie po wszystkim. FBI zajmie się sprawą, a Burke zostanie z niczym, zupełnie na lodzie.

A może jednak Kovalenko postąpi uczciwie. Może odblokuje jego paszport i cofnie sankcje przeciwko Aherne i Wspólnikom. A może nie. Gdy się na tym głębiej zastanowił, to ten Legat nie był wcale takim honorowym gościem.

- Wie pan co - zaczął Burke - poczekam na spotkanie z panem Kovalenko. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Proszę powiedzieć panu Kovalence, że będę się kontaktował - mówiąc to Burke się rozłączył.

Rzucił się z powrotem na łóżko i patrzył, jak światła reflektorów tańczą na suficie. Zastanawiał się nad powrotem do Dublina. To byłoby najłatwiejsze. Mógłby przekazać te informacje Doherty'emu. Ale jaki miałyby to sens? Przecież to była rozgrywka Kovalenki.

A Kovalenko zrobił sobie wolne.

Najlepsza rzecz, jaka przyszła mu do głowy, to zdobyć wichajster, żeby, jak usiądzie do stołu z Kovalenką, mieć dobrą podstawę do licytacji.

Mógłby wrócić do Dublina tego samego wieczom samolotem. Ale i tak nie miał tam nic do roboty. Gdyby wrócił do Irlandii, siedziałby na tyłku, wspominał Kate i pił ze Staruszkim.

Ale gdyby pojechał teraz nad jezioro Bied, mógłby jeszcze dowiedzieć się czegoś nowego. D'Anconii - Wilsona - od dawna już tam pewnie nie było. Ale ten facet od notatników, Ceplak, mógł wiedzieć, gdzie on się podziewa. Jeśli Burke się tego dowie, to może Kovalenko będzie bardziej przystępny.

Sięgnął po karteczkę od Milica i wykręcił kierunkowy do Słowenii - 386 i numer. Telefon dzwonił, dzwonił, aż wreszcie niezłe podchmielony głos odpowiedział:

- Zdravo?

Aha, pomyślał Burke i wziął karteczkę do ręki.

- Pan Ceplak?

- Jeste?

- Chciałbym rozmawiać z synem Yuri Ceplaka.

- Tak, to ja!

ROZDZIAŁ 27

SŁOWENIA 13 KWIETNIA 2005

Miasteczko Bied leży niespełna sto kilometrów od Lubiany, ale ledwo Burke minął miejscowość Kranj, gdzieś w połowie drogi, do przedniej szyby wynajętego samochodu zaczął przylepiać się deszcz ze śniegiem. Zrobiło się ślisko, co spowolniło ruch samochodów wspinających się po krętych drogach na przedgórzu. Gęstniała mgła. Prowadząc w ciężkich warunkach, z palcami sztywno trzymającymi kierownicę czarnego mercedesa, Burke dotarł do Bied dwie godziny później.

Miejsce było niezwykle. Malutkie miasteczko na skraju szafirowozielonego jeziora rozłożyło się u podnóża trudno dostępnej góry, na której znajdował się jedenastowieczny zamek. Dookoła piętrzyły się Alpy Julijskie.

W miasteczku było tłoczno od narciarzy, więc dopiero po kolejnej godzinie Burke'owi udało się znaleźć wolny pokój w Grand Hotel Toplice - olbrzymiej budowli w kolorze kości słoniowej wyglądającej, jakby wakacje spędzała tu sama Agatha Christie.

Pokój był droższy niż Burke by sobie tego życzył. Przypomniało mu to, że będzie musiał zrobić coś z pieniędzmi. Jego oszczędności szybko się kurczyły. I choć był beneficjentem polisy na życie Kate, to całą kwotę przekazał organizacji Lekarze bez Granic.

W pokoju odsłonił kotary zasłaniające francuskie okna i przez padający śnieg spoglądał na feerię świateł tańczących na tafli jeziora. Z czasopisma pokładowego, które przejrzał w samolocie, dowiedział się, że gdzieś tam znajdował się kościół zbudowany na jedynej słoweńskiej wyspie. Na jego dzwonnicy zawieszono legendarny dzwon. Wystarczyło pociągnąć za sznur, a spełniały się życzenia.

Burke wyjął z minibarku dwie miniaturowe buteleczki whisky Dewar's i wlał je do szklaneczki. Wyszedł na balkon, strzepnął śnieg z wiklinowego fotela, usiadł i spoglądał na jezioro.

Życzenia to śmieszna rzecz, pomyślał, otulając się szczelniej płaszczem. Zawsze jest ich ograniczona liczba. Nikt przecież nie ma tysięcy życzeń. Z baśni, które czytał jako dziecko, dowiedział się, że można mieć tylko jedno wielkie życzenie, a jeśli ma się szczęście to najwyżej trzy. Bez względu na liczbę, nie wolno żadnego marnować. Nie można życzyć sobie czegoś, co można zdobyć samemu - na przykład bilem na mecz Lakersów, lub czegoś, co można zrobić samemu - jak na przykład przywalić Kovalence na odlew.

Modlitwy też nie zaliczały się do życzeń, bo odnosiły się do możliwych sytuacji bez względu na to, jak mało prawdopodobnych (dobry Boże, niech ona wyzdrowieje).

Życzenia dotyczyły sytuacji beznadziejnych lub prawdziwych cudów.

Sączył whisky i kulił się przed wiatrem wiejącym znad jeziora prosto w twarz. Daleko, przez mgłę, dostrzegł zarys kościoła i dzwonnicy na wyspie. Kate bardzo by się tu podobało, pomyślał.

Potem, patrząc na kościół, wypowiedział w myślach życzenie:

Chciałbym, żebyś była tu ze mną.

*

Rano niebo było błękitne i przejrzyste, ale było zimno. Promienie słońca tańczyły na śniegu. Ku zdziwieniu Burke'a, droga do domu Luki Ceplaka była odśnieżona pługiem, więc dotarł tam zaledwie w kilka minut. Targając w siatce dwie butelki wódki ze sklepu wolnoćlowego, wspinał się po odśnieżonych stopniach i zastukał do drzwi. Powietrze było świeże i przesączone zapachem palonego drewna. Za domem dostrzegł porąbane polana skrupulatnie ułożone pod wiatą.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, wyglądał jak Geppetto.

Był niskiego wzrostu, o szorstkiej powierzchowności i twarzy skrzata, która rozjaśniła się na widok zawartości plastikowej torby.

- Aaaa - przemówił - pan Burke? Widzę, że przychodzi pan z prezentami - zatarł ręce z zadowolenia. - Goście są zawsze mile widziani. Proszę wejść.

W kominku obudowanym piaskowcem buzował ogień. Mężczyzna wyjął butelki z siatki. Zerwał papier, w który były owinięte; pierwszą, marki Skyy, powitał radosnym „Aaaa”, a drugą, Grey Goose, ucałował na powitanie. Uśmiechając się, podnosił raz jedną, raz drugą do góry, jakby ćwiczył bicepsy, w końcu przytrzymał w górze grey goose.

- Tylko spróbujemy - powiedział - żeby rozmowa lepiej się kleiła, dobrze?

Burke nigdy nie pił rano alkoholu. Już miał odpowiedzieć „nie”, ale coś go tknęło i powiedział:

- Świetnie.

Gdy Ceplak zniknął za drzwiami i krzątał się po kuchni, Burke oglądał oprawione fotografie poustawiane na gzymsie kominka. Zdjęcia były czarno-białe i oczywiście bardzo stare. Na jednym z nich elegancki mężczyzna w trzyczęściowym garniturze stał pośrodku czegoś, co wyglądało jak pole ziemniaków. Za nim widoczna była konstrukcja wieży, która wyglądała jakby inżynier Eiffel współpracował z doktorem Frankensteinem, próbując wybudować drapacz chmur. Nad płaskim budynkiem z cegły wznosiła się drewniana wieża, która mogła mieć ze trzydzieści metrów, przykryta gigantyczną metalową półkulą, która zapewne ucieszyłaby serce Bucka Rogersa.

- Więc już rozpoznał pan naszego Mistrza? - zaryczał rubaszenie Ceplak, wkraczając do pokoju z butelką grey goose na metalowej tacy, dwoma kieliszkami, oraz talerzykiem krakersów i pokrojonego żółtego sera.

- Mistrza?

- Teslę! Przy Wieży Wardencllyffe, oczywiście. - Ceplak podał Burke'owi szklaneczkę i uniósł własną.

- Na zdravje!

- Cheers!

Mężczyzna wypił wódkę jednym haustem. Burke zrobił to samo. Ceplak wziął głęboki oddech, wciągając opary alkoholu do płuc.

- Dobra, nie?

Burke skinął głową. Jego gardło płonęło.

- No więc! - Ceplak gestem zaprosił Burke'a, by usiadł w fotelu naprzeciwko kominka. - Proszę usiąść.

Piękny pokój, pomyślał Burke, mieszanka eklektycznych antyków na wysoki połysk z nowoczesnymi meblami. Cała jedna ściana była przeszklona i miała widok na jezioro. Mógł wreszcie

zobaczyć wyspę. Małe figurki, odznaczające się na jasnym tle, poruszały się między brzegiem a wyspą.

- To pielgrzymi - wyjaśnił Ceplak. - W zeszłym roku, w kwietniu, dostawali się na wyspę łodziami, a w tym roku to nie wiem, kiedy się ta zima skończy - wpatrywał się przez dłuższą chwilę w tę scenę, a następnie zwrócił się do Burke'a.

- Pan też jest pielgrzymem! Burke potrząsnął głową.

- Jak to? Przecież przyjechał pan obejrzeć notatniki.

- Tak naprawdę to...

- Mój ojciec Yuri, może pan już wie, przez trzydzieści lat był asystentem Tesli. Śmieszna para z nich była! Mistrz - wysoki na dwa metry - jak koszykarz, a mój ojciec jak ja: metr sześćdziesiąt! Praktycznie karzełek!

Burke uśmiechnął się i rozluźnił kołnierzyk koszuli. Wódka grzała go od środka, ogień z gardła ustąpił i zrobiło mu się cieplej.

- Pewnie się pan zastanawia jak oni się spotkali? - zapytał Ceplak. - Opowiem panu. Mój ojciec przyjeżdża do Nowego Jorku. Jest tysiąc osiemset osiemdziesiąty piąty rok. Ma czternaście lat i może ze dwa dolary w kieszeni. Ani słowa po angielsku. Może hello, good-bye, yes, no i to wszystko! Żadnych przyjaciół, żadnych krewnych. Ale zna nazwisko tego słynnego Serba, który mieszka w Nowym Jorku. Więc idzie do niego. Oczywiście to Tesla! I rozmawiają po serbsku. Przez trzydzieści lat mój ojciec pracował dla Tesli i mówili do siebie Po serbsku.

- Ooo! - wykrzyknął Burke - Więc był pan w Nowym Jorku?

Ależ skąd! Nie było mnie wtedy na świecie - odpowiedział Ceplak. Zadarł podbródek, ukazując swój szlachetny profil i zapytał:

- Jak pan sądzi, ile mam lat? Burke wzruszył ramionami.

- Osiemdziesiąt?

Ceplakowi opadła szczęka ze zdziwienia.

- Tak. Co za niesamowite wyczucie! Mam dokładnie osiemdziesiąt lat!

- Więc pana ojciec...

- Przestał pracować u Tesli w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. To był zły czas. Brakuje pieniędzy. Tesla przenosi się z hotelu do hotelu. Zawsze karmi gołębie w swoim pokoju i zawsze go wyrzucają. Mój ojciec ma pracę u Edisona, okay? I ten daje Tesli trochę pieniędzy, taką zapomogę, żeby mógł przeżyć - przerwał na chwilę. - Taki wielki człowiek! Wynalazł wszystko: prąd zmienny, radio, setki patentów! Jest na okładce „Time'a” i nie jest w stanie opłacić rachunku za hotel! - Ceplak pokręcił głową i zachichotał. - Dziesięć lat później byłem wielką niespodzianką dla moich rodziców. Wróciliśmy do Słowenii. Koniec historii - wysączył do końca swój kieliszek wódki.

- No więc - odezwał się znowu - te notatniki. Od czego zaczynamy?

- Tak naprawdę to nie jestem tu po to, by oglądać te notatniki - przyznał się Burke. - Nie jestem naukowcem. I prawdopodobnie nic bym z nich nie zrozumiał - poprawił się momentalnie. - To znaczy, na pewno nic bym z nich nie zrozumiał.

Ceplak potarł podbródek i mrużąc oczy, popatrzył na Burke'a.

- Uuuuu... to jest pan dziennikarzem! Albo pisarzem! Może pisze pan książkę o Mistrzu, mam rację?

- Nie - odpowiedział z żalem w głosie Burke. - Przyjechałem tutaj zapytać pana o kogoś, kto tutaj był i oglądał te notatniki. O pewnego Amerykanina, może pan go pamięta? Facet o nazwisku Jack

Wilson.

Burke starał się domyśleć, co wyrażała twarz dziadka. Była to niechęć lub zrozumienie. Może obydwa odczucia naraz.

- Tak. Był tutaj - odpowiedział Ceplak. - Bardzo długo siedział w tym fotelu, gdzie pan siedzi. Przez wiele dni czytał, czytał i czytał. I robił obliczenia.

Staruszek wstał i podszedł do okna. Podniósł do oczu lornetkę, popatrzył na jezioro i zarechotał. - Niech pan spojrzy! - nalegał, podając Burke'owi lornetkę. - Na stopnie kościoła. Na nowożeńców. Jeśli pan młody wniesie pannę młodą na samą górę, to dobra wróżba dla małżeństwa. Ale ten biedak jest mniejszy ode mnie! Lepiej, żeby ona go wniosła!

Burke dojrzał tę parę. Mężczyzna był przekrzywiony, wspinanie się po schodach z panną młodą na rękach sprawiało mu widoczną trudność.

Ceplak napełnił kieliszki wódką.

- To się nazywa miłość! - podał kieliszek Burke'owi. Stuknął kieliszkami i wypił od razu cały.

Burke sączył wódkę małymi łykami. Ceplak podszedł do kominka i dołożył jedno polano do ognia.

- Czy wie pan dokąd pojechał Wilson? - zapytał Burke. Ceplak wzruszył ramionami.

- Powiedział, że jedzie do domu. Więc pewnie wrócił do Stanów.

- Nie wie pan gdzie dokładnie? Dziadek pokręcił głową.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał - dlaczego interesuje się pan tym człowiekiem? Burke miał gotową odpowiedź - wymyślił ją już w samolocie. Ale stwierdził, że lepiej będzie jak powie prawdę.

- Mieliśmy wspólny biznes. I nic z tego nie wyszło. Mężczyzna skinął ze zrozumieniem głową.

- Jest panu winien pieniądze? Burke pokręcił głową.

- Nie - odpowiedział. - Gorzej. Ma problemy z policją.

- Z policją? - twarz mężczyzny skurczyła się z przerażenia. - Jest przestępcą? Burke machnął ręką.

- FBI uważa, że jest terrorystą.

Ceplak przymknął oczy, wsparł głowę o rękę i zaczął masować skronie.

- Jest pan pewien?

Burke sięgnął po swój kieliszek z wódką.. Niczego nie jestem pewien. Wszystko co wiem, to tyle, że przez tego faceta zamknęli mój biznes.

- A jeśli pan go nie znajdzie, to co się stanie?

- Powiem FBI, czego się dowiedziałem. A potem wszystko zależy od nich. Ceplak pokiwał ze zrozumieniem głową. Po chwili powiedział:

- Niedobrze.

Burke popatrzył na niego.

- To pana FBI - wymamrotał Ceplak. - Oni wiedzą o Tesli. Gdy umarł, zabrali wszystkie jego papiery.

- Wiem - odrzekł Burke. - Czytałem o tym.

- Jeśli tu przyjadą, to będzie niedobrze. Burke starał się go udobruchać.

- Przecież nie zrobił pan nic złego. Ceplak wyglądał na wystraszonego.

- Myślę, że ci z FBI nie będą nic czytać, oni po prostu zabiorą notatniki - może to tylko było odbicie światła, ale Burke'owi wydało się, że zobaczył łzy w oczach starca. - Lepiej, żeby tu nie

przyjeżdżali. Lepiej, żeby to pan go znalazł.

Mina Burke'a wyrażała zwątpienie.

- Może będę mógł w tym panu pomóc - powiedział starzec.

ROZDZIAŁ 28

BLED, SŁOWENIA 14 KWIETNIA 2005

- Ile pan wie o Tesli? - zapytał Ceplak. Siedzieli przy stole w kuchni, pijąc kawę.

- Podstawowe rzeczy - odpowiedział Burke. - Chorwacja. Nowy Jork. Edison.

- Tak, tak, to oczywiste! Ale co pan wie o fizyce? Czy rozumie pan częstotliwości rezonujące?

Fale skalarne?

Burke zachichotał.

- Nie.

- A incydent tunguski? - kontynuował przepytывanie Ceplak. - Wie pan, co to było, tak?

Te słowa obiły mu się o uszy, ale... Burke pokręcił głową. Ceplak odetchnął głęboko.

- Okay - zaczął. - Rezonans. Zna pan słowo. To angielskie słowo. Proszę mi powiedzieć, co oznacza.

Burke zastanowił się.

- Ma coś wspólnego z dźwiękiem. To sposób wibrowania różnych rzeczy. Ceplak zmrużył oczy i przymknął powieki, a jego twarz zdradzała intelektualny ból.

- To prawda, ale nie chodzi tylko o dźwięk. Chodzi też o energię. - Od strony jeziora dobiegał dźwięk dzwonu. Ceplak odwrócił się w stronę okna.

- Chyba mu się udało! - Z powrotem odwrócił się do Burke'a. - Nic pan nie wie o fizyce?

Burke pokręcił głową.

- Przedmioty ściste to nie był mój konik.

- A matematyka? Burke skinął głową.

- Troszkę.

- Ile „troszkę”?

- „Matematyka dla poetów”. Ceplak przyglądał mu się z napięciem. Burke wyglądał na zmieszanego.

- To były takie zajęcia dla uczniów, którzy nie radzili sobie z normalną matematyką - wyjaśnił.

Ceplak nadał policzki i ze świstem wypuścił powietrze. Pochylił się, oparł łokcie na stole, połączył opuszki palców obu dłoni, jakby chciał się pomodlić i poufale zwrócił się do Burke'a.

- Żeby znaleźć Wilsona musisz zrozumieć Teslę, okay? Burke miał nadzieję, że nie będzie musiał się tego wszystkiego uczyć.

- Ten Wilson kombinuje coś z wiedzą Tesli - opowiadał Ceplak. - Nie wiem tylko co. Ale dopóki nie dowiesz się, co on robi, to go nie odnajdziesz. Więc najpierw opowiem ci o rezonansie. To jest klucz do wiedzy Tesli, okay?

Burke nie był do końca przekonany, że naprawdę jest to konieczne.

- Nie bój się! - uspokoił go Ceplak. - Obiecuję! To będzie „fizyka dla poetów”.

- Okay.

- Jesteśmy zatem w punkcie wyjścia: Tesla manipuluje energią elektromagnetyczną, wykorzystując rezonans. Pytam jeszcze raz, co z tym rezonansem? Myślałeś, że to tylko coś z dźwiękiem? - Ceplak westchnął. - Miałeś rację, z dźwiękiem, ale nie tylko z tym. A czym jest dźwięk? Rodzajem fali. Dobrze? Dobrze! Ale czym jest fala? Burke pokręcił głową.

- Pomyśl o kamieniu i o wodzie - zaczął wyjaśniać Ceplak. - Wrzucasz kamień do stawu i co się dzieje? Fale rozchodzą się we wszystkie strony. Czym są te fale?

- Eee...

- Energią - odpowiedział sam sobie Ceplak. - W przypadku kamienia uderzenie w powierzchnię wody wytwarza energię kinetyczną, tak? I możemy to obserwować. Powierzchnia wody jest płaska, uderza w nią kamień, energia rozchodzi się od środka i w końcu zanika na brzegu, rozumiesz? Burke skinął głową.

- Teraz opowiem ci o spektrum elektromagnetycznym. Są to same fale. Na okrągło, same fale. Promienie rentgena, promieniowanie gamma, mikrofale, fale radiowe, fale podczerwone, fale światła widzialnego - wszelkie formy energii. Rozumiesz?

Burke skinął głową.

- Teraz skup się, Panie Matematyku dla Poetów! Będę przypominał teorię kwantową! Burke wyglądał na przerażonego.

- Nie bój się - uspokoił go Ceplak. - Podam ci tylko jedną kluczową informację. I to będzie wszystko. W teorii kwantowej wszystko jest falami. Energia? Oczywiście, że to fale. Ale materia też. Materia to też fale - starzec uśmiechnął się. - No, może nie do końca fale. Fale i cząsteczki - można powiedzieć falocząsteczki.

Burke sięgnął po wódkę.

Ceplak spojrział na niego z aprobatą.

- Alkohol może pomóc. To jest stół - ciągnął. - Wygląda na solidne ciało stałe - walnął pięścią w stół, aż podskoczyła filiżanka. - Jest ciałem stałym. Ale stół ma cząsteczki, jego elektrony są w mchu, więc wiemy, że stół ma częstotliwość drgań.

- Zgubiłem się - przyznał Burke. Ceplak złożył dłonie.

- Posłuchaj, proszę. Zaraz będzie łatwiej - wziął głęboki oddech. - Każdy przedmiot ma charakterystyczną dla siebie częstotliwość rezonansową. Wystarczy wzbudzić jakiś przedmiot, a będzie drgał z określoną częstotliwością.

- Jak kamerton do strojenia instrumentów muzycznych - wtrącił Burke. - Wystarczy go trącić i...

- Tak! Dokładnie! Ale także kamień, most, szkło, ścianę. Nie ma znaczenia co! Wystarczy w cokolwiek uderzyć z wystarczającą siłą, nawet kijem i wszystko zaczyna rezonować. Ujmując to inaczej, mówimy, że „oscyluje z charakterystyczną częstotliwością”.

- Okay - wtrącił Burke. - Rozumiem.

- Częstotliwość w fizyce to liczba fal na sekundę, tak? Burke skinął głową.

- A teraz częstotliwość drgań. - Ceplak odchrząknął. By to wyjaśnić dam ci klasyczny przykład. Huśtawka dziecięca. To typowy system o pojedynczej częstotliwości drgań.

Zanim Burke cokolwiek odpowiedział, Ceplak uniósł rękę.

- Już wyjaśniam! Huśtawka jest wahadłem, tak? Burke przytaknął.

- Okay. Przypuśćmy, że człowiek nadaje ruch huśtawce. Huśtawka idzie do góry. Wraca. Znowu

idzie do góry, lecz już nie tak wysoko. Wraca, ale też już nie tak wysoko. Z powrotem... Widzisz, co się dzieje. Huśtawka oscyluje wolniej i wolniej wraz z rozchodzeniem się energii. Okay?

Burke skinął głową.

- A teraz wyobraź sobie, że mężczyzna odchodzi, a huśtawkę buja siostra dziecka. Ta siostra nie jest tak silna, więc nie potrafi jej tak mocno rozhuścić. To przecież dziecko, tak? Ale nawet jeśli popycha ją z mniejszą siłą, ale regularnie, to huśtawka i tak dociera wyżej i wyżej. Nawet wyżej niż mężczyzna, który popchnął ją z dużą siłą. Bo każde popchnięcie dodaje energię do tej, która istnieje już w systemie. Mówimy wtedy, że „wzrasta amplituda”. W teorii huśtawka mogłaby osiągnąć „prędkość ucieczki” i wtedy dziecko bye, bye.

- „W teorii” - powiedział Burke, zaczynając powoli załapywać ducha fizyki. (Ta wódka była całkiem niezła).

- Rozumiesz to? Mała dziewczynka może popychać huśtawkę wyżej i wyżej, ale tylko wtedy, gdy wyczuje właściwy moment. Musi dostosować się do charakterystycznej dla tej huśtawki częstotliwości drgań. Jeśli popchnie huśtawkę tylko do połowy, to zadziała to jak hamulec i zabierze energię z systemu, zamiast ją dodać. - Ceplak przerwał i ściągnął usta. - Jeśli popchnie za wcześnie albo niecentralnie, to zakłóci naturalną częstotliwość wahadła i huśtawka nie będzie właściwie oscylować. To właśnie dlatego mówimy, że huśtawka ma tylko jedną częstotliwość drgań.

- Łapię.

- No! Za każdym razem dziewczynka dodaje odrobinę energii we właściwym momencie i we właściwym miejscu. Okay?

Burke przytaknął.

- No i widzisz. Tesla też tak robił. Wzmacniał częstotliwość drgań systemu oscylującego. Tak jak dziewczynka popychająca huśtawkę, tak on dostarczał precyzyjnych dawek energii do drgającego systemu. W jego przypadku był to system elektromagnetyczny, który po dodawaniu energii stawał się bardzo potężny. Coraz więcej energii, rozumiesz? - Ceplak uśmiechnął się. - Prawie wszystkie odkrycia mistrza są oparte na tym założeniu.

Ceplak nalał kolejkę i wychylił kieliszek.

- W drugiej połowie życia Tesla pracował nad bezprzewodowym przesyłaniem energii. Myślał, że znalazł sposób na zdobycie darmowej energii za pomocą wykorzystania częstotliwości drgań Ziemi.

- To Ziemia też ma swoją częstotliwość drgań? Ceplak skinął głową.

- Pomyśl o tym. Ziemia jest sumą różnych energii - zaczął je wyliczać na palcach. - Energia termiczna pochodzi z jądra. Grawitacja. Plus grawitacyjne przyciąganie Księżyca. Siły geomagnetyczne. Energia słoneczna ze Słońca. Promieniowanie gamma z kosmosu. Energia kinetyczna - Ziemia kręci się wokół Słońca i oprócz tego obraca się też wokół własnej osi.

Burke przytaknął.

- Chodzi o to, że matka ziemia jest kulą energii, tak? Tesla wierzył i może nawet to udowodnił, że Ziemia ma naturalną częstotliwość drgań i że wytwarza „fale stojące”, czyli takie, które nie przesuwały się w przestrzeni. Jak z innymi falami - tymi będącymi formami energii, tak? I Mistrz wierzył, że jeśli w Ziemię wprowadzi się ostrze z metalu przewodzącego, będzie można wykorzystać tę energię.

- Okay.

- Mistrz był przekonany, że może wydobyć tę energię, wzmocnić ją i wysłać do wszystkich

odbiorców na całym świecie bez przewodów elektrycznych.

- A niby jak chciał to osiągnąć? - zapytał Burke. Ceplak uśmiechnął się jak kot z Cheshire. Wskazał ręką na fotografię dziwnej wieży.

- Przekaznik wzmacniający! Zaczął od fal stojących z ziemi, a pozyskaną energię wzmocnił przez dodawanie małych Porcji energii we właściwym momencie.

A skąd pochodziły te małe porcje energii? Ceplak wzruszył ramionami.

- Ze zwykłych źródeł - z generatorów na węgiel lub z hydroenergii. Chodzi o to, że mistrz wiedział, jak pozyskać tę energię z ziemi i jak ją wzmacniać, tak samo jak dziewczynka bujająca huśtawkę!

Burke zastanowił się nad tym przez chwilę, odwrócił się i wskazał na gzyms kominka.

- Wieża Wardencllyffe - to ona miała mieć na sobie ten przekaznik?

- No właśnie! - wykrzyknął zadowolony Ceplak. - Tesla zbudował tę wieżę po latach eksperymentowania w Kolorado, gdzie miał o wiele mniejszą, prostszą wieżę. W Colorado Springs wytwarzał olbrzymie błyskawice i rozsiewał je na wiele kilometrów w okolicy. Żarówki świeciły się, mimo że miały odłączone zasilanie przewodowe! Iskry strzelały z podków koni! Motyle latały z ogniami świętego Elma!

- Jezu! - wykrzyknął z wrażenia Burke.

- Nie Jezus, tylko Tesla! - Starzec śmiał się od ucha do ucha, gdy wyobrażał sobie te sceny z przeszłości w starym Kolorado. W końcu chrząknął i przeciągnął się.

- Jesteś głodny? Może chciałbyś coś do jedzenia? Proponuję Grand Hotel Toplice. Ty stawiasz.

ROZDZIAŁ 29

Zgodnie z propozycją Ceplaka poszli pieszo.

- To tylko trzy kilometry, zasłużymy sobie na obiad! Burke skinął głową, choć jego umysł był zupełnie gdzie indziej. Myślał o tym, że obiad w hotelowej restauracji będzie dosyć drogi, że powinien zmienić rezerwację na wylot i że cała ta wycieczka do Bied była prawdopodobnie stratą czasu i pieniędzy. Niby w jaki sposób lekcje fizyki i historii Ceplaka mogły mu pomóc w znalezieniu Jacka Wilsona?

Szedł za starcem wzdłuż dość stromej ścieżki, która wiała się po zboczu wzniesienia porośniętego lasem; jego półbuty ślizgały się po ubitym śniegu. Obuty w traperki i wspierający się na lasce Ceplak był zwinny i pewny swojego kroku jak koziorożec alpejski. Sosny w lesie pokryte były śniegiem, a ich gałęziami poruszał wiatr. Niebo było bezchmurne, powietrze zaś mroźne i przejrzyste. Burke lustrował wszystko wokół okiem fotografa.

Ceplak zatrzymał się i odwrócił do niego.

- Pomyśl o Wardencllyffe - zaczął - lecz najpierw o drganiu lub, użyjmy innego słowa, wibracji. To chyba może być destrukcyjna siła, nie?

- No tak - odrzekł Burke - jak trzęsienie ziemi...

- Właśnie. Wielkie uwolnienie energii, jak uderzenie kamienia o powierzchnię wody, tak fale sejsmiczne rozchodzą się z epicentrum. Czy przeżyłeś kiedyś trzęsienie ziemi?

- W Kalifornii.

- Więc wiesz o co chodzi. Czujesz oscylację ziemi poniżej twoich stóp. Ziemia drży, tak?

Burke przytaknął.

- Jeśli drżenie jest zbyt mocne, jeśli oscylacja jest zbyt duża, budowle nie mogą się utrzymać. Budynki się walą, skały pękają... - Ceplak zatrzymał się i odsunął gałązkę limby, która zagradzała mu drogę. - Lekcja z tego jest taka: rezonans może być destrukcyjny. Jeszcze jeden dobry przykład: śpiewaczka operowa o krystalicznym głosie. Każdy to zna. Śpiewaczka utrzymuje jedną nutę i pęka szkło. Dlaczego?

- Nigdy tego nie rozumiałem - odpowiedział Burke, próbując dotrzymać kroku staruszkowi.

- Mówiłem ci już wcześniej, że dźwięk jest falą, dźwięk jest energią. Jak siedzisz czasem pijany, może przesuwasz mokrą ręką po krawędzi kieliszka. I on zaczyna dla ciebie śpiewać, jak mnich buddyjski! Ommmm... - Ceplak zachichotał.

- Weźmy, powiedzmy, tonę szkła z jej własną częstotliwością drgań równą F. Gmba solistka śpiewa tę samą nutę, a jej głos jest silny, szkło zaczyna wibrować. Jeśli dźwięk będzie wystarczająco głośny, jeśli śpiew wystarczająco silny - bęc! Szkło pęka - Ceplak podniósł palec do góry. - Caruso robił to wielokrotnie. I Birgit Nielsen - sopranistka. W studiu nagrań prosili, by odsuwała się od mikrofonu. Dlaczego? Bo pękały całe tafle szkła. Pewnego razu pękł nawet kamień

szlachetny, chyba szmaragd. No, dlaczego pęka szkło?

- Wibracje - odpowiedział Burke.

- Tak. Gdy fale głosowe osiągają wibracje, które są identyczne z częstotliwością drgań szkła, oscylacja jest zwielokrotniona, tak? A szkło chce drgać w tej częstotliwości i zaczyna wibrować, a ty dajesz jej dodatkowe pchnięcia dostarczając więcej energii z fali dźwiękowej - klasnął w dłonie - i struktury zaczynają pękać. To może wydawać się zwariowane, że dźwięk może doprowadzić do rozpadu czegoś tak twardego jak szkło, ale pamiętaj, ta „solidność” jest tylko iluzją. Szkło składa się z takich samych cząsteczek i fal jak wszystko inne. Wystarczy poruszyć te fale zbyt szybko, wzbudzić je za mocno i szkło pęka. Struktury się rozpadają.

Burke kiwnął ze zrozumieniem głową, a Ceplak rozsuwał gałęzie, robiąc dla nich przejście wąską ścieżką. Znajdowali się około trzydziestu metrów nad jeziorem. Burke dostrzegł smuzkę dymu unoszącą się znad hotelu Toplice.

- Drugi przykład na destrukcyjną naturę drgań rezonansowych - ciągnął swój wykład Ceplak. - Żołnierze już nie maszerują krokiem defiladowym po mostach. Dlaczego? Jeśli maszerują równym krokiem, to mosty się rozsypują.

- Słyszałem o tym.

- Manchester w Anglii w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. To był most wiszący. Żołnierze maszerowali równym krokiem. I po chwili wszyscy mieli ręce uniesione do góry, spadali w dół. Po tym wypadku wiedza ta została zamieszczona w podręcznikach wojskowych i zwykłych, szkolnych. - Puknął się palcami w głowę. - Niszcząca siła rezonansu. Od czasu tej tragedii wojsko już wie, że przez most przechodzi się swobodnym krokiem. W przeciwnym razie, żołnierze mogą nie dojść na drugi brzeg.

- Aha.

- A znasz legendę o Jerychu? - zapytał Ceplak.

- Mury obronne się rozpadły.

- Ale dlaczego?

- Jozue... - zaczął Burke.

- ... zadał w trąby! - dokończył Ceplak triumfalnie. - W trąby. Mury Jerycha się zawaliły, bo działał na nie dźwięk. Niszcząca siła drgań!

- Rozumiem.

- To wróćmy do Wardeclyffe. Pierwsze lata dwudziestego wieku. Tesla zaczyna współpracować z Johnem Piermontem Morganem, prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem tamtych czasów. Morgan sądził, że Tesla buduje w Wardencllyffe wieżę radiową, bo to przecież Tesla wynalazł radio.

Burke zaśmiał się.

- Myślałem, że to Marconi wynalazł radio. Ceplak przechylił głowę.

- Marconi dostał Nagrodę Nobla, ale patenty należały do Tesli. Sąd Najwyższy wydał wyrok na korzyść Tesli.

- Naprawdę?

- Tak, to prawda. Sprawdź sobie! No dobrze, Morgan daje Tesli pieniądze na zbudowanie wieży na Long Island.

- A co ma z tego Morgan?

- Wielki udział z radiowych patentów Tesli. Tesla nie cierpi takich rozwiązań, ale nie ma wyboru. Potrzebuje pieniędzy na zbudowanie wieży. To wielkie zadanie: ponad pięćdziesiąt metrów

wysokości, wielki metalowy trzpień wbity na trzydziści pięć metrów w ziemię. Ale trzy lata później Morgan wstrzymuje dopływ gotówki, gdyż dowiaduje się, że wieża nie jest masztem radiowym. Tesla zamierza transmitować energię, którą wydobydzie z wnętrza ziemi. I chce ją wysyłać wszędzie bez żadnych przewodów elektrycznych.

- To byłoby świetne.

- Dla ludzkości tak. Ale dla Morgana nie. Morgan ma ogromne udziały w Westinghouse i General Electric. Wydaje fortunę na budowę linii przesyłowych, stacji przekaźnikowych, masztów. A tu Tesla oświadcza mu, że to wszystko nie będzie potrzebne, że będzie można czerpać energię bezpośrednio z ziemi, wzmacniać ją i rozsyłać w świat. Ludzie będą potrzebowali tylko taniego odbiornika do ściągania energii dla siebie.

- Takich anten radiowych.

- No właśnie! Ale dla Morgana. - Ceplak puknął się w głowę - ta nowa bezprzewodowa energia jest konkurencją dla istniejącego biznesu. Musi przecież zarobić na inwestycjach, które zrobił w infrastrukturę energetyczną, a te pieniądze może odzyskać dopiero z rachunków za energię. - Ceplak podniósł głowę do góry. - Po prosta decyzja biznesowa. Morgan przestaje zatem finansować Mistrza.

- I co się wtedy dzieje? - zapytał Burke.

- Tesla ma fantastyczny pomysł. Jeśli zainteresuje nowych inwestorów, to nie będzie potrzebował Morgana. Postanawia zatem przeprowadzić publiczny pokaz możliwości nowej energii.

- Jaki pokaz?

- Najpierw muszę ci przypomnieć, że na początku nowego wieku świat miał bzika na punkcie poznawania Arktyki - wyjaśnił Ceplak. - Wyobraź sobie! Ci odkrywcy są jak astronauta rock'n'rolla. Słynni, podziwiani, ekscytujący ryzykanci. Są wielkimi sławami. A gdy wracają z wypraw - jeśli wracają - książki, wykłady, wywiady. Więc Tesla ma pomysł. Idzie odwiedzić admirała Peary'ego.

- Tego podróżnika?

- Tesla znał wszystkich! Edisona, Morgana, Peary'ego, Twaina. Mamy zatem rok tysiąc dziewięćset ósmy. Peary już dwa razy próbował zdobyć biegun północny. Przygotowuje się do trzeciej wyprawy, ale Tesla nie może czekać. Mistrz potrzebuje kogoś na Arktyce już teraz, by był świadkiem publicznego pokazu, więc Peary poznaje go z innym podróżnikiem, Windjammerem Steffannsonem.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- W tamtych czasach był bardzo sławny. Ma umowę z „New York Tribune” na wyłączność relacji z wyprawy. Fascynujący osobnik! Przez cztery i pół roku żyje jak Eskimos! Zadziwiająca historia. A dla Mistrza to wspinały zbieg okoliczności! Windjammer ma wkrótce wyjechać z Nowego Jorku na nową wyprawę. Więc Peary przedstawia Teslę Windjammerowi. I Windjammer się zgadza - będzie świadkiem popisu Tesli. Trzydziestego czerwca Windjammer odwiedza obóz Peary'ego na Ellesmere Island, gdzie będzie obserwował fantastyczne możliwości nowego wynalazku Tesli.

- A niby co to miało być? Ceplak pochylił się w jego stronę.

- Sztuczne ognie.

- Co masz na myśli?

Zanim Ceplak zdążył odpowiedzieć, dotarli do schodów wiodących na taras hotelu. W drzwiach powitał ich szef sali, tak, jakby byli powracającymi synami marnotrawnymi i zaprowadził ich do stolika z widokiem na jezioro.

Przyniesiono im menu oprawione w skórę, a także srebrne wiaderko wypełnione lodem, w którym tkwiła butelka Moet et Chandon. Kelner w czerwonej marynarce napelnił kryształowe kieliszki szampanem i odsunął się. Ceplak wznosił toast:

- Za Mistrza! - I stuknęli się kieliszkami.

Burke starał się, jak mógł, żeby nie wyglądać na przerażonego, gdyż zdawał sobie sprawę z następującej rzeczy: ten obiad będzie chyba bardzo kosztowny.

Jak na niskiego i starszego człowieka, Ceplak miał wilczy apetyt. Burke zamówił rybę i sałatę, a osiemdziesięciolatek - obiad z czterech dań, nie wliczając w to różowego sorbeta i zakąsek podanych w formie amuse-bouche.

Ceplak zanurzył koniuszek palca w szampanie i przesunął nim po krawędzi kieliszka. Kieliszek zaczął śpiewać.

- Eee... - zachichotał starzec.

- Co Tesla zamierzał zdziałać z tym Windjammerem?

- Mistrz planuje urządzić najbardziej widowiskowe sztuczne ognie nad Arktyką. Czy widziałeś kiedyś zorzę polarną?

- Nie.

- Ja widziałem tylko raz - wyznał Ceplak. - Przepiękne zjawisko. - Położył rękę na piersi. - Widok zorzy sprawia, że zaczynasz wierzyć w Boga, chociaż znasz przyczynę tego świecenia.

- To znaczy?

- Wiatr słoneczny. Gdy dociera do magnetosfery, jego naładowane cząsteczki zderzają się z cząsteczkami atmosfery - klasnął w dłonie. - Ujemnie naładowane cząsteczki spotykają się z dodatnio naładowanymi cząsteczkami. I następuje wyładowanie! Światło! - Napił się szampana. - Pomnożone przez miliardy! To jest właśnie zorza polarna.

- No, ale ten arktyczny popis... To co w końcu Tesla zamierzał zrobić?

- Chciał zbombardować jonosferę naładowanymi cząsteczkami. Miliardami miliardów takich cząstek. Zrobić fantastyczny pokaz, jak jakiś bóg.

- I wiedział, jak to zrobić? - dopytywał się Burke.

- Oczywiście. A nad czym pracował do tej pory? Nad bezprzewodowym transmitowaniem energii.

- No tak. Więc...

- Szukał sposobu na przesyłanie energii bez przewodów elektrycznych. Jak mógł to osiągnąć? - Ceplak uniósł brwi. - Strumień. Mistrz wytwarza strumień energii, strumień fotonów. Z Wardencliffy Tesla celuje strumieniem o potężnej mocy nad Ellesmere. Cząsteczki uderzają o cząsteczki. Bum! Bum! Bum! Wielkie przedstawienie dla Windjammera, który zakrzyknie zadziwiony: „Ooo!”. Niesamowite! Windjammer przekaże relację „New York Tribune” i inwestorzy zaczną pchać się drzwiami i oknami do mieszkania Mistrza...

- I udało się?

Ceplak zakołysał się całym ciałem z prawa na lewo, jakby chciał powiedzieć: „i tak, i nie”. Sączyl szampana. I pokiwał palcem.

- Musisz pamiętać, że już samo wytworzenie takiego strumienia było wielkim osiągnięciem. Pomyśl o świetle błyskawicy, latarki, reflektora. Przypominam, że światło w tych wszystkich przypadkach jest takie samo. Poświeć latarką w ciemność. Światło dotrze tylko do pewnego miejsca i potem strumień się rozpada. W języku fizyki mówimy, że „strumień stracił jedność”. Stracił swoją

energię przez tarcie. Bo jest prawie zupełnie niemożliwe, żeby strumień dotarł nieskończenie daleko.

- Ale Tesli się to udało.

- On znalazł sposób na przesłanie strumienia energii w sparowanych falach w otocze plazmatycznej. Mistrz wyeliminował tarcie. To pozwoliło na dotarcie do celu całej wyemitowanej energii. - Ceplak zachichotał. - Gdybym umiał wytłumaczyć, w jaki sposób to osiągnął, to dostałbym Nagrodę Nobla z fizyki.

- Naprawdę?

- O tak. W tamtych czasach Mistrz często wytwarzał kulę świetlną w swoim laboratorium w Nowym Jorku. Miał wielu świadków. Zadziwiał Marka Twaina i innych - robił takie salonowe sztuczki. - Ceplak ponuro potrząsnął głową. - Mogli być o wiele bardziej zadziwieni.

- Co pan ma na myśli? Ceplak wybuchnął podniecony.

- Bo to było niczym święty Graal fizyki plazmowej! Zachować energię w niezmiennionej postaci! Jak piorun kulisty! Jak otulony plazmą strumień z Wardencllyffe! To klucz do energii pochodzącej z fuzji nuklearnej. Dlaczego?

Burke pokręcił głową.

- Pomyśl, Panie Matematyku dla Poetów! Jeśli energia ucieka, nie można przeprowadzić fuzji. Znajdź sposób na utrzymanie energii...? - Ceplak uśmiechnął się. - Nagroda Nobla. Na sto procent.

- Tesla zostawił całą tę wiedzę w swoich notatkach? Ceplak wzruszył ramionami.

- FBI skonfiskowało większość dokumentacji Mistrza i schowało. Gdzie? W Los Alamos! Jestem pewien, że naukowcy studiują jego notatki. Lecz nikt nie kombinuje, jak zrobić to, co jemu się udało z pionem kulistym lub ze strumieniem energii. Jeszcze nie.

- Nadal nie rozumiem tego pokazu publicznego - wyznał Burke. - Dlaczego pokaz sztucznej zorzy polarnej nad Arktyką miałby kogoś zainteresować? Co by to znaczyło?

Ceplak popukał palcami w stół.

- To by znaczyło, że Mistrz potrafi przesyłać i uwalniać olbrzymie wyładowania energii. Bezprzewodowo! Ludzie zrozumieliby, że pokaz sztucznych ogni na niebie był wielkim uwolnieniem przesłanej energii. Jeśli tę moc można by ściągnąć na ziemię... - Starzec rozłożył szeroko ręce, jak magik przedstawiający niezwykły numer.

Burke skinął głową.

- Więc to był ten pokaz publiczny. Musiał być wielki... Ceplak pokręcił głową. Zrobił posępną minę.

- Nie! Pokaz się nie udał. Była katastrofa. Burke otworzył szeroko oczy.

- Po tym wszystkim...? Nie udało mu się?

- Nie „nie udało” - westchnął. - Posłuchaj, dobrze? Powiem ci, co się stało, gdy Mistrz wystrzelił swój strumień. Tym właśnie interesował się twój przyjaciel.

- Mój przyjaciel?

- Tak, Wilson. On interesuje się incydem tunguskim. Znowu ta sama nazwa.

- To właśnie studiuje Jack Wilson - powiedział Ceplak. - Incydent tunguski, strumień energii, pokaz publiczny. - Ceplak otarł usta serwetką i pochylił się do Burkego. - Jest trzydziesty czerwiec tysiąc dziewięćset ósmego roku. Dziewiąta trzydzieści wieczorem czasu wschodniego. Tesla jest w Wardencllyffe z moim ojcem. Mistrz jest bez grosza. Pieniądze od Morgana się rozeszły. Musiał pożyczyć węgiel, by umchomić generator, już było tak kiepsko. Obydwaj wchodzą na wieżę. Mistrz uruchamia transmyter, namierza górne warstwy atmosfery, by wyładowanie nastąpiło nad Ellesmere

Island. W tym samym czasie Windjammer jest na zewnątrz swojego igloo, patrzy w niebo, czeka i obserwuje.

Ceplak wziął długi łyk wody i ciągnął opowiadanie.

- Notatki mojego ojca mówią, że na początku nawet nie wiedzą, czy strumień w ogóle działa. Wszystko, co widzą, to jakieś przytłumione światło. Nagle w rzekomy tor strumienia wlatuje sowa i... puff... nie ma sowy. Według notatek mojego ojca ptak po prostu zniknął. Po tym fakcie wyłączają strumień. Wielkie rozczarowanie. Nic nie zobaczyli. Nic nie słyszeli. Tylko zwykłe zniknięcie sowy.

- I to wszystko?

- Na początku tak im się wydawało. Tesla przegląda gazety, bo taki pokaz światel powinien odbić się wielkim echem w Europie. Przecież Windjammer miał być specjalnym świadkiem, tak? Windjammer miał najlepszy widok i wiedział, że miało coś nastąpić. Mógłby zatem potwierdzić, że to widowisko świetlne na niebie zostało spowodowane przez Teslę o dziewiątej trzydzięci wieczorem czasu wschodniego, dokładnie tak, jak zaplanowano. - Pokręcił głową. - Ale w gazetach nic nie ma. Potem, po kilku dniach, dociera do nich wiadomość od Windjammera. Nic nie widział.

- Nic. Więc to...

Ceplak uniósł rękę, z poważnym wyrazem twarzy, jakby był policjantem, który steruje mchem.

- Kilka dni później Mistrz przypadkowo przeczytał o incydencie tunguskim - staruszek w zamyśleniu pokręcił głową.

- No i co to miało za znaczenie? Ceplak zmarszczył czoło.

- Tunguz jest miejscem na Syberii! - Uśmiechnął się smutno. - Albo raczej było. Trzydziestego czerwca tysiąc dziewięćset ósmego roku o dziewiątej trzydzięci wieczorem czasu wschodniego wybuch na Syberii niszczy dwieście tysięcy hektarów lasu sosnowego. Wszystkie drzewa są powalone! Moc wybuchu określono na piętnaście megaton trotylu! - Ceplak spojrział na Burke'a, oczekując jego reakcji.

W końcu Burke wykrztusił:

- To dużo. Szczególnie w tamtych czasach.

- W tamtych czasach?! - ryknął staruszek. - Dużo? Ten wybuch był silniejszy od wybuchu w Hiroszynie! To do dziś największa eksplozja w historii ludzkości!

- Czyli pan mówi mi, że to się naprawdę wydarzyło? Ceplak uśmiechnął się.

- Sprawdź sobie w Google.

Ceplak delikatnie usuwał ości ze swojej ryby, nadziewał jej kawałki na widelec i wkładał do ust. Otarł usta chusteczką.

- Mistrz miał zamiar zrobić pokaz sztucznej zorzy polarnej. Zamiast tego wypalił spory szmat Syberii. Jelenie, gryzonie, Ptaki, inne zwierzęta, drzewa i ludzie też, wędrowni ludy Syberii. - Pokręcił głową. - Wszyscy zniknęli z powierzchni ziemi.

Burke nic nie odpowiedział.

Stary człowiek po drugiej stronie stołu westchnął.

- Więc rozmawiamy o wielkich problemach. Pierwszy z nich to strumień energii potężniejszy od przewidywań Mistrza. A drugi to sprawa namierzania celu. - Pokiwał głową. Celowanie wymaga wiele pracy. Tesla pomylił się o trzy tysiące kilometrów.

- Nie mogę uwierzyć, że nigdy o tym nie słyszałem - oznajmił Burke. Ceplak potrząsnął głową.

- Przecież to było sto lat temu! Pośrodku lasu! W tamtym czasie było wiele różnych domysłów i spekulacji. Co to mogło być? Ludzie słyszeli eksplozję setki i tysiące kilometrów od centrum.

Dziennikarze z Tomska pojechali zobaczyć, co się tam wydarzyło. Totalne zniszczenie! Nikt jeszcze czegoś takiego nigdy nie widział! Olbrzymi obszar! Drzewa, trawa, zwierzęta - zniknęły. Wyparowały!

- Czy ktokolwiek połączył to z doświadczeniami Tesli? - zapytał Burke.

- Nie - odparł Ceplak. - Był wtedy marginalną postacią, ekscentrykiem, może trochę wariatem. I nigdy nie przyznał, że on to spowodował. Był przerażony.

- Więc jak to wytłumaczyli? - zapytał Burke. - Dziennikarze. Ceplak wzruszył ramionami.

- Naukowcy mówią, że prawdopodobnie w Ziemię uderzył meteoryt.

- Ja właśnie tak bym powiedział.

- Tak, ale przecież nie ma krateru uderzeniowego. A próbki ziemi pobierane nawet z czterdziestu metrów głębokości nie wykazały obecności niklu, żelaza, skał. To są składniki zwykłych meteorytów, zatem teoria numer jeden wylatuje za okno i bierzemy się za drugą.

- Jaka?

- Skoro to nie mógł być meteoryt, naukowcy uznali, że była to część komety. Burke przytaknął. Ceplak pokręcił głową.

- To nie mogła być kometa.

- Dlaczego nie?

- Bo astronomowie stwierdzili, że w okolicy nie było żadnej komety. I nikt nie widział żadnej komety. Z nieba nie spadała żadna ognista masa. Setki świadków zeznały, że słyszeli eksplozję - ale nikt nie widział ognistej kuli? To nie jest normalne. - Ceplak potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Skoro zatem wszystkie hipotezy zawiodły, to pozostaje nam Tesla. O dziewiątej trzydzięci czasu wschodniego, trzydziestego czerwca tysiąc dziewięćset ósmego roku wystrzelił strumień energii i w tym samym czasie, bo strumień przemieszczał się z prędkością światła, tak? W tym samym czasie, po drugiej stronie świata, ma miejsce katastrofa tunguska.

- Jak z tą sową.

- Tak. Jestem tego pewien. Mój ojciec był tego pewien. Tesla też! To on jest odpowiedzialny za katastrofę tunguską. Niszcząca siła rezonansu! Mistrza prześladowało to do końca życia.

- Zadziwiające.

- Zadziwiające jest to, że nie próbował tego w żaden sposób wykorzystać. Możesz sobie tylko wyobrazić zainteresowanie wojska.

Burke przytaknął, lecz stamszek wiedział, że do końca tego nie zrozumiał, bo pochylił się do niego i zaczął bardzo dokładnie tłumaczyć.

- To nie tylko bardzo niszcząca broń. Pomyśl, Panie Matematyko dla Poetów! Strumień leci z prędkością światła, tak?

Burke skinął głową.

- Potężny strumień osiąga cel w tej samej chwili, kiedy zostaje wysłany! Jak go zatrzymać? Jak przechwycić? Jak widzisz, nie ma przed nim żadnej możliwości obrony. - Stary człowiek złożył dłonie.

- To dałoby mu fortunę - skomentował Burke. Ceplak podniósł palec do góry.

- Oczywiście, ale Tesla był pacyfistą.

Przez ten czas pochłaniał już wytworny francuski deser - creme brilee. Rozkojarzony Burke spoglądał na jezioro. Podmuchy wiatru unosiły świeży śnieg, tworząc niewielkie zawirowania. Burke zastanawiał się, bez względu na to, jak interesujące mogło to być, w jaki sposób wiedza o jakiejś

eksplozji w tajdze sto lat temu i notatki na marginesie starych notatników przechowywanych przez samotnego staruszka mogły pomóc Tommy'emu Aherne - jego samotnemu Stamszkowi?

Znad jeziora doleciał dźwięk dzwonu życzeń.

- No dobra - odezwał się Ceplak. - Tesla wrócił do swoich badań, starając się stwierdzić, co poszło nie tak. Myślał, że pomylił się w obliczeniach pola elektrogravitacyjnego. W notatnikach mojego ojca jest wiele adnotacji na ten temat.

- Czy kiedykolwiek wykonał podobną próbę? Ceplak wzruszył ramionami.

- Chyba nie miał już możliwości. Po incydencie tunguskim rozmontował transmiter. Robi jeszcze obliczenia, pracuje w laboratorium nad usprawnieniem celowania, ale nie ma już pieniędzy na odbudowę mechanizmu. Nie ma już pieniędzy na nic. W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku rozebrano maszt w Wardencllyffe i zabrano jego konstrukcję na złom.

Burke skinął głową rozkojarzony. „Nie ma już pieniędzy na nic”. Myślał o rachunku za ten obiad.

- Sądzę, że twój przyjaciel - zaczął znowu Ceplak wyraźnie i głośno artykułując słowa - jakoś z tym sobie poradził.

- Poradził?

Ceplak nie odpowiedział konkretnie.

- Wilson siedział u mnie dwanaście dni. Studiował notatniki w chronologicznym porządku, zaczynając od tysiąc dziewięćset drugiego roku. Szedł tropem myślenia Mistrza. Ale koncentrował się na latach tysiąc dziewięćset siedem, osiem, dziewięć i dziesięć. Inne notatniki też czytał, ale te cztery zawsze leżały otwarte przed nim na stole. Te cztery notatniki są związane z konstrukcją transmitera i poprawkami w namierzaniu strumienia na cel.

- Okay.

Ceplak odłożył łyżeczkę.

- Myślę, że Jack Wilson chce zbudować taki transmiter. I nie po to, by dać ludziom darmową energię. On buduje broń. Czytał te notatniki, szukając danych potrzebnych do dokończenia własnych obliczeń.

- Uważa pan, że znalazł to, czego szukał?

- Tak. Ostatniego dnia był bardzo zadowolony. Objął mnie z radości, choć zwykle nie okazywał żadnych emocji, i powiedział: „Czas na taniec” - Ceplak podniósł oczy. - Zapytałem go, co to oznacza, ale mi nie wyjaśnił.

Obydwaj milczeli przez chwilę.

- Więc pan sądzi, że on może coś takiego zbudować? Ceplak wypuścił powietrze z ust i spojrzał na Burke'a.

- Jestem nauczycielem, okay? Moje umiejętności są ograniczone. Nie jestem w stanie sądzić, kto i co osiągnie w dziedzinie fizyki. Czy Wilson jest zdolny? Tak. Czy ciężko pracuje? Tak. Czy poświęcił obliczeniom mnóstwo czasu? Tak. Czy Jack Wilson to zbuduje?

- chwila milczenia. - Może. Ale wmawiam sobie, że nie, żeby się nie martwić.

- Dlaczego?

- Myślałem, że on nie ma pieniędzy, żeby cokolwiek zbudować! On... - Ceplak skrzywił się i wzruszył ramionami. - przyniósł mi butelkę taniego wina! Nie mieszkał w hotelu Toplice, tylko w taniej norze. Jadł tylko pizzę, pizzę i pizzę. Nie miał pieniędzy. To oczywiste. Więc myślałem, że jest kolejnym wariatem z wielkimi pomysłami z odchyłem na punkcie Tesli. Że pewnie napisze jakiś artykuł w Internecie o broni strumieniowej Tesli i to wszystko. Ale nagle pojawia się ty i

oświadczasz, że Wilson stał się bogaty i jest terrorystą! Burke wzruszył ramionami.

- Tak powiedziało FBI, a to jest zastanawiające. I nawet za bardzo się nie starali. Jezu, przecież im nawet nie udało się znaleźć pana!

Ceplak pochylił się nad stołem.

- Tak, może masz rację. Może jest to jakieś przeczulenie waszych służb śledczych. Może grają w grę, których zasad nie znamy, ale ty lepiej go znajdź!

- Tak. Oczywiście. Staram się najlepiej, jak mogę - odpowiedział Burke, myśląc, że to wszystko jest totalnie zwariowane.

Jeśli Kovalenko dowie się tego, co on, że stuknięty skazany absolwent Stanforda planuje Bóg wie co ze stuletnim wynalazkiem, który nigdy nie zadziałał, albo raczej, nie zadziałał zgodnie z oczekiwaniami - to Burke ma zupełnie przechłapanie.

Bez względu na to, jak na to wszystko spojrzeć, firma Thomas Aherne i Wspólnicy zbyt prędko nie otworzy drzwi dla klientów.

- „Staram się najlepiej, jak mogę” nie wystarczy - odpowiedział Ceplak. Na twarzy miał ponury grymas. - Incydent jinguski położył dwieście tysięcy hektarów lasu. Sosny, jelenie, jakieś wioski tubylców. Ale... - starzec zawiesił głos.

- Ale co? - zapytał Burke.

- Mam do ciebie pytanie: jaką powierzchnie zajmuje Manhattan?

ROZDZIAŁ 30

JUNIPER, NEVADA 29 KWIETNIA 2005

Wilson znalazł to miejsce w Internecie dwa tygodnie po przylocie do Stanów Zjednoczonych z Lichtensteinu.

„Kawałek rajy na ziemi” - ranczo B-Lazy-B - otoczone było Parkiem Narodowym Humboldta-Toiyabe, bezkresnym terenem rozlewającym się na Kalifornię i Nevadę, pełnym dzikiej przyrody, gór i pustyń, lasów i łąk.

Samo ranczo - z herbem składającym się z jednego stojącego, czuwającego „B” i drugiego „B” leniwie leżącego na plecach - zostało założone w 1921 roku jako ośrodek religijny. Ruch powrotu do natury przyciągał uwagę Amerykanów, którzy zaczęli kwestionować kierunek rozwoju narzucany przez industrializację. Zaczęła nagle postrzegać naturę jako miejsce duchowej i fizycznej odnowy.

Duży budynek główny i kilkanaście chat z bali stały się miejscem spotkań wielu generacji baptystów. Wszystko to trwało do lat czterdziestych dwudziestego wieku, kiedy to konta bankowe sekty zostały wyczyszczone przez jednego z ewangelistów, który następnie uciekł i ukrył się gdzieś w Brazylii. Bank przejął na własność nieruchomości i sprzedał je pewnemu rosyjskiemu imigrantowi, który zawsze marzył o posiadaniu kowbojskiego rancza.

Pojawiła się elektryczność i - wbrew wszelkim przepowiedniom - zarówno ranczo, jak i imigrant świetnie prosperowali. Zainstalowano generator na ropę naftową o mocy tysiąca pięciuset watów, który miał dostarczać prąd podczas częstych wyłączeń sieci. Na potrzeby generatora i w celu dostarczania energii cieplnej w zimie wybudowano podziemne zbiorniki na ropę i propan.

W końcu imigrant z Rosji zaczął przeżywać kryzys wieku średniego i przeniósł się na Key West na Florydzie.

Wkrótce potem B-Lazy-B dostało się w ręce magnata komputerowego, który wydał małą fortunę na wyposażenie głównego budynku w meble i dodatki w stylu Arts & Craft. W kuchni urządzonej luksusowymi niemieckimi meblami firmy Poggenpohl stały lodówka i zamrażarka firmy Sub-Zero, a także profesjonalna kuchenka renomowanej marki Viking. Cała łazienka wyłożona była marmurem. Obok domu mieszkalnego wybudowano kort tenisowy. Nawet basen rekreacyjny całkowicie przebudowano. Zburzono pojedynczy basen z bąbelkami, w jego miejsce zaś wzniesiono obłożone kamieniem spa, składające się z trzech mniejszych basenów o temperaturze wody od chłodnej do bardzo gorącej.

Ranczo przeżywało swój złoty wiek aż do załamania się kursów NASDAQ w 2001 roku. Wówczas magnat i jego młoda żona nagle przestali sobie odpowiadać i rozwiedli się, a ranczo ponownie zostało wystawione na sprzedaż. Niestety dla biznesmena, takiego rancza nie można było tak łatwo się pozbyć. Czasy kowbojów i baptystów już dawno minęły, podobnie jak i

milionerów zainteresowanych kupnem takiej posiadłości jako lokaty kapitału.

Nieuczęszczone drogi do rancza B-Lazy-B stały się wręcz nieprzejezdne. I choć istniało na nim lądowisko dla helikopterów, to nie zostało wyposażone w pas startowy. By się tam dostać, należało mieć helikopter, konia lub samochód terenowy z dodatkową parą opon i wyciągarką. Ale nawet wtedy nadal można było mieć trudności z dotarciem w to miejsce. Z najbliższego miasteczka do B-Lazy-B było siedemdziesiąt kilometrów jazdy po wybojach i koleinach polnych dróg, wijących się przez chaszczę i lasy aż do samego rancza.

Nieruchomość była wystawiona u agenta przez dwa lata, a jego cena wywoławcza spadała z czterech na trzy, aż do dwóch milionów dolarów. W końcu Wilson wynegocjował cenę na milion sześćset, kładąc na stół dziesięć procent i załatwiając sobie kredyt hipoteczny w banku, w którym zdeponował akcje Roche.

Ledwie na umowie kupna wysechł tusz, a już Wilson zaczął robić zapasy. Zakupił wystarczającą ilość propanu, by zagwarantować sobie ciepło w zimie na wiele lat. Wypełnił zbiornik ropą naftową do zasilania całej kolekcji generatorów wyprodukowanych przed 1975 rokiem. Ta ilość ropy wystarczyłaby mu na produkcję prądu non stop aż do ponownego przyjścia Jezusa na ziemię. Firma transportu lotniczego ze Sparks dostarczyła większość tego, czego potrzebował, łącznie z wielkimi szpulami kabli energetycznych i wiązek stali konstrukcyjnej.

Nie było to żadnym zaskoczeniem, że ludzie zaczęli gadać. A szczególnie paplano w barze Wiadro Krwi w „pobliskim” Juniper, położonym około stu kilometrów od rancza. Paczka przyjaciół z okolicy grała w karty i piła whisky, przepijając ją piwem. Podstarzały hipis - poszukiwacz złota, który kazał się nazywać Kijas - był pierwszym, który poruszył ten temat:

- Co on tam, kurwa, kombinuje?

Kowboj siedzący obok, fan Toma Waitsa, uśmiechnął się i zanucił:

- Jeee, co on tam robili...? - ale ta aluzja pozostała niezauważona.

Przy ladzie baru stał ufolog - Vaughn Stein, który przyjechał aż z Provo w poszukiwaniu tajnego poligonu wojskowego zwanego Obszarem 52. Zachichotał i odezwał się takim tonem, jakby znał prawdę:

- Słyszałem, że jest jednym z tych cwaniaków, co gapią się na kozy. Kijas skrzywił się.

- Coooo?

- W Forcie Bragg - zaczął wyjaśniać ufolog - zabijają kozy wzrokiem.

Bar wypełniły okrzyki niedowierzania. W rogu salonu sprzedawca nawozu o ksywce Pielgrzym wrzucał ćwierćdolarówki do jednorękiego bandyty.

- Gówno prawda! - wykrzyknął, nawet nie odwracając głowy w ich kierunku, ani też nie przerywając regularnego pociągania za dźwignię automatu do gry. - Jeśli on cokolwiek będzie tam robić, to na pewno czegoś szukać w ziemi. Pewnie już znalazł jakąś żyłę srebra...

- Albo uranu - dorzucił Kijas. - Słyszałem, że...

- Gówno słyszałeś - odezwał się barman, nalewając sobie do kieliszka likier Drambuie. - On nazywa się Jack Wilson i nie będzie niczego wydobywał z ziemi.

Gracze odwrócili się w jego stronę. Gdy barman przemawiał, wszyscy zawsze słuchali. Był nadwrażliwcem i gdy wyczuł, że jest ignorowany przez ludzi, wcześniej zamykał bar.

- No dobrze, ale skoro nie kopie, to co tam będzie robił? - drażył temat Kijas. Barman cmoknął.

- On jest, jakby to powiedzieć, ekscentrykiem - Kijas dał mu kuksańca, jakby chciał powiedzieć: „Przecież wszyscy o tym dobrze wiemy”.

- Kupił sobie kilka starych motorów - ciągnął dalej barman. - Parę indianów... i jednego nortona shadow.

- Przecież to tylko hobby - stwierdził ufolog - a to nic nie mówi o tym, co on tam konkretnie robi. Barman spojrzał na niego.

- To żaden sekret - oświadczył. - Obserwuje gwiazdy. Pielgrzym zamarł. Z przesadzonym wyrazem niezrozumienia odwrócił się od jednorękiego bandyty i zapytał:

- Co robi?

Barman przecierał blat brudną ścierką. Po chwili podniósł wzrok.

- Rozmawiałem z Chopperem Charliem. W Sparks.

- To ten od helikoptera - wtrącił Kijas.

- No właśnie - odrzekł barman.

- Jest mocno walnięty - zaśmiał się von Stein.

- Niech sobie będzie - stwierdził barman - ale powiedział mi, że przewozi mu dużo różnego gówna na ranczo.

- A co takiego? - dopytywał się ufolog, a jego głos był aż gęsty od podejrzeń.

- Pręty zbrojeniowe, sprężyny...

- Sprężyny? - niedowierzał Pielgrzym. Masz na myśli sprężynujące sprężyny? Barman skinął głową.

- Wielkie. Przemysłowe, wielkości ponad dwustulitrowych beczek.

- Co on z tym, kurwa, będzie robił?

- Już wam mówiłem - powtórzył barman - będzie oglądał gwiazdy.

Teraz gapili się na niego wszyscy klienci. Żaden z nich nie miał pojęcia o czym on mówi, a to było właśnie to, co lubił najbardziej. W końcu westchnął i wyjaśnił:

- Właśnie dlatego tu zamieszkał - spojrzał na sufit żółty od dymu miliona papierosów i dodał: - Bo mamy tu czyste niebo. Bo jesteśmy daleko od miasta.

- Ale...

- Kupuje teleskop. Wszystko opowiedział Charliemu. Nie jakieś domowe fiku-miku, przez które byście tylko podglądali sąsiadów. To ma być model Wemher von Braun. Ma mieć jakieś czterdziestocalowe lustro, czy coś takiego.

- O czym ty gadasz? - wtrącił ufolog.

- Mówię wam tylko to, co powiedział mi Charlie.

- A co to ma wspólnego ze sprężynami? - nalegał na wyjaśnienia Kijas.

Barman westchnął po raz drugi, dając im do zrozumienia, jak bardzo ich ciemnota wystawia jego geniusz i cierpliwość na próbę.

- Jeśli patrzycie na gwiazdy, galaktyki i inne kosmiczne gówno, musicie mieć stabilne fundamenty albo gówno zobaczycie. Jakikolwiek drgania - przejeżdżająca ciężarówka albo pierdnięcie myszy - i koniec! Cokolwiek, na co patrzyliście, już tego nie ma! W jednej chwili patrzycie na Wielką Niedźwiedzicę, przebiega mysz i jesteście zgubieni w kosmosie, moi przyjaciele. Zgubieni. W Kosmosie! Teleskop jest wrażliwy na drgania!

- Nadal nie wiem, po co mu te sprężyny - przyznał zrezygnowanym głosem Kijas. Barman potrząsnął głową. Jego klienci byli krzyżem, który musiał nieść.

- Powiem ci to wielkimi literami! On chce unieść wieżę obserwacyjną i osadzić ją na sprężynach. Żeby nie było wibracji. I mieć takie prywatne obserwatorium.

Oczy ufologa latały z podniecenia.

- Wiedziałem! To jak w ambasadzie w Moskwie! Szpiegdy mają tam specjalny pokój na sprężynach! W ten sposób nikt nie może ich podsłuchać - przerwał. - No niby może podsłuchiwać... Ale nie będzie nic słyszeć! Bo nie ma żadnych wibracji! Ten gość, Wilson, pewnie sam jest jakimś szpiegiem.

Kolesie przy stoliku do pokera spojrzeli na siebie i zmarszczyli czoła. Barman podniósł kieliszek i powiedział:

- Klaatu verada nikto, człowieku.

To był bardzo pracowity okres dla Wilsona.

W weekend pojechał do Reno i znalazł tam grupę meksykańskich robotników, którzy - jak każdego ranka - czekali na jakąś pracę na parkingu przed 7-Eleven. Było ich czterech i nie mieli nic przeciwko temu, że będą pracować gdzieś daleko, jeśli zapłata będzie godziwa. I była.

W międzyczasie Wilson zakupił dużo zapasów na przyszłość: opony, nasiona i mrożoną oraz suszoną żywność. Narzędzia i wolno rozładowujące się akumulatory, ubrania, książki i zszywacze. Mąkę, ryż i systemy do oczyszczania wody.

Przed Busted Flush Casino spotkał dziwkę, która chodziła w tę i z powrotem po ulicy. Chciała pięćdziesiąt dolców za numer, ale Wilson dał jej stówę, tylko za to, żeby zaprowadziła go do lekarza, który wypisuje recepty i nie zadaje zbędnych pytań. Dwie godziny później miał recepty na percocet, cipro, valium i kilka innych leków. Resztę mógł kupić bez recepty.

Czego nie dało się przewieźć pick-upem, dostarczył helikopterem. Oprócz kabla, stali i zbiorników na paliwo, helikopter dowiózł drewno konstrukcyjne i całą górę paneli słonecznych, które mogłyby się w przyszłości przydać.

Z bronią było trochę trudniej. Ze względu na wyrok, jaki dostał - oficjalne kupienie broni w sklepie w Reno nie wchodziło w grę. Ale nie był to problem nie do pokonania raczej drobny kłopot. Na niedzielnym targu broni, zorganizowanym w sali gimnastycznej liceum w Yerington, znalazł to czego szukał: sztucer, glocka i berettę. Trafiał nawet na lepsze ogłoszenie w „Pubrump Valley Times” - ktoś sprzedawał karabinek maszynowy Ingrama (trochę używany). Nawet się nie zawahał. Taki zapas broni wystarczy mu na pierwsze dni, aby odstraszyć intruzów. A później to i tak nie będzie miało znaczenia.

Przygotował też listę spraw do załatwienia w związku z domem. Przed „tym” dniem musiał odciąć się od sieci energetycznej i upewnić się, że żaden z generatorów nie będzie mógł przenieść impulsu.

Najważniejszym aspektem rancza B-Lazy-B, oprócz odległości od ludzkich siedlisk, była bliskość wieży obserwacyjnej do wykrywania pożarów wybudowanej przez oddziały obrony cywilnej w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Dziewięćdziesiąt procent takich wież zostało już wyburzonych, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych działacze na rzecz zachowania zabytków zdążyli uratować te, które jeszcze stały. Wiele z nich odnowiono i wystawiono na wynajem - ale chyba tylko prawdziwi poszukiwacze przygód chcieliby w nich zamieszkać. Większość nie miała wody ani kanalizacji, a mieszkanie w takiej wieży przypominało życie w latarni morskiej. Należało polubić schody.

Około kilometra od budynków rancza stała wieża obserwacyjna Little Mount Baker, która była jedną z ostatnich przeznaczonych do odnowienia. W odróżnieniu od pozostałych zachowanych wież, nie miała żadnych udogodnień. Obserwatorzy mieszkali w nieistniejącej już drewnianej chacie sto

metrów od wieży.

Wieża nie była tak solidna, jak ta wybudowana przez Teslę w Wardencllyffe za pieniądze J.P. Morgana, ale, z wierzchołkiem na wysokości dwóch tysięcy dwustu metrów nad poziomem morza, dawała doskonałą widoczność we wszystkich kierunkach i była prawie perfekcyjna do adaptacji przez Wilsona na to, na co postanowił ją przeznaczyć.

Broń, o czym Wilson doskonale wiedział, nie była problemem ani samym w sobie, ani dla niego. Tesla zbudował coś podobnego sto lat wcześniej, choć przecież nie miał Internetu, który tak ułatwia sprawę. Serb musiał sam wymyślić i wyprodukować wiele elementów, które teraz były na kliknięcie myszką i można je było ściągnąć z hurtowni elektronicznej w Kanadzie.

Jedynym problemem była sama wieża.

Trzy warunki musiały być spełnione, by mogła odegrać swoją rolę w planie Wilsona. W Wardencllyffe, by pozyskać fale elektryczności statycznej niezbędne do zwiększenia mocy transmitera, Tesla zakopał w ziemi ostrze długości trzydziestu dziewięciu metrów. Wilson osiągnął ten sam cel przy pomocy firmy wiertniczej Black Mountain.

Wbrew radom jej właściciela, Wilson zlecił wiercenie studni bezpośrednio obok wieży. Mężczyzna zdziwił się.

- Przecież tu nie ma wody - argumentował - a jeśli jest, to bardzo głęboko, pod wieloma warstwami skalnymi. Dlaczego nie mogliśmy...

Ale Wilson był uparty. Przecież to on płacił.

Studniarz musiał się zgodzić. Przez cały tydzień wiercenia złamał pięć wiertel, klnąc wściekle za każdym razem. Wilson bał się, że zaraz dowiercą się do wody i polecił przerwać wiercenie na głębokości czterdziestu metrów.

- Muszę to przemyśleć - powiedział i zapłacił wykonawcy z nawiązką za czas, wysiłek i za złamane wiertel.

Mając wywierconą studnię, Wilson załatwił dostawę wyprodukowanych na zamówienie hartowanych prętów żelaznych o długości półtora metra i grubości dziesięciu centymetrów każdy. Ekipa robotników meksykańskich opuszczała je po kolei do wywierconej dziury, skręcając jeden z drugim, by utworzyły pojedynczy długi pręt przewodzący prąd.

Po ukończeniu tego etapu prac, Wilson nadzorował Meksykanów przy układaniu kabla energetycznego od generatora do podstawy wieży, odległych od siebie o ponad pół kilometra.

Trzecie zadanie było najtrudniejsze. Sama wieża - a szczególnie pomieszczenie obserwacyjne na jej szczycie - musiała zostać ustabilizowana. Tesla miał tu sporą przewagę, bo zlecił pracę jednemu z najlepszych ówczesnych architektów. Stanford White potraktował wymagania Tesli poważnie i zaprojektował wieżę w Wardencllyffe w taki sposób, by była tak stabilna, jak obserwatorium astronomiczne.

Tak samo jak Philippe Petit, Francuz, który przeszedł po linie rozpiętej pomiędzy wieżami World Trade Center w 1974 roku, White doskonale rozumiał kwestie uginania i kołysania się konstrukcji. Wilson również świetnie to pojmował. Jakikolwiek ruch mógłby zaburzyć kierunek strumienia.

Podobnie jak półkoliste zwieńczenie wieży Wardencllyffe, pomieszczenie na szczycie wieży obserwacyjnej Wilsona wybudowane zostało na konstrukcji ażurowej. Przy pomocy Meksykanów unoszących poszczególne elementy, Wilson usztywnił jej konstrukcję, korzystając ze stalowych dwuteowników i wbudował w nią przetworniki ciśnieniowe. Podłączone do komputera monitorowały zmiany ciśnienia w konstrukcji wieży. Topozwoliło Wilsonowi na znalezienie miejsc

na zainstalowanie mechanizmów tłumiących. Dostrojone do częstotliwości drgań wieży amortyzatory tłumiące drgania doskonale stabilizowały konstrukcję pod kabiną obserwacyjną.

W celu całkowitego unieruchomienia kabiny Wilson tak przebudował jej podstawę by była konstrukcją „pływającą” osadzoną na zespołach owalnych sprężyn amortyzujących o wadze czterdzieści kilogramów każda. Tak samo jak pręty żelazne sprężyny zostały wykonane na specjalne zamówienie. Po zainstalowaniu amortyzatorów tłumiących wszelkie drgania, kabina obserwacyjna była niezależnie zawieszona od samej konstrukcji wieży i gotowa do wypełnienia dzieła Wilsona.

Meksykanie nie mieli pojęcia, co zamierzał robić z tą wieżą, zresztą wcale ich to nie obchodziło. Myśleli, że jest lekko stuknięty, a Wilsonowi to zupełnie nie przeszkadzało. Gdy skończyli pracę, zapłacił im gotówką i kupił im bilety do Los Angeles. Im byli dalej od rancza, tym lepiej.

Najbardziej przejmował się pilotem helikoptera. Ten weteran wojny wietnamskiej z kitką z tyłu głowy i szarymi od palenia metamfetaminy zębami, Chopper Charlie, był niezbędny do realizacji planów Wilsona, ale jego ciekawość była niebezpieczna. „Co z tym będziesz robił, człowieku?”, „Do licha! To kupa kabla!”. „Patrzcie na te sprężyny! Po co one panu?”.

Wilson zaczął nawet myśleć o jakimś wypadku. To nie byłoby wcale trudne, ale zawahał się z realizacją tego planu. Nawet zupełnie przejrzysty „wypadek” mógłby wzbudzić zbędną ciekawość. Przyjechałby policja, zadawaliby pytania i wtedy mogłoby się wydarzyć dosłownie wszystko.

Rozwiązanie przyszło Wilsonowi do głowy pewnego wieczoru, gdy siedział na ganku przed domem, patrząc na gwiazdy i myśląc o Irinie. Następnego dnia zamówił w firmie w Teksasie dwa teleskopy o trzydziestocentymetrowej średnicy z refrakcyjnymi soczewkami, a następnie zadzwonił do Choppera Charliego, by je przywiózł. Razem rozpakowali teleskopy.

Pilot był pod wrażeniem ekscentrycznego hobby Wilsona. Był zachwycony, że Wilson zaprosi go na „gwiezdą imprezę”, jak tylko ustabilizuje wieżę.

Zaczął też budować broń. Gdy największa część została dostarczona, sam wciągnął ją na platformę obserwacyjną. Nie miał żadnych problemów z budową i montażem działa. W międzyczasie skończył budowę mniejszego odpowiednika głównej broni.

Mniejsze działo było potrzebne do przeprowadzenia testów, które miały dać mu całkowitą pewność, że rozwikłał problemy Tesli związane ze skupianiem wiązki. Podobnie jak w przypadku wieży, trudność stanowiły tylko drgania i stabilizacja konstrukcji, czyli zbudowanie solidnej podstawy.

W tym celu kupił cadillaca escalade w wersji pick-up o krótkiej skrzyni i zainstalował na niej cały zestaw dodatkowych amortyzatorów i mechanizmów pochłaniających drgania. Pół-ciężarówka stała się cięższa, więc prowadziło się ją jak wóz z sianem. Ale dla jego potrzeb było to w zupełności wystarczające.

Choć mapy topograficzne zdobyte w Internecie okazały się bardzo przydatne, to dobór celu był problemem, który nie mógł zostać rozwiązany, dopóki Wilson nie wybrał się tam z własnym urządzeniem GPS. Kupił zegarek firmy Garmin z wbudowanym GPS-em, co pozwalało na dokonywanie pomiarów bez zwracania na siebie szczególnej uwagi.

W głowie miał już poukładaną listę „małych” celów, na której szczycie był Joe Sozio, prokurator federalny północnego regionu Kalifornii. Ale Wilson wcale nie chciał od niego zaczynać. To byłoby jak zjedzenie desem przed głównym posiłkiem.

Biuro Patentowe było oczywistym kandydatem na kolejny cel jego testów, ale efekt ataku mógłby nie zostać właściwie nagłośniony. Zniszczenie Biura Patentowego byłoby jak powalenie jednego

drzewa w lesie. Jeśli nikt tego nie widział i nic nie słyszał, to po co to robić? Nowojorska giełda byłaby z pewnością doskonałym celem, ale jej lokalizacja powodowała pewne problemy. Trudno byłoby znaleźć miejsce do naprowadzenia strumienia. A po drugie ucieczka z tego miejsca byłaby utrudniona przez korki uliczne.

Zastanawiał się także nad uszkodzeniem jakiegoś satelity, ale szybko odrzucił ten pomysł. Po pierwsze, nie był pewien, czy uda mu się to zrobić. Po drugie, zniszczenie satelity nie byłoby przypuszczalnie nagłośnione w prasie. A poza tym nie chciał kombinować z mchem lotniczym, dopóki nie przyleci do niego Irina.

Był jeszcze jeden bardzo kuszący cel: Kościół Świętych Dnia Ostatniego - świątynia mormonów. Po pierwsze, była dość blisko i można było oddać prosty strzał, jakieś sześćset kilometrów na wschód. Poza tym stała przy najrzadziej uczęszczanej drodze na świecie. Najważniejszy argument „za” był taki, że Wilson miał osobiste porachunki z mormonami: to właśnie oni wygnali Paiutów z ich własnych terenów. Byłoby cudownie zniszczyć ich archiwa genealogiczne przechowywane w kryptach pod świątynią. Ale to też nie miałyby zbyt wielkiego odzewu. Trochę by to może zaburzyło ich działania, przez jakiś czas przerzuciliby się na papier, a w końcu odtworzyliby archiwum elektroniczne. Przez krótki czas byłoby najwyżej trochę mniej chrztów, ale jeśli ktoś nie był mormonem, to nie zwróciłby na to w ogóle uwagi. Wilson też miał to gdzieś.

A takie rozumowanie prowadziło tylko do jednego celu: SWIFT-u. Był to szeroko znany na całym świecie skrót, pod którym kryła się nazwa organizacji finansowej - Society for Worldwide Interbank Financial Telecommunications - łączył około ośmiu tysięcy instytucji finansowych ze stu dziewięćdziesięciu czterech krajów, przesyłając informacje i dokonując przelewów bankowych na łączną sumę sześciu bilionów dolarów dziennie. I siedziba tej organizacji wcale nie mieściła się w Nowym Jorku. Znajdowała się w Culpeper w Wirginii, sennym miasteczku rozłożonym w cieniu gór Blue Ridge. Atak na Culpeper to był dublet - jak dwie pieczenie na jednym ogniu, bo mieściła się tam jeszcze jedna ważna instytucja finansowa - Culpeper Switch - czyli centralny węzeł informacyjny systemu bankowego rezerwy federalnej. Dlaczego te dwie ważne instytucje wybrały na swoje siedziby tak mało znane miasteczko pozostawało dla wszystkich tajemnicą. To była niezła premia dla Wilsona. Dwie zdobycze za jednym zamachem.

Miał nadzieję, że linia celowania w Culpeper nie będzie problemem, a ponadto użyje broni w taki sam sposób, jak miał to zamiar zrobić dwudziestego drugiego czerwca.

Cieszył się na myśl o ataku. Moc strumienia można było płynnie regulować, więc nie zdecydował jeszcze z jaką siłą przeprowadzi uderzenie. Oczywiście, że nie chciał spowodować nowego incydentu tunguskiego - nie przy takim celu. To ściągnęłoby zbyt duże i zbyt wczesne zainteresowanie. Najlepiej jakby zniszczenia były na poziomie poniżej całkowitej katastrofy, trochę wieloznaczne, a nawet odrobinę subtelne. Niech ludzie się zastanawiają: czy to był wypadek? A może była jakaś naturalna przyczyna tych wydarzeń? Jak to się mogło stać? Gdy uruchomi broń na wieży, to wszystko się zacznie rozpadać i cała Ameryka będzie już wiedziała, że została zaatakowana. Ale wtedy będzie już za późno na zastanawianie się i reakcję. Bo już będzie po wszystkim. I wtedy nie będzie już w tym nic subtelnego. (Nie będzie też nic subtelnego w tym, co się stanie z Robbiem Maddoksem. Ale to już inna sprawa. Zupełnie osobista).

Ciężka praca fizyczna na ranczu odmieniła Wilsona. Po dwóch miesiącach na B-Lazy-B miał napakowaną sylwetkę. Zdrowe odżywianie, podnoszenie ciężkich przedmiotów, wspinanie się i wciąganie ciężarów na wieżę uwypukliły i utwardziły jego mięśnie. Nigdy jeszcze nie był w tak

dobrej formie, nawet wtedy, gdy biegał i grał w futbol - i nawet nie wtedy, gdy dźwigał sztangę i hantle w Allenwood.

Czuł się doskonale. Pod koniec dnia, gdy przechodził z jednego baseniku termalnego do drugiego, zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie był szczęśliwszy. Leżąc w wodzie, rozkoszował się jej gorącem, a głowę chłodziło mu wieczorne powietrze nasączone zapachem okolicznych sosen. Spojrzał ponad korony drzew i dostrzegł na niebie odrzutowiec przesuwający się w ciszy w kierunku zachodnim. Przed jego oczami, jak nagły rozbłysk, pojawiła się przyszłość. Oczywiście, że to będzie rzeź. Nie można już było tego uniknąć. A on był instrumentem z przeszłości. To, co się stanie, będzie niczym innym, jak tylko spełnieniem dawnej przepowiedni.

Swoje nazwisko otrzymał po człowieku, który stworzył Taniec Ducha. Przynajmniej tak mu powiedziano. Sam nigdy nie mieszkał w indiańskim rezerwacie, choć Mandy zabrała go do kilku z nich, nalegając, by poczuł dumę ze spuścizny przodków - ale były to tylko jej pobożne życzenia. Zanim nie dostał się do więzienia, jego indiańska tożsamość była dla niego ni mniej, ni więcej tylko raną z przeszłości - czymś, z czym musiał żyć.

Mandy niemalże siłą zaciągnęła go na pewien rytuał, który wywarł na nim niesamowite wrażenie - odtworzenie Tańca Słońca. Na początku strasznie marudził. Wstawać o wschodzie słońca? Oglądać, jak banda starych ludzi śpiewa i tańczy? Ale, ku jego własnemu zdziwieniu, coś było w tym nocnym staniu na chłodzie, w skupionym oczekiwaniu, w grupie ludzi, którzy wyglądali tak jak on. To było wielkie i radosne przeżycie.

Wydawało mu się, że był prawie gotów na utożsamienie się ze swoją kulturową spuścizną, ale kilka tygodni później jego całe życie się rozsypało na kawałki i ta możliwość została na zawsze utracona. Państwo rozdzieliło go z Mandy i umieściło w innej rodzinie zastępczej, w której próbował jakoś przetrwać z bogobojnymi przybranymi rodzicami i siedmioma przybranymi braćmi i siostrami. O Tańcu Słońca mógł już tylko pomarzyć albo napisać o nim wypracowanie.

Dopóki nie dostał się do więzienia Jack Wilson było dla niego zwykłym nazwiskiem, postacią z historii - jak Jerzy Waszyngton czy Martin Luther King.

Wszystko się zmieniło, gdy znalazł się za kratami, pozbawiony swoich wynalazków i przyszłości. Wtedy zdał sobie sprawę ze znaczenia swojego nazwiska - wierzył, że jest wcieleniem Jacka Wilsona, że jest Tancerzem Ducha.

I nagle zrozumiał, że to, co mu się przytrafiło, nie zniszczyło jego drogi życiowej. Było tylko logicznym przedłużeniem procesu wyniszczania Indian amerykańskich. Nie można było uniknąć więzienia. Gdy to wszystko rozważał, doszedł do wniosku, że został podwójnie skazany - raz za swoje dziedzictwo, a drugi raz za swój geniusz. Było to dla niego oczywiste - inwazja na tereny Indian - odwróciła się przeciwko jej sprawcom. Biali zaczęli pożerać najlepszych i najinteligentniejszych spośród siebie. Uświadomiła mu to Ayn Rand.

Leżąc w wodzie z przymkniętymi powiekami i mając na sobie tylko koszulę ducha - własną skórę - Wilson rozumiał, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, po dziesięciu latach, po stu latach! Po dwustu latach! I właśnie teraz temperatura jest w sam raz.

ROZDZIAŁ 31

LONDYN 15 MAJA 2005

Mike Burke stał w deszczu na rogu South Audley Street i Grosvenor Square, obserwując boczne drzwi w budynku ambasady USA. Poprzedniego dnia widział, jak po godzinach pracy wylewa się z nich spora grupa pracowników, która nie wyszła głównym, publicznym wejściem od frontu. Pomyślał, że jest to wyjście, z którego korzysta zapewne Kovalenko.

Była prawie piąta po południu, a Burke czekał już od ponad godziny. Byłoby oczywiście o wiele łatwiej zaczekać przed mieszkaniem agenta FBI, ale nazwiska Kovalenki nie było w żadnej książce telefonicznej ani w spisach telefonów dostępnych w Internecie. Aby dostać jego adres, Burke musiałby wynająć prywatnego detektywa lub słodko zagadać do kogoś z ambasady, kto miał dostęp do wewnętrznej książki telefonicznej. To jednak trochę by potrwało, a Burke nie miał zbyt wiele czasu.

Stał więc na zewnątrz i mókł.

Ogonek interesantów przed ambasadą wił się aż do połowy kwartału wzdłuż liny podwieszanej na słupkach, zupełnie jak na lotnisku. Kolejka była niezwykle spokojna, prawie śpiąca, pokryta morzem parasoli. Z boku wyglądało to jak jakaś tymczasowa wioska połączona ze światem tuzinem telefonów komórkowych. Ludzie jedli, grali w karty, rozmawiali, czytali i zmieniali pieluszki niemowlętom. Od czasu do czasu ktoś wybiegał z kolejki za róg, by skorzystać z toalety i spieszył z powrotem, dziękując osobie, która przypilnowała jego miejsca.

Poprzedniego dnia Burke czekał trzy godziny, by zobaczyć się z Kovalenką, to tylko po to, by dowiedzieć się, że Legat nie mógł go nigdzie „wcisnąć” w plan swoich spotkań. Najwcześniejszy wolny termin miał dopiero za trzy tygodnie.

Trzy tygodnie! W międzyczasie Aherne i Wspólnicy pozostanie zamknięte dla klientów, informacja o Wilsonie nigdzie nie trafi, a Staruszek w Dublinie zapije się na śmierć.

Burke wrócił z podróży do Belgradu i Lubiany i znalazł ojca Kate rozczulającego się nad sobą.

- Jestem jak nakręcany zegar sprężynowy - wyznał, chichocząc - i czuję się, jakby moja sprężyna była całkowicie rozwinięta.

Żeby Burke mógł zrozumieć sens tej mądrości, powtórzył wyrażenie „całkowicie rozwinięta” z uniesionymi brwiami. Wyjechał na niecały tydzień, a w tym czasie Tommy osiągnął taki stan, że rzadko kiedy bywał trzeźwy. Wypijał kieliszek już przy porannej kawie, co dawało mu kopa, jak zapalanie starego harleya na pych. Gdy wieczorami wracał z pubu, musiał być prowadzony przez jednego ze swoich przyjaciół.

Burke zdawał sobie sprawę, że spotkanie z Kovalenką było pilną sprawą, bez względu na to, jakie zagrożenie mógł spowodować Wilson.

Z miejsca, w którym stał, wielokrotnie dzwonił z komórki do ambasady, prosząc o rozmowę z Legatem. Za każdym razem mówiono mu, że Legat jest na konferencji, że „odszedł od swojego biurka” lub też wcale nie odbierano telefonu. Za każdym razem Burke pozostawiał wiadomość, zapewniając asystentkę, że sprawa jest poważna.

Lecz nie było żadnego odzewu.

Gdyby to Tommy miał tu coś zdziałać, to już by to rzucił w diabły. Staruszek twardo utrzymywał, że wszystko trzeba zostawić w rękach irlandzkich sądów. Ich prawnik uważał, że strona Aherne i Wspólnicy wygra sprawę, bo przecież nie zrobili niczego złego. Ale zanim dojdzie do rozprawy, może jeszcze minąć dużo czasu.

- Jak długo to może potrwać? - dopytywał się Burke.

- Jak będziecie mieli szczęście - odpowiedział adwokat - to być może sprawa stanie na wokandzie pod koniec czerwca.

- Czerwca?! - jednym głosem wykrzyknęli przerażeni Burke i Tommy. Prawnik skrzywił się.

- Albo dopiero w lipcu.

Właśnie dlatego Burke stał przed ambasadą, na wietrze, omiatany deszczem. Czekał i czekał, dzwonił i dzwonił. I jeszcze musiał śledzić tego gnojka.

Kovalenke spotkał tylko raz - podczas przesłuchania w komendzie policji. Ale rozpoznałby go w każdej chwili. Nalana twarz, usta wąskie jak brzegi portmonetki, małe świńskie oczka... Ciągłe mu się wydawało, że widzi gębę tego szpicla wychodzącego z budynku. Ale to zawsze był ktoś inny.

Obserwacja to dziwne zajęcie. Potwornie nudne, oprócz momentów, gdy coś się dzieje, a potem to już czysta adrenalina. Wymaga też specyficznego poziomu skupienia uwagi. Trzeba było być, a jednocześnie nie być w danym miejscu o odpowiednim czasie - zupełnie jak kot Schrodingera w jego filozoficznych rozważaniach.

Burke wyglądał zapewne dość podejrzanie. Kwestią czasu było, kiedy pełniący wartę żołnierz piechoty morskiej lub jakiś policjant podejdzie i zapyta się, co on tu tak długo robi.

Do strachu dorzucał jeszcze obawy, że przegapił swój cel, albo że Kovalenko wyszedł innymi drzwiami. W okolicy musiał być jakiś parking - albo za budynkiem - albo podziemny. Może Kovalenko miał samochód? Wtedy faktycznie Burke mógł go nie zauważyć. Prawie porzucił już wszelkie nadzieje, gdy nagle zza rogu wyłonił się Kovalenko.

Burke był całkiem niezły w rozpoznawaniu funkcjonariuszy różnych służb policyjnych. Było coś w ich sylwetkach, w ich chodzie. A Kovalenko równie dobrze mógłby nosić mundur. W pewnym sensie on „nosił mundur”. Jego włosy były „bardzo” uczesane, bo w zaschniętym żelu na głowie widoczne były ślady ząbków grzebienia. Nosił przepisowy garnitur w stylu Dicka Tracy, niebieską koszulę i krawat w paski. W prawej ręce - obowiązkowo ozdobionej roleksem - niósł czarną, błyszczącą aktówkę. Jego krok był charakterystyczny dla osoby uprzywilejowanej, mającej prawo do noszenia broni w kraju, który broni nienawdził.

Burke poszedł za nim. Kovalenko skręcił za róg i wszedł do Nightingale Arms, małego pubu wyłożonego mahoniowym drewnem i przystrojonym kuflami z rżniętego szkła. W środku było tłoczno i gęsto od tytoniowego dymu; grupka młodych ludzi rozmawiała o wartości akcji giełdowych i urodzie ekspedientek sklepów przy Bond Street.

Przy barze kłębił się tłum. Burke obserwował, jak Kovalenko zaczepia barmana i wręcza mu pieniądze. Po chwili Legat odszedł z kieliszkiem czerwonego wina. Z zachowania Kovalenki wynikało, że jest stałym bywalcem Nightingale Arms. Pewnie przychodził tu codziennie po pracy.

Agent FBI usiadł na ławie przy małym stoliku w rogu, obok młodej pary patrzącej na siebie znad szklanek z piwem. Burke podszedł i dotknął wolnego krzesła.

- Czy mogę się przysiąść?

Kovalenko wykonał wspaniałomyślny gest ręką.

- Proszę bardzo.

Burke'a zdenerwowało, że szpicel go nie rozpoznał, tylko siedział i oglądał swoje paznokcie. Zauważył, że były wypielęgnowane.

Tłum w pubie brzęczał wzbierającymi i opadającymi falami hałasu podobnego do śpiewu cykad późnym latem. Niewytłumaczalne crescendo i diminuendo dźwięków.

Burke pochylił się do przodu.

- Śledziłem pana - powiedział.

Brwi Kovalenki niemal złączyły się ze sobą. Wydawało mu się, że się przesłyszał. Przysunął się w stronę Burke'a i przechylił głowę, żeby lepiej słyszeć.

- Słucham?

Burke wstał ze swojego miejsca i wcisnął się na ławeczkę obok Kovalenki, tak, żeby ten nie mógł teraz nagle wyjść.

- Śledziłem pana - powtórzył.

Kovalenko zamrugnął. Skrzywił się. Jego oczy zaczęły latać na prawo i lewo, a potem spoczęły na rękach Burke'a. Widząc je na stole, Legat uspokoił się.

- A po co?

Burke pokręcił głową i uśmiechnął się gorzko.

- Nawet pan nie pamięta kim jestem, prawda? Kovalenko podniósł kieliszek. Wypił łyk wina. Oparł się o ścianę. Zlustrował Burke'a od stóp do głów. Potem zachichotał.

- Dublin - wypluł z siebie.

- Właśnie.

- Ty jesteś tym facetem od Ayn Rand. Burke, tak?

- Właśnie.

Kovalenko spojrzał na niego:

- Okay, więc co mogę dla pana zrobić, panie Burke?

- Miałem nadzieję, że może pan oddzwoni. A pan tylko zamknął nasze biuro. Firmę mojego teścia. Miałem nadzieję, że to załatwimy.

Kovalenko odprężył się. Oparł się o ścianę i opuściło go całe napięcie. Spojrzał na Burke'a, jakby ten był tylko taflą szkła i westchnął.

To wkurzyło Burke'a jeszcze bardziej. Ale trzymał emocje w ryzach. Sięgnął do kieszeni i wyjął karteczkę na której wydrukował następujące informacje:

Jack Wilson P.O. Box 2000 White Deer, PA 17887 (Allenwood Prison) Stanford University
Obliczanie ciągu wektorowego par skalarnych

- Mieliście rację co do faceta, którego poszukujecie - wyznał Burke, podając kartkę Kovalence. - On jest niebezpieczny.

Agent spojrzał na kartkę.

- To jest ten d'Anconia? Burke przytaknął.

- Podejrzewam jednak, że nie jest to jego aktualny adres - zawyrokował Kovalenko. - Jeśli tak, to

mamy po sprawie.

- Nie. On wyszedł z więzienia.

- A co to jest? - zapytał Legat, kładąc karteczkę na stoliku, by Burke mógł zobaczyć, o co mu chodzi i postukał palcem. - Ciąg wektorowy - co to jest ciąg wektorowy?

- To powód, dla którego Wilson pojechał do Belgradu - odpowiedział Burke. - Zbierał informacje o Tesli.

- O tym wynalazcy?

- Właśnie. - Burke był zdziwiony, że agent o nim słyszał.

- Więc czego pan Wilson szuka u nieżyjącego wynalazcy? - dopytywał się Legat. - Odrabia jakieś zadanie domowe z fizyki?

Burke zignorował ironię agenta.

- Myślę, że chce zbudować broń. Kovalenko zachichotał.

- Broń! No cóż, to cudowne! Może wynajdzie katapultę. Burke przyjął ten dowcip z uśmiechem i skinieniem głowy.

Chciał powiedzieć siedzącemu obok agentowi specjalnemu, dlaczego Wilson powinien być potraktowany poważnie, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Legat uciął jego wyjaśnienia, podnosząc rękę jak policjant zatrzymujący ruch.

- Więc jakbym chciał pogadać z panem Wilsonem, to gdzie mogę go znaleźć? Burke pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Nie wiesz.

- Niestety, niezbyt dokładnie.

- Ale jak dokładnie? - dopytywał się Kovalenko. - Czy jest w Chinach? W Brazylii?

- Nie wiem, gdzie jest. Dałem panu wszystko, co miałem. Jego nazwisko. Allenwood. Stanford. To wszystko. I wcale nie było łatwo to znaleźć - przerwał. - Proszę posłuchać - powiedział. - Myślę, że powinniście podejść poważnie do tego faceta. On jest...

- To teraz ja coś ci powiem - zaczął znudzonym głosem Kovalenko. - Mam dosyć swoich spraw na głowie. Mam komórki terrorystów, realnych facetów z bombami na północy. Mam problemy z kontenerowcami i brudnymi bombami, z chińskimi gangami przemycającymi ludzi i z Czeczenami. Nawet nie wspomnę o Nigeryjczykach, którzy wszędzie się kręcą i we wszystko wchodzi. I wiesz co? I czeka mnie operacja. Woreczek żółciowy! Czy wiesz, jakie to niebezpieczne? Burke chciał go zabić.

- Jak co jest niebezpieczne? - zapytał. - Bomby czy pana woreczek żółciowy? Kovalenko uśmiechnął się, jakby Burke właśnie dał mu pozwolenie na jakąś akcję.

- Pozwól, że coś ci wytłumaczę - zaczął. - To, o co w tym wszystkim chodzi - ty, ja, siedzimy tu razem i gadamy - to współpraca. Chcesz, żeby twoja firma znów działała? Chcesz, żeby cofnąć oskarżenie? Pomóż mi znaleźć tego faceta.

- Już pomogłem - odpowiedział Burke.

Kovalenko pokręcił głową i westchnął, symulując bezgraniczną wyrozumiałość.

- No niezbyt. - Wypił kolejny łyk wina. - Prawda jest taka, że faktycznie chciałbym pogadać sobie z panem... - spojrzął na karteczkę - ...Wilsonem. Ale muszę być z tobą szczerzy. On nie jest teraz nawet w pobliżu mojej listy „spraw na dziś”. A poza tym - zaczął machać karteczką, jakby chciał ją wysuszyć - co mi po tym tutaj? To stare wiadomości.

- Ale ma pan jego nazwisko. Więzienie ma kartotekę. Stanford... Moglibyście go znaleźć.

Kovalenko wzruszył ramionami.

- Może. Ale jak to ma pomóc tobie? Jeśli to ja go znajdę? Burke był zszokowany.

Kovalenko się zaśmiał.

- Chcesz z powrotem otworzyć firmę, tak? Burke skinął głową.

- Okay - zaczął Kovalenko - jak też się ona nazywa? - Skrzywił się, udając, że głęboko myśli. -

Gówniarstwo i Wspólnicy, tak? Coś w tym stylu. Chcesz z powrotem otworzyć Gówniarstwo i Wspólników. Nie ma sprawy. To powiem ci, co masz zrobić: znajdź swojego klienta! Ale znajdź go zanim ja go znajdę. Bo jeśli to ja znajdę go pierwszy, to nic, kurwa, wam nie pomoże. Rozumiesz, co mówię? I nie opowiadaj mi, gdzie on był kilka miesięcy temu, bo to mi do niczego się nie przyda.

Burke wziął głęboki oddech i policzył do pięciu.

- Powiedzmy, że go znajdę...

- Wtedy ubijemy interes - oświadczył wspaniałomyślnie Kovalenko. - Powiem policji, żeby się wycofała i możecie wrócić do tego, co potraficie robić najlepiej: zakładać firmy ludziom, którzy chcą oszukiwać na podatkach.

Burke wziął jeszcze głębszy oddech. Chciał przyłożyć temu gościowi. Zamiast tego powiedział:

- Skąd będę miał pewność, że pan robi to, co pan obiecuje? Kovalenko wzruszył ramionami.

- Bo ja zawsze robię to, co mówię. I tak w ogóle, to nie dzwoń do mnie bez konkretów. Nie męcz mojej asystentki. Jest bardzo zajęta. A ja, co może ci się wydawać zupełnie niezrozumiałe, mam inne priorytety.

„Inne priorytety”. To wszystko, co Burke mógł przyjąć. Siedział jak kołek, obserwując czerwoną mgłę wściekłości opadającą mu na oczy i zastanawiając się, czy przywalić Kovalence na odlew, czy walnąć z byka. Zdał sobie jednak sprawę, że w niczym by to nie pomogło, choć niewątpliwie dostarczyło pewnej satysfakcji - nawet na krótką chwilę.

Kovalenko nie mógł wiedzieć, że Burke ma ostry temperament. I to taki, który trudno okiełznać. Jego rodzice bardzo się napracowali nad wykorzeniem tej cechy, z premedytacją zabierając go do Charlottesville na treningi karate, aby mógł się wyżyć w hali sportowej w bardziej cywilizowany sposób.

Burke myślał: jeśli walnę go w pysk, to tak naprawdę nic wielkiego się nie stanie, nie zrobię mu wielkiej krzywdy. Ale jeśli wyciągnie broń, to odstrzeli mi łeb. Więc może tak go walnąć, by od razu stracił przytomność: złapać za krawat, pociągnąć i dać z byka. Przez moment uznał to nawet za dobry plan. Ale tylko przez moment. Napaść na agenta FBI mogła zakończyć się tylko zapakowaniem Burke'a za kratki, a to zupełnie zniszczyłoby Staruszka w Dublinie. Ale nawet...

Nadal o tym myślał, gdy zobaczył, że siedząca obok niego młoda dziewczyna, tuląca się do swojego chłopaka, niemal wchodząca mu na kolana, wyglądała na przerażoną. Burke zauważył, że Kovalenko też, choć lepiej się maskował.

Wstał. Adrenalina odpłynęła, pozostawiając go oszołomionego i zdezorientowanego. Odwrócił się, przecisnął przez tłum i wyszedł na zewnątrz. Przez moment stał tam z przymkniętymi powiekami, z twarzą zwróconą w stronę nieba, chłodząc się kroplami deszczu.

*

Na Morzu Irlandzkim nieźle kiwało. Prom topił się w deszczu, prując przez fale. Burke stał na pokładzie, trzymając się relingu, owiewany drobinami wody od dziobu. Wzrok miał skupiony na falach, ale jego umysł był w Londynie. To byłoby wspaniałe sprawić fizyczny ból Kovalence - błąd,

tak, ale jaki smakowity. Teraz jest za późno; pewnie już go nigdy nie spotka.

Główna kabina pasażerska pełna była dzieci w mundurkach wracających z wycieczki po dużym mieście. Były pełne entuzjazmu, radosnej ruchliwości, brzęczącego śmiechu.

On sam wręcz przeciwnie. Czuł się jak krab bezmuszłowy, opatulony swoją kurteczką od Burberry, z chmurnymi myślami za kurtyną powiek.

ROZDZIAŁ 32

DUBLIN 5 CZERWCA 2005

Gdy Burke z powrotem znalazł się w domu, owładnęła nim chandra, jeden beznadziejny dzień przechodził w kolejny. Minęły ponad dwa tygodnie, podczas których nie robił nic, tylko oglądał telewizję i pił. Większość nocy przesypiał w ubraniu.

Czuł się jak w pułapce.

Był wściekły na Kovalenkę, ale jego wściekłość rozciągała się także na Wilsona. To, czy wszystko z powrotem zacznie dobrze działać, od chwili kiedy Francisco d'Anconia wszedł do biura Aherne i Wspólnicy, zależało od tego, czy Mike Burke sam się weźmie za rozwiązanie istniejących problemów.

Burke czuł nie tylko złość. Oprócz tego czuł też lęk. Nagle okazało się, że Kovalenko miał inne priorytety niż Jack Wilson, z których wcale nie ostatnie miejsce zajmował jego woreczek żółciowy. Ciekawe jak długo to trwało, zastanawiał się Burke. Wtedy przypomniał sobie rozmowę telefoniczną z podwładnym Kovalenki lub kimkolwiek ten facet był: „Masz kłopoty, mój przyjacielu”. Czy oni wszyscy byli tacy sami? Czy w zakresie obowiązków mieli wpisane, że należy być dupkiem? Co to było, co on powiedział o Kovalence? „Jest w warsztacie”.

Wtedy nie miało to żadnego znaczenia. Dopiero teraz się wszystko wyjaśniło. Oznaczało to, że Kovalenko był w szpitalu albo na jakichś badaniach. A teraz miał mieć operację. Jezu, pomyślał Burke, Kovalenki ta sprawa w ogóle już nie interesuje.

Jeśli Kovalenko nie przejmował się Wilsonem, to kto się nim zajmie? Burke mógł próbować zainteresować kogokolwiek tą historią, ale kogo? To, co wiedział, raczej nie wystarczy, aby przekonać kogokolwiek, że Wilson może być niebezpieczny.

Kilka razy oderwał się od telewizora i próbował dowiedzieć się czegoś o strumieniu cząsteczek lub broni o ukierunkowanej energii. Okazało się, że mimo wojny trwającej w Iraku Pentagon pompował sporo funduszy w nowe typy broni. Jakaś firma z Wirginii pracowała nad bronią o nazwie Stun Strike. Miało to być urządzenie działające na zasadzie cewki Tesli, które wystrzeliwałoby błyskawice światła oślepiające i porażające przeciwników. Firma Raytheon próbowała opracować inną broń, której zadaniem miało być niszczenie elektronicznych zespołów sterujących rakiet typu Stinger, min lądowych, samolotów bezzałogowych, a nawet myśliwców.

Kolejnym projektem badawczym, opartym o te same technologie wyjściowe, były próby wytworzenia strumienia, który mógłby spalić tłum lub mieszkańców całego budynku promieniami mikrofalowymi. Pod wpływem tego strumienia woda, która jest składnikiem ludzkiego ciała, gotowałaby się aż do momentu, gdy ofiary zaczynałyby odnosić wrażenie, jakby poparzyły się od zbyt intensywnego opalania. Celem takiego promieniowania miało być zatem panowanie nad ludźmi, a

całe piękno tej broni polegało na tym, że po jej użyciu wszyscy czuli się normalnie i byli zdrowi. Taka broń mogłaby mieć nawet zastosowanie w normalnym życiu - doskonale nadawała się do kontrolowania tłumów i zapobiegania zamieszkom. A gdy szturmujący tłum się nie zatrzyma, to zawsze można zmienić parametry strumienia. Wtedy wszyscy padną na ziemię i będą czuli się tak, jakby naprawdę zaczęli się palić. Wystarczy jeszcze trochę podkręcić strumień i ugotują się od środka, aż będzie na nich pękać skóra.

Kovalenko mógł coś wiedzieć o działaniach Pentagonu, ale zapewne nie potrafił połączyć ich z Tesla, który był sławny ponad sto lat temu. A prawda była taka, że Kovalenko nie wiedział wystarczająco dużo, by zacząć bać się Wilsona.

I nawet nie był zainteresowany poznaniem prawdy. Dla tego agenta specjalnego Jack Wilson był takim samym zagrożeniem, jak byle jaki Nigeryjczyk.

Pewnego ranka Burke wstał wcześniej i w nagłym ataku masochizmu wziął zimny prysznic. Ku swojemu zdziwieniu, poczuł się znacznie lepiej. Odżył. Zrobił sobie kawę i poszedł z kubkiem do komputera. Postanowił wreszcie wziąć się w garść.

Był już zmęczony tym pływaniem w miejscu, podczas gdy świat dookoła wirował znacznie szybciej. Jeśli czegoś szybko nie zrobi, to sam utonie. No więc co masz zamiar ze sobą zrobić, chłopcze? Zacząć występować w tym cyrku? Nauczyć się brzdąkać na gitarze? Znaleźć sobie jakiegoś guru w starym Syjamie?

A może tak znaleźć Wilsona?

Wreszcie jakiś dobry pomysł, pomyślał. Mogłbym poszukać tego Wilsona. Ale co z nim zrobić? Wysłanie gnojka pocztą kurierską do Kovalenki pewnie i tak by zbyt nie pomogło. Z drugiej strony obaj byli siebie warci. Może byłoby im nawet dobrze ze sobą. A potem, wreszcie, życie mogłoby dalej toczyć się normalnym trybem.

Tak myśląc, wpisał do wyszukiwarki Google następujące hasła: jackwilson, Stanford, skazany.

W jakiś dziwny sposób Wilson stoczył się z poziomu akademików Stanforda do bloku więziennego w Allenwood. To niezła transformacja, i może nawet wystarczająco dobra historia, by trafić do gazet.

Strzałka kursora zmieniła się w symbol klepsydry i po sekundzie ekran rozświetlił się listą kilkudziesięciu trafień.

Burke kliknął na pierwsze z nich z datą dwudziestego drugiego listopada 1995 roku, gdzie zamieszczono informację z gazety „San Jose Mercury”.

ABSOLWENT STANFORDU WINNY PRZESTĘPSTWA Autor: Judi Whitestone

Absolwent Uniwersytetu Stanforda i wynalazca, mieszkający w okręgu San Francisco Bay, Jack Wilson został dziś uznany przez sąd federalny winnym namawiania do zabójstwa prokuratora Josepha Sozio.

Biuro prokuratora federalnego Sozio oskarżyło w zeszłym roku Wilsona o naruszenie przepisów Ustawy o utajnieniu wynalazków.

Wilson, absolwent z wyróżnieniem prestiżowego wydziału inżynieryjnego Uniwersytetu Stanforda, spokojnie wysłuchał oskarżenia.

Akt oskarżenia został sformułowany na podstawie nagrania wykonanego potajemnie przez towarzysza Wilsona z celi, Roberta Maddoksa, który także zeznawał w procesie.

Ogłoszenie wyroku spodziewane jest za tydzień.

- O Jezu - wymamrotał Burke. - Myślałem, że to ja spadłem i się spaliłem...

Spędził godzinę, szukając dodatkowych szczegółów w Internecie. A to co znalazł sprawiło, że chciało mu się płakać: Horatio Alger załapuje się na przejażdżkę z Ikarem...

Cała historia była dobrze opisana przez prasę Doliny Krzemowej, gdzie Wilson był postrzegany jako złote dziecko na glinianych nogach.

Według gazet to złote dziecko było sierotą. W 1969 roku zostało znalezione w pudełku na schodach oddziału ratunkowego szpitala okręgowego w Tonopah w Nevadzie. Do kocyka była przyklejona nalepka z buźką. Pod słowem Cześć! ktoś napisał drukowanymi literami: JESTEM JACK WILSON.

Obrońca Wilsona grał kartą sieroty i przypadku Horatio Algera, jakby były to pary asów. Wychowywany przez kilka rodzin zastępczych, młody Jack Wilson był królem balu maturalnego i absolwentem, któremu przypadł zaszczyt wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie szkoły średniej w Fallon w Nevadzie. Został finalistą krajowej olimpiady fizycznej organizowanej przez Westinghouse i wygrał pełne stypendium na studia na Uniwersytecie Stanforda. Jako prymus otrzymał Nagrodę im. Ratner-Saltz-berga (cynowy puchar z inskrypcją oraz czek) i na zakończenie roku akademickiego niósł sztandar wydziału inżynieryjnego.

Na studiach doktoranckich dostawał kolejne nagrody i obronił doktorat z inżynierii elektryczności. W 1993 roku założył firmę Wovoka Enterprises, złożył aplikację o swój pierwszy patent i zaczął starania o zdobycie funduszy od inwestorów.

Patent? Jaki patent? - zastanawiał się Burke. Przeszukał kilkanaście różnych źródeł, ale niczego nie znalazł.

W tym miejscu zatrzymał się pozornie niekończący się marsz Wilsona do sławy i fortuny. W czerwcu 1994 roku, absolwent Stanforda został skazany za naruszenie Ustawy o utajnieniu wynalazków z 1951 roku.

Według artykułu w publikacji handlowej „Silicon ASAP”, wynalazek Wilsona został przejęty przez rząd Stanów Zjednoczonych w myśl zasady wyższej konieczności. Zasada ta stosowana jest w sytuacjach, gdy rząd chce wybudować autostradę lub linię kolejową i dokonuje zajęcia terenu prywatnego pod te inwestycje. Rząd w Waszyngtonie uznał patent Wilsona za własność rządową i wystawił czek na kwotę, którą uznał za wystarczającą rekompensatę oraz oznaczył wynalazek jako „Tajny”.

Opierając treść artykułu na zażaleniu sędziego, „Silicon ASAP” podał, że Wilson usiłował ominąć Ustawę o utajnieniu wynalazków. Ignorując przejęcie patentu, próbował pozyskać fundusze poprzez prezentację wynalazku w firmie zajmującej się finansowaniem przedsięwzięć w San Francisco. Według jednego z dyrektorów, który był świadkiem prezentacji, Wilson zmierzał do rozpoczęcia produkcji urządzenia w zakładach poza granicami kraju. Wspomnił coś o wyspie Anguilla.

Gdy Wilson zakończył prezentację został aresztowany przez agentów FBI. Następnego dnia oskarżono go o naruszenie Ustawy o utajnieniu wynalazków.

Burke dotarł do informacji o tej ustawie na stronie internetowej Stowarzyszenia Naukowców Amerykańskich. Ustawa została uchwalona w 1951 roku i na jej mocy ustanowiono akty wykonawcze umożliwiające rządowi przejmowanie wynalazków, które uznano za istotne dla obronności kraju. W ramach Urzędu Patentowego i Znaków Towarowych specjalna grupa urzędników dokonywała oceny wniosku patentowego w celu ustalenia, czy może mieć on związek z interesem narodowym. Tak

zakwalifikowane wnioski były następnie przesyłane do odpowiednich departamentów rządowych - najczęściej do

Departamentu Obrony i Departamentu Energetyki. Rekomendacje tych departamentów były zwykle ostateczne.

W większości przypadków przejęcie patentów nie było czymś nieprzyjemnym dla wynalazcy, bo prace badawcze i tak zwykle finansowano z państwowych funduszy. Ale dla niektórych wynalazców było to duże utrapienie. Na przykład w 2003 roku prawie połowa ze stu pięćdziesięciu wynalazków oznaczonych jako „Tajne” była stworzona przed domorosłe „złote rączki”.

Odwołania wynalazców, którzy uważali, że przyznana rekompensata finansowa jest niewystarczająca, prawie zawsze były odrzucane. W jaki sposób można było ustalić wartość czegoś, co jeszcze nie znalazło się na rynku i nigdy się nie znajdzie? Jak można próbować przekonać urzędników, jeśli wszelkie dyskusje dotyczące wynalazku są zabronione prawem?

Burke odchylił się na krześle. Teraz zrozumiał emocjonalne podejście Wilsona do powieści Atlas zbuntowany i jej bohatera Francisca d'Anconii. Ale co ten Wilson wynalazł? Biorąc pod uwagę jego zainteresowanie Tesla i zastosowaniem przez rząd zasady wyższej konieczności, była to prawdopodobnie jakaś broń.

Burke musiał wrócić do sieci w poszukiwaniu wyjaśnień.

Po aresztowaniu Wilsona przewieziono do aresztu miejskiego, gdzie dzielił celę i gawędził ze zbirem motocyklowym, niejakim Robbiem Maddoksem. Zanim zrozpaczony Wilson zdążył załatwić wyjście za kaucją, Maddox spotkał się potajemnie z zastępcami szeryfa, donosząc, że jego współmieszkaniec celi planuje zabójstwo prokuratora.

Dwa dni później Maddox zaczął rozmowę z Wilsonem. Tym razem miał na sobie podsłuch.

Na rozprawie sądowej przeciwko Wilsonowi oskarżonemu o zlecenie zabójstwa, jako dowód przedstawiono następujące nagranie:

- Sozio? Taaa. Pewnie, że chciałbym, żeby ten gnojek gryzł piach.
- Za ile byś to zrobił?
- Chyba żartujesz!
- Nie, poważnie! Ile?
- Jezu. Nie wiem... Ale dlaczego?
- Znasz kogoś, kto by to zrobił?
- Ja mógłbym...
- Muszę stąd się wydostać...
- ...to mamy umowę?
- ...taaa, pewnie... przybij.

Obrońca Wilsona, adwokat Jill Apple, przyznała, że jej klient był zły na rząd za przejęcie jego wynalazku. I zwyczajnie podzielił się swoją wściekłością z Maddoksem. Ale, jak argumentowała, wnioskowanie przez oskarżyciela, że zdawkowe wypowiedzi Wilsona były groźbą, albo wręcz kontraktem na zabójstwo, było śmieszne. Jeśli Wilson spiskował, by kogokolwiek zabić, to w czym niby miało się ujawniać otwarte działanie nakierowane na popełnienie przestępstwa? Takowe w ogóle nie istniało. Nic przecież nie zrobił. To, co faktycznie zrobił, jak tłumaczyła Apple, to wyrzucenie z siebie paru złośliwych słów - bo świat wokół niego się walił. To był oczywisty błąd, przyznała, ale nie akt przestępstwa.

Twierdziła, że jej klient padł ofiarą prowokacji policyjnej i wyjaśniała, że słowa Wilsona na nagraniu zostały wyrwane z kontekstu. Apple nazwała Maddoksa prowokatorem i wskazała, że po wniesieniu oskarżenia przeciwko Wilsonowi o zlecenie zabójstwa, Biuro Prokuratora Federalnego wycofało oskarżenie przeciwko Maddoksowi za posiadanie narkotyków i handel nimi.

Ława przysięgłych nie kupiła wersji obrony. Wilson został skazany. A ponieważ celem jego domniemanego zamachu był sędzia federalny, to został umieszczony w „Alcatraz Gór Skalistych” we Florence, w Kolorado.

Pierwsze pięć lat wyroku spędził zamknięty w betonowej celi o wymiarach dwa na trzy metry, a gdzieś obok swoje wyroki odsiadywali Unabomber, Shoebomber, Terry Nichols i Ramsay Yousef. Potępiane przez Amnesty International za naruszanie podstawowych zasad odosobnienia więźniów, więzienie Super-max we Florence było jasno oświetlone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale nie przez słońce. Jedyne światło słoneczne docierało do izolatek przez wąskie okienka wysoko w górze na ścianie. Z psychologicznego punktu widzenia wobec braku krajobrazu za oknem, jakakolwiek ucieczka była niemożliwa. Wszystko, co więzień miał dla siebie, to klozet, umywalka i betonowa ława do spania. Oprócz tego w ścianę celi wbudowany był też telewizor nadający programy reedukacyjne.

Burke odchylił się i zabujał na krześle. Supermax, pomyślał, o Jezusie!

W federalnym systemie więziennictwa były tylko dwa super-maksy, jak przeczytał, ale planowano wybudowanie sześciu kolejnych. Jeden z dwóch istniejących, ten we Florence, był nowszy - zatem bardziej okrutny. Był dziełem sztuki więziennictwa. Więźniowie byli praktycznie pochowani żywcem w betonowych grobach.

Burke wychował się na filmach, w których pokazywano, że skazani ćwiczą sztangami, grają w futbol lub biegają po torze wokół boiska. Lecz nic takiego nie czekało większości z penitencjariuszy we Florence. Pierwszy rok, a czasem nawet drugi, spędzali w celi sami, praktycznie bez żadnej możliwości interakcji ze współwięźniami ani nawet ze strażnikami. Jeśli ich zachowanie ulegało zmianie - jeśli akceptowali beznadziejność swojej sytuacji i poddali się apatii - mogli być w końcu dopuszczani do kontaktów z grupą mniej niebezpiecznych współwięźniów. Do tego momentu byli niczym muszki zatopione w bursztynie.

Była to izolacja przestępcy na najwyższym możliwym poziomie zabezpieczeń.

Strażnicy podawali więźniom żywność przez obrotowe szuflady, więc tacka zjedzeniem pojawiała się w celi bez kontaktu z człowiekiem. Rury wodno-kanalizacyjne, dzięki którym więźniowie zwykle komunikowali się między sobą, były zaizolowane i zalane betonem. Można było walić w sedes cały dzień i absolutnie nikt tego nie słyszał. Cele były wyciszone i zabezpieczone podwójnymi drzwiami - jedne były kratą, a drugie pełne.

O ile więźniom odmawiano widoku krajobrazu, odwiedzający także nie mieli pojęcia dokąd jada. Jedyne wjazd do więzienia był możliwy przez długi kręty tunel. I, zupełnie jak posiłki, odwiedzający trafiali znikąd do hermetycznie zamkniętego, antyseptycznego piekła, otoczonego ścianami błyszczącymi od drutu kolczastego, monitorowanego przez czujniki mchu i zapadki dotykowe oraz strzeżonego przez psy.

Wilson spadł do takiej nory z bardzo wysoka, pomyślał Burke. Spojrzał na notatki, które zrobił i postanowił odszukać w Internecie numery telefonów do Biura Sędziego Federalnego, adwokata Wilsona, Jill Apple i Robbiego Maddoksa.

Maddoksa od razu odrzucił. Skoro strona teleadresowa Anywho.com nie miała jego telefonu, to

taki gość mógł być praktycznie wszędzie. Prokuratora Sozio można było znacznie łatwiej znaleźć. Obecnie był sędzią w tym samym budynku federalnym w San Francisco, gdzie wcześniej pracował jako prokurator federalny, ale między nim a światem zewnętrznym było tyle murów i pośredników, że trudno byłoby się do niego przebić i liczyć na owocną rozmowę. A to znaczyło, że jedyną osobą do kontaktu pozostawała pani adwokat Apple.

Jej numer odnalazł w staroświecki sposób - przez informację telefoniczną. Pół godziny później kłamał jej do słuchawki. Powiedział, że pracuje dla wydawców „Harper’s” - czasopism „Counterpunch” i „Salon”. Wspomniał o kilku reportażach, które napisał (a raczej dostarczył do nich materiał fotograficzny jako fotoreporter) i powiedział, że myśli o napisaniu artykułu o Ustawie o utajnieniu wynalazków. Wyjaśnił, że dzwoni do niej, ponieważ ciekawi go jedna ze spraw, którą kiedyś prowadziła.

- Chodzi pewnie o Jacka Wilsona? - domyśliła się od razu.

- Właśnie!

Pani Apple była sympatyczną osobą mówiącą z ciepłym południowym akcentem.

- Czy kontaktował się pan z Jackiem? - zapytała i dodała z pośpiechem: - Powinien już być na wolności!

- Tak, już wyszedł, ale nie mam pojęcia, gdzie go mogę znaleźć - odpowiedział Burke. - Miałem nadzieję, że...

- Raczej niewiele mogę pomóc - stwierdziła. - Nie miałam z nim żadnego kontaktu od skazania.

- Nie?

- Nie. Złożyłam apelację, ale... Pewnie teraz jest już zupełnie innym człowiekiem.

- Tak, to całkiem możliwe. Westchnęła.

- Ta sprawa złamała mi serce. Naprawdę.

- Jak to? - dopytywał się Burke.

- Nie wiem, ile pan wie o życiu Jacka, ale... on osiągnął tak wiele, a potem... To jest takie smutne. I to straszna niesprawiedliwość.

- Niesprawiedliwość?

- Brak szczęścia.

- Nie rozumiem.

Apple westchnęła ponownie i zaczęła opowiadać.

- Mniej więcej miesiąc przed rozprawą, na salę rozpraw w San Jose wszedł jakiś wariat i zaczął strzelać. Zabił sędziego, woźnego i bardzo popularnego młodego prokuratora. Potem sam się zastrzelił.

- Jak mógł się dostać na teren sądu z bronią?

- Ustalono, że był to Glock. Miał dużo plastikowych części. Jeśli był rozłożony na części, to trzeba by być naprawdę wybitnym specjalistą, aby rozpoznać go za pomocą skanera. Pewnie złożył go w toalecie. Ale chodzi o to, że gdyby nie to wydarzenie w San Jose, to zapewne ta sprawa w ogóle nie trafiłaby na wokandę. Nie mieli żadnych solidnych dowodów oskarżenia, ale po prostu chcieli nadać sprawie rozgłos.

- Czytałem wypowiedzi Wilsona z podsłuchu - powiedział Burke. - Brzmiały jak...

- ...jak gówno prawda. Jasne. To była gówno prawda. Gdyby zobaczył pan tę świnię podczas składania zeznań... Jak on się nazywał? Wymazałam go zupełnie z pamięci.

- Maddox?

- No właśnie. To człowiek, o którym można powiedzieć, że lista oskarżeń i wyroków jest tak długa, jak jego wyciągnięte ramię. Oczywiście był to zawodowy szpicel, a Jack? Jack nigdy nie był w więzieniu. Więc był łatwym kąskiem.

- Ale dlaczego w ogóle znalazł się w areszcie? - zapytał Burke. - Nie mógł wpłacić kaucji?

- Aresztowano go w weekend i oskarżenie miało wpłynąć dopiero w poniedziałek po południu. Miał publicznego obrońcę z nadania i podejrzewam, że zaczął załatwiać pożyczkę, dając pod zastaw swoje mieszkanie. Ale to trwało kilka dni i wtedy pojawił się Maddox. Po prostu splot nieszczęśliwych okoliczności.

- Wspomniała pani też, że był łatwym kąskiem - przypomniał jej Burke.

- Tak. Maddox go zrobił. Mogę sobie nawet wyobrazić, jak do tego doszło. Jeśli wsłuchać się w taśmę, to tam nie ma żadnego kontekstu ani nic takiego. I nagle ni stąd, ni zowąd Jack wypowiada nazwisko prokuratora „Sozio” - jakby to było jakieś olśnienie! I cała rozmowa też nie jest ciągła, ma mnóstwo przerw. Dałam ją do przesłuchania ekspertowi, a on od razu stwierdził, że Maddox musiał manipulować mikrofonem. Nie potrafiliśmy jednak tego udowodnić. A na koniec ława przysięgłych i tak nie przyjęła żadnych naszych kontrargumentów.

- Czy wezwała pani Wilsona do złożenia wyjaśnień? Apple zawahała się.

- Tak. I to był błąd. Jack był... on jest bardzo charyzmatyczny, gdy jest się z nim sam na sam. Przystojny jak diabli. Ale jako świadek w swojej sprawie? Chciałam mieć ofiarę systemu, a zamiast tego dostałam Johna Galta!

- Bohatera z powieści Ayn Rand - wtrącił Burke.

- Widzę, że to również pan czytał!

- Tak.

- Na nic się to nie przydało - przyznała Apple.

- Jestem zdziwiony, że pozwoliła mu pani o tym mówić...

- Nie pozwoliłam! Uciełam jego wypowiedź, jak ją tylko zaczął. Lecz oskarżyciel się uczeplił, zaczął wszystko od początku i wziął go w krzyżowy ogień pytań. A Jack się po prostu... zawiesił. I zapytał sędziów przysięgłych, jakie mają prawo go sądzić, skoro nie są nawet jego pobratymcami - urwała na chwilę. - No i nic dobrego z tego nie wyszło.

Burke uśmiechnął się.

- I jak go pani broniła?

- Staralam się skoncentrować uwagę sędziów przysięgłych na dzieciństwie indiańskiego chłopca podrzuconego w kartonowym pudełku na schody szpitala. Wie pan, on nawet nie wiedział skąd się wziął i po kim miał nazwisko aż do dziesiątego roku życia. Oczywiście, że wyglądał na Indianina, ale nie miał pojęcia z jakiego plemienia pochodził, nie wiedział też nic o swoich przodkach. Wreszcie dostał zastępczą matkę, która okazała się prawdziwie matczyna. Pomogła mu też dowiedzieć się kim był i skąd przybył.

- Gdy powiedziała pani, że dostał po kimś nazwisko - dopytywał się Burke - to kogo miała pani na myśli? Kto to jest Jack Wilson?

- Paiute. Nigdy pan o nim nie słyszał? Był taki sławny! Wymyślił Taniec Ducha. Powinien pan napisać o tym w swoim artykule. Mieszkał w Nevadzie.

- Jack Wilson nie brzmi jak indiańskie nazwisko - stwierdził Burke.

- To było jego „białe” nazwisko, nazwisko rodziny, w której się wychowywał. Jego rodowym nazwiskiem jest Wovoka.

- Jak nazwa jego firmy - wspomniał Burke.

- No właśnie! Zupełnie o tym zapomniałam.

Powinien był już dawno to sobie skojarzyć. Natrafił na tę nazwę na liście miast w Google, ale nie zwrócił na to uwagi. Wydawało mu się to niezwiązane z tym, czego szukał. Jack Wilson... Taniec Ducha... Myślał wtedy, że to tylko zbieg okoliczności... Ale przecież była ta kobieta, ta w Belgradzie - Tooti! Opowiadała, że Wilson zaczął nagle tańczyć. I Ceplak, opowiadając o ostatnim dniu pobytu Wilsona, też przypomniał jego słowa: „Czas na taniec”.

- Chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie - powiedział Burke. Adwokat Apple westchnęła.

- Myślę, że poświęciłam panu już dosyć czasu. Mam mnóstwo pracy.

- Co to był za wynalazek? Ten wynalazek, od którego to wszystko się zaczęło? Pani adwokat zaśmiała się.

- To jest pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów? A może za randkę w ciemno?

- To bardzo ważne dla mojego artykułu - wyznał Burke. - To przecież serce całej sprawy.

- Pewnie tak - odpowiedziała - ale dlatego właśnie mają na to Ustawę o utajnieniu wynalazków.

- Ja przecież nie chcę się dowiedzieć jak to działa. Jestem tylko ciekawy i czytelnicy też będą ciekawi, co to takiego.

- No dobrze...

- Podejrzewam, że chodziło o jakąś broń. Jeśli rząd coś utajnia i zabiera, to chyba musi to być broń.

Adwokat westchnęła. W końcu powiedziała:

- Czy mogę to panu powiedzieć poza protokołem?

ROZDZIAŁ 33

NEVADA 5 CZERWCA 2005

Czas na wycieczkę samochodową.

Za kilka tygodni nie będzie to już takie łatwe, zatem Wilson postanowił wykorzystać ten czas i wybrał się na wschód. Chciał zachować smak tych ostatnich chwil: subtelne zmiany krajobrazu, szukanie dobrych restauracji przy drodze, a nawet możliwość ponarzekań na pogodę lub ceny benzyny z kelnerkami lub napotkanymi obcymi ludźmi. Więcej przyjemności sprawiłaby mu zapewne podróż przez kraj z Iriną, gdy, jadąc wijącą się na zachód drogą, pokazywałby jej różnorodność pięknych krajobrazów.

Niestety, to nie będzie już możliwe. Po dwudziestym drugim czerwca te przyjemności z jazdy - jakiegokolwiek jazdy - przestaną istnieć. Skomplikowana siatka dróg i ulic, łącząca kraj, w jednej chwili stanie się bezużyteczna. Silniki wszelkich pojazdów zakaszlały staną. I już nigdy nie odpalą. Zabytkowe automobile i nieliczne samochody z silnikami na ropę naftową będą mogły jeździć, ale możliwości dojazdu gdziekolwiek też będą ograniczone ze względu na zawałające drogi bezużyteczne pojazdy.

Nawet jeśli jakiś samochód miałby działający silnik, to paliwo i tak pozostałoby uwięzione w podziemnych zbiornikach, bo bez elektryczności pompy na stacjach benzynowych również nie będą działać.

Rowery staną się bardzo cennym środkiem transportu.

*

Chociaż zmodyfikował zawieszenie samochodu i stworzył coś w rodzaju kokonu opatulającego broń, to krzywił się, gdy escalade trząsał się na wyboistej drodze pomiędzy ranczem a Juniper. Poczuli się lepiej, gdy wreszcie wjechał na drogę numer 225.

Teraz, gdy droga była już gładka, pomajstrował przy desce rozdzielczej i włączył CD z lekcjami języka rosyjskiego. Po sygnale zaczął powtarzać za lektorem:

Dziękuję: Spasiba.

Proszę: Pażałsta.

Przepraszam: Izwienitie (do obcych), Izwienit (do przyjaciół).

Oprócz podjęcia próby uczenia się rosyjskiego, kupił ponad sto książek po rosyjsku - od słowników przez poezję po klasyków, współczesną beletrystykę i książeczki dla dzieci. Kupił też mnóstwo DVD, kilkanaście ikon, samowar i zestaw matrioszek dla ich dzieci. Nie chciał, aby Irina czuła się całkowicie odcięta od swojej kultury.

Po godzinie wyłączył CD z lekcjami. Czas na trochę muzyki, pomyślał. We Florence śpiewał sobie na głos, bo muzyka była jedną z tych rzeczy, za którymi najbardziej tęsknił. Aż był zdziwiony

liczbą różnych piosenek i melodii, które znał, ale niestety tylko po kawałku. Zamknięty w izolowanej celi - co samo w sobie mogło doprowadzić do szaleństwa, jeśli straciło się nad sobą kontrolę - nie mógł przypomnieć sobie brakujących fragmentów melodii, które pozostawały zatopione gdzieś głęboko w pamięci neuronów. Początkowo wściekało go to. Nie mógł wejść do Internetu i ściągnąć piosenki lub iść na miasto, żeby kupić CD i w ten zaspokoić ciekawość.

Po powrocie z Afryki jak wariat zaczął kupować płyty CD, wypełniając puste fragmenty pamięci i pochłaniając nowe kawałki. Na ranchu zebrał już ponad trzy tysiące płyt z muzyką i odtwarzał je na najwyższej klasy sprzęcie hi-fi. Miał wszystkiego po trochu - nie mógł przecież przewidzieć, jak wraz z upływem czasu zmienia się jego gusta.

Escalade też miał niezłe nagłośnienie. Gdy dojeżdżał do granicy z Utah, rapował razem z Eminemem: Ups, pożegnaj się z grawitacją.

ROZDZIAŁ 34

DUBLIN 5 CZERWCA 2005

- To wcale nie była broń - wyznała Jill Apple Burke 'owi. - To była bateria. Burke pomyślał, że się przesłyszał.
- Słucham...?
- Znalazł sposób na ulepszenie baterii. Jego wynalazkiem była bardzo lekka i niezwykle pojemna baterijka.
- Żartuje sobie pani ze mnie - powiedział z niedowierzaniem Burke.
- Absolutnie nie. Przy jego baterii króliczek energizera działał jak muszka owocówka. Burke się zaśmiał.
- Może pan sobie teraz wyobrazić, jak podniecony był Jack i jego wspólnik - powiedziała Jill.
- Jaki wspólnik? - zapytał Burke.
- Miał partnera do interesów. Eli jakoś tam... Salzberg! Byli razem na studiach doktoranckich. Eli chyba też zrobił magistra zarządzania. Bardzo błyskotliwy gość. To on ustawiał spotkania z potencjalnymi inwestorami, gdy Jack dostał ten list.
- Od kogo?
- Z Biura Patentowego. Departament Obrony zdecydował, że aplikacja patentowa zostanie utajniona. I było po wszystkim. Nie ma patentu. Zaoferowali odszkodowanie, chyba jakieś sto Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- A ile to było rzeczywiście warte?
- Eli sądził, że za dziesięć procent udziałów w zyskach mogliby dostać dwadzieścia pięć milionów. To była ich cena wywoławcza.
- Jezu! I co zrobili?
- Przyszli z tym do mnie - opowiadała dalej Jill -. i poszliśmy do sądu. Ale nikt nigdy nie wygrał takich apelacji. Posiedzenia sądu są zamknięte, a rząd wcale nie musi uzasadniać swojej decyzji. Mówią tylko, że jest to w interesie państwa i to wszystko.
- Nic dziwnego, że był wkurzony - skomentował Burke.
- To potrzeba wyższa w odniesieniu do własności intelektualnej. Jeśli rząd chce przeprowadzić autostradę przez twój pokój, to wszystko, co musi zrobić, to powołać się na interes społeczny. To samo jest z patentami. Ustawa o utajnieniu wynalazków pochodzi z okresu zimnej wojny.
- A ile takich patentów przejęto? - zastanawiał się Burke.
- Coś około dziesięciu tysięcy. Burke zaśmiał się z niedowierzaniem.
- To jak Archiwum XI.
- Tak, właśnie tak! - odpowiedziała prawniczka. Było wiele plotek na ten temat - niezniszczalne

opony, niezależniaczące opiaty... Błąd Jacka polegał na tym, że próbował obejść Pentagon. Dlatego został aresztowany.

- I wtedy napatoczył się Maddox.

- Właśnie - na drugim końcu linii telefonicznej dało się słyszeć wibmjący odgłos. - Możesz poczekać?

- Oczywiście. Adwokat zaraz wróciła.

- Słuchaj. Muszę być w sądzie za dziesięć minut.

- To bardzo przepraszam, ja...

- Powinieneś koniecznie pogadać z Elim!

- Tak zrobię. Czy ma pani jego numer?

- Nie, ale nie będzie go trudno odnaleźć. Był przedwczoraj na kanale Bloomberg i opowiadał o Argentynie. Ma jakąś fuchę w Banku Światowym. Teraz jest chyba w Waszyngtonie.

*

Burke wziął laptopa do kuchni, postawił go na stole i zrobił sobie obiad. Nie chciało mu się gotować, więc wziął chińską zupkę. Wystarczyło tylko pokruszyć makaron w torebce, posypać przyprawami, zalać wodą i można było jeść. Nieugotowana błyskawiczna zupka miała taki sam smak i strukturę, jak resztką pokruszonych chipsów na dnie opakowania Cheetos.

Siedząc przed laptopem, z makaronem po lewej stronie i butelką Jamesona po prawej, Burke wszedł do Internetu, by dowiedzieć się czegoś o Wovocie i jego plemieniu.

Wovoka, indiański mesjasz, pojawił się po ponad pięćdziesięciu latach od kiedy rozpoczęło się wypędzanie i eliminowanie Indian. W 1830 roku w ramach Ustawy o wydziedziczeniu Indian plemiona wschodnie usunięto na zachód. Ta wymuszona migracja niesławnym Szlakiem Łez wypchnęła je na „Terytorium Indiańskie”, teren, który jest obecnie częścią Oklahomy. Gdy granica Stanów Zjednoczonych przesuwała się na zachód, plemiona Wielkich Równin i Wielkiego Basenu zostały stłoczone w więzieniach na świeżym powietrzu zwanych rezerwatami, gdzie Indianie próbowali egzystować w oparach alkoholu, dręczeni rozpaczą i wyniszczani chorobami. Plemiona wędrownie, które dawniej żyły i rozwijały się dzięki polowaniom i zbieractwu, zamknięto w granicach rezerwatów na nieznanym terenie, a wiele ich zwyczajów i religijnych obrzędów zostało prawnie zabronionych. Rozpacz Indian spowodowana nowymi warunkami życia pogłębiła się dodatkowo przez wyniki renegocjacji paktów pokojowych, które tak naprawdę były dalszą grabieżą ich terenów. W końcu tragedia Indian przeszła w kataklizm, gdy w okresie największej suszy rząd uciął dostawy ryżu i pszenicy. Mówiąc w skrócie, Szlak Łez doprowadził Indian do tego, co oni sami nazywali Czasem Głodu.

Wtedy pojawił się Wovoka.

Mówiono, że urodził się w rodzinie szamańskiej i może nawet była to prawda. Pewne natomiast było to, że wychował się na ranczu w Nevadzie należącym do Davida Wilsona, który nazywał chłopaka „Jack” i dał mu swoje nazwisko. W 1889 roku Wovoka zaczął opowiadać o wizji, jaką przeżył.

Przynoszą wam słowo od naszych ojców, duchów. Oni idą, by się z wami połączyć, prowadzeni przez Mesjasza, który kiedyś przyszedł na ziemię białego człowieka, ale został odepchnięty i przez niego zabity.

W wizji Wovoki biały człowiek zostanie przepędzony z ziemi Indian, która zostanie im zwrócona

i odnowiona w bogactwa natury i przyrody, a przodkowie Indian wrócą, by tam zamieszkać.

Wovoka głosił wizję nowej ziemi. Miała ona nadejść z Zachodu wiosną 1891 roku i rozprzestrzenić się na pozostałe tereny. Nowa ziemia miała pokryć stare lądy na wysokość pięciu mężczyzn. Do tego czasu, plemiona miały żyć w pokoju między sobą i białym człowiekiem. Przed nadejściem nowego lądu ziemia zadrży i zatrzęsie się, lecz Indianie nie powinni się obawiać. Śmierć, choroby i biały człowiek znikną. Nowa ziemia będzie pokryta soczystą trawą, wypełniona czystą wodą i porośnięta drzewami, a stada bizonów i koni będą się pasły na równinach, na których moje czerwone dzieci będą jeść i pić, polować i radować się.

Objawienia Wovoki nie były tylko opisami przyszłości. Nakazywały one plemionom tańczyć w szczególny sposób, robiąc w tańcu określone przerwy. Taniec miał pomóc w przybliżeniu końca starego świata i nadejściu nowego.

Prawie wszystkie strony internetowe używały tego samego określenia. Ruch rozprzestrzeniał się jak dziki pożar. To całkiem właściwe porównanie, pomyślał Burke. Tak jak pożar lasu, z drzewa na drzewo, tak Taniec Ducha przenosił się z jednego plemienia na drugie. Indiancy wodzowie (wśród nich Czerwona Chmura ze Siuksów i Kopiający Niedźwiedź z Lakoty) przebyli olbrzymie odległości, żeby spotkać się z Wovoką w zachodniej Nevadzie.

Wraz z rozprzestrzenianiem się nowego przesłania (jak to zwykle bywa) ulegało ono drobnym zmianom. Nowa ziemia nałoży się na starą tak, jak Wovoka obiecał, ale nie zepchnie białego człowieka. Tylko go pogrzebie.

Gdy zaczęły docierać do nich raporty o nadciągającym wydziedziczeniu, biali uznali, że szykuje się powstanie indiańskie. Taniec Ducha, jak sobie tłumaczono, był niczym innym, jak tańcem wojennym. Indiańska szarańcza planowała pozabijać ich we śnie.

A wtedy... Wounded Knee. W zimie 1890 roku, Siedzący Byk, głosiciel przepowiedni i wyznawca Tańca Ducha, najsłynniejszy wódz Siuksów, został zamordowany przez agentów rządowych. W obawie przed powstaniem Siódma Kawaleria (dawny regiment generała Custer) została wysłana w celu dokonania aresztowania „agitatorów” do Dakoty Południowej. Chcąc uniknąć aresztowania, spora grupa Indian Lakota przedarła się nocą przez kaniony i pustynne obszary stanu, by znaleźć schronienie w rezerwacie Pine Ridge.

Armia ruszyła ich tropem i zepchnęła Indian Lakota do brzegów rzeki Wounded Knee Creek. Otoczeni i przytłoczeni przewagą liczebną Indianie wywiesili białą flagę, sygnalizując poddanie się. Podczas przesłuchiwania wodzów indiańskich wydano rozkaz konfiskaty broni Indian. Według współczesnych ustaleń kilku Indian rozpoczęło śpiewy Tańca Ducha. Szaman podrzucił w górę kilka garści prochu z ogniska, co niektórzy żołnierze (pijani) wzięli za sygnał. Ktoś wystrzelił i mimo że nikt nie został trafiony, kawaleria otworzyła ogień do Indian, pięć działek Hotchkissa ustawionych na wzgórzu nad obozem Indian, z których każde wypluwało pięć kartaczy na minutę, rozpoczęło morderezy ostrzał.

Setki Indian Lakota - mężczyzn, kobiet i dzieci - zostało zmasakrowanych. Niektórzy podchodzili z rękami podniesionymi do góry, ale byli rozstrzeliwani tak jak stali. Na tych, którym udało się uciec do lasu, polowano jak na zwierzynę. Inni, którzy uszli pościgom, zamarзли na śmierć.

Armia straciła dwudziestu dziewięciu żołnierzy, głównie w wyniku „przyjaznego” ostrzału w krzyżowym ogniu. Kongres przyznał dwadzieścia Medali Honoru dla żołnierzy biorących udział w tej rzezi.

Burke wypił szklaneczkę whisky, nalał następną i też wypił ją do dna. Do tej pory niewiele

słyszał o Wounded Knee. Wiedział tylko, gdzie to jest. W 1973 roku kilkuset Indian okupowało tę wioskę, publikując listę pretensji wobec rządu, która zawierała opisy korupcji w zarządzaniu rezerwatami, przypadki dyskryminacji rasowej i sprzedaży indiańskiej ziemi deweloperom.

FBI i Gwardia Narodowa powtórzyły wypadki z historii i przystąpiły do oblężenia miasteczka, odcinając elektryczność i dopływ wody. Doszło do wymiany ognia. Regularna wojna trwała siedemdziesiąt jeden dni; Indianie z Ruchu Indian Amerykańskich byli przytłoczeni przewagą liczebną sił rządowych. Według niektórych źródeł w stronę wioski oddano ponad pięć milionów strzałów. Indianie mieli zaledwie dwa karabinki automatyczne, które doskonale wykorzystywali, biegając z nimi i strzelając z różnych miejsc, tworząc pozory, że są silnie uzbrojeni.

Było oczywiste, że przegrają tę bitwę, i tak się też stało. Ale, co także było oczywiste, wygrali wojnę. Oblężenie Wounded Knee spowodowało renesans zainteresowania tradycjami Indian amerykańskich i rzuciło nowe światło na złośliwe zaniedbania rządu federalnego wobec kwestii rezerwatów i ich mieszkańców.

Nikt nie chciał uwierzyć, że mimo wystrzelenia milionów pocisków, zginęło zaledwie dwóch ludzi. Jednym z nich był mężczyzna z Nelson County w Wirginii, gdzie wychowywał się Burke. Nawet przypominał sobie, że mówiono o nim, gdy był mały. Mężczyzna nazywał się Frank Clearwater. Zginął w walce.

Burke wstał. Cały zeszywniał od siedzenia w tej samej pozycji przez długi czas. Pomyślał o dniu, kiedy Jack Wilson zapukał do drzwi jego biura w Dublinie. Uścisnęli sobie dłonie, a Wilson przedstawił się jak Francisco d'Anconia. Burke myślał, że rozmawia z biznesmenem, a dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo się wtedy mylił. Jack Wilson nie był człowiekiem. Na pewno nie we własnym mniemaniu. Był falą przyływu zapowiadającą nadejście nowego lądu, mającego pogrzebać wszystkich wrogów.

ROZDZIAŁ 35

DUBLIN 5 CZERWCA 2005

- Salzberg, słucham.

W tle słuchać było telewizor. Po odgłosach dopingu publiczności łatwo rozpoznał relację z meczu.

- Witam. Mówi Mike Burke. Dostałem pański numer od Jill Apple, no, wiesz, adwokat Jacka Wilsona. - Burke udawał energiczny głos dziennikarza, który po pierwsze uważa, że wszyscy powinni rozpoznawać jego nazwisko, a po drugie po prostu „robi swoją robotę”, dzwoniąc bez uprzedzenia z nadzieją, że uzyska informacje. - Piszę artykuł na temat Ustawy o utajnieniu wynalazków.

- Dla...?

- „Harper’s” - odpowiedział Burke panikując przez moment, bo zawsze mylił go z czasopismem „Atlantic” i zapomniał już co powiedział Jill Apple.

- Okay. W czym mogę pomóc?

Burke powtórzył tę samą gadkę, którą sprzedał Jill Apple.

- Więc zniknął - stwierdził Salzberg.

- Tak. Bardzo mi zależy na rozmowie z nim, ale nikt nie wie, gdzie on jest.

- No tak. Nawet nie zadzwonił do mnie, swojego starego przyjaciela - zastanowił się przez chwilę. - Rozmawiałeś z Mandy?

- Nie - odparł Burke. - A kto to jest Mandy?

- Jego przybrana matka, Mandy Renfro. Chociaż... cóż, być może ona już nie żyje - westchnął zmęczonym głosem.

- Czy wie pan, gdzie ona mieszka?

- W Fallon. Tam, skąd pochodzi Jack, w Nevadzie. Ale wtedy była już po sześćdziesiątce, więc...

- Sprawdź to - obiecał Burke - ale, panie Salzberg...

- Proszę mówić mi Eli.

- Eli! Wiem, że nie możesz mi powiedzieć o samym wynalazku...

- Pewnie, że nie! Do diabła! Nie mogę ci powiedzieć, jak go zbudować, bo tego to nawet ja sam nie wiem - przerwał na moment. - Poczekasz chwilę? Zaraz wracam - hałas dochodzący z telewizora umilkł i przez dość długą chwilę słychać było tylko niski szum transatlantyckiego kabla telefonicznego. Później stuk kostek lodu w szklance. - No, już jestem - oznajmił Eli.

- Mam nadzieję, że nie zepsułem ci oglądania meczu. Eli zaśmiał się.

- Nie - powiedział - włączyłem nagrywanie - po chwili ton jego głosu uległ całkowitej zmianie, zaaferował się rozmową. - Więc, co chcesz wiedzieć?

- Wiem jaką rolę odegrał w tym wszystkim Jack, ale...

- Ja? Ja byłem tylko facetem od pieniędzy - wyznał Eli. - Rozruch jest zawsze kosztowny, szczególnie jeśli chodzi o produkcję czegokolwiek. Moim zadaniem było znalezienie udziałowców do tego przedsięwzięcia, co, uwierz mi, wcale nie było trudne, na pewno nie z produktem, jaki mieliśmy.

- Więc co się stało?

- Totalny szajs! Rząd zniszczył genialnego faceta. Zmusili mnie do zeznawania przeciwko niemu. Wiedziałaś o tym? - ekonomista był przepelnięty żalem. - Jack był chyba moim najlepszym przyjacielem. Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

- Co masz na myśli?

- Każdy mógł sobie pomyśleć, że Jack wynalazł nie wiadomo co, jakąś bombę lub coś takiego. Też pewnie tak myślałeś, co? Wszyscy tak myśleli.

- Apple powiedziała, że to była bateria.

- No właśnie! Bateria! Bateria, która działała dziesięć razy dłużej, niż cokolwiek, co znajduje się na rynku. Zbudowana była w zasadzie z tych samych elementów. Można pomyśleć, że coś takiego powinno jak najszybciej znaleźć się w sprzedaży. Patrząc na to choćby z perspektywy ochrony środowiska, byłby to wielki plus. Ale okazało się, że nie da rady. Dla interesu narodowego ważniejsze jest zanieczyszczenie środowiska - ekonomista zamilkł na chwilę. - Czy słyszysz żal w moim głosie?

- Tak - odpowiedział Burke.

- Może dlatego, że kosztowało mnie to około stu milionów dolców! I nawet nie wspomnę o tym, że zmienilibyśmy oblicze ziemi. Przynajmniej Jack by zmienił. Chciał założyć fundację na rzecz rdzennych narodów.

- Indian amerykańskich.

- Dla wszystkich rdzennych narodów. W Brazylii mają te same problemy, które my mamy tutaj - tłumaczył Eli.

Australia, Afryka - ta sama historia. Powinieneś wspomnieć o tym w swoim artykule.

- No jasne - obiecał Burke. - Ale nadal się zastanawiam, jak to się stało, że rząd zajął akurat wasz wynalazek.

Eli chrząknął.

- Chyba myśleli, że takie coś da im przewagę na polu walki. Ale kto to wie? To miał być niesamowity przebój rynkowy. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale miałby negatywny wpływ na pewnych producentów i lobby górnicze. Niektórzy z nich finansowali kampanie wyborcze różnych ludzi. Więc może właśnie to był ten „czynnik decydujący”, ale kto to wie do końca? Przecież nie podali żadnego powodu. Oni sobie po prostu biorą, co chcą.

- Apple powiedziała, że Jack starał się ich „ominać”...

- Zignorować decyzję rządu, tak. I zrobił to. Ale wtedy właśnie go dopadli i wynieśli skutego z pola walki.

- Co się stało?

- Złożył wniosek patentowy. Polega to na tym, że podajesz wszystkie szczegóły, opisujesz sposób działania wynalazku, przedstawiasz szkice, czasem model i wysyłasz. Urzędnik patentowy ocenia wniosek. Sprawdza, czy jest to pierwsza rzecz tego typu, czy rzeczywiście usprawnia jakąś dziedzinę nauki lub życia. No cóż, bateria Wilsona opierała się na pewnych przemysłeniach... - Eli przerwał na

chwile. - On zawsze powtarzał, że stał na plecach gigantów nauki, szczególnie na plecach jednego giganta, Serba...

- Tesli.

- No właśnie! Widzę, że odrobiłeś zadanie domowe. No dobra. Podczas konstruowania baterii Jack korzystał z kilku rozwiązań Tesli i opierał się na kilku jego mniej znanych patentach. Więc w sensie technicznym nie była zupełnie oryginalna. Ale czy usprawniała jakiś produkt przemysłowy? Ależ tak! Naprawdę usprawniała!

- I co zrobiliście?

- A co myślisz? Założyliśmy firmę.

- I odnieśliście sukces? - pytał dalej Burke.

- Jasne. Grupa inwestycyjna Kleiner Perkins włożyła w interes pół miliona na początek, gdy jeszcze nawet nie mieliśmy biznes planu. Przynajmniej takiego z prawdziwego zdarzenia. Wysłuchali nas, spojrzeli na prototyp i wypisali czek.

- I dalej co?

- Później udało mi się zorganizować spotkanie z finansistami z Morgan Stanley.

- I co się stało?

- No cóż - odpowiedział Eli - dostaliśmy list od pełnomocnika rządowego zajmującego się patentami. Miał chyba ze trzy linijki długości i wyjaśniał, że patent ma znaczenie dla interesu narodowego. W konsekwencji przejmują go zgodnie z literą Ustawy o utajnieniu wynalazków. W załączeniu przesyłają czek na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I tak się stało.

- Chryste - westchnął Burke. - I co zrobiliście?

- Co ja zrobiłem? Porozmawiałem z panią prawnik i wysłuchałem jej rady.

- A co radziła?

- Zapomnieć o wszystkim. Poleciałem do Zihuatanejo, do Meksyku i byłem pijany przez tydzień.

- A Wilson?

- Jack zareagował w zupełnie inny sposób. To spotkanie, o którym wspomniałem, to z ludźmi od Morgan Stanleya... Jack poleciał do Bostonu i zrobił prezentację, jakby nic się nie stało. Zmienił jedynie miejsce produkcji. Planował produkcję za granicą.

- A rząd się o tym dowiedział - zastanawiał się Burke.

- Jednym z ludzi na tym spotkaniu był dyrektor In-Q-Tel, więc...

- Co to jest In-Q-Tel?

- To firma należąca do CIA - wyjaśnił Eli. - Ale to nie jest tak, jak myślisz. To nie jest żadna tajna odnoga, ani nic takiego. To zwykła firma finansowa, której właścicielem jest po prostu CIA. Mają nawet siedzibę w Dolinie. I tabliczkę na drzwiach biura. Jest tego całe dziewięć metrów kwadratowych, jej celem jest inwestowanie pieniędzy w rozruch przedsięwzięć, które interesują agencję. Nie mam pojęcia - może w jakieś programy do odszukiwania danych ze stron arabskich, albo nowe osłony ciała dla żołnierzy, coś w tym stylu.

- Albo baterie - zauważył Burke.

- No właśnie.

- Więc myślisz, że In-Q-Tel dało cynk federalnym...

- Nie. Ja myślę, że dowiedzieli się o prezentacji od jednego z dyrektorów w siedzibie Morgan Stanley i zainteresowali się tym. Pewnie zdali sobie sprawę, że taki produkt może mieć wiele poważnych zastosowań. I myślę, że dali swoim szefom znać, że chcą uczestniczyć w tym

przedsięwzięciu.

- I potem...

- Potem gównem uderzyło w wentylator - powiedział Eli. - Pentagon poczuł smrodek i następnym jego mchem było oskarżenie Jacka przez prokuratora federalnego. Aresztowali go i zakuli w kajdanki. Groziły mu dwa lata i dwieście tysięcy dolarów grzywny. A ja? Ja biorę pożyczkę na hipotekę mieszkania, żeby zapłacić kaucję.

- A co z tym czekiem, który dostaliście?

- Na te sto pięćdziesiąt tysiaków? Nie chcieliśmy go zrealizować. Jak już raz zrealizujesz taki czek...

- I właśnie wtedy Jack spotkał Maddoksa.

- Tak.

Burke westchnął.

- Czy odwiedziłeś kiedyś Jacka? Jak już siedział?

- W areszcie tak. W więzieniu nie. Ostatni raz widziałem, jak wyprowadzali go z sali sądowej. Próbowałem odwiedzić go w Kolorado, ale nie chciał mnie widzieć.

- Wspomniałeś coś o jego przybranej matce... - zaczął Burke.

- Mandy. Mieszkała w przyczepie w Fallon. Ale jak już wspominałem wtedy była już stara...

Burkemu wyczerpały się pytania.

- Wielkie dzięki...

Ale Eli nie chciał jeszcze kończyć rozmowy.

- Chodzi o to, że - mówił - Jack i ja mieszkaliśmy w jednym pokoju. A wtedy, gdy go zabrali, to ... odszedł. Mam na myśli, że zupełnie odszedł. Chyba na zawsze.

- Nie bardzo rozumiem..

- Nie odpowiadał na moje listy. Nie chciał rozmawiać przez telefon. Pojechałem do Florence, myśląc, że skoro już tu jestem, skoro przejechałem setki kilometrów, to musi się ze mną spotkać. Zastanów się, przecież i tak nie miał nic lepszego do roboty. To miejsce w Kolorado jest jak mauzoleum. Tylko tyle, że ich karmią. Chodzi im o to, żeby złamać człowieka totalną izolacją. A Jack jeszcze odpychał od siebie ludzi. - Eli przestał mówić, zaśmiał się. Burke zauważył, że chyba jest na lekkim rauszu. - Ciągle wracam myślami do tego momentu, kiedy widziałem go ostatni raz...

- Kiedy to było?

- W San Francisco, gdy wyprowadzali go z sądu. Był zakuty w łańcuchy. Miał kajdanki przypięte do łańcucha na pasie i nogi też miał skute, w kostkach. Chciało mi się płakać. Bo ten facet był jak... książkę Pało Alto! Lub mógł nim być albo powinien nim być. I cały czas myślę, że to jest właśnie tak, jak w tej piosence.

Burke nie miał pojęcia, o czym on mówi.

- W jakiej piosence?

- W tej piosence - mruzczał Eli. - W tej o muzyce. No wiesz, Dzień, w którym umarła muzyka.

ROZDZIAŁ 36

6 CZERWCA 2005

Wczoraj: Wciera. Jutro: Zawtra. Kocham cię: Ja ciebia Ijubliu.

Wilson zjechał z drogi numer 29 na lokalną drogę prowadzącą do Culpeper.

Przedmieścia były jak zwykle mieszaniną salonów fryzjerskich, myjni, salonów sprzedaży samochodów i centrów ogrodniczych. Łączność miasta ze wsią podkreślały dwie wielkie firmy sprzedające maszyny rolnicze - place zastawione były olbrzymią liczbą traktorów, kosiarek i belarek do siana. Minął kilka sklepów sieciowych: Wal-Mart, Lowe's, Ruby Tuesday, Dairy Queen, aż wreszcie dojechał do zabytkowego serca tego historycznego miasteczka, które stanowiło kilka kwadratów ulic wypełnionych budynkami z czerwonej cegły z tablicami informacyjnymi dla turystów.

Wilson szukał motelu. Jego wybór padł na Comfort Inn ze względu na jego wysokość i położenie - stał niecały kilometr od celu. Wynajął apartament. Od czasu wyjścia z Florence, przestrzeń miała dla niego znaczenie, był to luksus, na który teraz było go stać.

SWIFT znajdował się po drugiej stronie drogi numer 29. Lokalizację budynku zdobył przez Internet, z zapisów w miejskich księgach podatków gruntowych.

Epicentrum światowych operacji bankowych wybudowano wśród farm z czerwonymi stodołami by nie rzucało się za bardzo w oczy. Nie prowadziły do niego żadne drogowskazy, nie było też ani jednej tablicy informacyjnej, tylko tabliczki „Zakaz wstępu” i „Własność prywatna”. Oczywiście trudno byłoby się nie domyślić, że to jest właśnie to miejsce. Teren został ogrodzony podwójnym płotem z siatki zwieńczonej zwojami drutu kolczastego. Kamery ochrony nadzorowały obszar pomiędzy ogrodzeniami; przy wjeździe stał budynek wartowni, z której sterowano elektrycznie odsuwaną bramą wjazdową.

Wilson zatrzymał się przed wartownią i spytał o drogę do Wal-Marta. Stamtąd zobaczył parking samochodowy, ale sam budynek zasłonięty był wysokim wałem ziemnym stanowiącym dodatkowe zabezpieczenie. Gdy strażnik wyjaśniał mu, jak dojechać do marketu, Wilson zapisał na zegarku odczyt GPS.

Culpeper Switch leżał nie dalej niż pół kilometra. Kiedyś znajdował się w bunkrze zwanym Mount Pony, a teraz wyglądał jak budynek niewielkiej szkoły. Bezpieczeństwo było najważniejsze. Zatrzymał się jeszcze raz na chwilę przy ogrodzeniu i, poprawiając pas bezpieczeństwa, zrobił drugi odczyt pozycji na zegarku z GPS-em.

Wieczorem zjadł obiad w restauracji Ruby Tuesday. Gdy wrócił do motelu, usiadł przy stolicku w niewielkiej kuchni i włączył laptopa. Wprowadził koordynaty GPS miejsca postoju escalade, budynków SWIFT i Culpeper Switch. Program skoordynował dane z mapą topograficzną Culpeper i

okolic. Po czterech minutach miał gotowe parametry do namierzenia celu.

*

Wilson nie był do końca pewien, jaki efekt przyniesie atak, więc bawiło go to jeszcze bardziej. Tak naprawdę w ogóle nie wiedział, co się stanie. Z pewnością będzie to łańcuch wydarzeń, których efekt końcowy będzie można obserwować - ale nie przewidzieć.

Culpeper zostanie sparaliżowane, to pewne. Samochody i traktory przestaną działać, kuchenki mikrofalowe i telewizory zwyczajnie umrą. Nie będzie światła, wody, przestanie funkcjonować kanalizacja. Bankomaty, stacje benzynowe, skarbcze bankowe, alarmy ochrony - wszystko zostanie wyłączone. I nie da się już ich ponownie włączyć.

Zastanawiał się, ile czasu minie, aż ludzie zorientują się na jaką skalę wystąpiło zniszczenie infrastruktury. Zwykle mieszkańcy są przyzwyczajeni do chwilowych wyłączeń prądu i awarii komputerowych. Ale tu wszystko będzie inaczej, zniszczenia będą strukturalne, całościowe i trwałe.

Uświadomił sobie, że efekt działania impulsu będzie wręcz przeciwny do tego powodowanego przez bombę neutronową. Bomba neutronowa zabiłaby wszystkie żyjące istoty i pozostawiła nietkniętą infrastrukturę. Wytworzony przez niego puls elektromagnetyczny zniszczy infrastrukturę, nie wpływając bezpośrednio na cokolwiek, co żyje i oddycha.

Taki atak na niewielkie miasteczko będzie w swojej wymowie dość ironiczny, przynajmniej w jeden sposób: miejsce, w którym obrabiano dane dotyczące transferu dwóch bilionów dolarów dziennie, nie będzie miało dostępu do żadnej gotówki.

A nawet gdyby, to i tak nie będzie można jej nigdzie wydać. Kasy sklepowe, terminale do kart płatniczych - żadna z tych rzeczy nie będzie działać.

Drzwi automatyczne się nie otworzą - chyba że ręcznie lub kluczami. Te kontrolowane systemami dostępu będą musiały zostać wyważone. Zastanawiał się przez chwilę, co będzie się działo w areście miejskim. Jeśli zamki celi są zamykane elektronicznie i kontrolowane przez komputer, to czy pozostaną zamknięte po zniszczeniu systemu? A może więźniowie po prostu wyjdą sobie na spacer?

Dystrybutory na stacjach benzynowych przestaną funkcjonować, przynajmniej na jakiś czas, ale i tak nie będzie zapotrzebowania na paliwo. Wszelkie pojazdy zostaną unieruchomione, bo ich systemy komputerowe przestaną sterować wtryskiem benzyny. Wspomaganie hamulców i układów kierowniczych przestanie działać tak, jakby kierowcy nagle odłączyli zapłon kluczykami. Doświadczonym kierowcom z reflekssem uda się przypuszczalnie bezpiecznie zatrzymać samochody, ale należy przypuszczać, że wielu straci panowanie nad kierownicą.

Ciężarówki? Bez zapłonu też chyba nie da się ich łatwo prowadzić, mimo umiejętności kierowców i hydraulicznych systemów hamulcowych. Potężne ciężarówki z naczepami będą działały zgodnie z zasadami oddziaływania sił fizyki newtonowskiej. Im większa masa pojazdu i jego prędkość - połączonych z awarią układu kierowniczego i hamulcowego - tym trudniej będzie nad nim zapanować. Staną się niesterowanymi pociskami.

Wybuchną pożary spowodowane eksplodującymi cysternami i skażenia terenu substancjami niebezpiecznymi dla zdrowia. Wszystko będzie zależało od tego, jakie ciężarówki, z jakim ładunkiem i kiedy będą przejeżdżać przez okolicę - gdy w miasteczko uderzy EMP - impuls elektromagnetyczny.

Ofiary w ludziach wystąpią natychmiast - spowodowane nie tylko wypadkami drogowymi. Pechowe samoloty, przelatujące w pobliżu, spadną z nieba. Przestaną działać rozruszniki serca. Szpitale staną się umieralniami. Ich generatory - automatycznie włączające się przy braku zasilania - są podłączone do sieci, więc też zostaną zniszczone przez impuls. Pacjenci podłączeni do systemów

podtrzymujących życie podczas operacji - umrą. Monitory i respiratory podające tlen do oddychania lub automatyczne kroplówki podające leki - przestaną funkcjonować. Zamknięte elektronicznymi zamkami magazynki leków i sprzętu - nie otworzą się, mimo wbijania w klawiatury kodów dostępu. Windy zatrzymają się między piętrami.

Najbardziej długofalowy efekt ataku będzie odczuwalny przez uszkodzenia podstawowej infrastruktury, a szczególnie na drogach. Zanim ktoś zajmie się wymianą urządzeń energetycznych lub odbudową systemów wodno-kanalizacyjnych, trzeba będzie usunąć z ulic niedziałające pojazdy. Te samochody już nigdy nie będą jeździć.

Jeśli chodzi o banki, Wilson nie był do końca pewien, co się stanie. Banki były zabezpieczone przed działaniem EMP. Ale te zabezpieczenia nie ochronią elektronicznych urządzeń bankowych przed impulsem, który on wystrzeli - impuls skalarny jest o wiele bardziej groźny niż EMP powstający przy wybuchu nuklearnym na dużej wysokości. Jedyne zabezpieczenie mogłoby zapewnić tarcza Tesli - ale nikt jej przecież nie miał.

A jak zareagują światowe organizacje finansowe na taki atak? Wilson nie mógł tego przewidzieć. Wielkie systemy bankowe - Fedwire, CHIPS i SWIFT - na pewno były zabezpieczone przed awariami. Musiały być. Biliony gigabajtów danych krążących między bankami odpowiadały realnej gotówce. Elektroniczne systemy nadzoru dokonywały archiwizacji transakcji.

Culpeper był jedynie jednym wielkim zębem koła poruszającego systemy bankowe świata. Ale jeśli ten ząb zostanie uszkodzony, choćby na jedną minutę, to rynki finansowe świata zaczną drżeć. Bo jeśli w Culpeper uda się cokolwiek zniszczyć, to uszkodzeniu mogą ulec też współpracujące systemy archiwizacji danych na świecie.

Wilson założyłby się chemie, że giełdy finansowe i banki centralne będą musiały zostać zamknięte. Czy ludzie wpadną w panikę? Tego też nie mógł przewidzieć. Zresztą wtedy będzie z powrotem jechać samochodem na Zachód, słuchając muzyki.

*

Badania nad efektami działania EMP rozpoczęto wraz z testami nuklearnymi w atmosferze. Gdy do chłopców z Los Alamos zaczęło wpływać coraz więcej skarg na detonowanie ładunków nuklearnych zbyt blisko powierzchni ziemi nad Nevadą testy przeniesiono na odległe od lądu wyspy na Pacyfiku.

Ludzie nadal narzekali. Wprawdzie wysoka temperatura i błysk wybuchów nie miały zapewne większego znaczenia dla tych odległych, niezamieszkałych wysp, ale opad promieniotwórczy i trwałe skażenie gleby nadal stanowiły poważny problem. Te części świata będą zamknięte dla ludzi na dziesiątki lat. A może na zawsze.

Był jeszcze jeden problem: rybacy i ludy koczownicze przypadkowo wkraczali na skażone obszary, stając się żyjącymi (lub umierającymi) przykładami efektów oddziaływania promieniowania na ludzkie ciało.

Naukowcy wzięli się zatem za testy w atmosferze.

Sądziło się, że testy na dużych wysokościach nie będą szkodziły nikomu ani wysoką temperaturą ani światłem wybuchu, a promieniowanie radioaktywne zostanie rozproszone na olbrzymim obszarze, nie czyniąc nikomu szkody. To, czego nie wzięli pod uwagę, to efekt uboczny detonacji ładunków nuklearnych na dużych wysokościach: impuls elektromagnetyczny.

Przy wybuchu nuklearnym na dużej wysokości wytwarza się promieniowanie gamma, które bombarduje cząsteczki gazów atmosferycznych - tlenu i azotu - wytwarzając promieniowanie

elektromagnetyczne dużej mocy.

Gdy takie impulsy docierają do materiałów przewodzących - przewodów wysokiego napięcia, kabli, anten, wież radiowych, torów kolejowych, rurociągów i ogrodzeń z siatki metalowej - są przenoszone dalej. Jeśli EMP dotrze do anteny radiowej, to radioodbiornik spala się od środka przez działające wyładowanie. Jeśli antena wiezie do wnętrza samolotu, to EMP niszczy jego wewnętrzne urządzenia elektroniczne. Jeśli impuls dotrze torami kolejowymi do mechanizmów sterujących zwrotnicami lub do pociągu - to spali ich układy sterujące. Jeśli impuls uderzy w budynek, to układ zasilania w energię elektryczną również ulegnie zniszczeniu.

Fizycy z Los Alamos odkryli potencjał destrukcyjny EMP w 1962 roku, gdy zdetonowali megatonową bombę o nazwie Starfish Prime nad Johnson Island na Pacyfiku. Tysiąc dwieście kilometrów dalej, na Hawajach, przestały działać wszystkie urządzenia elektroniczne. Przestały działać światła na skrzyżowaniach w Oahu, padła sieć telefoniczna w Kauai. Samoloty straciły oprzyrządowanie elektroniczne. W promieniu trzech tysięcy kilometrów od epicentrum wybuchu została zaburzona telekomunikacja radiowa.

Rosjanie mieli podobne przypadki: uszkodzeniu uległy linie przesyłowe, zniszczone zostały systemy telekomunikacyjne, nad wieloma wioskami zapadła nagle ciemność.

Istniały obawy, że zdetonowanie pojedynczego ładunku nuklearnego nad Kansas mogłoby wytworzyć impuls elektromagnetyczny, który zniszczyłby wszystkie urządzenia elektroniczne i elektryczne w połowie stanu.

Naukowcy już w latach sześćdziesiątych obawiali się zgubnych efektów EMP, mimo że niewiele było wtedy komputerów, a technologie cyfrowe dopiero raczkowały. W związku z tym po wybuchu na wyspę Johnson, próby nuklearne przeniesiono pod ziemię.

W dzisiejszych czasach komputery były wszechobecne, a technologie cyfrowe sterowały wszystkim, co możliwe - od systemów naprowadzania pocisków, po ekspresy do kawy.

Efekty działania impulsu elektromagnetycznego na dużej wysokości będą miażdżące i nieodwracalne. Wilson wierzył, że impuls, który zamierzał wystrzelić z wieży obserwacyjnej w Nevadzie całkowicie zniszczy infrastrukturę Stanów Zjednoczonych. W jednej sekundzie, jedyna superpotęga na kuli ziemskiej stanie się krajem trzeciego świata porównywalnym do Angoli.

Ale najpierw - test. Najpierw - Culpeper.

ROZDZIAŁ 37

DUBLIN 6 CZERWCA 2005

Burke zdobył adres Mirandy Renfro ze strony internetowej miasteczka Fallon, która zawierała spis właścicieli nieruchomości.

Miranda Renfro była właścicielką działki numer 7B w Echo Village przy Fred Brigham Road 3. Wykorzystując dane zawarte na tej samej stronie, Burke próbował zadzwonić do sąsiadów, by poprosili ją do telefonu.

Nie udało się. Dwoje z nich wzięło go za dowcipnisa, a trzeci nie mówił po angielsku.

Tego wieczoru Burke siedział przed telewizorem i pił piwo. Oglądał mecz Manchester United z Manchester City. Był remis. Potem wiadomości i program o wyprawach krzyżowych.

Pił za dużo i zaczął się tym martwić. Ale i tak nie powstrzymało go to przed sięgnięciem po kolejne piwo. Chodził w kółko po pokoju, myśląc o wszystkim i w końcu podjął decyzję. Jeśli góra nie mogła przyjść do Mahometa, to Mahomet musiał przyjść do góry. Usiadł przy stole i włączył komputer. W pasek wyszukiwania wpisał Travelocity - stronę, na której kupowało się bilety.

*

Okazało się, że kupowanie biletów przez Internet wcale nie było takie trudne. Natomiast wyjaśnienie Tommy'emu, co chce zrobić, już o wiele bardziej.

Burke opowiadał mu o swoim planie podróży, gdy nagle zdał sobie sprawę, jaką obsesją stało się dla niego poszukiwanie Wilsona. Belgrad - to jedna rzecz, wycieczka do Słowenii też była okay (no, może), ale pójdzie tropem, który wiódł aż do Nevady? To już chyba zaszło za daleko - z geograficznego punktu widzenia i w zasadzie z każdego.

W oczach Tommy'ego widział sceptycyzm i obawę.

- A co spodziewasz się tam znaleźć?

- Jacka Wilsona. Jeśli mi się powiedzie.

- Nieee - odpowiedział Tommy. - Chyba sam w to nie wierzysz, co?

- Może ta Mandy powie mi, gdzie go szukać. I wtedy powiem to Kovalence.

- Tak ci się wydaje, chłopcze? Jeśli ktoś taki jak ty pojawi się tutaj, to co mam mu powiedzieć? „O tak, Michael jest w Dublinie, już daję panu adres?”.

- No, nie wiem..

- A jeśli nawet go znajdziesz, to co zrobisz? Co? Powiesz: „Jack, chodź, idziemy do FBI?” - Staruszek skrzywił się. - I myślisz, że on pójdzie z tobą grzecznie za rączkę? Ten facet jest kryminalistą! To czyste wariactwo. Poczekajmy. Zobaczmy, co zdecyduje sąd. Nie możesz tak sobie latać po całej kuli ziemskiej.

Burke obiecał, że się nad tym zastanowi. I faktycznie wszystko przemyślał. Nawet przespał się z

tą myślą. A rano pojechał taksówką na lotnisko.

ROZDZIAŁ 38

CULPEPER 8 CZERWCA 2005

Wilson pomyślał, że jeśli poczeka do zmroku, to zobaczy, jak miasto gaśnie. Byłby to nawet interesujący widok. Wolał jednak zaatakować w czasie godzin pracy banków.

Wypił kawę i spakował się. Na śniadanie zjadł cheerios z mlekiem i banana. Wymeldował się z hotelu. Spojrzał na zegarek. Dziewięta trzydzieści.

Czas na działanie.

Uruchomił potężny silnik V-8 swojego escalade i załączył obwody modułu wzmacniającego (słynna cewka Tesli), dla którego źródłem energii był alternator samochodu.

Wyszedł z samochodu, zostawiając włączony silnik. Krótka skrzynia ładunkowa escalade miała plastikową przykrywkę. Zdjął ją i odłożył obok pick-upa. Zdemontował system amortyzatorów podtrzymujących ładunek, odłożył na bok kokon z gąbki, w który zawinięta była broń i podłączył ją do laptopa. Oprogramowanie kontrolujące broń uniosło jej tubus. Zaczął działać program naprowadzający na cel. Automatyka niemal bezszelestnie skierowała lufę we właściwą stronę.

Jeśli ktokolwiek zadałby jakieś pytanie, odpowiedziałby, że jest to urządzenie pomiarowe. Ale samochód był zaparkowany na skraju parkingu, pod samym płotem i nikogo nie było w pobliżu.

Dotknął tatuażu na piersi - na szczęście - i przełączył włącznik broni. Nie był w stanie dostrzec strumienia. Nic nie słyszał, zupełnie jak Tesla i Ceplak; zastanawiał się nawet, czy to w ogóle działa.

Ale w odróżnieniu od Tesli nie musiał czekać tygodniami na sprawozdania z Syberii. Obserwując, jak tubus lufy cofa się i składa, zauważył na niebie boeinga 727 kierującego się w całkowitej ciszy w stronę lotniska Dulles.

Prędkość i siła ślizgu wyniosły samolot poza obszar objęty atakiem. Silniki samolotu nie działały i maszyna zaczęła szybko tracić wysokość. Wilson zastanawiał się, jak daleko doleci. Zastanawiał się, czy usłyszy odgłos uderzenia i eksplozji.

Ten samolot był jeszcze jednym elementem eksperymentu z Culpeper. Będąc wysłannikiem śmierci dla niewinnych ludzi - co poczuje w takim momencie? Czy go to porazi w jakikolwiek sposób?

Samolot położył się na prawe skrzydło.

Nie znał się na samolotach. Podczas lotu ślizgowego z opuszczonymi klapami i podwoziem mogły całkiem daleko dolecieć. A niektóre były nawet wyposażone w awaryjne hydrauliczne systemy sterowania i bardzo dobry pilot mógł bezpiecznie posadzić samolot.

Ale nie taki samolot. Ten wchodził właśnie w lot nurkowy. Bez siły ciągu z silników spadał jak kamień.

Wilson stracił go z oczu. Potem usłyszał odgłos uderzenia o ziemię i zobaczył czarny dym nad

horyzontem.

Poczuł dziwną mieszankę wyrzutów sumienia i uniesienia. Wielokrotnie latał samolotami i wiedział, jak pasażerowie reagują na turbulencje. Mógł sobie wyobrazić przerażenie załogi w kokpicie i panikę wśród pasażerów. Było to zapewne trochę podobne do masakry nad Wounded Knee - śmierć w oczach i brak możliwości ucieczki.

A zresztą, pomyślał Wilson, najważniejsze były powody, które nim kierowały. Poza tym - takie było przeznaczenie. Ich i jego.

*

Przypadkowa natura dokonywanego zniszczenia intrygowała Wilsona i dlatego przyjemność sprawiłoby mu pozostanie w Culpeper, by móc być naocznym świadkiem kaskady wypadków. Lecz nie miał takiej możliwości.

Comfort Inn znajdował się poza obszarem ataku i Wilson skrupulatnie zaplanował na mapie drogę powrotną, bo wkrótce i tu będzie można poczuć efekty impulsu, który niszczył rozchodzącą się z miasta sieć energetyczną. Nie chciałby się tu wtedy znaleźć. A poza tym miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Wiadomości mógł wysłuchać przez radio podczas jazdy.

Wilson zdenerwował się, a przez ciało przebiegł mu nieprzyjemny prąd, gdy przekręcił kluczyk w stacyjce i nie było żadnego efektu. Może jego własny samochód nie znajdował się jednak poza terenem działania impulsu elektromagnetycznego? Może źle przeprowadził obliczenia?

Jednak nie. Zegarek na ręce działał. Przekręcił kluczyk jeszcze raz. Tym razem silnik zabulgotał.

*

Gdy zbliżał się do skrzyżowania położonego pięćdziesiąt kilometrów od motelu, zauważył, że nie działają światła. Samochody przejeżdżały ostrożnie, po jednym.

Nie był tym zaskoczony. EMP, który uderzył w Culpeper, z pewnością spowodował również uszkodzenia na peryferiach terenu ataku. Nie miał pojęcia, jak rozległe będą zniszczenia sieci energetycznej, ale zdawał sobie sprawę, że spore. Nadmiar napięcia z uderzenia impulsu rozejdzie się po liniach elektrycznych na pewną odległość, paląc obwody każdego urządzenia, które napotka na swej drodze. Jeśli chodzi o samą sieć energetyczną, to po wielkiej awarii w 2003 roku, niewiele zrobiono, by poprawić jej stabilność.

Elementy systemu energetycznego, takie jak podstacje odbierające wysokie napięcie, w rzeczywistości nie są sobie równe. Jeśli podstacja w Culpeper była węzłem, który odbierał wysokie napięcie, to uszkodzenie węzła, powoduje brak dopływu prądu na setki kilometrów wokół. Takie awarie zwykle nie trwają długo. Pogotowie energetyczne radzi sobie z nimi w jeden lub dwa dni.

Ale w Culpeper tak nie stanie się. W Culpeper było ciemno. W Culpeper wszystko trafił pieprzony szlag. Słuchał radia.

Pierwsze raporty dotyczyły wydarzeń, które miały miejsce poza Culpeper: katastrofa samolotu, olbrzymie korki uliczne. To było logiczne, że z samego Culpeper nie było jeszcze żadnych wieści na ten temat. Furgonetki telewizyjne i sprzęt telekomunikacyjny nie dotrze do tego małego miasteczka, dopóki nie zostaną rozładowane korki, a ciężarówki pomocy drogowej nie usuną unieruchomionych pojazdów.

Gdy dojeżdżał do Pensylwanii, wiedział już, że urządzenia bankowe w Culpeper nie wytrzymały uderzenia impulsu. Tego dnia rynki finansowe zamknęły swoje giełdy wcześniej - ze względu, jak to określono, na „problemy techniczne”. Zadyszani reporterzy spekulowali na temat „wirusów komputerowych i koni trojańskich”, a rzecznik prasowy Białego Domu zaprzeczył teorii spiskowej,

jakoby rozbicie się samolotu miało związek z problemami na Wall Street. „Następnym razem - powiedział - powiążą to jeszcze z korkami ulicznymi jakie mamy na dojazdówkach do obwodnicy Waszyngtonu”.

Nikt jeszcze nie wspomniał o Culpeper. Culpeper nie pojawiło się jeszcze jako wiadomość numer jeden.

- To nie był żaden haker ani wirus - twierdził stanowczo jakiś reporter. - To terroryzm finansowy.

Banki w strefach czasowych na zachód od Culpeper również zamknięto wcześniej.

Międzynarodowi korespondenci od Azji po Europę donosili, że na ich giełdach handel akcjami uległ ograniczeniu.

Prezes Rezerwy Federalnej obwieścił, że była to krótkotrwała usterka systemu. Zapewnił opinię publiczną, że skomputeryzowane sieci bankowe miały wbudowane zabezpieczenia i „systemy zastępcze”, i że wkrótce wszystko wróci do normy i będzie działać jak dawniej.

Ale co z samolotem? Czy został zaatakowany? A może katastrofa samolotu była tylko zbiegiem okoliczności?

Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych zalecał spokój z nieujawnionego miejsca pobytu.

Była już pora kolacji, a Wilson dojeżdżał do Pittsburgha, gdy podano pierwsze informacje o samym Culpeper.

Histeryzujący mieszkańcy opisywali miasto zaśmiecone wrakami samochodów, gdzie wszystko co było elektryczne lub elektroniczne, przestało działać.

Ci, którym udało się wydostać z Culpeper, relacjonowali na żywo wydarzenia. Pożary rozprzestrzeniały się bez kontroli; większość z nich była wynikiem wypadków samochodowych i katastrof spowodowanych przez ciężarówkę. Wozy strażackie i karetki nie mogły dotrzeć na miejsca wypadków i pożarów.

Wilson nawet nie pomyślał o pożarach, ale, niewątpliwie, te również mogły się przydarzyć. Wielkie trzęsienie ziemi, które nawiedziło San Francisco w 1906 roku spowodowało oczywiście pewne straty, ale dopiero wyniki z niego pożary obróciły miasto w zgłiszczą.

Gdy Wilson mijał granicę z Ohio, jakiś głos w radiu po raz pierwszy przyznał, że mógł to być „impuls elektromagnetyczny”. W rozgłośni ogólnokrajowej grupa ekspertów miała temat przy okrągłym stole. Jeden z biorących udział w dyskusji, emerytowany fizyk nuklearny, starał się jak mógł, by wyjaśnić wszystkim na czym polegało to zjawisko. Gdy zaczął opowiadać o elektronach w cewce Comptona, prowadzący audycję przerwał mu:

- No dobrze, ale co mogło to spowodować? To jest właśnie nasz problem.

- Dziwne jest to, że efekt oddziaływania jest tak skupiony - powiedział sucho ekspert. - Szczerze mówiąc nie potrafię tego wyjaśnić. Ogólnie to EMP pojawia się jako efekt uboczny wybuchu termojądrowego.

Spanikowani słuchacze zablokowali telefonami centralę telefoniczną rozgłośni. Ekspert zaczął wycofywać się z tej teorii.

- Tak, ale mógł to również spowodować rozbłysk słoneczny albo może jakieś anomalie w przebiegu wyładowań atmosferycznych...

Po kilku minutach stacje radiowe podawały oficjalne zapewnienia urzędników rządowych: w Culpeper i w jego okolicach nie odnotowano żadnego promieniowania.

Helikoptery rozmaitych kanałów telewizyjnych krążyły nad dotkniętym pożogą miasteczkiem,

dostarczając aktualnych informacji o pożarach i zatorach drogowych. Helikoptery pomocy medycznej nieprzerwanie transportowały pacjentów z lokalnego szpitala do klinik w Waszyngtonie.

W końcu kilku mieszkańców Culpeper udało się namówić na wywiad radiowy. I wtedy pojawiło się najbardziej dziwaczne doniesienie podchwycone przez media. Jeden z mieszkańców przyznał, że słońce mrugnęło - na krótką chwilę - i wszystkie samochody stanęły.

Wilson był blisko granicy Indiany, gdy podano, że przed samym uderzeniem widziano rój czarnych helikopterów. Inny mieszkaniec zobaczył chupacabrę. Kolejny świadek wydarzenia widział „latający spodek wielki jak pole kukurydzy Ricka Marohna”.

Zatrzymał się na przedmieściach South Bend, by kupić sobie sześciopak piwa i kanapkę w Subwayu. Wynajął pokój w Ramada Inn. Wtedy w wiadomościach mówiono już tylko o Culpeper.

ROZDZIAŁ 39

LOT NAD ATLANTYKIEM 8 CZERWCA 2005

Lecąc samolotem na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów, Burke musiał przyznać Tommy'emu rację. To był bez wątpienia, głupi plan. Leciał do Nevady, na jakieś pole z przyczepami, do kobiety, która raczej niewiele mu pomoże.

Ale będąc wysoko w powietrzu, ponad chmurami i liniami wysokiego napięcia, czuł, że dokonał właściwego wyboru. To było logiczne następstwo i krok, który musiał zrobić. Spojrzał przez okno na gładkie, błękitne niebo. Nie chciał tego wyjawić Tommy'emu, bo wiedział, że zabrzmiałoby jak idiotyzm, ale czuł, że poszukiwanie Jacka Wilsona było jakby sterowane siłami z zewnątrz. Czuł, że drogi życiowe jego i Jacka musiały się złączyć jak kropeczki na radarze. Nie wiedział, co się stanie, gdy dojdzie do spotkania. Jeszcze się tym nie martwił.

Jedyną rzeczą, jakiej się teraz obawiał, była kontrola paszportowa.

Zasady przekraczania granicy dla osób mających podwójne obywatelstwo i amerykański paszport były proste: przyjazd na teren Stanów Zjednoczonych i wyjazd mogły się odbywać jedynie na podstawie paszportu amerykańskiego. Pomyślał o zaryzykowaniu i wykorzystaniu paszportu irlandzkiego, ale Kovalenko na pewno wprowadził go już na jakąś listę podróżnych, których należało szczególnie kontrolować. Skorzystanie z irlandzkiego paszportu byłoby złamaniem prawa i jeśliby został złapany, mogliby go nie wpuścić na terytorium Stanów Zjednoczonych. Albo gorzej.

Gdy przyszła jego kolej na przekroczenie żółtej linii, siedząca w budce kontroli paszportowej urzędniczka pochodzenia latynoskiego od razu dostrzegła stempel WAŻNE TYLKO NA WJAZD NA TEREN STANÓW ZJEDNOCZONYCH i chwyciła za słuchawkę telefonu. Wydawała się być przejęta, gdy wstukiwała dane do komputera. Przejechała paszportem przez skaner i rzuciła mu jeszcze bardziej przestraszone spojrzenie.

- Będziemy musieli poczekać na mojego szefa. Podeszedł do nich wielki mężczyzna. Sprawdził coś w komputerze i wzruszył ramionami.

- Nie potrzebuje paszportu, żeby podróżować po kraju. Ostempluj - powiedział, co Latynoska natychmiast uczyniła. Następnie spojrzał na Burke'a. - Nie może pan wyjechać z kraju z tym paszportem. Rozumie pan?

- Tak.

*

Podczas długiego kołowania samolotu do terminala, kapitan rzucił zdawkowe „opóźnienia” przez głośniki. Wspominał, że personel Aer Lingus udzieli wszystkim informacji. Burke nawet nie zwrócił na to uwagi. Po przejściu przez odprawę paszportową i celną musiał dostać się do innego terminalu, by złapać samolot linii America West do Reno.

Wewnątrz terminalu było oczywiste, że coś się stało. Tłumy tłoczyły się przed paroma telewizorami. Ludzie rozmawiali ze sobą, ale nawet nie wsłuchując się w to, o czym rozmawiali, Burke wyczuwał podniecenie i niepokój w ich głosach, poszum trwogi.

- Uważam, że to terroryści - oświadczył mężczyzna w dżinsach i koszulce.

- Mówią, że to może jeden z tych rozbłysków słonecznych - powiedziała jego żona. Ci, którzy byli w powietrzu, gdy to wszystko się wydarzyło, dopiero teraz nadrabiali zaległości informacyjne. Wszystkie odloty zostały wstrzymane. Gromady niecierpliwych podróżnych zadreęczały agentów lotniczych żądaniami voucherów i prośbami o bieżące informacje.

W zasadzie nie było konkretnych informacji. Wszyscy oglądali wiadomości przyklejeni do małych ekranów, na których szeroko opisywano koszmar, który można było streścić tylko jednym słowem: Culpeper.

Burke potrzebował kilku minut, by dotarł do niego sens informacji. Kiedy wszystkiego wysłuchał, zdał sobie sprawę, co to było i kto się za tym krył.

Dostał się do siódmego terminalu, gdzie udało mu się znaleźć niewielki kawałek podłogi, na którym położył walizkę, i czekał z oczami skierowanymi na ekran telewizora.

Zdjęcia z helikopterów pokazywały setki porzuconych samochodów i rozbitych wraków oraz pożary różnych budynków. Helikopter leciał wystarczająco nisko, by można było dostrzec ludzi stojących na ulicach i machających do kamery. Obraz zmienił się, nagle nadano relację z miejsca katastrofy lotniczej. Olbrzymie kawałki samolotu usuwane były przez ciężkie maszyny. Inny reporter rozmawiał z rodziną, która czekała na ten samolot w Dulles. Przesuwające się napisy na dole ekranu informowały, że w katastrofie zginęło osiemdziesięciu siedmiu pasażerów i załoga. Znowu Culpeper - drżący obraz z kamery trzymanej w ręce pokazywał mężczyzn próbujących łomami drzwi windy. Na korytarzu szpitalnym przerażony lekarz udzielał wywiadu, a napisy informowały, że zmarło czternastu pacjentów: czworo w czasie operacji, pozostali zaś z powodu uszkodzenia systemów podtrzymujących życie.

*

O trzeciej nad ranem - późne rano w Słowenii - Burke zadzwonił do Luki Ceplaka.

- Michael! - krzyczał Ceplak do słuchawki. - Stęskniłem się za tobą! Jak leci? - I ciężkie westchnienie. - Wiem dlaczego dzwonicz - powiedział przygnębiającym głosem.

- Już wiesz?

- Culpeper, tak? Chcesz się upewnić, czy to nasz chłopak?

- Zastanawiałem się...

- To on. Te obiekty i samolot też! Przecież są chronione przed zwykłym EMP. Ale nie przed skalarnym EMP. Nie powstrzymasz go.

- Ale myślałem, że jak Wilson użyje tej broni, to będzie to jak tunguska...

- Tu nie o to chodzi. Myślisz, że to miasto prędko się podniesie? Nie, nie. Miną lata.

- Więc uderzył w banki... Myślisz, że mu to wystarczy?

- Nie - odpowiedział Ceplak. - Myślę, że on już teraz wie, jak to działa i będzie chciał uderzyć jeszcze raz. Na większą skalę.

ROZDZIAŁ 40

KUALA LUMPUR 9 CZERWCA 2005

Andrea Cabot wykonywała właśnie kolejną pozycję jogi. Jej instruktor nalegał, by podczas ćwiczeń nie oglądała wiadomości i poradził, by słuchała uspokajającej muzyki. Cabot nie potrafiła nie wykonywać kilku rzeczy naraz. W tle słychać było wiadomości CNN.

Sama zdawała sobie sprawę, że nadmiar myśli nie sprzyjał koncentracji podczas ćwiczeń. W telewizji pokazywano chaotyczne wiadomości z tragedii w Culpeper: katastrofę samolotu, popsute samochody, braku prądu i wyłączenia systemów bankowych, pożary.

Gdy Cabot przechodziła z pozycji psa z głową w dół do pozycji dziecka, zdyszany reporter oddał głos komentatorom w studio telewizyjnym.

- Pamiętacie ten stary film? Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia! Z kosmosu przylatuje człowiek i demonstruje swoją siłę. Na pół godziny unieruchamia każdy silnik elektryczny i spalinowy na całym świecie. I to właśnie zdarzyło się w Culpeper. Świat po prostu... stanął!

Andrea Cabot wsłuchiwała się w dyskusję. Wiedziała już o Culpeper znacznie więcej niż potrzebowała, a to dzięki powodzi szyfrowanych depech, które zaczęły do niej docierać w ciągu dosłownie kilku minut od incydentu i napływały nadal. Wiedziała więcej niż ten ekspert w studiu i reporter na ulicy lub ci pokręceni naoczni świadkowie, a nawet więcej niż wszyscy rzecznicy prasowi NOAA, FBI i FEMA razem wzięci.

Wiedziała, że Culpeper zostało celowo zaatakowane i że cały ciąg katastrof nie był związany z żadnym „promieniowaniem słonecznym”, „anomaliami geomagnetycznymi” ani też „koronalnymi wyrzutami masy solarnej”.

Był wynikiem ataku za pomocą impulsu elektromagnetycznego o precyzyjnej mocy i niezwyklej sile rażenia, prawdopodobnie z bomby E, ale o „niespotykanym poziomie zaawansowania i precyzji”. Dwie sprawy całkowicie ją zaskoczyły. Pierwszą z nich było to, że obiekty bankowe w Culpeper były zabezpieczone przed oddziaływaniem konwencjonalnego EMP, podobnie jak wszelkie inne tego typu wrażliwe na atak centra obliczeniowe. Ten atak EMP pokonał jednak tarczę ochronną systemów bankowych, która była przecież prawdziwym dziełem sztuki. Drugą sprawą było to, że analitycy nie potrafili pojąć, jak w ogóle możliwy był tak „chirurgicznie precyzyjny” atak. A to już było wysoce alarmujące. I oznaczało, że atak przeprowadzono za pomocą technologii, której Pentagon nie znał.

W pewnym sensie te wszystkie oceny i analizy tragedii uspokoiły jej umysł. Oznaczały, że Culpeper nie było jej problemem - i to właśnie ją cieszyło, bo miała wystarczająco dużo własnych spraw na talerzu.

Przeszła z pozycji dziecka do kobry.

Dwa tygodnie temu podsłuchali jakąś paplaninę o planowanych atakach przeciwko „zachodnim” sieciom hotelowym w Bangkoku i w Kuala Lumpur. Coś bardzo spektakularnego i koordynowanego przez Al-Kaidę.

A ci chłopcy tutaj z pewnością nie zastosują nic tak skomplikowanego jak „urządzenie z Culpeper” - cokolwiek to było.

Zaatakują bombami z nawozów sztucznych. Lub konwencjonalnymi materiałami wybuchowymi przymocowanymi do ciał młodych mężczyzn z zespołem Downa.

Co było innym sposobem na stwierdzenie, że Culpeper nie było jej sprawą.

ROZDZIAŁ 41

WAVERLY, NEBRASKA 9 CZERWCA 2005

Wilson wziął długi prysznic, dokładnie się ogolił i powoli ubierał, jak ludzie, którzy wybierają się na jakieś szczególne spotkanie. Był to element jego procesu dojrzewania, sposób na skoncentrowanie się na rzeczach, które miały nastąpić.

Jego ubiór został tak dobrany, by zmylić przeciwnika: na nogach miał tanie obuwie sportowe, na sobie niebieski kombinezon roboczy z naszywką z imieniem „Jim”. Miał też tabliczkę z klipsem na papier i plastikową wkładkę do kieszeni z kilkoma długopisami. Nóż myśliwski Ka-Bar, kupiony w sklepie z militariami, mieścił się doskonale w olbrzymiej kieszeni kombinezonu. W odróżnieniu od pozostałych elementów ubioru, ten nóż bynajmniej nie miał nikogo mylić.

Uśmiechnął się do robotnika, którego zobaczył w lustrze.

Na rękę założył zegarek, ale nie garmin z GPS-em, tylko ten stary, który oddali mu, gdy wychodził z Allenwood. Odebranego mu w San Francisco prawie dziesięć lat temu. Federalni zapakowali go do pudełka, a pudełko towarzyszyło mu w jego długiej podróży przez system penitencjarny.

A gdy siedział w więzieniu i zegarek spoczywał w pudełku wraz z jego innymi rzeczami osobistymi, to co wtedy robił Robbie Maddox, ten gnój, który go wrobił? Gdy Wilson nie miał nic do roboty oprócz oglądania skrawka nieba, co robił Maddox i co widział? Ile posiłków zjadł ze swoimi przyjaciółmi, gdy jemu podawano więzienne jedzenie przez obrotową półeczkę w drzwiach celi? Ile kobiet zaliczył, gdy Wilson siedział sam w celi i rozmawiał ze ścianami? Ilu kawałków muzyki słuchał, gdy Wilson bezskutecznie próbował zatkać uszy i nie słyszeć ciągłego zasuwania więziennych drzwi, walenia w metal i wrzasków ludzi pozbawionych nadziei?

To były pytania retoryczne z jedyną możliwą odpowiedzią, którą Wilson doskonale znał. Większość tego czasu Robbie spędził w więzieniu. Dwa lata tu, dwa lata tam, rok jeszcze gdzieś indziej. Tego wszystkiego dowiedział się z raportu zamówionego u niejakiego Charleya Fremaux z Chicago, prywatnego detektywa.

Fromaux udało się znaleźć kapusia w niecały tydzień. Mieszkał od roku w Waverly w Nebrasce, na przedmieściach miasta Lincoln. Miał wypadek podczas jazdy samochodem, który - według policji - posłużył mu do wyłudzenia odszkodowania i wprowadził się do samotnie mieszkającej starszej siostry Lynn, skromnej bibliotekarki. Gdy odzyskał siły i zdrowie, długo cieszył się darmowym zamieszaniem i wyżywieniem u siostry.

Wilson przyglądał się sobie w lustrze. Wiedział, że to, co zamierza zrobić, przyniesie mu egoistyczne samozadowolenie. I nie było to częścią jego globalnego planu. Aczkolwiek mogło być nieznacznie ryzykowne dla realizacji tego planu.

Robbie Maddox pogrzebał go żywcem. Okłamał i oszukał władze, kładąc na szali życie Wilsona i

swoje za parę tygodni spędzonych na wolności. Maddox nie miał czym i w jaki sposób odpłacić Wilsonowi za to wszystko.

Wilson starał się wyciszyć emocje. Skoncentrował myśli na zielonym liściu złapanym w sieć pająka, liściu kołyszącym się na niewidzialnym wietrze.

Skierował się w stronę drzwi. Czas Robbiego Maddoksa minął.

*

Biały dzień - nie ten zwykły, jasny dzień, gdy po prostu świeci słońce. Ale ten „biały dzień”, gdy rabowane są banki, a ludzie zabijani z broni palnej.

Znaczenie wyrażenia „w biały dzień” zainteresowało Wilsona. Zawierało w sobie opis okoliczności przestępstwa, a także i nutę oburzenia. Głębia znaczenia sugerowała stan iluminacji tak jasnej i obejmującej pełen zakres czynu, że popełnienie przestępstwa powinno być nieprawdopodobne w swoim braku logiki. To jasne światło dnia nie pozostawiało żadnego cienia na schronienie. Jakakolwiek zbrodnia popełniona „w biały dzień” stawała się przez same okoliczności jeszcze bardziej potworna.

O pierwszej po południu Wilson zatrzymał się przy budce telefonicznej obok sklepu spożywczego, by zadzwonić do biblioteki, w której pracowała siostra Maddoksa. Poprosił ją do telefonu, a gdy wzięła słuchawkę do ręki, rozłączył się.

Piętnaście po pierwszej zaparkował forda escorta, którego wynajął od faceta za rogiem, dzięki namiarom od Fremaux. Z podkładką na dokumenty w ręce skierował się w stronę drzwi wejściowych. Motocykl przed domem oznaczał, że Wilson trafił we właściwe miejsce o właściwym czasie.

Zapukał do drzwi.

Gdy drzwi się uchyliły, Maddox miał może pół sekundy na ucieczkę. Ale rozpoznanie mężczyzny, który pojawił się w progu, zabrało mu całą sekundę. Wtedy było już za późno. Wilson wyprowadził prawy prosty, który zmasakrował twarz Maddoxa w okolicach lewego oka i siłą uderzenia wepchnął go w głąb pokoju. Wilson wszedł do środka, a Maddox, wijąc się z bólu, krzychał:

- Co jest, kurwa?!

Przy kominku stał pogrzebacz. Wilson bez namysłu chwycił go w rękę. Maddox, trzymając się za twarz i potykając się o stolik, cofał się w panice.

- No co jest?! - krzychał.

Wilson walnął go potężnie pogrzebaczem w bok kolana, zwalając go z nóg i powodując jeszcze głośniejszy, nieustający skowyt. Rozejrzył się. Drzwi nadal były otwarte, ale nie miało to żadnego znaczenia. Uderzył Maddoxa pogrzebaczem w bark. Potem w drugi. I znowu.

Odrzucił pogrzebacz i przykucnął obok mężczyzny, który go wrobił.

- Jezu! Robbie, tak długo się nie widzieliśmy! Co u ciebie?

- Oooo, człowieku... - głos Maddoksa, drżący i charczący, był mieszanką przerażającego strachu, bólu i nagłego uświadomienia sobie, kim jest napastnik. Mówił pozbawiony tchu, ledwie żywy.

- Nie wiedziałem! Naprawdę nie wiedziałem, co robię! Prze... przepraszam stary! Naprawdę przepra...

Wilson sięgnął do kieszeni kombinezonu roboczego i wyciągnął myśliwski nóż. Maddox zobaczył nóż i jeszcze bardziej się skulił. - Proszę...

Wilson zanurzył nóż w ciało Maddoksa po samą rękojeść i wyjął ostrze, by dokończyć dzieło. Chwycił go za kucyk, odchylił głowę kapusia na bok i do tyłu, i poderżnął mu gardło.

Potem wstał zdziwiony, że brak mu tchu i przypatrywał się, jak krew zbiera się wokół jego butów. Gdy wychodził, coś przyszło mu do głowy i zawrócił. Powiniennem wziąć mu skalp, pomyślał. To byłoby jak... złożenie hołdu. Zastanawiał się nad tym przez długie dziesięć sekund, stojąc w wejściu z nożem ociekającym krwią w ręce.

W końcu zrezygnował z tego pomysłu. Przecież nie był dzikusiem, a poza tym - co by zrobił z takim skalpem?

ROZDZIAŁ 42

KUALA LUMPUR 10 CZERWCA 2005

Po długim dniu pracy Andrea Cabot odpływała w płytką, ale błogą drzemkę, która mogła być zapowiedzią głębokiego snu, gdy nagle zaczęła ją dręczyć jakaś natarczywa myśl. Zmieniła pozycję i wtuliła się w poduszkę. W tym tygodniu zawała już dwie noce i czuła się potwornie przemęczona. Pragnęła zatonać w nieświadomości.

I znowu zaczęła odpływać w słodkie senne zapomnienie, w prawdziwy, głęboki sen, gdy błyskawica uświadamiająca coś istotnego poderwała ją do góry. Gwałtownie usiadła na łóżku.

To był test! Culpeper - to był tylko test!

To wyrażenie wynurzyło się nagle z jej pamięci. Gdy usłyszała je pierwszy raz była w zespole TTIC i oglądała taśmy ochrony z jakimś Brytolem z MI-6 i tym tłustym facetem z biura - jak on się nazywał?

Kovalenko.

Cała trójka wielokrotnie obejrzała nagranie: mężczyzna w kapeluszu, z ręką na temblaku, mężczyzna, który zostawił dwie walizki wypełnione gazetami obok stanowiska obsługi pasażerów British Airways i opuścił terminal lotniska. Jego działanie spowodowało ewakuację całego obiektu.

„To był test”, powiedział wtedy Kovalenko, po obejrzeniu taśmy chyba po raz dziesiąty. I miał rację. Andrea wiedziała, że miał rację.

Brytol zupełnie tego nie chwycił. „Jeśli ktoś chce wysadzić lotnisko w powietrze, to dlaczego tego po prostu nie robi? - pytał. Po co to ćwiczyć?”

Brytol w ogóle nie obejmował całości. Test nie polegał na tym, że facet z ręką na temblaku miał podłożyć walizki w odpowiednim miejscu stwarzając zagrożenie. Sprawdzano „czy” ten mężczyzna może to zrobić. Testowano człowieka, a nie plan.

Wraz z tymi wspomnieniami w jej myślach przeplatały się wszystkie znane fakty o Culpeper - to, co widziała w CNN, i to, czego dowiedziała się dzięki doniesieniom kanałami służbowymi i plotkom. Culpeper zmieniło się w czarną dziurę. Ale dlaczego właśnie Culpeper?

Wszyscy myśleli, że chodziło o banki i że było to uderzenie w serce systemu finansowego Zachodu. Ale nie Cabot. Obecność obiektów SWIFT i Rezerw Federalnych mogła odegrać pewną rolę w wyborze celu, ale jej zdaniem powodem wyboru Culpeper był test.

Ale test czego?

I wtedy na stację jej świadomości wjechał trzeci pociąg pełen domysłów. I ten dotyczył Hakima Mussawi, leżącego na stole, wychodzącego z paraliżu spowodowanego anektyną. Sprawdziła zapisy z przesłuchania, ale nie sądziła, żeby mogła się pomylić. Dobrze pamiętała fakty.

„Jest jeden Amerykanin! - sapał, wypluwając słowa, jakby miały uratować mu życie. On buduje

maszynę”.

Ale jaką maszynę? - zastanawiała się Cabot, myśląc oczywiście o jakiejś bombie.

Nie, to nie była bomba. Mussawi zeznał, że ten Amerykanin buduje maszynę, która zatrzyma świat.

Może nie tak. Buduje maszynę, która ma zatrzymać silnik świata.

To właśnie wspomnienie tej wypowiedzi wyszeptanej w sytuacji ekstremalnego wyczerpania sprawiło, że włosy zjeżyły się jej na głowie.

A co powiedział ekspert w CNN dziś rano? Mówił o jakimś starym filmie. Powiedział: „Dla Culpeper świat po prostu stanął”.

Andrea zacisnęła powieki. Było coś jeszcze: spieprzenie sprawy w Berlinie, ta strzelanina z Bobojonem Simoni. Fakty zebrane przez wywiad jakoś nawet pasowały do całości. Wrzuciła na siebie ubranie. A może zwariowała? Czy to wszystko faktycznie do siebie pasowało?

Choć prawie nigdy nie prowadziła swojego samochodu służbowego, nie miała nastroju, żeby czekać na kierowcę. Wsiadła do bmw stojącego w garażu i wyjechała na tętniące chaosem ulice Kuala Lumpur, które nawet o drugiej w nocy pełne były samochodów. Bez względu na to, jak bardzo się spieszyła, upewniła się, że nikt jej nie śledzi. Zerkając w tylne lusterko, kilka razy skręciła w lewo, zataczając koło wokół kilku kwadratów ulic, a następnie zawróciła na środku ruchliwego skrzyżowania.

Powinnam zadzwonić do Berlina, pomyślała. Pete Spagnola był właściwym człowiekiem. Starła się sobie przypomnieć jeszcze jedną rzecz: co takiego łączyło się z incydentem z Simonim, co włączyło alarm w jej mózgu?

No i jeszcze ten Mussawi. Był przetrzymywany na lotniskowcu na Morzu Japońskim. Chyba będzie musiała odbyć z nim jeszcze jedną sesję przesłuchań. Będzie potrzebowała helikoptera.

No i na końcu, choć wcale nie najmniej ważny - Ray Kovalenko. Ta sprawa z walizkami. Nie było powodu, żeby uważać, że mężczyzna z ręką na temblaku był właśnie tym Amerykaninem, o którym opowiadał Mussawi. Ale taśmy ochrony z portu lotniczego Dulles nie dawały jej spokoju i nikomu nie zaszkodzi skontaktowanie się z Rayem.

*

Cabot spojrzała na rządy zegarów - w Berlinie była dziewiąta wieczorem. O ile nie stało się coś pilnego, Pete powinien tam jeszcze być. Nie było go jednak. Zadzwoniła na centralę telefoniczną. Może dostanie numer domowy.

Ale nie. Przełączyli ją z powrotem do Langley.

- Jego obowiązki przejęła pani Logan. Czy mam panią połączyć...?

- Madison Logan słucham.

- Siedzi pani po godzinach? - zdziwiła się Andrea.

- Nie, to pani siedzi po godzinach - wyszczebiotał głos po drugiej stronie linii, sugerując, że ma wiedzę o miejscu pobytu Cabot.

- No tak. Przebudziła mnie pewna myśl i chciałam o tym porozmawiać z Petem. O Simonim. Rozumiem, że pani...

- Czytałam raporty - zapewniła ją Logan. - Jak mogę pani pomóc?

- Te zaszyfrowane pliki na komputerze Simoniego. Mam na myśli konta bankowe, na które wpływały pieniądze Al-Kaidy. Nie pamiętam dokładnie, ale czy jedno z nich nie wiodło do jakiegoś Amerykanina?

- Tak wnioskowano, choć nie jestem pewna, czy istnieje jakiś konkretny dowód. To było konto w Cadogan Bank na wyspie St. Helier. Czy to ważne?

Cabot zignorowała to pytanie.

- Kto zajmował się tą sprawą z kontem?

- To był Legat FBI w Londynie - powiedziała Logan. - Kovalenko.

- Ray! - wykrzyknęła Cabot.

- Wydaje się pani zdziwiona.

- Nie, nie - zapewniła ją Andrea. - To po prostu świat jest taki mały...

*

Gdy Kovalenko słuchał Cabot, jego żołądek zaczął się wywracać na drugą stronę. Im dłużej słuchał, tym gorzej się czuł.

Opowiadała mu o zatrzymaniu i wynikach przesłuchania jakiegoś turbaniarza. A to, co mówiła, sprawiało, że serce w jego klatce piersiowej zaczęło tracić rytm.

- „...zatrzymać silnik świata” - mówiła. - Właśnie tak powiedział: „Jest taki Amerykanin, który chce zatrzymać silnik świata”. No i tak sobie myślę, że to brzmi jak nasze EMP! To brzmi jak nasze Culpeper.

- Andrea... - westchnął Kovalenko.

- Czekaaj, czekaaj, czekaaj - przerwała mu - pozwól mi dokończyć, zanim to wszystko nie ucieknie mi z głowy. Ten facet, którego aresztowaliśmy w Kuala Lumpur, ten, który wydał agenta Al-Kaidy w Berlinie - tego, którego zastrzelono.

- To Bobojon Simoni.

- Wiem. A komputer Simoniego był dla nas źródłem informacji o kontaktach bankowych. Serce Kovalenki zaczęło się kurczyć. Nie tylko kurczyć, ale też potwornie boleć, jakby coś się w nie wwierało. Chyba tak zaczyna się zawał, pomyślał.

- Zdaje się, że miałeś się zająć sprawdzeniem tego konta. Dobrze myślę, Ray? Cadogan Bank, St. Helier?

- Andrea - wyszeptał. Jego głos był zbyt słaby, żeby przebić się wyraźnie przez barierę ust.

A ta suka cały czas gadała.

- Czy nie udało ci się ustalić, że to konto należało do jakiegoś Amerykanina? Amerykanina, Ray... Widzisz, o co w tym wszystkim chodzi? Amerykanin, który dostał pieniądze od Al-Kaidy, Amerykanin, który chce zatrzymać silnik świata. Myślę, że on już zaczął to realizować. Więc musimy sobie z nim porozmawiać. Od razu. Teraz. Kto to jest, Ray? Gdzie on jest? Cokolwiek masz na jego temat - dawaj, dawaj, dawaj.

Umysł Kovalenki wirował. „Zatrzymać silnik świata”. To sformułowanie prosto z powieści Atlas zbuntowany. Francisco d’Anconia, który miał kiedyś konto w St. Helier, był tym samym facetem, który załatwił Culpeper - co do tego nie było żadnych pieprzonych wątpliwości.

A teraz jego pamięć nasunęła mu scenę z pubu Nightingale Arms, gdzie ten facet z Dublina próbował wręczyć mu dane, które zebrał na temat d’Anconii. Dane biograficzne. I prawdziwe nazwisko d’Anconii. Jak on się nazywał? Bork? Burke. No właśnie - Mike Burke. I nawet napisał te dane dla Kovalenki. Na karteczce. W zamian chciał tylko, żeby znieść restrykcje nałożone na firmę jego teścia.

A co on, Ray Kovalenko, zrobił z tą informacją? Spojrzał na kartkę, no tak, ale co z nią zrobił? Nie pamiętał.

Ta informacja wydawała się taka nieważna. Miał zamiar nawet przesłać ją do Waszyngtonu, ale nie zrobił tego. Prawda była taka, że nie pamiętał, co z nią zrobił.

Musi być gdzieś w biurze, powiedział do siebie. Lub... Co miał wtedy na sobie? Może była w jakiejś kieszeni. Nie miał pojęcia, co z nią zrobił. To było całkiem możliwe, że... No nie, tego by nie zrobił, a może? Wyrzucił kartkę?

Kovalenko pamiętał, że wtedy, w pubie powiedział Burke'owi, że informacja na karteczce wcale nie jest taka istotna. Pamiętał, że wkurzyło to totalnie Burke'a, że ten skurwiel wyglądał, jakby chciał mu przywalić z byka.

A teraz, o ile Kovalenko nie odnajdzie kartki z informacją, będzie musiał czołgać się u stóp tego Burke'a. I błagać go.

- Ray? - to był głos Andrei.
- Nie mam tej informacji. Ale zdobędę ją.
- Co ty mówisz?
- Oddzwonię do ciebie.

Słyszał, jak krzyczała w słuchawkę telefonu „Ray!” gdy on odkładał swoją na widelki.

ROZDZIAŁ

43 PORT LOTNICZY IM. JOHNA F. KEN NEDY'EGO

12 CZERWCA 2005

Gdy wreszcie, czternaście godzin po przylocie Burke'a na lotnisko JFK zniesiono ograniczenia na loty, cały terminal wyglądał jak pobojuwisko. Pasażerowie byli zadziwiająco cierpliwi i weseli, choć brakowało wody i żywności, a łazienki wołały o pomstę do nieba. Minęło jeszcze sześć godzin, zanim Burke znalazł się w samolocie do Reno. Do tego czasu pragnął się znaleźć byle gdzie, nawet tysiąc kilometrów od celu podróży, byle już tutaj nie siedzieć. O tym samym marzyli prawdopodobnie wszyscy ludzie czekający na swoje samoloty.

W Reno wynajął samochód z intencją dotarcia do Fallon. Ale wkrótce głowa zaczęła mu opadać na kierownicę, więc zatrzymał się w przydrożnym motelu na przedmieściach Sparks, wynajął pokój i rzucił się na łóżko.

Następnego dnia, w czasie podróży do Fallon, która trwała zaledwie dwie godziny, ćwiczył rolę do odegrania przed Mandy Renfro. Był zatem reporterem magazynu „Harper's”.

Nie brzmiało to jakoś szczególnie przekonująco. Ale to wszystko, na co było go stać, więc jechał dalej, od czasu do czasu spoglądając na mapę.

Przyczepa mieszkalna i ogródek dookoła były czyste i zadbane, otoczone małym płotkiem z białych szczebelków. Stał na schodkach, trzymając w ręce bukietik zwędłych kwiatów, które kupił rano i zapukał do drzwi. Otworzyła je starsza kobieta w dżinsach i koszuli w kratę. Miała bardzo jasne błękitne oczy.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, ale jego odpowiedź utonęła w rozdzierającym powietrze hałasie spowodowanym przez parę odrzutowców bojowych. Przeczytał w przewodniku, że Fallon był siedzibą centrum szkolenia pilotów myśliwców Top Gun, przygotowującą ich do walk powietrznych.

Mandy Renfro uśmiechnęła się i podniosła palec do góry.

- Można się do tego przyzwyczaić - wykrzyczała. A gdy hałas ucichł, zapytała: - A teraz, w czym mogę pomóc?

Burke powiedział, że pisze artykuł dla magazynu „Harper's” o Ustawie o utajnieniu wynalazków.

- No proszę - powiedziała i zmarszczyła brwi, widząc kwiaty. - Te biedaki potrzebują pomocy - spojrzała na niego i dodała - Proszę wejść. Wyglądasz na spragnionego.

Zaprosiła go do malutkiego saloniku. Na jednej ścianie był „ołtarzyk” poświęcony Jackowi:

póleczenia z nagrodami, kilka fotografii, kilka dyplomów, proporzcyk Uniwersytetu Stanforda.

Mandy włożyła kwiaty do wazonika i wyszła z kuchenki z dwoma szklankami ice-tea. Dopiero jak wymieszała cukier długą łyżeczką i postawiła szklanki na stolyczku, usiadła. Przelatujące niemal co minutę myśliwce przerywały rozmowę.

- Więc co to za czasopismo do którego piszesz ten artykuł?

- „Harper's” - powtórzył Burke.

Mandy Renfro przyjrzała mu się uważnie swoimi jasnoniebieskimi oczami.

- Młody człowieku - zaczęła - myślę, że nie mówisz mi prawdy.

- No więc...

- To i tak nie ma znaczenia - powiedziała. - I tak nie pomogę ci w sprawie Jacka. Wiem, że wyszedł z więzienia, bo to moja sprawa, żeby wiedzieć, co się z nim dzieje - spojrzała na swoje dłonie. - Ale Jack nie dba już o to, by wiedzieć, co się dzieje ze mną.

- Więc ostatni raz widziała go pani na sali sądowej?

- To prawda.

- Tak, jak wszyscy pozostali. Wzięła mały łyk ze szklanki.

- Wyglądasz na okropnie zmęczonego. Powiedz mi prawdę dlaczego tutaj przyjechałeś? Czemu interesujesz się Jackiem?

Burke był już zmęczony ciągłymi kłamstwami. Opowiedział jej całą swoją historię, pominął jednak wydarzenia w Culpeper.

- Myślę, że on buduje broń - wyznał. - Potężną broń. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Wiele złości tkwi w tym chłopaku, ale ma powód. Tyle lat w tak okropnym miejscu. Burke skinął głową.

- Zwierzęta reagują na dwa sposoby na zadany im ból, a Jackowi sprawiono olbrzymi ból, sam wiesz. Niektóre stworzenia zwijają się w kulkę i udają, że są martwe, żeby nie nadstawić się bardziej na cierpienie i zniechęcić napastnika. A te pozostałe? Zrobisz im krzywdę i one chcą ci oddać. Atakują. Albo czekają na odpowiedni moment i wtedy atakują. Nawet psy potrafią przechowywać w swej pamięci żal. Kojoty też - wzięła łyk mrożonej herbaty.

- Więc pani myśli, że Jack będzie się mścił?

- Zrobiono mu krzywdę. Więc... Chyba tak, boję się, że może się mścić, a jest bardzo inteligentny i uparcie dąży do obranego celu.

- Ja też się boję.

- Co zrobisz, jak go już odszukasz?

- Sam nie wiem - odparł Burke. To była prawda, bo zupełnie nie wiedział, jak się zachowa. - Sądzi pani, że on tu przyjedzie?

- Ta mała przyczepa była dla niego specjalnym miejscem, więc jeśli do tej pory mnie nie odwiedził, to już się nie pojawi - westchnęła. Zamieszała herbatę. - Na pewno już wiesz, że znaleziono go pod drzwiami szpitala w kartonowym pudełku z nazwiskiem na nalepce.

Burke skinął głową.

- Gdy się o tym dowiedział, źle się czuł sam ze sobą, miał uczucie porzucenia. Ale wyjaśniłam mu, że czasem podrzuca się dziecko, żeby uchronić je przed gorszym losem. I powiedziałam mu też, że jego początek życia był podobny do dzieciństwa wielu potężnych ludzi. Na przykład Mojżesz - przecież znaleziono go w koszyku na rzece. I Sargon, który był królem Mezopotamii, też był odnaleziony w koszyku. Powiedziałam mu, że początek jego życia był jak z legendy.

Burke ze zrozumieniem skinął głową. Twarz Mandy rozświetlił lekki uśmiech.

- Teraz pewnie zastanawiasz się, jak to możliwe, że kobieta mieszkająca w przyczepie wie cokolwiek o starożytnej Mezopotamii. Zanim spotkałam Alana, mojego męża, studiowałam przez dwa lata na Boise. I dużo czytam. Miłość do książek przekazałam Jackowi... No dobrze, Jack zamieszkał z nami, gdy miał dziesięć lat. Nigdy nie udało nam się niczego dowiedzieć o jego rodzicach. Patrząc na niego oczywiste było, że jedno było białym, a drugie Indianinem. Był Metysem. Pół-Paiutem - tyle można się było domyśleć, bo Nevadę zamieszkują Indianie Paiute. No i Alan i ja - i Jack też, jak był trochę starszy - wszędzie szukaliśmy jego rodziców, nawet w starych lokalnych gazetach. Jakiejś kobiety w ciąży, która później gdzieś zniknęła.

- Ale nie udało wam się nikogo odnaleźć.

- Nie. Zwykli ludzie nic nie wiedzieli, jedynie bardziej wykształceni kojarzyli kim był ten pierwszy Jack Wilson. A to też było ciekawe, że jego mama, a może jego tata, wybrali dla niego imię i nazwisko, by uhonorować wielkiego przodka, ale wybrali białe nazwisko zamiast prawdziwego, rodowego.

- Wovoka.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym zdziwienia.

- Więc już trochę poszperałeś tu i tam... Przytaknął.

- Kimkolwiek byli jego rodzice, była to piękna kombinacja genów. Jack był po prostu śliczny. O panie Boże! Z bujną czupryną i dołeczkami, i oczami wielkimi jak srebrne półdolarówki - ludziska nie mogli się na niego napatrzeć. A inteligencja? Wprost niezwykła.

- Słyszałem o tym.

- Nawet nie masz pojęcia. Kiedy zamieszkał z nami jako przybrane dziecko, był już dużym chłopcem. Miał za sobą pobyt u kilku rodzin zastępczych. Nie mam nic przeciwko urzędnikom naszego systemu opieki nad sierotami, oni faktycznie się starają, ale mają jakieś swoje zwariowane zasady i nieraz akceptują jako rodziny zastępcze ludzi, którzy nigdy nie powinni być rodzicami. Niektórzy biorą dzieci do swoich domów, bo po prostu z nich żyją.

- Naprawdę?

- O panie Boże, tak. Biorą po ośmioro, dziesięciuro dzieci - to dużo, prawda? A przecież niektóre z nich mają jeszcze problemy wychowawcze - westchnęła i popiła herbatę. - Jack był poniewierany przez jednego z przyjaciół takiej zastępczej matki, a potem był w kilku rodzinach typu „magazyn dzieci”. Gdy przyszedł do nas, był... eskortowany. Zabrało nam trochę czasu, by zdobyć jego zaufanie. Ale potem... - zamknęła oczy i Burke zauważył, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. - ...staliśmy się prawdziwą rodziną.

- Jak długo był z wami?

- Do szesnastego roku życia. Czyli sześć lat. Alan i ja pomogliśmy mu odnaleźć jego korzenie i dzięki nam dowiedział się o historii Paiute. Zabraliśmy go nad jezioro Pyramid i przedstawiliśmy go jego ludowi. Chcesz zobaczyć zdjęcia?

- Oczywiście - Burke poszedł za nią do małego pokoiku.

- To był pokój Jacka - powiedziała. - A tu jest Jack i Peter Whitecloud - wskazała na oprawioną fotografię dwunastoletniego chłopca stojącego obok starszego mężczyzny w dżinsach i swetrze. - Peter był wtedy przywódcą rady plemiennej. Prawdziwym VIP-em.

- Czy on jeszcze żyje? - zapytał Burke.

- Nie - odpowiedziała Mandy. - Zmarł kilka lat temu. Nad łóżkiem wisiał plakat. Burke podszedł

do niego.

- A to co? - zapytał.

- To jest jego praca z dziewiątej klasy. Dostał za nią pięć z plusem!

Pod nagłówkiem Dwieście lat historii utraconych ziem widniała seria przepięknie naszkicowanych map Stanów Zjednoczonych. Burke przyjrzał się im bliżej i zobaczył, że zakreślane kolorem obszary przedstawiają ziemie należące do różnych plemion. Było tam sześć map obejmujących lata od 1775 do 1975 roku. W kwadratach po bokach mapek umieszczono daty ważniejszych wydarzeń i traktatów wpływających na losy Indian. Zazwyczaj niekorzystnie. Mapy przedstawiały szybkie zmniejszanie się terenów należących do Indian Amerykańskich na przestrzeni lat.

Na ostatniej mapie było zaledwie kilka małych kolorowych plamek na wschód od Missisipi. Na zachodzie największe kolorowe plamy przedstawiające ziemie Indian znajdowały się w obydwu Dakotach i w regionie Four Corners. Nawet w Oklahomie, której tereny zostały oficjalnie zadeklarowane w 1835 roku jako ziemia Indian, rezerwaty stanowiły obecnie mały ułamek terenu stanu.

- Oni nadal cierpią - powiedziała Mandy. - Ludzie myślą, że wybudowanie kasyn w rezerwach poprawiło ich sytuację, ale prawda jest taka, że Indianie nadal są najbiedniejszą, najczęściej chorującą i najsłabiej wykształconą grupą narodową w Stanach Zjednoczonych - westchnęła i poprowadziła go z powrotem do saloniku. - Nie chcę już gderać - powiedziała.

- A co stało się z Jackiem jak miał szesnaście lat? - zapytał Burke. - Dokąd pojechał? Kobieta zmrużyła powieki.

- Mój mąż miał raka wątroby. Nie ma na to żadnego lekarstwa - oprócz transplantacji. Alan był na liście oczekujących, ale... nie doczekaliśmy się - westchnęła. - Gdy Alana zdiagnozowano, nikomu o tym nie mówiłam. Może powinnam, ale bałam się, że odbiorą nam Jacka.

- Kto? Ośrodek adopcyjny? Dlaczego mieliby tak zrobić?

- Bo byliśmy starzy - nie „za starzy”, lecz wystarczająco starzy, żeby nie być jego rodziną zastępczą. Gdy Jack do nas przyszedł, ja miałam pięćdziesiąt pięć lat, a Alan sześćdziesiąt. To był niesamowity łut szczęścia, że nam go przyznano. Musieli gdzieś go umieścić, a my byliśmy chętni, oni zaś nie mieli wtedy nikogo innego. Ale gdy dowiedzieli się, że Alan jest chory, a ja spędzam większość czasu opiekując się nim, było po wszystkim - nabrała szybko powietrza w płuca.

- Przykro mi.

Przetarła oczy kłykciami palców.

- Nie chciał od nas odchodzić. Byliśmy dla niego jedyną prawdziwą rodziną, jaką kiedykolwiek miał, no i zdawał sobie sprawę, że sama nie dam rady opiekować się Alanem. Bez pomocy Jacka Alan mógł skończyć w hospicjum. I tak też się stało - westchnęła. - Musiałam być bardzo stanowcza wobec Jacka. Wiedziałam, że będzie chciał uciec i wrócić do nas, ale wymogłam na nim, by obiecał, że tego nie zrobi. Powiedziałam mu, że gdyby zaprzepaścił swoją szansę, to będzie to dla mnie śmierć. Wtedy chciał już iść do Stanford i dobrze wiedziałam, że sam też się o to starał. Ale gdyby zaczął mieć jakieś kłopoty z prawem... Wiedziałaś, że „ucieczkę z domu” traktuje się jako przestępstwo? Burke przytaknął.

- Jack wylądował u jednej rodziny w miasteczku, która nie była wcale taka zła; dużo dzieciaków i ciągle kazali im się modlić. Był już wystarczająco dorosły, by sam o siebie zadbać. Chodził do liceum, z czego bardzo się cieszyłam. W prawie każdy weekend jeździł ze mną w odwiedziny do

Alana i często spotykałam się z nim w bibliotece. Tam też wspólnie przygotowaliśmy podania o przyjęcie na uniwersytet.

- Ale nie pozwolili mu wrócić po śmierci pani męża? Pokręciła głową.

- Już byłam za stara, żeby się nim opiekować - tak przynajmniej twierdzili urzędnicy.

- I Jack dostał się na Uniwersytet Stanforda.

- Byłam z niego tak dumna! Był niezwykle inteligentny, ale to i tak był niemal cud. I jeszcze tak doskonale mu szło. I ten wynalazek! Tak się cieszyłam! To byłoby wielkie dobrodziejstwo. Chciał kupić mi dom, którego nawet nie potrzebowałam. Ale jemu sprawiłoby to wielką radość. Czułby się... no nie wiem. Naprawdę dobrze w głębi duszy - westchnęła i przygarbiła się. Nagle zaczęła wyglądać na bardzo zmęczoną. - Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało - powiedziała. Jej oczy zaszklily się, ale nie płakała. - Na pewno był wściekły, miał prawo być zły, ale nie zrobiłby nikomu krzywdy. Nie mój Jack.

- Wtedy nie, ale teraz? Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

Burke pochylił się w jej stronę.

- To, co mnie martwi... Myślę, że on może mieć coś wspólnego z tymi wydarzeniami w Culpeper. A Culpeper to jeszcze nie koniec takich incydentów.

- O mój Boże! - wykrzyknęła i z przerażenia zasłoniła usta rękami. - Przepraszam, ale nie wiem nic więcej, co mogłoby ci pomóc. - Jej mokre od łez oczy wyglądały jak pokruszone diamenty. - Nic więcej nie wiem. Znam go tylko takiego, jakim był kiedyś. Nawet w sądzie, nawet wtedy, był już kimś innym. To było widać. Zamknięte oczy, twarde jak kamień. - Pokręciła głową. - Wyszedł z więzienia kilka miesięcy temu i nawet nie zadzwonił.

- Ale jeśli zadzwoni... Zacisnęła usta i skinęła głową.

- Jeśli zadzwoni, to się odezwę. - Podała mu karteczkę, żeby mógł zapisać swój telefon. Była to strona z kalendarza z wydzieranymi kartkami ze zdjęciami kwiatów. Zapisał swój numer w Dublinie i powiedział, że codziennie odsłuchuje automatyczną sekretarkę.

Burke pożegnał się i już chciał wychodzić, gdy nagle Mandy zatrzymała go na chwilę.

- Słuchaj... - zaczęła.

Odwrócił się, a ona spoglądała na kalendarz.

- Nie wiem, czy to może ci jakoś pomóc, ale jeśli Jack coś... przygotowuje... to mogę się domyślać na kiedy.

- Kiedy? W jaki sposób?

- Dwudziesty drugi czerwca. To ważna data dla Indian amerykańskich. To data przesilenia letniego. Najdłuższy dzień w roku - zacisnęła usta. - Jak się mówi Sundance - to każdy myśli o Robercie Redfordzie i kowboju, którego grał. Ale Sun Dance to najważniejsza ceremonia taneczna dla wielu plemion. W dawnych czasach była prawnie zakazana - wiem, bo Jack pisał na ten temat wypracowanie w liceum. Pisał, że to tak, jakby zabronić ludziom obchodzić Boże Narodzenie.

- Dlaczego jej zakazano? Wzruszyła ramionami.

- Bo była krwawa - przynajmniej tak było w niektórych plemionach. Białych ludzi to raziło.

- A na czym polegał ten taniec?

- Każde plemię miało swoje własne obrzędy, ale zawsze na środku wioski, stał wbity w ziemię pal - totem. Plemiona z Wielkich Równin przytwierdzały do niego czaszkę bizona wypełnioną ofiarami ziemi. Inne plemiona przyczepiały do pala penis bizona. Ale idea była dla wszystkich

wspólna: były to prośby o płodność ziemi i ludzi. Zawsze było dużo walenia w bębny i tańca, i śpiewów, i jeszcze czegoś, o co biali byli tacy źli. Niektórzy Indianie przywiązywali się do pala rzemieniami kończącymi się hakami przebitymi przez skórę na plecach.

- O Jezu! - wykrzyknął Burke z wrażenia.

- No, możesz sobie wyobrazić - ciągnęła Mandy. - Pościli i cierpieli przez kilka dni, tańcząc wokół pala, ciągnąc rzemienie przyczepione do własnego ciała, popadali w halucynacje, mieli wizje. Jack wyjaśnił w swoim wypracowaniu, że była to symboliczna śmierć, część wielkiego cyklu życia. Gdy wreszcie odrywali się od pala, to było jak... zmartwychwstanie - zmarszczyła brwi. - Esej Jacka zdobył nagrodę. I teraz myślę, że jakby chciał coś podobnego zrobić, to zrobiłby to właśnie tego dnia.

Burke przeraził się. Dziś był trzynasty czerwca.

Mandy dostrzegła grymas na jego twarzy i domyśliła się o czym myślał.

- Wiem - powiedziała - zostało mniej niż dziesięć dni.

ROZDZIAŁ 44

SAN FRANCISCO 14 CZERWCA 2005

Miasto nocą. Widok zapierający dech w piersiach.

Wilson upajał się tą scenerią w drodze do miasta. Wzgórza opadające do wody. Zarysy ładu widoczne dzięki światłom nabrzeża odbijającym się w wodach zatoki. Cudowny widok, który wraz z przybliżaniem się do miasta stawał się jeszcze piękniejszy. Plejada drapaczy chmur błyszczała na tle gwiazd, a most Golden Gate świecił błyskami reflektorów samochodowych.

Choć naturalny układ krajobrazu był przepiękny, to dopiero technologia sprawiła, że miasto nocą było niezwykle widowiskowe. Cóż za ironia losu. Błyszczący świat rozciągający się przed jego oczami był bezpośrednim spadkiem po pierwszej rozjaśnionej sztucznym światłem metropolii: Białym Mieście na Wystawie Światowej w Chicago, oświetlonym dzięki wynalazkom Tesli.

Wilson pomyślał ironicznie, że właśnie technologia Tesli, której ulepszony wytwór zainstalował na szczycie wieży obserwacyjnej w Nevadzie, wyłączy wszystkie światła świata na zawsze. Już wkrótce Ameryka wróci do naturalnego rytmu doby, dzielącego ją na dzień i noc.

Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim wszystkie samochody rozłożą się na czynniki pierwsze. Podejrzał, że będzie to trwało dziesiątki lat, nawet w wilgotnym powietrzu Bay Area. Część metalu może da się odzyskać, ale reszta zardzewieje. A plastik? Albo guma? Zostaną na powierzchni ziemisetki lat, jak sól w oku i pamiątki z przeszłości. W żyźniejszych częściach kraju zostaną wchłonięte przez rozrastające się lasy.

A mosty? Mosty pozostaną do czasu rozerwania ich podczas trzęsień ziemi.

Wjeżdżając do miasta, czuł jego powab: normalne życie. On i Irina mogliby być tu szczęśliwi. Mógłby sprzedać ranczo i kupić tu dom. Znaleźć pracę albo otworzyć własny biznes. Karany czy nie dobry inżynier był zawsze ceniony. Mógłby zaprosić Irinę na naleśniki do Sears i obserwować jej uśmiech z dołeczkami na policzkach, gdy radowałyby się z tego, że to ktoś inny obsługuje ją przy stole. Mogliby pojechać do Chinatown i do Parku Golden Gate. Ich dzieci grałyby w baseball i w piłkę. Kupiłby minivana i jeździliby wzdłuż wybrzeża aż do Russian River, gdzie osiedlili się imigranci z jej części świata i zajmowali się myślistwem i łowiectwem.

No tak, pomyślał Wilson. Na pewno tak zrobimy. A potem weźmiemy się za ręce i będziemy śpiewać We Are the World.

Zatrzymał się przed hotelem Nikko i pozwolił obsłudze zaparkować samochód. Transmitter, który wykorzystał w Culpeper, był schowany i zamknięty pod pokrywą skrzyni ładunkowej. Zameldował się, poszedł do swojego pokoju i się wykapał.

Wyciągnął wodę mineralną z minibam, usiadł w wygodnym fotelu i wyjął z portfela małą fotografię Iriny. Przyglądał się jej przez dłuższy czas. W wyrazie jej twarzy było coś zagadkowego,

jakaś mieszanka smutku, nadziei i jeszcze czegoś. Nie mógł pojąć, co to było, ale też mu się podobało. Za parę dni przyleci do Vegas i będzie miał całe życie, żeby zgłębiać jej tajemnice.

*

Następnego dnia padał deszcz. Światła „stopu” odbijały się o gładki, śliski asfalt. Koła escalade szumiały, tocząc samochód po szachownicy jednokierunkowych uliczek. Po kilku minutach znalazł się przed gmachem sądu.

Sąd otwierano dopiero o dziewiątej, ale Wilson chciał być tam wcześniej, by znaleźć dobre miejsce do zaparkowania. Potrzebował dokładnych koordynatów GPS - zarówno miejsca, gdzie parkował, jak i sali sądowej, która miała być jego celem. Culpeper było bardziej bezkształtne, więc trafienie było o wiele łatwiejsze.

W tym przypadku trudnością było to, że musiał podnieść i wysunąć broń. Wprawdzie to urządzenie nie wyglądało na broń, ale wyglądało dziwnie - i było to bezdyskusyjne. Wilson musiał znaleźć miejsce, z którego mógł dokładnie celować, ale też takie, gdzie samochód pozostałby niezauważony przez kilka minut potrzebną do wycelowania i emisji impulsu.

Okazało się, że ma do wyboru kilka odpowiednich miejsc i podjęcie decyzji nie wymagało wielkiej błyskotliwości. Uśmiechnął się i wyjął z automatu bilet na parking przy

Turk Street. Było jeszcze wcześniej, więc zajęte były tylko dwa dolne poziomy. Na trzecim stało zaledwie kilka samochodów, powyżej zaś parking świecił pustkami.

Wilson od razu pojechał na parking na dachu. Gdy wysiadał z samochodu, lało jak z cebra. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, że o ósmej rano w powszedni dzień poziom piąty był zupełnie pusty.

Po sprawdzeniu lokalizacji kamer ochrony, zaparkował samochód na miejscu numer 952.

Stojąc na tylnym zderzaku samochodu, widział dokładnie budynek sądu. Kamery ochrony będą miały w zasięgu samochód, to prawda, ale pole widzenia jednej kamery będzie częściowo przesłonięte filarem, a drugiej ograniczone kabiną półciężarówki.

Rozważył wszelkie możliwości. Mógłby zamalować kamery sprayem. Albo zastosuje rachunek prawdopodobieństwa. Na każdym poziomie są po cztery kamery, czyli razem jest dwadzieścia kamer. Gdzieś w obiekcie jest zapewne pokój z monitorami. Ale przecież przez większość czasu, poza wyjątkowymi sytuacjami alarmowymi, nikt nie będzie wpatrywał się w ich obraz. Nagrania wykorzystuje się zwykle dopiero wówczas, kiedy coś się wydarzy, jakaś kradzież albo inne przestępstwo.

Jakie było prawdopodobieństwo, zastanawiał się Wilson, że ochroniarz będzie wpatrywał się w obraz z kamery spoglądającej na miejsce 952 podczas tych pięciu minut, których potrzebował na wysunięcie i umchomienie broni? I co taki ochroniarz zobaczy? Sprzęt pomiarowy lub coś w tym rodzaju na skrzyni cadillaca escalade.

Zjechał windą na poziom ulicy i przeszedł na drugą stronę, do Sądu Federalnego imienia Philipa Burтона. Była to ogromna budowla. Przeczytał gdzieś, że pracowało tu aż osiemdziesięciu zastępców prokuratora federalnego, mieściło się ta też sześć magistratów federalnych, a po jego korytarzach chodziło trzynastu sędziów okręgowych. Innymi słowy, było to takie federalne centrum sądowe.

Jednym z sędziów okręgowych był dawny prokurator federalny Joe Sozio, który oskarżył Wilsona o podżeganie do zabójstwa. Sozio został mianowany na sędziego przez prezydenta George'a W. Busha w 2003 roku. Obecnie rozstrzygał sprawę w sali rozpraw numer trzy.

Wilson wpisał się na listę i pokazał prawo jazdy. Położył swoją kurtkę i kapelusz na ruchomej taśmie, odłożył zegarek i drobne na plastikową tackę. Strażnik machnął ręką.

Sprawa w sali rozpraw numer trzy dotyczyła chyba jakiegoś gangu z Ameryki Środkowej. Wilson przyjrzał się zebranemu tłumkowi. Ławki bliżej strony obrony okupowali Salwadorczycy. Ich skóra była ciemniejsza od skóry Wilsona i mieli charakterystyczne dla regionu, z którego pochodzili, rysy twarzy. Wilson zauważył, że starsi ludzie na sali - rodzice, ciotki i wujowie, jak podejrzewał - byli skromnie, lecz wyjściowo ubrani. Natomiast młodzi mężczyźni mieli na sobie luźne bluzy i wiszące w kroku spodnie, jak bandziory wystające na ulicach.

Podobnie jak Wilson byli Indianami lub Metysami - mieszanką krwi indiańskiej i europejskiej.

- Proszę wstać, sąd idzie.

Wilson wstał ze wszystkimi, a woźny uciszał tłum. Zapisał odczyt koordynatów sali na swoim zegarku i zanotował je w notesiku. Była dziewiąta trzydzieści dwie.

Ubrany w togę sędziego Sozio wkroczył na salę w aurze powagi i skierował się do fotela sędziowskiego przypominającego tron na którym zasiadał, by sądzić pospolitych śmiertelników. Był jak władca i dopiero gdy usiadł, mogła to uczynić reszta zebranych.

Wilson spoglądał na niego zimnym wzrokiem. Miał już przerzedzone i siwe włosy, skóra podbródka zaczęła mu obwisać. Ale poza tym wyglądał prawie tak samo jak wtedy. Jego brązowe oczy nadal miały spojrzenie drapieżnika szukającego ofiary. Przez moment wzrok sędziego skrzyżował się z jego wzrokiem i Wilson poczuł, jak zadrżało mu serce. W oczach Sozia nie dostrzegł jednak błysku rozpoznania.

Zaprzysiężono jednego z młodych Salwadorczyków. „Tak”, odpowiedział piskliwie, prawie szeptem powtarzając za znudzonym woźnym słowa przysięgi.

Oskarżycielem była Latynoska w jasnyniebieskim kostiumie. Na wezwanie sędziego Sozii wstała i skierowała się w stronę niedorostka, jak rekin czyhający na ofiarę.

Wilson nie chciał za bardzo zwracać na siebie uwagi. Zaczekał do przerwy na posiedzenie sądu i wrócił do hotelu.

Do elektronicznego notesu ThinkPad wpisał koordynaty GPS, które pobrał na sali rozpraw. Potem wprowadził do komputera dane, które były niezbędne do zdefiniowania strumienia.

To była właśnie jedna z niezwykłych właściwości tej broni, coś, czego Wilson dowiedział się z notatek Tesli pozostawionych na marginesie zapisów Ceplaka. Strumień był uniwersalny, to znaczy mógł emitować sparowane fale o dowolnej częstotliwości magnetycznego spektrum. W jednym ustawieniu powodował zniszczenia na miarę incydentu tunguskiego. A wystarczyło jedynie wyostrzyć parametry strumienia i wtedy wytwarzany był impuls elektromagnetycznym, jak ten, którym zaatakował Culpeper.

Dla Sozii Wilson planował przygotować coś innego. Jednym ruchem mógł wypełnić budynek sądu energią z innej części spektrum promieniowania, takiego, którego fale miały znacznie większą długość i niższą częstotliwość niż promieniowanie gamma. Czyli, inaczej mówiąc, mikrofalami.

Wilson był jeszcze dzieckiem, gdy kuchenki mikrofalowe weszły do domowego użytku. Ludzie w ogóle nie wiedzieli na czym polega ich działanie. I do tej pory nie wszystko rozumieją, ale wiedzą już, że nie należy w nich suszyć pudełków po kąpieli. Większość zdaje sobie sprawę, że ustawienie żywności ma olbrzymie znaczenie w procesie gotowania w mikrofalówce. By żywność została właściwie ugotowana, powinna obracać się na ruchomym talerzu. Jej objętość też jest ważna. Im więcej jedzenia w mikrofalówce, tym dłużej będzie się ono gotować. I nie można stosować

metalowych naczyń - nawet dzieci już to wiedzą. Metal szernieje i zacznie iskrzyć.

Ludzie podobnie jak pudle składają się głównie z wody. Jeśli do mikrofalówki włoży się wodę, to woda po prostu się ugotuje. Albo przynajmniej jej część.

Ze względu na strukturalną złożoność konstrukcji budynku, zniszczenie żywej tkanki ludzkiej nie wszędzie będzie jednakowe. Niektórzy będą mieli tylko bardzo poparzoną skórę. Ale innych mikrofałe dotkną znacznie dotkliwiej. Ich skóra będzie pękać jak przegrzana parówka. To będzie okropne. A najgorzej będzie się działo w sali rozpraw numer trzy, w której wszyscy, a szczególnie Wysoki Sąd, w osobie sędziego Sozii, eksplodują jak pęk baloników.

*

Następnego ranka wstał wcześniej i poćwiczył trochę na siłowni w hotelu Nikko. Po treningu wziął prysznic i założył hotelowy szlafrok. Z przyzwyczajenia zabrał zestaw nici i igieł i wrzucił do swojej walizki. W dawnych czasach dawał je Mandy. Zawsze cieszyła się z tych małych plastikowych pudełeczek, równiutko powbijanych w tekturkę igieł i kolorowych nitki.

Mandy. Była osobą, od której najtrudniej było mu się odwrócić plecami, nawet trudniej niż od Sharon. Parę razy miał nawet ochotę wsiąść w samochód i ją odwiedzić. Wyobrażał sobie, jak siedzi na zewnątrz swojej przyczepy, w białym fotelu wyprodukowanym w górach Adirondack, z mrożoną herbatą i książką w ręce.

Daj spokój, powiedział do siebie i zadzwonił do recepcji, by sprowadzili jego samochód z garażu. Ubrał się, spakował walizkę, zostawił napiwek dla pokojówki i wyszedł.

Był to jeden z tych fantastycznych kalifornijskich dni, kiedy niebo było bezchmurne i błyszczące od słońca, a powietrze czyste od deszczu, który odświeżył je poprzedniego dnia. Pojechał do parkingu przy Turk Street i wjechał na najwyższy poziom.

Jego samochód był jedynym pojazdem na dachu. Zaparkował na wybranym miejscu, pozostawił włączony silnik i zdjął pokrywę ze skrzyni ładunkowej. Następnie odsunął styropianową osłonę broni i podłączył ją do laptopa. Oczekał, aż tubus rozłoży się do pozycji wyjściowej. Gdy zielona dioda gotowości na podstawie broni zaczęła mrugać, Wilson wziął głęboki oddech i przekręcił włącznik.

I po wszystkim.

Trzydzieści sekund później przekręcił włącznik po raz drugi. Dioda przestała mrugać, a lufa złożyła się automatycznie. Założył styropianową osłonę, przymocował pokrywę do niewielkiej skrzyni ładunkowej escalade i wsiadł do samochodu. Zaczął zjeżdżać w dół po pochylniach, starając się, by koła nie piszczały na zakrętach.

Parkowanie na dachu miało jeden minus. Trochę to trwało, zanim zjechał na dół. Gdy wreszcie znalazł się na poziomie zerowym, oddychał, jak po ogromnym wysiłku. Przed nim stały dwa samochody, których kierowcy musieli zapłacić za parkowanie i wyglądało, jakby nigdzie się nie spieszyli. Gdy wreszcie udało mu się opuścić parking i wyjechać na ulicę, zobaczył, jak z budynku federalnego wybiegają grupami ludzie, rozpaczliwie krzyjąc i płacząc. Niektórzy przewracali się na ziemię i turlali po chodniku. Inni szli, kulejąc.

Ich ucieczka była bezsensowna i całkowicie odruchowa, jak ucieczka owadów porażonych trucizną w aerozolu. Nie można było uciec od tego, co stało się z ich ciałami, ale uciekali. Ale to i tak w niczym im nie pomoże! A do tego to byli „ocaleni”! Sceny rozgrywające się w środku sądu musiały być wręcz niewyobrażalnie przerażające.

Wilson skręcił za róg i stanął na czerwonym świetle. Chciał stąd jak najszybciej uciec. Za minutę

lub dwie cały ten obszar zostanie zablokowany samochodami policyjnymi, ambulansami i panikującymi ludźmi. Wilson obserwował, jak oślepa kobieta z ropiejącą skórą wpadła na maskę escalade, odbiła się i pobiegła w innym kierunku z ustami otwartymi w niemym krzyku.

W kącikach jego oczu zaczęły pojawiać się migoczące mroczki nadchodzącej migreny. Wzór powoli przesłaniający mu wzrok stawał się coraz bardziej zawity i piękny, postrzępiony i opalizujący. Jeszcze parę minut i będzie prawie ślepy.

Z oddali dochodziły odgłosy syren, wyjących w harmonii z przeraźliwym krzykiem ludzi, którym udało się wydostać z sądu. Ruch samochodów już się zatrzymał, bo kierowcy i pasażerowie wysiadali, by pomóc poszkodowanym, inni zwalniali, gapiąc się w osłupieniu. Wilson błyskawicznie skręcił do wjazdu na parking podziemny ośrodka pomocy społecznej.

Wziął bilet i zjechał pochylnią na poziom minus trzy, zaparkował i siedział tak, czekając, aż wróci mu wzrok. Parkowanie tak blisko miejsca ataku nie było zbyt dobrym pomysłem. Nawet tu, w garażu podziemnym, słyszał zlewający się dźwięk syren, który przypominał zawodzenie cementarnych płaczek.

Wydawało mu się, że siedział w escalade przez dosyć długi czas. Nie wiedział jak długo, bo nie dostrzegał szczegółów ani na zegarku ręcznym, ani na tym wbudowanym w deskę rozdzielczą samochodu. Przed oczami miał wodospad światła.

Sięgnął po portfel i wyciągnął zdjęcie Iriny. Trzymając je w palcach starał się skupić na nim wzrok.

Przez chwilę nie wiedział nawet, czy patrzy na przód, czy na tył zdjęcia. Ale po chwili zaczął widzieć zarysy twarzy podobnej do twarzy Iriny. W końcu zobaczył ostre kontury i odzyskał wzrok. Widział jej migdałowe oczy i uśmiech.

Gdy spojrzał na zegarek, prawie się zaśmiał. Był ślepy przez mniej niż dziesięć minut. Musiał się stąd zbierać. Powinien już być w drodze na lotnisko. Postanowił porzucić escalade na parkingu przy lotnisku i wynająć coś w Vegas.

Trudniej było jednak zrealizować ten plan. Ruch samochodów został zapewne wstrzymany na obszarze kilku kwartałów od gmachu sądu i ośrodka pomocy. Jedyne, co mógł zrobić, to pozostawić escalade tutaj, przejść do stacji kolejki BART i dostać się na lotnisko kolejką.

Gdy będzie szedł piechotą nikt się nie powinien do niego przyczepić. Laptop w torbie wyglądał naturalnie, a walizkę mógł zostawić na miejscu, zamkniętą w ciężarówce. Czas na plan B, powiedział do siebie, i ruszył w stronę windy.

Gdy wydostał się na zewnątrz, zaczął iść szybkim krokiem. To było piekło w biały dzień. Na stacji kolejki kobieta o rudych włosach opowiadała coś o dziwnym pożarze w budynku sądu - mówili, że wybuchła łazienka i wielu ludzi strasznie poparzyło.

Murzyn w garniturze od Zegny i krawacie od Hermesa skinął ze zrozumieniem głową i powiedział:

- Przegrzane powietrze.

Na lotnisku ludzie tłoczyli się wokół telewizorów, kręcąc głowami z niedowierzania. Platynowa blondynka na ekranie stała przed wejściem do ośrodka opieki społecznej i komentowała wydarzenia pokazywane na mniejszym ekranie, ukazującym ludzi przebranych w kombinezony podobne do kosmicznych, wchodzących i wychodzących z gmachu sądu. Reporterka starała się powstrzymać emocje, ale ciężko oddychała i, co było widać, była ogromnie poruszona tym widokiem.

- Nikt - nie ma nikogo - kto mógłby powiedzieć, kto lub co za to wszystko odpowiada.

ROZDZIAŁ 45

Znajdując się wciąż pod wpływem zmęczenia spowodowanego różnicą stref czasowych, Burke zdecydował się zatrzymać na noc w Fallon. Wynajął pokój w motelu Holiday Inn Express i zjadł obiad w meksykańskiej knajpie La Cocina. Wrócił do pokoju i położył się do łóżka o dziesiątej, zastanawiając się, po co przejechał tysiące kilometrów, żeby zobaczyć się z Mandy Renfro. Po nic.

Nie miał nawet pojęcia, co będzie robił rano. Może pójdzie do kasyna. Położy wszystko co ma w portfelu na czerwone i będzie patrzył, jak kula porusza się po okręgu. Albo może zagra w pokera i przeczeka tak do końca świata. To byłby niezły plan.

Przespał prawie dwanaście godzin i obudził się przed dziesiątą rano. Gdy zszedł na dół, żeby załapać się jeszcze na wliczone w cenę kontynentalne śniadanie, od razu zauważył, że znowu się coś wydarzyło. Mimo dość późnej godziny, kilkanaście osób pozostało w sali śniadaniowej i siedziało w skupieniu przed telewizorem.

Na ekranie postacie w kombinezonach chroniących przed działaniem szkodliwych substancji wносиły z budynku, który wyglądał na jakiś urząd federalny poszkodowanych na noszach. Sanitariusze udzielali ludziom pomocy na chodniku.

- Gdzie to jest? - zapytał Burke.

Jeden z mężczyzn, nie odwracając wzroku od telewizora, odpowiedział:

- Frisco.

- Co się stało? Ten sam facet pokręcił głową.

- Zginęło wielu ludzi.

Transmitowano właśnie konferencję prasową, na której burmistrz miasta w towarzystwie komendanta policji zapewniał, że nie wykryto żadnych czynników biologicznych.

Jakiś reporter zapytał:

- Czy był to atak terrorystyczny?

Szef policji zaczął coś tłumaczyć, unikając bezpośredniej odpowiedzi. Jakaś starsza kobieta siedząca bliżej telewizora powiedziała:

- Ktoś opowiadał, że temperatura dostała się przez dach. Powiedzieli, że to wszystko stało się od razu. O co w tym wszystkim chodzi?

Burke nalał sobie kawy. Zdążył upić tylko jeden łyk, gdy nagle serce uderzyło mu mocniej i wszystko stało się dla niego jasne. Sąd federalny w San Francisco był miejscem, w którym wydano wyrok na Jacka Wilsona.

*

Później, tego samego dnia, Burke siedział w restauracji Cowboy Diner, pijąc kawę z grubego kubka i spoglądając w swoje notatki. Nad barem włączony był telewizor.

Władze San Francisco skłaniały się do wyjaśnienia, że tragedię spowodowało uszkodzenie

systemu grzewczego budynku. Jeszcze nikt nie połączył tego incydentu z Culpeper.

Burke zaczął przeglądać kartki swojego notatnika, szukając jakichś tropów, które mógł przegapić. W końcu znalazł tylko jeden. Jedno słowo: Ukrainebrides

Obok naskrobany był numer telefonu. Dość długą chwilę zabrało mu przypomnienie sobie, skąd ma tę informację. Recepcjonista w Belgradzie. Za kolejny banknot dwudziestoeurowy, pomyślał, dostałbym zapewne próbkę DNA.

Kupił w sklepie spożywczym kartę telefoniczną i około ósmej był już w swoim pokoju. Bóg jeden wie, ile kosztowałoby zatelefonowanie na Ukrainę z Holiday Inn.

Siedział na łóżku, trzymając telefon w ręce, wybrał numer i wysłuchał nagranych informacji. W końcu wybrał opcję numer pięć: rozmowę z przedstawicielem firmy.

Wykorzystał już pięć minut z karty telefonicznej Europop patrząc w ekran telewizora z wyłączonym głosem. Nosze i łóżka na kółkach na korytarzach szpitala. Zagonieni lekarze oddziału poparzeń. Torby na zwłoki i przerażeni funkcjonariusze.

Już miał odłożyć słuchawkę. Pięć minut z karty Europop to dużo pieniędzy, szczególnie, że stracił nadzieję, że coś z tego będzie. Pewnie całe to czekanie na nic.

Wreszcie muzyka płynąca ze słuchawki została przerwana i na drugim końcu linii ktoś się odezwał.

- Tak? Słucham! Olga Primakov.

- Witam.

- Przepraszam, że pan musiał czekać, ale u nas jest bardzo późno. Burke nawet o tym nie pomyślał.

- Bardzo przepraszam...

- Lepiej zajrzeć na stronę internetową - powiedziała Olga. - Można obejrzyć zdjęcia dziewcząt.

Ale może... pan nie ma komputera?

- To prawda - odpowiedział Burke. - Tu, gdzie teraz jestem, nie mam.

- Może w bibliotece...

- Dostałem ten numer od mojego przyjaciela. Pamięta pani Jacka Wilsona?

- O tak. Przyjechał na romantyczny weekend. Oczywiście, że go pamiętam. Burke usiadł wyprostowany i wyłączył telewizor pilotem.

- Opowiadał mi o tym!

- Więc Jack dał panu nasz numer. Cudownie! Pan też szuka pięknej panny młodej? Panny młodej?

To Wilson ożenił się z jedną z tych kobiet? Kiedy znalazł na to czas?

- Ten pierścionek, który dał Irinie... Uuuu... Jest super-fantastyczny! - zawołała entuzjastycznie Olga.

- Tak - przyznał Burke - to piękny pierścionek. - Irina jest nim zachwycona.

- Taki wielki!

- To cały Jack. On nigdy nie robi nic na pół gwizdka. I dlatego właśnie dzwonię. Chciałem dać mu prezent, ale nie wiem, dokąd mam go przesłać. Olga zawahała się.

- Może go pan wziąć na ślub - zaproponowała. - Już wkrótce. Myślę, że jutro lub pojutrze.

- No taaak - odparł Burke - ale gdzie będzie ten ślub? Długa cisza i potem pytanie:

- To nie jest pan zaproszony?

- O tak. Oczywiście, że tak, ale jestem w podróży, a zaproszenie zostawiłem w domu, więc...

- Przykro mi - oznajmiła Olga - ale nie wolno mi udzielać takich informacji. Tylko Madame

Puletskaja może panu ich udzielić. Ale też jest w podróży. Zadzwoń do pana w środę - przerwała na chwilę. - Jest pan w Stanach?

- Tak.

- W jakiej strefie czasowej? - zapytała inteligentnie.

- Góry Skaliste.

- Tak? Więc załatwię, żeby do pana zadzwoniła.

- No tak, ale...

- Proszę? Jaki jest pana numer? Dam go jej w środę. Burke podyktował jej numer hotelu i dodał:

- Problem w tym, że to dopiero za tydzień! A ja...

- Przykro mi. Tylko tyle mogę zrobić! - podziękowała mu i odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ 46

LONDYN 15 CZERWCA 2005

Siedzący za biurkiem Ray Kovalenko kręcił głową i cicho kłął pod nosem; w końcu gwałtownie uniósł ręce do góry i wydał z siebie ni to jęk, ni to krzyk:

- Cholera jasna!

Przewrócił biurko do góry nogami, sprawdził też wszystkie kieszenie w ubraniach, które miał na sobie. Bez skutku. Nigdzie nie mógł znaleźć tej małej karteczki z adresem.

A jeśli chodzi o Burke'a, to ten był nie do namierzenia. I to nie dlatego, że nie odbierał telefonu. Nawet policja go szukała, ale od dosyć dawna nikt go nie widział.

Jego teść, Aherne, również okazał się bardzo pomocny. Wszystko, czego się od niego dowiedział, to szybkie:

- Odpierdol się!

Kovalenko nawet zadał sobie kłopot i zlokalizował rodzinę Burke'a w Wirginii, ale oni wydawali się być szczerze zaskoczeni, że ich syn nie jest w Dublinie, i oczywiście tym, że poszukuje go FBI.

Sięgał zatem do najdalszych zakamarków swojej pamięci, by wygrzebać z niej to, co Burke mówił o tym d'Anconii - kim jest naprawdę. Był w Belgradzie. Był w Allenwood. Był na uniwerku UCLA. Albo USC. Na jednym z nich. Ale żadna z tych rzeczy nie pomagała mu w przypomnieniu sobie tego nazwiska, prawdziwego nazwiska, i Kovalenko nic więcej nie potrafił skojarzyć. Brzmiało ono jak... Miał je na końcu języka i znowu mu zniknęło. Williams...

W międzyczasie Andrea Cabot dzwoniła do niego dwa razy dziennie, raz rano i drugi raz po południu. Unikał jej.

W końcu cała ta sprawa kosztowała go osobistą podróż do Dublina i kajanie się przed Tommym Aherne, by ten go w ogóle raczył przyjąć. Podczas spotkania były tylko negocjacje. Tommry chciał, żeby wycofano oskarżenie i zniesiono ograniczenia, zażądał też nowego paszportu dla Burke'a.

- Załatwione! - oświadczył Kovalenko.

- No i jeszcze jest sprawa odszkodowania...

- Odszkodowania? Odszkodowania za co?

- Za utracony biznes - wyjaśnił Aherne.

- Nie mogę...

- No to możesz sobie ruszać do domu - zaproponował Aherne, chwytając agenta FBI za łokieć i ciągnąc go w stronę drzwi.

Kovalenko zamarł. Po chwili odezwał się:

- Ale mogę zostawić list.

- A co ja zrobię z jakimś listem? - spytał Aherne.

- Jako Legat, mogę oświadczyć oficjalnie, że popełniliśmy błąd. I że to nasza wina.

- Twoja wina - sprecyzował Tommy.

- No właśnie. Że to moja wina. Z tym listem zrobi pan, co pan zechce. Jestem pewien, że pana prawnik już coś wymyśli.

Aherne chrząknął, dając do zrozumienia, że niechętnie akceptuje takie rozwiązanie i poszedł po papier i pióro.

Gdy list został już napisany, a atrament wysechł, Aherne wyznał:

- Michael jest w Stanach, no nie?

- Gdzie?

- W Nevadzie - odpowiedział staruszek.

- Gdzie w Nevadzie? To duży stan! Aherne wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Jeśli zadzwoni, to powiem, że chciałeś z nim zamienić słówko.

Początkowo Kovalenko pomyślał, że starzec chciał go ocyganić i że po prostu kłamał. Ale w końcu zaakceptował tę przygnębiającą prawdę. Ten stary pierdziel po prostu nie wiedział dokładnie, gdzie był jego zięć. I Burke nic mu nie powiedział o prawdziwej tożsamości d'Anconii.

- A co, on niczego ci nie powiedział? - dopytywał Aherne. - Mnie mówił, że po to właśnie pojechał do Londynu. Nie było cię tam, człowieku?

*

Tylko jeden dzień trwało ustalanie, że Michael dostał się z Irlandii do Stanów Zjednoczonych dwa dni wcześniej i że przeszedł przez kontrolę imigracyjną na lotnisku JFK. Informacja z kart kredytowych pomogła ustalić, że z Nowego Jorku Burke poleciał do Reno i że wynajął samochód z wypożyczalni Alamo. Był to zielony hyundai z numerami rejestracyjnymi Kalifornii.

Ale to wszystko. Kovalenko skontaktował się z biurem FBI w Las Vegas i poprosił, żeby wydali nakaz zlokalizowania samochodu Burke'a.

Po sześćdziesięciu sześciu godzinach i siedmiu telefonach od pierwszego telefonu Andrei Cabot, Kovalenko przekonał swoje kontakty w policji irlandzkiej, żeby odwiedzone mieszkanie Burke'a.

- Mamy informacje z tajnego, ale bardzo wiarygodnego źródła, że pan Burke padł ofiarą przestępstwa kryminalnego. Jeśli moglibyście dyskretnie odwiedzić jego mieszkanie i sprawdzić, czy nie leży martwy na podłodze, to bylibyśmy bardzo wdzięczni. Aha! A tak przy okazji, jak już tam będziecie, to skopiujcie twardego dysk jego komputera i jak najszybciej prześlijcie go do mnie...

Osiemnaście godzin później miał nazwisko tego „Amerykanina”, którego tak domagała się Andrea.

Wilson. Jack Wilson.

ROZDZIAŁ 47

LAS VEGAS 16 CZERWCA 2005

Wilson zaczynał tracić cierpliwość - bał się, czy czasem Irina nie miała żadnych kłopotów z Immigration. Gdzie była? Jej samolot wylądował już pół godziny temu. Czekał z wielkim bukietem czerwonych róż, przyglądając się strumieniowi ludzi przechodzących przez kontrolę bezpieczeństwa.

Było mu ich trochę żal. Tak się cieszyli, że przylecieli do Vegas - można to było odczytać z ich oczu - ale jeśli pozostaną tu do dwudziestego drugiego czerwca, wpadną w spore tarapaty. To miasto było tak sztuczne, jak to miejsce na Bliskim Wschodzie, gdzie był w tej „podwodnej restauracji”. Metropolia w środku pustki. Vegas szczyliło się dziewiętnastoma z dwudziestu największych hoteli na świecie. I niemal całkowicie opierało się na dobrodziejstwie technologii. W hotelach nie dałoby się żyć bez klimatyzacji (a w czerwcu temperatura przekraczała tutaj trzydzieści osiem stopni). I co by pili? Wodociągi były zależne od pomp elektrycznych, a nawet tamy wodne w stanie były kontrolowane przez wysoce zaawansowane technologie cyfrowe. Woda zniknęłaby stąd w mgnieniu oka.

Leżące sześćdziesiąt kilometrów dalej jezioro Mead stanie się prawdziwą „mekką”, jak się w końcu zorientują, że zasilanie nie zostanie przywrócone. Przynajmniej nie tak prędko. Może już nawet nigdy. Tylko nieliczni skojarzą to z Culpeper i zdadzą sobie sprawę z tego, co się dzieje. Ale nie będą wiedzieli i nawet nie będą mogli się domyślić, że nie będzie po co iść do sąsiedniego miasta. Tym razem nie będzie żadnej ucieczki. Cały kraj pójdzie na dno, a razem z nim cały świat.

Dla większości z nich dotarcie do jeziora Mead będzie wielką trudnością. Była to sześćdziesięciokilometrowa wędrówka przez kamienistą pustynię. Nie wszyscy dadzą radę dźwigać ze sobą odpowiednie zapasy wody i pożywienia. W końcu ci, którzy dotrą do wody, zbudują płoty obronne i wrócą do czasów plemiennych. Ile czasu to zabierze? Miesiąc? Najwyżej dwa.

Mijały go cele jego przyszedłego ataku. Kobieta na wózku inwalidzkim, matka z niemowlęciem w chuście i bardzo otyły facet. Ci nawet nie będą mieli szansy. I żadnej szansy nie będzie też dla Mandy. Kusiło go, by zabrać ją na ranczo B-Lazy-B. Lecz oparł się tej chęci, utwardzając swe serce. Mandy należała do przeszłości, a przeszłość nie była czymś, co chciałby odwiedzać.

Przez głośniki podawano właśnie informacje o czymś nieodebranim bagażu, gdy zobaczył Irinę, zagubioną figurkę w niebieskim płaszczu, ciągnącą za sobą czarną walizkę na kółkach. Szukała go gdzieś w tłumie, miała słodko zmarszczone czoło. Podniósł rękę i zawołał:

- Irina!

Gdy się odwróciła i zobaczyła go, jej twarz rozpromieniła się dziecięcym, nieskrępowanym śmiechem. Widząc jej radość, ucieszył się niezmiernie. Poczuł wręcz, jakby wpadał w euforię.

Po chwili znalazła się w jego ramionach, słodka i prawdziwa, jak spełnienie wszystkich marzeń.

*

Pokazywanie Irinie Las Vegas było jak zabranie dziecka do Disneylandu. Wilson był bardziej niż nieczuły na przyjemności oferowane przez to miasto, ale jej szczęście dawało mu tyle radości, że nie mógł powstrzymać uśmiechu, zupełnie jak rodzic rozpieszczający swoje dziecko.

Podczas drogi z lotniska Irina wpatrywała się w kasyna i prawie podskakiwała z podniecenia. W holu hotelu Mirage wydawała z siebie okrzyki „och” i „ach”, a jak znaleźli się już w swoim apartamencie, biegła dookoła, jak dziecko.

- Żartujesz ze mnie! To jest nasz pokój?! - Nie pominęła żadnego kącika, wszystko musiała obejrzeć. Była zachwycona minibarem i przyborami toaletowymi, telewizorem, luksusową łazienką i gigantycznym łóżkiem. Rzuciła się na nie, chichocząc i podskakując.

Wilson położył się obok niej i gdy się całowali, czuł każdą komórkę swego ciała. Zaczęli się kochać. Rozpięła jego koszulę. Na widok tatuaży szeroko otworzyła oczy.

- Masz... obrazki - powiedziała.

- Yhmmm.

Przesuwała palcem po konturach ważki i lizała językiem zarysy półksiężyca. Podniosła głowę, gdy zobaczyła nieznane słowa, wypisane na jego piersiach.

- A to? Co to znaczy? Wilson uśmiechnął się.

- To znaczy: „Nie czuj lęku”.

Gdy jej usta zaczęły całować te słowa, sięgnął ręką do guzików jej bluzki, ale ona wykręciła się.

- Co się stało? - zapytał. Wstał, by zgasić światło i wrócił do łóżka.

- Lubię po ciemku - wyszeptwała. No i kto mógł się z nią kłócić? Za oknem, za zasłonami, miasto błyszczało jakby było jakąś obcą galaktyką wśród gwiazd.

Rano owinęła się kołdrą i rumieniąc się, zamknęła się w łazience. Gdy wróciła, Wilson otworzył szampana. Wypili toast „za nas” i zeszli do kasyna. Wilson pokazał jej, jak się gra w różne gry hazardowe, a jej radość z wygranej dziesięciu ćwierćdolarówek przy automatach do gry była tak szczera, że uśmiechali się do niej nawet najbardziej zatwardziali hazardziści. Jej szeroko otwarte oczy, gdy rzuciła kośćmi przez cały stół, jej wzrok pełen oczekiwania i przejęcia, gdy kulka zaczęła podskakiwać po kole mletki, były jak czyste złoto.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Wilson poczuł się szczęśliwy. Przez ostatnie kilka miesięcy żył na czystej adrenalinie, miotając się od Allenwood do Waszyngtonu, potem Dublina, Belgradu, Bied i Bejrutu. Do Odessy, Bunii i różnych innych miejsc. Przewożąc pieniądze, kupując ranczo, budując broń. Potem Culpeper i San Francisco, i Maddox jako dopełnienie.

To wszystko dawało mu poczucie nierealności, jakby tylko odgrywał samego siebie. Była to rola, którą sam wymyślił i sam sobie nadał, i to była prawda - to on napisał scenariusz.

Lecz ciągnęła konieczność pozostawiania sobą i trzymania emocji na wodzy, pilnowania siebie i bycia czujnym wiele go kosztowała.

Ale teraz była z nim Irina i wszystko się zmieniło. Było w niej coś, co sprawiało, że czuł się silny i zwarty. Bycie z nią pozwalało mu odzyskać samego siebie.

Później tego wieczora, w Białej Kaplicy, ze słodkością i precyzją drugiej części Shreka ziściła się fantazja Iriny. Las Vegas było miastem hołdu dla innych metropolii: Nowego Jorku, Paryża, Wenecji, Kaim i wielu innych. Podobnie też ślub brany w Białej Kaplicy był wymyśloną wariacją na temat tradycyjnego ślubu. Była to kaplica, ale nie kościół. Byli uczestnicy ceremonii i świadkowie, ale zupełnie obcy ludzie. „Bliscy nieznajomi”. Kwiaty i rozsypane płatki róż, i tort weselny, i

fotograf - niezaplanowane przez pannę młodą, ale będące częścią opłaconego pakietu.

Ślub w Vegas można było porównać do wynajęcia architekta wnętrz. Była to totalna inwazja w prywatność, ale nie mieli nic przeciwko temu, bo tego właśnie chcieli. I koniec.

Euforia Iriny i zachwyt nad każdym drobiazgiem zmieniły wymiar tej ceremonii. Wyszła z przebierałni w satynowej sukni do kostek, ręcznie przyozdobionej perłami przez jej matkę, z policzkami różowymi z przejęcia.

- Mój Boże. Ona się spłoniła - zauważył jeden z uczestników. - Mamy tutaj prawdziwą pannę młodą!

Gdy powtarzali słowa przysięgi, głos Iriny drżał z emocji. Wilson wsunął jej obrączkę na palec, a ona wpatrywała się w niego. Zanim urzędnik udzielający ślubu na to pozwolił, Irina rzuciła mu się na szyję.

- Kocham ciebie, Jacku Wilsonie! - wykrzyknęła. - Jestem szczęśliwą kobietą!

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał zbyt wiele doświadczenia w uszczęśliwianiu ludzi.

- A teraz jedziemy do domu? - zapytała. Wilson skinął głową.

- Tak - odpowiedział. - Teraz jedziemy do domu.

ROZDZIAŁ 48

FALLON, NEVADA 21 CZERWCA 2005

Tydzień to dużo czasu. Wystarczająco dużo, by kobieta dolewająca kawy do dzbanków i uzupełniająca misy z chrupkami śniadaniowymi w sali śniadaniowej zaczęła witać Burke'a przyjaznym uśmiechem. Pytając go uprzejmie „Jak się pan dziś ma?”, układała pączki i bagietki pomiędzy wizytami gości.

Miał ochotę wracać do Dublina. Pomyślał jednak, że raczej powinien zaryzykować i poczekać na telefon od Madame Puletskiej. Wtedy mógłby szczerze przyznać, że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Miał jeszcze szansę, tak małą, jak trafienie wygranej w totolotka, że Wilson we własnej osobie pojawi się u Mandy w Fallon. Może Burke'owi się poszczęści.

Dysponując dużą ilością wolnego czasu, zwiedzał okolice.

Pojechał do Pyramid Lake, a potem do Grimes Point, gdzie tysiąc lat wcześniej przodkowie Jacka Wilsona wykuli na skałach petroglify. Można tak było stać i godzinami oglądać naskalne rytę. Za plecami słychać było wycie przelatujących matowoczarnych myśliwców Tomcat i Hornet, które startowały i lądowały w pobliskiej bazie marynarki wojennej.

Wtorek, dwudziesty pierwszy czerwca.

Czy Madame Puletskaja w ogóle zadzwoni? Siedział na krześle obok łóżka w hotelu, ćwicząc głos przyjaciela pana młodego: a ona powie, a wtedy ja odpowiem... Była prawie dziesiąta, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Mówi Madame Puletskaja. Dzień dobry! Przedstawił się.

Olga musiała wszystko jej opowiedzieć, ponieważ od razu przeszła do sedna.

- Mówi pan, że jest pan przyjacielem Jacka? A jak mam być tego pewna?

- Jestem starym przyjacielem Jacka - wyjaśniał - dał mi numer telefonu do pani. Powiedział, żebym zadzwonił. Muszę pani wyznać, że jest zachwycony Iriną, i pomyślał, że ja też mógłbym znaleźć swoje szczęście.

Niemal dało się słyszeć, jak skorupka niedowierzania Madame Puletskiej pęka niczym kruchy lód.

- Piękne dziewczyny - powiedziała - tak się z nich cieszę! Bardzo słodkie, może trochę nieśmiałe... Czy pan też lubi nieśmiałe dziewczyny?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Tak! Nieśmiałe dziewczyny są... świetne!

- Jeśli wpisze się pan na mój portal - powiedziała przebiegłym głosem - to w ramach Słodkiej Szesnastki dostanie pan szesnaście zdjęć i adresy e-mailowe. Jeśli wybierze pan Wspaniałą Ósemkę, to dostanie pan fotografie i pełne biografie ośmiu dziewcząt, adresy e-mailowe, jedno tłumaczenie

listu i jedno doręczenie kwiatów. To lepszy interes. I lepszy wybór. A dla przyjaciela Jacka wybiorę najpiękniejsze dziewczęta. Sto dwadzieścia pięć euro. To jakieś sto pięćdziesiąt dolarów. Ma pan komputer? Ale jeśli pan woli zdjęcia, to możemy przesłać FedExem za dodatkową opłatą.

- Ale Jack...

- Najpierw załatwmy interes, dobrze? Więc woli pan Wspaniałą Ósemkę, tak? To lepszy interes.

Ma pan komputer?

Wreszcie zrozumiał. Może opowie mu o Jacku, ale najpierw musi ubić interes.

- Tak - odpowiedział. - Mam komputer.

- Przyjmujemy płatność kartami Visa lub Master. Ale może też być Paypal, jeśli pan woli.

Wyciągnął portfel, przeczytał numer swojej karty Visa. Gdy skończyła wyjaśniać mu, jak zalogować się na stronie Wspaniałej Ósemki, zapytał ją jeszcze raz:

- Ale mi chodzi o Jacka i Irinę...

- Jedzie pan na ślub? Zaczął zastanawiać się, czy ślub już się odbył, czy nie.

- Ja... nie - odpowiedział w końcu - ale chciałbym przesłać im prezent.

- Bardzo miło, dla młodej pary.

- Problem w tym, że Jack dał mi swój nowy adres, ale nie mam go ze sobą. Zawahała się przez moment, ale odpowiedziała.

- Och! To takie piękne miejsce, mój Boże! Irina pokazywała mi zdjęcia. Ma szczęście dziewczyna - usłyszał stukanie klawiatury i wstrzymał oddech, gdy dyktowała mu adres.

- Skrzynka pocztowa jeden-dwa-cztery, Juniper, Nevada. - podała jeszcze numer kodu pocztowego.

- Wielkie dzięki - odpowiedział, myśląc: „Cholera! To skrzynka pocztowa!”. - Czy ma pani jego numer telefonu? - myślał, że jak będzie miał numer telefonu, to może w Internecie znajdzie nazwę ulicy.

Ukrainka po niedługim namyśle odrzekła:

- Tego nie mogę ujawnić. Polityka prywatności, tak?

- No tak, ale FedEx czasem chce mieć numer telefonu...

- No to ma pan jeszcze UPS - powiedziała. I zmieniła temat. - Jaka wspaniała para! - stwierdziła.

- Ten związek przetrwa. Czasem... no wie pan. Jak to się mówi? Wykolejony pociąg! Ale oni? To będzie doskonale małżeństwo. I dla Iriny? Tak się cieszę, że będzie szczęśliwa. I, dzięki Bogu, będzie miała dobrą opiekę medyczną.

Burke'owi wydawało się, że się przesłyszał.

- Opiekę medyczną?

- No tak! Macie przecież najlepszych lekarzy w Ameryce. Tak jej powiedziałam.

- Podobno.

- Na Ukrainie nie jest tak dobrze. Wszyscy lekarze zostają taksówkarzami i kelnerami. Nie mam im tego za złe. Chodzi o pieniądze. A w Stanach? To doskonale dla mojej Iriny.

- Czy ona jest chora?

- Nie-nie-nie-nie-nie-nie. Ona jest bardzo zdrowa. Jej stan jest pod kontrolą. Firma Ukainebñdes gwarantuje zdrowe, młode kobiety. Każda dziewczyna może mieć dzieci.

- Ale ona ma jakąś dolegliwość - naciskał Burke. - Jeśli ja miałbym kogoś poznać...

- Tak, ale mówię panu, że to nic poważnego.

- Rozumiem, ale... - czuł, że po drugiej stronie linii kobieta zastanawia się, czy powiedzieć mu

prawdę, bojąc się, że może stracić klienta.

- No dobrze - odrzekła - ale proszę tego nikomu nie powtarzać, okay? Irina tak się tym krępuje.

Obiecujecie pan?

- Ani słowa. Ja chcę tylko wiedzieć, sam dla siebie.

- Więc - zaczęła Madame Puletskaja, wzdychając - chodzi o to, że...

*

Może skrzynka pocztowa nie jest najbardziej dokładnym adresem, ale to było wszystko, co miał. I gdy sprawdził na mapie lokalizację Juniper, to okazało się, że może nawet tylko tyle wystarczy. Juniper to była zaledwie kropeczka na mapie (trzystu dwudziestu mieszkańców), leżąca blisko granicy z Idaho. W tak niewielkim miasteczku każdy musiał znać nowego mieszkańca, szczególnie gdy przybysz miał kupę pieniędzy.

Burke wymeldował się z hotelu przed południem. I zaczął mieć obawy. Po raz pierwszy pojawiło się przed nim pytanie: Co się stanie, gdy faktycznie spotka tego gnojka? Co robi? Pamiętał, że Francisco d'Anconia był wysokim facetem. I w dobrej kondycji fizycznej. Co nie było wcale czymś niespotykanym u kogoś, kto przez ostatnie dziesięć lat robił pompki, ćwiczył z ciężarkami i biegał wokół swojej klatki.

Na szczęście był w Nevadzie, a sklepy z bronią są tu tak popularne jak ciastkarnie Dunkin' Donuts w Massachusetts. Wyjeżdżając z miasteczka minął po prawej stronie sklep przed którym stał drewniany grizzly, a na szyldzie było napisane: „Broń i Słońce”. Zawrócił, zaparkował przed wejściem i wszedł do środka. Był to sklep z bronią, na którego zapleczu znajdowało się dodatkowo solarium.

Dziewczyna za ladą była bardzo uprzejma. Najchętniej sprzedałaby mu nawet ręczny wyrzutnik rakiet przeciwpancernych, jeśliby tylko o taki poprosił. Ale był jeden problem.

- Nie działają telefony - oznajmiła dziewczyna. - No i co z tego? - zapytał Burke, wpatrując się w elegancką beretkę.

- Zanim sprzedamy panu broń musimy sprawdzić w kartotece policji stanowej, czy nie był pan karany. Ale pan nie był karany?

- Nie - odpowiedział Burke.

- Czasem telefony zawieszają się na minutę - po burzy albo jakimś deszczu. Ale czasem na godzinę lub dłużej. Czy zechce pan zaczekać? Mógłby pan się trochę opalić w solarium z tyłu, przyciemnić sobie karnację.

Burke pokręcił głową.

- Nie dzisiaj. Trochę się spieszę. A co z targiem broni? Czy oni też sprawdzają kartoteki?

- Nie. I może pan tam kupić co tylko pan chce. Ale będzie musiał pan poczekać na weekend, bo teraz to chyba nie ma żadnego - wyjaśniła. - No i do tego czasu to już na pewno telefony będą działały. Na pewno nie chce pan trochę się opalić?

- Nie, dzięki... a to? Czy to jest telefon komórkowy? - wskazał na szklaną półkę, na której leżały pistolety i różne drobiazgi. Kusza. I jakaś magiczna różdżka, telefony komórkowe.

- To tylko wygląda jak telefon komórkowy - wyjaśniła dziewczyna - ale to paralizator. Sto osiemdziesiąt tysięcy woltów.

- I co się z tym robi? - zapytał Burke.

- No, zwyczajnie, dotyka się tym kogoś... i ten ktoś traci przytomność. Mogę to sprzedać panu bez pozwolenia - powiedziała - bo to nie jest śmiertelna broń.

*

Międzystanową drogą 1-95 dojechał do skrzyżowania z 1-80 i dalej do Elko. Osiem godzin później skręcił na północ w kierunku celu podróży. Wkrótce asfalt zamienił się w szuter. Jechał w tumanach kurzu, wypatrując świateł samochodów z przeciwnika.

Było około dziesiątej wieczór, gdy kilka kilometrów przed sobą dostrzegł wyłaniające się z ciemności światła miasteczka. Juniper składało się z dwóch szeregów domków zlepionych bokami po obu stronach jednej ulicy i z osiedla przyczep mieszkalnych. Centrum stanowiła poczta, sklep spożywczo-przemysłowy i bar o nazwie Wiadro Krwi.

Knajpka przypominała mu koszmarną spelunę z filmu Quentina Tarantino o wampirach, ale było to jedyne otwarte miejsce, a chciało mu się pić.

*

Pub Wiadro Krwi udekorowany był według gustu ekscentrycznego właściciela. Na ladzie bam siedział, zasilany baterią słoneczną, Helio Kitty, nieustająco machający łapką na powitanie. Niezła kolekcja plastikowych wierzchowców maszerowała po półce obok strzałki wskazującej drogę do toalety. Całą jedną ścianę wyklejono widokówkami, a telewizor miał ramkę wykonaną z rogów łosia.

Na ekranie migał mecz baseballu.

W rogu bam grano w pokera. Stara kobieta - przez rzadkie włosy prześwitywała jej skóra głowy - wrzucała monety do automatu do gry ustawionego obok drzwi i pociągała za dźwignię. Burke doczłapał do lady, za którą cherlawy barman w kombinezonie moro wycierał szklanekę. Barman uniósł głowę, rzucając mu oczekujące spojrzenie.

- Piwo - powiedział Burke.

- Jest kufłowe sierra nevada. Coors light, bud, bud light...

- Poproszę sierra nevada - był tak zmęczony, że nie chciał podejmować trudnych wyborów. Tak naprawdę, to marzył o tym, aby rzucić się na łóżko. Był już w połowie drugiego piwa, gdy wreszcie zebrał się w sobie i zadał pytanie.

- Czy znacie faceta o nazwisku Jack Wilson? Mieszka gdzieś tutaj? Barman spojrzał na niego badawczo.

- A kto chce to wiedzieć?

Burke już miał odpowiedzieć, gdy jeden z pokerzystów podniósł głowę znad kart i zaśmiał się.

- A co cię to obchodzi, Denny? Przecież ten facet nie jest żadnym twoim przyjacielem.

- Może i nie. Ale może właśnie mnie obchodzi, nie? - I dodał: - Graj sobie w tego pieprzonego pokera.

- No właśnie! Graj w tego pieprzonego pokera - rzucił inny z graczy.

- Wchodzisz, czy nie? - zapytał trzeci. Burke nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Barman postawił przed nim szklanekę z piwem i podniósł brwi.

- Więc?

Burke wziął łyk piwa.

- Jezu. Pycha to piwko - i po chwili dodał: - Mike Burke.

- Denny - przedstawił się barman i zaczął polerować następną szklanekę. Burke westchnął.

- Przybrana matka Wilsona jest chora.

- O cholera - głos barmana był aż gęsty od niedowierzania.

- Poważnie - odparł Burke. - Mieszka w przyczepie w Fallon. Jedyne adres jaki do niego miała to numer skrzynki pocztowej. Obiecałem jej, że spróbuję go znaleźć, ale...

- Ona tu nigdy nie była? Burke pokręcił głową.

- Nie. Ale przecież on też nie mieszka tu zbyt długo. Barman zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Może trzy, cztery miesiące, to wszystko.

- Buduje pla-ne-tarium - oznajmił jeden z graczy w pokera.

- Nie buduje planetarium - poprawił go barman - tylko miejsce na teleskop.

- Wielka mi różnica - wzruszył ramionami gracz - tak czy siak będzie się gapił w gwiazdy.

Burke chciał przejść do sedna sprawy, ale wyczuł, że jeśli będzie próbował przyspieszyć bieg rozmowy, to nic z tych ludzi nie wyciągnie.

- Założę się, że teraz też obserwuje gwiazdy - powiedział jeden z graczy. - Jutro jest przesilenie. Najdłuższy dzień w roku.

- Ale przecież to dotyczy słońca - stwierdził barman.

- Naprawdę, Denny? - ciągnął pokerzysta. - A co, słońce to nie gwiazda?! - pozostali gracze roześmiali się.

Barman odwrócił się do Burke'a.

- A ta przybrana matka - zaczął - to nie ma jego numeru telefonu? Nagle znad stolika do kart rozległ się krzyk:

- Łaaahaaa! Kijas blefował! Kijas blefował jak cholera! Kobieta oderwała się od automatów do gry, podeszła do Burke'a i posunęła swoją szklankę w stronę Danny'ego. Miała smutne oczy dziecka i cerę zniszczoną przez słońce. Wyglądała na czterdzieści lat, ale równie dobrze mogła mieć sześćdziesiąt. Nie był tego pewien. Barman zrobił jej drinka 7&7, a następnie odwrócił się do Burke'a i wskazał na zachód.

- Jakieś sto kilometrów stąd - powiedział. - Ładne miejsce. Dookoła park narodowy. - Naskicował małą mapkę z tyłu podkładki pod piwo, przez cały czas opisując drogę. - Po prawej stronie miniesz niebieską przyczepę. Totalnie potrzaskana. Przed nią stoją figurki różowych flamingów. Jak ją zobaczysz, to musisz odbić w lewo i stamtąd masz już tylko dwadzieścia pięć kilometrów. Zobaczysz bramę i napis. B-Lazy-B. Nie można nie trafić.

- A gównie prawda! - wykrzyknął jakiś głos. Barman uśmiechnął się.

- No tak, pewnie można się zgubić, ale... - podał Burke'owi kartonik. - A czym jedziesz?

Burke wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Zapomniałem. To wypożyczone auto.

- Terenówka?

- Nie.

Barman pochylił się do przodu.

- Ale to SUV, tak?

- Nie. Zwykły, osobowy. Spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- No to czeka cię podniecająca podróż.

Automat do gry zastękał i zaczęła wyc syrena obwieszczająca wygraną. Na ziemię posypał się wodospad drobniaków. Kobieta osłupiała.

- Chcesz jednego na drogę? - zapytał barman.

Zanim Burke zdążył odpowiedzieć, jeden z pokerzystów dodał:

- Jednego głębszego na drogę dla muflonów! Wszyscy zaczęli się śmiać. Burke też.

ROZDZIAŁ 49

Burke wyzerował licznik kilometrów i powoli ruszył.

Inaczej się nie dało. Szuter na drodze przypominał tarkę tak, że jazda z prędkością czterdzieści na godzinę zakrawała już na szaleństwo. W ustach czuł pył i zachciało mu się pić. Ale nic na to nie mógł poradzić. Zapomniał zabrać ze sobą wodę - niezbyt rozsądnie, jeśli pomyśleć, że Armagedon był tuż za rogiem. Albo dokładniej - prosto i w lewo.

Gdy licznik wskazywał około czterdziestu pięciu kilometrów, zaczął ziewać. To przez to piwo, pomyślał, taki mały błąd. Włączył radio. Odbierało tylko muzykę country z rozgłośni w Boise. Rozgłosił, ale to też nie pomogło. Parę razy już prawie zasnął, na szczęście wybój na drodze go przebudził. Opuścił szyby.

Efekt był natychmiastowy. Mroźne, pustynne powietrze uderzyło go w twarz, jakby ktoś wylał na niego kubel lodowatej wody. Zaśnięcie już mu nie groziło. Hałas, zimno i kurz robiły swoje - było mu tak niewygodnie, że usiłowanie pozostania czujnym nie sprawiało mu już żadnego problemu. A gwiazdy świeciły niesamowicie. Były wyraźne i błyszczące; Droga Mleczna rozlewała się w poprzek nieboskłonu, niczym welon panny młodej.

Zasunął szyby. Wolał zginąć w wypadku niż zmarznąć na śmierć. Przynajmniej byłoby szybciej.

Trzy godziny później pochylał się nad kierownicą. Często włączał wycieraczki, żeby oczyścić szybę z kurzu i z owadów.

Wypatrywał niebieskiej przyczepy z różowymi flamingami i bał się. Ranczo Wilsona znajdowało się na takim pustkowiu, że zaskoczenie go w ogóle nie wchodziło w grę. Zobaczyłby światła reflektorów z daleka i nawet jeśli Burke zgasiłby światła i nie zabił się od razu, to i tak będzie go słyszał. Samochód hałasował jak lawina żeliwnych prętów spadająca po kamienistym zboczu góry.

Jeśli zobaczy ranczo odpowiednio wcześniej, to zostawi samochód i dalej pójdzie pieszo. Ale „odpowiednio wcześniej” było wielkim znakiem zapytania na obszarze płaskim jak patelnia. Jeśli Mandy miała rację z tym letnim przesileniem, to Wilson wcale nie będzie spał. Będzie się szykował na taniec.

Uruchomił transponder z pierwszymi promieniami świtu, pomyślał Burke. I to będzie koniec wszystkiego.

Ale z drugiej strony, kto tak naprawdę wiedział, co Wilson planuje. Jeśliby tylko chciał, to pewnie mógłby „wyparować” cały kraj a la incydent tunguski. Po prostu wyczyścić cały kontynent, od morza do morza. Ale tego nie zrobi, wmawiał sobie Burke. Wilson był tancerzem ducha, a w Tańcu Ducha wszystko polegało na pragnieniu odzyskania utraconych ziem. Na miłości do ziemi. Więc to nie może być katastrofa tunguska na większą skalę. Przypuszczalnie będzie to powtórka z Culpeper, ale większa. Jeśli Wilsonowi udałoby się trwale zniszczyć infrastrukturę elektryczną i elektroniczną kraju, byłaby to katastrofa na miarę trzęsienia ziemi. Prawie wszystkie gospodarki

świata rozpadłyby się na kawałki, zmarłyby miliony ludzi. Ludzie na całym świecie są zależni od nowoczesnych technologii obsługujących wszystkie dziedziny życia, od wytwarzania żywności i uzdatniania wody po transport, medycynę i oświetlenie miast. To byłby totalny koniec, jeśli nie całego świata, to przynajmniej ostatnich pięciuset lat rozwoju cywilizacji. Z powrotem nastąpiłby rok 1491.

Ta myśl była tak szokująca, że Burke nawet nie brał jej poważnie. Wirowała w jego głowie jak sygnał radiowy z Reno. „Liczba ofiar osiągnęła trzysta czterdzieści dwie osoby. Policja szuka...”.

Stację zagłuszył inny sygnał radiowy. Szkoda.

Dziesięć minut później w światłach reflektorów zmaterializowało się pieprzone stadko różowych flamingów przed niebieską przyczepą. Gdy Burke przejeżdżał obok, zauważył, że ktoś wielkimi literami wysmarował na przyczepie sprejem: „Zły pies”.

Trzy kilometry dalej skręcił w lewo, tak, jak mu powiedziano i droga natychmiast się pogorszyła. Koleiny były tak głębokie, że zaczął się obawiać, iż podwozie tego nie wytrzyma. Potem poczuł, że droga zaczyna się wznosić; samochód z mozołem piął się po zboczu, mając do pokonania coś, co barman określił jako odwrócone V.

Gdy pokonywał ostre zakręty serpentyn, a światła reflektorów odbijały się o zbocze góry po prawej i ginęły w przepaści po lewej stronie drogi, miał uszy gorące ze strachu. Nagle jakiś zając wyskoczył na drogę i Burke odruchowo nacisnął na hamulce.

Wielki błąd.

Samochód zaczął się ślizgać po koleinach, tylne koła buksowały, rozpryskując drobiny błota. Pojazd jechał, jak chciał, ślizgając się po drodze tak, jakby była pokryta lodem. Połączenie pomiędzy kierownicą, hamulcami a kołami było tylko teoretyczne. W końcu wpadł do rowu. Karoseria zatrzeszczała. Coś załomotało, chrupnęło, prawe lusterko wyleciało w powietrze. Samochód nagle się zatrzymał; jeden reflektor świecił prosto w gwiazdy, a drugi, całkiem potrzaskany, oświetlał podstawę czerwonej skały.

Burke wziął głęboki oddech i wysadził głowę na zewnątrz. Zając z zadowoleniem kontemplował zniszczenie będącego niegdyś w całkiem dobrym stanie nissana sentry. Burke nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, choć raczej skłaniał się ku temu drugiemu. Przynajmniej nie stoczyłem się po zboczu, pocieszył się. Gdybym zjechał po zboczu, mógłbym dotrzeć do krawędzi przepaści.

Spróbował odpalić silnik.

Jeszcze raz i jeszcze raz. Ale na uruchomienie samochodu nie było najmniejszej szansy, a nawet gdyby silnik zapalił, to z powątpiewaniem myślał o możliwości wygrzebania się z rowu. Bez pomocy drogowej nie miał takiej szansy. A nawet gdyby, to samochód i tak nie nadawał się już do jazdy.

Wsunął głowę do samochodu i odczytał na liczniku liczbę przejechanych kilometrów na liczniku: osiemdziesiąt cztery. To znaczy, że do rancza pozostało mu jakieś szesnaście kilometrów piechotą.

Nie miał innego wyjścia. Sięgnął do samochodu po swój nowy „telefon komórkowy” i mszył w drogę.

*

Szło mu się znacznie trudniej niż się spodziewał, bo było ciemno. Drogę widział tylko dlatego, że była jaśniejsza od przepaści po lewej i skał po prawej stronie. Ale gdy próbował obrać jakieś sensowne tempo, potykał się o kamienie lub wpadał w dziury. Dwa razy wywalił się jak długi i paskudnie skręcił sobie kostkę tak, że bolała go jak diabli. Chciało mu się pić, ale nic na to nie mógł poradzić. Wokół niego krążyły stada komarów. Nie gryzły, ale wpadały do oczu, zmuszając go do

zatrzymywania się co parę minut i ocierania ich z twarzy. Po godzinie tego marszu zaczął mieć skurcze.

Wydawało mu się, że od opuszczenia bam w Juniper upłynęła cała wieczność, ale kiedy spojrzął na zegarek, zobaczył, że minęło dopiero pięć godzin. Przez cały ten czas wiele myślał o tym, co robi i dlaczego. Odkrył, że jego obsesja odnalezienia Wilsona wcale nie była związana z biznesem Tommy'ego Aherne. To było tylko usprawiedliwienie i nawet Tommy w to nie wierzył. W końcu sąd wyjaśniłby sprawę i byłoby po wszystkim. Pogoń Burke'a za Wilsonem miała głębsze, ciemniejsze podłoże. Co to było? Rodzaj „samobójstwa na życzenie” zadanego przez policjanta, tylko że w tym przypadku nie przez policjanta, ale przez terrorystę, chociaż to i tak wszystko jedno.

Nie miał już dla kogo żyć. Nie bez Kate. Albo tylko tak myślał. Stopniowo coś w nim zaczęło się zmieniać. Najpierw powoli, a potem wszystko naraz. Nie zdawał sobie nawet sprawy, kiedy to się stało. Nie było żadnego określonego momentu, kiedy wszystko uległo zmianie. Te gwiazdy...

Nagle zaczął zastanawiać się, co zrobi, gdy dotrze do rancza, ponieważ sprawa „samobójstwa na życzenie” straciła wszelką wcześniejszą atrakcyjność. Z trudem posuwając się do przodu, myślał nad tym wszystkim i w jego głowie powoli zaczął się formować plan.

Był genialny: najpierw dostanie się do środka. A potem znokautuje Wilsona.

*

Była piąta piętnaście rano, gdy dotarł do bramy rancza, które w tradycyjny sposób miało nazwę umieszczoną na poprzecznym balu nad wjazdem. B-Lazy-B. Nawet ładne, pomyślał Burke.

Około pół kilometra dalej pobłyskiwały w ciemności jakieś niewyraźne światła. Niebo na wschodzie zaczęło blednąć. Jedna po drugiej gasły gwiazdy.

Burke ukucnął na podjeździe, przestraszony hałasem, jaki robiły jego własne kroki. Nie było zbyt jasno, by widzieć wyraźnie, ale spodobał mu się ten dom zbudowany z kamienia i drewna, rozłożony na małej górskiej łące. Ta wiejska rezydencja przypominała mu luksusowe pensjonaty dla narciarzy, w Jackson Hole albo w Telluride.

Wyłożony brukiem podjazd wił się przez zagajnik sosnowy pod same drzwi. Burke zdecydował się zejść od tyłu i dostać się do domu przez kuchenne drzwi. Czuł się jak włamywacz i bał się, że głośne uderzenia dzwonu w jego piersi przebudzą domowników. Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Pewnie są w łóżku, pomyślał. Ale to przecież nie miało sensu, o ile Burke nie pomylił się z tym przesileniem, albo Wilson nie zdecydował się zmienić swoich planów.

Stał w kuchni z paralizatorem w kształcie telefonu komórkowego i czekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do szarówki poranka. W ciszy słychać było jakąś muzykę, jakby gdzieś w głębi lasu grało radio. Zaczął penetrować dom, pokój po pokoju, modląc się, żeby Wilson nie miał psa. Czy paralizator elektryczny działa na psy? Czy futro przewodzi prąd?

Sypialnia Wilsona - piąty z kolei sprawdzany pokój - znajdowała się na samym końcu korytarza. Łóżko nie było zasłane; zrobiony ze świeżych kwiatów wianek panny młodej wiął powoli na komódce obok buteleczek perfum. Przy wianku stała fotografia w srebrnej ramce. Burke przyjrzał się jej przy świetle księżyca.

Było to zdjęcie Wilsona we fraku, obejmującego ramieniem blondynkę w ślubnej sukni. Obydwoje stali na balkonie przybranym mnóstwem kwiatów. Burke zauważył, że panna młoda ma na głowie wianek, który przed chwilą oglądał. Kolumnienki balkonu przybrano przesadną liczbą złożonych i srebrzystych ozdób, a cała ściana za nimi iskrzyła światłem świeczek. Burke nie potrafił rozróżnić, czy zdjęcie zostało zrobione na zewnątrz, czy wewnątrz jakiegoś pomieszczenia

przypominającego plan filmowy. Jednak uczucia, które para miała dla siebie nawzajem, były oczywiste. To z nich po prostu promieniowało. Ale tu ich nie było.

Burke oparł się o parapet. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Pokonał taki szmat drogi, a tu nikogo nie ma.

Wyszedł z domu i zaczął iść ścieżką, którą przyszedł. Było po wszystkim. Ale chwila... znów usłyszał muzykę i odległy śmiech. To był kobiecy śmiech... skąd dochodził? Zaczął się rozglądać, w prawo, w lewo, ale szum wiatru uniósł gdzieś dźwięki i znowu zapadła cisza.

I wtedy zza wierzchołków drzew zobaczył smużkę światła. Dochodziło z wysokiej konstrukcji zbudowanej z drewnianych - skrzyżowanych ze sobą bali. Wyglądało na to, że jest oddalona o niecały kilometr stąd. To była wieża z pokoikiem na szczycie. Jak ta w Wardencllyffe.

Góry na horyzoncie zaczęły pobłyskiwać różowawą poświatą zbliżającego się poranka. Burke skierował się wprost na wieżę i był teraz zupełnie pewien, że to właśnie tam jest Wilson ze swoją bronią i swoją kobietą.

Gdy usłyszał śpiew ptaka przyspieszył kroku. Niedobrze, pomyślał, nie jest dobrze. Spieszył się, ale był tak zmęczony, że nie bardzo mu to wychodziło. Co jakiś czas musiał przystanąć, by złapać oddech. Znajdował się na sporej wysokości nad poziomem morza; jego organizm nie bardzo był przyzwyczajony do takich warunków.

Wreszcie doszedł do podstawy wieży. Słuchając przytłumionych głosów dobiegających z góry, poczekał minutę, aż wyrówna mu się oddech.

Zaczął wspinać się po krętych schodach. Starał się, jak mógł, żeby być cicho, ale schody były metalowe i jego kroki słychać było tak jakby ktoś walił w bębny.

- Jack?! - to był głos zaniepokojonej kobiety.

Burke przystanął i aktywował paralizator. I znowu ruszył do góry, tym razem, żeby jak najszybciej dostać się do małego pomieszczenia na szczycie. Wejście prowadziło przez trap w podłodze nad jego głową. Był otwarty. W otaczającej ciemności Burke'owi wydawało się, że idzie w kierunku słońca.

Muzyka ucichła.

Jeszcze dwa półpiętra. Zatrzymał się na moment, żeby odsapnąć i wpatrywał się w trap. Jedyne sposobem, by wejść do środka - to głową naprzód. Jeśli jednak Wilson miał kij baseballowy i go użyje, to Burke może się z nią pożegnać.

Zaczął rozważać, jakie ma możliwości. Mógł iść do góry. Mógł też zejść w dół. Zdecydował się iść do góry, biorąc po dwa stopnie, aż znalazł się na szczycie - bez tchu - i zobaczył lufę karabinka półautomatycznego wymierzoną w jego twarz.

Kobieta z fotografii stała u boku Wilsona, miała otwarte z przejęcia usta i przerażone oczy. Za Wilsonem, jak się domyślił, znajdowała się jego potężna broń. Wyglądała jak teleskop zamontowany na obracającej się wieżyczce. Była skierowana w niebo przez coś, co wyglądało jak świetlik. Albo jakiś odsuwany dach.

- Coś ty, kurwa, za jeden? - syknął Wilson. - Właż tu! - rozkazał, machając lufą. Burke zaczął powoli wchodzić przez właz. Irina odsunęła się dalej.

Był już w połowie, gdy Wilson krzyknął:

- Stój! Burke zamarł.

- Co to jest? - zapytał Wilson, przydeptyując jego dłoń.

- Telefon komórkowy - odparł Burke.

Wilson pochylał się i odebrał mu „komórkę”. Rzucił ją na fotel w rogu. I machnął na Burke’a, żeby wszedł do pomieszczenia.

- Do kogo dzwoniłeś? Burke myślał szybko.

- Na policję. Są w drodze. Wilson skinął tylko głową.

- Nigdy tu nie dojadą - stwierdził. Nagle zmarszczył brwi. - Ty jesteś tym facetem z Irlandii! -

Roześmiał się z niedowierzaniem. - Co tu robisz?

Burke już otworzył usta, ale powstrzymał się. Czy to miało jakikolwiek sens? Wilson pokręcił głową.

- Irina - powiedział. - Proszę usiądź. Pij wino. Wskazał na dwa fotele obok małego stoliczka, na którym stał świecznik, dwa kieliszki do szampana i wiaderko z lodem. Na podłodze leżał telefon.

Burke spostrzegł, że kobieta nadal była spanikowana. Jej oczy latały od jednego do drugiego mężczyzny.

- Jest w porządku? - zapytała drżącym głosem.

- Tak - odpowiedział Wilson, uśmiechając się. - To pan Aherne...

- Tak naprawdę to Burke...

- Pan Burke - powtórzył Wilson z przeproszającym skinieniem głowy. Odwrócił się do Iriny. -

Pan Burke jest bardzo daleko od domu.

- Tak jak ja - odrzekła z nerwowym uśmiechem.

- Nie - zaprotestował Wilson. - Nie tak jak ty. Ty jesteś w domu. To jest twój dom, kochanie.

Zaczerwieniła się.

- Ale dlaczego on... Wilson przerwał jej gestem.

- Obawiam się, że nie mamy trzeciego kieliszka - powiedział. - Nie oczekiwałem gości. Mamy tu takie małe, starodawne święto. Czekamy przez całą noc na świt. By powitać najdłuższy dzień w roku.

Burke rozejrzał się dookoła. Spojrzał na świecznik - jedyne źródło światła w pomieszczeniu. Uświadomił sobie, że Wilson mógł już uruchomić transponder. Na zewnątrz było już prawie jasno, a tu, w tej dżungli, trudno było stwierdzić, czy wszystko się skończyło. Światelka wokół domu jeszcze pobłyskiwały ale czy działały?

- Pociągnąłeś za spust?

- Jeszcze nie - odrzekł Wilson.

- Spust? - to pytanie zadała Irina.

Teraz mnie zabije, pomyślał Burke. Ale nie w obecności swojej młodej żony.

- To jest to? - zapytał Burke, wskazując na transponder. Wilson skinął głową.

- Chyba dużo wiesz. Jak nas znalazłeś?

- Ukrainebrides - odpowiedział Burke. Twarz Iriny rozjaśniła się.

- Znasz Madame Puletską?

- Tak - odrzekł Burke. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Wilson rozejrzał się.

- Myślę, że już czas - powiedział. - Siadaj tu! - nakazał, wskazując fotel, na który rzucił „telefon komórkowy”.

Burke podszedł do fotela i usiadł.

- Wyświadczyć mi przysługę - poprosił Wilson.

- O co chodzi?

- Nie ruszaj telefonu - rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie, odłożył karabin na stolik obok transpondera i zaczął podłączać kablem laptop leżący na podłodze.

Burke obserwował, jak Wilsona obsługuje sprzęt i pomyślał o ludziach, których widział w telewizji, o ich twarzach obłąkanych przez utratę najbliższych. Burke to rozumiał, tak jak rozumiał to, co przeżywali ludzie w budynku sądu, gdy ich ciała zaczęły się gotować pod skórą. Wiedział, co to znaczy być potwornie poparzonym. Okropna śmierć. Kula byłaby lepsza.

On właśnie jedną dostanie, prędzej czy później.

Przestał się zastanawiać i wyskoczył z fotela tak szybko, że Wilson nie zdążył chwycić za karabin. Irina krzyczała, jej kieliszek rozprysł się na podłodze. Burke szarżował na większego od siebie mężczyznę i przyparł go do ściany. Upadli na podłogę i zaczęli się siłować. Burke ścisnął Wilsona ramieniem za szyję i uderzał go ręką uzbrojoną w paralizator. Ale nie był zawodnikiem dla Indianina. Facet był po prostu za silny.

Choć Wilson leżał pod spodem, zacisnął rękę na szyi Burke'a, któremu zaczęło brakować powietrza. Wyczuł kciukiem włącznik paralizatora. Walnął „telefonem” w szyję Wilsona i nacisnął guzik, wyzwalając łuk elektryczny z charakterystycznym trzaskiem. Wilson zwiotczał. Jezu Chryste, pomyślał Burke, to działa! To naprawdę...

Nagle ciemność.

Gdy ocknął się jakieś pięć minut później, siedział na jednym z drewnianych foteli z Adirondack, krwawiąc ze zdrowego ucha, w które Irina przywaliła solidnym świecznikiem.

Wilson stał obok transmitera. Irina lekko popłakując, trzymała karabin wymierzony w Burke'a.

- Dlaczego zwariowany człowiek tu przychodzi? - pytała. - Co on chce? Jack? Wilson pokręcił głową, wstukując coś w klawiaturę komputera.

- On chce, żeby wszystko zostało po staremu.

- Zadzwońmy na policję, okay? - poprosiła.

- Nieee...

- Ale on ciebie zaatakował!

- To nic wielkiego! - odrzekł Wilson. I odwrócił się do niego. - To było niezłe - przyznał. Prawdziwa niespodzianka.

- Dzięki - odparł Burke. Spojrzał na rękę, którą przyciskał ucho i przyglądał się krwi na dłoni.

Wilson z powrotem zajął się komputerem.

I nagle wszyscy usłyszeli ten dźwięk - tłop, tłop - na zewnątrz wieży. Odwrócili się i od razu go zobaczyli: był to helikopter wiszący w powietrzu, jakieś sto metrów od domu pośrodku rancza.

Burke nie mógł w to uwierzyć. To mógł być tylko Kovalenko. Albo ktoś przez niego przysłany. Miał dosyć czasu, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Skoro Culpeper i sąd przykuły ich uwagę, to znalezienie Wilsona na ranczo B-Lazy-B nie mogło stanowić problemu. Mieli wystarczające środki, więc przybyła kawaleria.

Za późno.

- Twoi przyjaciele? - zapytał Wilson.

Burke pokręcił głową. Zaśmiałyby się, ale za dużo się działo i poza tym za bardzo wszystko go bolało.

- Nie sądzę, żeby helikopter był problemem - powiedział Wilson, szybko wpisując coś do komputera. - Jeszcze tylko minuta i wszystko się wyłączy. Wszystko - spojrzał przez okno. - Ale dlaczego są nad domem?

- Bo facet, który kieruje tą operacją, jest idiotą. Dlatego - wyjaśnił Burke. Wilson skinął głową.

- To mnie akurat nie dziwi.

- Dlaczego tu jest helikopter? - zapytała zdziwiona Irina.

- To policja - odpowiedział Wilson. - Przylecieli aresztować pana Burke'a.

- Dobrze - odpowiedziała.

Wilson z powrotem odwrócił się do laptopa. Z dala słychać było nazwisko Wilsona wywoływane przez megafon. Wilson pokręcił głową.

- Powinniśmy im powiedzieć, gdzie jesteśmy - zaproponowała Irina.

- Za chwilę - odpowiedział Wilson.

- Myślałem, że jesteście w sobie zakochani - wtrącił się Burke. Wilson znieruchomiał na chwilę i spojrzał na niego.

- Jesteśmy - odparła Irina z dumą.

- A co to ma wspólnego z tobą? - zapytał Wilson.

- Nic, pomyślałem tylko, że zabijesz ją tym swoim urządzeniem - tłumaczył Burke. - To będzie niezłe zakończenie miesiąca miodowego.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - odparł Wilson. - To nie działa jak bomba.

- Wiem - odparł Burke. - Ale ona ma rozrusznik. Wilson gapił się na niego. W końcu wykrztusił:

- Co?

- Irina. Ma. Rozrusznik.

Wilson zamrugnął parę razy powiekami. I zaśmiał się.

- Nieźle. Dostajesz maksymalną liczbę punktów. Ale Irina zaczęła płakać.

- A skąd ty to wiesz? - zapytała. - To mój sekret! - Jej łkanie zmieniło się w płacz przerażonego dziecka.

- Irina? - jego głos był tak miękki, że ledwo słyszalny. Podszedł do niej.

- Nie chciałam, żebyś wiedział - wyznała. - Jestem zepsuty towar. Dlatego kocham się z tobą w ciemności. Nie widać blizny. Jest okropna - zaniósł się płaczem. - Teraz nie będziesz mnie chciał!

Dziwny uśmiech zagościł na twarzy Wilsona. Prawie niedostrzegalnie kiwnął głową. Podszedł i przykucnął przed nią.

- Pokaż mi - powiedział, odbierając jej karabin. Zgodziła się, łkając jak dziecko. Odpięła guziczki bluzki i pokazała mu szramę. Wilson dotknął jej palcem i przesunął po jej krawędziach, potem przycisnął do niej swoje usta. Burke czuł się jak podglądacz. Odwrócił głowę.

- Kocham cię - powiedział Wilson głosem pełnym emocji.

- Ja... - straciła głos. Łkała jeszcze głośniejsze.

- Ciii - uspokajał ją Wilson. - Kocham cię. I zawsze będę cię kochać.

W rogu pokoju zadzwonił telefon. To była ostatnia rzecz, jakiej spodziewał się Burke i ten dźwięk totalnie go zaskoczył.

Wilson pocałował Irinę w głowę i starał się wytrzeć jej łzy palcami. Przestała łkać. Telefon nadal dzwonił.

Wilson wstał. Burke nie potrafił niczego odczytać z jego twarzy.

- To linia z domu - wyjaśnił Wilson i podniósł słuchawkę.

Słuchał. Z uśmiechem zasłonił dłonią mikrofon i zwrócił się do Burke'a.

- Jakiś Kovalenko chce żebyś wyszedł z domu z rękami podniesionymi do góry. Mówi, że wie, że tam jestem.

Burke nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Wilson odpowiedział do telefonu:

- Daj mi chwilę. - Odłożył słuchawkę na widełki i powoli podszedł do transmitera. Położył

koniuszki palców na klawiaturze laptopa, wziął głęboki oddech. Wahał się.

Przez moment Burke'owi się wydawało, że Wilson stracił odwagę, by wykoleić cały świat. Ale to nie o to chodziło.

Myśli Wilsona pływały w tajemnym sztormie pomiędzy jednym snem a drugim, rzucane przez niepewności jego własnego serca. Miłość i zemsta czekały w ciemności, ze skał otaczających wyimaginowany raj słyhać było syreni śpiew. Wszystko położył na jednej szali. O którą skałę powinien rozbić swój statek? Miłości czy zemsty?

W końcu westchnął głęboko. Wyciągnął wtyczkę z laptopa, zamknął komputer i podał go Burke'owi.

- Nie pozwól, żeby wpadł w ich ręce. Nie byłoby to dobre dla świata. Burke skinął głową.
- Zabierz stąd Irinę - powiedział. - Odejdźcie daleko stąd, daleko od domu. Od wieży prowadzi ścieżka do gorącego źródła. Ona pokaże ci drogę.
- Nie - krzyknęła Irina. - Zostanę z tobą. I Burke, i Wilson zignorowali ją.
- I co mam zrobić, jak tam dotrę? - zapytał Burke.
- Pozbądź się laptopa - odparł Wilson. - Tam są jaskinie. Ta najgłębsza ma na końcu szyb.
- Szyb?
- Tak. Szyb górniczy. Kiedyś wydobywano tu srebro. Szyb ma kilkadziesiąt metrów głębokości. Bądź ostrożny. Na jego dnie jest jezioro. Jak zrzucisz kamień, i policzysz powoli do sześciu, usłyszysz plusk. Wrzuć tam laptopa i zapomnij o nim na zawsze.

Burke skinął głową. Zastanawiał się, czy może jeszcze chodzić. Bolały go zębra, w głowie mu waliło. Ale nie zamierzał się klócić. Jeśli Wilson chciał tu jeszcze coś załatwić, to Burke na pewno nie miał zamiaru mu w tym towarzyszyć.

- Irina, kochanie. Chcę, żebyś poszła z panem Burke - odezwał się do niej Wilson.
- Nie, nie, Jack - zawodziła. - Niiieee. Zostanę z tobą. Chcę... Wilson uśmiechnął się kokieteryjnie.
- Już? A tydzień temu obiecałaś, że będziesz mnie słuchać. No, co jest? - perswadował czule. - Obiecałaś. Pamiętasz?

Burke nie miał pojęcia, co działo się w głowie Iriny, ale nagle przestała płakać. Skinęła poważnie głową i pocałowała Wilsona w usta. Był to długi pocałunek, który Wilson przerwał, odsuwając ją od siebie i obejmując jej twarz swoimi dłońmi.

- Idźcie już - powiedział Wilson.
 - Irina odwróciła się. Płakała cicho, ale zaczęła schodzić. Burke schodził tuż za nią.
- *

Wilson obserwował, jak schodzą w dół wieży i zaczynają biec. Burke praktycznie ciągnął Irinę, chociaż wszystko go bolało. Irina cały czas miała głowę zwróconą w stronę wieży. Po chwili zniknęli w lesie.

Zadzwonił telefon i Wilson podniósł słuchawkę. Na tle odgłosów tłop, tłop, tłop dochodzących z wirników helikoptera krzyczał do niego jakiś głos:

- Tracę cierpliwość!
- Będziesz miał szczęście, jeśli tylko to stracisz - odpowiedział mu Wilson.
- Co? Niech ci tylko coś wytłumaczę - wrzeszczał głos do słuchawki. - Masz jedną szansę, żeby wyjść z tego domu żywy. I albo wychodzisz, albo cię zdejmujemy! Co wolisz?

Wilson prawie się zaśmiał. Niepewności, które jeszcze przed chwilą nim targaly, ustąpiły

miejsca nieznanego mi do tej pory jasności umysłu i spokojowi. Nie wybierał się z powrotem do więzienia. Wolał umrzeć. I tak się stanie. Już wkrótce.

Oczywiście, że mógł uciec - przynajmniej na jakiś czas. Mógłby zgubić się gdzieś między drzewami i uciec w góry. Jak Geronimo. Mógłby ukrywać się przez jakiś czas, przenosząc się z miejsca na miejsce, szukając schronienia i żywności. Ale jaki miało to sens? Lepiej umrzeć jak człowiek, niż żyć jak pies.

I miał sposób na śmierć, dobry sposób - właściwy sposób na śmierć. Przesilenie słoneczne.

- Wilson! - trzeszczał w telefonie głos agenta FBI.

- Zastanawiam się...

Już się zdecydował. Ale musiał jakoś odwrócić ich uwagę zanim zaczną strzelać do domu i zupełnie go spalą. Irina będzie przecież potrzebowała domu. Wiedział, że bardzo się jej tu podobało.

Chwycił karabin Ingram, podszedł do okna i wybił szybę. Bez celowania otworzył ogień długą serią w stronę helikoptera i potem wystrzelił kolejną serię. I jeszcze jedną. Helikopter zakołysał się, podniósł nos do góry i zwrócił się w stronę wieży obserwacyjnej.

Wilson odłożył karabin na podłogę. Wyprostował się, rozebrał się do pasa, odsłaniając koszulę ducha, którą była jego skóra - topornie wytatuowany półksiężyc i ważka, gwiazda i ptaki, i słowa w Paiute:

Gdy ziemia drży.

Nie czuj lęku.

Przez wybitą szybę dostrzegł zbliżający się helikopter. Powoli zaczął tańczyć, śpiewając pieśń bez słów.

*

Biegając pośród drzew w kierunku gorących źródeł, Burke i Irina potykali się o wystające z ziemi skały. Prawie dotarli już na miejsce, gdy usłyszeli huk wystrzałów rozrywający poranne powietrze. Chwilę później usłyszeli serię z karabinu maszynowego, któremu towarzyszyło coraz głośniejsze i bardziej agresywne tłop, tłop helikoptera.

Mój Boże, pomyślał Burke, on ściąga ich do wieży. Irina łkała. Burke spodziewał się kanonady z szybkostrzelnych działek, ale zamiast tego usłyszał świst, po którym nastąpił błysk światła i fala uderzeniowa, która powaliła ich na ziemię.

Irina trzęsła się z przerażenia, gdy druga eksplozja, a potem trzecia wstrząsały drzewami wokół nich. Patrząc w górę widzieli słup czarnego dymu wzbijający się w niebo. Wieża przestała istnieć.

Irina krzyczała z rozpacz.

Burke chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę gorących źródeł.

- Czekaaj tu na mnie - powiedział, wstał i pobiegł do jaskini. Po chwili znalazł tę, o której opowiadał Wilson.

W środku było ciemno i mokro, więc poruszał się ostrożnie, znajdował drogę, macając ręką po ścianie jaskini i szurając butami po jej dnie. Gdy jego prawa stopa wyczuła krawędź, rzucił laptopa w czeluść dziury. I nasłuchiwał.

Nic. Cisza. I potem, jak obiecał Wilson, usłyszał plusk.

Wrócił tą samą drogą i zawołał Irinę. Lecz oczywiście już jej tam nie było. Biegła do wieży, pomyślał Burke, lub raczej do tego, co z niej zostało. Szukając miłości. Lub raczej tego, co z niej zostało.

To było coś, co ich łączyło.

EPILOG

NAIROBI LUTY 2006

Burke siedział przy stoliku w Giraffe Cafe, popijając mocną, gorącą kawę. Przygotowywał się do spędzenia długiego dnia w ministerstwie, gdzie starał się o odpowiednie zezwolenia na konwój przewożący żywność i pomoc medyczną do południowego Sudanu. Przebijanie się przez biurokrację było jak rozbieranie matrioszki. Należało pokonać wiele etapów, by wreszcie dostać się do najgłębiej schowanego, najważniejszego urzędnika, którego magiczny stempel umożliwiał przejazd przez punkty kontrolne.

Większość czasu spędzał zwykle w odległych wioskach lub w obozach dla uchodźców, więc teraz z przyjemnością przypatrywał się tętniącemu życiu miastu; miał możliwość odebrania listów, wykonania rozmów telefonicznych i poczytania gazet.

Poprzedniego wieczora rozmawiał z Tommym.

- Biznes idzie doskonale - oznajmił Staruszek. - Może aż za dobrze. Jakies szanse, że kiedyś wrócisz?

Burke roześmiał się.

- Więc kiedy wpadniesz w odwiedziny? Burke odpowiedział, że nie ma pojęcia.

- Dokładnie tak jak Katie. Nigdy nic konkretnego. - Zamilkł i po chwili powiedział: - Jezuuu! Prawie zapomniałem! Mam wiadomości, które cię rozśmieszą. Dowiedziałem się od Billy'ego Eamshowa, który jest kumplem tego gościa z policji...

- Doherty'ego? - zapytał Burke.

- Właśnie!

- No i co się dzieje?

- Pamiętasz tego posrańca, Kovalenkę? Nie uwierzysz, ale temu powalonemu idiocie przyznają medal! Za zasługi!

- Żartujesz sobie?!

- No coś ty, Michael! Takiego czegoś sam bym nie wymyślił! Ale macie kraj!

*

Większość jego poczty stanowiły rachunki i ulotki reklamowe, ale dostał też jeden list - w lawendowej kopercie. Od Iriny.

Po „wydarzeniach” Burke został przez kilka dni w Nevadzie. Trzymał ją wtedy cały czas za rękę i chronił przed Kovalenką.

Pojechali razem do Fallon, gdzie przedstawił ją Mandy. Od razu przypadły sobie do gustu, jak papużki nierozłączki. Mandy wzięła Irinę pod swoje skrzydła. Wspólnie zorganizowały pogrzeb Wilsona, na którym pojawiło się wielu jego kolegów z liceum i ze studiów, paru nauczycieli i przedstawiciel plemienia z Pyramid Lake. Eli Salzberg i Jill Apple przyjechali znad wybrzeży po przeciwnych stronach kontynentu.

Mandy załatwiła Irinie prawnika. Rząd, co prawda, zaczął marudzić, że niby przejmie majątek Wilsona, bo był zdobyty w „nieuczciwy sposób”, ale Wilson był bystry w zacieraniu po sobie śladów, przynajmniej jeśli chodzi o te, dotyczące finansów. Z pomocą prawnika wdowa po Wilsonie zatrzymała wszystko. W liście napisała:

Sześcioro członków mojej rodziny przyjechało do mnie na ranczo. I mamy plany! Wuj Wiktor zabrał mnie do Pyramid Lake w odwiedziny do rady plemienia. Dowiedzieliśmy się, że traktat z 1847 roku darował tereny rancza B-Lazy-B Indianom, a potem rząd je odebrał i sprzedał sekcje religijnej.

Teraz mamy sposób na oddanie tej ziemi plemieniu. Potem otworzymy internetową stronę hazardową z siedzibą w B-Lazy-B! Pierwsza w Stanach, myślę. Bardzo podniecona jestem tym! Będą pieniądze dla plemienia i pieniądze dla nas. I jeszcze jedna wiadomość - wielka wiadomość - będę miała dziecko! Wkrótce. Dziewczynkę! Powiedz, że będziesz ojcem chrzestnym!

Dziękuję ci za Twoją wielką pomoc dla mnie.

Całuję, Irina

Po wyjściu z kawiarni Burke spędził resztę dnia w ministerstwie, tłukąc się od jednego urzędnika do drugiego, by zdobyć wszystkie pozwolenia. I chociaż to podróżowanie z konwojem było najniebezpieczniejszą częścią jego pracy - bo nigdy nie było wiadomo, czy jakiś palant w punkcie kontrolnym nie zbzikuje i nie otworzy ognia - to najbardziej nie cierpiał tych dni spędzonych w ministerstwie. Każdy urzędnik wymagał, żeby poświęcić mu odpowiednią ilość czasu: była to taka forma opłaty: czekanie przez trzy godziny na jeden stempel, dwie godziny na drugi, osiem godzin na pozwolenie przejazdu.

W podróży, jeśli trafiło się na drogę wiodącą przez tereny chwilowo okupowane przez rebeliantów, to takie pozwolenia nie dosyć, że były bezwartościowe, to jeszcze powodowały dodatkowe zagrożenie.

Burke wiercił się na krześle. Podrapał się po nodze. Zauważył, że czas oczekiwania na załatwienie sprawy wydłużał się wraz z pozycją urzędnika. Ciężko było być cierpliwym, jeśli znało się sytuację: w oczekiwaniu na pomoc humanitarną ludzie cierpieli i umierali. Burke jednak nauczył się na własnych błędach, że protestowanie i narzekanie tylko wydłużało czas oczekiwania.

W końcu o ósmej wieczorem miał już wszystkie niezbędne dokumenty. Zjadł obiad z trzema kolegami z misji humanitarnej. Po obiedzie, gdy inni odpłynęli napić się do baru, Burke poszedł do swojego pokoju. Jak wiele innych pokoi, w jakich tu mieszkał i w tym powietrze wydawało się być przepełnione kurzem. Ale nie narzekał. Smak kurzu w ustach był charakterystyczny dla Afryki.

Cieszył się, że znowu się tu znalazło. Rozebrał się, umył zęby wodą z butelki i położył się na łóżku, rozciągając wokół niego moskitierę. Szumiący sufitowy wiatrak mógłby kogoś irytować, ale dla Burke'a był jak kołysanka.

Czy to na obozowym pościeliu, w łóżku, czy tylko na skrzyni ładunkowej jednej z ciężarówek konwoju, co noc zapadał w sen z olbrzymią radością.

Wiele miesięcy wcześniej żalił się Tommy'emu, że Katie nigdy do niego nie przychodziła, tak, jak odwiedzała we śnie swojego ojca. Ale gdy tylko Burke wrócił do Afryki, ona już tam była, w jego snach, co noc. Była to czysta radość i pociecha. Była żywa i zdrowa, śmieszna i błyskotliwa, wiedziała wszystko o jego pracy. Czasem nawet opowiadała poważnie o tym, co było i co mogło być.

- Żyjemy tylko przez moment, Michael, moment, który nazywamy teraźniejszością. Ale on trwa wiecznie, tak jak miłość, która nas łączy.

Czasem zostawała z nim przez całą noc, o ile nie starał się jej zatrzymać na siłę - gdy tylko próbował - odchodziła. W końcu zrozumiał, że jedynym sposobem na zatrzymanie jej przy sobie, było pozwalać jej odchodzić.

I tak właśnie robił.

Posłowie i podziękowania

Jeśli czytelnicy chcieliby więcej dowiedzieć się o masakrze pod Wounded Knee oraz dotrzeć do

źródła cytatów z nauk Wovoki przekazywanych przez Kopiającego Niedźwiedzia, należy odwiedzić stronę www.bgsu.edu/department/acs/1890s/woundedkneeAVKmscrs.html.

Wątek dotyczący szmuglowania haszyszu przez Hakima został zaczerpnięty z autobiografii Howarda Marksa, w której opisuje on podobną historię. Zobacz: *Mr. Nice* (Martin Secker & Warburg, Ltd., Londyn, 1996 r.).

Kolejna autobiografia, tym razem byłego oficera CIA, opisuje jego przeżycia związane z rozbiciem się samolotu w Kongo w 1965 r. oraz z zakażeniem odniesionych ran spowodowanym przez pszczoły i inne owady. Zobacz: *American Agent* (Amerykański agent), autor Richard L. Holm (St. Ermin's Press, Londyn, 2003 r.).

Źródłem informacji o życiu i osiągnięciach Tesli przytoczonych w *Tańczącym z diabłem* były cztery książki. Pierwsza i najważniejsza z nich to pozycja pt. *Man Out of Time* (Człowiek z innego czasu), napisana przez Margaret Cheney. Z kart tej fascynującej i niezwykłej książki zaczerpnięto wiele anegdot i faktów dotyczących Tesli. Kolejnymi pozycjami źródłowymi były książki: *Prodigai Genius: The Life of Nikola Tesla* (Geniusz utracony: Życie Nikoli Tesli), Johna J. O'Neill; *In Search of Nikola Tesla* (W poszukiwaniu Nikoli Tesli), Davida Peata oraz *Tesla: Zagubione wynalazki*, George'a Trinkhausa. Ponadto, wiele cennych szczegółów o życiu Tesli i jego wynalazkach znaleźliśmy na różnych stronach internetowych. Wiele intrygujących stron internetowych prowadzonych przez pułkownika

Toma Beardena, a także tych kojarzonych z Rickiem Andersenem wypełnionych było ciekawymi dla nas informacjami. Do dalszego zgłębiania tematu polecamy strony Towarzystwa Teslańskiego (Tesla Society) oraz Nowego Towarzystwa Teslańskiego (New Tesla Society), a także publikację Marca J. Seifera pt. „Confessions of a Tesla Nerd” (Spowiedź teslańskiego kujona). Do wyobrażenia sobie, jak mogłaby działać broń Tesli przydatny był esej dra Timothy'ego Ventury „Tesla's Death Ray” (Promień śmierci Tesli). Artykuł „Radiant Energy: Unraveling Tesla's Greatest Secret, Part 1” (Energia promienista: Wyjaśnienie największego sekretu Tesli, część I) Kena Adachi (1 czerwca 2001 r.) (<http://educate-yourself.org>) prezentuje badania Tesli nad fenomenem elektryczności, opisuje eksperymenty uczonego oraz przedstawia fotografie jego osoby i kilku jego wynalazków. Strona internetowa Muzeum Nikoli Tesli (www.tesla-museum.org) zawiera całe bogactwo informacji o wynalazcy. Żaden podręcznik fizyki nie potrafiłby tak wspaniale i przejrzyście wyjaśnić, w jaki sposób głos solistki operowej może doprowadzić do pęknięcia szklanego kieliszka, jak robi to materiał zgromadzony na stronie www.straight-dope.com. Pod tym adresem znajduje się także wiele innych opisów ciekawych zjawisk fizycznych.

Choć legend o Tesli i incydencie tunguskim jest wiele, to faktycznie istnieją dowody potwierdzające, że tragedia na Syberii wydarzyła się w tym samym czasie, gdy Tesla eksperymentował ze swoim transmitters w Wardencliff. Domniemanie, że to eksperyment Tesli spowodował straszny wybuch i pożogę, nie pochodzi od autorów książki, i jest jedynie czystą spekulacją. Istniejące historyjki, mówiące o tym, że admirał Peary na prośbę Tesli był świadkiem zapowiadanej przez wynalazcę arktycznej ferii światła są wątpliwej natury; zapisy w źródłach historycznych dowodzą, że Peary nie przebywał w Arktyce w czasie incydentu tunguskiego. Windjammer Stevenson, w owym czasie bardzo znany badacz Arktyki, faktycznie żył przez pewien czas za kołem polarnym, dokładnie tak, jak opisano w *Tańczącym z diabłem*.

I choć Stevenson przebywał za kołem polarnym dokładnie w czasie incydentu tunguskiego, to wnioskowanie, że był wyznaczonym „świadkiem” Tesli jest jedynie wymysłem autorów.

Autorzy skorzystali z wielu informacji uzyskanych z przestudiowania strony www.unitedstatesaction.com/emp-terror.htm, które posłużyły do zrozumienia i przekazania wiedzy o impulsie elektromagnetycznym i bombie E w przypadku jej stworzenia i wykorzystania w zamachach terrorystycznych. Chociaż obydwój autorów zwiedzało więzienia o zastrzyżonym rygorze, autorzy pragną podziękować niezastąpionej Wikipedii za dostarczenie doskonałych opisów architektonicznych i operacyjnych więzień federalnych Supermax. Wikipedia była także źródłem naszej wiedzy o broni strumienia energii.

We wrześniu 2004 r. magazyn „National Geographic” opublikował artykuł o Indianach amerykańskich. Do czasopisma dołączono mapę Ameryki Północnej. Na jednej stronie przedstawiono rodziny języków indiańskich oraz zakres ich występowania na kontynencie. Na jej drugiej stronie na mapie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych ukazano obecne terytoria należące do Indian wraz z liczbą ich mieszkańców. Na dole map przedstawiono cztery mniejsze mapy datowane od 1775 do 2004, przedstawiające systematyczne kurczenie się terenów indiańskich na rzecz osadnictwa. Te mapy zatytułowane „Długa historia utraty terenów” posłużyły nam jako inspiracja dla stworzenia opisu szkolnego referatu Jacka Wilsona w szkole średniej.

Dodatkowe informacje o Ustawie o utajnieniu wynalazków i jej zastosowaniu (Invention Secrecy Act) z 1951 r. można znaleźć na stronie czasopisma „Berkeley Law Journal” (www.law.berkeley.edu).

Autorzy pragną podziękować Elaine Markson i Gary’emu Johnsonowi z Elaine Markson Agency za ich niesłabnące wsparcie. Jesteśmy także wdzięczni Ronaldowi Johnsonowi i Ezzrze Sidranowi za udzielenie nam wyjaśnień dotyczących wiedzy technicznej. Pilot David Grove opowiedział nam jak zachowa się samolot uderzony impulsem elektromagnetycznym.

Wszelkie możliwe błędy pochodzą od autorów i nie mogą być przypisywane żadnym źródłom, z których korzystali.

Na końcu serdecznie dziękujemy ekipie wydawnictwa Ballantine, która sprawiła, że niniejsza książka znalazła się na półkach księgarń i bibliotek.

4 maja 2006 r. Charlottesville, Wirginia